

Margaret Atwood

ŚLEPY ZABÓJCA



Margaret Atwood

ŚLEPY ZABÓJCA

Z angielskiego przełożyła:
Małgorzata Hesco-Kołodzińska

Wyobraź sobie szacha, a nazywał się on Agha Mohammed Khan, który walcząc o tron, nakazuje wymordować lub oślepić ludność całego miasta Kerman. Nie czyni żadnego wyjątku, a jego pretorianie zabierają się gorliwie do dzieła. Ustawiają mieszkańców rzędami, dorosłym ścinają głowy, a dzieciom wydłubują oczy [...]. Z tego miasta wyruszają potem procesje oślepionych dzieci. Wędrują przez Iran, ale czasem gubią w pustyni drogę i giną z pragnienia. Inne gromady docierają do ludzkich osad i tam proszą o jedzenie, śpiewając pieśni o morderstwie miasta Kerman.

Ryszard Kapuściński

Płynąłem, morze było bezkresne, nie widziałem brzegu. Tanit był bezlitosny, moje modlitwy zostały wysłuchane. O, wy, po-grążeni w miłości, wspomnijcie mnie.

Inskrypcja na kartagińskiej urnie

Słowo jest ogniem płonącym w ciemnej szklance.

Sheila Watson

I

Most

Dziesięć dni po zakończeniu wojny moja siostra Laura zjechała samochodem z mostu. Most był w remoncie; przejechała wprost przez znak „Niebezpieczeństwo”. Auto spadło w ponad trzydziestometrową przepaść, roztrzaskując się na wierzchołkach drzew porośniętych młodymi liśćmi, po czym stanęło w płomieniach i stoczyło się do wąskiego strumienia na dnie wąwozu. Przykryły je odłamki mostu. Z Laury nie zostało nic oprócz zwęglonych szczątków.

O wypadku poinformował mnie policjant: samochód należał do mnie, sprawdzili numer rejestracyjny. Mówił pełnym szacunku tonem: bez wątplenia rozpoznał nazwisko Richarda. Powiedział, że auto mogło wpaść w poślizg na szynach tramwajowych albo zawiadły hamulce, ale czuł się także w obowiązku poinformować mnie, że dwaj świadkowie – prawnik na emeryturze i kasjer bankowy, odpowiedzialni ludzie – podobno wszystko widzieli. Oświadczyli, że Laura ostro i celowo skręciła i spadła z mostu tak niedbale, jak gdyby schodziła z krawężnika. Zauważyli jej ręce na kierownicy ze względu na białe rękawiczki.

To nie hamulce, pomyślałam. Miała swoje powody. Choć nie takie, jakie miałyby ktokolwiek inny. Pod tym względem była zupełnie bezlitosna.

– Rozumiem, że ktoś powinien ją zidentyfikować – powiedziałam. – Przyjdę jak najszybciej.

Słyszałam spokój we własnym głosie, jak gdyby dochodził z oddali. W rzeczywistości ledwie mogłam wydobyć z siebie słowa; miałam odrętwiałe usta, cała moja twarz zastygła w bólu. Czułam się jak po powrocie od dentysty. Byłam wściekła na Laurę za to, co zrobiła, ale także na policjanta, bo zasugerował, że to zrobiła. Wokół mojej głowy wiał gorący wiatr, pasma włosów unosiły się i wirowały wraz z nim, jak atrament wlany do wody.

– Obawiam się, że będzie dochodzenie, pani Griffen – powiedział.

– Naturalnie – odparłam. – Ale to był wypadek. Moja siostra nie prowadziła zbyt dobrze.

Mogłam sobie wyobrazić gładki owal twarzy Laury, jej starannie uczesany kok, sukienkę, w którą się ubrała: szmizjerkę z małym, okrągłym kołnierzem, w poważnym kolorze – granatowym, stalowym albo szpitalnej zieleni. Więzienne kolory – nie takie, jakie sama wybrała, by na siebie włożyć, raczej takie, w których ją uwięziono. Jej poważny półusmiech; jej uniesione ze zdumieniem brwi, jak gdyby podziwiała widok.

Białe rękawiczki: gest Poncjusza Piłata. Umywała ode mnie ręce. Od nas wszystkich.

O czym myślała, gdy samochód odpłynął z mostu i zawisł w popołudniowym

słońcu, lśniąc niczym wałka, przez jeden krótki moment, gdy wstrzymuje się oddech przed runięciem w przepaść? O Aleksie, o Richardzie, o złej wierze, o naszym ojcu i jego upadku; o Bogu, być może, i o swojej zgubnej, trójstronnej umowie. Albo o stosiku tanich szkolnych zeszytów, które tamtego ranka musiała schować do szuflady komody z moimi pończochami, wiedząc, że to właśnie ja je znajdę.

Kiedy policjant odszedł, poszłam na górę się przebrać. Do wizyty w kostnicy potrzebowałam rękawiczek i kapelusza z woalką. Czegoś, by ukryć oczy. Mogli się tam znaleźć reporterzy. Będę musiała wezwać taksówkę. Powinnam też ostrzec Richarda w jego biurze; będzie chciał mieć przygotowaną mowę żałobną. Poszłam do garderoby: potrzebowałam czerni i chusteczki.

Otworzyłam szufladę, zobaczyłam zeszyty. Rozsupłałam kuchenny sznurek, którym były związane. Zauważyłam, że szczękają mi zęby, jak gdybym całkowicie przemarzła. Uznałam, że to z pewnością szok.

Wtedy przypomniałam sobie Reenie, z czasów naszego dzieciństwa. To właśnie Reenie zajmowała się bandażowaniem, zadrapaniami, skaleczeniami i powierzchownymi ranami. Matka mogła odpoczywać albo spełniać gdzieś dobre uczynki, ale Reenie zawsze była na miejscu. Zgarniała nas i sadzała na białym emaliowanym stole kuchennym, obok ciasta, które wyrabiała, albo kurczaka, którego kroїła, albo ryby, którą patroszyła, i dawała nam trochę brązowego cukru, żeby nas uciszyć. „Powiedz, gdzie boli”, mówiła. „Przestań wyć. Uspokój się i pokaż mi gdzie”.

Ale niektórzy ludzie nie potrafią powiedzieć, gdzie boli. Nie potrafią się uspokoić. Nie potrafią przestać wyć.

The Toronto Star, 26 maja 1945

WĄTLIWOŚCI W SPRAWIE ŚMIERTELNEGO WYPADKU

DODATEK DO „THE STAR”

Śledztwo wykazało, że w zeszłym tygodniu przy St. Clair Avenue doszło do nieszczęśliwego wypadku. Osiemnastego maja po południu samochód prowadzony przez dwudziestopięcioletnią pannę Laurę Chase gwałtownie skręcił na barierki zabezpieczające remontowany odcinek mostu, spadł do wąwozu i stanął w płomieniach. Panna Chase zginęła na miejscu. Jej siostra, pani Richardowa E. Griffen, żona znanego przemysłowca, zeznała, że panna Chase cierpiała na silne migreny powodujące zaburzenia wzroku. Wykluczyła możliwość upojenia alkoholem, gdyż panna Chase nie piła.

Zdaniem policji, przyczyną wypadku było uderzenie koła samochodu o odsłonięte szyny tramwajowe. Pojawiły się wątpliwości, czy środki ostrożności podjęte przez miasto są wystarczające, ale oddalono je po ekspertyzie miejskiego inżyniera Gordona Perkinsa.

Wypadek spowodował wznowienie protestów w sprawie stanu torów tramwajowych na tym odcinku drogi. Pan Herb T. Jolliffe, reprezentant miejscowych płatników podatków od nieruchomości, powiedział reporterom „The Star”, że to nie pierwszy nieszczęśliwy wypadek spowodowany zaniedbanymi torami. Rada Miejska powinna wziąć to pod uwagę.

Ślepy zabójca. Autorka: Laura Chase
Reingold, Jaynes & Moreau, Nowy Jork 1947
Prolog: Byliny do skalnego ogródka

Ma tylko jedną jego fotografię. Włożyła ją do brązowej koperty z napisem „wycinki”, którą schowała między kartkami *Bylin do skalnego ogródka*, gdzie nikt nigdy nie zagląda.

Obchodzi się z tym zdjęciem ostrożnie, gdyż to niemal wszystko, co po nim zostało. Jest czarno-białe, zrobione jednym z tych przedwojennych kwadratowych i nieporęcznych aparatów z fleszem, z mieszkami jak akordeon, w solidnych skórzanych futerałach, przypominających kagańce, z paskami i skomplikowanymi zapięciami. Na fotografii są oboje, ona i ten mężczyzna, na pikniku. Na odwrocie ołówkiem napisano „piknik” – nie imię, jej czy jego, tylko „piknik”. Zna imiona, nie musi ich zapisywać.

Siedzą pod drzewem – to mogła być jabłoń – wtedy nie zwróciła na to uwagi. Ona ma na sobie białą bluzkę z rękawami podwiniętymi do łokci i szeroką spódnicę omotaną wokół kolan. Musiało wiać, bo bluzka przylega do jej ciała; a może nie przylega, tylko się przykleiła; może było gorąco. Było gorąco. Trzymając rękę nad zdjęciem, wciąż może poczuć bijący od niego żar, jak z rozgrzanego przez słońce kamienia o północy.

On ma jasny kapelusz, przekrzywiony i częściowo zasłaniający mu oblicze. Jego twarz wydaje się mocniej opalona niż jej. Ona jest na wpół obrócona ku niemu i uśmiecha się tak, jak chyba nie uśmiechała się do nikogo od tamtego czasu. Wydaje się na tym zdjęciu bardzo młoda, zbyt młoda, chociaż wtedy nie uważała się za zbyt młodą. On też się uśmiecha – biel jego zębów rzuca się w oczy jak błysk potartej zapalniczki – ale wyciąga rękę, jak gdyby usiłował odeprzeć atak albo osłonić się przed aparatem, przed osobą, która musiała tam stać i robić zdjęcie; albo osłonić się przed tymi z przyszłości, którzy być może na niego spojrzą, którzy być może w niego zajrzą przez to kwadratowe, rozświetlone okno błyszczącego papieru. Jak gdyby osłaniał się przed nią. Jak gdyby osłaniał ją. W jego wyciągniętej, osłaniającej ręce tkwi niedopałek papierosa.

Kiedy jest sama, wyjmuje brązową kopertę i wysuwa zdjęcie spośród gazetowych wycinków. Kładzie je na stole i wpatruje się w nie, jakby zaglądała do studni czy sadzawki – szukając czegoś jeszcze poza własnym odbiciem, czegoś, co musiała upuścić czy zgubić, czegoś, co znajduje poza zasięgiem, lecz nadal widoczne łśni niczym klejnot na piasku. Bada każdy szczegół. Jego palce, wybielone przez flesz albo przez oślepiające światło słońca; fałdy ich ubrań; liście na drzewie i wiszące na nim małe, okrągłe kształty – więc jednak były to jabł-

ka? Szorstką trawę na pierwszym planie. Trawa była wtedy żółta z powodu suszy.

Po jednej stronie – na początku się tego nie dostrzega – widać rękę, uciętą przez krawędź zdjęcia, odciętą w przegubie, leżącą na trawie, jakby porzuconą. Zostawioną samej sobie.

Ślad płynącej chmury na promiennym niebie, jak lody rozmazane na chromie. Jego palce z płamami od papierosów. Migotanie wody z oddali. Teraz wszystko zatopione.

Zatopione, lecz lśniące.

II

Ślepy zabójca: Jajko na twardo

Co będzie? – pyta on. Smokingi i romans czy wraki statków na wyschniętym wybrzeżu? Możesz wybierać: dżungle, tropikalne wyspy, góry. Albo inny wymiar – w tym jestem najlepszy.

Inny wymiar? Daj spokój!

Nie kpj sobie, to przydatny adres. Może się tam zdarzyć wszystko, co zechcesz. Statki kosmiczne, obcisłe uniformy, broń laserowa, Marsjanie o ciałach olbrzymich kałamarnic, tego typu rzeczy.

Ty wybierz, mówi ona. Jesteś zawodowcem. Co powiesz na pustynię? Zawsze chciałam tam pojechać. Z oazą, oczywiście. Przydałoby się kilka palm. Odrywa skórę od kanapki. Nie lubi skórek.

Na pustyni nie ma zbyt wielu możliwości. Niewiele tam jest, chyba że doda się groby. Wtedy można wprowadzić gromadę nagich kobiet, martwych od trzech tysięcy lat, o gibkich, pięknie zaokrąglonych ciałach, rubinowych ustach, z morzem lazurowych loków na głowie i oczami jak jaskinie pełne węży. Wątpię jednak, żebyś dała się zbyć czymś takim. Fantastyka nie jest w twoim stylu.

Kto wie. Mogłyby mi się spodobać.

Wątpię. Są dla mas. Dobrze nadają się na okładki – będą więc się nad faceitem i trzeba się przed nimi bronić kolbą strzelby.

Czy mogę dostać inny wymiar, a także groby i martwe kobiety?

To trudne zamówienie, ale zobaczę, co się da zrobić. Mógłbym dorzucić kilka ofiarnych dziewic w metalowych osłonach na piersi, srebrnych bransoletach na kostkach i przezroczyściej ornaty. I gromadę krwiożerczych wilków, gratis.

Widzę, że nie cofniesz się przed niczym.

Wolisz smokingi? Statki wycieczkowe, białe płótno, całowanie w dłoń i pełne hipokryzji gadanie?

Nie. Zgoda. Rób, co uważasz za najlepsze.

Papierosa?

Przecząco kręci głową. On bierze swojego, zapalając zapalną o kciuk.

Podpalisz się kiedyś, mówi ona.

Jeszcze się nie podpałem.

Ona patrzy na podwinięty rękaw jego koszuli, białej lub bładoniebieskiej, potem na jego przegub, ciemniejszą skórę ręki. On błyszczy, to musi być odbłask słońca. Dlaczego nikt się nie gapi? Mimo to on zbyt rzuca się w oczy, żeby tu przebywać – tak na widoku. Wokół są inni ludzie, siedzą na trawie albo na niej leżą, podparci na łokciu – inni piknikowicze w jasnych letnich ubraniach.

Wszystko jest bardzo przyzwoite. Mimo to ona czuje, że są tu sami; jak gdyby jabłoni, pod którą siedzą, nie była drzewem, lecz namiotem; jak gdyby otaczał ich narysowany kredą krąg. W tym kręgu są niewidzialni.

A więc kosmos, mówi on. Z grobami, dziewczicami i wilkami – ale na raty. Zgoda?

Na raty?

Wiesz, jak przy kupnie mebli.

Ona się śmieje.

Nie, mówię poważnie. Nie można na tym oszczędzać, to zajmie wiele dni. Będziemy musieli znowu się spotkać.

Ona się waha. Zgoda, mówi. Jeśli będę mogła. Jeśli uda mi się to załatwić.

Dobrze, odpowiada on. Teraz muszę pomyśleć. Mówi zwykłym tonem. Zbyt ni pośpiech mógłby ją zniechęcić.

Na planecie – zastanówmy się. Nie na Saturnie, to zbyt blisko. Na planecie Zykron, znajdującej się w innym wymiarze, rozpościera się płaskoskalne rumowisko. Na północy szumi fiołkowej barwy ocean. Na zachodzie wznosi się pasmo górskie, podobno odwiedzane po zachodzie słońca przez nienasycone, martwe mieszkanki znajdujących się tam niszczących grobów. Widzisz, od razu dodałem groby.

Jesteś bardzo skrupulatny, mówi ona.

Dotrzymuję obietnic. Na południu jest spalone piaszczyste pustkowie, a na wschodzie kilka głębokich dolin, które kiedyś mogły być rzekami.

Rozumiem, że są tam kanały, jak na Marsie?

Och, kanały i rozmaite inne rzeczy. Bogate ślady starożytnej i niegdyś wysoko rozwiniętej cywilizacji, choć teraz ten region zamieszkują nieliczne wędrownie grupy prymitywnych nomadów. Pośrodku równiny znajduje się wielki kopiec kamieni. Ziemia wokół jest jałowa, rośnie na niej kilka karłowatych krzewów. To prawie pustynia. Została jakaś kanapka z serem?

Ona szpera w papierowej torbie. Nie, odpowiada, ale jest jajko na twardo. Nigdy dotąd nie czuła się taka szczęśliwa. Wszystko znów jest świeże, wszystko dopiero się wydarzy.

Tylko to, co zalecił lekarz, mówi on. Butelka lemoniady, jajko na twardo i ty. Obraca jajko w dłoniach, tłucze skorupkę, a potem obiera jajko. Ona obserwuje jego usta, szczękę, zęby.

A oprócz mnie śpiewanie w publicznym parku, mówi. Masz tu sól.

Dzięki. O wszystkim pamiętasz.

Nikt nie rości sobie praw do jałowej równiny, ciągnie on. Czy też raczej rości sobie do niej prawo pięć plemion, a żadne z nich nie jest na tyle potężne, by unicestwić pozostałe. Wszystkie od czasu do czasu wędrują obok tej sterty kamieni, wypasając *thulk* – niebieskie, podobne do owiec, narowiste stworzenia –

albo transportując towary niskiej wartości na swoich zwierzętach pociągowych, wyglądających trochę jak wielbłądy o trzech oczach.

W zależności od języka stertę kamieni nazywają Legowiskiem Latającego Węża, Stosem Gruz, Siedzibą Lamentującej Matki, Drzwiami Zapomnienia lub Dołem Ogryzionych Kości. Każde plemię opowiada o nim podobną historię. Mówią, że pod kamieniami leży król – król bez imienia. Nie tylko on, ale i pozostałości wspaniałego miasta, którym kiedyś rządził.

Miasto zniszczono w bitwie, a króla schwytano i na znak triumfu powieszono na palmie daktylowej. Po wschodzie księżyca odcięto go i pochowano, a kamienie ułożono po to, by zaznaczyć to miejsce. Co do mieszkańców miasta, wszystkich zabito. Zaszlachtowano – mężczyzn, kobiety, dzieci, niemowlęta, nawet zwierzęta. Poszli pod miecz, posiekano ich na kawałki. Nie oszczędzono nikogo.

To okropne.

Wbij łopatę w ziemię, a niemal w każdym miejscu jakaś okropna historia ujrzy światło dzienne. Dzięki temu interes się kręci; kości nam służą; bez nich nie byłoby żadnych historii. Jest jeszcze lemoniada?

Nie, odpowiada ona. Wszystko wypiliśmy. Mów dalej.

Za sprawą zdobywców prawdziwa nazwa miasta zniknęła z ludzkiej pamięci i właśnie dlatego – jak mówią gawędziarze – to miejsce znane jest tylko pod nazwą własnego zniszczenia. Tak więc sterta kamieni to zarówno miejsce świadomej pamięci, jak i świadomego zapomnienia. W tamtych stronach lubią paradoksy. Każde z pięciu plemion twierdzi, że to ono było zwycięskim najeżdźcą. Każde z czcigłównie wspomina masakrę. Każde wierzy, że zażądali jej bogowie, jako sprawiedliwej zemsty za bezbożne praktyki odprawiane w mieście. Mawia się, że zło trzeba zmyć krwią. Tamtego dnia krew płynęła jak woda, więc potem musiało być bardzo czysto.

Każdy przechodzący pasterz lub kupiec dokłada kamień do stosu. To dawny zwyczaj – robi się to ku czci zmarłych, własnych zmarłych – ale skoro nikt nie wie, kim naprawdę byli zmarli leżący pod kopcem, wszyscy na wszelki wypadek zostawiają swoje kamienie. Omijają ten temat, opowiadają, że to, co się tutaj wydarzyło, musiało nastąpić z woli ich boga, więc zostawiając kamień, czczą jego wolę.

Według innej legendy miasto wcale nie zostało zniszczone, lecz dzięki zaklęciu znanemu jedynie królowi zniknęło z tego miejsca wraz z mieszkańcami. Wszystko zastąpiono widmowymi odpowiednikami, które następnie zarżnięto i spalono. Prawdziwe miasto bardzo się skurczyło i znalazło się w jaskini pod wielkim stosem kamieni. Wszystko, co kiedyś istniało, nadal istnieje, łącznie z pałacami i ogrodami pełnymi drzew i kwiatów, łącznie z ludźmi, nie większymi od mrówek, ale żyjącymi tak jak wcześniej – noszącymi maleńkie ubrania, wyprawiającymi maleńkie przyjęcia. Opowiadającymi maleńkie historie, śpiewają-

cymi maleńkie pieśni.

Król wie, co się stało, i śnią mu się przez to koszmary, ale cała reszta nie wie. Nie wiedzą, że tak się skurczyli. Nie wiedzą, że uważa się ich za martwych. Nie wiedzą nawet, że ocaleli. Dla nich sklepienie ze skał wygląda jak niebo, światło wpada przez szczelinę między kamieniami, a oni myślą, że to słońce.

Liście na jabłoni szeleszczą. Ona patrzy na niebo, potem na zegarek. Zimno mi, mówi. Mógłbyś pozbyć się dowodów? Zbiera skorupki po jajku, mnie papier śniadaniowy.

Przecież nie ma pośpiechu? Tu jest zimno.

Wieje od wody, mówi ona. Chyba wiatr się zmienił. Pochyla się, zamierzając wstać.

Nie idź jeszcze, mówi on, zbyt szybko.

Muszę. Będą mnie szukać. Jeśli się spóźnię, zapytają, gdzie byłam.

Wygladza spódnice, obejmuje się rękami, odwraca, a małe zielone jabłka obserwują ją jak oczy.

The Globe and Mail, 4 czerwca 1947

GRIFFEN ODNALEZIONY NA JACHCIE

DODATEK DO „THE GLOBE AND MAIL”

Po nie wyjaśnionej kilkunastodniowej nieobecności przemysłowca Richarda E. Griffena, lat czterdzieści siedem, przypuszczalnego faworyta postępowych konserwatystów w marcowych wyborach w Toronto, odnaleziono jego ciało w pobliżu letniej rezydencji Awilion w Port Ticonderoga, gdzie pan Griffen spędzał wakacje. Zwłoki znaleziono na łodzi pana Griffena, „Nimfie Wodnej”, przycumowanej do prywatnego pirsu na rzece Jogues. Pan Griffen miał najprawdopodobniej wylew krwi do mózgu. Zdaniem policji, nie zachodzi podejrzenie przestępstwa.

Pan Griffen zrobił karierę jako właściciel handlowego imperium, które obejmowało wiele branż, takich jak tekstylia, ubrania i przemysł lekki. Przemysłowca wyróżniono za osiągnięcia w zaopatrywaniu żołnierzy w mundury i broń podczas wojny. Był częstym uczestnikiem konferencji w Pugwash i znamiennym działaczem zarówno Klubu Cesarzowskiego, jak i Klubu Granitowego. Chętnie grywał w pokera i był znanym członkiem Królewskiego Kanadyjskiego Jachtklubu. Po otrzymaniu wiadomości w swojej prywatnej posiadłości Kingsmere, premier powiedział: „Pan Griffen należał do najzdolniejszych ludzi w tym kraju. Głęboko odczuwamy jego stratę”.

Pan Griffen był szwagrem zmarłej Laury Chase, która na wiosnę zadebiutowała pośmiertnie jako pisarka, i pozostawił po sobie siostrę, panią Winifred (Griffen) Prior, znaną w towarzystwie, oraz żonę, panią Iris (Chase) Griffen, i dziesięcioletnią córkę Aimee. Pogrzeb odbędzie się w środę w kościele Świętego Szymona Apostoła w Toronto.

Ślepy zabójca: Ławka w parku

Dlaczego na Zykronie żyli ludzie? To znaczy istoty ludzkie, takie jak my. Skoro to inny wymiar, to czy jego mieszkańcy nie powinni być gadającymi jaszczurkami albo czymś podobnym?

Tylko w marnej literaturze. To wszystko zmyślono. W rzeczywistości było tak: Ziemię skolonizowali Zykronianie, którzy nauczyli się podróżować z jednego wymiaru przestrzeni kosmicznej do drugiego kilka tysięcy lat temu. Przywieźli ze sobą wiele nasion, dlatego też mamy jabłka i pomarańcze, o bananach nie wspominając – wystarczy spojrzeć na banana i od razu wiadomo, że pochodzi z kosmosu. Przywieźli też zwierzęta – konie, psy, kozy i tak dalej. To oni zbudowali Atlantyde. A potem wysadzili się w powietrze, bo byli zbyt mądrzy. My pochodzimy od maruderów.

Aha, mówi ona. Widzę, że to ci odpowiada.

W ostateczności wystarczy. Co do innych osobliwości Zykronu, to jest tam siedem mórz, pięć księżyców i trzy słońca, o zmiennej mocy i barwach.

Jakich barwach? Czekoladowej, waniliowej i truskawkowej?

Nie traktujesz mnie poważnie.

Przepraszam. Przechyliła ku niemu głowę. Teraz już słucham. Widzisz?

On mówi: Przed zniszczeniem miasto – używajmy jego dawnej nazwy Sakiel-Norn, co z grubsza można tłumaczyć jako Perła Przeznaczenia – było podobno cudem świata. Nawet ci, którzy twierdzą, że to ich przodkowie zrównali je z ziemią, czerpią wielką przyjemność z opisywania jego piękna. Stworzono naturalne źródła, by płynęły przez rzeźbione fontanny na wyłożonych terakotą dziedzińcach i ogrodach licznych pałaców. Wszędzie kwitły kwiaty, a zewsząd rozlegał się śpiew ptaków. W pobliżu rozciągały się bujne równiny, na których pały się stada tłustych *gnarr*, a sady, gaje i lasy pełne wysokich drzew nie zostały jeszcze wycięte przez kupców ani spalone przez zawziętych nieprzyjaciół. Suche dziś jary były wtedy rzekami – wypływające z nich kanały nawadniały pola wokół miasta, a gleba była tak żyzna, że kłosa zboża miały podobno prawie osiem centymetrów średnicy.

Arystokratów z Sakiel-Norn nazywano Snilfardami. Doskonale radzili sobie z obróbką metali i byli wynalazcami pomysłowych urządzeń mechanicznych, których sekretów starannie strzegli. Do tego czasu wynaleźli zegar, kuszę, ręczną pompę, choć nie udało im się jeszcze skonstruować motoru spalinowego, a do transportu wciąż używali zwierząt.

Snilfardowie płci męskiej nosili maski z platynowej tkaniny, które poruszały się wraz ze skórą na ich twarzach, a służyły do ukrywania prawdziwych uczuć. Kobiety ukrywały twarze za przypominającymi jedwab woalkami utkanymi z kokonów ćmy *chaz*. Zasłanianie twarzy przez nie-Snilfardów karano śmiercią, gdyż zagadkowość i podstępność były zarezerwowane dla arystokracji. Snilfardowie nosili luksusowe stroje, byli koneserami muzyki, grali na rozmaitych instrumentach, aby zademonstrować swój dobry smak i umiejętności. Oddawali się dworskim intrygom, wyprawiali wspaniałe uczyty i wplątywali się w skomplikowane romanse z żonami innych Snilfardów. Miłosne afery kończyły się pojedynkami, choć preferowano, by mąż udawał, że o niczym nie ma pojęcia.

Małorolnych, chłopów pańszczyźnianych i niewolników nazywano Ygnirodami. Nosili liche szare tuniki z odkrytym ramieniem, a także z odkrytą piersią w wypadku kobiet, które były – jak się można domyślić – łatwą zdobyczą dla Snilfardów. Ygnirodzi czuli odrazę do swojego losu, ale udawali głupich. Co jakiś czas wywoływali bunt, bezlitośnie tłumiony. Najniższe warstwy składały się z niewolników, których kupowano, sprzedawano i zabijano w dowolnym momencie. Prawo zabraniało im czytać, ale mieli swój sekretny kod, który wydrapywali w ziemi kamieniami. Snilfardowie zaprzęgali ich do pługów.

Zdarzało się, że bankrutujący Snilfard był degradowany do Ygniroda. Mógł uniknąć takiego losu, sprzedając żonę lub dzieci na spłatę długu. Rzadziej Ygnirod osiągał status Snilfarda, gdyż droga w górę jest zwykle bardziej żmudna niż w dół; nawet jeśli zdołał zebrać niezbędną sumę pieniędzy i zdobyć Snilfardkę na żonę dla siebie lub swojego syna, zawsze wchodziła w grę taka czy inna łapówka i musiało upłynąć trochę czasu, zanim zaakceptowano go w społeczeństwie Snilfardów.

Rozumiem, że wyłazi z ciebie twój bolszewizm, mówi ona. Wiedziałam, że wcześniej czy później do tego dojdzie.

Wręcz przeciwnie. Kultura, którą opisuję, wywodzi się ze starożytnej Mezopotamii. Znajdziesz to w Kodeksie Hammurabiego, w prawach Hetytów i tak dalej. Przynajmniej częściowo. Znajduje się tam ta część o zasłonach na twarz i o sprzedawaniu żon. Mogę ci podać rozdział i wers.

Nie podawaj mi dzisiaj rozdziału i wersu, proszę, mówi ona. Nie mam na to siły, jestem zbyt osłabiona. Więdnę.

Jest sierpień, o wiele za gorąco. Wilgoć spowija ich niewidzialną mgłą. Czwarta po południu, światło jak rozpuszczone masło. Siedzą na ławce w parku, nie za blisko siebie; nad nimi klon ze zmęczonymi liśćmi, popękana ziemia pod ich stopami, wyschnięta trawa dookoła. Skórki chleba dziobane przez wróble, zmięte papiery. Nie najlepsza okolica. Kran z wodą do picia; troje niechlujnych dzieci, dziewczynka w króciutkiej bluzce i spódnicy oraz dwaj chłopcy w szortach, knuje coś za kranem.

Jej suknia żółta jak pierwiosnek; jej ręce nagie poniżej łokcia, na nich delikatne, jasne włoski. Zdjęła bawełniane rękawiczki, zwinęła je w kulę nerwowym gestem. Jemu nie przeszkadza jej nerwowość: lubi myśleć, że zaczęła ją coś kosztować. Ona ma na sobie słomkowy kapelusz, okrągły jak kapelusz uczennicy; włosy upięła z tyłu; wysuwa się wilgotny kosmyk. Kiedyś ludzie obcinali kosmyki włosów, zachowywali je, trzymali w medalionach; w wypadku mężczyzny, na sercu. Nigdy nie rozumiał dlaczego – nigdy dotąd.

Gdzie niby masz być? – pyta.

Na zakupach. Spójrz na moją torbę. Kupiłam jakieś pończochy; są bardzo dobre – z najlepszego jedwabiu. Nie czuję ich na nogach. Uśmiecha się lekko. Mam tylko piętnaście minut.

Upuściła rękawiczkę, leży u jej stóp. On to obserwuje. Jeśli ona odejdzie i zapomni o rękawiczkach, on ją zawłaszczy. Będzie wdychał ten zapach podczas jej nieobecności.

Kiedy cię zobaczę? – pyta. Gorący wiatr porusza liśćmi, między nimi promienie słońca, wokół niej pyłek, złota chmura. Tak naprawdę to kurz.

Teraz mnie widzisz, odpowiada ona.

Nie bądź taka, mówi on. Powiedz mi kiedy. Skóra na jej dekolcie lśni warstewką potu.

Jeszcze nie wiem, odpowiada ona. Patrzy przez ramię, rozgląda się po parku.

Nikogo tu nie ma, mówi on. Nikogo z twoich znajomych.

Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie, mówi ona. Nigdy nie wiadomo, kogo się zna.

Powinnaś mieć psa, mówi on.

Ona się śmieje. Psa? Po co?

Wtedy miałabyś pretekst. Zabierałabyś go na spacer. Mnie i psa.

Pies byłby o ciebie zazdrosny, mówi ona. A ty uważałabyś, że wolę psa.

Ale nie wolałabyś psa, stwierdza on. Prawda?

Ona szerzej otwiera oczy. Dlaczego nie?

Psy nie potrafią mówić, odpowiada on.

***The Toronto Star*, 25 sierpnia 1975**

SIOSTRZENICA PISARKI OFIARĄ WYPADKU

DODATEK DO „THE STAR”

Ciało Aimee Griffen, lat trzydzieści osiem, córki zmarłego Richarda E. Griffena, znakomitego przemysłowca, i siostrzenicy znanej pisarki Laury Chase, odnaleziono w środę w suterenie na Church Street, z karkiem złamanym po upadku. Wszystko wskazuje, że zginęła przynajmniej dobę w cześniej. Sąsiadów, Josa i Beatrice Kelleyów, zawiadomiła czteroletnia córka pani Griffen, Sabrina, która często przychodziła do nich na posiłki, gdy nie można było odnaleźć jej matki.

Panna Griffen podobno od dawna walczyła z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu, kilkakrotnie trafiła do szpitala. Na czas śledztwa jej córka została oddana pod opiekę stryjecznej babki, pani Winifred Prior. Nie udało nam się skontaktować ani z panią Prior, ani z matką Aimee Griffen, panią Iris Griffen z Port Ticonderoga.

Ten nieszczęśliwy wypadek to kolejny przykład wskazujący na niewydolność naszej opieki społecznej i potrzebę lepszego prawa, które skuteczniej chroniłoby zagrożone dzieci.

Ślepy zabójca: Dywany

W słuchawce coś brzęczy i trzeszczy. Grzmot czy ktoś podsłuchuje? To jednak publiczny telefon, nie mogą go namierzyć.

Gdzie jesteś? – pyta ona. Nie powinieneś tu dzwonić.

On nie słyszy, żeby oddychała, nie słyszy jej oddechu. Chce, żeby przyłożyła słuchawkę do gardła, ale nie poprosi jej o to, jeszcze nie. Jestem na sąsiedniej ulicy. Parę ulic dalej. Mogę być w parku, tym małym, tym z zegarem słonecznym.

Cóż, nie sądzę...

Wymknij się. Powiedz, że musisz się przewietrzyć.

Spróbuję.

Przy wejściu do parku stoją dwa kamienne słupki, czworokątne, fazowane na szczytach, stylizowane na egipskie. Nie ma tam jednak triumfalnych inskrypcji ani płaskorzeźb przedstawiających klęczących wrogów w kajdanach. Tylko: „Zakaz wałęsania się” i „Trzymać psy na smyczy”.

Chodź, mówi on. Odejdź od latami.

Nie mogę długo zostać.

Wiem. Chodź tutaj. Bierze ją pod ramię i prowadzi; ona drży jak drut na mocnym wietrze.

Tu, mówi on. Nikt nas nie zobaczy. Żadne staruszki spacerujące ze swoimi pudłami.

Żadni policjanci z pałkami, mówi ona. Śmieje się urywanie. Światło lampy sączy się przez liście; lśnią w nim białka jej oczu. Nie powinnam tu przychodzić, mówi. To za duże ryzyko.

Za krzakami stoi kamienna ławka. On okrywa ramiona kobiety swoją marynarką. Stary tweed, stary tytoń, odór spalenizny. Leciutki zapach soli. Tu była jego skóra, przylegała do materiału, a teraz jest tu jej skóra.

Proszę, będzie ci cieplej. A teraz złamiemy regulamin. Będziemy się wałęsać.

A co z trzymaniem psów na smyczy?

To też złamiemy. Nie obejmuje jej. Wie, że ona tego pragnie. Oczekuje tego; z góry wyczuwa dotyk, tak jak ptaki wyczuwają cień. On wyjmuje papierosa. Częstuje ją; tym razem ona bierze. Szybki błysk zapalniczki w ich połączonych dłoniach. Czerwone koniuszki palców.

Trochę większy płomień i zobaczylibyśmy kości, myśli ona. Niczym na prześwietleniu rentgenowskim. Jesteśmy jak mgła, jak lekko zabarwiona woda.

Woda robi, co chce. Zawsze płynie w dół. Jej gardło napelnia się dymem.

Teraz opowiem ci o dzieciach, mówi on.

O dzieciach? Jakich dzieciach?

Kolejna rata. O Zykronie, o Sakiel-Norn.

Ach. Tak.

Są tam dzieci.

Nie mówiliśmy nic o dzieciach.

To niewolnicy. Są niezbędni. Nie dam sobie bez nich rady.

Chyba nie chcę tam żadnych dzieci, mówi ona.

Zawsze możesz mi przerwać. Nikt cię nie zmusza. Możesz odejść, jak mówi policja, kiedy ma się szczęście. Jego głos jest spokojny. Ona nie odchodzi.

On zaczyna: Sakiel-Norn to teraz sterta kamieni, ale kiedyś było kwitnącym centrum handlu i wymiany. Leżało na skrzyżowaniu trzech głównych szlaków lądowych – ze wschodu, z zachodu i z południa. Z północą łączył je szeroki kanał wpadający do morza, znajdował się tam dobrze obwarowany port. Nie pozostały żadne ślady domostw i murów obronnych: po ich zniszczeniu porąbane bloki z kamienia zabrali wrogowie lub obcy, by wykorzystać je w zagrodach dla zwierząt, korytach rzek czy prymitywnych fortach, albo też fale i wiatr zagrzebały je pod wędrującym piaskiem.

Kanał i port wybudowali niewolnicy, co nie dziwi: to niewolnikom Sakiel-Norn zawdzięcza swoją wspaniałość i potęgę. Było jednak znane także z rękodzielnictwa, zwłaszcza tkactwa.

Pieczolowicie strzeżono sekretów farb używanych przez artystów: tkaniny lśniły jak płynny miód, jak zmiażdżone fioletowe winogrona, jak kielich byczej krwi rozlanej w słońcu. Delikatne woalki były subtelne niczym pajęczyny, dywany zaś tak miękkie i lekkie, że człowiek miał wrażenie, iż stąpa po powietrzu, powietrzu stworzonym, by przypominało kwiaty i płynącą wodę.

To bardzo poetyckie, mówi ona. Zdumiewasz mnie.

Potraktuj to jak dom towarowy. Kiedy się nad tym zastanowić, to po prostu luksusowe towary. Wtedy to mniej poetyckie.

Dywany tkali niewolnicy, zawsze dzieci, gdyż tylko dziecięce palce były na tyle drobne, by poradzić sobie z tak zawiłą robotą. Jednak nieustająca uważna praca, wymagana od dzieci, powodowała, że ślepy w wieku lat ośmiu lub dziewięciu, a ich ślepotą była miarą, którą sprzedawcy dywanów wyceniali i zachwalali swój towar: Ten dywan oślepił dziesięcioro dzieci, mawiali. Ten dziesięcioro, ten dwadzieścioro. Ponieważ od tego zależały ceny, zawsze przesadzali. Zwykle kupujący żartowali sobie z ich przechwałek. Z pewnością tylko siedmioro, tylko dwanaścioro, tylko szesnaścioro, mawiali, dotykając dywanu. Szorstki jak ścierka. Przypomina żebracze posłanie. Utkął go *gnarr*.

Gdy dzieci ślepy, sprzedawano je właścicielom burdeli, zarówno dziewczyn-

ki, jak i chłopców. Za usługi oślepych dzieci żądano wysokich kwot; mawiano, że ich dotyk jest tak niezwykle delikatny i zręczny, że pod ich palcami można poczuć, jak ze skóry wyrastają kwiaty i wypływa woda.

Dzieci umiały także otwierać zamki. Te, które uciekły, zajęły się zawodowo podrzynaniem gardeł w ciemnościach, istniało bowiem wielkie zapotrzebowanie na płatnych zabójców. Ich słuch był bardzo wyostrzony, potrafiły poruszać się bezszelestnie i przeciskać przez najmniejsze otwory, potrafiły wyczuć różnicę między pogrążonymi w głębokim śnie i tymi, którzy spali niespokojnie. Zabijały tak delikatnie, jak ćma uderza skrzydłami o szyję człowieka. Uważano, że nie znają litości. Bardzo się ich obawiano.

Dzieci – tkając nie kończące się dywany, gdy jeszcze widziały – opowiadały sobie historie dotyczące swojego przyszęłego życia. Krążyło między nimi powie-dzenie, że tylko ślepcy są wolni.

To zbyt smutne, szepcze ona. Dlaczego opowiadasz mi taką smutną historię?

Teraz jeszcze bardziej pogrążyli się w cieniu. Jego ręce w końcu ją obejmują. Powoli, myśli on. Żadnych gwałtownych ruchów. Skupia się na swoim oddechu.

Opowiadam ci historie, w których jestem dobry, mówi. Takie, w które uwier-rzysz. Nie uwierzyłybyś w przesłodzone głupoty, prawda?

Nie. Nie uwierzyłabym.

Poza tym to nie do końca smutna historia – niektóre dzieci uciekły.

Żeby podrzynać gardła.

Nie miały wyboru, prawda? Nie mogły zostać sprzedawcami dywanów ani właścicielami burdeli. Nie miały pieniędzy. Musiały więc zabrać się do brudnej roboty. Miały pecha.

Przezań, mówi ona. To nie moja wina.

Moja też nie. Powiedzmy, że spadły na nas grzechy ojców.

To niepotrzebne okrucieństwo, cedzi ona zimno.

A kiedy okrucieństwo jest potrzebne, pyta on. I ile okrucieństwa? Poczytaj gazety, to nie ja wymyśliłem świat. Jednakże stoję po stronie podrzynających gardła. Gdybyś musiała podrzynać gardła albo głodować, co byś zrobiła? Albo pieprzyć się, żeby przeżyć, zostaje jeszcze to.

Teraz posunął się za daleko. Okazał swój gniew. Ona odsuwa się od niego. Wystarczy już, mówi. Muszę wracać. Liście wokół nich drżą niespokojnie. Ona wyciąga rękę wewnętrzną stroną do góry; spada kilka kropel deszczu. Grzmot słyhać bliżej. Ona zsuwa jego marynarkę z ramion. Nie pocałował jej; nie zro-bi tego, nie dzisiaj. Ona odbiera to jak reprimendę.

Stań w oknie, mówi on. W oknie swojej sypialni. Zostaw zapalone światło. Po prostu tam stój.

Poruszył ją. Po co? Po co, na litość boską?

Bo chcę, żebyś stanęła. Chcę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, dodaje, chociaż bezpieczeństwo nie ma z tym nic wspólnego.

Spróbuję, zgadza się ona. Tylko na chwilę. Gdzie będziesz?

Pod drzewem. Pod kasztanem. Nie zobaczysz mnie, ale będę tam stał.

Wie, które to okno, myśli ona. Wie, jakie to drzewo. Musiał się zacząć. Obserwować ją. Drży lekko.

Pada, mówi. Będzie łało. Zmokniesz.

Nie jest zimno, odpowiada on. Poczekam.

The Globe and Mail, 19 lutego 1998

Prior. Winifred Griffen. Zmarła w wieku dziewięćdziesięciu dwu lat, w swoim domu w Rosedale, po długiej i ciężkiej chorobie. W osobie pani Prior, znanej filantropki, Toronto straciło jedną z najlojalniejszych i długoletnich donatorek. Pani Prior, siostra zmarłego przemysłowca Richarda E. Griffena i szwagierka wybitnej pisarki Laury Chase, zasiadała w zarządzie Orkiestry Symfonicznej Toronto, gdy ją zakładano, a ostatnio w Ochotniczym Komitecie Galerii Sztuki w Ontario i Kanadyjskim Stowarzyszeniu do Walki z Rakiem. Działała też aktywnie w Klubie Granitowym, Klubie Helikońskim, Lidze Juniorów i zarządzie Festiwalu Teatralnego Dominion^{1}. Pozostawiła stryjeczną w nuczce Sabrinę Griffen, obecnie podróżującą po Indiach. Msza święta odbędzie się we wtorek rano w kościele Świętego Szymona Apostoła, po czym nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz. Zamiast kwiatów uprasza się o datki na szpital Księżnej Małgorzaty.

Ślepy zabójca: Serce nakreślone szminką

Ile mamy czasu? – pyta on.

Mnóstwo, odpowiada ona. Wszyscy gdzieś poszli.

Co robią?

Nie wiem. Zarabiają pieniądze. Kupują rzeczy. Dobre uczynki. Cokolwiek. Zakłada pasmo włosów za ucho, prostuje się. Czuje się gotowa na każde wezwanie, na gwizdnięcie. Wstyd jej. Czyj to samochód? – pyta.

Przyjaciela. Jestem ważną osobą, mam przyjaciela z samochodem.

Żartujesz sobie ze mnie, mówi ona. On nie odpowiada. Ona ciągnie za palce rękawiczki. A jeśli ktoś nas zobaczy?

Zobaczą tylko samochód. To wrak, auto dla biedoty. Nawet gdyby patrzyli wprost na ciebie, nie zauważą cię, bo nikt nie spodziewa się takiej kobiety w takim samochodzie.

Czasem nie bardzo mnie lubisz, mówi ona.

Ostatnio prawie nie myślę o niczym innym, odpowiada on. Ale lubienie to co innego. Lubienie wymaga czasu. Nie mam czasu cię lubić. Nie mogę się na tym skupiać.

Nie tutaj, mówi ona. Spójrz na znak.

Znaki są dla innych, mówi on. Tu – właśnie tu.

Ścieżka to w zasadzie bruzda. Wyrzucone chusteczki, papierki po gumach do żucia, zużyte prezerwatywy jak rybie pęcherze moczowe. Butelki i kamyki; wyschnięte błoto, popękane i poorane bruzdami. Ona ma nieodpowiednie buty, nieodpowiednie obcasy. On ją obejmuje, pomaga jej utrzymać równowagę. Ona wykonuje taki ruch, jakby chciała się odsunąć.

Właściwie to otwarta przestrzeń. Ktoś zobaczy.

Jaki ktoś? Jesteśmy pod mostem.

Policja. Przestań. Jeszcze nie.

Policja nie węszy w świetle dnia, mówi on. Tylko w nocy, z latarkami, szuka bezbożnych zbrojeńców.

No to włóczędzy, mówi ona. Wariaci.

Tu, mówi on. Pod tym. W cieniu.

Jest tu trujący bluszcz?

Ależ nie. Daję słowo. Nie ma też włóczęgów ani wariatów, z wyjątkiem mnie.

Skąd wiesz? O tym trującym bluszczu. Byłeś tu już kiedyś?

Nie przejmuj się tak, mówi on. Połóż się.

Zostaw. Podrzesz to. Poczekaj chwilę.

Słyszysz własny głos. To nie jej głos, jest zbyt zdyszany.

Na cemencie widnieje serce narysowane szminką, otaczające dwa inicjały. Łączy je M: M jak miłość. Tylko zainteresowani wiedzą, czyje to inicjały – to, że tu byli, że to zrobili. Ogłosili miłość, zataili szczegóły.

Na zewnątrz serca cztery inne litery, jak cztery strzałki kompasu:

S E

K S

Rozzerwane słowo, rozwarte: nieprzejednana topografia seksu.

Na jego ustach czuć dym, w jej sól; wokół nich zapach zmiążdżonych wodorostów i kotów, opuszczonych zaułków. Wilgoć i przyrost, ziemia na kolanach, brudna i soczysta; długonogie słoneczniki wyciągające się ku słońcu.

Poniżej miejsca, gdzie leżą, szmer strumienia. Nad nimi liściaste gałęzie, cienkie winorośle o fioletowych kwiatach; wznoszące się wysokie filary mostu, żelazne dźwigary, koła przejeżdżające nad głową; rozłupane błękitne niebo. Twarda ziemia pod jej plecami.

On gładzi jej czoło, wodzi palcem wzdłuż jej policzka. Nie powinnaś mnie wielbić, mówi. Nie mam jedynego kutasa na świecie. Pewnego dnia to odkryjesz.

Nie o to chodzi, odpowiada ona. A poza tym wcale cię nie wielbię. On już ją odpycha, w przyszłość.

Cóż, cokolwiek to jest, dostaniesz tego więcej, kiedy tylko przestanę jeździć ci po głowie.

O co ci właściwie chodzi? Nie jeździsz mi po głowie.

O to, że istnieje życie po życiu. Po naszym życiu.

Porozmawiajmy o czymś innym.

Dobrze, mówi on. Połóż się znowu. Oprzyj tu głowę. Odsuwa wilgotną koszulę. Obejmuje ją jedną ręką, a drugą myszkuje w kieszeni w poszukiwaniu papierosów, po czym zapala zapalną o kciuk. Jej ucho we wgłębieniu jego ramienia.

Na czym skończyłem? – pyta on.

Na tkaczach dywanów. Na ślepych dzieciach.

Ach tak. Pamiętam.

On mówi: Bogactwo Sakiel-Norn opierało się na niewolnikach, zwłaszcza na dzieciach, które tkwały słynne dywany. Ale mówienie o tym przynosiło pecha. Snilfardowie twierdzili, że ich bogactwo zależy nie od niewolników, lecz od ich własnych cnót i słusznego myślenia – to jest od właściwych ofiar składanych

bogom.

Bogów było mnóstwo. Bogowie zawsze się przydają, usprawiedliwiają niemal wszystko, i bogowie Sakiel-Norn nie stanowili wyjątku. Wszyscy byli mięsożerni; lubili ofiary ze zwierząt, ale najbardziej cenili sobie ludzką krew. Gdy zakładano miasto, tak dawno temu, że przeszło to do legendy, dziewięciu pobożnych ojców podobno poświęciło swoje córki i zgodziło się, by zakopano je jako święte strażniczki pod dziewięcioma bramami.

Po każdej z czterech stron świata znajdowały się dwie bramy, jedna wyjściowa, a druga wejściowa: wychodzenie tymi samymi wrotami, którymi się weszło, wróżyłoby przedwczesną śmierć. Drzwi dziewiątej bramy były poziomą marmurową płytą na szczycie wzgórza w centrum miasta; otwierała się ona bez ruchu i kołysała między życiem a śmiercią, między ciałem a duchem. Tędy wchodzili i wychodzili bogowie: oni nie potrzebowali dwóch bram, gdyż w przeciwieństwie do śmiertelników mogli znajdować się po obu stronach jednocześnie. Prorocy z Sakiel-Norn mawiali: Co jest prawdziwym oddechem człowieka – wydech czy wdech? Taka była natura bogów.

Ta dziewiąta brama była jednocześnie ołtarzem, na którym przelewała się ofiarna krew. Chłopców ofiarowywano Bogu Trzech Słońc: bogu dnia, jasnych światła, pałaców, uczt, pieców, wojen, alkoholu, wejść i słów; dziewczynki zaś Bogini Pięciu Księżyców, patronce nocy, mgieł i cieni, głodu, jaskiń, narodzin, wyjść i milczenia. Chłopcom maczugą roztrzaskiwano czaszki na ołtarzu i wrzucano ich w usta boga, które prowadziły do rozpalonego pieca. Dziewczynkom podrzynano gardła, a ich krew spływała, zasilając pięć ubywających księżyców, żeby nie zbladły i nie zniknęły na zawsze.

Każdego roku składano w ofierze dziewięć dziewczynek ku czci dziewięciu dziewcząt pochowanych u bram miasta. Te ofiary znano jako „dziewice Bogini”, ofiarowywano im modły, kwiaty i kadzidła, by wstawiały się u bogów za żywymi. Ostatnie trzy miesiące w roku nazywano „miesiącami bez twarzy”; nie rosły wtedy żadne rośliny uprawne, a Bogini podobno pościła. W tym czasie rządził Bóg Słońca, miłośnik wojny i pieców, a matki chłopców przebierały swoje dzieci za dziewczynki, dla ich własnego dobra.

Prawo stanowiło, że najszlachetniejsze snilfardzkie rodziny muszą poświęcić przynajmniej jedną z córek. Zniewagą dla Bogini było ofiarowanie córki ze skazą lub wadą i wkrótce Snilfardowie zaczęli okaleczać swoje dziewczęta, by je oszczędzić; odcinali im kawałek palca, płatek ucha albo inną drobną część ciała. Po pewnym czasie okaleczenie stało się symboliczne: prostokątny niebieski tatuaż na dekolcie. Nie-Snilfardki za posiadanie takiego kastowego znaku karano śmiercią, ale właściciele burdeli, zawsze żądni zarobku, rysowali go atramentem na najmłodszych kurwach o pozorach szlachetności. Działo to na klientów, którzy chcieli się czuć tak, jak gdyby krzywdzili jakąś błękitnokrwistą snilfardzką księżniczkę.

W tym samym czasie Snilfardowie zaczęli adoptować podrzutki – przeważnie potomstwo niewolnic i ich panów – i zastępować nimi prawowite córki. To było oszustwo, ale arystokratyczne rodziny miały wielkie wpływy, więc władze przymykały na to oczy.

Wtedy arystokracja jeszcze bardziej się rozleniwiała. Nie chciała już zwracać sobie głowy wychowywaniem dziewcząt we własnych domach, więc po prostu oddawała je do Świątyni Bogini, hojnie płacąc za opiekę. Ponieważ dziewczynka nosiła rodowe nazwisko, uznawano, że rodzina dopełniła obowiązku ofiary. Przypominało to posiadanie konia wyścigowego. Ta praktyka stanowiła zdegenerowaną wersję szlchetnego oryginału, ale wtedy już wszystko w Sakiel-Norn było na sprzedaż.

Poświęcone dziewczęta zamykano na terenie świątyni, karmiono najlepszą żywnością, by rosły piękne i zdrowe, i rygorystycznie przygotowywano na nadjeście wielkiego dnia – aby zdołały odprawić swoje obowiązki przyzwoicie i bez strachu. Teoria głosiła, że idealna ofiara powinna przypominać taniec: majestatyczna i liryczna, harmonijna i szlchetna. Dziewczęta nie były zwierzętami, żeby je okrutnie zarznąć; powinny dobrowolnie oddać życie. Wiele wierzyło w to, co im mówiono: że dobro całego królestwa zależy od ich bezinteresowności. Spędzały mnóstwo godzin na modlitwach, wprowadzając się w odpowiedni stan; uczono je spacerować z opuszczonymi powiekami, uśmiechać się z łagodną melancholią i śpiewać pieśni Bogini, pieśni o nieobecności i ciszy, o niespełnionej miłości, nie wyrażonym żalu i o braku słów – pieśni o niemożności śpiewania.

Minęło jeszcze więcej czasu. Teraz jedynie nieliczni poważnie traktowali bogów, a każdy nadmiernie pobożny i przestrzegający rytuałów obywatel był uważany za szaleńca. Mieszkańcy miasta nadal odprawiali dawne rytuały, bo zawsze to robili, ale tak naprawdę miasto już się tym nie przejmowało.

Mimo izolacji niektóre z dziewcząt zaczęły rozumieć, że morduje się je bez potrzeby, ze względu na przestarzały zwyczaj. Kilka usiłowało zbiec na widok noża. Inne wrzeszczały, gdy łapano je za włosy i wyginano na ołtarzu, jeszcze inne przeklinały samego króla, który przy tych okazjach pełnił rolę najwyższego kapłana. Jedna go nawet ugryzła. Ludzie nie lubili tych pojawiających się co jakiś czas przejawów paniki i wściekłości, gdyż ściągały na miasto straszliwe nieszczęścia. Albo ściągnęłyby, gdyby istniała Bogini. Tak czy inaczej, takie wybuchy mogły popsuć uroczystości: wszyscy lubili ofiary, nawet Ygnirodzi, nawet niewolnicy, bo dostawali dzień wolny i mogli się upić.

Wobec tego zaczęto praktykować obcinanie dziewczętom języków trzy miesiące przed złożeniem ofiary. To nie okaleczenie, mówili kapłani, lecz ulepszenie – cóż mogłoby być bardziej odpowiednie dla służek Bogini Milczenia?

I tak, pozbawioną języka, spuchniętą od słów, których nigdy nie będzie już mogła wypowiedzieć, osłoniętą welonem i przybraną kwiatami dziewczynkę,

prowadzono w procesji w takt poważnej muzyki na kręte schody wiodące do dziewiątej bramy miasta. W obecnych czasach można by powiedzieć, że dziewczynka wyglądała jak rozpieszczona panna młoda z towarzystwa.

Ona siada. To naprawdę niepotrzebne, mówi. Chcesz się do mnie przyczepić. Podoba ci się pomysł zabijania tych biednych dziewcząt w ślubnych strojach. Założę się, że były blondynkami.

Nie do ciebie, mówi on. Nie do ciebie w szczególności. Poza tym nie wszystko sobie wymyśliłem, to ma silne korzenie w historii. Hetyci...

Na pewno, ale i tak oblizujesz się na myśl o tym. Jesteś mściwy – nie, za-zdrosny, choć Bóg wie czemu. Nie obchodzi mnie Hetyci, historia ani to wszystko – to tylko pretekst.

Chwileczkę. Zgodziłaś się na ofiarę z dziewic, włączyłaś je do menu. Ja tylko wypełniam polecenie. O co ci chodzi – o garderobę? Za dużo tiulu?

Nie kłóćmy się, mówi ona. Czuje, że wybuchnie płaczem, zaciska dłonie, żeby się powstrzymać.

Nie chciałem ci zrobić przykrości. Chodź tutaj.

Odpycha jego rękę. Chciałeś mi zrobić przykrość. Lubisz wiedzieć, że możesz.

Myślałem, że cię to bawi. Słuchanie, jak opowiadam. Żongluję przymiotnikami. Błaznuję dla ciebie.

Ona obciąga spódnice, wkłada w nią bluzkę. Martwe dziewczęta w ślubnych welonach, dlaczego miałyby mnie to bawić? Z obciętymi językami. Uważasz, że jestem brutalna?

Cofnę to. Zmienię. Napiszę dla ciebie nową historię. Co ty na to?

Nie możesz, mówi ona. Słowo się rzekło. Nie możesz cofnąć nawet połowy zdania. Idę. Teraz klęczy, gotowa wstać.

Mamy mnóstwo czasu. Połóż się. Łapie ją za przegub.

Nie. Puść. Popatrz, gdzie jest słońce. Wkrótce wrócą. Mogę mieć kłopoty, chociaż pewnie dla ciebie coś takiego to żadne kłopoty: to się nie liczy. Tobie nie zależy – chcesz tylko szybkiego, szybkiego...

Dalej, wyduś to z siebie.

Wiesz, o co mi chodzi, mówi ona zmęczonym głosem.

To nieprawda. Przepraszam. To ja jestem brutalny, poniosło mnie. Ale w końcu to tylko opowieść.

Ona opiera czoło o kolana. Po chwili mówi: Co zrobić? Potem – kiedy już cię tu nie będzie?

Dasz sobie radę, mówi on. Przeżyjesz. Chodź, otrzępię cię.

To nie zejdzie, nie od otrzepywania.

Zapnij guziki, mówi on. Nie bądź smutna.

Biuletyn Liceum im. Pułkownika Henry'ego Parkmana i Stowarzyszenia Absolwentów, Port Ticonderoga, maj 1998

NAGRODA IMIENIA LAURY CHASE

MYRA STURGESS,
WICEPREZES STOWARZYSZENIA ABSOLWENTÓW

Liceum im. Pułkownika Henry'ego Parkmana otrzymało nową cenną nagrodę dzięki hojnemu darowi i zmarłej pani Winifred Griffen Prior z Toronto. Pamięamy jej słynnego brata Richarda E. Griffena, gdyż często spędzał wakacje w Port Ticonderoga i chętnie pływał po naszej rzece. Nagroda imienia Laury Chase za twórczość, w wartości dwustu dolarów, zostanie wręczona uczniowi ostatniej klasy za najlepsze opowiadanie, które ocenią trzej członkowie Stowarzyszenia Absolwentów, mając na uwadze w wartości literacką, a także wartości moralne. Dyrektor, pan Eph Evans, mówi: „Jesteśmy wdzięczni, że pani Prior pamiętała także o nas wśród swoich rozlicznych działań charytatywnych”.

Nazwana tak na cześć znanej miejscowej pisarki Laury Chase, pierwsza nagroda zostanie wręczona po czerwcowych maturach. Siostra pisarki, pani Iris Griffen – z tak niegdyś zasłużonej dla naszego miasta rodziny Chase'ów – zgodziła się wręczyć ją szczęśliwemu zwycięzcy. Zostało już niewiele tygodni, więc każcie swoim twórczym dzieciom zakasać rękawy i do roboty!

Stowarzyszenie Absolwentów sponsoruje podwieczorek w szkole tuż po maturach, bilety można kupić u Myry Sturgess w Piernikowej Chatce, dochód przeznaczony zostanie na nowe stroje piłkarskie, z pewnością niezbędne! Mile widziane będą darowizny w postaci ciast, prosimy o zaznaczenie, jeśli znajdują się w nich orzechy.

III

Ceremonia

Tego ranka obudziłam się z uczuciem przerażenia. Początkowo nie wiedziałam, skąd się wzięło, ale potem sobie przypomniałam. Dziś był dzień wręczenia nagrody.

Świeciło słońce, a w pokoju już zrobiło się za ciepło. Światło sączyło się przez firanki, wisiało w powietrzu jak osad w stawie. Miałam wrażenie, że moja głowa to worek pełen bezkształtnej masy. Nadal w koszuli nocnej, mokra ze strachu, który odsunęłam na bok jak listowie, dźwignęłam się i wstałam ze skotłowanego łóżka, po czym zmusiłam się do codziennych porannych rytuałów – obrzędów odprowadzających, by wyglądać przytomnie i do przyjęcia w oczach innych ludzi. Trzeba przyglądać włosy po tych zjawach, przez które stanęły dęba w nocy, zmyć z oczu wyraz zdumionego niedowierzania. Wyczyścić zęby, czy raczej to, co z nich zostało. Bóg wie, jakie kości przeżuwałam we śnie.

Potem weszłam pod prysznic, trzymając się uchwytu, w który wrobiła mnie Myra, i uważając, żeby nie upuścić mydła: boję się pośliznąć. Trzeba jednak obmyć ciało, pozbyć się ze skóry zapachu ciemności nocy. Podejrzewam, że wydaję z siebie fetor, którego nie potrafię już wyczuć – odór stęchłego ciała i mętnych, starczych sików.

Wysuszona, nasmarowana balsamem i upudrowana, opryskana jak pleśń, w pewnym sensie byłam odświeżona. Pozostało jednak wrażenie nieważkości albo raczej balansowania na krawędzi urwiska. Za każdym razem, gdy wysuwam nogę, stawiam ją na próbę, jak gdyby podłoga mogła się pode mną załamać. Trzyma mnie wyłącznie napięcie powierzchniowe.

Włożenie ubrania pomogło. Nie najlepiej czuję się bez rusztowania. (Co się jednak stało z moim prawdziwym ubraniem? Z pewnością te bezkształtne pastele i ortopedyczne buty należą do kogoś innego. Są jednak moje; co gorsza, do mnie pasują).

Teraz kolej na schody. Potwornie boję się z nich stoczyć – złamać kark, leżąc rozkraczona z bielizną na wierzchu, a potem rozpuścić się w gnijącą kałużę, zanim komukolwiek przyjdzie do głowy przyjść i mnie poszukać. To byłaby śmierć pozbawiona gracji. Zmagałam się z każdym stopniem, ściskając poręcz; później ruszyłam korytarzem do kuchni, a palce mojej lewej ręki muskały ścianę niczym wąsy kota. (Jeszcze dość dobrze widzę. Jeszcze chodzę. Bądźmy wdzięczni za drobne łaski, mawiała Reenie. Dlaczego mamy być wdzięczni? – pytała Laura. Dlaczego te łaski są takie drobne?).

Nie miałam ochoty na śniadanie. Wypiłam szklankę wody, a przez resztę czasu

się denerwowałam. O wpół do dziesiątej przyszedł po mnie Walter.

– Wystarczająco ciepło? – spytał. To jego typowe powitanie. Zimą pyta, czy jest wystarczająco zimno. Mokro i sucho – na wiosnę i jesienią.

– Jak się masz, Walterze? – zapytałam go jak zawsze.

– Nie rozrabiam – odparł jak zawsze.

– To najlepsze, czego można od nas oczekiwać – powiedziałam. Przesłał mi swoją wersję uśmiechu – cienką rysę na twarzy, jak zasychające błoto – otworzył przede mną drzwi samochodu i posadził mnie na siedzeniu dla pasażera.

– Dziś wielki dzień, co? – stwierdził. – Zapnij pasy, bo mnie aresztują.

Powiedział „zapnij pasy”, jakby to był jakiś dowcip; ma dość lat, żeby pamiętać dawne, bardziej bez troskie czasy. Był jednym z tych młodzieńców, którzy prowadzili samochód z jedną ręką wystawioną za okno, a drugą na kolanie dziewczyny. Zdumiewające, kiedy się pomyśli, że to Myra była jego dziewczyną.

Ostrożnie zjechał z krawężnika i ruszyliśmy przed siebie w milczeniu. Walter to potężny mężczyzna – kanciasty jak postument, z szyją, która jest nie tyle szyją, ile dodatkowym ramieniem; wydziela całkiem przyjemny zapach znoszonych skórzanych butów i benzyny. Z jego koszuli w kratę i czapki baseballowej wnioskuję, że nie zamierza się pojawić na ceremonii rozdania świadectw. Nie czytuje książek, co stawia nas oboje w wygodniejszej sytuacji: dla niego Laura to moja siostra, szkoda, że nie żyje, i tyle.

Powinna być wyjść za kogoś takiego jak Walter. Kogoś o zręcznych rękach.

Nie: za nikogo nie powinnam być wychodzić. To by nam oszczędziło mnóstwo kłopotów.

Walter zatrzymał samochód przed budynkiem liceum. Szkoła jest powojennie nowoczesna, ma pięćdziesiąt lat, ale dla mnie wciąż wygląda jak nowa: nie mogę przywyknąć do monotonii nijakości. Przypomina skrzynię na towary. Młodzi ludzie i ich rodzice sunęli po chodniku, trawniku i przez frontowe drzwi, ubrani w stroje o wszystkich barwach lata. Myra czekała na nas, krzycząc ze schodów, w białej sukni w wielkie pąsowe róże. Kobiety o tak dużych pupach nie powinny nosić ubrań w olbrzymie kwieciste wzory. Gorsety nie były takie złe, choć nie chciałabym ich powrotu. Fryzura Myry – mocno poskręcane siwe loki – przypominała perukę angielskiego sędziego.

– Spóźniłeś się – powiedziała do Waltera.

– Wcale nie – odparł Walter. – Jeśli tak, to wszyscy inni przyszedli za wcześniej, i tyle. Po co miałaby tu siedzieć i czekać bez końca?

Mają zwyczaj mówić o mnie w trzeciej osobie, jakbym była dzieckiem albo domowym zwierzątkiem.

Walter oddał moje ramię pod opiekę Myry i razem weszliśmy po frontowych schodach niczym zawodnicy w biegu trójnożnym^{2}. Czułam to, co mu-

siała czuć ręka Myry: kruchą kość promieniową pokrytą niedbale owsianką i sznurkiem. Powinnam była wziąć laskę, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że wlokę ją ze sobą na scenę. Ktoś z pewnością by się o nią potknął.

Myra zabrała mnie za kulisy i zapytała, czy chcę skorzystać z toalety – nie zapomina o tym – po czym usadowiła mnie w garderobie.

– A teraz tu zostań – powiedziała.

Po czym wybiegła, z podskakującą pupą, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

Lustro w garderobie oświetlały małe żarówki, jak w teatrach; rzucały pochlebne światło, ale ja nie czułam, że mi pochlebiono: wyglądałam na chorą, moja skóra była pozbawiona krwi, jak mięso namoczone w wodzie. Czy to strach, czy prawdziwa choroba? Z pewnością nie czułam się najlepiej.

Znalazłam grzebień, pobieżnie uczesałam włosy na czubku głowy. Myra wciąż grozi, że zabierze mnie do „swojej dziewczyny”, w miejscu, które wciąż nazywa Salonem Piękności – oficjalna nazwa to Przystań Włosów, ze słowem Unisex jako dodatkową zachętą – ale ja się opieram. Przynajmniej wciąż mogę nazwać swoje włosy własnymi, chociaż sterczą do góry jak porażone prądem. Pod nimi prześwieca goła czaszka, szarawy róż mysich łapek. Jeśli kiedykolwiek znajdę się na silnym wietrze, moje włosy odlecą niczym pyłek dmuchawca, zostawiając jedynie maleńki, dziobaty placek łysej czaszki.

Myra zostawiła mi jedno ze swoich specjalnych ciastek, przygotowanych w pośpiechu na podwieczorek absolwentów – kawałek kitu pokryty czekoladowym mulem – i plastikowy kubek z zakręcaną pokrywką pełen kwaśnej jak ocet kawy. Nie mogłam ani pić, ani jeść, ale po co Bóg stworzył toalety? Zostawiłam kilka okruszków, dla wiarygodności.

Wtedy wpadła Myra, podźwignęła mnie i poprowadziła, a moją ręką potrząsnął dyrektor, mówiąc, jak to miło, że przyszedłam; następnie przekazano mnie zastępcy dyrektora, prezesowi Stowarzyszenia Absolwentów, dyrektorce wydziału anglistyki – kobiecie w garniturze – reprezentantowi Niższej Izby Handlowej, i w końcu miejscowemu posłowi, ponieważ żadne nie chciało mi przepuścić. Nie widziałam tyłu wyszczerzonych i polerowanych zębów od czasów politycznej kariery Richarda.

Myra odprowadziła mnie tylko do krzesła, po czym szepnęła: „Będę za kulisami”. Szkolna orkiestra zaczęła grać, z piskiem i za nisko, i zaśpiewaliśmy *O Kanado!*, której słów nigdy nie pamiętam, bo wciąż je zmieniają. Obecnie część śpiewają po francusku, czego kiedyś się nie słyszało. Usiedliśmy po potwierdzeniu naszej zbiorowej dumy z czegoś, czego nie potrafimy wymówić.

Wtedy szkolny kapelan zmówił modlitwę, wygłaszając przed Bogiem wykład na temat wielu bezprecedensowych wyzwaniań, przed jakimi dzisiaj stają młodzi ludzie. Bóg musiał już to słyszeć i prawdopodobnie był równie znudzony jak

reszta nas. Potem głos zabierali inni: koniec dwudziestego wieku, odchodzi stare, przychodzi nowe, obywatele przyszłości, przekazujemy to na wasze ręce i tak dalej. Moje myśli odpłynęły, rozsądek podpowiadał mi, że oczekuje się ode mnie tylko tego, żebym się nie skompromitowała. Teraz znowu mogłabym się znaleźć obok podium albo na jednej z nie kończących się kolacji, obok Richarda, nie odzywając się ani słowem. Jeśli mnie pytano, rzadko zresztą, odpowiadałam, że moje hobby to ogrodnictwo. Była to w najlepszym wypadku półprawda, choć na tyle nudna, żeby sprostać oczekiwaniom.

Nadszedł czas, by absolwenci odebrali swoje świadectwa. Wychodzili gromadnie, poważni i promieniejący, w wielu rozmiarach, wszyscy tak piękni, jak tylko młodzi potrafią być piękni. Nawet ci brzydki byli piękni, nawet ci ponurzy, ci grubi, ci przyszcaci. Żaden z nich nie potrafił tego zrozumieć – jacy są piękni. Niemniej jednak ci młodzi są irytujący. Ich postawa jest z zasady odpychająca i wnioskując po ich piosenkach, pochlipują i pogrążają się w rozpacz, „rób dobrą minę do złej gry” odeszło w zapomnienie jak fokstrot. Nie rozumieją, jakie mają szczęście.

Ledwie mnie dostrzegali. Dla nich musiałam wyglądać dziwnie, ale przypuszczam, że taki już los starych, że młodzi uważają ich za dziwaków. Chyba że poleje się krew, oczywiście. Wojna, zaraza, morderstwo, jakakolwiek gehenna czy przemoc: to szanują. Krew sprawia, że jesteśmy poważni.

Potem przyszła kolej na nagrody – informatyka, fizyka, bełkot, zarządzanie, literatura angielska, coś, czego nie rozumiałam. Później przedstawiciel Stowarzyszenia Absolwentów odchrząknął i wystąpił z nabożną gadką o Winifred Griffen Prior, świętej w ludzkiej skórze. Jak wszyscy bujają, gdy chodzi o pieniądze! Podejrzewam, że ta stara suka wyobrażała sobie to wszystko, kiedy dawała donację, swoją drogą skąpą. Wiedziała, że upomną się o mnie przy tej okazji; chciała, żebym się wyla pod surowym spojrzeniem miasta podczas wychwalania jej szczodroblewości. „Wydajcie to na moją pamiątkę”. Nie chciałam dać jej tej satysfakcji, ale nie mogłam wymigać się od tego, nie sprawiając przy tym wrażenia, że czuję strach, winę albo przynajmniej obojętność. Gorzej: że zapomniałam.

Nadeszła kolej na Laurę. Polityk wziął na siebie czynienie honorów: to wymagało taktu. Mówił coś o miejscowych korzeniach Laury, jej odwadze, jej oddaniu wybranemu celowi, cokolwiek to miało znaczyć. Ani słowa o tym, jak umarła, choć wszyscy w mieście uważali – wbrew policyjnemu dochodzeniu – że było to samobójstwo, tak jak dwa i dwa jest cztery. I ani słowa o książce, o której większość z nich z pewnością chciała zapomnieć. Nie została jednak zapomniana, nie tutaj: nawet po pięćdziesięciu latach zachowała aurę kamienia milowego i tabu. Moim zdaniem, trudno to zrozumieć: jeśli chodzi o zmysłowość, książka jest staroświecka, podobne przekleństwa słyszy się codziennie na ulicy, a seks jest równie przyzwoity jak tańczący z wachlarzem^{3} – i niemal

tak cudaczny jak pasy do pończoch.

Oczywiście, kiedyś było inaczej. Ludzie pamiętają nie samą książkę, lecz wrzawę wokół niej; duchowni w kościołach napiętnowali ją jako obsceniczną, nie tylko tutaj; bibliotekę publiczną zmuszono do usunięcia jej z półek, jedyna księgarnia w mieście nie chciała jej sprzedawać. Mówiło się o cenzurze. Ludzie wymykali się do Stratfordu, Londynu czy nawet do Toronto i wstydliwie kupowali egzemplarze książki, tak jak się wtedy kupowało prezerwatywy. Zasłaniali okna w domach i czytali, z dezaprobatą, z rozkoszą, z zapalem i radością – nawet ci, którym wcześniej nie przysłoby do głowy sięgnąć po powieść. Nie ma to jak garść brudów, żeby wypromować literaturę.

(Bez wątpienia wygłoszono kilka życzliwych opinii. „Nie mogłam przez to przebrnąć – za mało tam dla mnie akcji. To biedactwo zmarło jednak tak młodo. Może poradziłaby sobie lepiej z inną książką, gdyby nie odeszła”. To najlepsze, co mogli powiedzieć o tej powieści).

Czego oczekiwali od książki? Lubieżności, nieprzyzwoitości, potwierdzenia swoich najgorszych podejrzeń. Może jednak niektórzy z nich chcieli, wbrew sobie, dać się uwieść. Może szukali namiętności, może zagłębili się w tę książkę jak w tajemniczą przesyłkę – pudełko z niespodzianką, gdzie na dnie, schowana pod warstwą szeleszczącego papieru, leży rzecz, której zawsze pragnęli, ale po którą nie mogli nawet sięgnąć.

Chcieli też jednak wskazać palcem na prawdziwych ludzi w książce – to znaczy, oprócz Laury: założyli, że ona w niej występuje. Chcieli prawdziwych ciał, żeby dopasować je do ciał stworzonych dla nich słowami. Chcieli prawdziwej żądy. A przede wszystkim chcieli wiedzieć: kim był ten mężczyzna? Ten w łóżku z młodą kobietą, uroczą, martwą, młodą kobietą; w łóżku z Laurą. Część z nich myślała, że wie, oczywiście. Krążyły plotki. Dla tych, którzy potrafili dodać dwa do dwóch, wszystko było jasne. „Zachowywała się, jak gdyby była czysta jak śnieg. Cicha woda brzegi rwie. To dowodzi tylko, że nie można sądzić książki po okładce”.

Wtedy jednak Laura znajdowała się już poza ich zasięgiem. To mnie mogli dopaść. Zaczęły się anonimowe listy. Dlaczego załatwiłam publikację tych brudów? I to w Nowym Jorku – Wielkiej Sodomie. Taka szmira! Czy nie mam wstydu? Pozwoliłam, by moją rodzinę – tak poważaną – zhańbiono, a razem z nią całe miasto. Laura nigdy nie była zdrowa na umyśle, wszyscy zawsze to podejrzewali, a książka udowodniła. Powinnam była chronić pamięć siostry. Powinnam była przyłożyć zapalną do rękopisu. Patrząc na zamazane głowy, poniżej na widowni – starsze głowy – mogłam sobie wyobrazić opary dawnej złośliwości, dawnej zazdrości, dawnego potępienia, unoszące się nad nimi jak nad stygającymi moczarami.

Co do samej książki, wciąż o niej nie wspominało – usunięto ją z pola widzenia, jak gdyby była jakimś nędznym, hańbiącym krewnym. Taka cienka

książka, taka bezbronna. Niepożądany gość na tej dziwnej uczcie, trzepotała z boku sceny niczym bezradna ćma.

Kiedy tak śniłam na jawie, ktoś szarpnął mnie za ramię, podniósł i wepchnął mi w dłonie kopertę przewiązaną złotą wstążką. Ogłoszono zwyciężczynię. Nie dosłyszałam jej nazwiska.

Podeszła do mnie, jej obcasy stukały o scenę. Była wysoka, te młode dziewczęta są teraz takie wysokie, to pewnie przez coś w jedzeniu. Ubrała się w czarną sukienkę, surową wśród tych letnich kolorów; były w niej srebrne nitki albo koraliki – coś lśniło. Miała długie, ciemne włosy. Owalna twarz, usta pomalowane wiśniową szminką; lekko zmarszczone brwi, skupione, przejęte spojrzenie. Skóra o bladegożółtym albo brązowym odcieniu – czyżby była Hinduską, Arabką albo Chinką? Coś takiego mogło się zdarzyć nawet w Port Ticonderoga; dziś wszyscy są wszędzie.

Moje serce podskoczyło; tęsknota ścisnęła mnie jak skurcz. Pomyślałam, że może moja wnuczka – może Sabrina tak teraz wygląda. Może tak, może nie, skąd mam wiedzieć? Być może bym jej nawet nie poznała. Trzymano ją z dala ode mnie tak długo; sama trzymała się z dala. Cóż można na to poradzić?

– Pani Griffen – wyszczał polityk.

Zachwiałam się, odzyskałam równowagę. Co takiego zamierzałam powiedzieć?

– Moja siostra Laura byłaby zachwycona – wydyszałam do mikrofonu. Mój głos brzmiał piskliwie; pomyślałam, że mogę zemdleć. – Lubiała pomagać ludziom. – To była prawda. Przysięgłam sobie, że nie powiem nieprawdy. – Tak bardzo lubiła czytanie i książki. – Też prawda, do pewnego stopnia. – Życzyłaby ci wszystkiego najlepszego w przyszłości. – I to prawda.

Zdołałam wręczyć jej kopertę; dziewczyna musiała się schylić. Wyszeptałam do jej ucha, czy też może zamierzałam wyszczać: „Niech cię Bóg błogosławi. Bądź ostrożna”. Każdy, kto zamierza bawić się słowami, potrzebuje takiego błogosławieństwa, takiego ostrzeżenia. Czy naprawdę się odezwałam, czy tylko otwierałam i zamykałam usta jak ryba?

Uśmiechnęła się, a drobnutkie świetliste cekiny błysnęły i załśniły na jej twarzy i włosach. To było złudzenie spowodowane moim słabym wzrokiem i światłami sceny, zbyt jasnymi.

Powinłam była założyć ciemne okulary. Stałam tam, mrugając. Wtedy ona zrobiła coś nieoczekiwanego; pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. Przez jej usta czułam fakturę swojej skóry; miękkiej jak rękawiczka z kozłęcia, pomarszczonej, sypiącej się, starej.

Ona także coś wyszczała, ale nie mogłam tego zrozumieć. Czy to było zwykłe dziękuję, czy jakaś inna wiadomość – naprawdę? – w obcym języku? Odwróciła się. Światło płynące od niej było tak oślepiające, że musiałam zamknąć oczy. Nic nie słyszałam, nie mogłam nic zobaczyć. Ciemność podeszła bliżej.

Aplauz niczym łopoczące skrzydła zbombardował moje uszy. Zatoczyłam się i prawie upadłam. Jakiś czujny porządkowy złapał mnie za ramię i posadził z powrotem na moim miejscu. Z powrotem w mroku. Z powrotem w długim cieniu rzucanym przez Laurę. Ale stara rana się otworzyła, wypływa z niej niewidzialna krew. Wkrótce całkiem się opróżnię.

Srebrne pudełko

Pokazują się pomarańczowe tulipany, zmięte i obszarpane jak maruderzy z jakiejś powracającej armii. Witam je z ulgą, jak gdybym machała ze zbombardowanego budynku; w końcu muszą sobie radzić, jak mogą, bez mojej specjalnej pomocy. Czasem grzebię w ruinach ogrodu na tyłach domu, usuwając suche łądygi i opadłe liście; to jednak wszystko, co robię. Nie bardzo mogę już klękać, nie mogę grzebać w ziemi.

Wczoraj poszłam do lekarza, żeby dowiedzieć się czegoś o tych zawrotach głowy. Powiedział mi, że cierpię na coś, co nazywają sercem, zupełnie jak gdyby zdrowi ludzie tego nie mieli. Wygląda na to, że mimo wszystko nie będę żyła wiecznie, jedynie robiąc się coraz mniejsza, bardziej szara i zakurzona, jak Sybilla w swojej butli. Wyszepławszy tak dawno temu: „Chcę umrzeć”, teraz uświadamiam sobie, że to życzenie rzeczywiście się spełni, raczej wcześniej niż później. Nieważne, że zmieniłam zdanie w tej sprawie.

Otuliłam się szalem, żeby usiąść na zewnątrz, w cieniu okapu werandy, z tyłu, przy pokierszowanym drewnianym stole, który kazałam Walterowi przynieść z garażu. Były tam zwykłe rzeczy, pozostałości po poprzednich właścicielach: kolekcja puszek wyschniętej farby, sterta asfaltowych płytek do pokrywania dachu, słoik w połowie wypełniony zardzewiałymi gwoździami, zwój drutu. Zmumifikowane wróble, mysie gniazda w materacu. Walter wymyślił garaż, ale wciąż czuć go myszami.

Przed sobą mam filiżankę herbaty, jabłko pokrojone na ćwiartki i blok papieru w niebieskie paski, jak niegdyś męskie piżamy. Kupiłam też nowy długopis, tani, z czarnego plastiku, z kulkową końcówką. Pamiętam swoje pierwsze wieczne pióro, jakie było eleganckie, jak atrament plamił moje palce na niebiesko. Zrobiono je z bakelitu, ozdobiono srebrem. Był wtedy rok 1929. Miałam trzynaście lat. Laura pożyczyła to pióro – bez pytania, tak jak wszystko – po czym złamała je, bez wysiłku. Przebaczyłam jej, oczywiście. Zawsze jej przebaczałam; musiałam, gdyż byłyśmy tylko my dwie. Tylko dwie na naszej otoczonej cierniami wyspie, czekające na ratunek; wszyscy inni byli na łądzie.

Dla kogo ja to piszę? Dla siebie? Raczej nie. Nie wyobrażam sobie siebie czytającej to później, skoro „później” stało się problematyczne. Dla kogoś obcego, w przyszłości, po mojej śmierci? Nie mam takich ambicji ani takiej nadziei.

Może piszę dla nikogo. Może dla tej samej osoby, dla której piszą dzieci, kiedy gryzmołą swoje imiona na śniegu.

Brak mi dawnej szybkości. Moje palce są sztywne i niezdarne, długopis drży

i przeskakuje, nadanie kształtu słowom zajmuje mi dużo czasu. A jednak nie przestaje, przygarbiona, jak gdybym szła w świetle księżyca.

Gdy patrzę w lustro, widzę starą kobietę; albo nie starą, bo teraz nikomu nie wolno już być starym. Wobec tego starszą. Czasem widzę starszą kobietę, tak mogłaby wyglądać babka, której nigdy nie znałam, albo moja matka, gdyby dożyła tego wieku. Czasem jednak widzę twarz młodej dziewczyny, twarz tak kiedyś przeze mnie zmienianą i nielubianą, teraz zatopioną i unoszącą się tuż pod powierzchnią mojej obecnej twarzy, która wydaje się – zwłaszcza popołudniami, gdy światło pada z boku – tak luźna i przezroczysta, że mogłabym ją ściągnąć jak pończochę.

Lekarz mówi, że powinnam spacerować – każdego dnia, twierdzi, dla serca. Wołałabym nie. Nie niepokoi mnie perspektywa spacerowania, lecz wychodzenia; czuję się wystawiona na pokaz. Czy tylko to sobie wyobrażam, gapienie się, szept? Może tak, może nie. W końcu jestem elementem miejscowego krajobrazu, jak pełna cegieł wolna działka budowlana, na której kiedyś stał jakiś ważny budynek.

Kusi, żeby zostać w środku; zamienić się w odludka, wyszydzanego przez dzieci z sąsiedztwa, ale i traktowanego z odrobiną respektu; dopuścić do tego, by wyrósł żywopłot i chwasty, by bramy pokryły się rdzą; leżeć we własnym łóżku, w jakimś sukniopodobnym stroju i pozwolić, by włosy urosły i rozsypały się na poduszce, paznokcie zamieniły się w szpony, a stearyna ze świecy skąpy wała na dywan. Dawno temu dokonałam jednak wyboru między klasycyzmem a romantyzmem. Wolę być sprawiedliwa i opanowana – urna w świetle dnia.

Może nie powinnam była tu wracać. Wtedy jednak nie potrafiłam myśleć o żadnym innym miejscu zamieszkania. Jak mawiała Reenie: Lepsze zło, które się zna.

Dzisiaj zdobyłam się na wysiłek. Wyszłam, spacerowałam. Doszłam aż do cementarza; trzeba mieć cel tych – w innym wypadku nierozsądnych – wycieczek. Włożyłam swój słomkowy kapelusz z szerokim rondem, żeby się ukryć przed spojrzzeniami, i ciemne okulary; wzięłam też laskę, żeby wyczuć krawężniki. A także plastikową torbę.

Szłam Erie Street, minęłam pralnię chemiczną, zakład fotograficzny i kilka innych sklepów na głównej ulicy, te, które zdołały przetrwać дренаż spowodowany otwarciem centrów handlowych na obrzeżach miasta. Dalej jest Berek Betty, znów należy do kogoś innego; prędzej czy później jego właściciele nudzą się, umierają albo wynoszą na Florydę. Teraz jest tam ogród na patiu, gdzie turyści mogą usiąść w słońcu i spiec się na raka; znajduje się na tyłach, ten mały kwadrat popękanego cementu, na którym wcześniej stały pojemniki ze śmieciami. Sprzedają tortellini i cappuccino, co ogłaszają wielkimi literami w oknie, jak

gdyby wszyscy w mieście wiedzieli co to takiego. Cóż, teraz już wiedzą; spróbowali, choćby po to, żeby mieć prawo do narzekań: „Nie potrzebuję tego puchu w kawie. Wygląda jak pianka do golenia. Jeden łyk i człowiek się spienia”.

Kiedyś specjalnością lokalu była potrawka z kurczaka, ale to już przeszłość. Teraz są hamburgery, ale Myra mówi, żeby ich unikać. Twierdzi, że używają do nich mrożonych kotletów z mięsnych resztek. Mówi, że to resztki zeszkrobane z podłogi po rozczłonkowaniu zamrożonej krowy piłą elektryczną. Myra czyta mnóstwo czasopism u fryzjera.

Na cmentarz prowadzi brama z kutego żelaza ze skomplikowanym sklepionym łukiem w kształcie ślimacznicy i napisem: „Chciałbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną”. Tak, we dwójkę można mieć złudne poczucie bezpieczeństwa; ale Ty to szczwana postać. Każde Ty, które znalazłam, w jakiś sposób zaginęło. Wyjeżdżają z miasta, okazują się wredni albo padają jak muchy, a co wtedy z tobą?

Trafiasz właśnie tutaj.

Trudno nie zauważyć rodzinnego grobowca Chase’ów; góruje nad wszystkimi innymi. Są na nim dwa anioły z białego marmuru, wiktoriańskie, sentymentalne, ale całkiem dobrze wykonane jak na tego rodzaju rzeźbę, na wielkim kamiennym sześcianie z rogami w kształcie ślimacznicy. Pierwszy anioł stoi, głowę ma pochyloną, jakby kogoś opłakiwał, a dłonią dotyka łagodnie ramienia drugiego anioła. Ten drugi klęczy, opierając się o udo pierwszego, patrzy wprost przed siebie i trzyma wiązkę lili. Ich ciała są przyzwoite, sylwetki spowite warstwami delikatnie udrapowanego, nieprzezroczystego materiału, ale widać, że to kobiety. Kwaśne deszcze dały się im we znaki: ich nigdyś bystre oczy są teraz zamglone, zmiękczone i gąbczaste, jakby przez kataraktę. Ale może to mój wzrok się pogarsza.

Laura i ja często się tu zjawialiśmy. Przeprowadzała nas Reenie, która uważała, że odwiedzanie rodzinnych grobów jest z pewnych względów dobre dla dzieci, a potem przychodziłyśmy same; to był pobożny, więc akceptowany pretekst do ucieczki. Kiedy Laura była mała, twierdziła, że anioły miały przedstawiać nas, nas obie. Powiedziałam jej, że to niemożliwe, bo babka postawiła anioły przed naszymi narodzinami. Laura jednak nigdy nie zwracała uwagi na takie argumenty. Bardziej interesowały ją formy – to, czym rzeczy były same w sobie, a nie to, czym nie były. Pragnęła istoty.

Przez lata nabrałam zwyczaju przychodzenia tutaj co najmniej dwa razy do roku, żeby choć posprzątać, jeśli nie po coś innego. Kiedyś przyjeżdżałam samochodem, ale teraz już nie; mam na to za słaby wzrok. Pochyliłam się z trudem, pozbierałam zeschnięte kwiaty przyniesione tu przez anonimowe wielbicielki Laury i wepchnęłam je do plastikowej torby na zakupy. Obecnie mniej jest tych dowodów uznania niż kiedyś, ale wciąż aż nadto. Dziś niektóre były całkiem

świeże. Co jakiś czas znajdują kadzidła, a także świece, jak gdyby wywoływa-
no ducha Laury.

Kiedy poradziłam sobie z bukietami, obeszłam grobowiec, odczytując listę
zmarłych Chase'ów, wygrawerowaną po bokach sześcianu: Benjamin Chase i
jego ukochana żona Adelia; Norval Chase i jego ukochana żona Liliana. Edgar i
Percival. Nie zestarzejają się tak jak my, skazani na to, by się zestarzeć.

I Laura, tu tak jak i wszędzie indziej, jej istota.

Mięsne resztki.

W zeszłym tygodniu w miejscowej gazecie pojawiło się jej zdjęcie z informacją
na temat nagrody – zwykle zdjęcie, ze skrzydełek okładki, jedyne kiedykolwiek
zamieszczone, gdyż tylko to im dałam. To portret z pracowni fotograficznej,
górną część ciała odwróconą od fotografa, głowa zwrócona ku niemu, by szyja
wyginała się wdzięcznie: Jeszcze trochę, teraz proszę spojrzeć na mnie, bardzo
ładnie, zobaczmy ten uśmiech. Jej długie włosy są koloru blond, jak moje wtedy
– blade, niemal białe, jak gdyby zmyto z nich czerwone półtony – żelazo, miedź,
wszystkie twarde metale. Prosty nos; twarz w kształcie serca, duże, błyszczą-
ce, niewinne oczy; łukowate brwi, wygięte w zdumieniu ku wewnętrznym kąci-
kom oczu. Odrobina uporu w szczęce, ale nie widać tego, jeśli się nie wie. Żad-
nego widocznego makijażu, przez co twarz ma dziwnie nagi wyraz; patrząc na
usta, ma się świadomość, że spogląda się na ciało.

Ładna, nawet piękna, wzruszająco niewzruszona. Reklama mydła, tylko z
naturalnych składników. Twarz wygląda na nieczułą; ma tę nieobecną, upozo-
waną obojętność wszystkich dobrze wychowanych panien tamtych czasów.
Tabuła rasa, która nie chce sama pisać, ale żeby na niej pisano.

Tylko dzięki książce teraz o niej pamiętają.

Laura wróciła w małym pudełku srebrnego koloru, podobnym do pudełka na
papierosy. Wiedziałam, co musi o tym mówić miasto, jak gdybym podsłuchiwa-
ła: Oczywiście, że tak naprawdę to nie ona, tylko prochy. Człowiek nigdy by nie
pomyślał, że z Chase'ów zrobią się krematorzy, dotąd tego nie robili, nie zniżyli-
by się do tego w swoim najlepszym okresie. Ale wygląda na to, że po prostu
poszli dalej i dokończyli dzieła, skoro i tak była prawie całkiem spalona. Mimo
to, moim zdaniem, czuli, że powinna być z rodziną. Chcieli, żeby spoczęła w
tym ich wielkim grobowcu z dwoma aniołami. Nikt inny nie ma dwóch, ale wte-
dy spali na pieniądzach. Wtedy lubili się popisywać, obnosić; wszystkiemu prze-
wodzić, można by powiedzieć. Strugać waźniaków. Kiedyś naprawdę byli tu
ważni.

Zawsze słyszę takie rzeczy wypowiedane głosem Reenie. Była naszą tłu-
maczką miasta – moją i Laury. Na kogo innego miałyśmy się zdać?

Za grobowcem znajduje się kawałek ziemi. Myślę o niej jak o zarezerwowanym miejscu – zarezerwowanym na stałe, tak jak Richard rezerwował miejsca w Royal Alexandra Theatre. To moje miejsce; tam pójdę do piachu.

Biedna Aimee leży w Toronto, na cmentarzu Mount Pleasant, razem z Grif-fenami – z Richardem, Winifred i ich krzykliwym megalitem z polerowanego granitu. Winifred tego dopilnowała – przywłaszczyła sobie Richarda i Aimee, natychmiast się wtrącając i zamawiając ich trumny. Rządzi ten, kto płaci przedsiębiorcy pogrzebowemu. Gdyby mogła, zabroniłaby mi przyjść na ich pogrzeby.

Ale Laura była pierwsza, więc Winifred nie opanowała jeszcze do perfekcji metody porywania ciał. Powiedziałam: „Ona jedzie do domu”, i było po sprawie. Rozsypałam prochy, ale zachowałam srebrne pudełko. Na szczęście go nie zakopałam: jakaś fanka z pewnością już by je ukradła. Ci ludzie zwędziliby wszystko. Rok temu przyłapałam jedną z nich ze słoikiem po dżemie i rydlem, zeskrobywała ziemię z grobu.

Myślę o Sabine – gdzie ona skończy. Jest ostatnia z nas. Zakładam, że wciąż chodzi po ziemi; nie słyszałam, żeby było inaczej. Dopiero się okaże, z którą częścią rodziny zechce zostać pochowana albo czy położy się gdzieś w kącie, z dala od większości z nas. Nie dziwiłabym się jej.

Gdy pierwszy raz uciekła jako trzynastolatka, Winifred zadzwoniła w zimnej furii, oskarżając mnie o pomoc i wspieranie, chociaż nie posunęła się do użycia słowa kidnaping. Żądała, abym jej powiedziała, czy Sabrina do mnie przyszła.

– Chyba nie mam obowiązku ci tego mówić – odparłam, żeby ją podręczyć. Coś za coś: dotąd to ona zazwyczaj miała okazję mnie dręczyć. Odsyłała moje kartki, listy i prezenty urodzinowe dla Sabriny, pisząc na nich swoim grubym charakterem pisma tyrana: „Zwrócić nadawcy”. – W końcu jestem jej babką. Zawsze może do mnie przyjść, jeśli zechce. Będzie tu mile widziana.

– Nie muszę ci przypominać, że jestem jej prawną opiekunką.

– Skoro nie musisz mi przypominać, to po co przypominasz?

Jednak Sabrina do mnie nie przyszła. Nigdy tego nie zrobiła. Nietrudno zgadnąć dlaczego. Bóg wie, co jej o mnie naopowiadano. Nic dobrego.

Fabryka guzików

Lato przyszło na poważnie, sadowiąc się nad miastem jak zupa krem. Malaryczna pogoda, kiedyś taka była; choleryczna pogoda. Drzewa, pod którymi chodzę, to wędnące parasole, papier wilgotnieje pod moimi palcami, słowa, które piszę, warzą się na krańcach jak szminka na starzejących się ustach. Wspinaaczka po schodach sprawiła, że wyrósł mi wąż z potu.

Nie powinnam spacerować w takim upale, przez to moje serce mocniej bije. Zauważam to ze złośliwością. Nie powinnam poddawać serca takim próbom, skoro poinformowano mnie o jego niedoskonałości ach; jednak czerpię z tego perwersyjną przyjemność, jakbym była znęcającym się osiłkiem, a ono małym, jęczącym dzieckiem, którego słabości nienawidzę.

Wieczorami rozlegają się grzmoty, odległe wstrząsy i łomot, jakby Bóg poszedł w ponure tango. Wstaję zrobić siusiu, wracam do łóżka, leżę, wijąc się na wilgotnych prześcieradłach i słuchając monotonnego szumu wentylatora. Myra mówi, że powinnam kupić klimatyzator, ale ja go nie chcę. Poza tym nie stać mnie na to. „Kto by płacił za coś takiego?” – mówię do niej. Myra chyba wie, że mam brylant ukryty na czole, jak żaby w bajkach.

Dziś celem mojego spaceru była fabryka guzików, w której zamierzałam wypić poranną kawę. Lekarz przestrzegwał mnie przed kawą, ale on ma tylko pięćdziesiąt lat – biega w szortach i robi widowisko ze swoich owłosionych nóg. Nie wie wszystkiego, choć byłby tym zaskoczony. Jeśli nie zabije mnie kawa, robi to coś innego.

Po Erie Street leniwie krążyli turyści, w większości w średnim wieku, wtykający nosy w sklepy z pamiątkami, szperający w księgarni, nie mający nic do roboty przed udaniem się po lunchu na pobliski festiwal teatrów ogródkowych, na kilka odpężających godzin zdrady, sadyzmu, cudzołóstwa i zbrodni. Niektórzy z nich zmierzali w tym samym kierunku co ja – do fabryki guzików, żeby sprawdzić, jakie perkalowe osobliwości będą mogli tam nabyć dla uczczenia swoich krótkich wakacji od dwudziestego wieku. Łapacze kurzu, tak Reenie nazywała takie przedmioty. Użyłaby tego samego określenia w stosunku do turystów.

Szłam w ich pastelowym towarzystwie do miejsca, w którym Erie Street przechodzi w Mill Street i biegnie wzdłuż rzeki Louveteau. W Port Ticonderoga są dwie rzeki, Jogues i Louveteau – ich nazwy to pozostałości po francuskiej faktorii usytuowanej niegdyś w miejscu, gdzie się łączyły, nie, żebyśmy interesowali się tutaj francuskim: dla nas to Jogs i Lovetow. Louveteau i jej bystre

prądy przyciągały pierwsze młyny, a potem elektrownie. Z drugiej strony Jogues jest głęboka i powolna, żeglowna przez pięćdziesiąt kilometrów w górę od jeziora Erie. Przewożono nią wapień, którego wydobycie stanowiło najważniejszy przemysł miasta dzięki olbrzymim złożom pozostawionym przez cofające się morza śródlądowe. (W permie, w jurze? Kiedyś wiedziałam). Większość domów w mieście, w tym mój, zbudowano z wapienia.

Opuszczone kamieniołomy wciąż znajdują się na obrzeżach miasta, głębokie kwadraty i prostokąty wycięte w skałach, zupełnie jakby podźwignięto z nich całe budynki, które zostawiły po sobie puste kształty. Czasem wyobrażam sobie miasto wyłaniające się z płytkiego prehistorycznego oceanu, rozkładające się jak morski zawilec czy palce gumowej rękawiczki, kiedy się ją nadmucha – kielkujące gwałtownie jak na tych brązowych, ziarnistych filmach o otwierających się kwiatach, pokazywanych w kinematografach – co to było? – zanim się pojawiły filmy fabularne. Węszą tam poszukiwacze skamielin, w nadziei znalezienia wymarłych ryb, dawnych liści, wolut koralu; a kiedy nastolatki chcą się zabawić, robią to właśnie tam. Puszczają sztuczne ognie, piją za dużo, palą trawkę, macają się pod ubraniem, jakby oni właśnie to wymyślili, i rozbijają samochody rodziców w drodze powrotnej do miasta.

Mój ogródek na tyłach domu przylega do Przełomu Louveteau, miejsca, w którym rzeka się zwęża i gwałtownie spada. Spadek jest na tyle stromy, że trochę przeraża, a wzburzona woda zamienia się w mgiełkę. W letnie weekendy turyści spacerują ścieżką biegnącą brzegiem urwiska albo stają na samej krawędzi, by zrobić zdjęcia; widzę, jak poruszają się ich niewinne, denerwujące płócienne kapelusze. Urwisko rozpada się i jest niebezpieczne, ale miasto nie wyda pieniędzy na ogrodzenie, gdyż wciąż panuje tu opinia, że jeśli ktoś robi coś cholernie głupiego, powinien ponieść tego konsekwencje. W wirach poniżej pełno jest papierowych kubków z cukierni, a co jakiś czas pojawiają się zwłoki; trudno powiedzieć, czy spadły, zostały zepchnięte czy skoczyły, chyba że pozostały list.

Fabryka guzików znajduje się na wschodnim brzegu Louveteau, niecałe pół kilometra od Przełomu w górę rzeki. Przez kilka dziesięcioleci stała opuszczona, z powybijanymi oknami, przeciekającym dachem, zamieszкана przez szczury i pijaków; wreszcie energiczny komitet obywatelski uratował ją od zniszczenia i przekształcił w butik. Odtworzono klomby, pobielono fasadę, naprawiono zniszczenia spowodowane przez czas i wandalę, choć dookoła okien na niższych piętrach wciąż widnieją ciemne skrzydła sadzy po pożarze sprzed ponad sześćdziesięciu lat.

Budynek zbudowano z brązowoczerwonej cegły, ma duże przeszklone okna, które kiedyś wstawiano w fabrykach, by zaoszczędzić na oświetleniu. Jak na fabrykę jest całkiem przyjemny: roślinne motywy ozdobne, każdy z kamienną

różą pośrodku, okna w szczycie, mansardowy dach z fioletowo-zielonych płyt łupkowych. Za nim znajduje się mały parking. „Witamy gości fabryki guzików”, głosi napis namalowany staroświecką czcionką; mniejszymi literami dodano: „Całodobowe parkowanie zabronione”. A pod tym ktoś nabazgrał ze złością czarnym flamastrem: „Nie jesteś pieprzonym Bogiem, a Ziemia to nie twój pieprzony podjazd”. Autentyczny lokalny koloryt.

Główne wejście poszerzono, zainstalowano pochylnię dla wózków inwalidzkich, oryginalne ciężkie drzwi zastąpiono drzwiami z płaskiego walcowanego szkła: Wejście i Wyjście, Pchać i Ciągnąć, dwudziestowieczne despotyczne czworaczki. W środku gra muzyka, skrzypki w stylu country, jakiś żwawy, zrozpaczony walczyk na raz dwa trzy. Światło dzienne pada na centralną powierzchnię wyłożoną fałszywą kostką brukową, na której stoją świeżo pomalowane ławki parkowe i donice z kilkoma niezadowolonymi krzakami. Dookoła placu rozmieszczono rozmaite butikiki: jak w centrum handlowym.

Nagie kamienne ściany zdobią olbrzymie powiększenia starych zdjęć z archiwum miasta. Pierwszy jest cytat z gazety – wychodzącej w Montrealu, nie naszej – z datą 1899 rok:

Nie wolno wyobrażać sobie ponurych diabelskich zakładów Starej Anglii. Fabryki w Port Ticonderoga wybudowano na terenach obfitujących w zieleń, którą rozświetlają barwne kwiaty, dociera do nich uspokajający szum rwących strumieni; są czyste i dobrze wentylowane, a robotnicy radośni i wydajni. Stając o zachodzie słońca na pięknym nowym moście Jubileuszowym, który niczym koronkowa tęcza z kutego żelaza wygina się nad tryskającymi wodami rzeki Louveteau, można podziwiać zaczarowany, bajkowy krajobraz, gdy światła należącej do Chase'ów fabryki guzików zaczynają mrugać i odbijać się w wodzie.

Nie wszystko w tym opisie było kłamstwem. Przynajmniej przez krótki czas panował tu dobrobyt wystarczający do zaspokojenia tutejszych potrzeb.

Następny obraz przedstawia mojego dziadka, w surducie, cylindrze i z białymi bokobrodami, czekającego wraz z grupą tak samo odświętnie ubranych dygnitarzy, by powitać księcia Yorku podczas jego podróży po Kanadzie w 1901 roku. Potem jest mój ojciec z wieńcem, przed pomnikiem Ofiar Wojny w dniu jego odsłonięcia – wysoki mężczyzna o poważnej twarzy, z wąsem i przepaską na oku; z bliska zbiór czarnych kropek. Cofam się, żeby sprawdzić, czy obraz stanie się ostry – usiłuję pochwycić jego spojrzenie w zdrowym oku – ale on nie patrzy na mnie; wpatruje się w horyzont, z wyprostowanymi plecami i cofniętymi ramionami, jak gdyby stał przed plutonem egzekucyjnym. Można by powiedzieć, człowiek z charakterem.

Dalej jest zdjęcie samej fabryki guzików z 1911 roku, jak głosi podpis. Maszyny z brzęczącymi ramionami jak nogi konika polnego, stalowe zęby i koła zę-

bate, stemplujące tłoki, unoszące się i opadające, wybijające kształty; długie stoły z rzędami robotników, pochylonych nad nimi, wytwarzającymi ręcznie jakieś przedmioty. Maszyny obsługują mężczyźni w okularach ochronnych i kamizelkach, z podwiniętymi rękawami koszul; przy stole stoją robotnice z zaczesanymi do tyłu włosami i w bezrękawnikach. To kobiety przyszywały guziki do kartoników z wydrukowanym nazwiskiem Chase, sześć, osiem lub dwanaście guzików na kartoniku.

Na samym końcu brukowanej hali jest bar, Cała Enchilada, w którym podają piwo, podobno z miejscowych minibrowarów, a w soboty grają na żywo. Wystrój wnętrza to drewniane blaty na beczkach, ze staroświeckimi sosnowymi boksami po jednej stronie. W wywieszonym w oknie jadłospisie – nigdy nie weszłam do środka – widnieją potrawy, które uważam za egzotyczne: placki z rozpuszczonym serem, skórki ziemniaków, nachos. Pozbawione tłuszczu pożywienie mniej poważanych młodych ludzi, tak mi mówiła Myra. Ma doskonały punkt widokowy tuż obok i jeśli coś się dzieje w Całej Enchiladzie, nigdy tego nie przegapia. Mówi, że przychodzą tu alfons i handlarz narkotyków, obaj w biały dzień. Pokazała mi ich, szepcząc przy tym z przejęciem. Alfons miał na sobie trzyczęściowy garnitur i wyglądał jak makler. Handlarz narkotyków miał siwe włosy i dżinsowe ubranie, jak dawny działacz związkowy.

Sklep Myry to Piernikowa Chatka, Upominki i Artykuły Kolekcjonerskie. Pachnie słodko i ostro jednocześnie – jakimś cynamonowym odświeżaczem powietrza – i oferuje mnóstwo rzeczy: słoiki dżemu z wieczkami owiniętymi drukowaną bawełną, poduszki w kształcie serca wypchane suszonymi ziołami, które pachną jak siano, nieudolnie zbite pudełka rzeźbione przez „artystów ludowych”, koldry rzekomo szyte przez menonitów, szczotki do czyszczenia toalet z uchwyty w kształcie śmiejących się kaczek. Wyobrazenie Myry o tym, jak miastowi widzą życie na wsi, życie swoich sielankowych małomiasteczkowych przodków – kawałek historii, który można zabrać ze sobą do domu. Historia, o ile sobie przypominam, nie była taka pociągająca ani zwłaszcza taka czysta, ale prawdziwe rzeczy nigdy by się nie sprzedały: większość ludzi woli przeszłość, której niczym nie czuć.

Myra lubi dawać mi prezenty ze swojego skarbcza. Innymi słowy, zarzuca mnie przedmiotami, których ludzie nie kupią w sklepie. Mam krzywy wieniec, niekompletny zestaw drewnianych uchwyty do serwetek pomalowany w ananasy, pękatą lampę pachnącą czymś, co przypomina naftę. Na urodziny podarowała mi parę rękawic kuchennych w kształcie szczypców homara. Z pewnością miała dobre intencje.

A może mnie urabia: jest baptystką, chciałyby, żebym odnalazła Jezusa, albo vice versa, zanim będzie za późno. To się nie zdarzało w jej rodzinie, jej matka Reenie nie była zbyt religijna. Ona i Bóg szanowali się nawzajem, i kiedy człowiek miał kłopoty, naturalnie biegł do Boga jak do adwokata; ale podobnie jak

w wypadku adwokata, to musiały być poważne kłopoty. Inaczej nie opłacało się z nim zadawać. Zdecydowanie nie chciała go w swojej kuchni, i tak miała za dużo na głowie.

Po zastanowieniu kupiłam ciastko w cukierni Duszek – z płatków owsianych i czekolady – i kawę w styropianowym kubku, po czym usiadłam na jednej z parkowych ławek. Popijałam i oblizywałam palce, dawałam odpocząć nogom i słuchałam muzyki o melodyjnym, żalobnym brzmieniu.

To mój dziadek Benjamin zbudował fabrykę guzików na początku lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Istniało zapotrzebowanie na guziki, podobnie jak na ubrania i wszystko, co się z nimi wiązało – populacja na kontynencie zwiększała się w nieprawdopodobnym tempie – a guziki można było tanio wytwarzać i tanio sprzedawać, co (mówiła Reenie) było darem losu dla mojego dziadka, który dostrzegł okazję i posłużył się otrzymanym od Boga rozumem.

Jego przodkowie przyjechali z Pensylwanii w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku, żeby wykorzystać tanią ziemię i możliwości budowlane – miasto spłonęło podczas wojny w 1812 roku i znaczną jego część trzeba było odbudować. Ci ludzie mieli germańskie i sekciarskie korzenie, przemieszane z purytanami siódmej generacji: pracowita, lecz żarliwa mieszkanka, która dała, poza zwykłą kolekcją cnotliwych, bezmyślnych farmerów, trzech wędrownych kuznodzi, dwóch nieudolnych spekulantów ziemią i jednego kiepskiego małwersanta – oportunistów z wizjonerską żyłką i jednym okiem wpatrzonym w horyzont. W wypadku mojego dziadka objawiło się to hazardem, choć jedyną rzeczą, na którą kiedykolwiek stawiał, był on sam.

Jego ojciec miał jeden z pierwszych młynów w Port Ticonderoga, skromny młyn, w czasach, kiedy jeszcze wszystko napędzała woda. Gdy pradziadek umarł na apopleksję, jak to wtedy nazywano, dziadek miał dwadzieścia sześć lat. Odziedziczył młyn, pożyczył pieniądze i sprowadził ze Stanów maszyny do guzików. Pierwsze guziki wyrabiano z drewna i kości, a te wymyślniejsze z krowich rogów. Dwa ostatnie tworzywa można było dostać niemal za darmo od rzeźników z sąsiedztwa, a co do drewna, leżało dosłownie wszędzie, zaśmiecając ziemię, a ludzie je palili, żeby tylko się go pozbyć. Z tanim surowcem, tanią siłą roboczą i powiększającym się rynkiem, jak mogło mu się nie udać?

Guziki produkowane w fabryce mojego dziadka nie były tymi, które w dzieciństwie lubiłam najbardziej. Nie małeńkie guziczki z macicy perłowej, delikatne dżety ani białe skórzane guziki do damskich rękawiczek. Nasze guziki tak się miały do guzików jak gumowe kalosze do obuwia – nudne, praktyczne guziki do płaszczy, kombinezonów i roboczych koszul, proste, niemal prostackie. Można je było sobie wyobrazić na długich majtkach, trzymające materiał z tyłu, i w rozporkach męskich spodni. Rzeczy przez nie ukrywane były obwisłe, bezbronne, wstydlive, nieuchronne – kategoria przedmiotów, których świat potrzebuje, ale

którymi gardzi.

Trudno powiedzieć, jak wiele splendoru spłynęłoby na wnuczki producenta takich guzików, poza pieniędzmi. Pieniądże czy choćby pogłoska o nich zawsze rzucają pewnego rodzaju oślepiający blask, więc Laura i ja dorastałyśmy w specyficznej atmosferze. W Port Ticonderoga nikt nie uważał, że nasze guziki są śmieszne czy godne pogardy. Tu guziki traktowano poważnie: zależało od nich istnienie zbyt wielu miejsc pracy, żeby mogło być inaczej.

Przez lata dziadek kupował kolejne młyny i także przekształcał je w fabryki. Miał fabrykę dziewiarską, w której szyto podkoszulki i damskie kombinacje, inną od skarpetek i jeszcze jedną, produkującą małe ceramiczne przedmioty, na przykład popielniczki. Szczycił się warunkami panującymi w tych fabrykach: słuchał skarg, kiedy komuś starczyło odwagi, żeby je składać, ubolewał nad obrażeniami, gdy było mu o nich wiadomo. Gonił za technicznymi udogodnieniami, właściwie za wszelkiego rodzaju udogodnieniami. Był pierwszym w mieście właścicielem fabryki, który wprowadził elektryczne oświetlenie. Uznał, że klomby dobrze wpłyną na morale robotników – stawiał na cynie i lwie paszcze, bo były niedrogie, efektowne i długo kwitły. Oświadczył, że jego pracownice mogą się czuć w fabryce równie bezpiecznie jak we własnych salonach. (Założył, że mają salony. Założył, że salony są bezpieczne. Lubił dobrze myśleć o innych). Nie godził się na tolerowanie w pracy pijaństwa, przekleństw ani niemoralnego zachowania.

A przynajmniej tak twierdzi się w *Historii fabryk Chase'a*, książce, której napisanie mój dziadek zlecił w 1903 roku i którą wydrukował prywatnie. Na zielonej skórzanej okładce widniał nie tylko tytuł, ale i jego własny ciężki podpis, wytłoczony na złoto. Dziadek miał zwyczaj wręczać egzemplarze tej nikomu niepotrzebnej kroniki swoim partnerom w interesach; pewnie czuli się tym zaskoczeni, a może i nie. Z pewnością uważano to za właściwe, bo gdyby tak nie było, moja babka Adelia nigdy by mu na to nie pozwoliła.

Usiadłam na parkowej ławce, przeżuając ciastko. Było olbrzymie, wielkości krowiego placka, takie jak teraz robią – bez smaku, kruche i tłuste – nie mogłam sobie z nim poradzić.

Nie była to odpowiednia przekąska na taki upał. Trochę kręciło mi się w głowie, być może od kawy.

Postawiłam obok siebie kubek, a moja laska zsunęła się z ławki na ziemię. Pochyliłam się, ale nie mogłam jej dosięgnąć. Wtedy straciłam równowagę i wylałam kawę. Czulałam ją przez materiał spódnicy, już letnią. Kiedy wstanę, będę miała brązową plamę, jak gdybym nie trzymała stolca. Tak pomyślą ludzie.

Dlaczego w takich chwilach zawsze zakładamy, że wszyscy na świecie patrzą właśnie na nas? Zazwyczaj nikt nie patrzy. Myra jednak patrzyła. Musiała

widzieć, jak wchodzę; przez cały czas musiała mieć na mnie oko. Wypadła ze swojego sklepu.

– Jesteś błąda jak ściana! Wyglądasz na całkiem wyczerpaną – powiedziała.

– Wyczyścimy to! Rany boskie, przeszedłeś tu całą drogę? Nie możesz iść z powrotem! Lepiej zadzwonię po Waltera, odwiezie cię do domu.

– Dam sobie radę – odparłam. – Nic mi nie jest.

Ale pozwoliłam, żeby to załatwiła.

Awilion

Znowu bolały mnie kości, jak zwykle przy wilgotnej pogodzie. Bola jak historia: sprawy dawno minione, które wciąż odzywają się w postaci bólu. Kiedy ból jest silny, nie pozwala mi spać. Każdej nocy pragnę snu, walczę o niego; tłuczę się przede mną niczym zasłona z sadzy. Istnieją oczywiście pastylki nasenne, ale lekarz przestrzegał mnie przed nimi.

Wczorajszej nocy, po najprawdopodobniej wielu godzinach wilgotnego kotłowania się, wstałam i zeszłam bez kapci po schodach, wymacując drogę w słabym blasku ulicznej latarni, wpadającym przez okno nad schodami. Kiedy powłóczęc nogami, bezpiecznie dotarłam na dół, weszłam do kuchni i zaczęłam węszyć w mglistym świetle lodówki. Nie znalazłam tam niczego, na co miałabym ochotę: brudne resztki selera, nadpleśniała piętka chleba, miękkawa cytryna. Odrobina sera, owinięta tłustym papierem, twarda i przezroczysta jak paznokcie u stóp. Nabrałam zwyczajów samotników; moje posiłki są byle jakie i rzadkie. Ukradkowe przekąski, ukradkowe uczyty i pikniki. Zadowolłam się masłem fistaszkowym, nabieranym ze słoika palcem: po co brudzić łyżkę?

Stojąc tam ze słoikiem w jednej dłoni i palcem w ustach, miałam wrażenie, że ktoś zaraz wejdzie do tego pomieszczenia – jakaś inna kobieta, niewidoczna, prawdziwa właścicielka – i spyta mnie, co, do cholery, robię w jej kuchni. Miewałam to już wcześniej, to poczucie, że nawet podczas wykonywania najbardziej uzasadnionych, codziennych czynności – obierania banana, szczotkowania zębów – znajduję się na cudzym terenie.

Nocą dom stawał się jeszcze bardziej cudzym domem. Chodziłam po pomieszczeniach na parterze, po jadalni, salonie, i przytrzymywałam się ściany, żeby nie stracić równowagi. Rozmaite przedmioty pływały w sadzawkach własnego cienia, niezależnie ode mnie, zaprzeczając, że są moją własnością. Patrzyłam na nie okiem włamywacza i szacowałam, co warte było ryzyka kradzieży, a z drugiej strony – co należałoby zostawić. Rabuś zabrałby oczywiście srebrny imbryk, który należał do mojej babki, może ręcznie malowaną porcelanę. Ocalałe łyżki z monogramami. Telewizor. Nic, na czym tak naprawdę by mi zależało.

To wszystko i tak będzie musiało dokądś pójść, zostanie rozdane po mojej śmierci. Bez wątpienia Myra się tym zajmie; myśli, że odziedziczyła mnie po Reenie. Spodoba jej się odgrywanie zaufanej powiernicy rodziny. Nie zazdrozczę jej: życie każdego to wysypisko śmieci, nawet gdy ten ktoś wciąż żyje, a tym bardziej po śmierci. Jeśli jednak jest to wysypisko śmieci, to zadziwiająco małe: kiedy człowiek posprząta po zmarłym, widzi, w jak niewielu zielonych tor-

bach na odpadki sam się zmieści, gdy przyjdzie jego kolej.

Dziadek do orzechów w kształcie aligatora, samotna spinka od mankietu z macicy perłowej, szylkretowy grzebień o brakujących zębach. Zepsuta srebrna zapalniczka, filizanka bez podstawki, komplet do przypraw bez naczynia na ocet. Rozrzucone kości domu, łachmany, relikwie. Skorupy wyrzucone na brzeg po katastrofie statku.

Dzisiaj Myra przekonała mnie do kupna elektrycznego wentylatora – takiego na długiej nodze, lepszego niż to moje maleństwo. Ten, o który jej chodziło, był na wyprzedaży w nowym centrum handlowym po drugiej stronie mostu na Jogues. Zawiezie mnie tam – i tak się wybierała, nie ma problemu. To przynębiające, jak ona wymyśla preteksty.

Nasza trasa prowadziła koło Awilionu, albo inaczej: tego, co kiedyś było Awilionem, dziś smutno odmienionego. Teraz to Walhalla. Jaki debil biurokrata uznał, że to odpowiednia nazwa dla domu starców? Z tego, co pamiętam, do Walhalli trafia się po śmierci, a nie tuż przed. Może jednak było to zamierzone.

Położenie jest znakomite – wschodni brzeg rzeki Louveteau, tam gdzie zlewa się z Jogues – łączy romantyczny widok na Przełom z bezpiecznym miejscem do cumowania żaglówek. Dom jest duży, ale teraz wygląda na zatłoczony, zepchnięty na bok przez marne bungalowy, które wyrosły na tym terenie po wojnie. Trzy starsze kobiety siedziały na frontowej werandzie, jedna na wózku inwalidzkim, i paliły ukradkowo, jak niegrzeczne nastolatki w toalecie. Pewnego dnia z pewnością spalą to miejsce.

Nie byłam w Awilionie, odkąd go przerobili; bez wątpienia cuchnie pudrem dla niemowląt, skwaśniałym moczem i wczorajszymi gotowanymi ziemniakami. Wolę go pamiętać takim, jaki był, nawet wtedy, kiedy go znałam, kiedy już zaczynał marnieć – zimne, przestrzenne korytarze, wielka elegancka kuchnia, porcelanowa misa z Sèvres wypełniona suszonymi płatkami kwiatów na małym okrągłym stoliku z drewna wiśniowego w głównym korytarzu. Na górze, w pokoju Laury, znajduje się wyszczerbiony fragment kominka, z miejsca, w którym upuściła część stojaka na drewno; to takie charakterystyczne. Jestem teraz już jedyną osobą, która o tym wie. Ze względu na wrażenie, jakie sprawiała – przezroczysta skóra, uległy wygląd, długa szyja baletnicy – ludzie spodziewali się, że będzie pełna gracji.

Awilion nie jest typowym domem z wapienia. Jego projektanci pragnęli czegoś bardziej niezwykłego, więc zbudowali go z otoczków z rzeki połączonych cementem. Z daleka wygląda na pokryty naroślami, niczym skóra dinozaura albo studnie życzeń w książkach z ilustracjami. Mauzoleum ambicji, tak o nim teraz myślę.

Nie jest to szczególnie elegancki dom, ale kiedyś uważano go za na swój sposób imponujący – kupiecki pałac z prowadzącym doń podjazdem, krótką i

grubą gotycką wieżą i szeroką, półkolistą, okrągłą werandą, wychodzącą na obie rzeki, na której podczas leniwych letnich popołudni na przełomie wieków podawano herbatę paniom w ukwieconych kapeluszach. Tu podczas przyjęć w ogrodach rozstawiały się smyczkowe kwartety; moja babka i jej przyjaciele wykorzystywali ją jako scenę do amatorskich przedstawień o zmierzchu, z lampami pozapalonymi dookoła; Laura i ja chowałyśmy się pod nią. Zaczęła się łuszczyć, ta weranda; trzeba ją odmalować.

Kiedyś znajdowało się tam okno wykuszowe i otoczony murem ogródek kuchenny, i kilka grządek dekoracyjnych roślin, i oczko wodne ze złotymi rybkami, i cieplarnia, obecnie zniszczona, w której rosły paprocie i fuksje, a także wrzcionowate cytryny i kwaśne pomarańcze. Był pokój bilardowy i salon, i pokój dzienny, i biblioteka z marmurową Meduzą nad kominkiem – dziewiętnastowiecznym wyobrażeniem Meduzy, o uroczym, nieczułym spojrzeniu, z wężami wijącymi się nad głową niczym bolesne myśli. Kominek pochodził z Francji; zamówiono zupełnie inny, coś z Dionizosem i winoroślą, ale zamiast niego pojawiła się Meduza, a Francja znajdowała się zbyt daleko, by odsyłać Meduzę, więc ją wykorzystano.

W przepastnej ponurej jadalni była tapeta Williama Morrisa^{4} we wzór zwany złodziejem truskawek, i żyrandol opleciony wodnymi liliami z brązu, trzy wysokie witrażowe okna, przywiezione statkiem z Anglii, ukazujące epizody z historii Tristana i Izoldy (ofiarowanie miłosego napoju w rabinowym kielichu; kochankowie, klęczący na jednym kolanie Tristan, stęskniona Izolda pochylająca się nad nim, z kaskadą żółtych włosów – trudno je dobrze przedstawić na szkle, zbyt przypominały roztopioną miotłę; Izolda sama, przygnębiona, w fioletowych szatach, obok harfa).

Rozplanowanie i urządzenie domu nadzorowała babka Adelia. Umarła przed moimi narodzinami, ale słyszałam, że była łagodna jak baranek i cicha jak trusia, za to miała żelazną wolę. Popierała także kulturę, przez co zyskiwała pewien moralny autorytet. Teraz by tak nie było; dawniej jednak ludzie wierzyli, że kultura może uczynić cię lepszym – lepszym człowiekiem. Wierzyli, że może uszlachetnić, a właściwie to kobiety w to wierzyły. Wtedy jeszcze nie widziały Hitlera w operze.

Panięńskie nazwisko Adeli brzmiało Montfort. Pochodziła z szanowanej rodziny, przynajmniej za taką uważano ją w Kanadzie – z drugiego pokolenia angielskich montrealczyków skrzyżowanych z francuskimi hugenotami. Kiedyś Montfortowie byli bogaci – dorobili się fortuny na kolejach – ale przez ryzykowne spekulacje i inercję już znaleźli się w połowie drogi na równi pochyłej. Kiedy czas Adeli zaczął się kurczyć, a w pobliżu nie pojawił się żaden odpowiedni kandydat na męża, poślubiła pieniądze – prostackie pieniądze, guzikowe pieniądze. Oczekiwano, że ona będzie rafinować te pieniądze, jak olej.

(Nie wyszła za mąż, wydano ją za mąż, mówiła Reenie, przewracając pier-

niki. Rodzina to zaaranżowała. Tak się robiło w takich rodzinach, i kto powie, że to lepsze czy gorsze niż samodzielny wybór? Tak czy inaczej, Adelia Montfort spełniła swój obowiązek, i miała szczęście, bo była już podstarzała – musiała mieć dwadzieścia trzy lata, co wtedy uważano za podeszły wiek).

Wciąż mam portret dziadków: tkwi w srebrnej ramie grawerowanej w powoje, a zrobiono go wkrótce po ślubie. W tle widać aksamitną zasłonę z frędzlami i dwie paprocie na stojakach. Babka Adelia spoczywa na szezlongu, to przystojna kobieta o ciężkich powiekach, owinięta licznymi fałdami ubrania, z podwójnym sznurem pereł i głębokim dekoltem obszytym koronką, a jej białe przedramiona pozbawione są kości jak rolada z kurczaka. Dziadek Benjamin siedzi za nią w uroczystym stroju, potężny, lecz zawstydzony, jakby wyszykował się specjalnie na tę okazję. Oboje wyglądają na skrępowanych.

Kiedy osiągnęłam odpowiedni wiek – trzynaście, czternaście lat – miałam zwyczaj uromantyczniać Adelię. Wyglądałam przez swoje okno w nocy, patrzyłam nad trawnikami i skąpanymi w świetle księżycy grządkami ozdobnych roślin, widząc ją, jak w białej koronkowej sukni snuje się smętnie po ogrodzie. Obdarzyłam ją tęsknym, zmęczonym światem, lekko drwiącym uśmiechem. Wkrótce dodałam kochanka. Spotykała się z tym kochankiem przed cieplarnią, która w tym czasie była już zapuszczona – mój ojciec nie dbał o ogrzewane parą drzewka pomarańczowe – ale w myślach ją odnowiłam i wypełniłam cieplarnianymi roślinami. Orchideami, myślałam, albo kameliami. (Nie wiedziałam, co to kamelie, ale czytałam o nich). Moja babka i kochanek znikali w cieplarni, i co? Nie byłam pewna.

W rzeczywistości możliwość, że Adelia miała kochanka, równała się zeru. Miasto było za małe, jego zasady zbyt prowincjonalne, a ona miała zbyt wiele do stracenia. Nie była głupia. Nie dysponowała też własnymi pieniędzmi.

Jako gospodyni i zarządzająca domem, Adelia zadowalała Benjaminą Chase'a. Szczyciła się swoim dobrym gustem, a mój dziadek ulegał jej, gdyż poślubił ją między innymi ze względu na ów dobry gust. Miał wtedy czterdzieści lat; ciężko pracował na swój majątek, a teraz za te pieniądze chciał dostać dobry towar, co oznaczało, że zamierza pozwalać świeżo poślubionej żonie na protekcjonalne traktowanie go w sprawach garderoby i strofowanie z powodu zachowania przy stole. Na swój sposób on także pragnął kultury, a przynajmniej konkretnych jej dowodów. Pragnął odpowiedniej porcelany.

Dostał ją, a razem z nią dwunastodaniowe obiady: seler i solone orzeszki na wstępie, czekoladki na deser. Rosół, kotlety siekane, pasztety w cieście, ryby, pieczenie, sery, owoce, szklarniowe winogrona ułożone na paterze z wytrawionego szkła. Jedzenie jak w hotelu obok dworca, tak teraz o nim myślę, albo jak na transatlantyku. Do Port Ticonderoga przyjeżdżali premierzy – wtedy mieszkało tu kilku prominentnych przemysłowców, których poparcie dla partii politycznych było w cenie – i zatrzymywali się właśnie w Awilionie. W bibliotece

wisiały oprawione w złote ramy fotografie dziadka Benjamina z trzema kolejnymi premierami – sir Johnem Sparrowem Thompsonem, sir Mackenzie Bowellem i sir Charlesem Tupperem. Najwyraźniej woleli jadać tutaj niż gdziekolwiek indziej.

Zadaniem Adelii było planowanie i zamawianie tych obiadów, następnie zaś publiczne powstrzymywanie się od ich spożywania. Zwyczaj nakazywał, by w towarzystwie tylko dziobała jedzenie: żucie i przełykanie były tak ewidentnie cielesne. Podejrzewam, że potem kazała sobie przynosić tacę do pokoju. Jadła wszystkimi palcami.

Awilion został ukończony w 1889 roku i ochrzczony przez Adelię. Wzięła jego nazwę z Tennysona:

*Na Awilionu wyspę, gdzie nie pada
Ani grad, ani deszcz, ani śnieg, ani
Wiatr nie zahuczy tam; łąki głębokie,
Sady, pieczary ocienione bluszczem,
Rozwierające się ku morzu lata.^{5}*

Kazała umieścić ten cytat na wewnętrznej lewej stronie swoich świątecznych kartek. (Tennyson był trochę niemodny, według angielskich standardów – największym powodzeniem cieszył się wtedy Oskar Wilde, przynajmniej wśród młodszego pokolenia – z drugiej jednak strony wszystko w Port Ticonderoga było trochę niemodne).

Ludzie – ludzie w mieście – musieli się śmiać z tego cytatu: nawet ci z towarzyskimi aspiracjami nazywali ją Jej Wysokością albo Księżną, choć czuli się zranieni, gdy zabrakło ich na liście zaproszonych gości. O jej świątecznych kartkach musieli mówić: Cóż, ma pecha z gradem i śniegiem. Może pogada o tym z Bogiem. A w fabrykach: Widziałeś gdzieś takie pieczary ocienione bluszczem, poza przodem jej sukienki? Znam ich styl i wątpię, żeby wiele się zmienił.

Adelia popisywała się swoimi świątecznymi kartkami, ale wierzę, że chodziło o coś więcej. Awilion to miejsce, do którego trafił król Artur, by umrzeć. Z pewnością wybór Adelii świadczy o tym, że uważała swoją sytuację za beznadziejne wygnanie: może i potrafiła samą siłą woli powołać do życia jakieś liche faksymile szczęśliwej wyspy, nie był to jednak oryginał. Pragnęła salonu; pragnęła artystów, poetów, kompozytorów, myślicieli naukowców i im podobnych, których widywała podczas odwiedzin u swoich dalekich angielskich krewnych, gdy jej rodzina jeszcze miała pieniądze. Złote życie, z szerokimi trawnikami.

Takich ludzi nie można było jednak znaleźć w Port Ticonderoga, a Benjamin nie chciał podróżować. Twierdził, że musi być w pobliżu swoich fabryk. Najprawdopodobniej nie chciał dać się zaciągnąć w tłum, który by z niego szydził

za jego guziki i gdzie mogłyby na niego czekać nie znane sztucce, a Adelia wstydziłaby się za niego.

Adelia nie zdecydowała się podróżować bez niego ani do Europy, ani dokądkolwiek indziej. To mogłoby być zbyt kuszące – nie wrócić. Odplynać, pozbywając się pieniędzy stopniowo, jak sterowiec, z którego uchodzi powietrze, skończyć jako ofiara podłych ludzi i słodkich drani, pograżyć się w tym, co zakazane. Przy takim dekolcie mogłoby się to zdarzyć.

Poza wszystkim innym Adelia interesowała się rzeźbą. Po obu stronach cieplarni stały dwa kamienne sfinksy – Laura i ja wspinałyśmy się na ich grzbiety – i psotny faun, uśmiechający się lubieżnie zza kamiennej ławki, ze spiczastymi uszami i olbrzymim liściem winorośli rozwiniętym na intymnych częściach jego ciała niczym odznaka; obok oczka wodnego ulokowała się nimfa, skromne dziewczę o małych piersiach nastolatki ze sznurem marmurowych włosów przerzuconym przez ramię i nogą niepewnie zanurzoną w wodzie. Zwykle jadałyśmy obok niej jabłka i obserwowałyśmy złote rybki skubiące jej stopy.

(Te rzeźby miały być „autentyczne”, ale o jaki autentyk chodziło? Jak Adelia je zdobyła? Podejrzewam łańcuch drobnych kradzieży – jakiegoś szemranego europejskiego pośrednika, który kupił je za bezcen, sfalszował ich pochodzenie, po czym wysłał je w długą drogę do Adelii, przywłaszczwszy sobie różnicę w cenie, gdyż słusznie zgadł, że bogata Amerykanka – a za taką ją wziął – w niczym się nie zorientuje).

To również Adelia zaprojektowała rodzinny grobowiec z dwoma aniołami. Prosiła dziadka o wykopanie swoich przodków i przeniesienie ich do grobowca, żeby stworzyć wrażenie dynastii, ale on nigdy się do tego nie zabrał. Jak się okazało, ją pierwszą tam pogrzebano.

Czy dziadek Benjamin odetchnął z ulgą po odejściu Adelii? Mógł się zmęczyć świadomością, że nigdy nie zdoła spełnić jej oczekiwań, choć jest jasne, że podziwiał ją, nawet miał dla niej respekt. Na przykład, nie pozwolił zmienić niczego w Awilionie: nie ruszono żadnego obrazu, nie wymieniono ani jednego mebla. Być może dziadek uważał, że to właśnie dom jest jej prawdziwym grobem.

Zatem to ona wychowała mnie i Laurę. Dorastałyśmy w jej domu; to znaczy, w jej koncepcji samej siebie. I w jej koncepcji tego, kim powinnyśmy być, ale nie byłyśmy. Ponieważ nie żyła, nie mogła się przeciwstawić.

Mój ojciec był najstarszym z trzech synów, z których każdego obdarzono imieniem uważanym przez Adelę za eleganckie: Norval, Edgar i Percival. Powtórka z Artura z nutą Wagnera. Pewnie powinni być wdzięczni, że nie dostał im się Uther, Zygmunt czy Ulryk. Dziadek Benjamin świata nie widział poza synami i chciał, by poznali guzikowy przemysł, ale Adelia miała wznioślejsze cele. Wysłała chłopców do Trinity College School w Port Hope, gdzie Benjamin wraz

ze swoimi maszynami nie mógł ich spospolić. Doceniała przydatność majątku Benjamina, ale mówiąc o jego źródłach, wolała trochę koloryzować.

Synowie przyjeżdżali do domu na letnie wakacje. W internacie, a potem na uniwersytecie nabrali przyjacielskiej pogardy dla swojego ojca, który nie umiał czytać po łacinie, choćby kiepsko, jak oni. Rozmawiali o ludziach, których on nie znał, śpiewali piosenki, których nigdy nie słyszał, opowiadali żarty, których nie rozumiał. W świetle księżycy żeglowali jego małą łodzią, „Nimfą Wodną”, nazwaną tak przez Adelię, kolejny przejaw upodobania do gotyku. Grali na mandolinie (Edgar) i bandžo (Percival), potajemnie pili piwo i brudzili sprzęt, który zostawiali mu do wyczyszczenia. Jeździli po okolicy jednym z jego dwóch nowych aut, choć drogi wokół miasta przez sześć miesięcy w roku były w tak strasznym stanie – śnieg, potem błoto, potem kurz – że nie bardzo było gdzie jeździć. Chodziły słuchy o rozwiązłych dziewczętach, przynajmniej w wypadku dwóch młodszych chłopców, i o pieniądzech zmieniających właściciela – cóż, wypadało zapłacić tym paniom, żeby mogły załatwić swoje sprawy, bo kto chciałby gromady nieślubnych, raczkujących potomków Chase’ów? – ale to nie były dziewczęta z naszego miasta, więc nikt nie miał tego za złe synom Benjamina; wręcz przeciwnie, przynajmniej w męskim gronie. Ludzie trochę się podśmiewali z braci, ale nie za bardzo; mówiono, że są dosyć solidni i nie zadzierają nosa. Edgara i Percivala nazywano Eddie i Percy, lecz mój ojciec, jako bardziej nieśmiały i dostojniejszy, zawsze był Norvalem. To byli sympatycznie wyglądający chłopcy, nieco dzicy, tak jak się tego oczekuje od chłopców. Co właściwie dokładnie znaczy „dzicy”?

– Byli łobuzami – powiedziała mi Reenie. – Ale nie łajdakami.

– A co za różnica? – spytałam.

Reenie westchnęła.

– Obyś się nigdy nie dowiedziała – odparła.

Adelia zmarła w 1913 roku na raka – nie nazwaną, więc najprawdopodobniej ginekologiczną jego odmianę. W ostatnim miesiącu jej choroby do pomocy w kuchni sprowadzono matkę Reenie, a wraz z nią przybyła sama Reenie; miała wtedy trzynaście lat i cała ta sprawa wywarła na niej głębokie wrażenie. „Ból był tak straszny, że musieli podawać jej morfinę co cztery godziny, przez całą dobę trzymali pielęgniarki. Ale ona nie chciała zostać w łóżku, zawsze wstawiała, jak zwykle pięknie ubrana, chociaż widać było, że jest na wpół przytomna. Widywałam ją, jak wędrowała po posiadłości, w jasnych strojach i kapeluszu z woalką. Miała piękną sylwetkę i więcej siły niż większość mężczyzn. Pod koniec musieli dla jej własnego dobra przywiązywać ją do łóżka. Twój dziadek miał złamane serce, widzieliśmy, że odbiera mu to całą energię”. Z biegiem czasu, gdy coraz trudniej było na mnie zrobić wrażenie, Reenie dodawała do tej historii stłumione okrzyki i jęki oraz przysięgi na łożu śmierci, chociaż nigdy nie

wiedziała, jakie ma intencje. Czy mówiła mi, że powinnam okazywać taki sam hart ducha – bunt przeciw bólowi, stawianie czoła przeciwnościom – czy tylko rozkoszowała się wstrząsającymi szczegółami? Bez wątpienia jedno i drugie.

Gdy Adelia umarła, trzech chłopcy byli prawie dorośli. Czy tęsknili za matką, czy ją oplakiwali? Jasne, że tak. Jak mogliby nie być jej wdzięczni za poświęcenie? Co prawda, trzymała ich na krótkiej smyczy, tak krótkiej, jak tylko mogła. Kiedy ją pochowano, smycz musiała się jednak poluzować.

Żaden z trzech synów nie zamierzał zajmować się guzikami, do których pogardę odziedziczyli po matce, choć nie odziedziczyli jej zmysłu praktycznego. Wiedzieli, że pieniądze nie rosną na drzewach, ale mieli kilka znakomitych pomysłów na to, gdzie mogą rosnąć. Norval – mój ojciec – uznał, że zajmie się prawem, a potem ewentualnie polityką, gdyż miał plany naprawy kraju. Dwaj pozostali chcieli podróżować: po ukończeniu college'u przez Percy'ego zamierzali udać się na ekspedycję poszukiwawczą do Ameryki Południowej po złoto. Szeroki świat kusił.

Kto więc miał się zająć fabryką Chase'a? Czy nie miało być Chase'a i Synów? Jeśli nie, to po co Benjamin urabiał sobie ręce po łokcie? Dotąd przekonywał się, że robi to nie tylko dla własnej ambicji, własnego pragnienia – ale dla jakiegoś szczytnego celu. Zgromadził dziedzictwo i chciał je przekazać, z pokolenia na pokolenie.

Niejedna dyskusja przy stole, nad kieliszkiem porto, musiała rozbrzmiewać wyrzutami. Ale chłopcy się zaparli. Nie da się zmusić młodego człowieka, żeby poświęcił życie produkcji guzików, jeśli tego nie chce. Nie planowali rozczarowywać ojca, nie celowo, ale także nie chcieli wziąć na swoje barki ciężkiego, wyczerpującego brzemienia przyziemności.

Ślubna wyprawa

Kupiłam już nowy wentylator. Części przybyły w wielkim kartonowym pudle, a zmontował je Walter, który przyniósł swoją skrzynkę z narzędziami i wszystkim skręcił.

– Teraz powinna działać – powiedział, gdy skończył.

Dla Waltera wentylatory są rodzaju żeńskiego, tak jak zepsute silniki samochodowe, lampy i radia – przedmioty wszelkiego autoramentu, zabawki mężczyzn, którzy dobrze sobie radzą ze sprzętem mechanicznym i potrafią go przywrócić do stanu używalności. Dlaczego mnie to pokrzepia? Może wierzę, w jakimś dzieciennym, wypełnionym wiarą zakątku samej siebie, że Walter wyjmie kiedyś kombinerki i wiertarkę i zrobi to samo ze mną.

Wysoki wentylator stoi w sypialni. Zaniósłam stary na dół, na werandę, gdzie ustawiłam go tak, by wiał w tył mojej szyi. To miłe uczucie, ale denerwujące, jak gdyby ręka chłodnego powietrza spoczywała delikatnie na moim ramieniu. Tak przewietrzona, siadam przy drewnianym stole, skrobiąc długopisem. Nie, nie skrobiąc – długopisy nie skrobią. Słowa toczą się gładko i bezszelstnie po kartce; najtrudniej zmusić je, by wypłynęły z ręki, tak trudno wycisnąć je z palców.

Już prawie zapadł zmierzch. Nie ma wiatru; dźwięk wody rozbrzmiewający w ogrodzie przypomina długi oddech. Błękitne kwiaty zlewają się z powietrzem, czerwone są czarne, białe lśnią, fosforyzują. Tulipany zrzuciły płatki, zostawiając gołe słupki – czarne, podobne do ryjków, seksualne. Peonie też już się kończą, przemoczone i w nieładzie jak wilgotna chusteczka, ale lilie zakwitły: tak jak floks. Ostatnie jaśminy zrzuciły kwiaty, zasypując trawę białym konfetti.

W lipcu 1914 roku moja matka poślubiła mojego ojca. Uważałam, że to wymaga wyjaśnień, zważywszy na wszystkie okoliczności.

Największą nadzieję pokładałam w Reenie. Kiedy dorosłam na tyle, żeby interesować się takimi sprawami – miałam dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzynaście lat – siadywałam przy kuchennym stole i usiłowałam coś z niej wyciągnąć.

Miała mniej niż siedemnaście lat, gdy zatrudniono ją w Awilionie na pełny etat, przybyła z baraków na południowym brzegu Jogues, gdzie mieszkali robotnicy. Mówiła, że jest Szkotką i Irlandką, nie irlandzką katoliczką, oczywiście, co oznaczało, że miała katolickich przodków. Zaczęła jako moja opiekunka, ale w rezultacie zmian i tarć stała się naszą opoką. Ile miała lat? Nie twoja sprawa. Tyle, żeby wiedzieć lepiej. I dosyć już o tym, mówiła. Wypytywana o własne

życie, zamykała się w sobie. Zachowuję to dla siebie, mówiła. Jak roztropne wydawało mi się to kiedyś. Jak żałosne teraz.

Ale Reenie знаła rodzinne historie, przynajmniej częściowo. To, co mi mówiła, różniło się w zależności od mojego wieku, a także od stopnia jej roztargnienia. Tak czy inaczej, w ten sposób zdołałam zebrać wystarczająco wiele fragmentów przeszłości, żeby ją odtworzyć, a ta rekonstrukcja musiała przypominać prawdę w takim stopniu, w jakim mozaikowy portret przypomina oryginał. I tak nie pragnęłam realizmu: chciałam, żeby wszystko było bardzo kolorowe, naszkicowane prostą kreską, bez dwuznaczności. Tego oczekuje większość dzieci, kiedy idzie o ich rodziców. Chcą pocztówki.

Mój ojciec oświadczył się (mówiła Reenie) podczas łyżwiarskiej zabawy. W górę rzeki od wodospadów znajdowała się zatoczka – staw przy starym młynie – gdzie woda płynęła trochę wolniej. Podczas mrozów tworzyła się tam warstwa lodu na tyle gruba, żeby dało się jeździć na łyżwach. Tam kościelne kółka młodych ludzi urządzały łyżwiarskie zabawy, których nie nazywano zabawami, lecz spotkaniami.

Moja matka była metodystką, a ojciec anglikaninem; matka znajdowała się więc niżej na drabinie społecznej, a wtedy miało to znaczenie. (Gdyby żyła babka Adelia, nie dopuściłaby do ślubu – a może uznałam tak później. Dla niej moja matka stałaby za nisko – byłaby też zbyt pruderyjna, zbyt poważna, zbyt prowincjonalna. Adelia zawlokłaby mojego ojca do Montrealu i skojarzyłaby go co najmniej z debiutantką {6}. Z kimś lepiej ubranym).

Moja matka była młoda, miała zaledwie osiemnaście lat, ale nie była głupią trzpiotką, mówiła Reenie. Uczyla w szkole; wtedy można było uczyć, nawet jeśli się nie skończyło dwudziestu lat. Nie musiała tego robić: jej ojciec pracował jako prawnik w fabryce Chase'a i byli „całkiem zamożni”. Jednak tak jak jej matka, która umarła, gdy córka miała dziewięć lat, moja matka poważnie traktowała swoją religię. Wierzyła, że powinno się pomagać tym, którym się gorzej wiedzie. Uważała uczenie biednych za rodzaj misji, mówiła z podziwem Reenie. (Reenie często podziwiała te uczynki mojej matki, których sama nie spełniała, gdyż uznawała je za zbyt głupie. Co do biednych, wyrosła wśród nich i uważała ich za nieudaczników. Możesz ich uczyć, aż zsiniejesz ze złości, ale skończysz, tłukąc głową w mur, mawiała. Ale twoja matka, błogosławić jej dobre serce, nigdy tego nie rozumiała).

Zdjęcie z seminarium nauczycielskiego w Londynie w stanie Ontario przedstawia moją matkę i dwie inne dziewczyny – stoją na frontowych schodach internatu, śmiejąc się i obejmując. Zimowy śnieg leży w stertach po obu stronach; z dachu zwisają sople lodu. Matka ma na sobie futro z foki; spod kapelusza wyzierają końcówki jej cienkich włosów. Już wtedy musiała mieć to pincenez, które poprzedza zapamiętane przeze mnie sowie okulary – wcześniej została krótkowidzem – ale nie włożyła go do zdjęcia. Widać jedną z jej nóg w wy-

kończonych futrem butach, kostka jest kokieteryjnie wygięta. Wygląda odważnie, wręcz zuchwale, jak młodociana poszukiwaczka przygód.

Po maturze podjęła pracę w jednoizbowej szkole, dalej na zachód i północ, tam gdzie wtedy była dziewicza ziemia. Wstrząsnęło nią to doświadczenie – bieda, ignorancja, wszy. Dzieci zaszywano w bieliznę jesienią i nie rozszywano do wiosny, szczególnie, który zapadł mi w pamięć jako niezwykle plugawy. Oczywiście, mówiła Reenie, to nie było miejsce dla takiej damy jak twoja matka.

Ale moja matka czuła, że coś osiąga – coś robi – przynajmniej dla kilkorga z tych nieszczęśliwych dzieci, albo miała nadzieję, że to robi; potem przyjechała do domu na Boże Narodzenie. Komentowano jej bladłość i szczupłość; żądano, by na jej policzkach pojawiły się rumieńce. Znalazła się więc na łyżwiarskiej zabawie, na zamrzniętym stawie przy młynie w towarzystwie mojego ojca. Najpierw zawiązał jej łyżwy, przyklękając na kolanie.

Znali się od pewnego czasu dzięki swoim szanowanym ojcom. Odbyły się wcześniejsze, przyzwoite spotkania. Grali razem w ostatnich ogrodowych przedstawieniach Adelii – on był Ferdynandem, ona Mirandą w ocenzonej wersji *Burzy*, z której niemal wyrzucono i seks, i Kalibana. Matka w jasnoróżowej sukni, mówiła Reenie, z wieńcem róż; wymawiała słowa doskonale, niczym anioł. „Jak jest wspaniały świat nowy, co żywi takich mieszkańców!”^{7} I to rozkojarzone spojrzenie jej oslepionych, przejrzystych, krótkowzrocznych oczu. Można się domyślić, jak do tego doszło.

Mój ojciec mógł poszukać gdzie indziej żony z większymi pieniędzmi, ale pragnął wypróbowanej i wiernej osoby, kogoś, na kim można polegać. Mimo odwagi – a kiedyś bez wątplenia miał odwagę – był poważnym młodym człowiekiem, mówiła Reenie, dając do zrozumienia, że w innym wypadku moja matka by go odrzuciła. Oboje byli na swój sposób poważni; chcieli osiągnąć jakiś wartościowy cel, zmienić świat na lepszy. Co za złudne, co za niebezpieczne pomysły!

Kiedy kilkakrotnie objechali staw na łyżwach, ojciec poprosił matkę, żeby za niego wyszła. Podejrzewam, że zrobił to niezręcznie, ale niezręczność u mężczyzny była wtedy oznaką szczerości. W tamtej chwili, choć musieli się dotykać ramionami i biodrami, żadne nie patrzyło na drugie; jechali bokiem do siebie, prawe ręce połączone z przodu, lewe z tyłu. (W co była ubrana? Reenie i to wiedziała. Niebieski szalik zrobiony na drutach, szkocki beret z pomponem i rękawiczki, też zrobione na drutach, do kompletu. Sama je zrobiła. Zimowe palto spacerowe, myśliwska zieleń. Chusteczka wsunięta do rękawa – nigdy jej nie zapominała, zdaniem Reenie, w przeciwieństwie do innych, których mogłaby wskazać palcem).

Co robiła moja matka w tym kluczowym momencie? Wpatrywała się w lód. Nie odpowiedziała od razu. To oznaczało zgodę.

Otaczały ich pokryte śniegiem skały i białe sople – wszystko białe. Pod ich

nogami znajdował się lód, także biały, a pod nim rzeczna woda, ze swoimi wirami i przeciwprądami, ciemna, lecz niewidoczna. Tak sobie wyobrażałam tamten moment, zanim jeszcze Laura i ja przyszyliśmy na świat – tak czysty, tak niewinny, pozornie tak solidny, ale jednak cienki lód. Pod powierzchnią rzeczy kryło się niewypowiedziane, kipiąc powoli.

Potem pojawił się pierścionek i ogłoszenie w gazetach; a później – gdy matka wróciła po zakończeniu roku szkolnego – zaczęły się formalne podwieczorki. Były pięknie przygotowane, serwowano zwijane kanapki ze szparagami, kanapki z rzeżuchą i trzy rodzaje ciasta – jasne, ciemne i owocowe – a herbatę podawano w srebrnej zastawie. Stół dekorowano różami: białymi, różowymi czy może jasnożółtymi, ale nie czerwonymi. Czerwone nie nadawały się na podwieczorki zaręczynowe. Dlaczego? Dowiesz się później, mówiła Reenie.

Potem była ślubna wyprawa. Reenie lubowała się w wyliczaniu szczegółów – koszule nocne, peniuary zdobione koronką, powłóczki na poduszki z wyhaftowanym monogramem, pościel i halki. Opowiadała o szafach, szufladach i szafkach na bieliznę, i jakie rzeczy powinny w nich leżeć, starannie poskładane. Nie wspominała o ciałach, na których te materiały miały ostatecznie zostać udrapowane: dla Reenie śluby były przede wszystkim kwestią ubrań, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Potem pozostało jeszcze sporządzenie listy gości, wypisanie zaproszeń, wybór kwiatów, i już było wesele.

A potem, po weselu, przysła wojna. Miłość, później małżeństwo, następnie katastrofa. W wersji Reenie wydawało się to nieuchronne.

Wojna wybuchła w sierpniu 1914 roku, wkrótce po ślubie moich rodziców. Wszyscy trzej bracia natychmiast się zaciągnęli, nie mieli żadnych wątpliwości. Teraz to zdumiewające, ten brak wątpliwości. Zostało ich zdjęcie, pięknego tercetu w mundurach, z poważnymi, naiwnymi czołami i cienkimi wąsami, o nonszalanckich uśmiechach i bystrych oczach, chłopców przebranych za żołnierzy, którymi się jeszcze nie stali. Ojciec jest najwyższy. Zawsze trzymał tę fotografię na biurku.

Wstąpili do Królewskiego Pułku Kanadyjskiego, do którego zawsze wstępowali mieszkańcy Port Ticonderoga. Niemal natychmiast wysłano ich na Bermudy, żeby złuzowali stacjonujący tam pułk brytyjski, i tak pierwszy rok wojny spędzili na paradach i grze w krykieta. A także na czekaniu na prawdziwą wojnę, jak twierdzili w listach.

Dziadek Benjamin gorliwie czytał te listy. Gdy czas mijał, bez zwycięstwa żadnej ze stron, stawał się coraz bardziej roztrzęsiony i niepewny. Nie tak miało być. Ironia polegała na tym, że jego interes kwitł. Ostatnio poszerzył się o celuloid i gumę do produkcji guzików, co zwiększyło obroty. Politycznym kontaktom, które nawiązał dzięki pomocy Adelii, zawdzięczał, że jego fabryki otrzymywały

wielką liczbę zleceń dla armii. Był uczciwy jak zawsze, nie dostarczał lichych towarów, w tym sensie nie dorobił się na wojnie. Trudno jednak powiedzieć, żeby się nie wzbogacił.

Wojna jest dobra dla przemysłu guzikarskiego. Tak wiele guzików na niej ginie i trzeba je zastąpić – całe pudła, całe wózki guzików naraz. Rozpadają się, przysypuje je ziemia, stają w płomieniach. To samo można powiedzieć o bieliznie. Z finansowego punktu widzenia wojna to cudowny ogień; olbrzymia, alchemiczna pożoga, z której dym zamienia się w pieniądze. Tak było w wypadku mojego dziadka. Nie cieszyło to już jednak jego duszy ani nie wzmacniało jego przekonania o własnej prawości, jak to bywało we wcześniejszych, bardziej satysfakcjonujących latach. Chciał, żeby jego synowie wrócili. Nie dlatego, że trafili już w jakieś niebezpieczne rejony: wciąż tkwili na Bermudach, maszerując dookoła w słońcu.

Po miesiącu miodowym (w Finger Lakes, w stanie Nowy Jork) rodzice postanowili mieszkać w Awilionie, dopóki nie będą mogli sobie pozwolić na własny dom, i matka została tam, żeby prowadzić gospodarstwo mojego dziadka. Brakowało im ludzi, gdyż każda sprawna para rąk potrzebna była albo w fabryce, albo w armii, ale także dlatego, że uważano, że Awilion powinien dać dobry przykład i zredukować wydatki. Matka nalegała na proste posiłki – potrawka w środy, gotowana fasola w niedzielne wieczory – co odpowiadało mojemu dziadkowi. Tak naprawdę nigdy nie przepadał za wymyślnymi daniami Adelii.

W sierpniu 1915 roku Królewski Pułk Kanadyjski dostał rozkaz powrotu do Halifaksu, by stamtąd wyruszyć do Francji. Zatrzymał się w porcie na ponad tydzień, gromadząc zapasy i nowych rekrutów oraz wymieniając tropikalne mundury na cieplejsze ubrania. Mężczyzn zaopatrzone w karabiny Rossa, które się potem zacięły w błocie, w związku z czym żołnierze byli bezradni.

Moja matka pojechała pociągiem do Halifaksu, żeby odprowadzić ojca. Pociąg zapchany był mężczyznami jadącymi na front; nie mogła dostać sypialnego, więc podróżowała na siedząco. W przejściach tkwiły nogi, tobołki i spluwaczki; słyszała kasłanie, chrapanie – bez wątplenia pijackie chrapanie. Gdy popatrzyła na chłopięce twarze wokół siebie, zrozumiała prawdziwą wojnę, nie jej ideę, lecz fizyczny byt. Jej młody mąż mógł zginąć. Jego ciało mogło obumrzeć; zostać rozdarte na strzępy, mogło stać się częścią ofiary, którą – teraz to się stało jasne – trzeba będzie złożyć. Wraz z tą świadomością przyszła rozpacz i paniczny strach, ale także – jestem przekonana – trochę ponurej dumy.

Nie wiem, gdzie oboje zatrzymali się w Halifaksie ani na jak długo. W porządnym hotelu czy – ze względu na brak miejsc – w taniej spelunie, w portowej noclegowni? Na kilka dni, na noc czy na parę godzin? Co się między nimi działo, co sobie powiedzieli? Sądzę, że zwyczajne rzeczy, ale jakie? Już się nie dowiem. Potem statek wraz z pułkiem wypłynął – to był „s/s Caledonian” – a moja matka stała u wejścia do portu z innymi żonami, machając i szlochając. A

może nie szlochała: uznałaby to za zbytne folgowanie sobie.

Gdzieś we Francji. Nie umiem opisać, co się tutaj dzieje, pisał mój ojciec, i nawet nie będę próbował. Możemy tylko ufać, że ta wojna toczy się w dobrym celu i że dzięki niej cywilizacja przetrwa i się rozwinie. Ofiary są (wykreślone słowo) rozliczne. Dotąd nie wiedziałem, do czego zdolni są ludzie. Tego, co trzeba znosić, nie da się (wykreślone słowo). Codziennie myślę o wszystkich w domu, zwłaszcza o Tobie, najdroższa Liliano.

W Awilionie moja matka zabrała się do roboty. Wierzyła w służbę społeczną; czuła, że musi zakasać rękawy i zrobić coś pożytecznego dla wysiłku wojennego. Zorganizowała koło pomocy, które zbierało pieniądze z wyprzedaży rzeczy używanych. Przeznaczano je na małe paczki z tytoniem i słodyczami, wysyłane następnie do okopów. Dla tych działań otwierała progi Awilionu, co (mówiła Reenie) źle zrobiło podłogom. Poza wyprzedażami, co wtorek w salonie jej grupa robiła na drutach rzeczy dla żołnierzy – nowicjuszek myjki, średnio zaawansowane szaliki, ekspertki kominiarki i rękawiczki. Wkrótce doszedł kolejny batalion rekrutek, w czwartki – starszych, mniej odczytanych kobiet z południa Jogues, które potrafiły robić na drutach nawet we śnie. One dziergały ubranka niemowlęce dla Ormian, podobno głodujących, i dla tych, których się nazywało zagranicznymi uchodźcami. Po dwóch godzinach robienia na drutach serwowano skromny posiłek w jadalni z Tristanem i Izoldą spoglądającymi ponuro w dół.

Kiedy okaleczeni żołnierze zaczęli się pokazywać na ulicach i w szpitalach w pobliskich miasteczkach – w Port Ticonderoga nie było jeszcze szpitala – moja matka ich odwiedzała. Wybierała najcięższe przypadki – mężczyzn, którzy (mówiła Reenie) raczej nie wygraliby żadnych zawodów piękności – a po tych wizytach wracała wyczerpana i wstrząśnięta. Czasem nawet szlochała w kuchni, pijąc kakao, które Reenie przygotowywała, żeby jej pomóc. Reenie twierdziła, że matka się nie oszczędzała. Zrujnowała sobie zdrowie. Za dużo brała na swoje barki, zwłaszcza zważywszy na jej stan.

Za jakąż cnotę uważano niegdyś ten sposób życia – branie za dużo na swoje barki, nieoszczędzanie się, rujnowanie sobie zdrowia! Nikt nie rodzi się z taką bezinteresownością: można ją nabyć jedynie dzięki bezustannej dyscyplinie, miazdzeniu naturalnej skłonności, i gdy nadeszła moja kolej, ten talent czy jego tajemnica musiały zniknąć. A może nie próbowałam ich rozwinąć, cierpiąc przez to, co owa bezinteresowność wyrządziła mojej matce.

Co do Laury, nie była bezinteresowna, wcale nie. Po prostu była zbyt uczuciowa, a to zupełnie coś innego.

Urodziłam się na początku czerwca 1916 roku. Niedługo potem Percy zginął podczas intensywnego bombardowania pod Ypres, a w lipcu Eddie zmarł nad Sommą. Właściwie uznano go za zmarłego; tam, gdzie widziano go po raz

ostatni, pozostał tylko wielki krater. To były trudne przeżycia dla mojej matki, ale jeszcze trudniejsze dla dziadka. W sierpniu miał rozległy wylew, który zaatakował ośrodek mowy i pamięć.

Moja matka nieoficjalnie przejęła zwierzchnictwo nad fabrykami. Stała między moim dziadkiem – podobno powracającym do zdrowia – i wszystkimi innymi, codziennie spotykała się z sekretarzem i brygadzystami z fabryki. Jedyna rozumiała – albo tylko twierdziła, że rozumie – co mówi mój dziadek, została więc jego tłumaczką; i tylko jej wolno było trzymać go za rękę, kierować nią, gdy się podpisywał: kto powie, że czasem sama nie decydowała?

Nie obyło się bez problemów. Na początku wojny kobiety stanowiły jedną szóstą robotników. Pod koniec ich liczba wzrosła do dwóch trzecich. Pozostali mężczyźni byli albo starzy, albo częściowo okaleczeni, albo z innych powodów niezdolni do służby wojskowej. Nie podobała im się dominacja kobiet, zrzędzili i opowiadali wulgarne dowcipy, kobiety z kolei uważały ich za słabeuszy i próżniaków i odnosiły się do nich ze źle ukrywaną pogardą. Naturalny porządek rzeczy – to, co moja matka uważała za naturalny porządek – wywrócił się do góry nogami. Jednak płace były dobre, a pieniądze nie śmierdzą, więc ogólnie rzecz biorąc, dzięki matce wszystko toczyło się dosyć wartko.

Wyobrażam sobie dziadka, siedzącego nocą w bibliotece, w pokrytym zieloną skórą i nabijanym mosiężnymi gwoździami fotelu przy mahoniowym biurku. Jego palce są złączone, te z ręki z czuciem z tymi z ręki bez czucia. Nasłuchuje czyichś kroków. Drzwi są na wpół otwarte; widzi za nimi cień. Mówi: „wejdz” – usiłuje to powiedzieć – ale nikt nie wchodzi ani nikt nie odpowiada.

Pojawia się szorstka pielęgniarka. Pyta go, o czym myśli, siedząc tak w ciemnościach. Dziadek słyszy dźwięk, ale nie słowa, to raczej przypomina kłanie; nie odpowiada. Ona bierze go pod ramię, z łatwością podnosi z fotela, wlecze do łóżka. Jej białe spódnice szeleszczą. Dziadek słyszy suchy wiatr, wiejący wśród zachwaszczonych jesiennych pól. Słyszy szept śniegu.

Czy wiedział, że jego dwaj synowie nie żyją? Czy pragnął, by znów ożyli, bezpiecznie wrócili do domu? Czy czekałby go smutniejszy koniec, gdyby jego życzenie się ziściło? Mogłoby tak być – często tak jest – ale takie myśli nie przynoszą ukojenia.

Gramofon

Wczoraj wieczorem jak zwykle oglądałam kanał pogodowy. Wszędzie na świecie szaleją powodzie: zmaczone, brązowe wody, przepływające wzdęte krowy, rozbitkowie ściśnięci na dachach domów. Tysiące ludzi utonęło. To wina efektu cieplarnianego: mówi się, że ludzie muszą przestać spalać rzeczy. Benzynę, ropę, całe lasy. Ale nie przestaną. Napędza ich chciwość i głód, jak zawsze.

Na czym skończyłam? Odwracam stronę; wciąż szaleje wojna. Szaleje, tak wtedy mówili o wojnach; z tego, co wiem, nadal tak mówią. Na tej stronie jednak, świeżej, czystej stronie, zakończę wojnę, ja sama, pociągnięciem czarnego, plastikowego długopisu. Muszę tylko napisać: 11 listopada 1918. Zawieszenie broni.

I już. Po wojnie. Umilkły działa. Ocaleli mężczyźni patrzą w niebo, z brudnymi twarzami, w brudnych ubraniach; wychodzą ze swoich jednoosobowych okopów i brudnych nor. Obie strony czują, że przegrały. W miastach, na wsiach, tu i za oceanem, zaczynają bić wszystkie kościelne dzwony. (Pamiętam bicie dzwonów. Jedno z moich pierwszych wspomnień. To było takie dziwne – powietrze pełne dźwięków, a jednocześnie puste. Reenie wyprowadziła mnie na dwór, żeby posłuchać. Po jej twarzy spływały łzy. Bogu dzięki, powiedziała. Było chłodno, na opadłych liściach pojawił się szron, warstewka lodu na oczku wodnym. Rozbiłam ją patykiem. Gdzie była matka?).

Ojca raniono nad Sommą, ale wyzdrowiał i został podporucznikiem. Następnie postrzelono go pod Vimy, ale niezbyt ciężko, i awansował na kapitana. Potem odniósł obrażenia w lesie Bourlon, tym razem poważniejsze. Kiedy przebywał na rekonwalescencji w Anglii, wojna się skończyła.

Ominęła go radosna ceremonia na cześć powracających wojsk w Halifaksie, parady zwycięstwa i temu podobne, ale w Port Ticonderoga urządzono mu specjalne powitanie. Pociąg stanął. Rozległy się wiwaty. Wyciągnęły się ręce, żeby pomóc ojcu, po czym się zawahały. Pokazał się. Miał tylko jedno zdrowe oko i jedną zdrową nogę. Jego twarz była wymizerowana, cała w bliznach, zacięta.

Pożegnania mogą być wstrząsające, ale powroty z pewnością są jeszcze gorsze. Konkretny człowiek nigdy nie dorasta do jasnego cienia rzucanego przez swoją nieobecność. Czas i odległość zacierają kontury; wtedy nagle pojawia się ukochany, w bezlitosnym świetle południa, i doskonale widać każdy pryszcz, por i zmarszczkę.

Oto moja matka i mój ojciec. Jak każde z nich mogło odpokutować przed

drugim to, że tak bardzo się zmieniło? Że nie jest takie, jak oczekiwano? Jak mogli nie czuć urazy? Urazy cichej i niesprawiedliwej, bo nie było winnego, nikogo nie można było wskazać palcem. Wojna to nie osoba. Jak można winić huragan?

Oto stoją na peronie. Gra miejska orkiestra, głównie na instrumentach dętych. On jest w mundurze; medale wyglądają jak dziury w materiale, spod którego widać zmatowiały odbłask prawdziwego, metalowego ciała. Obok jego niewidzialni bracia – dwaj utraceni chłopcy, ci, o których myśli, że ich utracił. Matka stoi tam w najlepszej sukience, z paskiem i wyłogami, i w kapeluszu z karbowaną wstążką. Uśmiecha się niepewnie. Żadne z nich nie wie, co robić. Aparat reportera gazety oślepia ich błyskiem; gapią się, jak przyłapani na zbrodni. Mój ojciec nosi czarną przepaskę na prawym oku. Lewe oko łśni zło-wrogo. Pod przepaską, jeszcze nie odsłoniętą, znajduje się pajęczyna pokrytego bliznami ciała, a jego brakujące oko to pajak.

„Powraca bohaterski spadkobierca Chase’a”, oznajmiała gazeta. Jeszcze jedno: mój ojciec jest teraz spadkobiercą, co oznacza, że stracił nie tylko braci, ale i ojca. Królestwo znalazło się w jego rękach. Przypomina błoto.

Czy moja matka płakała? Możliwe. Musieli się niezręcznie pocałować, jak na jarmarku dobroczynnym, na który ojciec trafił przypadkiem. Nie to zapamiętał, nie tę zaradną, zmęczoną kobietę z pince-nez jak u jakiejś starej panny, łśniącym na srebrnym łańcuszku na jej szyi. Teraz byli sobie obcy i – musieli im to przyjąć do głowy – zawsze tacy byli. Jak ostro świeciło słońce. Jak bardzo się zestarzeni. Nie został nawet ślad po młodym człowieku, który niegdyś z takim szacunkiem klęczał na lodzie, by zawiązać jej łyżwy, ani po młodej kobiecie, która z takim wdziękiem przyjęła jego hold.

Pomiędzy nimi zmaterializowało się coś jeszcze, niczym miecz. Oczywiście, miał inne kobiety. Te, które kręciły się koło pola bitwy i korzystały. Kurwy, gdyby użyć słowa, którego moja matka nigdy by nie wypowiedziała. Musiała się zorientować od razu, kiedy położył na niej rękę: bojaźliwość i szacunek zniknęły. Prawdopodobnie opierał się pokusie na Bermudach, potem w Anglii, aż do czasu, gdy Eddie i Percy zginęli, a on sam został ranny. Po tym uczepił się życia, w jakiegokolwiek postaci znalazło się w jego zasięgu. Jak mogłaby nie zrozumieć jego potrzeby, zważywszy na okoliczności?

Rzeczywiście rozumiała, rozumiała przynajmniej, że powinna rozumieć. Rozumiała i nie powiedziała na ten temat ani słowa, modliła się o siłę, by wybaczyć, faktycznie wybaczyła. Ale okazało się, że dla niego życie z jej przebaczeniem nie jest takie proste. Śniadanie w oparach wybaczenia: kawa z wybaczeniem, owsianka z wybaczeniem, wybaczenie na posmarowanym masłem toście. Był wobec tego zupełnie bezradny, bo jak można odciąć się od czegoś, co nigdy nie zostało wypowiedziane? Miała też pretensje do pielęgniarki czy wielu pielęgniarek, które opiekowały się moim ojcem w rozmaitych szpitalach. Chcia-

ła, żeby zawdzięczał swoje wyzdrowienie tylko jej – jej opiece, jej niestrudzone-
mu poświęceniu. To druga strona bezinteresowności: tyrania.

Tak czy inaczej, mój ojciec wcale nie był taki zdrowy. Właściwie był wra-
kiem człowieka, o czym świadczyły krzyki w ciemnościach, nocne koszmary,
nagłe napady wściekłości, miska czy szklanka rzucona o ścianę lub podłogę,
choć nigdy w matkę. Był zepsuty i wymagał naprawy: a zatem matka mogła się
jeszcze przydać. Tworzyła wokół niego atmosferę spokoju, spełniała jego za-
chcianki, rozpieszczała go, kładła kwiaty na stole, przy którym jadał śniadania, i
przygotowywała mu ulubione obiady. Przynajmniej nie złapał jakiegś brzydkiej
choroby.

Jednakże stało się coś o wiele gorszego: mój ojciec był teraz ateistą. Nad
okopami Bóg pękł jak balon i nie zostało z niego nic prócz niechlujnych, małych
strzępków hipokryzji. Religia była jedynie kijem do bicia żołnierzy, a każdy, kto
twierdził coś innego, opowiadał zdewociałe brednie. Czemu miała służyć wa-
lecność Percy’ego i Eddi’ego – ich męstwo, ich okropna śmierć? Co przez to
osiągnięto? Zginęli przez głupotę bandy niekompetentnych starych zbrodniarzy,
którzy równie dobrze mogli poderżnąć im gardła i wyrzucić ich za burtę „s/s
Caledonian”. Cała ta gadanina o walce w imię Boga i cywilizacji doprowadzała
ojca do wymiotów.

Moja matka była zbulwersowana. Czyżby twierdził, że Percy i Eddie zginęli
na próżno? Że wszyscy ci biedni mężczyźni umarli po nic? Co do Boga, któż
inny wspierał ich w tym czasie próby i cierpienia? Błagała go, żeby przynaj-
mniej zachował swój ateizm dla siebie. Potem bardzo się wstydziła, że o to pro-
si – jak gdyby najbardziej liczyło się dla niej zdanie sąsiadów, a nie związek, w
którym żywa dusza mojego ojca staje w obliczu Boga.

Uszanował jednak jej życzenie. Widział taką potrzebę. Poza tym mówił te
rzeczy, tylko kiedy pił. Przed wojną nigdy nie pił, nie w regularny, zdetermino-
wany sposób, teraz jednak zaczął. Pił i chodził po pokojach, ciągnąc za sobą
chorą nogę. Po jakimś czasie zaczynał się trząść. Moja matka próbowała go
uspokoić, ale on nie chciał być uspokajany. Wspinał się na niską, szeroką wieżę
Awilionu, mówiąc, że zamierza zapalić. Tak naprawdę był to pretekst, żeby
mógł zostać sam. Na górze mówił do siebie i rzucał się na ściany, a potem upijał
do nieprzytomności. W tym celu opuszczał towarzystwo mojej matki, gdyż we
własnym mniemaniu nadal był dżentelmenem albo trzymał się resztek tego
przebrania. Nie chciał jej przerazić. Poza tym źle się czuł. Podejrzewam, że jej
opieka, choć sprawowana w dobrej wierze, tak działała mu na nerwy.

Lekki krok, ciężki krok, lekki krok, ciężki krok, jak zwierzę z jedną nogą w
pułapce. Jęki i stłumione krzyki. Rozbite szkło. Te dźwięki mnie budziły: podłoga
wieny znajdowała się nad moim pokojem.

Potem odgłos kroków na schodach; potem cisza, czarny zarys sylwetki zbliz-
żający się do zamkniętego prostokąta drzwi od mojej sypialni. Nie widziałam go

tam, ale wyczuwałam, niezgrabnego potwora z jednym okiem, to takie przykre. Przywykłam do tych odgłosów, nie bałam się, że zrobi mi krzywdę, ale i tak traktowałam go z ostrożnością.

Nie chciałam dać do zrozumienia, że robił tak co noc. Poza tym te seanse – może raczej ataki – z biegiem czasu stawały się coraz rzadsze i słabsze. Można było jednak przewidzieć, że nadchodzą, gdy się patrzyło na zaciśnięte usta mojej matki. Miała coś w rodzaju radaru, przechwytywała fale zbierającej się w nim wściekłości.

Czy chcę powiedzieć, że jej nie kochał? Ależ skąd. Kochał ją; pod pewnymi względami był jej oddany. Nie mógł jednak do niej dotrzeć, a z jej strony wyglądało to tak samo. Zupełnie jakby napili się jakiejś śmiertelnej trucizny, która na zawsze miała ich trzymać z dala od siebie, mimo że mieszkali w tym samym domu, jedli przy tym samym stole, spali w tym samym łóżku.

Jak to by było – tęsknić za kimś, pragnąć kogoś, kto znajduje się tuż pod twoim nosem, dzień w dzień? Nigdy się nie dowiem.

Po kilku miesiącach ojciec zaczął swoje podejrzone wycieczki. Nie w naszym mieście jednak, nie z początku. Wyjeżdżał pociągiem do Toronto, „w interesach”, i szedł się upijać, a także lampartować, jak wtedy mawiano. Wieść rozeszła się zdumiewająco szybko, jak zwykle rozchodzą się skandaliczne nowiny. Dziwne, ale zarówno moja matka, jak i ojciec byli z tego powodu bardziej szanowani w mieście. Któż mógł go winić, zważywszy na okoliczności? Co do niej, choć musiała przez to przechodzić, nikt nigdy nie usłyszał słowa skargi z jej ust. I tak właśnie powinno być.

(Skąd wiem o tym wszystkim? Nie wiem, nie w zwykłym rozumieniu tego słowa. Ale w domach takich jak nasz często więcej odkrywa się w ciszy niż w słowach – w zaciśniętych ustach, w odwróconych głowach, w szybkich, ukradkowych spojrzeniach. W przygarbionych ramionach, jakby dźwigających wielki ciężar. Nic dziwnego, że zaczęliśmy podsłuchiwać pod drzwiami, Laura i ja).

Mój ojciec miał zestaw lasek ze specjalnymi rączkami – z kości słoniowej, srebra, hebanu. Przywiązywał wielką wagę do starannego ubioru. Nigdy nie przypuszczał, że skończy, zarządzając rodzinnym interesem, ale skoro tak się stało, zamierzał robić to dobrze. Mógł wszystko sprzedać, ale, jak się okazało, nie było kupców, nie wtedy i nie za proponowaną przez niego cenę. Czuł także, że ma zobowiązania, jeśli nie wobec pamięci swojego ojca, to wobec zmarłych braci. Zmienił nagłówek na papierze firmowym na „Chase i Synowie”, choć został tylko jeden syn. Sam chciał mieć synów, najlepiej dwóch, żeby zastąpili tych straconych. Chciał kontynuować tradycję.

Mężczyźni w jego fabrykach początkowo wręcz go czcili. Nie chodziło jedynie o medale. Gdy tylko wojna dobiegała końca, kobiety odsunęły się na bok lub je tam zepchnięto, a ich stanowiska zajęli powracający mężczyźni – to znaczy

ci mężczyźni, którzy wciąż mogli pracować. Nie było jednak wystarczająco wielu miejsc pracy; wojenne zapotrzebowanie już się skończyło. W całym kraju zaczęto zamykać fabryki i zwalniać ludzi, ale nie u ojca. Zatrudniał ludzi, zbyt wielu ludzi. Zatrudniał weteranów. Twierdził, że niewdzięczność kraju jest nikczemna i że biznesmeni powinni teraz zapłacić część tego, co kraj jest winien ludziom. Niewielu tak jednak robiło. Byli ślepi na te nieszcześnie. Mój ojciec, który rzeczywiście był ślepy na jedno oko, nie chciał udawać ślepcy. Tak zyskał reputację renegata i trochę głupca.

Pozornie byłem dzieckiem ojca. Przypominałem bardziej jego niż matkę; odziedziczyłem po nim chmurną minę, uparty sceptycyzm. (Tak jak, dużo później, medale). Reenie mawiała – kiedy zachowywałam się klnąbnie – że mam trudny charakter i wie, po kim. Z kolei Laura była córką mojej matki. Cechowała ją pobożność; miała wysokie, jasne czoło.

Pozory jednak myślą. Ja nigdy nie zjechałabym z mostu. Mój ojciec mógłby to zrobić. Matka nie.

No i mamy jesień 1919 roku, nasza trójka – ojciec, matka i ja – bardzo się staramy. Jest listopad, zbliża się pora snu. Siedzimy w pokoju dziennym w Awilionie. Jest tam kominek, płonie ogień, bo zrobiło się zimno. Moja matka wraca do zdrowia po niedawnej tajemniczej chorobie, która podobno miała coś wspólnego z jej nerwami. Ceruje ubrania. Nie musi tego robić – mogłaby kogoś zatrudnić – ale chce; lubi czymś zająć ręce. Przyszywa guzik oderwany od jednej z moich sukienek: podobno niszczy ubrania. Na okrągłym stoliku przy jej łokciu stoi wykończony turówką koszyk z przyborami do szycia, upleciony przez Indian, z jej nożyczkami, jej szpulkami nici i jej drewnianym grzybkim do cerowania; są tam także jej nowe okrągłe okulary, na wszelki wypadek; nie potrzebuje ich do szycia ani do cerowania.

Ma błękitną sukienkę z szerokim białym kołnierzem i białymi mankietami, wykończoną stebnowką. Jej włosy zaczęły przedwcześnie siwieć. Nie zamierza ich ufarbować, tak samo jak nie zamierza obciąć sobie ręki, więc jej twarz to twarz młodej kobiety w gnieździe puchu ostu. Włosy rozdzielone są pośrodku przedziałkiem i spływają w szerokich, sprężystych falach do misternego węzła skrętów i zwojów z tyłu głowy. (Kiedy umarła pięć lat później, były uczesane w kok, modniejszy i mniej rzucający się w oczy). Ma opuszczone powieki, zaokrąglone policzki, podobnie jak brzuch; jej półuśmiech jest czuły. Elektryczna lampa z żółto-różowym abażurem rzuca łagodną poświatę na jej twarz.

Po przeciwnej stronie na sofie siedzi mój ojciec. Opiera się o poduszki, ale jest niespokojny. Trzyma dłoń na kolanie chorej nogi; noga podskakuje i opada. (Zdrowa noga, chora noga – te określenia mnie interesują. Co zrobiła chora noga, że zachorowała? Czy jej ukryty, okaleczony stan to kara za coś złego?).

Siadam obok niego, choć nie za blisko. Jego ręka spoczywa na wezglówiu

sofy za mną, ale mnie nie dotyka. Mam ze sobą elementarz; czytam mu z niego, aby pokazać, że potrafię czytać. Tak naprawdę nie potrafię, zapamiętałam tylko kształt liter i słowa, które pasują do obrazków. Na stoliku z tyłu stoi gramofon, z głośnikiem wykwitającym z niego niczym olbrzymi metalowy kwiat. Mój własny głos brzmi dla mnie jak głos wydobywający się czasem z głośnika: słaby, cienki i odległy; coś, co można wyłączyć ruchem palca.

*A jak arbuz
Smaczny jak lód,
Jednym nie wystarczy
Inni mają w bród.*

Zerkam na ojca, żeby sprawdzić, czy w ogóle zwraca na mnie uwagę. Czasem, kiedy się do niego mówi, nie słyszy. Przyłapuje mnie na tym spojrzeniu i uśmiecha się niewyraźnie.

*B jest jak bobo
Różowe, prześliczne,
Ma dwie małe rączki
I oczka komiczne.*

Mój ojciec powrócił do wyglądania przez okno. Czy wyobrażał sobie, że stoi za tym oknem i zagląda do środka? Sierota, zawsze osobno – nocny wędrowiec? Przecież podobno właśnie o to walczył – o tę idyllę przy kominku, tę przyjemną scenę wprost z reklamy płatków zbożowych: o zarumienioną żonę, taką miłą i dobrą, o posłuszne, pełne uwielbienia dziecko. O tę monotonię, tę nudę. Czyżby odczuwał tęsknotę za wojną, mimo jej odoru i bezsensownej rzezi? Za tym bezdyskusyjnym instynktownym życiem?

*I jest jak iskra,
Z niej wybucha pożar.
Wiele domów strawił,
Niejedno już pożarł.*

Obrazek w książce przedstawia skaczącego mężczyznę całego w płomieniach – skrzydła ognia wyrastają z jego stóp i ramion, małe ogniste rogi z jego głowy. Spogląda przez ramię z niegodziwym, kuszącym uśmiechem, i nie ma na sobie ubrania. Ten ogień nie może zrobić mu krzywdy, nic nie może zrobić mu krzywdy. Za to go kocham. Kredkami dorysowałam dodatkowe płomienie.

Moja matka przyszywa guzik, odcina nitkę. Brnę głosem pełnym rosnącego niepokoju przez niezwykle grzeczne M i N, dziwaczne Q, twarde R i syczące

zmory S. Mój ojciec wpatruje się w płomienie, widzi w nich pola, lasy, domy, miasta, ludzi i braci odchodzących z dymem, a jego chora noga porusza się sama, niczym psie łapy podczas snu o bieganiu. Zimny, cytrynowy zachód słońca za oknem blaknie do szarości. Jeszcze tego nie wiem, ale wkrótce urodzi się Laura.

Dzień chleba

Za mało deszczu, mówią farmerzy. Suche, monotonne dźwięki cykad przerywają powietrze; kurz wiruje na drogach; w zarośniętych chwastami zagonach na poboczach ćwierkają koniki polne. Liście klonów zwieszają się z gałęzi niczym puste rękawiczki; na chodniku skwierczy mój cień.

Wychodzę wcześniej, zanim słońce zacznie grzać na całego. Lekarz mnie podjudza: robię postępy, twierdzi; ale w czym? Myślę o swoim sercu jak o towarzyszu nie kończącego się przymusowego marszu, oboje jesteśmy powiązani jak niechętni konspiratorzy w jakimś spisku czy akcji, której nie potrafimy przeprowadzić. Dokąd zmierzamy? Do następnego dnia. Nie uszło mojej uwagi, że to, co trzyma mnie przy życiu, jest tym samym, co mnie zabije. Pod tym względem przypomina to miłość, pewien rodzaj miłości.

Dziś znowu poszłam na cmentarz. Ktoś zostawił na grobie Laury bukiet pomarańczowych i czerwonych cynii; kwiaty w gorących kolorach, bynajmniej nie kojące. Więdy już, kiedy do nich dotarłam, choć wciąż wydzielały pieprzowy zapach. Podejrzewam, że zostały skradzione z klombów przed fabryką guzików przez ubogą albo przynajmniej lekko stukniętą wielbicielek; ale w końcu Laura też zrobiłaby coś takiego. Miała bardzo niejasne pojęcie o własności.

W drodze powrotnej zatrzymałam się w cukierni; na ulicach robiło się coraz goręcej i zapragnęłam skryć się w cieniu. Cukiernia bynajmniej nie jest nowa; właściwie to jest niemal zapuszczona, mimo swojej radosnej nowoczesności – jasnożółtych kafelków, białych plastikowych stolików przykręconych do podłogi, z dopasowanymi krzesłami. Kojarzy mi się z jakąś instytucją; może przedszkolem w biedniejszej dzielnicy albo ośrodkiem pomocy dla niepełnie zdrowych na umyśle. Nie ma tu zbyt wielu rzeczy, którymi można by rzucać czy dźgać; nawet sztuczce wykonano z plastiku. Czuć odór oleju do głębokiego smażenia, wymieszanego z sosnowym środkiem dezynfekującym, a nad wszystkim unosi się zapach letniej kawy.

Kupiłam małą mrożoną herbatę i staroświeckie ciastko z lukrem, które skrzypiało w moich zębach jak styropian. Kiedy zjadłam połowę, tyle, ile zdołałam, ruszyłam po śliskiej podłodze do damskiej toalety. Podczas spacerów opracowywałam w głowie mapę wszystkich łatwo dostępnych toalet w Port Ticonderoga – bardzo użyteczne w razie nagłej potrzeby – i ta w cukierni to moja ulubiona, nie dlatego, że jest czystsza od innych albo lepiej zaopatrzona w papier toaletowy, ale dlatego, że są tam napisy. Wszędzie są, ale w większości lokali często się je zamalowuje, podczas gdy w cukierni pozostają na ścianach o wiele dłużej. Dzięki temu można przeczytać nie tylko tekst, ale także komentarz

do niego.

Obecnie najlepsze są teksty w środkowej kabinie. Pierwsze zdanie napisano ołówkiem, zaokrąglonym charakterem pisma, jak na rzymskich grobach, mocno wrytym w farbę: Nie jedź niczego, czego nie potrafiłabyś zabić.

Poniżej zielonym flamastrem: Nie zabijaj niczego, czego nie potrafiłabyś zjeść.

Poniżej długopisem: Nie zabijaj.

Poniżej fioletowym flamastrem: Nie jedź.

A pod tym, najnowsze jak dotąd, śmiałymi czarnymi literami: Pieprzyć wegetarian – Wszyscy bogowie są mięsożerni – Laura Chase.

Tak więc Laura żyje.

Laura bardzo długo przychodziła na ten świat, mówiła Reenie. Zupełnie jakby nie mogła się zdecydować, czy to rzeczywiście taki dobry pomysł. Na początku była chora i niemal ją straciliśmy – pewnie wciąż się wahała. Ale w końcu postanowiła spróbować, uczepliła się życia i wydobrzała.

Reenie wierzyła, że ludzie sami decydują, kiedy umrzeć; podobnie mają prawo wybrać, czy chcą, czy też nie chcą się urodzić. Kiedy weszłam w fazę odszczekiwania się, mawiałam:

Nie prosiłam się na ten świat, jakby to był argument nie do odparcia; a Reenie odpowiadała: Oczywiście, że tak. Jak wszyscy inni. Po przyjsciu na świat miało się przechlapane, przynajmniej zdaniem Reenie.

Po urodzeniu Laury matka była bardziej zmęczona niż zwykle. Obniżyła loty, straciła prężność. Jej wola osłabła, matka z trudem brnęła przez kolejne dni. Lekarz twierdził, że musi więcej wypoczywać. Nie jest zdrową kobietą, mówiła Reenie do pani Hillcoate, która przychodziła pomagać przy praniu. Zupełnie jakby moją dawną matkę ukradły elfy, a ta druga matka – starsza, bardziej siwa, zapadnięta i zniechęcona – zajęła jej miejsce. Miałam wtedy tylko cztery lata i byłam przerażona tą zmianą, chciałam, żeby mnie przytulała i pocieszała; ale matce zabrakło już na to energii. (Dlaczego mówię: już? Jako matka zawsze stawiała raczej na pouczanie niż przytulanie. W głębi serca pozostała nauczycielką).

Wkrótce odkryłam, że jeśli będę milczała, nie będę zwracała na siebie uwagi, a przede wszystkim, jeśli pomogę – zwłaszcza przy niemowlaku, przy Laurze, pilnując jej i huśtając kołyską, żeby spała, co przychodziło jej z trudem i na krótko – będę mogła przebywać w tym samym pomieszczeniu co moja matka. Jeśli nie, zostanie odesłana. Taki był mój kompromis: milczenie, pomoc.

Powinłam była wrzeszczeć. Powinłam była wpadać w złość. Smaruje się tylko skrzypiące koła, jak mawiała Reenie.

(Znalazłam się więc na nocnym stoliku mojej matki, w srebrnej ramce, w ciemnej sukience z białym koronkowym kołnierzem, z ręką zacisniętą mocno,

kurczowo, na szydełkowym kocu niemowlęcia, z oczyma oskarżającymi aparat fotograficzny czy tego, kto go trzymał. Laury prawie nie widać na tym zdjęciu. Można zobaczyć tylko czubek jej pokrytej meszkiem głowy i jedną drobną rączkę z palcami zaciśniętymi na moim kciuku. Czy byłam zła, bo kazano mi trzymać niemowlę, czy też w rzeczywistości go broniłam? Ochroniałam je – nie chciałam go puścić?).

Laura była niespokojnym niemowlęciem, tak, raczej niespokojnym niż marudnym. Była też niespokojnym dzieckiem.

Niepokoili ją zamknięte drzwi i szuflady. Zupełnie jakby bez przerwy nasłuchiwała czegoś w oddali czy pod podłogą – czegoś, co zbliżało się bezszelestnie, jak pociąg zrobiony z wiatru. Miała nie wyjaśnione kryzysy – martwa wrona doprowadzała ją do płaczu, tak jak kot rozjechany przez samochód czy ciemna chmura na pogodnym niebie. Z drugiej strony, przejawiała niesamowitą odporność na ból fizyczny; kiedy poparzyła usta albo się skaleczyła, zazwyczaj nie płakała. To zła wola, zła wola kosmosu ją przygnębiała.

Szczególnie niepokoili ją okaleczeni weterani na rogach ulic – próźniacy, sprzedawcy ołówków, żebracy, zbyt zniszczeni, żeby pracować. Pewien rażąco czerwony na twarzy mężczyzna bez nóg, poruszający się na niskim wózku, zawsze doprowadzał ją do takiego stanu. Może przez wściekłość, którą miał w oczach.

Jak większość małych dzieci, Laura rozumiała wszystko dosłownie, ale popadała w skrajność. Nie można było jej powiedzieć: „Spadaj” albo „Rzuć się do jeziora” i nie spodziewać się konsekwencji. Co powiedziałaś Laurze? Nigdy się nie nauczysz? – karciała Reenie. Ale nawet Reenie się nie nauczyła. Kiedyś powiedziała Laurze, żeby ugryzła się w język, bo to powstrzyma jej pytania, a potem Laura przez wiele dni nie mogła żuć.

Teraz dochodzę do śmierci mojej matki. Zabrzmie strasznie banalnie, gdy powiem, że wszystko się zmieniło, ale tak było naprawdę, więc to napiszę:

Wszystko się zmieniło.

To się stało we wtorek. W dzień chleba. Nasz chleb – tyle, by wystarczyło na cały tydzień – piekło się w kuchni w Awilionie. Chociaż w Port Ticonderoga pojawiła się już mała piekarnia, Reenie mówiła, że chleb ze sklepu jest dla leni i że z oszczędności piekarz dodaje kredy i za dużo drożdży, żeby bochenki napu-chły, a ludzie myśleli, że dostają więcej. Sama piekła chleb.

Kuchnia w Awilionie nie wyglądała jak okopcony wiktoriańska jaskinia, którą musiała być trzydzieści lat wcześniej.

Urządzono ją w bieli – białe ściany, biały emaliowany stół, biały piec kuchenny z drewnianymi szczapami, podłoga pokryta czarno-białymi kafkami – z żółty-

mi jak żonkile zasłonami na nowych, powiększonych oknach. (Odnowiono je po wojnie – był to jeden z nieśmiałych, pojednawczych prezentów ojca dla matki). Reenie uważała kuchnię za ostatni krzyk mody i pouczona przez moją matkę o zarazkach, ich okropnych zwyczajach i schowkach, utrzymywała ją w nienagannej czystości.

W dni chleba Reenie dawała nam kawałki ciasta na chlebowe ludziki, o oczach i guzikach z rodzynków. Potem piekla je dla nas. Ja zjadałam swoje ludziki, ale Laura swoje oszczędzała. Kiedyś Reenie znalazła cały rząd ludzików w górnej szufladzie Laury, twardych jak skała, owiniętych chusteczkami niczym maleńkie mumie o bułczanych twarzach. Reenie powiedziała, że zwabią myszy i muszą powędrować prosto do śmieci, ale Laura domagała się zbiorowego pogrzebu w ogrodzie warzywnym, za liśćmi rabarbaru. Jeśli nie, nigdy więcej nie zje obiadu. Zawsze trudno się z nią negocjowało, kiedy już się tego nauczyła.

Reenie wykopała dziurę. Tego dnia ogrodnik miał wolne; posłużyła się jego łopatą, co było zabronione, ale uznała, że to nagły wypadek.

– Boże, zlituj się nad jej mężem – powiedziała Reenie, kiedy Laura ułożyła swoich chlebowych mężczyzn w schludnym rzędku. – Jest uparta jak osioł.

– I tak nie będę miała męża – oznajmiła Laura. – Zamieszkam sama w garażu.

– Ja też nie będę miała męża – dodałam, żeby nie pozostać w tyle.

– Nie ma szans – odparła Reenie. – Lubicie sypiać w miękkim łóżku. A tak będziecie musiały spać na betonie i pobrudzicie się smarem i olejem.

– Ja zamieszkam w cieplarni – powiedziałam.

– Już się jej nie ogrzewa – stwierdziła Reenie. – Zimą zamarzłabyś na śmierć.

– A ja będę sypiać w jednym z samochodów – powiedziała Laura.

W ten okropny wtorek zjadłyśmy śniadanie w kuchni, z Reenie. Dostałyśmy owsiankę i tosty z marmoladą. Czasem jadałyśmy z matką, ale tego dnia czuła się bardzo zmęczona. Matka była bardziej surowa, zmuszała nas do siedzenia prosto i zjadania skórek od tostów.

– Pamiętajcie o głodujących Ormianach – mawiała.

Być może wtedy Ormianie już nie głodowali. Wojna skończyła się dawno temu, przywrócono porządek. Jednak ich trudne położenie pozostało w umyśle matki jako rodzaj hasła. Hasła, wezwania, modlitwy, zaklęcia. Skórki z tostów trzeba zjadać ku pamięci tych Ormian, kimkolwiek byli; zostawianie równało się świętokradztwu. Laura i ja musiałyśmy rozumieć powagę tego zaklęcia, bo zawsze skutkowało.

Tego dnia matka nie zjadła swoich skórek. To pamiętam. Laura przyczepiła się do niej za to: – Co ze skórkami, co z głodującymi Ormianami? – aż w końcu matka przyznała, że niezbyt dobrze się czuje. Kiedy to powiedziała, poczułam,

jak przebiega przeze mnie dreszcz, bo wiedziałam. Wiedziałam to przez cały czas.

Reenie mówiła, że Bóg tworzy ludzi tak, jak ona robi chleb, i dlatego brzuchy mam rosnać, kiedy na świat ma przyjść dziecko: tak rosło ciasto. Mówiła, że dołki w jej policzkach to odciski bożych kciuków. Mówiła, że ma trzy dołeczki, a niektórzy ludzie nie mają żadnego, bo Bóg nie uczynił nas równymi – przecież by Go to po prostu znudziło – porozdzielał więc wszystko nierówno. Nie wydawało się to sprawiedliwe, ale w końcu się takie okazywało.

Laura miała wtedy sześć lat, ja zaś dziewięć. Wiedziałam, że dzieci biorą się z ciasta na chleb – to była historyjka dla takich jak Laura maluchów. Mimo to nie udzielono mi dokładnych wyjaśnień.

Popołudniami matka siadywała w oknie i robiła na drutach. Robiła sweterek, jak te, które wciąż przygotowywała dla zagranicznych uchodźców. Czy ten też był dla uchodźcy? Chciałam to wiedzieć. Może, odpowiadała z uśmiechem. Po jakimś czasie zapadała w drzemkę, jej powieki opadały ciężko, a okrągłe okulary zjeżdżały z nosa. Mówiła nam, że ma oczy dookoła głowy i stąd wie, kiedy robimy coś złego. Wyobrażałam sobie, że te oczy są płaskie, błyszczące i bezbarwne, jak okulary.

Tak długie spanie popołudniami do niej nie pasowało. Wiele rzeczy do niej nie pasowało. Laura się nie przejmowała, ale ja tak. Dodawałam dwa do dwóch, z tego, co mi mówiono i co podsłuchałam. Mówiono mi: „Twoja matka potrzebuje odpoczynku, więc nie możesz pozwalać, żeby Laura wchodziła jej na głowę”. Podsłuchałam (Reenie do pani Hillcoate): „Lekarz nie jest zadowolony. Walczą ze sobą. Oczywiście, ona się do tego nie przyzna, ale nie jest zdrowa. Niektórzy mężczyźni nie potrafią sobie odpuścić”. Wiedziałam więc, że moja matka znalazła się w jakimś niebezpieczeństwie i ma to coś wspólnego z jej zdrowiem i moim ojcem, choć wciąż nie byłam pewna, co to za niebezpieczeństwo.

Mówiłam, że Laura się nie przejmowała, ale uparczywie trwała przy matce częściej niż zwykle. Siadywała ze skrzyżowanymi nogami w chłodnym miejscu pod oknem, gdy matka odpoczywała, albo obok jej krzesła, gdy pisała listy. Kiedy matka była w kuchni, Laura lubiła siedzieć pod kuchennym stołem. Przywłókla tam poduszkę i elementarz, ten, który kiedyś należał do mnie. Miała mnóstwo rzeczy, które kiedyś należały do mnie.

Laura umiała już czytać, a przynajmniej umiała już czytać elementarz. Najbardziej lubiła literę L, bo to była jej litera, L jak Laura. Ja nigdy nie miałam ulubionej litery – I jak Iris – bo I to litera dla każdego.

*L jest jak lilia
Tak czysta i biała;*

Za dnia się rozbudza,
W nocy zaś by spała.

Obrazek w książce przedstawiał dwoje dzieci w staroświeckich słomkowych kapeluszach, obok lilii wodnej, na której siedzi wróżka – całkiem naga, ze lśniącymi, przejrzystymi skrzydełkami. Reenie mawiała, że gdyby natknęła się na coś takiego, załatwiłaby to paczką na muchy. Mówiła to do mnie żartem, ale nie powiedziała tego Laurze, bo Laura mogłaby to potraktować poważnie i zacząć się martwić.

Laura była inna. Inna znaczy dziwna, tyle wiedziałam, ale męczyłam Reenie.

– Co to znaczy inna?

– Nie taka sama jak inni ludzie – odpowiadała Reenie.

Może jednak Laura nie różniła się od innych ludzi. Może była taka sama – taka sama jak jakaś dziwna, wypaczona część w nich, którą większość ludzi – w przeciwieństwie do Laury – ukrywała. Może dlatego właśnie Laura ich przerażała. Bo rzeczywiście ich przerażała – a jeśli nawet nie przerażała, to w pewien sposób niepokoiła, w miarę dorastania coraz bardziej, oczywiście.

Wtorkowy poranek, kuchnia. Reenie i matka piekły chleb. Nie: Reenie piekła chleb, a matka piła herbatę. Reenie powiedziała matce, że nie zdziwi się, jeśli później trochę pogrzi, powietrze jest takie ciężkie, i czy matka nie powinna siedzieć w cieniu albo się położyć; ale matka stwierdziła, że nienawidzi nicnierobienia. Powiedziała, że przez to czuje się bezużyteczna; powiedziała, że lubi dotrzymywać towarzystwa Reenie.

Jeśli chodziło o Reenie, matka mogła równie dobrze chodzić po wodzie, bo Reenie i tak nie była w stanie jej rozkazywać. Matka siedziała więc i popijała herbatę, podczas gdy Reenie stała przy stole, wyrabiając ciasto na chleb, napięrając na nie obiema rękami, zwijając je, obracając, zgniatając. Jej dłonie pokryte były mąką; wyglądała, jakby miała białe rękawiczki z mąki. Mąka znajdowała się też na obrębie jej fartucha. Reenie miała półkola z potu pod pachami, przyciemniające żółte stokrotki na jej domowej sukience. Niektóre bochenki leżały w formach, przykryte czystymi, mokrymi ściereczkami. Zapach wilgotnych grzybów wypełniał pomieszczenie.

W kuchni było duszno, gdyż w piecu paliło się sporo węgla, a poza tym pannaował upał. Przez otwarte okno wdierała się fala gorąca. Mąka na chleb pochodziła z wielkiej beczki ze spizarni. Nie wolno było się wspinać na tę beczkę, bo mąka mogła dostać się do nosa i ust i udusić. Reenie знаła dziecko, które roździeństwo wsadziło do beczki z mąką, do góry nogami, i które prawie się udusiło.

Laura i ja siedziałyśmy pod kuchennym stołem. Czytałam ilustrowaną książkę dla dzieci *Wielcy ludzie w historii*. Napoleon przebywał na wygnaniu na

Wyspie Świętej Heleny, stał na skale z rękami w kieszeniach. Pomyślałam, że boli go brzuch. Laura była niespokojna. Wyczołgała się spod stołu, żeby się napić wody.

– Chcesz trochę ciasta na ludzika z chleba? – zapytała Reenie.

– Nie – odparła Laura.

– Nie, dziękuję – poprawiła ją matka.

Laura z powrotem wczołgała się pod stół. Widziałyśmy dwie pary stóp, szczupłe matki i szersze Reenie, w jej ciężkich butach, jedno i drugie w różowo-brązowych pończochach. Słyszałyśmy stłumione odgłosy przewracanego i ugniatanego ciasta. Nagle filiżanka z herbatą rozbiła się na drobne kawałki, matka leżała na podłodze, a Reenie kłęczała obok niej.

– Dobry Boże – powtarzała. – Iris, przyprowadź ojca.

Pobiegłam do biblioteki. Dzwonił telefon, ale ojca tam nie było. Wspięłam się po schodach do jego wieży, zazwyczaj zakazanego miejsca. Drzwi były otwarte; w środku stało tylko krzesło i parę popielniczek. Nie było go w salonie ani w pokoju dziennym, ani w garażu. Pomyślałam, że musiał pójść do fabryki, ale nie miałam pewności, jak tam trafić, a poza tym fabryka znajdowała się za daleko. Nie wiedziałam, gdzie go szukać.

Wróciłam do kuchni i wśliznęłam się pod stół, gdzie siedziała Laura, ściskając kolana. Nie płakała. Na podłodze było coś, co wyglądało jak krew, jak jej ślad, ciemnoczerwone krople na białych kafkach. Dotknęłam tego palcem, polizałam – to była krew. Wzięłam szmatę i wytarłam płytki.

– Nie patrz – powiedziałam Laurze.

Po chwili Reenie zesza tylnymi schodami, podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła po lekarza – nie było go, wólczył się gdzieś, jak zwykle. Potem zadzwoniła do fabryki i zażądała rozmowy z ojcem. Nie wiedzieli, gdzie jest.

– Proszę go poszukać. Proszę mu przekazać, że to nagły wypadek – powiedziała.

Następnie znowu pobiegła na górę. Zupełnie zapomniała o chlebie, który za bardzo wyrósł, a później opadł, i już się do niczego nie nadawał.

– Nie powinna była siedzieć w tej gorącej kuchni – powiedziała Reenie do pani Hillcoate. – Nie w taką pogodę, i to przy nadchodzącej burzy, ale ona się nie oszczędzała, nie można jej było kazać.

– Bardzo cierpiała? – zapytała pani Hillcoate współczującym, pełnym zainteresowania głosem.

– Bywało gorzej – odparła Reenie. – Dzięki Bogu. Wyśliznęło się jak kociak, ale straciła wiadra krwi. Musimy spalić materac, nie wiem, jak mielibyśmy go doprać.

– Cóż, zawsze może mieć następne – powiedziała pani Hillcoate. – Tak musiało być. Może było z nim coś nie w porządku.

– Z tego, co wiem, to nie – stwierdziła Reenie. – Lekarz mówi, że powinna

dać sobie spokój, następnie mogłoby ją zabić, to prawie zabiło.

– Niektóre kobiety nie powinny wychodzić za mąż – oznajmiła pani Hillcoate. – Nie nadają się do tego. Trzeba być silną. Moja matka miała dziesięcioro i nawet nie mrugnęła okiem. Chociaż nie wszystkie przeżyły.

– Moja miała jedenaścioro – powiedziała Reenie. – To ją wpędziło do grobu.

Wiedziałam z doświadczenia, że to wstęp do dyskusji o trudach życia matek i że zaraz zaczną mówić o praniu. Wzięłam Laurę za rękę i podreptałyśmy do tylnych schodów. Martwiłyśmy się, ale odczuwałyśmy także ciekawość: chciałyśmy się dowiedzieć, co się stało matce, ale chciałyśmy też zobaczyć tego kocia. Był tam, obok sterty nasiąkniętych krwią prześcieradeł na posadzce w holu przed pokojem matki, w emaliowanej misce. Ale to nie był kotek. To było szare jak stary, ugotowany ziemniak, o zbyt dużej głowie: całkiem zwinięte. Miało zaciśnięte powieki, jak gdyby raziło je światło.

– Co to jest? – wyszeptwała Laura. – To nie kotek.

Przykucnęła, zaglądając do środka.

– Chodźmy na dół – powiedziałam.

Lekarz nadal był w pokoju, słyszałyśmy jego kroki. Nie chciałam, żeby nas przyłapał, bo wiedziałam, że nie wolno nam oglądać tego stworzenia; że nie powinniśmy go były widzieć. Zwłaszcza Laura – był to taki widok jak przejechałe zwierzę, który z zasady prowokował ją do krzyku, a wtedy wina spadały na mnie.

– To dziecko – powiedziała Laura. – Nie dokończone. – Była zdumiewająco spokojna. – Biedactwo. Nie chciał się urodzić.

Późnym popołudniem Reenie zabrała nas do matki. Leżała w łóżku, oparta na dwóch poduszkach; szczupłe ręce położyła na kółdrze; jej siwiejące włosy były przezroczyste, obrączka błyszczała na lewej ręce; dłonie matki ścisnęły kółdrę po jej bokach. Miała zaciśnięte usta, jak gdyby się nad czymś zastanawiała; tak wyglądała, kiedy przygotowywała listy gości. Przez opuszczone powieki jej oczy wydawały się większe, niż kiedy były otwarte. Okulary matki leżały na nocnym stoliku, obok dzbanka z wodą, a oba szkła lśniły pusto.

– Śpi – wyszeptwała Reenie. – Nie dotykajcie jej.

Matka uniosła powieki. Jej usta zadrżały; palce dłoni bliżej nas się rozluźniły.

– Możecie ją uściskać – powiedziała Reenie – ale nie za mocno.

Zrobiłam, jak mi kazała. Laura gwałtownie wcisnęła głowę pod pachę matki. W powietrzu czuć było delikatny lawendowy zapach wykrochmalonej pościeli, zapach mydła matki, a pod tym ostry zapach rdzy, zmieszany z słodko-kwaśną wonią wilgotnych, lecz tłących się liści.

Matka zmarła pięć dni później. Umarła z powodu gorączki, a także ze słabości, bo nie mogła odzyskać sił, mówiła Reenie. W tym czasie lekarz przychodził i

wychodził, a fotel w sypialni zajmowały kolejne rzeźkie, szorstkie pielęgniarki. Reenie biegła po schodach z miskami, ręcznikami i filizankami rosółu. Ojciec kursował bez wychnienia między fabryką a domem i pojawiał się przy stole wymizerowany niczym żebrak. Gdzie przebywał owego popołudnia, gdy nie można go było znaleźć? Nikt nie wyjaśnił.

Laura kucała w korytarzu na górze. Kazano mi się z nią bawić, żeby nic jej się nie stało, ale ona nie chciała. Siedziała, obejmując rękami kolana i opierając na nich brodę, z zamyślnym, tajemniczym wyrazem twarzy, jakby ssała cukierek. Nie wolno nam było jeść cukierków. Kiedy pokazała, co ma w ustach, okazało się, że to okrągły biały kamyk.

Podczas tego ostatniego tygodnia pozwalano mi widywać matkę każdego ranka, choć tylko przez kilka minut. Nie wolno mi było odzywać się do niej, gdyż (jak powiedziała Reenie) majaczyła. Miała wystające kości policzkowe; pachniała mlekiem i czymś surowym, zjełczałym, jak brązowy papier, w którym dostarczano mięso.

Dąsałam się podczas tych wizyt. Widziałam, jak bardzo jest chora, i miałam do niej o to pretensje. Czulałam, że w pewien sposób mnie zdradza – że wymiguje się od swoich obowiązków, że abdykowała. Nie przyszło mi do głowy, że może umrzeć. Wcześniej bałam się takiej możliwości, ale teraz byłam tak przerażona, że przestałam o tym myśleć.

Ostatniego ranka, o którym nie wiedziałam, że będzie ostatni, matka wydała się bardziej sobą. Była jeszcze bardziej wątpła, ale równocześnie obecna. Patrzyła na mnie, jak gdyby mnie widziała.

– Tak tu jasno – wyszeptwała. – Mogłabyś zaciągnąć zasłony?

Zrobiłam, jak mi kazała, po czym znów stanęłam obok jej łóżka, mnąc chusteczkę, którą dała mi Reenie na wypadek, gdybym się rozplakała. Matka wzięła mnie za rękę; jej dłoń była sucha i gorąca, palce przypominały miękki drut.

– Bądź dobrą dziewczynką – powiedziała. – Mam nadzieję, że będziesz dobrą siostrą dla Laury. Wiem, że się starasz.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czulałam, że padam ofiarą niesprawiedliwości: dlaczego to ja zawsze musiałam być dobrą siostrą dla Laury, a nie odwrotnie? Z pewnością moja matka bardziej kochała Laurę niż mnie.

Może tak nie było; może kochała nas tak samo. A może nie miała już energii, by kochać kogokolwiek: przeniosła się ponad to, w lodowatą stratosferę, z dala od ciepłego, gęstego, magnetycznego pola miłości. Nie mogłam sobie jednak czegoś takiego wyobrazić. Jej miłość do nas była oczywista – konkretna i namacalna jak ciastko. Pozostaje tylko pytanie, która z nas miała dostać większy kawałek.

(Co to za wymysł te matki? Strachy na wróble, woskowe laleczki do wbijania szpilek, prymitywne wykresy. Zabraniały im istnienia na własną rękę, wymyślamy je tak, żeby zaspokajały nasze potrzeby – nasz głód, nasze życzenia,

nasze słabości. Teraz, gdy sama byłam matką, wiem).

Moja matka patrzyła na mnie nieruchomo jasnoblękitnym wzrokiem. Jak musiało ją wyczerpywać trzymanie otwartych oczu. Jak odległa musiałam się jej wydawać – daleka, drżąca różowa plamka. Z jakim trudem musiało jej przychodzić koncentrowanie się na mnie! A jednak nie dostrzegałam jej stoicyzmu, jeśli to było właśnie to.

Chciałam jej powiedzieć, że się myli co do moich intencji. Nie zawsze próbowałam być dobrą siostrą: wręcz przeciwnie. Czasami nazywałam Laurę szkodnikiem i mówiłam jej, żeby nie zawracała mi głowy, a zaledwie tydzień wcześniej przyłapałam ją na lizaniu mojej koperty – jednej z moich specjalnych kopert na liściki z podziękowaniami – i powiedziałam, że klej do niej zrobiono z gotowanych koni, przez co Laura dostała torsji i z trudem oddychała. Czasem chowałam się przed nią we wkleśniętym krzaku bzu za cieplarnią, gdzie czytałam książki, palcami zatykając uszy, podczas gdy ona chodziła wokół i mnie szukała, na próżno wykrzykując moje imię. Tak często unikałam kary niemal bez wysiłku.

Nie mogłam jednak znaleźć słów, żeby to wyrazić, tę moją niezgodę na widzenie świata oczami matki. Nie wiedziałam, że zostanę z jej wyobrażeniem siebie; z jej wyobrażeniem mojej dobroci, przypiętym do mnie niczym order i bez szansy, by rzucić go jej w twarz (jak to by się stało między matką a córką – gdyby żyła, kiedy dorastałam).

Czarne wstążki

Dziś słońce zachodzi widowiskowo, blaknie bez pośpiechu. Na wschodzie błyskawica przecina nisko zawieszone niebo, potem rozlega się grzmot jak niespodziewane trzaśnięcie drzwiami. Mimo nowego wentylatora w domu jest jak w piecu. Wyniosłam na zewnątrz lampę; czasem lepiej widzę w półmroku.

W zeszłym tygodniu nic nie napisałam. Straciłam do tego serce. Po co zapisywać takie smutne wydarzenia? Znowu jednak zaczęłam. Kontynuuję moje czarne bazgroły; rozwijają się przede mną długą, ciemną nicią tuszu na stronie, poplątane, lecz czytelne. Czyżby jednak chodziło mi po głowie podpisanie się pod tym? Po tym wszystkim, co zrobiłam, żeby tego uniknąć, Iris, jej podpis, choć okrojony: inicjały wpisane kredą na chodniku, albo pirackie X na mapie, oznaczające plażę, na której zakopano skarb.

Dlaczego tak bardzo chcemy się upamiętnić? Nawet jeszcze za życia. Chcemy zaznaczyć nasze istnienie jak psy siusiące na hydranty przeciwpożarowe. Wystawiamy na pokaz swoje fotografie w ramkach, swoje dyplomy na pergaminie, swoje posrebrzane filiżanki; ozdabiamy monogramami pościel, wycinamy inicjały na drzewach, bazgrzemy je na ścianach toalet. Wszystko pod wpływem tego samego impulsu. Na co liczymy? Na poklask, zazdrość, szacunek? Czy na uwagę, jakiegokolwiek rodzaju?

Chcemy przynajmniej mieć świadka. Nie możemy znieść wyobrażenia własnych głosów, które w końcu umilkną jak radio z wyczerpanymi bateriami.

Dzień po pogrzebie matki posłano mnie wraz z Laurą do ogrodu. Reenie nas tam wygoniła; powiedziała, że musi odpocząć, bo cały dzień była na nogach.

– Jestem u kresu sił – stwierdziła.

Miała fioletowawe smugi pod oczami i domyśliłam się, że płakała, potajemnie, by nikomu nie przeszkadzać, i że zrobi to znowu, kiedy tylko znikniemy.

– Będziemy cicho – powiedziałam.

Nie chciałam wychodzić – było zbyt jasno, zbyt oślepiająco, miałam spuchnięte i zaczerwienione powieki – ale Reenie powiedziała, że musimy i że świeże powietrze dobrze nam zrobi. Nie kazano nam wyjść się pobawić, gdyż w takim krótkim czasie od pogrzebu matki oznaczałoby to brak szacunku. Kazano nam po prostu wyjść.

Poczęstunek po pogrzebie odbył się w Awilionie. Nie nazwano go stypą – stypy wyprawiano po drugiej stronie Jogues, były hałaśliwe i podejrzane, w dodatku zakrapiane. Nie, my mieliśmy poczęstunek. Na pogrzebie pojawiło się mnóstwo ludzi – przyszli robotnicy z fabryki, ich żony, dzieci i oczywiście miej-

scowi notable: bankierzy, urzędnicy, prawnicy, lekarze – ale poczęstunek nie był dla wszystkich, chociaż równie dobrze mógł być. Reenie powiedziała pani Hillcoate, którą zatrudniono do pomocy, że Jezus mógł rozmnożyć chleb i ryby, ale kapitan Chase to nie Jezus i trudno oczekiwać, żeby nakarmił tłumy, choć jak zwykle nie wiedział, kiedy się sprzeciwić, a ona ma tylko nadzieję, że nikt nie zostanie stratowany na śmierć.

Zaproszeni wtoczyli się do domu, pełni szacunku, smętni i ciekawscy. Reenie przeliczyła łyżeczki przed i po i stwierdziła, że powinniśmy byli użyć tych gorszych oraz że niektórzy zabiorą na pamiątkę wszystko, czego się nie przybije do stołu. A zważywszy na to, jak jedli, równie dobrze można było wyłożyć łopaty zamiast łyżeczek.

Mimo to zostało trochę jedzenia – pół szynki, mały stosik ciasteczek, rozmaite napoczęte ciasta – więc Laura i ja po kryjomu wślizgiwałyśmy się do spiżarni. Reenie wiedziała, że to robimy, ale wtedy nie miała dość siły, żeby nas powstrzymać – żeby powiedzieć: „Kolacja nie będzie wam smakowała” albo: „Jeśli nie przestaniecie podjadać w mojej spiżarni, to zamienicie się w myszy”, albo: „Zjedzcie choćby jeszcze jeden kawałek, a pękniecie” – czy wypowiedzieć jedno z innych ostrzeżeń czy przepowiedni, które zawsze potajemnie przynosiły mi pociechę.

Ten jeden raz mogłyśmy napychać się bez kontroli. Zjadłam za dużo ciastek, za dużo plasterków szynki; pochłonęłam też kawał ciasta z owocami. Wciąż miałyśmy na sobie czarne sukienki, zbyt ciepłe. Reenie zaplotła nam ciasne warkoczki i ściągnęła je do tyłu, po czym zawiązała po jednej czarnej, szorstkiej wstążce u góry i u dołu każdego z nich: po cztery poważne czarne motyle.

Na zewnątrz światło słoneczne sprawiło, że zmrużyłam oczy. Nie cierpiałam intensywnej zieleni liści, intensywnej żółci i czerwieni kwiatów, ich tupetu, migotliwego przedstawienia, które urządziły, jakby miały do tego prawo. Chciałam pościnać im głowy, obrócić je w perzynę. Czułam się opuszczona, a także niezadowolona i napuchnięta. Cukier brzęczał mi w głowie.

Laura zapragnęła wspiąć się na sfinksy przed cieplarnią, ale się nie zgodziłam. Potem chciała usiąść koło kamiennej nimfy i obserwować złote rybki. Nie widziałam w tym nic złego. Laura podskakiwała przede mną na trawniku. Była irytująco beztroska, jak gdyby nic ją nie obchodziło; zachowywała się tak przez cały czas podczas pogrzebu matki. Wydawała się zdumiona smutkiem ludzi wokół siebie. Napełniało mnie to tym większą goryczą, że z tego względu ludzie żalowali jej bardziej niż mnie.

– Biedne jagniątko – mówili. – Jest za mała, nie rozumie.

– Mama jest u Boga – twierdziła Laura.

To prawda, tak głosiła oficjalna wersja, zaczerpnięta ze wszystkich wznoszonych modłów; Laura jednak wierzyła w takie rzeczy, nie w dwulicowy sposób jak wszyscy inni, ale ze spokojną naiwnością, przez co miałam ochotę nią

potrzęsnać.

Usiadłyśmy na kamieniach wokół oczka wodnego; liście lilii wodnych lśniły jak mokra zielona guma. Musiałam uświadomić Laurę. Opierała się o kamienną nimfę, machając nogami, maczając palce w wodzie i nucąc pod nosem.

– Nie powinnaś śpiewać – skarciłam ją. – Mama umarła.

– Wcale nie – odparła zadowolona z siebie Laura. – Tak naprawdę nie umarła. Jest w niebie razem z dziadziusem.

Zepchnęłam ją z kamienia. Jednak nie do wody – nie byłam taka głupia. Zepchnęłam ją na trawę. Nie upadła z wysoka, a ziemia była miękka; nie mogła zrobić sobie poważnej krzywdy. Spadła na plecy, po czym przetoczyła się i spojrziała na mnie szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiłam. Jej usta otworzyły się, tworząc idealne O, wyglądała jak dziecko zdmuchujące urodzinowe świece na obrazku w książce. I wtedy zaczęła płakać.

(Muszę przyznać, że byłam zadowolona. Chciałam, żeby i ona cierpiała – tak samo jak ja. Męczyło mnie, że wszystko uchodzi jej na sucho, bo jest taka mała).

Laura podniosła się z trawy i popędziła tylnym podjazdem, drąc się, jakby ją zarzynano. Pobiełam za nią: lepiej, żebym była na miejscu, kiedy natrafi na kogoś z dorosłych i zacznie mnie oskarżać. Biegła niezdarnie; dziwacznie rozczapierzała ręce, jej wrzecionowate, drobne nogi wierzgały, sztywne kokardki drżały na koniuszkach jej warkoczy, a czarna spódnica podskakiwała. Raz się przewróciła i wtedy rzeczywiście zrobiła sobie krzywdę – otarła rękę. Kiedy to zobaczyłam, poczułam ulgę; odrobina krwi zatuszuje moją złośliwość.

Napój

Mniej więcej miesiąc po śmierci matki – nie pamiętam dokładnie kiedy – ojciec powiedział, że zabierze mnie do miasta. Nigdy nie zwracał specjalnej uwagi ani na mnie, ani na Laurę – zostawiał nas matce, potem Reenie – więc poruszyła mnie ta propozycja.

Nie zabrał Laury. Nawet tego nie zaproponował.

Oznajmił o zbliżającej się wycieczce podczas śniadania. Zaczął nalegać, żebyśmy – Laura i ja – jadały śniadania z nim, zamiast jak dotąd w kuchni z Reenie. Siadałyśmy przy jednym końcu długiego stołu, on przy drugim. Rzadko się do nas odzywał: zamiast tego czytał gazetę, a my zbyt go szanowałyśmy, żeby przeszkadzać. (Czciliśmy go, oczywiście. Mogłyśmy albo go czcić, albo nienawdzić. Nie wzbudzał bardziej umiarkowanych uczuć).

Słońce wpadające przez witrażowe okna rzucało na niego kolorowe światło, zupełnie jak gdyby zanurzył się w tuszu do rysowania. Wciąż pamiętam kobalt jego policzka, jaskrawy fiolet jego palców. Laura i ja też miałyśmy takie kolory do swojej dyspozycji. Przesuwałyśmy miseczki z owsianką trochę na lewo, trochę na prawo, i nawet nasze nudne, szare płatki zmieniały barwę na zieloną, niebieską, czerwoną lub fioletową; magiczny pokarm albo zaklęty, albo trujący, w zależności od mojego kaprysu czy nastroju Laury. Potem robiłyśmy do siebie miny podczas jedzenia, ale zachowywałyśmy się przy tym bardzo cicho. Chodziło o to, żeby nie zdradzić się z takim zachowaniem i nie wzbudzić czujności ojca. Cóż, musiałyśmy się jakoś bawić.

Tego niezwykłego dnia ojciec wrócił wcześniej z fabryki i poszliśmy do miasta. Nie było to daleko; wtedy jeszcze nic w mieście nie znajdowało się zbyt daleko od czegoś innego.

Ojciec wolał chodzić, niż jeździć czy dawać się wozić. Podejrzewam, że to z powodu chorej nogi: chciał pokazać, że potrafi. Lubił spacerować po mieście i spacerował mimo kalectwa. Ja dreptałam za nim, usiłując dostosować się do jego nierównego tempa.

– Pójdziemy do Betty – powiedział ojciec. – Kupię ci napój gazowany.

Żadna z tych rzeczy dotąd się nie wydarzyła. Barek Betty był dla ludzi z miasta, nie dla Laury czy dla mnie, mówiła Reenie. Nie wypada zaniżać standardów. Poza tym napoje gazowane to rujnująca słabostka i gniją od nich zęby. To, że dwie zakazane rzeczy zaproponowano mi naraz, i to od niechcenia, sprawiło, że omal nie wpadłam w panikę.

Na głównej ulicy Port Ticonderoga znajdowało się pięć kościołów i cztery

banki, wszystkie z kamienia, wszystkie masywne. Czasem trzeba było przeczytać nazwy tych budowli, żeby je od siebie odróżnić, choć bankom brakowało strzelistych wieżyczek. Berek Betty znajdował się tuż obok jednego z banków. Miał markizę w biało-zielone pasy, a w oknie obrazek potrawy z kurczaka, która wyglądała jak niemowlęcy czepek z ciasta, z koronką po brzegach. W środku światło było żółte i przyćmione, a powietrze pachniało wanilią, kawą i rozpuszczonym serem. Sufit zrobiono z tłoczonej cyny; zwieszały się z niego wentylatory z łopatkami jak w śmigłowcach. Kilka kobiet w kapeluszach siedziało przy małych, zdobionych, białych stolikach; mój ojciec skinął im głową, a one odpowiedziały skinieniem.

Po jednej stronie znajdowały się boksy z ciemnego drewna. Mój ojciec usiadł w jednym z nich, a ja wśliznęłam się na miejsce naprzeciwko niego. Zapytał mnie, czego się napiję, ale nie przywykłam do przebywania z nim sam na sam w miejscu publicznym i to mnie bardzo zawstydzало. Poza tym nie wiedziałam, jakie są napoje. Zamówił więc napój truskawkowy dla mnie i kawę dla siebie.

Kelnerka miała czarną sukienkę, biały czepek i brwi wyskubane do cienkich łuków, a także czerwone usta, lśniące niczym dżem. Nazywała mojego ojca kapitanem Chase, a on zwracał się do niej Agnes. Słyszając to i obserwując, jak ojciec opiera łokcie na stoliku, zrozumiałam, że musi znać to miejsce.

Agnes spytała, czy to jego córeczka, jak miło; rzuciła mi niechętnie spojrzenie. Niemal natychmiast przyniosła mu kawę, chwając się nieco na wysokich obcasach, a kiedy ją stawiała, przelotnie dotknęła jego dłoni. (Zauważyłam ten dotyk, choć nie potrafiłam go jeszcze zinterpretować). Potem przyniosła mój napój, w stożkowatej szklance, wyglądającej jak odwrócone osłe uszy(8); tkwiły w niej dwie słomki. Bąbelki poszły mi do nosa i zażawily mi się oczy.

Ojciec wrzucił kostkę cukru do kawy i zamieszał, po czym zastukał łyżeczką o filiżankę. Patrzyłam na niego znad krawędzi szklanki. Nagle wyglądał inaczej; jak ktoś, kogo nigdy dotąd nie widziałam – słabszy, mniej masywny, ale złożony z większej liczby szczegółów. Rzadko widywałam go z tak bliskiej odległości. Miał zaczesane do tyłu włosy, krótko obcięte po bokach, i lysiał od skroni; jego zdrowe oko było jednolicie niebieskie, jak kartka niebieskiego papieru. Zniszczona, nadal przystojna twarz ojca miała ten sam nieobecny wyraz jak często rankami, przy stole podczas śniadania, jakby nasłuchiwał piosenki albo odległego wybuchu. Jego wąsy wyglądały na bardziej siwe niż wcześniej; gdy się nad tym zastanowiłam, wydawało mi się dziwne, że mężczyznom rośnie na twarzy szczecina, a kobietom nie. Nawet jego codzienne ubranie stało się tajemnicze w przyćmionym świetle o waniliowym zapachu, jak gdyby należało do kogoś innego, a on je tylko pożyczył. Po prostu było na niego o wiele za duże. Skurczył się. Jednocześnie jednak urósł.

Uśmiechnął się do mnie i zapytał, czy smakuje mi napój. Potem znów był

milczący i zamyślony. Później wyjął papierosa ze srebrnej papierońnicy, którą zawsze nosił przy sobie, zapalił go i wydmuchnął dym.

– Jeśli coś się stanie – powiedział w końcu – musisz mi obiecać, że zaopiekujesz się Laurą.

Z powagą pokiwałam głową. Czym było to coś? Co się mogło stać? Obawiałam się jakichś złych wieści, chociaż nie wiedziałam jakich. Może miał wyjechać – wyjechać za granicę. Nie zapomniałam wojennych historii. Ojciec jednak niczego mi nie wyjaśnił.

– Umawiamy się? – zapytał.

Podał mi rękę przez stół; jego dłoń była twarda i sucha niczym uchwyt skórzanej walizki. Niebieskie oko wpatrywało się we mnie, jak gdyby szacując, czy można na mnie polegać. Uniosłam brodę, wyprostowałam ramiona. Rozpaczliwe pragnęłam zasłużyć na jego pochwałę.

– Co można kupić za pięć centów? – zapytał wtedy. Zaskoczył mnie tym pytaniem, język stanął mi kołkiem; nie wiedziałam. Laura i ja nie miałyśmy własnych pieniędzy, bo Reenie twierdziła, że najpierw musimy poznać wartość dolara.

Z wewnętrznej kieszeni ciemnego garnituru wyjął notes oprawiony w skórę i wyrwał z niego kartkę. Potem zaczął mówić o guzikach. Stwierdził, że nigdy nie jest za wcześnie na nauczanie się prostych zasad ekonomii, które będą musiały znać, żeby w przyszłości zachowywać się odpowiedzialnie.

– Przyjmijmy, że zaczynasz od dwóch guzików – powiedział. Mówił, że wydam tyle, ile kosztuje wyprodukowanie dwóch guzików, a mój dochód brutto wyniesie tyle, za ile zdołam je sprzedać; mój czysty zysk będzie różnicą między dochodem brutto a wydatkami w danym okresie. Można zatrzymać część zysku dla siebie i wykorzystać resztę na wyprodukowanie czterech guzików, a potem sprzedać te cztery i wyprodukować osiem. Srebrnym ołówkiem narysował tabelkę; dwa guziki, potem cztery guziki, potem osiem. Guziki mnożyły się na stronie w zaskakującym tempie, a w kolumnie obok nich gromadziły się pieniądze. Przypominało to łuskanie grochu – groch do tej miseczki, strączki do tej. Zapytał mnie, czy rozumiem.

Przeglądałam się badawczo jego twarzy, żeby sprawdzić, czy mówi poważnie. Zbyt często słyszałam, jak nazywa fabrykę guzików pułapką, ruchomymi piaskami, złym fatum, albatrosem, ale mówił tak, gdy był pijany. Teraz był jednak trzeźwy. Nie wyglądał, jakby coś wyjaśniał, tylko jakby przepraszał. Chciał ode mnie czegoś jeszcze poza odpowiedzią na pytanie. Może pragnął, żebym mu wybaczyła, odpuściła mu jakąś zbrodnię; ale co mi zrobił? Nic mi nie przychodziło do głowy.

Czułam się zmieszana, jakbym nie sprostała jego wymaganiom: nie rozumiałam tego, o co mnie prosił lub czego ode mnie żądał. Po raz pierwszy mężczyzna oczekiwał ode mnie więcej, niż mogłam dać, ale nie po raz ostatni.

– Tak – powiedziałam.

Kilka dni przed śmiercią – w jeden z tych przerażających poranków – matka powiedziała coś dziwnego, choć wtedy nie uważałam, że to dziwne. Powiedziała: „Pod tym wszystkim twój ojciec cię kocha”.

Nie miała zwyczaju rozmawiać z nami o uczuciach, a zwłaszcza o miłości – ani własnej, ani nikogo innego z wyjątkiem Boga. Rodzice powinni jednak kochać dzieci, więc musiałam potraktować jej słowa jako zapewnienie; wbrew pozorom mój ojciec był taki sam jak inni ojcowie, czy taki, za jakich ich uważano.

Teraz myślę, że to bardziej skomplikowane. To mogło być ostrzeżenie. To mogło być także brzemię. Nawet jeśli pod tym wszystkim kryła się miłość, przysypała ją sterta czegoś innego, i kto wie, co się znajdzie, kiedy się pokopie? Nie zwykły prezent, ze lśniącego złota: zamiast tego coś starego i być może okropnego, jak żelazny amulet, rdzewiejący wśród starych kości. To swego rodzaju talizman, ta miłość, ale ciężki; ciężko go nosić ze sobą, na żelaznym łańcuchu wokół szyi.

IV

Ślepy zabójca: Kawiarnia

Deszcz jest lekki, ale pada nieprzerwanie od południa. Nad drzewami i ulicami unosi się mgła. Ona mija frontowe okno z namalowaną filiżanką kawy, białą z zielonym szlaczkiem i trzema nitkami pary unoszącymi się nad nią falującymi liniami, jak gdyby trzy zaciśnięte palce ześliznęły się po mokrym szkłe. Na drzwiach napisano łuszczącymi się, złotymi literami KAWIARNIA; ona otwiera i wchodzi do środka, potrząsając parasolem. Jest kremowy, jak jej płaszcz z popeliny. Ściąga kaptur.

On siedzi w ostatnim boksie, obok drzwi wahadłowych do kuchni, tak jak mówił. Ściany pożółkły od dymu z papierosów, ciężkie boksy pomalowano na ponury brązowy kolor, w każdym tkwi pojedynczy wieszak na ubrania. W bokсах siedzą mężczyźni, wyłącznie mężczyźni, w workowatych marynarkach przypominających znoszone koce, bez krawatów, z postrzępionymi włosami, rozkraczonymi nogami i stopami ściśle przylegającymi do podłogi. Ręce jak pnie. Te ręce mogłyby uratować albo zbić na kwaśne jabłko, a oni przy obu czynnościach wyglądałoby jednakowo. Tępe narzędzia o tępych oczach. W pomieszczeniu czuć odór gnijących desek, rozlanego octu i szorstkich wełnianych spodni, starego mięsa i jednego prysznic tygodniowo, oszczędzania, oszukiwania i niechęci. Ona wie, że koniecznie powinna zachowywać się tak, jak gdyby nie poczuła tego odoru.

On podnosi rękę, a inni patrzą na nią podejrzliwie i z potępieniem, gdy śpieszy do niego, a jej obcasy stukają o drewno. Siada naprzeciwko, uśmiecha się z ulgą: on tu jest. Wciąż tu jest.

Rany boskie, mówi on, równie dobrze mogłaś się ubrać w futro z norek.

Co zrobiłam? Co jest nie tak?

Twój płaszcz.

To zwykły płaszcz. Zwykły przeciwdeszczowy płaszcz, mówi ona łamiącym się głosem. Co w nim złego?

Chryste, mówi on, spójrz na siebie. Rozejrzyj się dookoła. Jest za czysty.

Nigdy ci nie dogadzam, prawda? – pyta ona. Nigdy ci nie dogodzę.

Dogadzasz, odpowiada on. Wiesz, kiedy dogadzasz. Ale się nie zastanawiasz.

Nie powiedziałaś mi. Nigdy wcześniej tu nie byłam – ani w podobnym miejscu. Trudno byłoby mi wyjść z domu, gdybym wyglądała jak sprzątaczką – pomyślałaś o tym?

Może masz apaszkę albo coś innego? Żeby zakryć włosy.

Włosy, powtarza z rozpaczą. Co jeszcze? Co złego jest w moich włosach?

Są zbyt jasne. Rzucają się w oczy. Blondynki są jak białe myszy, można je spotkać tylko w klatkach. W naturze nie przetrwałyby długo. Zbyttnio zwracają na siebie uwagę.

Nie jesteś uprzejmy.

Nienawidzę uprzejmości, mówi on. Nienawidzę ludzi, którzy szczycą się swoją uprzejmością. Zadzierający nosa tani uszczęśliwiacze, wydzielający oszczędnie uprzejmość. Zaslugują na potępienie.

Ja jestem uprzejma, mówi ona, usiłując się uśmiechnąć. Zawsze jestem uprzejma dla ciebie.

Gdybym myślał, że to wszystko – tylko ta letnia, rozrzedzona uprzejmość – odszedłbym. Od razu, natychmiast. Zaryzykowałbym. Nie jestem żebrakiem, nie potrzebuję seksualnej jałmużny.

Jest wściekły. Ona zastanawia się dlaczego. Nie widziała go od tygodnia. A może to przez deszcz.

Zatem to nie uprzejmość, mówi. Może to egoizm. Może jestem bezwzględną egoistką.

Wolałbym to, mówi on. Wolę twoją zachłanność. Gasi papierosa, sięga po następnego, potem się zastanawia. Wciąż pali kupne papierosy, dla niego to luksus. Musi je racjonować. Ona zachodzi w głowę, czy wystarcza mu pieniędzy, ale nie może zapytać.

Nie chcę, żebyś tak przede mną siedziała, jesteś za daleko.

Wiem, mówi ona. Ale nie ma innego miejsca. Jest zbyt mokro.

Znajdę coś dla nas. Coś z dała od śniegu.

Nie pada śnieg.

Ale spadnie, mówi on. Wieje wiatr z północy.

I będziemy mieli śnieg. Co wtedy zrobią rabusie, biedactwa? Przynajmniej się uśmiechnął, choć bardziej przypomina to grymas. Gdzie spałeś? – pyta ona.

Nieważne. Nie musisz wiedzieć. Dzięki temu, jeśli kiedyś do ciebie dotrą i zaczną zadawać pytania, nie będziesz musiała kłamać.

Nie jestem taką kiepską kłamczuchą, mówi ona, próbując się uśmiechnąć.

Może, jak na amatorkę, mówi on. Ale zawodowcy z pewnością cię przejrzą. Otworzą cię jak paczkę.

Wciąż cię szukają? Jeszcze nie zrezygnowali?

Jeszcze nie. Z tego co słyszałem.

Prawda, że to straszne? – pyta ona. To wszystko jest takie straszne. Ale chyba mamy szczęście, prawda?

Dlaczego mamy szczęście? Znów wpada w ponury nastrój.

Bo przynajmniej tu jesteśmy, bo mamy...

Obok boksu staje kelner. Ma podwinięte rękawy koszuli, długi fartuch, sztywny od starego brudu, kosmyki włosów przyklepione do czaszki jak tłuste wstążki. Palce u dłoni przypominają palce u nóg.

Kawa?

Tak, poproszę, mówi ona. Czarna. Bez cukru.

Czeka, aż kelner odejdzie. Czy to bezpieczne?

Kawa? Chodzi ci o to, czy są w niej zarazki? Nie powinno być, gotowała się godzinami. Szydzi z niej, ale ona woli udawać, że nie rozumie.

Nie, chodzi o to, czy tutaj jest bezpiecznie.

To przyjaciel przyjaciela. Poza tym mam oko na drzwi – zdołałbym się dostać tylnym wyjściem. Tam jest aleja.

Nie zrobiłeś tego, prawda? – pyta ona.

Mówiłem ci już. Chociaż mogłem, przecież tam byłem. Tak czy inaczej, to nie ma znaczenia, bo i tak pasuję im do układanki. Chcieliby postawić mnie pod ścianą. Mnie i moje złe pomysły.

Musisz uciekać, mówi ona bez nadziei. Myśli o słowie „zamknąć”, jakie jest wieloznaczne. Niemniej jednak tego właśnie pragnie – zamknąć go w swoich ramionach.

Jeszcze nie, mówi on. Nie powinienem jeszcze uciekać. Nie powinienem jeździć pociągami, nie powinienem wyjeżdżać za granicę. Podobno tego właśnie oczekują.

Martwię się o ciebie, mówi ona. Śni mi się to. Martwię się przez cały czas.

Nie martw się, skarbie, mówi on. Jeszcze schudniesz, a wtedy twoje śliczne cycki i tyłek niepotrzebnie się zmarnują. Nikt cię nie zechce.

Ona przykładą rękę do policzka, jakby uderzył ją w twarz. Życzyłabym sobie, żebyś się tak nie wyrażał.

Wiem, mówi on. Dziewczyny w takich płaszczach mają podobne życzenia.

The Port Ticonderoga Herald and Banner, 16 marca 1933

CHASE POPIERA DZIAŁALNOŚĆ CHARYTATYWNĄ

ELWOOD R. MURRAY, REDAKTOR NACZELNY

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom społeczności naszego miasta, kapitan Norval Chase, prezes fabryki Chase'a, spółki z o.o., ogłosił wczoraj, że jego przedsiębiorstwem o przekaże trzy wagony gorszej jakości wyrobów fabryki w ramach pomocy charytatywnej dla części kraju najbardziej dotkniętych kryzysem. Dar obejmie koce dla niemowląt, dziecięce swetry oraz rozmaite rodzaje praktycznej bielizny zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet.

Kapitan Chase powiedział reporterowi „Herald and Banner”, że w okresie narodowego kryzysu wszyscy muszą pracować dla dobra wspólnej sprawy, podobnie jak to się działo w okresie wojny. Dotyczy to w szczególności mieszkańców Ontario, gdzie sytuacja jest lepsza niż w innych stanach. W odpowiedzi na ataki konkurencji, w szczególności pana Richarda Griffena z Królewskich Klasycznych Wyrobów z Dżianiny w Toronto, który oskarżył go o pozbywanie się nadwyżek rynkowych poprzez rozdawanie ich za darmo i tym samym o pozbawianie robotników ich wynagrodzenia, kapitan Chase oznajmił, że osoby otrzymujące wspomniane przedmioty nie mogą sobie pozwolić na ich kupno, dlatego nikomu nie odbiera klientów.

Pan Chase dodał, że wszystkie części kraju muszą znosić trudności i jego fabryka odnotowuje obecnie spadek obrotów spowodowany obniżeniem popytu. Powiedział też, że zamierza uczynić wszystko, co w jego mocy, aby utrzymać produkcję w fabrykach, lecz wkrótce może stanąć przed koniecznością skierowania części załogi na przymusowy bezpłatny urlop lub też ograniczenia godzin pracy i wynagrodzeń.

Możemy jedynie kibicować poczynaniom kapitana Chase'a, człowieka dotrzymującego słowa, w przeciwieństwie do osób odpowiedzialnych za prowadzenie polityki tłumienia strajków oraz lokautów w miastach takich jak Winnipeg czy Montreal. Dzięki kapitanowi Chase'owi Port Ticonderoga pozostaje praworządnym miastem, w olnym od zamieszek w szczypanych przez związki zawodowe, brutalnej przemocy i inspirowanego przez komunistów rozlewu krwi; takie zjawiska w innych miastach doprowadziły do poważnych zniszczeń oraz zranienia i śmierci w wielu ludzi.

Ślepy zabójca: Narzuta z szenili

Tu mieszkasz? – pyta ona. Mnie rękawiczki w dłoniach, jak gdyby były mokre, a ona je wyżywała.

Tu się zatrzymałem, odpowiada on. To co innego.

Dom jest jednym z wielu w rzędzie, wszystkie zbudowano z czerwonej cegły pociemniałej od brudu, są wąskie i wysokie, ze stromymi spadzistymi dachami. Od ulicy znajduje się prostokąt zakurzonej trawy, kilka uschniętych chwastów rośnie przy chodniku. Rozdartą brązowa torba z papieru.

Cztery stopnie na werandę. Koronkowe firanki w oknie od ulicy. On wyjmuje klucz.

Ona ogląda się za siebie, gdy wchodzi do środka. Nie martw się, mówi on, nikt nie patrzy. To mieszkanie mojego przyjaciela. Dziś tu jestem, jutro zniknę.

Masz mnóstwo przyjaciół, mówi ona.

Nie mnóstwo, odpowiada on. Nie trzeba mieć wielu, wystarczy, że są wypróbowani.

Wewnątrz znajduje się westybul z rzędem mosiężnych wieszaków na ubrania, zniszczone linoleum podłogowe w brązowo-żółte kwadraty, wewnętrzne drzwi z płytką z matowego szkła, we wzór w czaple czy żurawie. Ptaki z długimi nogami, pochylające z wdziękiem węzowe szyje wśród trzciny i lili, pozostałość z dawnych lat: gazowe oświetlenie. On otwiera drzwi drugim kluczem i wchodzi do pograżonego w mroku wewnętrznego holu; on włącza światło. Nad nimi instalacja z trzema różowymi szklanymi kwiatami, brakuje dwóch żarówek.

Nie bądź taka zaniepokojona, moja droga, mówi on. Nie zarazisz się. Tylko niczego nie dotykaj.

Mogę się zarazić, mówi ona, śmiejąc się krótko, bez tchu. Muszę cię dotknąć. Ty mnie zarazisz.

On zamyka za nimi szklane drzwi. Kolejne drzwi po lewej, lakierowane i ciemne: ona wyobraża sobie cenzorskie ucho przyciśnięte do nich od wewnątrz, skrzypienie, jak gdyby jakiegoś ciała przestępującego z nogi na nogę. Jakaś wroga, siwowłosa starucha – czy nie pasowałyby do koronkowych firanek? Na górę prowadzą zniszczone schody, przykryte przybitym gwoździami bieżnikiem i z wyszczerbioną poręczą. Tapeta w kratkę, z winoroślą i pnącymi różami, niegdyś różowa, teraz jasnobrązowa jak kawa z mlekiem. On ostrożnie obejmuje ją ramieniem, muska wargami jej szyję; nie usta. Ona drży.

Łatwo się mnie pozbyć, mówi on szeptem. Możesz iść do domu i wziąć prysznic.

Nie mów tak, odpowiada ona, także szeptem. Kpisz sobie. Nie wierzysz, że mówię poważnie.

Mówisz wystarczająco poważnie, odpowiada on. Ona obejmuje go w pasie i idą na górę, nieco niezgrabnie; spowolnieni przez własne ciała. W połowie drogi znajduje się okrągłe okno z kolorowego szkła: przez kobaltowy błękit nieba, fiolet winogron w tanim sklepie, bolesną czerwień kwiatów wpada światło, płamiąc ich twarze. Na podeście przed pierwszym piętrzem on znów ją całuje, tym razem mocniej; podciąga jej spódnicę, odsłaniając nogi aż do brzegu pończoch; dotyka palcami małych, twardych wypustek z gumy, przyciska ją do ściany. Ona zawsze nosi pas do pończoch: wyłuskanie jej z niego przypomina zdejmowanie skóry z foki.

Jej kapelusz się przekrzywia, ręce zarzuciła mu na szyję, szyję i ciało ma wygięte do tyłu, jak gdyby ktoś ciągnął ją za włosy. A one się rozpuściły, rozsypały; on przeciąga dłonią po ich bladym, opadającym pokosie i myśli o płomieniu, samotnym drżącym płomieniu białej, odwróconej świecy. Ale płomień nie może palić się do dołu.

Pokój znajduje się na drugim piętrze, kiedyś musiał być pomieszczeniem dla służby. Gdy są już w środku, on zakłada łańcuch. Jest mały, ciasny i ciemny, z jednym oknem uchylonym parę centymetrów, niemal do końca opuszczoną roletą i białymi firankami związanymi po obu stronach. Popołudniowe słońce pada na roletę, złocąc ją. Powietrze pachnie wyschniętą zgnilizną, ale także mydłem; w rogu mała, trójkątna umywalka, nad nią wisi pokryte rudymi plamami lustro; pod umywalkę wcisnęło się czarne pudło od jego maszyny do pisania. Szczoteczka do zębów w emaliowanym kubku z cyny; raczej nienowa szczoteczka. To zbyt intymne. Ona odwraca wzrok. Stoi tu jeszcze ciemne, lakierowane biurko upstrzone śladami po papierosach i po mokrych szklankach, ale najwięcej miejsca zajmuje łóżko. Zrobiono je z mosiądzu, jest niemodne, panieńskie i pomalowane na białą, z wyjątkiem gałek. Pewnie skrzypi. Na myśl o tym ona się czerwieni.

Widzi, że zadał sobie wiele trudu z łóżkiem – zmienił pościel, a przynajmniej poszewkę na poduszkę, wygładził spłowiłą narzutę z szenili w zielonym kolorze Nilu. Ona niemal żałuje, że to zrobił, gdyż na ten widok czuje ukłucie czegoś w rodzaju litości, jak gdyby głodujący wieśniak ofiarowywał jej ostatni kawałek chleba. To nie litość chce czuć. Nie chce czuć, że on jest pod jakimś względem bezbronny. Tylko ona może sobie na to pozwolić. Kładzie torebkę i rękawiczki na blacie biurka. Nagle widzi to, co się dzieje, w kontekście towarzyskiego spotkania. Jako towarzyskie spotkanie to absurd.

Przepraszam, nie mam lokaja, mówi on. Napijesz się? Tania szkocka.

Tak, poproszę, odpowiada ona. On trzyma butelkę w górnej szufladzie biurka; wyjmuje ją i dwie szklanki, nalewa. Powiedz ile.

Dziękuję, dosyć.

Nie mam lodu, mówi on, ale jest woda.

Nie, dziękuję. Przełyka whisky, krztusi się lekko, uśmiecha się do niego, opierając się plecami o biurko.

Szybko, mocno i do końca, mówi on, tak jak to kochasz. Siada na łóżku ze swoim drinkiem. Wypijmy za to. Podnosi szklanę. Nie odwzajemnia jej uśmiechu.

Jesteś dziś niezwykle złośliwy.

To samoobrona, mówi.

Nie kocham tego, kocham ciebie, ciągnie ona. Znam różnicę.

Do pewnego stopnia, stwierdza on. Albo myślisz, że znasz. To ci pozwala zachować twarz.

Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie powinnam stąd wyjść.

Uśmiecha się. No to podejdź tutaj.

Chociaż wie, że ona tego pragnie, nie powie, że ją kocha. Może pozbawiłoby go to tarczy ochronnej, jak przyznanie się do winy.

Tylko zdejmę pończochy. Rwą się w chwili, w której na nie spojrzysz.

Jak ty, mówi on. Zostaw je. Chodź tutaj.

Słońce się przesunęło; została tylko smuga światła po lewej stronie opuszczonej rolety. Ulicą przejeżdża tramwaj, brzęczy dzwonek. Przez cały czas musiały jeździć tramwaje. Dlaczego więc słychać było ciszę? Ciszę i jego oddech, ich oddechy, ciężkie, powstrzymywane, usiłujące nie robić żadnego hałasu. Albo nie za dużo hałasu. Dlaczego taka rozkosz brzmi podobnie jak rozpacz? Jak ktoś zraniony. On zakrył jej usta dłonią.

Teraz w pokoju jest ciemniej, ona jednak widzi więcej. Narzutę na łóżko leżącą na podłodze, prześcieradło zwinięte na nich i dookoła niczym gęsta winorośl z materiału; samotną, nie osłoniętą żarówkę, kremową tapetę w błękitne fiołki, małe i głupie, beżową plamę tam, gdzie musiał przeciekać dach; łańcuch zabezpieczający drzwi. Łańcuch zabezpieczający drzwi jest raczej kiepski. Wystarczyłoby jedno mocne pchnięcie czy kopniak butem. Gdyby się tak zdarzyło, co by zrobiła? Czuje, jak ściany stają się coraz cieńsze, zamieniają się w lód. A oni są jak ryby w słoju.

On zapala dwa papierosy, podaje jej jednego. Zaciągają się. On wędruje wolną dłonią po jej ciele, i jeszcze raz, jego palce ją pieszczą. Zastanawia się, ile ona ma czasu; nie pyta. Zamiast tego bierze ją za przegub. Ona ma mały złoty zegarek. On zakrywa jego tarczę.

No więc, zaczyna. Bajka na dobranoc?

Tak, poproszę, mówi ona.

Na czym stanęliśmy?

Właśnie obciąłeś języki tych biednych dziewcząt w ślubnych welonach.

A, tak. A ty zaprotestowałaś. Jeśli nie podoba ci się ta historia, mogę opo-

wiedzieć ci inną, ale nie obiecuję, że będzie bardziej cywilizowana. Być może okaże się gorsza. Może będzie współczesna. Zamiast kilku martwych Zykronian dostaniemy akry śmierdzącego błota i setki tysięcy...

Wolę tę, mówi szybko ona. W końcu to ją chcesz mi opowiedzieć.

Gasi papierosa w brązowej popielniczce ze szkła, po czym układa się wygodnie z uchem na jego piersi. Lubi w ten sposób słuchać jego głosu, jak gdyby wydobywał się nie z jego krtani, lecz z ciała, jak brzęczenie czy warczenie albo głos dochodzący głęboko spod ziemi. Jak krew płynąca w jej własnym sercu; słowo, słowo, słowo.

The Mail and Empire, 5 grudnia 1934

OKLASKI DLA BENNETTA

DODATEK DO „THE MAIL AND EMPIRE”

W przemówieniu wygłoszonym wczoraj wieczorem na forum Klubu Cesarskiego, pan Richard E. Griffen, finansista z Toronto oraz elokwentny prezes Królewskich Klasycznych WYROBÓW z DZIANINY, umiarkowanie pochwalił premiera R.B. Bennetta i skrytykował jego przeciwników.

Odnosząc się do niedzielnego wiecu w Maple Leaf Gardens w Toronto, podczas którego piętnaście tysięcy komunistów zorganizowało historyczne powitanie swego przywódcy Timowi i Buckowi, uwięzionemu za organizowanie w wyrotowych spiskach, lecz uwolnionemu w sobotę z więzienia Portsmouth w Kingston, pan Griffen oznajmił, że czuje się zaniepokojony rządowym „brakiem reakcji na nacisk” w wyierany w formie petycji podpisanej przez dwieście tysięcy „rozczarowanych i krwawiących serc”. Dodał także, iż prowadzona przez pana Bennetta polityka „żelaznej pięści bez względu na koszty” była słuszna, gdyż uwięzienie osób spiskujących w celu obalenia wybranych rządów oraz konfiskowanie prywatnych własności to jedyny sposób zwalczania działalności wyrotowej.

Co się tyczy dziesiątków tysięcy imigrantów deportowanych na mocy paragrafu 98, w tym osób odesłanych do państw takich jak Niemcy i Włochy, gdzie czeka ich internowanie, to oni sami wspierali tyrańskie rządy i teraz będą mieli okazję ich zasmakować, oznajmił pan Griffen.

Koncentrując się na sprawach gospodarczych, pan Griffen stwierdził, że chociaż bezrobocie wciąż jest wysokie, z czego wynikają niepokoje, a komuniści i ich sympatycy czerpią korzyści, pojawiają się optymistyczne sygnały. Pan Griffen jest w związku z tym przekonany, że kryzys potrwa jeszcze tylko do wiosny. Tymczasem jedyną rozsądną polityką jest utrzymanie w wyznaczonym kursie i oczekiwanie, aż ustrój sam się naprawi. Należy odrzucić wszelkie inklinacje do łagodnego socjalizmu pana Roosevelta, gdyż takie rozwiązania spowodują jedynie dalsze pogorszenie stanu i tak kulejącą gospodarkę. Chociaż tragedia bezrobotnych jest godna ubolewania, wielu z nich pozostaje bez pracy z powodu własnych przekonań, dlatego należy odpowiednio i skutecznie używać siły wobec strajkujących nielegalnie oraz agitatorów z zewnątrz.

Uwagi pana Griffena przyjęto z aplauzem.

Ślepy zabójca: Posłaniec

No to zaczynamy. Powiedzmy, że jest ciemno. Słońca, wszystkie trzy, już zaszły. Wzeszły dwa księżyce. U stóp wzgórza krążą wilki. Wybrana dziewczyna czeka na swoją kolej, wkrótce złożą ją w ofierze. Otrzymała już ostatni, wystawny posiłek, jest wyperfumowana i namaszczona, odśpiewano pieśni w jej intencji, odmówiono modlitwy. Teraz leży na łożu z czerwonego i złotego brokatu, zamknięta w najskrytszej świątynnej komnacie, która pachnie mieszanką płatków, kadzidła i zmiażdżonych aromatycznych przypraw, zwyczajowo rozsypanych na marach. Łoże nazywa się Łóżem Jednej Nocy, gdyż żadna dziewczyna nie spędziła tu nigdy dwóch nocy. Dziewczęta, gdy jeszcze mają języki, nazywają je Łóżem Bezgłośnych Łez.

O północy złoży jej wizytę Władca Podziemia, który podobno ubrany jest w zardzewiałą zbroję. Podziemie to miejsce rozpadu i dezintegracji; wszystkie dusze muszą je minąć w drodze do krainy Bogów, a niektóre – te najbardziej grzeszne – muszą w nim pozostać. Każda poświęcona dziewica ze Świątyni musi przejść przez wizytę zardzewiałego Władcy w nocy przed złożeniem ofiary, bo jeśli nie, to jej dusza pozostanie niezaspokojona i zamiast udać się w podróż do krainy Bogów, będzie musiała się przyłączyć do gromady pięknych nagich i martwych kobiet o lazurowych włosach, zaokrąglonych ciałach, rubinowych ustach i oczach jak jaskinie pełne węży, demonów kręcących się po zrujnowanych grobach w opuszczonych górach na zachodzie. Jak widzisz, nie zapomniałem.

Doceniam twoje starania.

Dla ciebie wszystko. Jeśli chcesz dodać coś jeszcze, tylko mi powiedz. No dobrze. Jak wielu ludzi, dawniej i obecnie, Zykronianie bali się dziewczyc, zwłaszcza martwych. Kobiety, których miłość zdradzono i które umarły bez ślubu, często szukają po śmierci tego, co tak niefortunnie ominęło je w życiu. Za dnia śpią w zrujnowanych grobach, a nocami polują na nieświadomych podróżnych, zwłaszcza na młodych mężczyzn, na tyle nieroztropnych, żeby tamtędy przejeżdżać. Rzucają się na nich i wysysają z nich energię, zamieniając ich w posłusznych zombi, służących do natychmiastowego zaspokajania nienaturalnych pragnień nagich martwych kobiet.

Co za pech, mówi ona. Nie ma żadnej obrony przed tymi wściekłymi stworzeniami?

Można wbić w nie włócznie albo stłuc je na miazgę kamieniami. Ale jest ich zbyt dużo – to jak walka z ośmiornicą, rzucają się na człowieka, zanim zdola się zorientować. Tak czy inaczej, hipnotyzują go – odbierają mu siłę woli. Od tego

zaczynają. Gdy tylko którąś spostrzeże, natychmiast nieruchomieje.

Potrafię to sobie wyobrazić. Jeszcze szkockiej?

Chyba mogę sobie na to pozwolić. Dzięki. Dziewczyna – myślisz, że jak powinna mieć na imię?

Nie wiem. Ty wybierz. To twój teren.

Pomyślę o tym. Tak czy inaczej, leży na Łożu Jednej Nocy i bardzo się denerwuje. Nie wie, co będzie gorsze, poderżnięcie gardła czy kilka najbliższych godzin. To jedna z tajemnic poliszynela w Świątyni, że Władca Podziemia nie jest prawdziwy, że to tylko przebrany dworzanin. Jak wszystko inne w Sakiel-Norn, owa godność jest na sprzedaż, i mówi się, że wielkie sumy przechodzą z rąk do rąk za ten przywilej – pod stołami, rzecz jasna. Łapówki trafiają do Najwyższej Kapłanki, która jest bezgranicznie przekupna i podobno ma szczególną słabość do szafirów. Usprawiedliwia się, przysięgając, że odda pieniądze na cele charytatywne, i rzeczywiście częściowo oddaje, jeżeli o tym pamięta. Dziewczęta raczej nie mogą się uskarżać na tę część obrządku, nie mając języków ani nawet niczego do pisania, a poza tym i tak następnego dnia są już martwe. Manna z nieba, mówi do siebie Najwyższa Kapłanka, gdy przelicza pieniądze.

W tym samym czasie daleko na horyzoncie widać, że do miasta zbliża się wielka horda obdartych barbarzyńców, zamierzając opanować słynne Sakiel-Norn, a potem splądrować je i zrównać z ziemią. Już tak zrobili z kilkoma innymi miastami dalej na zachód. Nikt – to znaczy nikt spośród cywilizowanych narodów – nie potrafi wyjaśnić ich sukcesu. Nie są ani dobrze zamaskowani, ani dobrze uzbrojeni, nie potrafią czytać, nie dysponują żadnymi pomysłowymi wynalazkami z metalu.

Co więcej, nie mają króla, tylko przywódcę. Ów przywódca jest bezimienny; zrezygnował z imienia, gdy stał się przywódcą, w zamian otrzymał tytuł. Ten tytuł to Sługa Świątowania. Jego zwolennicy nazywają go także Biczem Wszemocnego, Prawą Ręką Niepokonanego, Czyścicielem Niegodziwości i Obrońcą Cnoty i Sprawiedliwości. Ojczyzna barbarzyńców jest nieznaną, ale wszyscy zgadzają się, że przychodzą oni z północnego zachodu, gdzie rodzą się także złe wiatry. Nieprzyjaciele nazywają ich Ludźmi Rozpaczy, choć oni sami nadali sobie nazwę Ludzi Radości.

Ich obecny przywódca nosi znamiona boskiej łaski: urodził się w czepku^[9], jest ranny w stopę i ma znamię w kształcie gwiazdy na czole. Gdy nie wie, co dalej robić, wpada w trans i komunikuje się z innym światem. Jedzie, by zniszczyć Sakiel-Norn, gdyż otrzymał rozkaz od posłańca Bogów.

Ów posłaniec ukazał mu się pod postacią płomienia, z licznymi oczami i rozpostartymi ognistymi skrzydłami. Wiadomo, że tacy posłańcy posługują się zawiłymi przypowieściami i przybierają rozmaite formy: płonących *thulk* czy mówiących kamieni, chodzących kwiatów albo stworzeń o ciałach ludzi, lecz gło-

wach ptaków. Mogą też wyglądać jak zwykli ludzie. Podróżni, samotni lub z towarzyszem, mężczyźni, o których mówi się, że są złodziejami lub magikami, cudzoziemcy władający kilkoma językami albo żebracy na poboczach dróg najczęściej są takimi posłańcami, twierdzą Ludzie Rozpaczy; dlatego też wszystkich trzeba traktować z wielką ostrożnością, przynajmniej dopóki nie odkryje się ich prawdziwej natury.

Jeśli okazują się boskimi posłańcami, najlepiej dać im jedzenia, wina i, w razie potrzeby, kobietę, słuchać z szacunkiem ich informacji, a potem pozwolić im iść własną drogą. W innym wypadku powinni zostać ukamienowani, a ich własność skonfiskowana. Możesz być pewna, że wszyscy podróżni, magicy, obcy czy żebracy, którzy znaleźli się w sąsiedztwie Ludzi Rozpaczy, już zadbali o to, by zaopatrzyć się w odpowiednią liczbę niejasnych przypowieści – tak zwanych mętnych słów albo zasupłanego jedwabiu – na tyle enigmatycznych, żeby się przydały przy rozmaitych okazjach, wymuszonych okolicznościami. Podróż wśród Ludzi Radości bez zagadki lub zaskakującego wiersza oznaczałaby pewną śmierć.

Według słów płomienia z oczami, miasto Sakiel-Norn zostało wybrane do zniszczenia ze względu na swoje bogactwo, kult fałszywych bogów, a zwłaszcza ze względu na odrażające ofiary z dzieci. Właśnie przez te praktyki ludzie w mieście, włącznie z niewolnikami, dziećmi i dziewczycami przeznaczonymi na ofiary, mieli pójść pod miecz. Zabijanie tych, których sakralna śmierć jest przyczyną tego zabijania, może wydawać się niesprawiedliwe, ale dla Ludzi Radości to nie wina czy niewinność decydują o takich sprawach, tylko czy jest się skalanym czy nie, a zdaniem Ludzi Radości każdy w skalanym mieście jest tak samo skalany jak wszyscy inni.

Horda ciągnie naprzód, wzniesając chmurę ciemnego kurzu; ta chmura wisi nad jeźdźcami jak sztandar. Jednak nie na tyle blisko, żeby dostrzegli ją wartownicy ustawieni na murach Sakiel-Norn. Innych, którzy mogliby ostrzec – oddalonych od miasta pasterzy, przejeżdżających kupców i tak dalej – bezlitośnie zabija się i sieka na kawałki, z wyjątkiem boskich posłańców.

Sługa Radości jedzie przodem, z czystym sercem, zmarszczonym czołem i płonąącym wzrokiem. Na ramionach ma szorstki skórzany płaszcz, na głowie oznakę sprawowanej funkcji, czerwoną stożkową czapkę. Za nim jadą jego zwolennicy, z obnażonymi kłami. Uciekają przed nimi trawożerne, za nimi ciągną padlinożercy, obok bieżną wilki.

W tym samym czasie w niczego nie podejrzewającym mieście zawiązał się tajny spisek mający obalić Króla. Spisek przygotowało (jak to zwykle bywa) kilku wysokich rangą zaufanych dworzan. Zatrudnili najlepszego ze ślepych zabójców, młodzieńca, który kiedyś tkał dywany, a potem był dziecięcą prostytutką, ale od czasu swojej ucieczki zasłynął z tego, że działał bezszelestnie, ukradkiem i

bezlitośnie posługuje się nożem. Nazywa się X.

Dlaczego X?

Tacy ludzie zawsze nazywają się X. Imiona są im nieprzydatne, imiona mogą ich tylko zdemaskować. Tak czy owak, X to od promieni X, promieni rentgenowskich – jeśli się jest X-em, można przenikać przez mury i damskie ubrania.

Ale X jest ślepy, mówi ona.

Tym lepiej. Widzi przez kobiece ubrania wewnętrznym okiem, które jest rozkoszą samotności.

Biedny Wordsworth! Nie bądź bluźniercą, mówi ona z zachwytem.

Nic na to nie poradzę, od dzieciństwa jestem bluźniercą.

X ma wejść na teren Świątyni Pięciu Księżyców, znaleźć drzwi do komnaty, w której następnego dnia złożą ofiarę z dziewicy, i podciąć gardło wartownicze. Potem musi zabić dziewczynę, ukryć ciało pod bajecznym Łóżem Jednej Nocy i przebrać się w odświętne welony. Ma z tym poczekać, aż dworzanin przebrany za Władcę Podziemia – który faktycznie jest przywódcą przygotowywanego zamachu stanu – przyjdzie, weźmie, po co przyszedł, i odejdzie. Dworzanin sporo zapłacił i chce coś dostać za swoje pieniądze – z całą pewnością nie martwą, choćby i od niedawna, dziewczynę. Chce, by jej serce nadal biło.

Nastąpiło jednak nieporozumienie. Nie dogadano się co do czasu i w tej sytuacji ślepy zabójca znajdzie się na miejscu pierwszy.

To zbyt makabryczne, mówi ona. Masz chorą wyobraźnię.

On wodzi palcem po jej nagim ramieniu. Chcesz, żebym kontynuował? Zwyczaj robię to dla pieniędzy. Ty dostajesz wszystko za darmo, powinnaś być wdzięczna. Tak czy inaczej, nie wiesz, co się stanie. Komplikuję tylko fabułę.

Powiedziałabym, że jest dosyć skomplikowana.

Skomplikowana fabuła to moja specjalność. Jeśli chcesz, by była prostsza, poszukaj takiej gdzie indziej.

No dobrze. Kontynuuj.

Przebrany w strój dziewczyny zabójca ma czekać do rana i pozwolić zaprowadzić się do stóp ołtarza, gdzie w momencie składania ofiary zaszytytuje króla. Będzie to wyglądało tak, jak gdyby króla zabiła sama Bogini, a jego śmierć da sygnał do rozpoczęcia starannie przygotowanego powstania.

Część gawiedzi, opłacona, wywoła zamieszki. Potem wydarzenia potoczą się zwykłym, ustalonym trybem. Świątynne kapłanki zostaną aresztowane dla własnego bezpieczeństwa – jak się to wyjaśni, a w rzeczywistości po to, by zmusić je do popierania roszczeń spiskowców wobec duchowego przywództwa. Arystokrację wierną królowi zadźga się od razu; ich męskie potomstwo także zostanie zabite, żeby uniknąć późniejszej zemsty; ich córki wyda się za zwycięzców, żeby uprawomocnić zagrabienie ich bogactw, a ich rozpieszczone

i bez wątpienia cudzołożne żony rzuci się na pożarcie motłochowi. Kiedy wielcy upadają, wycieranie o nich stóp to niewątpliwa przyjemność.

Ślepy zabójca planuje umknąć w powstałym zamieszaniu i wrócić później po drugą połowę hojnej zapłaty. Tak naprawdę spiskowcy zamierzają zabić go na miejscu, co nigdy by się nie udało, gdyby go złapano i – w wypadku niepowodzenia spisku – zmuszono do mówienia. Ciało zostanie ukryte, bo wszyscy wiedzą, że ślepi zabójcy pracują tylko na zlecenie; prędzej czy później ludzie zaczęliby wypytywać, kto go wynajął. Zaplanować śmierć Króla to jedno, ale zostać przyłapanym to zupełnie co innego.

Dziewczyna, która wciąż nie ma imienia, leży na łożu z czerwonego brokatu, czekając na fałszywego Władcę Podziemia i bez słów żegnając się z życiem. Ślepy zabójca wślizguje się na korytarz, ubrany w szare szaty świątynnych służek. Dociera do drzwi. Na warcie stoi kobieta, gdyż żaden mężczyzna nie może służyć w Świątyni. Przez szarą woalkę morderca szepcze jej, że ma wiadomość od Najwyższej Kapłanki, tylko dla niej. Kobieta się schyla, nóż przesuwając się jeden jedyny raz, błyskawica boża jest miłosierna. Niewidzialne ręce rzucają się ku brzęczącym kluczom.

Klucz obraca się w zamku. Dziewczyna w pokoju to słyszy. Siada.

Jego głos milknie. On nasłuchuje czegoś na ulicy.

Ona podnosi się na łokciu. Co się dzieje? – pyta. To tylko drzwi samochodu.

Zrób mi przysługę, mówi on. Włóż halkę, jak grzeczna dziewczynka, i wyjrzyj przez okno.

A jeśli mnie ktoś zobaczy? Jest środek dnia.

Nic się nie stanie. Nie rozpoznają cię. Zobaczą tylko kobietę w halce, to nie jest jakiś niezwykły widok w tej okolicy: pomyślą, że jesteś...

Kobietą lekkich obyczajów? – pyta ona wesoło. Ty też tak myślisz?

Upadł dziewczęcą. To nie to samo.

To bardzo rycerskie z twojej strony.

Czasem jestem swoim najgorszym wrogiem.

Gdyby nie ty, upadłabym o wiele niżej, mówi ona. Teraz stoi w oknie, unosi roletę. Ma halkę w kolorze chłodnej zieleni lodu na brzegu, rozbitego lodu. Nie będzie mógł się jej przytrzymać, nie na długo. Ona się rozpuści, odpłynie, wymknie mu się z rąk.

I co tam? – pyta on.

Nic niezwykłego.

Wracaj do łóżka.

Ale ona spojrzała w lustro nad umywalką, zobaczyła siebie. Nagą twarz, potargane włosy. Patrzy na złoty zegarek. Boże, co za bałagan, mówi. Muszę iść.

The Mail and Empire, 15 grudnia 1934

WOJSKO TŁUMI ZAMIESZKI

PORT TICONDEROGA, ONTARIO

Wczoraj w Port Ticonderoga wybuchły nowe zamieszki, będące kontynuacją tygodniowych rozruchów związanych z zamknięciem fabryki, strajkiem i lokautem w firmie Chase i Synowie, spółka z o.o. Siły policji okazały się niewystarczające, dlatego miejscowe władze zażądały przysłania posiłków. Premier wyraził zgodę na interwencję w interesie bezpieczeństwa publicznego i wysłał na miejsce zająć jednostkę Królewskiego Pułku Kanadyjskiego, która przybyła o godzinie 14.00. Sytuację uznano za stabilną.

Przed przywróceniem porządku zebranie strajkujących przerodziło się w zamieszki. Wybijano szyby wystawowe wzdłuż głównej ulicy miasta, doszło do masowych kradzieży. Kilku właścicieli sklepów, którzy usiłowali bronić swojej własności, trafiło do szpitala, gdzie leczą obrażenia. Jeden policjant doznał w strąsu mózgu w wyniku uderzenia cegłą w głowę. Strażacy ugasili pożar, który wybuchł we wczesnych godzinach porannych w fabryce numer jeden. Trwa dochodzenie; policja podejrzewa, iż doszło do podpalenia. Nocny strażnik pan Al Davidson został wyciągnięty z płomieni, lecz zmarł na skutek ran głowy i zaciadzenia. Sprawcy tej zbrodni są poszukiwani, policja zidentyfikowała kilku podejrzanych.

Wydawca gazety ukazującej się w Port Ticonderoga, pan Elwood R. Murray, stwierdził, że zamieszki wywołało kilku prowokatorów rozdających alkohol w tłumie.

Pan Murray dodał, że miejscowi robotnicy są uczciwi i nie sprowokowani, nie uczestniczyliby w zamieszkach.

Pan Norval Chase, prezes firmy Chase i Synowie, nie mógł skomentować wydarzeń z powodu swojej nieobecności.

Ślepy zabójca: Rumaki nocy

W tym tygodniu inny dom, inny pokój. Przynajmniej wystarczy miejsca, żeby się obrócić między drzwiami i łóżkiem. Zasłony są meksykańskie, w żółte, niebieskie i czerwone pasy; łóżko ma wezglowie z klonowego drewna; koc z widokiem Zatoki Hudsona, czerwony i drapiący, rzucono na podłogę. Plakat z corridą na ścianie. Fotel ze skóry w kasztanowym kolorze; dębowe biurko; słój z ołówkami, starannie zatemperowanymi; półka z fajkami. Powietrze jest gęste od tytoniowego dymu.

Rząd książek: Auden, Veblen, Spengler, Steinbeck, Dos Passos. *Zwrotnik Raka*, na widoku, z pewnością przeschmugłowany. *Salammbó*, *Obcy zbieg*, *Zmierzch bogów*, *Pożegnanie z bronią*. Barbusse, Montherlant. *Kodeks Hammurabiego: Juristische Erläuterung*. Ten nowy przyjaciel ma intelektualne zainteresowania, myśli ona. I więcej pieniędzy. Tym samym jest mniej godny zaufania. Ma też trzy różne kapelusze na szczycie wieszaka z giętego drewna, a także kraciasty szlafrok z czystego kaszmiru.

Czytałeś którąś z tych książek? – zapytała, gdy weszli, a on zamknął drzwi. Ona zdejmowała kapelusz i rękawiczki.

Kilka, odparł. Nie rozwodził się nad tym. Odwróć głowę. Wyplątał liść z jej włosów.

Już spadają.

Ona zastanawia się, czy ten przyjaciel wie? Nie, że jest kobieta – umówili się jakoś, więc ten przyjaciel nie wpakuje się tu zniecacka, mężczyźni tak robią – ale kim ona jest? Czy zna jej nazwisko i tak dalej? Ma nadzieję, że nie. Widzi po książkach, a zwłaszcza po plakacie z corridą, że ten przyjaciel dla zasady odnosiłby się do niej wrogo.

Dziś on jest mniej porywczy, bardziej zamyślony. Chciał zwlekać, powstrzymać się. Przeanalizować.

Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Zapamiętuję cię.

Dlaczego? – zapytała ona, kładąc dłoń na jego oczach. Nie podobało jej się, że tak ją bada. Dotyka.

Żeby mieć cię na później, stwierdził on. Kiedy już odejdziesz.

Nie rób tego. Nie psuj dzisiaj.

Kuj żelazo, póki gorące, powiedział. To twoje motto?

Raczej: przeczny zawsze ubezpieczony, odparła. Wtedy się roześmiała.

Teraz owinęła się kocem, zakryła nim piersi. Leży koło niego, nogi schowała w

długim, wijącym się rybim ogonie z białej bawełny. On trzyma ręce za głowę; wpatruje się w sufit. Ona poi go swoim drinkiem, tym razem to żytnia z wodą. Tańsza od szkockiej. Od dawna planowała przynieść coś przyzwoitego – coś, co się nadaje do picia – ale wciąż zapomina.

Opowiadaj.

Potrzebuję inspiracji, mówi on.

Jak mogę cię zainspirować? Nie muszę wracać przed piątą.

Później skorzystam z prawdziwej inspiracji, mówi on. Muszę nabrać sił. Daj mi pół godziny.

O lente, lente currite noctis equi!

Co?

Biegnijcie powoli, rumaki nocy. To z Owidiusza, mówi ona. Po łacinie ten wers brzmi jak powolny galop. To było niezręczne, on pomyśli, że się popisywała. Ona nigdy nie wie, co mógłby rozpoznać. Czasem on udaje, że nie ma o czymś pojęcia, a kiedy ona mu wszystko wyjaśnia, odkrywa, że to wie, że wiedział od początku. Najpierw pozwala jej mówić, a potem ją gasi.

Dziwne z ciebie zwierzątko, mówi on. Dlaczego rumaki nocy?

Ciągną rydwan czasu. On jest z ukochaną. Chce, by noc się rozciągnęła, by mógł z nią dłużej być.

Po co? – pyta on leniwie. Pięć minut mu nie wystarczy? Nie ma nic lepszego do roboty?

Ona siada. Jesteś zmęczony? Nudzę cię? Mam wyjść?

Położ się. Nigdzie nie idziesz.

Wolałaby, żeby tego nie robił – nie przemawiał jak filmowy kowboj. Robi to, by ją postawić w trudnej sytuacji. Niemniej jednak kładzie się i obejmuje go ramieniem.

Położ tu rękę, moja pani. Bardzo dobrze. Zamyka oczy. Ukochana, mówi. Co za staroświeckie słowo. Wiktorjańskie. Powinienem całować twój filigranowy trzewik albo zasypywać cię czekoladkami.

Może jestem staroświecka. Może jestem wiktorjańska. No więc kochanka. Albo towar. Czy to bardziej nowoczesne? Bardziej pasuje?

Pewnie. Ale chyba wolę ukochaną. Bo nie wszystko jest takie proste, prawda?

Nie, mówi ona. Nie wszystko. Tak czy inaczej, opowiadaj.

Mówi: Z nadejściem nocy Ludzie Radości obozują o dzień marszu od miasta. Niewolnice, pojmane podczas poprzednich najazdów, nalewają szkarłatny *hrang* ze skórzanych butli, w których fermentuje, kulą się, garbią i służą, niosąc misy z chrząszczącym, nie dogotowanym gulaszem ze skradzionych *thulk*. Oficjalne żony siedzą w cieniu, ich oczy świecą w ciemnych owalach chust na głó-

wy, szukając oznak impertynencji. Żony wiedzą, że dziś pójdą spać same, ale później będą mogły wybatożyć niewolnice za niezdarkość i brak szacunku, i tak właśnie zrobią.

Mężczyźni przykucają dookoła małych ognisk, otuleni skórzanymi szatami, jedzą kolację i mamrocą między sobą. Nie są w radosnym nastroju. Jutro albo pojutrze – w zależności od swojego tempa i czujności wroga – będą musieli walczyć, i tym razem być może nie zwyciężą. Co prawda, płomiennooki posłaniec, który rozmawiał z Pięćcią Niepokonanego, obiecał, że zatriumfują, jeśli będą pobożni i posłuszni, odważni i przebiegli, ale w takich sprawach zawsze mnoży się tyle jeśli.

Jeśli przegrają, zostaną zabici, a także ich kobiety i dzieci. Nie liczą na miłosierdzie. Jeśli zwyciężą, oni będą musieli zająć się zabijaniem, co nie zawsze jest takie przyjemne, jak niektórzy uważają. Muszą zabić wszystkich w mieście: takie dostali instrukcje. Nie wolno zostawić żadnego chłopca, by dorastał z pragnieniem pomśczenia zamordowanego ojca; żadnej dziewczynki, by zdeprawowała Ludzi Radości. Z miast podbijanych wcześniej zabierali młode dziewczyny i rozdawali je żołnierzom, jedną, dwie lub trzy w zależności od męstwa i zasług, ale boski posłaniec powiedział, że już dosyć.

Całe to zabijanie będzie męczące, a także hałaśliwe. Zabijanie na tak wielką skalę jest forsowne i brudne i trzeba je wykonać bardzo dokładnie, bo inaczej Ludzie Radości wpadną w kłopoty. Wszzechmocny nalega, by wszystko odbywało się zgodnie z literą prawa.

Na uboczu stoją spętane konie. Jest ich niewiele, jeżdżą na nich tylko dowódcy – to smukłe, narowiste konie o stwardniałych wargach, długich, smutnych pyskach i czułych, tchórzliwych oczach. Wszystko to nie jest ich winą: zmuszono je do tego.

Jeśli ma się konia, można go kopać i bić, ale nie zabić i jeść, gdyż dawno temu posłaniec Wszzechmocnego pojawił się pod postacią pierwszego konia. Konie o tym pamiętają i są z tego dumne. Dlatego pozwalają się dosiadać tylko przywódcom. Albo tak się to tłumaczy.

Mayfair, maj 1935

NAJŚWIEŻSZE PLOTKI Z TORONTO

YORK

Wiosna pojawiła się w kwietniu tego roku w wyjątkowo radośnie. Jej przybycie zapowiedziały prawdziwe kawałki prowadzonych przez szoferów limuzyn, w których zasiadali znamienici goście, kolejno przybywający na jeden z najbardziej interesujących balów sezonu. Mowa o uroczym przyjęciu zorganizowanym 6 kwietnia w imponującej, zbudowanej w stylu Tudorów rezydencji Rosedale, należącej do pani Winifred Griffen Prior. Uroczystość przygotowano na cześć panny Iris Chase z Port Ticonderoga w stanie Ontario. Panna Chase jest córką kapitana Norwala Chase'a oraz wnuczką pani Benjaminowej Montfort Chase z Montrealu. Narzeczonym panny Chase jest brat pani Griffen Prior, pan Richard Griffen, od dawna uważany za jedną z najlepszych partii w swojej prowincji. Wspaniały ślub odbędzie się w maju i zapowiada się na jedno z najciekawszych wydarzeń sezonu.

Ubiegłoroczne debutantki oraz ich matki gorąco pragnęły nasycić wzrok widokiem młodziutkiej narzeczonej, która występowała w skromnej kreacji od Schiaparellego z marszczoną różową kreple, z wąską spódniczką i peplum, w wykonanym czarnym aksamitem oraz dżetami. Na tle białych narcyzów, białych krtek oraz jasnych świec w srebrnych kandelabrach, przybranych sztucznymi czarnymi winogronami przeplatanymi srebrnymi wstążkami, pani Prior pojawiła się w eleganckiej sukni od Chanel. Strój wykonano z materiału w srebrne róże. Spódnica była drapowana, a góra ozdobiona dyskretnymi perełkami. Siostra panny Chase oraz drużna w jednej osobie, panna Laura Chase, w eleganckiej sukni w kolorze liściastej zieleni z akcentami z jedwabiu barwy arbuza, również przybyła na uroczystość.

Pośród znamienitych gości pojawili się gubernator wraz z żoną, panią Herbertową A. Bruce, pułkownik w raz z panią R.Y. Eaton i ich córka panna Margaret Eaton, czcigodny W.D. oraz pani Ross i ich córki, panna Susan Ross i panna Isobel Ross, pani A.L. Ellsworth i jej dwie córki, pani Beverley Balmer i panna Elaine Ellsworth, panna Jocelyn Boone i panna Daphne Boone oraz pan i pani Grantowa Pepler.

Ślepy zabójca: Dzwon z brązu

Jest północ. W mieście Sakiel-Norn bije dzwon z brązu, by upamiętnić chwilę, w której Rozbity Bóg, nocne wcielenie Boga Trzech Słońc, dociera do najniższego punktu swojego upadku w ciemność i po gwałtownej walce zostaje rozerwany przez Władcę Podziemia i grupę jego martwych wojowników zamieszkujących tamte rejony. Bogini go pozbiera, przywróci życiu i zaopiekuje się nim, aż Bóg odzyska zdrowie i wigor i znów pojawi się o poranku, odrodzony, pełen światła.

Choć Rozbity Bóg to popularna postać, nikt w mieście nie wierzy już w tę opowieść. Mimo to kobiety w każdym domu lepią jego figurkę z gliny, a mężczyźni rozbijają ją na kawałki w najciemniejszą noc w roku, następnego dnia zaś kobiety lepią nową figurkę. Dzieci dostają dojedzenia małych bogów ze słodkiego chleba; gdyż właśnie dzieci, ze swoimi łakomymi, drobnymi ustami reprezentują przyszłość, która – jak sam czas – pożre wszystko, co żyje obecnie.

Król siedzi samotnie w najwyższej wieży swojego wspaniałego pałacu, skąd obserwuje gwiazdy i tłumaczy znaki oraz wróżby na następny tydzień. Odłożył na bok maskę z platynowej tkaniny, gdyż nie ma nikogo, przed kim musiałby ukrywać emocje; może się uśmiechać i marszczyć czoło, kiedy mu się spodoba, jak byle Ygnirod. Co za ulga.

Teraz się uśmiecha, to zamyślony uśmiech: rozważa swoją najnowszą miłośćkę z pulchną żoną drobnego urzędnika służby cywilnej. Jest głupia jak *thulk*, ale ma słodkie, jędrne usta niczym nasączone wodą aksamitne poduszki i wąskie palce zwinne jak ryby, i chytre, wąskie oczy, i zna rozmaite sztuczki. Staje się jednak zbyt wymagająca, a także niedyskretna. Dręczy go, żeby napisał poemat na cześć jej karku albo jakiejś innej części jej anatomii, jak to się praktykuje wśród najmodniejszych dworskich kochanków, ale on nie ma do tego talentu. Dlaczego kobiety są takimi poszukiwaczkami trofeów, dlaczego pragną pamiątek? Może ona chce, żeby zrobił z siebie głupca, aby zademonstrować mu swoją władzę?

To przykre, ale będzie musiał się jej pozbyć. Zrujnuje finansowo jej męża – uczyni mu honor i będzie ucztował w jego domu wraz z najbardziej zaufanymi dworzanami, aż źródła tego biednego idioty się wyczerpią. Wtedy kobieta pójdzie w niewolę, żeby spłacić dług. Może nawet wyjdzie jej to na dobre – wzmacni jej mięśnie. Przyjemnie wyobrazić ją sobie bez welonu, z twarzą wystawioną na każde mijające spojrzenie, jak ciągnie za sobą swój nowy stołek nierządniczy czy ukochanego *vibulara* o błękitnym dziobie, i cały czas się krzywi. Mógłby kazać ją zamordować, ale wydaje się to nieco zbyt surowe; w koń-

cu zawiniła jedynie umiłowaniem złej poezji. Król nie jest tyranem.

Przed nim leży wypatroszony *oorm*. Król nieuważnie skubie jego pióra. Nie obchodzą go gwiazdy – nie wierzy już w te bzdury – ale przez chwilę będzie musiał na nie popatrzeć i wymyślić jakieś oświadczenie. Pomnożenie bogactw i wspaniałe zbiory załatwią sprawę na krótką metę, a ludzie i tak zapominają o przepowiedniach, chyba że się sprawdzą.

Zastanawia się, czy jest choć trochę prawdy w informacji, którą otrzymał z zaufanego prywatnego źródła – od swojego fryzjera – że szykuje się przeciwko niemu nowy spiszek. Czy znów będzie musiał aresztować, uciekać się do tortur i egzekucji? Bez wątplenia. Domniemana łagodność jest równie zła dla porządku publicznego jak prawdziwa miękkość. Należy sprawować rządy twardą ręką. Jeśli muszą spaść głowy, to jego głowa z pewnością nie znajdzie się wśród nich. Będzie działał, bronił się; a jednak odczuwa dziwny bezwład. Rządzenie królestwem to bezustanne napięcie: jeśli przestanie się mieć na baczności, choćby na chwilę, dopadną go, kimkolwiek są.

Wydaje mu się, że daleko na północy dostrzega migotanie, jakby coś się paliło, ale to znika. Może błyskawica. Przykłada rękę do oczu.

Żal mi go. Myślę, że robi, co może.

Chyba powinniśmy się jeszcze napić. Co ty na to?

Założę się, że go zabijesz. Masz ten błysk w oku.

Zasadniczo zasłużył sobie na to. Osobiście uważam, że to sukinsyn. Ale królowie muszą tacy być, prawda? Przetrawanie najsilniejszych i tak dalej. Słabi pod ścianę.

Tak naprawdę w to nie wierzysz.

Jest coś jeszcze? Zlej resztki z butelki, dobrze? Naprawdę chce mi się pić.

Zobaczę. Wstaje, ciągnąc prześcieradło. Nie musisz się nim owijać, mówi on. Lubię ten widok.

Patrzy na niego przez ramię. Mówi: To dodaje tajemniczości. Daj mi szklankę. Wolałabym, żebyś nie kupował tego bimbru.

Tylko na to mnie stać. Poza tym brak mi smaku. To dlatego, że jestem sierotą. Prezbiterianie mnie zniszczyli w sierocińcu. Dlatego jestem taki ponury i przygnębiony.

Nie wyciągaj tej ohydnej karty z sierocińcem. Serce mi nie krwawi.

Ależ krwawi, mówi on. Na to liczę. Poza twoimi nogami i wyjątkowo ładnym tyłeczkiem, to w tobie najbardziej podziwiam – krwawiące serce.

To nie moje serce krwawi, tylko umysł. Mam krwisty umysł. Tak mi mówiono.

On się śmieje. Zatem za twój krwisty umysł. Do dna.

Ona pije, po czym się krzywi.

Wychodzi tak samo, jak wchodzi, mówi on radośnie. A właśnie, muszę od-

dać hold naturze. Wstaje, podchodzi do okna, nieco je podnosi.

Nie możesz tego zrobić!

To boczna uliczka. Nikogo nie trafię.

Przynajmniej schowaj się za zasłoną! A co ze mną?

Co z tobą? Widziałś już nagiego mężczyznę. Nie zawsze zamykasz oczy.

Nie o to mi chodzi. Chodzi o to, że nie mogę nasiusiać z okna. Pęknię.

Szlafrok mojego kumpla, mówi on. Widzisz? To kraciaste na wieszaku. Tylko sprawdź, czy korytarz jest pusty. Gospodyni to wścibska stara krowa, ale jeśli włożysz te kraty, nie zauważy cię. Wtopisz się w tło – ta nora jest kraciasta do szpiku kości.

No dobrze, mówi on. Na czym stanąłem?

Jest północ, przypomina ona. Biję dzwon z brązu.

A, tak. Jest północ. Biję dzwon z brązu. Kiedy dźwięk cichnie, ślepy zabójca przekręca klucz w zamku. Jego serce mocno uderza, jak zawsze w takich chwilach: chwilach potencjalnego niebezpieczeństwa. Jeśli go złapią, śmierć, którą mu zgotują, będzie długa i bolesna.

Nic nie czuje w związku ze śmiercią, którą ma zadać, ani też nie interesują go jej powody. Kogo ma zabić i dlaczego, to sprawa bogatych i potężnych, a on nienawidzi ich wszystkich. To oni zabrali mu wzrok i tuzinami wypychali się w jego ciało, gdy był zbyt młody, by coś na to poradzić, chętnie powita więc szansę na ich zaszlachtowanie – ich i wszystkich powiązanych z tymi uczynkami, takich jak ta dziewczyna. Nic go nie obchodzi, że ona niewiele się różni od udekorowanej i ustrojonej w biżuterię więźniarki. Nic go nie obchodzi, że ci sami ludzie, którzy go oślepiłi, uczynili ją niemową. Wykona swoje zadanie, weźmie zapłatę i to będzie koniec.

Jutro i tak ją zabiją, jeśli on nie zrobi tego dzisiaj, a on jest szybszy i nie tak niezręczny. Robi jej przysługę. Było już zbyt wiele nieudanych ofiar. Żaden z tych królów nie radzi sobie z nożem.

Ma nadzieję, że ona nie narobi zbyt dużo zamieszania. Mówiono mu, że dziewczyna nie może krzyczeć: najgłośniejszy dźwięk, jaki potrafi wydobyć ze swoich pozbawionych języka, okaleczonych ust, to wysokie, stłumione miauczenie, jak kot w worku. To dobrze. Tak czy inaczej, on podejmie środki ostrożności.

Wciąga ciało wartowniczkę do pokoju, żeby nikt nie potknął się o nie na korytarzu. Potem sam wchodzi do środka, bezszelestnie stąpając bosymi stopami, i zamyka drzwi.

V

Futro

Tego ranka na kanale pogodowym ostrzegano przed tornadem, po południu zaś niebo przybrało złowrogą, zielony odcień, a gałęzie drzew łamały się z trzaskiem, jakby jakieś wielkie rozwścieczone zwierzę torowało sobie drogę. Burza przeszła dokładnie nad naszymi głowami: strzelające węzowe języki białego światła, upadające stopy cynowych talerzy. Powiedz raz, dwa, trzy, mawiała do nas Renie. Jeśli zdązysz to powiedzieć, to burza jest ponad kilometr stąd. Mówiła, żeby nigdy nie korzystać z telefonu w czasie burzy, bo błyskawica wpadnie nam prosto w ucho i ogłuchniemy. Mówiła też, żeby nie brać wtedy kąpeli, gdyż błyskawica może wylecieć z kranu jak woda. Mówiła, że jeśli włosy staną dęba na karku, trzeba skoczyć do góry, to jedyny ratunek.

Burza minęła przed nadejściem nocy, ale wciąż było wilgotno jak w studziennie ściekowej. Rzucalam się po skotłowanym łóżku, nasłuchując, jak moje serce potyka się na pościeli, i usiłując ułożyć się wygodnie. W końcu zrezygnowalam ze snu, naciagnęlam długi sweter na nocną koszulę i pokonałam schody. Potem nałożyłam płaszcz przeciwdeszczowy z plastiku, z kapturem, wsunęlam stopy w gumowe kalosze i wyszłam z domu. Wilgotne drewno na schodach werandy było zdradliwe. Zeszła z nich farba, mogą gnić.

W słabym świetle wszystko wydawało się czarno-białe. Powietrze było wilgotne i nieruchome. Chryzantemy na trawniku przed domem mieniły się lśniącymi kroplami; batalion ślimaków bez wątpienia przeżuwał kilka ocalałych liści łubinu. Podobno ślimaki lubią piwo; wciąż myślę o tym, że powinnam im trochę przynieść. Lepiej niech one je wypiją niż ja: nigdy nie lubiłam tego rodzaju alkoholu. Chciałam, by spokój nadszedł jak najszybciej.

Zatupałam i powłokłam się wilgotną ulicą. Księżyc był w pełni, otoczony jasną mgiełką; w świetle lamp mój przykrótki cień sunął przede mną niczym chochlik. Czulałam, że robię coś bardzo śmiałego: starsza kobieta, samotna, spacerująca po nocy. Ktoś obcy mógłby mnie uznać za bezbronną. Rzeczywiście byłam trochę przestraszona, a przynajmniej na tyle pełna obaw, żeby moje serce zaczęło mocniej bić. Jak powtarza mi łagodnie Myra, starsze panie to ulubiony cel ataku ulicznych bandytów. Podobno pochodzą z Toronto, ci bandyci, jak wszystkie plagi. Pewnie przyjeżdżają autobusami, a bandyckie narzędzia udają parasole albo kije golfowe. Nie ma rzeczy, do których by się nie posunęli, twierdzi ponuro Myra.

Przeszłam przez trzy ulice do głównej trasy przez miasto, po czym zatrzymałam się, by zerknąć przez lśniąca mokrą ulicę na warsztat Waltera. Walter siedział w szklanym boksie, niczym w latami morskiej na środku atramentowej pu-

stej sadzawki płaskiego asfaltu. Pochylał się do przodu i w czerwonej czapce wyglądał jak starzejący się dżokej na niewidzialnym koniu, jak kapitan własnego losu, pilotujący dziwny statek kosmiczny. Tak naprawdę oglądał kanał sportowy na swoim miniaturowym odbiorniku, wiem to od Myry. Nie podeszłam, żeby z nim porozmawiać: przestraszyłby się, widząc mnie wyłaniającą się z ciemności w kaloszach i nocnej koszuli, zwariowaną osiemdziesięcioletnią rozrabiakę. A jednak pocieszała mnie świadomość, że choć jeszcze jedna ludzka istota nie śpi o tej porze.

W drodze powrotnej usłyszałam za sobą kroki. No to się doigrałaś, pomyślałam, idzie bandyta. Jednakże była to tylko młoda kobieta w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, z torbą albo małą walizką. Minęła mnie bardzo szybko, wyciągając szyję.

Sabrina, pomyślałam. W końcu wróciła do domu. Jak bardzo rozgrzeszona czułam się w tym momencie, jak pełna łaski, zupełnie jakby czas się cofnął i moja sucha, stara łaska z drewna nagle jak w operze zamieniła się w kwiat. Jednakże na drugi rzut oka – nie, na trzeci – to nie była Sabrina, tylko jakaś nieznajoma. Kim jestem, żeby zasłużyć na takie cudowne zakończenie? Jak mogę go oczekiwać?

A jednak oczekuję. Wbrew rozsądkowi.

Dosyć już o tym. Podejmuję trud mej opowieści, jak mówili kiedyś poeci. Wracam do Awilionu.

Matka nie żyła. Nic już nie będzie takie samo. Kazano mi zacisnąć zęby i zachować zimną krew. Kto mi kazał? Z pewnością Reenie, może ojciec. Dziwne, że przy takich okazjach mówi się o zaciskaniu zębów. Zaciska się je po to, żeby zastąpić jeden rodzaj bólu innym.

Początkowo Laura spędzała mnóstwo czasu w futrze matki. Uszyto je z fok, w kieszeni wciąż tkwiła chusteczka matki. Laura wkładała je i próbowała zapiąć guziki, dopóki nie wpadła na to, żeby je zapiąć wcześniej, a potem wczółgać się w futro od dołu. Myślę, że musiała się w nim modlić albo wywoływać ducha matki. Cokolwiek to było, nie poskutkowało. Później futro oddano na cele dobroczynne.

Wkrótce Laura zaczęła się dopytywać, dokąd trafiło dziecko, to, które nie wyglądało jak kotek. Odpowiedź „do nieba” już jej nie zadowalała – chodziło o to, dokąd trafiło z miednicy. Reenie powiedziała, że zabrał je lekarz. To dlaczego nie było pogrzebu? Bo urodziło się za małeńkie, powiedziała Reenie. Jak coś tak małego mogło zabić mamę? Nieważne, stwierdziła Reenie. Powiedziała: Dowiesz się, gdy będziesz starsza. Powiedziała też: To, czego nie wiesz, nie może cię zranić. Wątpliwa maksyma: czasem to, czego nie wiesz, bardzo cię rani.

Nocami Laura wślizgiwała się do mojego pokoju i budziła mnie potrząsa-

niem, po czym wspinała się na moje łóżko. Nie mogła spać z powodu Boga. Do czasu pogrzebu ona i Bóg pozostawali w dobrych stosunkach. Bóg cię kocha, mówiła nauczycielka w szkółce niedzielnej przy kościele metodystów, dokąd posyłała nas matka, a kontynuowała to Reenie, dla zasady – i Laura kiedyś w to wierzyła. Teraz jednak nie była już taka pewna.

Zacząła się trapić dokładnym miejscem zamieszkania Boga. Była to wina nauczycielki ze szkółki niedzielnej: Bóg jest wszędzie, stwierdziła, a Laura chciała się dowiedzieć, czy Bóg jest na Słońcu, czy jest też na Księżycu, i w kuchni, i w łazience, i pod łóżkiem? (Skręciłabym kark tej kobiecie, powiedziała Reenie). Laura nie chciała, żeby Bóg wyskoczył na nią zniecka, co nie dziwiło ze względu na Jego ostatnie uczynki. Otwórz usta, zamknij oczy, niespodzianka do nich wskoczy, mawiała Reenie, trzymając za plecami ciastko, ale Laura już nie słuchała. Chciała mieć oczy otwarte. Nie dlatego, że nie ufała Reenie, po prostu bała się niespodzianek.

Bóg zapewne krył się w schowku na miotły. To wydawało się najbardziej prawdopodobne. Czał się tam jak jakiś ekscentryczny i być może niebezpieczny wujaszek, ale nie miała pewności, czy jest tam w danym momencie, bo bała się otworzyć drzwi. Bóg jest w twoim sercu, mówiła nauczycielka ze szkółki niedzielnej, i to było jeszcze gorsze. Ze schowkiem na miotły można by coś zrobić, na przykład zamknąć drzwi.

Bóg nigdy nie spał, tak było w psalmie: „Oto nie zdrzemnie się ani nie zaśnie”.^{10} Zamiast tego włóczył się nocami po domu i szpiegował ludzi – sprawdzał, czy byli wystarczająco dobrzy, albo zsyłał plagi, żeby ich wykończyć, albo oddawał się jakiemuś innemu kaprysowi. Wcześniej czy później musiał wyskoczyć z czymś nieprzyjemnym, jak to często robił w Biblii.

- Posłuchaj, to on – mawiała Laura. Lekki krok, ciężki krok.
- To nie Bóg. To tylko ojciec. Jest w wieży.
- A co on tam robi?
- Pali. – Nie chciałam powiedzieć: pije. To wydawało się nielojalne.

Najbardziej kochałam Laure, gdy spała – z lekko uchylonymi ustami, wciąż mokrymi rzęsami – ale sypiała niespokojnie; jęczała i kopała, czasem chrapała i nie dawała mi zasnąć. Wychodziłam z łóżka i szłam na palcach, po czym podciągałam się, żeby wyjrzyć przez okno sypialni. Kiedy świecił księżyc, ogrody były srebrzystoszare, jakby ktoś wysłał z nich kolory. Widziałam kamienną nimfę, w rzucie perspektywicznym; księżyc odbijał się w jej oczku wodnym, a ona machała stopę w jego zimnym świetle. Drżąc, wracałam do łóżka i leżałam, obserwując poruszające się cienie zasłon i nasłuchując bulgotania i trzeszczenia domu. Czułam, że się przemieszcza. Zastanawiałam się, co złego zrobiłam.

Dzieci wierzą, że w pewien sposób odpowiadają za całe zło, które się dzieje, i pod tym względem nie stanowiłam wyjątku; wierzą też w szczęśliwe zakoń-

czenia, nawet gdy dowody świadczą o czymś innym, i pod tym względem też nie byłam wyjątkiem. Pragnęłam jedynie, żeby szczęśliwe zakończenie się pośpieszyło, gdyż – zwłaszcza nocą, gdy Laura spała, a ja nie musiałam jej pocieszać – czułam się bardzo opuszczona.

Rankami pomagałam Laurze w ubieraniu – to był mój obowiązek nawet za życia matki – sprawdzałam, czy umyła zęby i twarz. W porze lunchu Reenie czasami pozwalała nam urządzić piknik. Dostawałyśmy posmarowany masłem chleb z dżemem wiśniowym, przezroczystym jak celofan, surowe marchewki i pokrojone jabłka. Dostawałyśmy peklowaną wołowinę z puszki w kształcie azteckiej świątyni. Dostawałyśmy jajka na twardo. Kładłyśmy to wszystko na talerzach, zabierałyśmy na dwór i zjadałyśmy w rozmaitych miejscach – koło stawu, w cieplarni. Kiedy padało, jadałyśmy w domu.

– Pamiętaj o głodujących Ormianach – mawiała Laura, z zaciśniętymi rękami, zamkniętymi oczami, pochylając się nad kanapką z dżemem. Wiedziałam, że powtarza słowa matki, i miałam ochotę zapłakać.

– Nie ma głodujących Ormian, są zmyśleni – powiedziałam jej kiedyś, ale nie przyjęła tego do wiadomości.

W tamtych czasach często zostawiano nas samym sobie. Nauczyłyśmy się Awilionu na pamięć: jego szczelin, pieczar, tuneli. Zagłądałyśmy do schowka pod tylnymi schodami, gdzie znajdowała się sterta nie używanych śniegowców, jedna para rękawiczek i parasol z połamanymi drutami. Zbadałyśmy rozmaite części piwnicy – piwnicę na węgiel, z węglem; piwnicę na warzywa: kapusty i kabaczki ułożone na półce, buraki i marchewki porastające pędami w skrzyni z piachem, i ziemniaki ze swoimi ślepymi, albinosowatymi mackami, niczym nogi krabów; piwnicę z zapasami na zimę, pełną jabłek w beczkach i półek z przetworami – z zakurzonymi dżemami i konfiturami lśniącymi niczym nie oszlifowane klejnoty, sosami i marynatami, i truskawkami, i obranymi pomidorami, i sosem jabłkowym, a to wszystko w wekach. Piwnica z winami była zamknięta; tylko ojciec miał do niej klucz.

Pod werandą natknęłyśmy się na wilgotną, ziemistą grootę, do której można było wejść, pełzając między malwami. Usiłowały w niej rosnąć wyłącznie przypominające pajęczynę mlecze i płożąca się gorczyca, której lekko miętowy zapach mieszał się z kocimi sikami i (raz) gorącym, ohydny smrodem przestraszonego pończosznika. Odkryłyśmy strych z pudłami starych książek i kolder, trzy puste kufry, popsuty akordeon i bezgłowy manekin krawiecki babki Adelii, błady, pachnący stęchlizną tors.

Wstrzymując oddech, mężnie maszerowałyśmy przez labirynty cieni. Znajdowałyśmy w tym ukojenie – w naszej tajemnicy, naszej znajomości ukrytych ścieżek, naszym przekonaniu, że nikt nas nie widzi.

Posłuchaj tykania zegara, powiedziałam. To był zegar z wahadłem – antyk z

biało-złotej porcelany, należał do dziadka, stał na kominku w bibliotece. Laura pomyślała, że powiedziałam: lizania. To prawda, mosiężne wahadło kołyszące się w tę i z powrotem rzeczywiście wyglądało jak język oblizujący wargi w niewidzialnej twarży. Zjadający czas.

Nadeszła jesień. Laura i ja zrywałyśmy trojeści i otwieraliśmy je, żeby dotknąć nasion w kształcie łusek, zachodzących na siebie jak na smoczej skórze. Wyciągałyśmy nasiona i rozrzucaliśmy je na ich puszystych spadochronach, zostawiając szorstki, żółtobrązowy język, miękki jak wewnętrzna strona łokcia. Potem szłyśmy na most Jubileuszowy i wrzucaliśmy strąki do rzeki, żeby sprawdzić, jak długo się utrzymają, zanim się przewrócą albo zostaną porwane przez prąd. Czy wyobrażałyśmy sobie, że mają na pokładzie ludzi, choć jedną osobę? Nie jestem pewna. Czuliśmy jednak coś w rodzaju satysfakcji, patrząc, jak idą na dno.

Nadeszła zima. Niebo było mglisto szare, słońce wisiało na nim nisko, bladoróżowe jak rybia krew. Sople lodu, ciężkie, nieprzezroczyste i grube niczym przegub zwisały z dachu i parapetów okiennych, jakby znieruchomiałe podczas spadania. Odłamywałyśmy je i ssałyśmy końcówki. Reenie mówiła, że jeśli będziemy to robić, nasze języki poczernieją i odpadną, ale wiedziałam, że to nieprawda, bo już wcześniej tak robiłam.

Wtedy Awilion miał hangar na łodzie i lodownię. W hangarze znajdowała się stara łódź dziadka, obecnie należąca do ojca – „Nimfa Wodna”, zakonserwowana i odstawiona na zimę. W lodowni był lód wyrąbany z rzeki Jogues i przewieziony tu w blokach przez konie, przechowywany w trocinach, czekający na lato, gdy będzie rarytasem.

Laura i ja wyszłyśmy na śliską przystań, czego nie wolno nam było robić. Reenie mówiła, że jeśli spadniemy i dostaniemy się pod lód, nie przeżyjemy nawet sekundy, bo woda jest tam zimna jak śmierć. Buty wypełnią się wodą i pójdziemy na dno jak kamienie. Rzucaliśmy prawdziwe kamienie, żeby sprawdzić, co się z nimi stanie: odbijały się od lodu, znieruchomiały, ale wciąż znajdowały się w zasięgu wzroku. Nasze oddechy tworzyły biały dym; wydmuchiwaliśmy go kłębami, jak pociągi, i przestępowałyśmy z jednej zmarzniętej nogi na drugą. Pod podeszwami naszych butów skrzypiał śnieg. Wzięłyśmy się za ręce i nasze rękawiczki przymarzły do siebie, a kiedy je zdjęłyśmy, zostały dwie wełniane ręce, trzymające się nawzajem, puste i smutne.

Na dnię progów Louveteau jeden na drugim gromadziły się poszczerbione bryły lodu. W południe lód był biały, o zmroku jasnozielony; mniejsze kawałki brzęczały jak dzwonki. Środkiem rzeki płynęła czarna woda. Ukryte wśród drzew dzieci krzyczały ze wzgórze na drugim brzegu. W zimnym powietrzu ich głosy były wysokie, cienkie i szczęśliwe. Zjeżdżały na sankach, czego nam nie wolno było robić. Zapragnęłam wejść na poszczerbiony lód przy brzegu i

sprawdzić jego wytrzymałość.

Nadeszła wiosna. Gałęzie wierzby okryły się żółcią, a dereni czerwienią. Rzeka Louveteau wezbrała; krzaki i drzewa wyrwane z korzeniami wirowały i zahaczały o przeszkody. Jakaś kobieta skoczyła z mostu Jubileuszowego nad progami i przez dwa dni szukano ciała. Wyłowiono ją w dole rzeki i nie wyglądała zbyt dobrze, gdyż po upadku na progi wygląda się jak po przejściu przez maszynkę do mięsa. Nie najlepszy sposób na opuszczenie tej ziemi, powiedziała Reenie – nie wtedy, gdy człowiekowi zależy na wyglądzie, choć najprawdopodobniej w takich chwilach nie zależy.

Pani Hillcoate słyszała, że było pół tuzina takich skoczków. Czyta się o nich w gazetach. Jednym z nich była jej koleżanka ze szkoły, która wyszła za mąż za robotnika drogowego. Często wyjeżdżał, mówiła, więc czego się spodziewał?

– Chodziła już z bębniem – powiedziała. – Żadnego wytłumaczenia.

Reenie pokiwała głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Nieważne, jak głupi jest facet, większość potrafi jednak liczyć – stwierdziła. – Przynajmniej na palcach. Pewnie nieźle dostała w skórę. Ale to już była musztarda po obiedzie.

– Jaka musztarda? – spytała Laura.

– Musiała mieć też inne kłopoty – stwierdziła pani Hillcoate. – Kiedy zaczynają się kłopoty, to najczęściej rozmaite.

– Co to znaczy chodzić z bębniem? – wyszeptwała do mnie Laura. – Jakim bębniem?

Nie wiedziałam.

Reenie powiedziała, że oprócz skakania kobiety lubią też wchodzić do rzeki, tak żeby prąd wody wciągnął je pod powierzchnię, a ciężar ich ubrań nie pozwolił im wypłynąć, nawet gdyby chciały. Mężczyzna lepiej by się zastanowił. Mężczyźni wieszają się na belkach w swoich stodołach albo strzelają sobie w głowę ze strzelby; a jeśli chcą się utopić, przywiązują sobie do szyi kamienie albo inne ciężkie przedmioty: ostrza siekier, torby z gwoździami. Nie zamierzają ryzykować w tak poważnej sprawie. To typowe dla kobiet: wejść do wody i ustąpić, dać się porwać. Trudno było wywnioskować z tonu Reenie, czy pochwała te różnice, czy też nie.

W czerwcu skończyłam dziesięć lat. Reenie upiekła ciasto, choć powiedziała, że może nie powinnyśmy go jeszcze jeść, bo zbyt mało czasu minęło od śmierci mamy, ale w końcu życie musi toczyć się dalej, więc może ciasto nie urazi.

Czego nie urazi? – zapytała Laura.

Uczuć mamy, odrzekłam.

Spytała, czy mama obserwuje nas z nieba. Zaparłam się i nie chciałam jej powiedzieć. Laura nie tknęła nawet odrobiny ciasta, nie po tym, co usłyszała o uczuciach matki, więc ja zjadłam oba nasze kawałki.

Teraz trudno mi już przypomnieć sobie szczegóły mojej żaloby – formę, którą przyjęła – chociaż gdy chciałam, mogłam przywołać jej echo, małego wyjącego psa, uwięzionego w piwnicy. Co robiłam tego dnia, gdy umarła matka? Ledwie mogłam to sobie przypomnieć. Zapomniałam też, jak naprawdę wyglądała; teraz wyglądała jak swoje fotografie. Dobrze za to pamiętałam, jak nie na miejscu było jej łóżko, gdy nagle jej w nim zabrakło: jak puste się wydawało. Pamiętam też, jak popołudniowe światło wpadało z ukosa przez okno i w ciszy osiadało na drewnianej podłodze, i pamiętam koty z kurzu, pływające w nim jak we mgle. Zapach środka do czyszczenia mebli, z dodatkiem wosku i więdnących chryzantem, i utrzymująca się woń basenu i środków dezynfekujących. Teraz o wiele lepiej pamiętałam jej nieobecność niż obecność.

Reenie powiedziała pani Hillcoate, że choć nikt nigdy nie zdoła zająć miejsca pani Chase, chodzącej świętej – jeśli coś takiego istnieje – ona, Reenie, zrobiła, co mogła, udawała przed nami pogodną, gdyż im mniej się mówi, tym szybciej przechodzi, a na szczęście wydaje się, że już się z tym uporałyśmy, choć cicha woda brzegi rwie, a ja jestem zbyt spokojna, co nie może mi wyjść na dobre. Dodała, że wszystko w sobie chowam, i to z pewnością kiedyś wybuchnie. Co do Laury, trudno powiedzieć, bo zawsze była dziwnym dzieckiem.

Reenie stwierdziła, że za dużo z sobą przezywamy. Powiedziała, że Laura uczy się rzeczy, na które jest za mała, a ja cofam się w rozwoju. Każda z nas powinna zadawać się ze swoimi rówieśnikami, ale te nieliczne dzieci, które mogłyby być dla nas odpowiednie, wysłano już do szkoły – do prywatnych szkół, takich jak te, do których my powinnyśmy zostać wysłane, ale kapitan Chase jakoś nie mógł się do tego zabrać, a poza tym to by było za dużo zmian naraz, choć ja jestem bardzo spokojna i z pewnością dałabym sobie radę, ale Laura jest dziecinna jak na swój wiek i – skoro już o tym mowa – w ogóle dziecinna. I zbyt nerwowa. Taki typ panikuje, rzuca się i tonie w dziesięciu centymetrach wody, gdyż nie unosi głowy.

Laura i ja siedziałyśmy na tylnych schodach za uchylonymi drzwiami, zasłaniając rękami usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Delektowałyśmy się rozkoszą szpiegowania. Żadnej z nas nie wyszło na dobre podsłuchiwanie takich rzeczy o sobie.

Strudzony Żołnierz

Dziś poszłam do banku – rano, by uniknąć najgorszego upału, ale także po to, by być na miejscu w chwili otwarcia. W ten sposób mogłam mieć pewność, że ktoś zwróci na mnie uwagę, a jest mi to potrzebne od czasu, kiedy popełnili kolejny błąd w moim bilansie. Wciąż potrafię dodawać i odejmować, powtarzam im, w przeciwieństwie do tych waszych urzędów, a oni uśmiechają się do mnie niczym kelnerzy, tacy, co to w kuchni plują w zupę. Zawsze żądam widzenia z kierownikiem, a kierownik zawsze jest „na spotkaniu”. Zawsze odsyłają mnie do jakiegoś pełnego wyższości, protekcyjnego elfa, który dopiero co wyrósł z krótkich spodenek i widzi siebie jako przyszłego plutokratę.

Czuję, że gardzi się mną tutaj, ponieważ mam tak mało pieniędzy; także dlatego, że miałam ich tak dużo. Oczywiście, nigdy ich tak naprawdę nie miałam. Ojciec je miał, a potem Richard. Jednak przypisywano mi pieniądze, tak jak się przypisuje zbrodnie tym, którzy tylko byli przy nich obecni.

W banku są romańskie kolumny, co ma nam przypomnieć o oddaniu cesarzowi tego, co cesarskie, podobnie jak te idiotyczne opłaty za usługi. W ogóle bym się nie przejmowała i trzymała pieniądze w skarpacie pod materacem tylko po to, żeby zrobić im na złość. Plotka jednak szybko by się rozeszła, jak sądzę – plotka, że stałam się stukniętą starą ekscentryczką, taką jak te, które znajdują się martwe w norach zapchanych setkami pustych puszek po kocim jedzeniu i dwoma milionami dolarów w pięciodolarowych banknotach, ukrytych między kartkami żółknących gazet. Nie mam zamiaru wzbudzić zainteresowania miejscowych narkomanów i włamywaczy o przekrwionych oczach i nerwowych palcach.

W drodze powrotnej z banku obeszałam ratusz, z jego włoską dzwonnicy i florenckim dwutonowym murem z cegły, wymagającym odmalowania masztem i działem polowym, które było nad Sommą. I z dwiema rzeźbami z brązu, obie ma zamówionymi przez rodzinę Chase. Ta po prawej stronie, zlecona przez babkę Adelię, przedstawia pułkownika Parkmana, weterana ostatniej decydującej bitwy podczas amerykańskiej rewolucji, tej o Fort Ticonderoga, obecnie w stanie Nowy Jork. Co jakiś czas trafiają do nas zagubieni Niemcy, Anglicy czy nawet Amerykanie, wędrują przez miasto, szukając Fortu Ticonderoga i pola bitwy. To nie to miasto, mówimy im. I w ogóle nie ten kraj. Szukacie tego obok.

To pułkownik Parkman ruszył przed siebie, przeszedł przez granicę i nazwał nasze miasto, w ten sposób perwersyjnie upamiętniając bitwę, którą przegrał. (Chociaż może to wcale nie jest takie niezwykle: wielu ludzi strzeże pamięci swoich ran). Rzeźba przedstawia go na koniu, wymachującego mieczem i ru-

szającego do galopu w pobliski klomb petunii: to niedostępny mężczyzna o zahartowanych oczach i spiczastej brodzie, powszechne rzeźbiarskie wyobrażenie wszystkich dowódców kawalerii. Nikt nie wie, jak naprawdę wyglądał pułkownik Parkman, gdyż nie uchował się żaden obraz, a pomnik wzniesiono w 1885 roku – teraz wygląda jednak właśnie tak. Oto tyrania sztuki.

Po lewej stronie trawnika, także z klombami petunii, stoi równie mityczna postać: Strudzony Żołnierz, z rozpiętymi trzema górnymi guzikami koszuli, szyją wygiętą jak pod topór kata, w zniszczonym mundurze, przekrzywionym hełmie, opierający się o zepsuty karabin Rossa. Zawsze młody, zawsze wyczerpany, wieńczy pomnik Ofiar Wojny, jego skóra łśni zielono w słońcu, a gołębie odchody spływają mu po twarzy niczym łzy.

Strudzony Żołnierz to projekt mojego ojca. Żołnierza wyrzeźbiła Callista Fitzsimmons, bardzo polecana przez Frances Loring, organizatorkę Komitetu Pomnika Ofiar Wojny z Towarzystwa Artystów Ontario. Kilka osób w mieście zaprotestowało przeciw pannie Fitzsimmons – kobiety nie uważano za odpowiednią do takich tematów – ale ojciec zmiażdżył przeciwników na spotkaniu potencjalnych sponsorów: Czy panna Loring nie jest kobietą? – zapytał. To wzbudziło kilka lekceważących komentarzy, z których: „Skąd pan wie”, był najłagodniejszy. Prywatnie ojciec powiedział, że ten, kto płaci grajkowi, wybiera muzykę, a skoro są tacy biedni, to muszą albo przygotować się do obrony, albo podporządkować.

Panna Callista Fitzsimmons nie tylko była kobietą, ale do tego rudowłosą dwudziestoosmiolatką. Zaczęła często odwiedzać Awilion, żeby konsultować się z ojcem w sprawie zaproponowanego projektu. Te sesje odbywały się w bibliotece, początkowo przy drzwiach otwartych, później już nie. Umieszczono ją w jednym z pokoiów dla gości, najpierw w jednym z najlepszych, a potem w najlepszym. Wkrótce pojawiała się niemal w każdy weekend, a ten pokój zaczęliśmy nazywać „jej” pokojem.

Ojciec wydawał się szczęśliwszy, z pewnością mniej pił. Kazał uprzątnąć teren, przynajmniej na tyle, żeby dobrze się prezentował. Kazał też wysypać podjazd nowym żwirem oraz oskrobać, pomalować i odnowić „Nimfę Wodną”. Czasem odbywały się nieformalne weekendowe przyjęcia, których gośćmi byli artyści z Toronto – przyjaciele Callisty. Ci artyści, wśród których nie znalazłoby się osób o znanych nazwiskach, nie nosili smokingów, ani nawet eleganckich strojów wieczorowych, tylko swetry w serek; jedli byle jakie posiłki na trawniku i dyskutowali o subtelnościach sztuki, palili, pili i wciąż się wyklócali. Artystki zużywały zbyt wiele ręczników w łazience, niewątpliwie dlatego, że nigdy dotąd nie widziały przyzwoitej łazienki, taka była teoria Reenie. Miały też niechlujne paznokcie, które obgryzały.

Kiedy nie odbywały się żadne przyjęcia, ojciec i Callista wyjeżdżali na pikniki jednym z samochodów – sportowym roadsterem, nie osobowym sedanem –

z koszykiem zapakowanym niechętnie przez Reenie. Albo wypływali na jachcie. Callista w spodniach z rękami w kieszeniach, jak Coco Chanel, i w jednym ze starych pulowerów ojca. Czasem jechali całą drogę do Windsor i zatrzymywali się w przydrożnych restauracjach, w których odbywały się koktajle, dzięki graniu i rozhukane tańce – restauracjach odwiedzanych przez gangsterów zamieszanych w przemyt rumu, zjeżdżających tam z Chicago i Detroit, żeby ubijać interesy z legalnymi właścicielami gorzelnii po kanadyjskiej stronie. (Wtedy w Stanach Zjednoczonych panowała prohibicja; alkohol płynął przez granicę niczym bardzo kosztowna woda; trupy z obciętymi koniuszkami palców i pustymi kieszeniami wrzucano do rzeki Detroit i lądowały na plażach jeziora Erie, wznecając debatę na temat tego, kto powinien wziąć na siebie koszty ich pogrzebu). Gdy ojciec i Callista wyjeżdżali na takie wycieczki, nie wracali na noc, a czasem nawet na kilka nocy. Raz pojechali nad wodospad Niagara, co wzbudziło zazdrość Reenie, i raz do Buffalo, ale pociągiem.

Znałyśmy te szczegóły od Callisty, która ich nie szczędziła. Powiedziała nam, że ojcu potrzeba „trochę wigoru” i że ten wigor dobrze mu robi. Powiedziała, że powinien się trochę zabawić; trochę więcej mieć z życia. Powiedziała, że ona i ojciec to „świetni kumple”. Zaczęła nazywać nas „dzieciakami”; powiedziała, że możemy mówić do niej „Callie”.

(Laura chciała wiedzieć, czy ojciec także tańczył w tych przydrożnych restauracjach: trudno było to sobie wyobrazić z powodu jego roztrzaskanej nogi. Callista zaprzeczyła, ale twierdziła, że przyglądanie się tańczącym sprawiało mu przyjemność. Wątpiłam w to. Patrzenie na tańczących ludzi nie sprawia przyjemności, jeśli nie można tego robić samemu).

Czułam respekt przed Callistą, bo była artystką i słuchano się jej jak mężczyzny, chodziła i potrzasała rękami jak mężczyzna, paliła papierosy w krótkiej czarnej fifce i wiedziała, kim jest Coco Chanel. Miała przekłute uszy, a swoje rude włosy (teraz wiem, że farbowane henną) wiązała chustami. Nosiła spływające do ziemi, przypominające płaszcze stroje w odważne wirujące wzory: fuksja, heliotrop, szafran, tak się nazywały ich barwy. Powiedziała mi, że zaprojektowano je w Paryżu pod wpływem fascynacji białą emigracją rosyjską. Wyjaśniła mi, kim są. Mnóstwo wyjaśniała.

– To jedna z jego latawic – powiedziała Reenie pani Hillcoate. – Jeszcze jedna z całego łańcuszka, który, Bóg wie, jest długi jak twoje ramię. Pomyślałby kto, że będzie na tyle przyzwoity, żeby nie przyprowadzać jej pod ten sam dach, kiedy tamta jeszcze nie ostygła w grobie, który być może własnoręcznie jej wykopał.

– Co to jest latawica? – zapytała Laura.

– Pilnuj swojego nosa – odparła Reenie. To, że mówiła, mimo iż ja i Laura siedziałyśmy w kuchni, było oznaką jej gniewu. (Później wyjaśniłam Laurze, co to jest latawica: to dziewczyna, która żuje gumę. Ale Callista Fitzsimmons tego

nie robiła).

– Niektórym rosną uszy – powiedziała ostrzegawczo pani Hillcoate, ale Reenie wciąż mówiła.

– A co do tych dziwacznych strojów, które nosi, równie dobrze mogłaby iść do kościoła w majtkach. Pod światło widać słońce, księżyc i gwiazdy, i wszystko między nimi. Nie, żeby miała specjalnie co pokazywać, wygląda jak wymoczek, jest płaska jak deska.

– Nigdy nie miałabym tyle śmiałości – powiedziała pani Hillcoate.

– Trudno to nazwać śmiałością – odparła Reenie. – Wisi jej to w nosie. – (Kiedy Reenie się denerwowała, nie zwracała uwagi na gramatykę). – Moim zdaniem, czegoś jej brakuje; nie jest całkiem normalna. Poszła się kąpać w oczku wodnym razem z tymi wszystkimi żabami i złotymi rybkami. Spotkałam ją, jak szła przez trawnik tylko w ręczniku, tak jak ją Pan Bóg stworzył. Skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie, nawet nie spuściła wzroku.

– Słyszałam o tym – powiedziała pani Hillcoate. – Myślałam, że to plotka. Wydawała mi się przesadzona.

– To materialistka – oznajmiła Reenie. – Chce zagiąć na niego parol, a potem go oskubać.

– Co to jest materialistka? Co to jest parol? – dopytywała się Laura.

Słowo „wymoczek” sprawiło, że zaczęłam myśleć o wymiętym, mokrym praniu na sznurku, na wietrze. Callista Fitzsimmons wcale taka nie była.

W związku z pomnikiem Ofiar Wojny wybuchła sprzeczka, i to nie tylko z powodu plotek o ojcu i Calliście Fitzsimmons.

Niektórzy ludzie w mieście uważali, że Strudzony Żołnierz wygląda zbyt przygnębiająco, a także zbyt niechlujnie: mieli obiekcje co do rozpiętej koszuli. Chcieli czegoś bardziej triumfalnego, jak Bogini Zwycięstwa na pomniku dwa miasta dalej, która miała anielskie skrzydła, rozwiane wiatrem szaty i trzymała narzędzie o trzech zębach, wyglądające jak widelec do opiekania. Chcieli także, żeby na pomniku napisano „Pamięci tych, którzy chętnie złożyli najwyższą ofiarę”.

Ojciec odmówił wycofania się z projektu, twierdząc, że mogą się uważać za szczęściarzy, bo Strudzony Żołnierz ma dwie ręce i obie nogi, nie wspominając o głowie, i że gdyby tak nie pilnowali ojca, zażyczyłby sobie czystego realizmu i rzeźbę wykonano by z gnijących ludzkich szczątków, o które swego czasu często się potykał. Co do napisu, nie było nic chętnego w ofierze, tak jak nie było intencją zmarłych dać się zaprowadzić do Królestwa Niebieskiego. Sam wołał napis „Żebyśmy nie zapomnieli”, który kładł nacisk na to, na co powinien: na naszą zdolność zapominania. Powiedział, że cholernie wielu ludzi ma cholernie krótką pamięć. Rzadko kłął publicznie, więc zrobił wrażenie. Postawił na swoim, oczywiście, w końcu to on płacił.

Izba Handlowa dała pieniądze na cztery tablice pamiątkowe z brązu z honorową listą poległych i nazwami bitew. Członkowie Izby chcieli, żeby u dołu pomnika wygrawerowano nazwę instytucji, ale ojciec ich zawstydził i odwiódł od tego pomysłu. Powiedział im, że pomnik Ofiar Wojny jest dla zmarłych – nie dla tych, którzy pozostali przy życiu, a tym bardziej nie po to, aby czerpali z tego korzyści. Przez takie argumenty niektórzy mieli do niego pretensje.

Pomnik odsłonięto w listopadzie 1928 roku, w Dniu Pamięci. Mimo zimnej mżawki zebrał się wielki tłum. Strudzony Żołnierz spoczął na czterobocznej piramidzie z okrągłych rzecznych kamieni, takich jak kamienie w Awilionie, a brązowe tablice były okolone liliami i makami splecionymi z liśćmi klonu. O to też wybuchła sprzeczka. Callie Fitzsimmons stwierdziła, że projekt jest staroświecki i banalny, te wszystkie zwieszające się kwiaty i liście, „wiktoriański” – co stanowiło najgorszą artystyczną obelgę tamtych czasów. Chciała czegoś surowszego, nowocześniejszego. Ludziom w mieście się jednak podobały i ojciec powiedział, że czasem trzeba iść na kompromis.

W trakcie ceremonii grały dudy. (Dobrze, że na dworze, a nie w budynku, powiedziała Reenie). Potem nastąpiło główne kazanie, wygłoszone przez prezbiteriańskiego duchownego. Mówił o tych, którzy chętnie złożyli najwyższą ofiarę – przytyk miasta do ojca, żeby mu pokazać, że nie może zakłócić przebiegu uroczystości i że za pieniądze nie wszystko da się kupić, a oni mimo jego sprzeciwu włączyli to zdanie. Potem wygłoszono więcej kazań, odmówiono więcej modlitw – wiele kazań i modlitw, bo stawili się duchowni ze wszystkich kościołów w mieście. Chociaż w komitecie organizacyjnym nie było katolików, dopuszczono do głosu nawet katolickiego księdza. Mój ojciec na to nalegał, twierdząc, że martwy katolicki żołnierz jest równie martwy jak martwy protestancki żołnierz.

Reenie stwierdziła, że to jedna strona medalu.

– A jaka jest druga strona? – zapytała Laura.

Mój ojciec złożył pierwszy wieniec. Laura i ja przyglądałyśmy się, stojąc obok siebie. Reenie płakała. Królewski Pułk Kanadyjski wysłał delegację aż z Koszar Wolsely'ego w Londynie i major M.K. Greene złożył wieniec. Wtedy wieńce składali niemal wszyscy – między innymi Legion, potem Lions, Kinsmen, Rotary Club, Oddfellows, Orange Order, Rycerze Kolumba, Izba Handlowa i I.O.D.E{11} – a na końcu pani Wilmerowa Sullivan w imieniu Matek Poległych, która straciła trzech synów. Odśpiewano *Cierpicie ze mną*, potem dudziarz ze szkockiej orkiestry odegrał *Ostatni posterunek*, raczej niepewnie, a następnie na dwie minuty zapadła cisza, później zaś milicja oddała salwę. Potem była *Pobudka*.

Ojciec stał z opuszczoną głową, ale wyraźnie drżał, trudno powiedzieć, czy to z żalu, czy z wściekłości. Pod grubym płaszczem miał mundur, a swoje okry-

te rękawiczkami dłonie opierał na lasce.

Była tam też Callista Fitzsimmons, ale trzymała się z tyłu. Powiedziała nam, że to nie jest taka uroczystość, na której artyści powinni wystąpić i kłaniać się publiczności. Miała na sobie przywoity czarny płaszcz, spódnicę zamiast szaty i kapelusz, który zakrywał większą część jej twarzy, ale i tak wszyscy o niej szeptali.

Po uroczystości Reenie przygotowała w kuchni kakao dla Laury i dla mnie, żeby nas rozgrzać, bo zmarzyliśmy w mżawce. Zaproponowała też kubek pani Hillcoate, która powiedziała, że nie odmówi.

– Dlaczego to się nazywa „upamiętnić”? – zapytała Laura.

– Żebyśmy pamiętali zmarłych – powiedziała Reenie.

– Czemu? – zainteresowała się Laura. – Po co? Oni tego chcą?

– To nie dla nich, tylko bardziej dla nas – odparła Reenie. – Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza.

Laura zawsze to słyszała, ale nie przykładała do tego żadnej wagi. Chciała wiedzieć teraz. Postawiła przed sobą kubek.

– Mogę dostać więcej? Co to jest najwyższa ofiara?

– Żołnierze oddali swoje życie za nas wszystkich. Mam nadzieję, że nie tylko oczy by chciały, ale buzia, też, bo kiedy zrobię kakao, oczekuję, że je wypijesz.

– Dlaczego oddali swoje życie? Chcieli tego?

– Nie, ale i tak to zrobili. Dlatego mówimy, że to ofiara – powiedziała Reenie. – Dosyć tego. Masz tu kakao.

– Oddali swoje życie Bogu, bo Bóg tego chciał. Tak jak Jezus umarł za nasze grzechy – dodała pani Hillcoate, która była baptystką i uważała się za najwyższy autorytet.

Tydzień później Laura i ja wędrowaliśmy ścieżką obok Louveteau, w dół od Przełomu. Tego dnia mgła podniosła się znad rzeki, wirowała w powietrzu niczym serwatka, kapiała z nagich gałązek krzewów. Kamienie na ścieżce były śliskie.

Nagle Laura znalazła się w wodzie. Na szczęście nie szłyśmy tuż obok głównego prądu, więc jej nie porwał. Wrzasnęłam i pobiegłam w dół rzeki, gdzie złapałam ją za płaszcz. Jej ubranie jeszcze nie nasiąkło wodą, ale i tak była bardzo ciężka, sama prawie wpadłam. Udało mi się dowlec ją do płaskiego występu skalnego; potem ją wyciągnęłam. Ociekała jak mokra owca, ja sama byłam nieźle przemoczona. Potrząsnęłam nią. Wtedy już drżała i płakała.

– Zrobiłaś to specjalnie! – krzyknęłam. – Widziałam! Mogłaś utonąć. – Laura przelknęła i zaszlochała. Objęłam ją. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Żeby Bóg znowu pozwolił żyć mamie – zapłakała.

– Bóg nie chce, żebyś umarła – powiedziałam. – To by Go rozwścieczyło! Gdyby chciał, żeby mama żyła, i tak by to zrobił, bez twojego tonięcia. – Tylko tak można było rozmawiać z Laurą, kiedy wpadała w podobne nastroje; trzeba było udawać, że wie się o Bogu coś, czego ona nie wie.

Wytarła nos wierzchem dłoni.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– No bo spójrz – pozwolił mi cię uratować! Widzisz? Gdyby chciał, żebyś umarła, ja też bym wpadła. Obie byśmy nie żyły! A teraz chodź, musisz się wysuszyć. Nie naskarzę Reenie. Powiem, że to był wypadek, że się pośliznęłaś. Ale nie rób więcej czegoś takiego. Dobrze?

Laura nic nie odpowiedziała, ale pozwoliła mi się zaprowadzić do domu. Było mnóstwo pełnego strachu gderania, napominania i besztania, kubek wołowego rosółu, ciepła kąpiel i termofor dla Laury, której niefortunny wypadek przypisano jej dobrze znanej niezręczności; kazano jej uważać, gdzie chodzi. Ojciec powiedział do mnie: „dobra robota”; zastanawiałam się, co by powiedział, gdybym straciła Laurę. Reenie stwierdziła, że przynajmniej mamy pół rozumu na dwie, ale co my tam w ogóle robiliśmy? I to w takiej mgłę. Powiedziała, że powinnam była to przewidzieć.

Tamtej nocy nie spałam przez wiele godzin, obejmując się rękami i mocno ściskając. Miałam lodowate stopy i szczykałam zębami. Nie mogłam wyrzucić z pamięci obrazu Laury w lodowato czarnych wodach Louveteau – jej włosów rozpostartych niczym dym na wirującym wietrze, jej mokrej twarzy połyskującej srebrzyście, jej spojrzenia, kiedy złapałam ją za płaszcz. Jak ciężko było ją utrzymać. Jak bliska byłam rezygnacji.

Panna Przemoc

Laura i ja nie chodziliśmy do szkoły, zamiast tego zapewniano nam wielu prywatnych nauczycieli, zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Nie uważaliśmy ich za niezbędnych i robiliśmy co w naszej mocy, żeby się ich pozbyć. Wbijaliśmy w nich jasnyniebieskie spojrzenie, udawałyśmy głuche albo głupie; nigdy nie patrzyliśmy im w oczy, tylko na czoło. Czasem pozbycie się ich zajmowało więcej czasu, niż można by się spodziewać; z zasady sporo znosili z naszej strony, bo życie kiepsko ich potraktowało i potrzebowali pieniędzy. Nie miałyśmy nic przeciwko nim jako ludziom; po prostu nie chciałyśmy być nimi obciążone.

Kiedy nie spędzałyśmy czasu z nauczycielami, oczekiwano od nas, że będziemy przebywały w Awilionie – albo w domu, albo w okolicy. Kto jednak miał nas dopilnować? Łatwo było uciec przed nauczycielami, nie znali naszych tajemnych ścieżek, a Reenie nie mogła mieć na nas oka przez cały czas, jak to sama często podkreślała. Kiedy tylko się dało, wymykałyśmy się z Awilionu i włączyłyśmy po mieście, mimo opinii Reenie, że świat jest pełen kryminalistów, anarchistów i złowrogich Chińczyków z fajkami do opium, cienkimi wąsikami jak skręcona linka i długimi, szpiczastymi paznokciami, odurzonych potworów i handlarzy żywym towarem, czekających tylko, by nas porwać i przetrzymywać dla okupu z pieniędzy ojca.

Jeden z wielu braci Reenie miał coś wspólnego z tanimi czasopismami, śmieciarskimi brukowcami, które można było kupić w sklepach, i tymi gorszymi, tylko spod lady. Na czym polegała jego praca? Reenie nazywała to dystrybucją. Teraz myślę, że szmuglował je do kraju. Tak czy inaczej, czasem dawał kilka Reenie i choć próbowała je przed nami ukryć, prędzej czy później wpadały w nasze ręce. Niektóre z nich były o miłości i mimo że Reenie je pożerała, nam nie wydawały się szczególnie użyteczne. Wolałyśmy – albo ja wolałam, a Laura podzielała moje zdanie – te z historiami o innych krajach albo nawet innych planetach. O statkach kosmicznych z przyszłości, w której kobiety nosiły bardzo krótkie spódnice z błyszczących tkanin i wszystko lśniło; o asteroidach, na których rośliny potrafiły mówić, pełnych potworów o olbrzymich oczach i kłach; o krajach z dawnych czasów, zamieszkałych przez gibkie dziewczęta o topazich oczach i mieniącej się skórze, ubranych w spodnie z gazy i małe metalowe biustonosze wyglądające jak dwa lejki połączone łańcuchem. O bohaterach w surowych strojach, o skrzydlatych hełmach najeżonych kolcami.

Głupie, mówiła o nich Reenie. Jak nie z tej ziemi, dodawała. Ale to mi się właśnie w nich podobało.

Przestępcy i handlarze żywym towarem występowali w czasopismach kry-

minalnych z okładkami pełnymi pistoletów i przesiąkniętymi krwią. Wielkookie dziedziczki olbrzymich fortun zawsze odurzano w nich eterem i związywano sznurem do bielizny – o wiele dłuższym niż to konieczne – po czym zamykano w kabinach jachtów, opuszczonych kościelnych kryptach albo wilgotnych zamkowych piwnicach. Laura i ja wierzyliśmy w istnienie takich ludzi, ale nie za bardzo się ich obawialiśmy, bo wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Mieliby duże, ciemne motocykle, nosiliby grube płaszcze, rękawice i czarne kapelusze z szerokim rondem, a my natychmiast byśmy ich dostrzegły i uciekły.

Ale nigdy nie zobaczyliśmy żadnego. Jedyne napotkane wrogie siły to były dzieci robotników z fabryki, te młodsze, które jeszcze nie wiedziały, że mamy być nietykalne. Chodziły za nami parami lub trójkami, milczące i zaciekawione, albo nas wyzywały. Co jakiś czas rzucały kamieniami, chociaż nigdy w nas nie trafiły. Najbardziej bezbronne byliśmy na wąskiej ścieżce obok Louveteau, bo nad głowami miałyśmy urwisko – stamtąd można było na nas zrzucać rozmaite rzeczy – albo w bocznych alejkach, których nauczyliśmy się unikać.

Chodziliśmy po Erie Street, oglądając sklepowe wystawy; najbardziej lubiliśmy sklep z artykułami gospodarstwa domowego. Czasem zaglądałyśmy przez druciany płot szkoły podstawowej, która była dla zwykłych dzieci – dla dzieci robotników – z wysypanym żużlem boiskiem i wysokimi rzeźbionymi drzwiami z napisem „Chłopcy” i „Dziewczeta”. W czasie przerwy panował tam wielki hałas, a dzieci nie były czyste, zwłaszcza jeśli się biły i przewracały na żużel. Cieszyliśmy się, że nie musimy chodzić do tej szkoły. (Czy naprawdę się cieszyliśmy? Czy też, z drugiej strony, czułyśmy się wykluczone? Pewnie jedno i drugie).

Na te wycieczki wkładałyśmy kapelusze. Wymyśliłyśmy sobie, że nas chronią; że dzięki nim jesteśmy do pewnego stopnia niewidzialne. Dama nigdy nie wychodzi bez kapelusza, mówiła Reenie. Mówiła też: „Rękawiczki”, ale nie zawsze zawracałyśmy sobie nimi głowę. Z tamtych czasów pamiętam słomkowe kapelusze: nie z białych słomek, ale spalonego koloru. I wilgotny upał czerwca, powietrze senne od pyłków kwiatowych. Niebieski blask nieba. Lenistwo, walenie się.

Jak bardzo bym chciała, by wróciły te bezcelowe popołudnia – nuda, brak poczucia celu, nie sprecyzowane możliwości. I w pewien sposób wróciły; tyle że teraz niewiele już zdarzy się później.

Nauczycielka, którą miałyśmy w tamtym okresie, przetrwała dłużej niż pozostała. Była czterdziestoletnią kobietą z szafą pełną spłowiałych, kaszmirowych kardiganów, świadczących o wcześniejszym, lepszym życiu, i ze zwojem mysich włosów spiętych z tyłu głowy. Nazywała się panna Goreham – panna Violet Goreham. Za jej plecami przezywałam ją panna Przemoc^[12], choć uznałam, że to zupełnie do niej nie pasuje, a potem nie mogłam na nią spojrzeć i się nie roze-

śmiać. Przewzisko jednak do niej przyłgnęło; powiedziała o nim Laurze, no i oczywiście Reenie także się dowiedziała. Powiedziała, że to nieładnie wyśmiewać się tak z panny Goreham; biedaczka nie miała szczęścia w życiu i zasługiwała na nasze współczucie, bo była starą panną. A co to takiego? Kobieta bez męża. Panna Goreham była skazana na życie w stanie niezamężnym, oznajmiła Reenie z nutą pogardy.

– Ale ty też nie masz męża – zauważyła Laura.

– Ja to co innego – powiedziała Reenie. – Nigdy nie spotkałam człowieka, który by mnie zainteresował, ale niejednego odrzuciłam. Miałam propozycje.

– Może panna Przemoc też miała – stwierdziłam, tylko po to, żeby się sprzeciwić. Wchodziłam w ten wiek.

– Nie – odparła Reenie. – Nie miała.

– Skąd wiesz? – dopytywała się Laura.

– To po niej widać – powiedziała Reenie. – Gdyby tylko dostała jakąś propozycję, choćby od mężczyzny z trzema głowami i ogonem, uczepliaby się go jak rzep psiego ogona.

Byłyśmy w dobrych stosunkach z panną Przemocą, gdyż pozwalała nam robić to, na co miałyśmy ochotę. Wcześniej zdała sobie sprawę z tego, że brak jej siły, by nad nami zapanować, i rozsądnie postanowiła nawet nie zwracać sobie głowy próbowaniem. Odbywałyśmy lekcje rankami w bibliotece, która kiedyś należała do dziadka Benjamina, a teraz do ojca, a panna Przemoc pozwalała nam z niej korzystać. Półki były pełne ciężkich, oprawionych w skórę ksiązek z ciemnozłotymi wytłaczanymi literami, i wątpię, żeby dziadek Benjamin kiedykolwiek je przeczytał: to babka Adelia skompletowała dla niego te lektury.

Wybierałam książki, które mnie interesowały: *Opowieść o dwóch miastach* Charlesa Dickensa; historie Macaulaya; *Podbój Meksyku* i *Podbój Peru*, z ilustracjami. Czytałam też poezję, a panna Przemoc od czasu do czasu bez entuzjazmu próbowała nas uczyć, każąc mi czytać to na głos. „W Xanadu kazał Kubla Chan wznieść pyszny pałac”.{13} „Na polach Flandrii kołyszają się maki, Między krzyżami znaczą krwawe szlaki”.{14}

– Nie śpiesz się tak – mówiła panna Przemoc. – Wersy powinny płynąć, kochanie. Udawaj, że jesteś fontanną.

Chociaż sama była masywna i nieelegancka, miała wyrobione zdanie o delikatności i długą listę rzeczy, które powinnyśmy w jej opinii udawać: kwitnące drzewa, motyle, łagodne wietrzyki. Wszystko, tylko nie małe dziewczynki o brudnych kolanach i z palcami w nosie: była skrupulatna w kwestii higieny osobistej.

– Nie gryź kredek, skarbie – mówiła panna Przemoc do Laury. – Nie jesteś grzyzoniem. Patrz, masz całkiem zielone usta. Zepsujesz sobie zęby.

Czytałam *Evangeline* Henry’ego Wadswortha Longfellowa; czytałam So-

nety z portugalskiego Elizabeth Barrett Browning. „Jak ciebie kocham? Pozwól, niech wyliczę”.{15}

– Pięknie – wzdychała panna Przemoc. Szalenie się wzruszała, tak bardzo, jak tylko pozwalało jej wieczne przygnębienie, losami Elizabeth Barrett Browning; także Emily Pauline Johnson, Księżniczki Mohawków.{16}

*Lecz nagle rzeka w siłę urosła;
Wir się kłębią przy moich wiosłach
Za lejem lej
Biją wokół fale
Groźbę swą niosąc wciąż dalej i dalej.*{17}

– Poruszające, kochanie – powiedziała panna Przemoc.

Albo czytałam Alfreda, lorda Tennysona, człowieka, który zdaniem panny Przemoc, majestatem ustępował jedynie Bogu.

*W mech, co ogródek okrył cały
Najgęstszą czernią, rdzą przeżarte
Gwoździe ze sznurów wypadały
Wiążących cztery grusze stare (...)
Mówiła: „Strasznie tu,
Nie przyjdzie on, daleki!
O, gdybyż spokój snu
Ogarnął mnie na wieki”.*{18}

– Dlaczego tego chciała? – zapytała Laura, która zazwyczaj nie wykazywała zainteresowania moimi deklamacjami.

– To była miłość, kochanie – powiedziała panna Przemoc. – To była bezgraniczna miłość. Ale nie odwzajemniona.

– Dlaczego?

Panna Przemoc westchnęła.

– To poemat, kochanie – powiedziała. – Napisał go lord Tennyson i sędzę, że wiedział to najlepiej. Poemat nie zastanawia się dlaczego. Piękno jest prawdą, prawda pięknem – tylko to się wie na ziemi, i tylko to wystarczy wiedzieć!

Laura popatrzyła na nią z pogardą i wróciła do kolorowania. Przewróciłam stronę: już zdążyłam przejrzeć cały poemat i odkryć, że nic innego się w nim nie wydarzyło.

*Bij, bij, bij, o morze.
Bij w te zimne, te szare kamienie!*

*Gdybyż usta umiały wyrazić
Myśli, które znów się budzą we mnie!*{19}

– Pięknie, kochanie – powiedziała panna Przemoc. Lubiała bezgraniczną miłość, ale tak samo lubiała też beznadziejną melancholię.

Była tam cienka książka oprawiona w skórę tabaczkowej barwy, należąca niegdyś do babki Adelii: *Rubajaty Omara Chajjama*, autorstwa Edwarda Fitzgeralda. (Tak naprawdę Edward Fitzgerald jej nie napisał, a jednak mówiono, że jest jej autorem.

Jak to wyjaśnić? Nawet nie próbowałam). Panna Przemoc czasami czytała nam fragmenty z tej książki, żeby pokazać mi, jak należy recytować poezję:

*Księgę wersów drzewo w cieniu zbawi.
Wino, chleb – choć Panu serce krwawi
Śpiewa wraz ze mną w dali pustyni –
Pustynia ta rajem mi się jawi!*{20}

Zachłystywała się tym „Ach”, jak gdyby ktoś kopnął ją w klatkę piersiową; podobnie z „Ty”. Pomyślałam, że to mnóstwo zamieszania, jeśli chodzi o zwykły piknik, i zastanawiałam się, co było na tym chlebie.

– Oczywiście nie chodzi o prawdziwe wino, kochanie – powiedziała panna Przemoc. – To się odnosi do Komunii Świętej.

*Niech jaki anioł nim próżny będzie znój
Wstrzyma zwinięty jeszcze losu zwój,
Srogi kronikarz inny zapis da
Lub wręcz zaniedba obowiązek swój!
Miłości! Pójdźmy wraz doń po jedno,
Rzeczy porządku by pojąć sedno
Czyż nie zburzyliśmy go, by wznieść
Nowy, wzór czerpiąc tam, gdzie serca dno?*{21}

– To takie prawdziwe – westchnęła panna Przemoc. Wzdychała przy każdej okazji. Pasowała do Awilionu – do przestarzałego wiktoriańskiego przepychu, atmosfery estetycznego rozpadu, niegdyśiejszej gracji, nieszczęśliwego żalu. Jej poglądy, a nawet spłowiełe kaszmiry, pasowały do tapet.

Laura niewiele czytała. Woląla kopiować rysunki albo kolorować swoimi kredkami czarno-białe ilustracje w grubych, uczonych księgach o podróżach i historii. (Panna Przemoc pozwalała jej to robić, zakładając, że nikt nie zauważy). Laura miała dziwne, ale bardzo zdecydowane poglądy kolorystyczne: rysow-

wała drzewa na niebiesko albo na czerwono, niebo na różowo albo zielono. Jeśli natrafiała na portret kogoś, kogo nie akceptowała, zamalowywała mu twarz na fioletowo lub na szaro, żeby zatrzeć rysy.

Lubiła przerysowywać piramidy z książki o Egipcie; lubiła kolorować egipskie bożki. A także asyryjskie rzeźby o ciałach skrzydlatych lwów i głowach orłów lub ludzi. Kopiowała je z książki sir Henry'ego Layarda, który odkrył rzeźby w ruinach Niniwy i przewiózł je statkiem do Anglii; mówiono, że przedstawiają anioły opisane w księdze Ezechiela. Pannie Przemocy nie za bardzo podobają się te obrazki – rzeźby wyglądały na pogańskie, a także krwiozercze – ale Laury to nie odstraszało. W zetknięciu z krytyką jeszcze bardziej garbiła się nad kartką i rysowała z zapałem, jakby od tego zależało jej życie.

– Wyprostuj się, kochanie – mawiała panna Przemoc. – Udawaj, że twój kręgosłup to drzewo rosnące ku słońcu.

Ale Laury nie interesowało takie udawanie.

– Nie chcę być drzewem – odpowiadała.

– Lepiej być drzewem niż garbusem, kochanie – wdychała panna Przemoc. – A jeśli nie będziesz dbała o sylwetkę, taka właśnie się staniesz.

Panna Przemoc sporo czasu spędzała na siedzeniu przy oknie i czytaniu romantycznych powieści z wypożyczalni książek. Lubiła też przeglądać oprawione w skórę albumy z wycinkami babki Adelii, z maleńkimi tłoczonymi zaproszeniami, starannie wklejonymi, z menu wydrukowanymi w gazetowej drukarni i z późniejszymi wycinkami z gazet – dobroczynne podwieczorki, rozwijające wykłady ilustrowane slajdami, odważni, uprzejmi podróżnicy, którzy odwiedzili Paryż, Grecję czy nawet Indie, zwolennicy Swedenborga, fabianie, wegetarianie, rozmaici rzecznicy samorozwoju, a od czasu do czasu coś naprawdę niezwykłego – misjonarz z Afryki, Sahary czy Nowej Gwinei, opisujący, jak tubylcy uprawiają czary albo ukrywają swoje kobiety za wymyślnymi drewnianymi maskami czy ozdabiają czaszki przodków czerwoną farbą i muszlami ślimaków. Krok po kroku panna Przemoc zagłębiała się w przedstawione na żółknącym papierze dowody tego luksusowego, ambitnego, toczącego się niegdyś, lecz nie istniejącego już życia, jak gdyby wspominała je z uśmiechem pełnym łagodnej namiastki rozkoszy.

Miała paczkę choinkowych gwiazdek, złotych i srebrnych, i przyczepiała je do zrobionych przez nas rzeczy. Czasem zrywałyśmy z nią kwiaty, które wkładaliśmy potem między dwie kartki bibuły i przyciskaliśmy ciężką książką. Co raz bardziej ją lubiłyśmy, choć nie płakałyśmy, gdy odeszła. Ona jednak płakała – obficie, nieelegancko, tak jak robiła wszystko inne.

Skończyłam trzynaście lat. Dorastałam pod takimi względami, za które nie odpowiadałam, choć ojciec najwyraźniej irytował się tak, jakbym to ja była winna.

Zaczął się interesować moją posturą, moim sposobem wysławiania, ogólnie moim zachowaniem. Moja garderoba powinna być prosta i surowa, składać się z białych bluzek, ciemnych plisowanych spódnic i ciemnych aksamitnych sukienek do kościoła. Z ubrań, które wyglądały jak mundury – jak stroje marynarzy – choć nimi nie były. Ramiona powinnam trzymać wyprostowane, nie garbić się. Nie powinnam się przeciągać, żuć gumy, wiercić się ani papać. Wymagane przez niego cnoty ceniono w wojsku: schludność, posłuszeństwo, milczenie i żadnej widocznej seksualności. Seksualność, choć się o niej nie mówiło, należało tłumić w zarodku. Za długo pozwalał mi chodzić własnymi ścieżkami. Nadszedł czas, by się mną zająć.

Laura też otrzymała swoją porcję sztorcowania, choć jeszcze nie była w odpowiednim wieku. (A kiedy się było w odpowiednim wieku? Teraz rozumiem, że w okresie dojrzewania. Wtedy jednak czułam się jedynie zagubiona. Jaką zbrodnię popełniłam? Dlaczego traktowano mnie jak wychowankę jakiegoś dziwaczego poprawczaka?).

- Jesteś za twardy dla dzieciaków – powiedziała Callista. – To nie chłopcy.
- Niestety – odparł ojciec.

To do Callisty poszłam tego dnia, gdy odkryłam, że zapadłam na straszliwą chorobę, gdyż między nogami ciekła mi krew: z pewnością umierałam! Callista zaczęła się śmiać. Potem wyjaśniła: „To tylko niedogodność”. Powiedziała, że powinnam mówić o tym jako o swojej „przyjaciółce” albo „gościu”. Reenie miała bardziej prezbiteriański pogląd. „To przekleństwo”, stwierdziła. Niemal dodała, że to jeszcze jeden dziwaczny Boży pomysł na utrudnienie życia; tak po prostu jest, powiedziała. Co do krwi, bierze się ściereczki. (Nie powiedziała „krew”, użyła słowa „kłopot”). Zaparzyła mi filiżankę rumianku, który smakował tak, jak pachnie zepsuta sałata; dała mi też termofor, na skurcze. Ani jedno, ani drugie nie pomogło.

Laura odkryła plamę krwi na moim prześcieradle i zaczęła płakać. Uznała, że umieram. Umrę jak mama, szlochała, w ogóle jej nie mówiąc. Będę miała małe, szare dziecko podobne do kotka, a potem umrę.

Powiedziałam jej, żeby nie była idiotką. Wyjaśniłam, że ta krew nie ma nic wspólnego z dziećmi. (Callista nie zajęła się tą sprawą, bez wątpienia zdecydowała, że zbyt dużo tego rodzaju informacji może zaszkodzić mojej psychice).

– Pewnego dnia tobie też się to przytrafi – oznajmiłam Laurze. – Kiedy będziesz w moim wieku. To się zdarza wszystkim dziewczynom.

Laura była oburzona. Nie chciała w to uwierzyć. Tak jak w wielu innych sprawach, była przekonana, że zostanie potraktowana wyjątkowo.

Z tamtych czasów zachowało się zdjęcie portretowe Laury i moje. Mam na sobie przepisową ciemną sukienkę z aksamitu, zbyt infantylną na mój wiek: mam

też zauważalny gors, jak to kiedyś nazywano. Laura siedzi obok mnie, ubrana w identyczną sukienkę. Obie włożyłyśmy białe podkolanówki i lakierowane skórzane buty od Mary Janes; krzyżujemy przyzwoicie nogi w kostkach, prawą nad lewą, jak nam przykazano. Obejmuję Laurę ramieniem, ale z wahaniem, jak gdyby ktoś mi kazał. Laura z kolei trzyma ręce złożone na brzuchu. Nasze jasne włosy rozdzielono przedziałkiem pośrodku i mocno związane z tyłu. Obie się uśmiechamy z obawą jak dzieci, kiedy mówi się im, że mają być dobre i uśmiechnięte, jak gdyby to było jedno i to samo: to uśmiech wymuszony groźbą dezaprobaty. Groźbą i dezaprobatą ojca. Bałyśmy się ich, ale nie umiałyśmy ich unikać.

Przemiany Owidiusza

Ojciec uznał, zresztą słusznie, że zaniedbano naszą edukację. Chciał, by uczone nas francuskiego, ale także matematyki i łaciny – dynamicznych, umysłowych ćwiczeń, które zadziałałyby jak odtrutka na nasze nadmierne marzycielstwo. Geografia także by nas orzeźwiła. Choć ledwie zauważał pannę Przemoc podczas jej kadencji, uznał, że trzeba pozbyć się jej wraz z tymi swobodnymi, trącącymi myszką i uróżwionymi metodami. Chciał, żeby oskrobano z nas koronkowe, falbaniaste, nieco mroczne brzegi, jakbyśmy byli główkami sałaty, tak aby został sam czysty, zdrowy środek. Nie rozumiał, dlaczego lubimy to, co lubimy. Chciał nas w ten czy inny sposób upodobnić do chłopców. Czegóż innego można się było po nim spodziewać? Nie miał siostr.

Na miejsce panny Przemocy zaangażował mężczyznę o nazwisku Erskine, który kiedyś uczył w szkole dla chłopców w Anglii, ale ze względu na stan zdrowia nagle został wysłany do Kanady. Nam wcale nie wydawał się niezdrowszy: nigdy na przykład nie kaszlał. Był krępy, odziany w tweedy, miał jakieś trzydzieści albo trzydzieści pięć lat, rudawe włosy i pulchne, wilgotne, czerwone usta, skąpą kosią bródkę; cechowały go zjadliwa ironia i wybuchowy temperament, a cuchnął jak dno kosza z wilgotnym praniem.

Wkrótce stało się jasne, że brak uwagi na zajęciach i wpatrywanie się w czoło pana Erskine'a nie pozwolą nam się go pozbyć. Na początku zrobił nam sprawdziany, żeby ocenić, co umiemy. Okazało się, że najwyraźniej niewiele, chociaż więcej, niż uznaliśmy za stosowne wyjawić. Potem powiedział ojcu, że mamy umysły owadów albo świstaków. Jesteśmy po prostu żalodne; aż dziwne, że nie cierpimy na kretynizm. Cechuje nas lenistwo umysłowe – pozwolono nam je w sobie rozwinąć, dodał z dezaprobatą. Na szczęście nie było jeszcze za późno. Mój ojciec stwierdził, że wobec tego pan Erskine powinien nas oszlifować.

Nam pan Erskine powiedział, że nasze lenistwo, arogancja, tendencja do wałęsania się i fantazjowania, a także nasz łzawy sentymentalizm niemalże uniemożliwiły nam zmierzenie się z prawdziwym życiem. Nikt nie oczekuje, że będziemy geniuszami, i nikt wcale nie chce, abyśmy nimi byli, ale z pewnością istnieje jakieś minimum, nawet dla dziewcząt: będziemy jedynie brzemieniem dla mężczyzn na tyle głupich, żeby się z nami ożenić, jeśli nie zmusi się nas do odrobiny wysiłku.

Zamówił cały stos szkolnych zeszytów, tych tanich, w linie i w cienkich kartonowych okładkach. Zamówił też zwykle grafitowe ołówki z gumkami. Powiedział, że to magiczne różdżki, dzięki którym przy jego pomocy zdołamy się zmie-

nić.

Powiedział „pomocy” z uśmiechem wyższości.

Wyrzucił gwiazdki panny Goreham.

Uznał, że biblioteka zbyttnio nas rozprasza. Poprosił o dwa szkolne biurka, które ustawił w jednej z wolnych sypialni; kazał usunąć łóżko, a także inne meble, więc pokój został pusty. Drzwi zamykano na klucz i to on nim dysponował. Teraz miałyśmy podwinąć rękawy i zabrać się do roboty.

Pan Erskine cenil sobie proste metody. Ciągnął za włosy, wykręcał ucho. Walil linijką w biurko obok naszych palców, czasem też w same palce, albo doprowadzony do rozpacz, tłukł nas w potylicę, czy też w ostateczności ciskał książkami lub bił nas po łydkach. Jego sarkazm był miażdżący, przynajmniej dla mnie: Laura często rozumiała go dosłownie, co powodowało, że złościł się jeszcze bardziej. Łzy nie robiły na nim wrażenia; wydaje mi się, że się nimi cieszył.

Nie każdego dnia był taki. Czasem wszystko toczyło się gładko i przez tydzień. Okazywał nam cierpliwość, nawet niezręczną uprzejmość. Potem następował wybuch i pan Erskine zaczynał szaleć. Nigdy nie wiedziałyśmy, co robi i kiedy to robi – i to było najgorsze.

Nie mogłyśmy poskarżyć się ojcu, bo czyż pan Erskine nie działał zgodnie z jego instrukcjami? Mówił, że tak. Ale, rzecz jasna, skarżyłyśmy się Reenie. Była wściekła. Powiedziała, że jestem za duża, żeby mnie tak traktować, a Laura zbyt nerwowa, obie zaś jesteśmy... no właśnie, co on sobie myślał, że kim jest? Wychowany w ryszotku, a zadziera nosa jak wszyscy Anglicy, którzy tu lądują; myślą, że mogą się rządzić, a jeśli kąpał się choć raz na miesiąc, to ona gotowa jest zjeść własną koszulę. Kiedy Laura przysła do Reenie z pręgami od uderzeń na dłoniach, Reenie wybrała się na rozmowę z panem Erskine'em, ale usłyszała, że ma pilnować własnego nosa. To ona nas zepsuła, stwierdził. Zepsuła nas zbytnią pobłażliwością i traktowaniem jak małe dzieci – to było oczywiste – a teraz on musiał naprawiać szkody, które wyrządziła.

Laura oznajmiła, że jeśli pan Erskine nie odejdzie, to ona to robi. Ucieknie. Wskoczy przez okno.

– Nie rób tego, skarbie – powiedziała Reenie. – Pomyślimy nad tym. Damy mu popalić!

– On nie pali – zaszlochała Laura.

Callista Fitzsimmons mogłaby nam pomóc, ale wiedziała, skąd wieje wiatr: nie byłyśmy jej dziećmi, tylko ojca, on obrał taki kierunek postępowania i wtrącanie się byłoby z jej strony taktycznym błędem. To był przypadek *sauve qui peut*(22)t, które to wyrażenie, dzięki skrupulatności pana Erskine'a, teraz sama potrafiłam przetłumaczyć.

Pan Erskine miał dosyć proste wyobrażenie na temat matematyki: musiałyśmy wiedzieć, jak obliczać domowe wydatki, co oznaczało dodawanie, odejmo-

wanie i księgowanie podwójne.

Francuski według niego oznaczał formy czasownikowe i *Fedrę* oraz znajomość zwięzłych maksym znanych autorów. *Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait*{23} – Estienne; *C'est de quoi j'ai le plus de peur que la peur*{24} – Montaigne; *Le coeur a ses raisons que la raison ne connaît point*{25} – Pascal; *L'histoire, cette vieille dame exaltée et menteuse*{26} – de Maupassant. *Il ne faut pas toucher aux idoles: la dorure en reste aux mains*{27} – Flaubert. *Dieu s'est fait homme; soit. Le diable s'est fait femme*{28} – Victor Hugo. I tak dalej.

Geografia z kolei to były dla niego europejskie stolice. Łacina zaś to Cezar podbijający Galów i przekraczający Rubikon, *alea iacta est*; i dalej fragmenty *Eneidy* Wergiliusza – podobało mu się samobójstwo Dydony – albo *Przemian* Owidiusza, fragmenty dotyczące nieprzyjemnych rzeczy, które bogowie robili różnym młodym kobietom. Wielki biały byk gwałcący Europę, łabędź Ledę, a złoty deszcz Danae – to przynajmniej nas zainteresuje, mówił z ironicznym uśmiechem. Co do tego miał rację. Dla odmiany kazał nam tłumaczyć łacińskie wiersze miłosne, raczej cyniczne. Takie jak *Odi et amo*. Miał frajdę, obserwując, jak zmagamy się ze złą opinią poetów o dziewczętach, którymi z pewnością przeznaczone było nam się stać.

– *Rapio, rapere, rapui, raptum* – powiedział pan Erskine. – Chwytać i poskramiać. Słowo raptus ma ten sam źródłosłów. Proszę odmienić. – I ciach linijką.

Uczyliśmy się. Naprawdę się nauczyliśmy, w duchu zemsty: nie chcieliśmy dać panu Erskine'owi żadnego pretekstu. Niczego nie pragnął bardziej, niż postawić stopę na naszych karkach – cóż, zamierzałyśmy, w miarę możliwości, pozbawić go tej rozkoszy. Tak naprawdę nauczyliśmy się od niego, jak oszukiwać. Trudno było zrobić jakiś kant w matematyce, ale spędziłyśmy wiele godzin późnymi popołudniami, ściągając tłumaczenia Owidiusza z kilku książek z biblioteki dziadka – stare tłumaczenia znakomitych twórców wiktoriańskich, drukowane drobną czcionką i pełne skomplikowanego słownictwa.

Czytając je, łapałyśmy sens ustępów, a następnie zastępowałyśmy słowa innymi, prostszymi, i dodawałyśmy kilka błędów, żeby wyglądało na to, że same odrobiłyśmy lekcje. Niezależnie od tego, co zrobiłyśmy, pan Erskine przekreślał nasze tłumaczenia czerwonym ołówkiem i pisał okrutne komentarze na marginesach. Niewiele się nauczyliśmy z łaciny, ale dowiedzieliśmy się mnóstwo o fałszerstwie. Nauczyliśmy się, jak zachowywać kamienny, nieruchomy wyraz twarzy, jak gdyby je wykrochmalono. Najlepiej było nie reagować na pana Erskine'a w żaden widoczny sposób, zwłaszcza nie należało się wzdrygać.

Przez jakiś czas Laura uważała na pana Erskine'a, ale fizyczny ból – to znaczy jej ból – nie miał nad nią władzy. Błądziła myślami gdzie indziej, nawet jeśli

pan Erskine krzyczał. Miał taki ograniczony zasięg. Wpatrywała się w tapetę – we wzór w różyczki i wstążki – albo w okno. Przyswoiła sobie umiejętność błyskawicznego oddalania się myślami – w jednej chwili była skupiona na człowieku, w następnej znajdowała się gdzie indziej. Albo to raczej człowiek znajdował się gdzie indziej: jak gdyby oddaliła go skinieniem niewidzialnej różdżki; jak gdyby to właśnie ten człowiek zniknął.

Pan Erskine nie mógł znieść takiego lekceważenia. Zaczął nią potrząsać – żeby to z niej wyrzucić, jak sam mawiał. Nie jesteś śpiącą królową, wrzeszczał. Czasem ciskał Laurą o ścianę albo szarpał nią, trzymając ręce na jej szyi. Kiedy nią trząsał, zamykała oczy i robiła się bezwładna, co go jeszcze bardziej rozwścieczało. Początkowo próbowałam interweniować, ale nic to nie dawało. Po prostu odpychał mnie na bok jednym machnięciem swojej odzianej w tweedy, brzydko pachnącej ręki.

– Nie denerwuj go – mówiłam Laurze.

– Nie ma znaczenia, czy go denerwuję czy nie – powiedziała. – Poza tym on nie jest zdenerwowany. Chce tylko położyć ręce na mojej bluzce.

– Nigdy nie widziałam, żeby to robił – odparłam. – Dlaczego miałby to robić?

– Robi to, kiedy nie patrzysz – wyjaśniła Laura. – Albo wkłada mi je pod spódnicę. Lubi majtki.

Powiedziała to tak spokojnie, że pomyślałam, że musiała to wszystko wymyślić albo źle zrozumieć. Źle zrozumieć ręce pana Erskine’a, ich intencje. To, co opisała, było takie nieprawdopodobne. Nie wydawało mi się czymś, co mógłby robić dorosły mężczyzna, co mogłoby go interesować, bo przecież czyż Laura nie była jedynie małą dziewczynką?

– Nie powinnyśmy powiedzieć Reenie? – zapytałam niepewnie.

– Mogłaby mi nie uwierzyć – odparła Laura. – Ty nie wierzysz.

Ale Reenie jej uwierzyła – albo postanowiła jej uwierzyć – i to był koniec pana Erskine’a. Wiedziała, że nie wygra z nim w bezpośrednim starciu: tylko oskarżyłby Laurę, że rozpowiada wstrętne kłamstwa, i byłoby jeszcze gorzej niż dotąd. Cztery dni później Reenie wmaszerowała do gabinetu ojca w fabryce guzików z garścią fotografii z przemytu. Teraz na ich widok można by najwyżej unieść brew, ale wtedy były skandaliczne – kobiety w czarnych pończochach z piersiami w kształcie puddingu, wylewającymi się z gigantycznych biustonoszy, te same kobiety całkiem nagie, powyginane i z rozkraczonymi nogami. Powiedziała, że znalazła zdjęcia pod łóżkiem pana Erskine’a, kiedy zamiatła jego pokój, no i czy takiemu człowiekowi można zaufać i powierzać małe córeczki kapitana Chase’a?

Wśród słuchaczy jej wystąpienia znajdowała się grupa robotników z fabryki, adwokat ojca i przypadkowo także przyszedł mąż Reenie, Ron Hincks. Widok

Reenie z zaróżowionymi policzkami z dołeczkami, z oczyma błyszczącymi jak u żadnej zemsty Furii, z czarnym hełmem rozwichrzonych włosów, wymachującej garścią piersiastych, obfitych, zupełnie nagich kobiet, to było dla Rona aż za wiele. W myślach padł przed nią na kolana i od tego dnia zaczęły się jego zaloty uwieńczone w końcu sukcesem. Ale to już inna historia.

Jeśli jest coś, czego Port Ticonderoga nie zamierza tolerować, powiedział adwokat ojca pouczającym tonem, to takie nieprzyzwoitości w rękach nauczycieli niewinnej młodzieży. Ojciec zrozumiał, że po czymś takim nie może trzymać pana Erskine'a w domu, jeśli nie chce zostać nazwany potworem.

(Od dawna podejrzewam, że Reenie sama zdobyła te fotografie od brata, który zajmował się dystrybucją czasopism i który z łatwością mógł je załatwić. Podejrzewam, że pan Erskine był pod tym względem niewinny. Jeśli w ogóle, gustował raczej w dzieciach, a nie w wielkich biustonoszach. Wtedy jednak nie mógł się spodziewać uczciwej walki ze strony Reenie).

Pan Erskine odszedł, protestując i zapewniając o swojej niewinności – był oburzony, ale także wstrząśnięty. Laura uznała, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Powiedziała, że modliła się, aby wydalono pana Erskine'a z naszego domu, i że Bóg ją usłyszał. Stwierdziła, że Reenie wypełniała tylko Jego wolę za pomocą nieprzyzwoitych zdjęć. Zastanawiałam się, co Bóg o tym myśli, zakładając, że istnieje – w co coraz bardziej wątpiłam.

Laura z kolei podczas kadencji pana Erskine'a bardzo poważnie zaczęła traktować religię; wciąż bała się Boga, ale mając do wyboru jednego wybuchowego, nieprzewidywalnego tyrana i innego, zdecydowała się na tego silniejszego i bardziej odległego.

Kiedy dokonała wyboru, zaczęła jak zwykle wpadać w skrajności.

– Zamierzam zostać zakonnica – oznajmiła spokojnie, kiedy podczas lunchu jadłyśmy kanapki przy kuchennym stole.

– Nie możesz – powiedziała Reenie. – Nie przyjmą cię. Nie jesteś katoliczką.

– No to będę – stwierdziła Laura. – Przyłączę się do nich.

– No cóż – powiedziała Reenie. – Będziesz musiała obciąć włosy. Pod tymi swoimi welonami zakonnice są łyse jak kolano.

To było sprytnie posunięcie. Laura tego nie wiedziała. Jeśli była próżna, to właśnie na punkcie swoich włosów.

– Dlaczego to robią? – zapytała.

– Myślą, że Bóg tego od nich chce. Myślą, że Bóg chce od nich włosów w ofierze, co tylko udowadnia, jak niewiele wiedzą. Co On by miał z nimi zrobić? – spytała Reenie. – Cóż za pomysł! Te wszystkie włosy.

– A co robią z włosami? – dopytywała się Laura. – Kiedy już je obetną?

Reenie łuskała fasole; trzask, trzask, trzask.

– Robi się z nich peruki dla bogatych kobiet – powiedziała. Dobrze trafiła,

ale wiedziałam, że to bujda, jak jej wcześniejsze opowieści o dzieciach z ciasta. – Dla snobistycznych bogaczek. Nie chciałybyś, żeby twoje śliczne włosy tkwiły na czyjejś wielkiej, tłustej, brudnej głowie.

Laura zrezygnowała z pomysłu zostania zakonnicą, a przynajmniej na to wyglądało; kto mógł jednak przewidzieć, na co wpadnie następnym razem? Miała większą od innych zdolność do wiary. Otworzyła się, powierzyła się, oddała się, zdała się na łaskę. Odrobina niedowierzania mogłaby być pierwszą linią obrony.

Minęło kilka lat – w pewnym sensie zmarnowanych na pana Erskine’a. Nie powinnam używać słowa „zmarnowane”; wiele się od niego nauczyłam, choć niekoniecznie tego, czego chciał uczyć. Oprócz kłamstw i oszustw nauczyłam się częściowo skrywanej beczelności i milczącego oporu. Nauczyłam się, że zemsta najlepiej smakuje na zimno. Nauczyłam się, jak nie dać się złapać.

W tym czasie zaczął się kryzys. Ojciec nie stracił wiele przez krach, ale jednak coś stracił. Stracił także margines błędu. Powinien był pozamykać fabryki w odpowiedzi na zmniejszone zapotrzebowanie; powinien był wpłacić pieniądze do banku – zgromadzić je, jak robiło wielu ludzi na jego stanowisku. To byłoby rozsądne. Nie zrobił tego jednak. Nie mógł tego zrobić. Nie mógł wyrzucić swoich ludzi z pracy. Był im winien lojalność, tym swoim ludziom. Nieważne, że niektórzy z nich byli kobietami.

W Awilionie zagościło ubóstwo. W naszych sypialniach zimą zrobiło się lodowato, pościel się przetarla. Reenie odcięła zniszczony środek, po czym zszyła boki. Wiele pokoi pozamykano, większość służby zwolniono. Nie mieliśmy już ogrodnika, potajemnie wkradły się chwasty. Ojciec powiedział, że będzie potrzebował naszej współpracy, żeby wszystko się układało – żeby jakoś przetrwać ten trudny okres. Powiedział, że możemy pomagać Reenie w domu, skoro mamy awersję do łaciny i matematyki. Nauczymy się, jak wyciskać dolara niczym cytrynę. W praktyce oznaczało to fasolkę, solonego dorsza albo króliki na obiad oraz własnoręczne cerowanie pończoch.

Laura nie chciała jeść królików. Powiedziała, że wyglądają jak obdarte ze skóry dzieci. Trzeba by być kanibalem, żeby je jeść.

Reenie stwierdziła, że ojciec jest zbyt życzliwy, żeby mogło mu to wyjść na dobre. Powiedziała też, że jest zbyt dumny. Nie wiedziała, co nastąpi, ale najbardziej prawdopodobne wydawało się popadnięcie w ruinę.

Teraz miałam szesnaście lat. Moja formalna edukacja jako taka już się zakończyła. Kręciłam się po domu, ale po co? Co się miało ze mną stać?

Reenie miała swoje priorytety. Zaczęła czytywać czasopismo „Mayfair” z opisami uroczystości w towarzystwie, a także kroniki towarzyskie w gazetach – śluby, bale charytatywne, luksusowe wakacje. Zapamiętywała całe listy – nazwisk prominentów, statków wycieczkowych, dobrych hoteli. Mówiła, że nale-

żałoby urządzić debiutancki bal na moją cześć, z całym rytuałem – podwieczorkami, by poznać ważne matki z towarzystwa, przyjęciami i modnymi wycieczkami, formalnymi tańcami z zaproszonymi młodymi mężczyznami do wzięcia. Awilion znów wypełniły się dobrze ubranymi ludźmi, jak za dawnych czasów; znów pojawiłyby się kwartety smyczkowe i lampiony na trawniku. Nasza rodzina była co najmniej równie dobra jak rodziny, które wydawały bale na cześć swoich córek – równie dobra albo i lepsza. Ojciec powinien był trzymać jakieś pieniądze w banku właśnie na ten cel. Reenie mówiła, że gdyby tylko moja matka żyła, wszystko odbyłoby się tak, jak trzeba.

Wątpiłam w to. Z tego, co słyszałam o matce, mogłaby nalegać, żeby posłać mnie do szkoły – do żeńskiego college’u Alma albo podobnej szacownej, ponurej instytucji – żebym nauczyła się czegoś przydatnego i równie ponurego jak stenografia; debiut jednak byłby dla niej zbyt ciężki. Sama nigdy go nie miała.

Babka Adelia była inna i na tyle odległa w czasie, że mogłam ją idealizować. Ona zadałaby sobie dla mnie ten trud, nie szczędziłaby planów ani pieniędzy. Szwendałam się po bibliotece, przyglądając się jej wizerunkom, wciąż wiszącym na ścianach: portretowi olejnemu, namalowanemu w 1900 roku, na którym miała uśmiech sfinksa i suknię koloru suszonych czerwonych róż, z głębokim dekoltem, z którego znienacka wyłaniała się jej naga szyja, niczym ręka magika zza kurtyny; czarno-białym fotografiom w złoconych ramach, ukazującym ją w kapeluszach z szerokim rondem albo ze strusimi piórami, lub też w wieczorowych sukniach, z diademami i białymi rękawiczkami z kozłej skóry; samą lub z rozmaitymi zapomnianymi obecnie dygnitarzami. Posadziłaby mnie i udzieliłaby mi niezbędnych rad: jak się ubierać, co mówić, jak się zachowywać przy różnych okazjach. Jak nie zrobić z siebie pośmiewiska, co jak już wtedy wiedziałam, było niezmiernie trudne. Mimo zaczytywania się w kronikach towarzyskich Reenie nie miała o tym pojęcia.

Piknik fabryki guzików

Weekend po Święcie Pracy^[29] nadszedł i odszedł, pozostawiając po sobie w wirach rzeki masę plastikowych kubków, pływających butelek i sflaczałych balonów. Wrzesień rozgościł się na dobre. Choć w południe słońce nadal przypieka, każdego poranka wstaje coraz później, ciągnąc za sobą mgłę, a w chłodniejsze wieczory cykają świerszcze. Dzikie astry skupiają się w ogrodzie, gdzie zagnieździły się jakiś czas temu – drobne białe i inne, bujniejsze, koloru nieba, jeszcze inne o rdzawych łodygach, mocno fioletowe. Kiedyś, w czasach, gdy pobieżnie zajmowałam się ogrodem, uznałabym je za chwasty i wyrwała. Teraz już nie robię takich rozróżnień.

Nastała lepsza pogoda na spacer, nie ma już tyle blasku i migotania. Turyści się przerzedzają, a ci, którzy pozostali, są przynajmniej skromnie okryci: żadnych wielkich szortów ani wzdętych letnich sukienek, żadnych spieczonych na raka nóg.

Dzisiaj wyruszyłam na Obozowisko. Wyruszyłam, ale w połowie drogi podjechała samochodem Myra i zaproponowała, że mnie podwiezie, i wstyd mi przyznać, ale się zgodziłam: brakowało mi tchu, już wiedziałam, że to za daleko. Myra chciała wiedzieć, dokąd idę i po co – musiała odziedziczyć instynkt pasterski po Reenie. Powiedziałam jej dokąd; wyjaśniłam, że chcę jeszcze raz zobaczyć to miejsce, przez wzgląd na dawne czasy. Stwierdziła, że to zbyt niebezpieczne: nigdy nie wiadomo, co się może czaić w leśnym poszyciu. Kazała mi obiecać, że usiądę na parkowej ławce, na widoku, i tam na nią zaczekam. Oznajmiła, że przyjedzie za godzinę, żeby mnie zabrać.

Coraz bardziej czułam się jak list – zostawiony tutaj, odebrany tam. Ale jak list nie zaadresowany do nikogo.

Na Obozowisku nie bardzo jest co podziwiać. To kawałek ziemi między drogą a rzeką Jogues – około kilometra kwadratowego – pełen drzew i karłowatych krzewów, i komarów na wiosnę, z niewielkiego mokradła na środku. Polują tu czaple, czasem można usłyszeć ich chrapliwe nawoływania, brzmi to jak skrobanie patykiem po szorstkiej blasze. Co jakiś czas kilku obserwatorów ptaków myszkuje żałośnie, jak to oni, szukając czegoś, co zgubili.

W cieniu błyskają sreberka z paczek papierosów, bezbarwne, sflaczałe bulwy wyrzuconych prezerwatyw i porzucone kwadraty chusteczek higienicznych, po deszczu przypominające koronkę. Psy i koty roszczą sobie prawo do tego terenu, spragnione parki zakradają się w krzaki, chociaż rzadziej niż kiedyś – mają teraz tyle innych możliwości. Latem pijacy śpią pod gęściejszymi krzewami, a nastolatki czasem przychodzą tu palić i wachać to, co palą i wachają.

Znaleziono tu ogarki od świec, spalone łyżki i dziwną igłę jednorazowego użytku. Słyszałam to wszystko od Myry, która uważa, że to hańba. Wie, do czego służą ogarki i łyżki: to akcesoria narkomanów. Wygląda na to, że grzech jest wszędzie. *Et in Arcadia ego.*{30}

Dziesięć czy dwadzieścia lat temu usiłowano uporządkować ten teren. Postawiono tablicę z napisem „Park pułkownika Parkmana”, co brzmiało bez sensu, a także trzy drewniane stoły, plastikowy kosz na śmieci i dwie przenośne toalety dla wygody gości spoza miasta, jak mówiono, choć oni woleli żłopać piwo i rozrzucać śmieci tam, gdzie mieli lepszy widok na rzekę. Potem kilku lubiących broń palną młodzieńców wykorzystywało tablicę do ćwiczeń strzeleckich, a stoły i toalety usunął rząd prowincji – to miało coś wspólnego z budżetem – kosza na odpadki zaś nigdy nie opróżniono, choć często łupiły go szopy pracze; w związku z tym zabrano i kosz, a cały teren stał się taki jak dawniej.

Nazywa się go Obozowiskiem, bo tu organizowano religijne obozy, z wielkimi namiotami jak z cyrku i z żarliwymi, specjalnie sprowadzanymi duchownymi. W tamtych czasach teren był lepiej utrzymany albo po prostu zdeptany. Małe wędrownie wesole miasteczka ustawiały tu budki i karuzele i przywiązywały swoje kuce i osiołki; tu kończyły się parady, zamieniając się w pikniki. To było miejsce odpowiednie na wszelkie zgromadzenia na świeżym powietrzu.

Tu właśnie spotykano się na Obchodach Dnia Pracy fabryki Chase i Synowie. Tak brzmiała oficjalna nazwa, choć ludzie nazywali je piknikami fabryki guzików. Zawsze odbywały się w sobotę przed poniedziałkowym Świętem Pracy, pełne żarliwej retoryki, parad, orkiestr i własnoręcznie robionych transparentów. Były balony i karuzela, i nieszkodliwe, niemądre zabawy – wyścigi w workach, wyścigi z jajkiem na łyżce, sztafeta, w której jako pałeczki używano marchewki. Śpiewali rewelersi, wcale nie najgorzej; drużyny skautów wygrywały na trąbkach jeden czy dwa utwory; ekipy dzieci tańczyły do góralskich melodii albo wykonywały irlandzkie tańce na wystającej drewnianej platformie, przypominającej ring bokszerski, muzyka zaś rozbrzmiewała z gramofonu na korbkę. Odbywały się tu konkursy na najlepiej ubrane domowe zwierzątko i takie same dla niemowląt. Jedzono gotowane kolby kukurydzy, sałatkę ziemniaczaną i hot dogi. Wolontariuszki organizowały aukcje na rzecz pomocy tym czy innym, oferując placki, ciastka i ciasta oraz słoje dżemów, sosów i marynat, każdy z naklejką z opisem: „Marynowane jarzyny Rhody”, „Kompot śliwkowy Pearl”.

Trwały dzikie harce – świetna zabawa. Nie podawano niczego mocniejszego od lemoniady, ale mężczyźni przynosili ze sobą flaszki i mocne drinki i po zmierzchu czasem wybuchaly starcia, slychać bylo krzyki i hałasliwy śmiech wśród drzew, a następnie plusk na brzegu, gdy jakiegoś mężczyznę czy wyrostka wrzucono w ubraniu albo i bez ubrania do wody. Jogues była w tym miejscu na tyle płytką, że prawie nikt nie utonął. Po zmroku puszczano sztuczne ognie.

W okresie rozkwitu tych pikników albo w tym, co zapamiętałam jako okres rozkwitu, tańczono kadryla przy dźwiękach skrzypiec. Ale w roku, który teraz wspominam, to znaczy w 1934, taka nadmierna radość już się skończyła.

Mniej więcej o trzeciej po południu ojciec wygłaszał mowę z platformy do tańców. To była zawsze krótka mowa, ale starsi mężczyźni słuchali jej z uwagą; słuchały także kobiety, gdyż albo same pracowały w fabryce, albo wyszły za kogoś, kto tam pracował. Gdy nastały ciężkie czasy, nawet młodszy mężczyźni zaczęli słuchać mowy, nawet dziewczęta w letnich sukienkach z na wpół odkrytymi ramionami. Mowa wiele nie wyjaśniała, ale można było czytać między wierszami. „Powód do zadowolenia” był dobry; „podstawy do optymizmu” złe.

Tego roku było gorąco i sucho, i to już od dłuższego czasu. Pojawiło się mniej balonów niż zwykle, zabrakło karuzeli. Gotowana kukurydza była zbyt stara, ziarna pomarszczyły się jak skóra na kostkach u rąk; lemoniada wydawała się wodnista, hot dogi szybko się skończyły. A jednak w fabryce Chase’a nie nastąpiły żadne zwolnienia, jeszcze nie. Spadła wydajność, ale nie było zwolnień.

Ojciec powiedział „podstawy do optymizmu” cztery razy, ale ani razu „powód do zadowolenia”. Ludzie patrzyli na siebie z niepokojem.

Kiedy Laura i ja byłyśmy młodsze, lubiliśmy te pikniki; teraz już nie, ale nasza obecność była obowiązkowa. Musiałyśmy zachowywać pozory. Wpajano nam to od najwcześniejszych lat: matka zawsze robiła wszystko, żeby tam pójść, niezależnie od tego, jak bardzo źle się czuła.

Gdy matka umarła, a opiekę nad nami przejęła Reenie, przykładała wielką wagę do naszych ubrań tego dnia: nie mogły być zbyt zwyczajne, bo wydałoby się to pogardliwe, jakby nas nie obchodziło, co ludzie z miasta o nas myślą; ale i niezbyt eleganckie, bo to by oznaczało wywyższanie się. Teraz byłyśmy na tyle duże, żeby same wybierać sobie ubrania – ja właśnie skończyłam osiemnaście lat, a Laura miała czternaście i pół – choć obecnie nie zostało aż tyle ubrań do wyboru. W naszym domu zawsze tępiono epatowanie luksusem, choć miałyśmy to, co Reenie nazywała dobrymi rzeczami, ale ostatnio definicja luksusu zawężała się tak, że zaczęła oznaczać cokolwiek nowego. Na piknik obie ubrałyśmy się w nasze tyrolskie spódnice i białe bluzki z zeszłego lata. Laura włożyła mój kapelusz sprzed trzech sezonów, ja zaś kapelusz z zeszłego roku, ze zmienioną wstążką.

Laurze najwyraźniej to nie przeszkadzało. Mnie jednak tak. Oznajmiłam to, a Laura nazwała mnie materialistką.

Słuchałyśmy mowy. (Czy też ja słuchałam. Laura wyglądała, jak gdyby słuchała – szeroko otwarte oczy, głowa przechylona na jedną stronę – ale nie dałoby się powiedzieć, czego słucha). Ojciec zawsze radził sobie z tą mową, niezależnie od tego, co wypił, ale tym razem miał kłopoty z tekstem. Przybliżył kartę do zdrowego oka, potem ją odsuwał, patrząc na nią z zakłopotaniem, jak na

rachunek za coś, czego nie zamawiał. Kiedyś jego stroje były eleganckie, potem stały się eleganckie, lecz znoszone, ale tego dnia wyglądały na niemal zapuszczone. Miał zmierzwiłone włosy za uszami, wymagające strzyżenia; wydawał się udręczony – wręcz dziki, jak przyparty do muru rozbójnik.

Po mowie nagrodzonej wyłącznie obowiązkowymi brawami, niektórzy mężczyźni zbili się w grupki, rozmawiając między sobą przyciszonymi głosami. Inni siedzieli pod drzewami na rozpostartych kurtkach i kocach albo kładli się z chusteczkami na twarzach i zapadali w drzemkę. Tylko mężczyźni tak robili, kobiety były przytomne i uważne. Matki zagoniły swoje małe dzieci nad rzekę, żeby pobawiły się tam na niewielkiej piaszczystej plaży. Obok rozpoczęła się w kurzu rozgrywka baseballowa – podchmieleni widzowie przyglądali się jej z rozbawieniem.

Poszłam pomóc Reenie w sprzedaży jej wypieków. Na jaki to szło cel? Nie mogę sobie przypomnieć. Pomagałam jej co roku – tego ode mnie oczekiwano. Powiedziałam Laurze, że ona także powinna przyjść, ale zachowywała się tak, jak gdyby nie usłyszała, i odeszła, wymachując kapeluszem trzymanym za miękkie rondo.

Pozwoliłam jej odejść. Obiecałam mieć ją na oku: ja nie spędzałam snu z powiek Reenie, ale jej zdaniem Laura była zbyt ufna, zbyt miła dla obcych. Handlarze żywym towarem wciąż polowali, a Laura stanowiła łatwy cel. Weszłaby do obcego samochodu, otworzyła nieznajome drzwi, wyszła na złą ulicę, i byłoby już po wszystkim, bo nie potrafiła się sprzeciwić, tak jak inni się sprzeciwiali, i nie można jej było ostrzec, bo po prostu nie rozumiała takich ostrzeżeń. Nie chodziło o to, że świadomie łamała zasady: po prostu o nich zapominała.

Byłam zmęczona pilnowaniem Laury, która tego nie doceniała. Byłam zmęczona tym, że mnie obarczano odpowiedzialnością za jej potknięcia, za jej błędy. Byłam zmęczona tym, że obarczano mnie odpowiedzialnością, kropka. Chciałam jechać do Europy, do Nowego Jorku, choćby do Montrealu – do nocnych klubów, na przyjęcia, do wszystkich niezwykłych miejsc opisywanych w czasopiśmie Reenie – ale byłam potrzebna w domu. Potrzebna w domu, potrzebna w domu – to brzmiało jak wyrok dożywocia. Gorzej, jak pieśń pogrzebowa. Tkwiłam w Port Ticonderoga, dumnym bastionie zwykłych, prozaicznych guzików i przecenionych kalesonów dla oszczędnych klientów. Będę tu trwała, nic mi się nigdy nie przytrafi i skończę jako stara panna, jak panna Przemoc, żalowana i wydrwiwana. Tego przede wszystkim się bałam. Chciałam znaleźć się gdzie indziej, ale nie miałam pojęcia, jak się tam dostać. Co jakiś czas przyłapywałam się na tym, że mam nadzieję, iż porwą mnie handlarze żywym towarem, nawet jeśli w nich nie wierzyłam. Byłaby to przynajmniej jakaś odmiana.

Nad stolikiem, na którym wyłożono ciasta na sprzedaż, rozpościerał się płócienny daszek, a na stoliku leżały ściereczki i kawałki woskowanego papieru, chroniące potrawy przed muchami. Reenie przyniosła szarlotkę, w której pie-

czeniu raczej nie była mistrzynią. Miała ona kleiste, nie dopieczone nadzienie i kruszonkę, która była twarda, ale elastyczna, jak beżowe wodorosty albo obrzymie szorstkie grzyby. W lepszych czasach ciasta nieźle się sprzedawały – rozumiano, że chodzi o część rytuału, a nie o jedzenie – ale dziś nie schodziły. Brakowało pieniędzy i w zamian za nie ludzie chcieli czegoś, co rzeczywiście mogliby zjeść.

Kiedy stałam za stołem, Reenie cichym głosem relacjonowała najświeższe wiadomości. Dziś wrzucono do rzeki czterech mężczyzn, jeszcze za dnia i wcale nie dla żartów. Wybuchły jakieś kłótnie, miały coś wspólnego z polityką, podnoszono głosy. Poza zwyczajowymi przepychankami nad rzeką doszło do jakichś bójek. Pobito Elwooda Murraya. Był redaktorem tygodnika, od dwóch pokoleń należącego do Murrayów: większość tekstów pisał sam, sam też robił zdjęcia. Na szczęście nie wrzucono go do wody, bo uszkodziłby się jego aparat, który choć z drugiej ręki, kosztował mnóstwo pieniędzy, co Reenie przypadkiem wiedziała. Murrayowi poszła krew z nosa i siedział pod drzewem ze szklanką lemoniady, podczas gdy dwie kobiety krzątały się wokół niego z mokrymi chusteczkami; widziałam go z miejsca, w którym stałam.

Czy to miało coś wspólnego z polityką, to pobicie? Reenie nie wiedziała, ale ludziom nie podobało się, że przysłuchiwał się temu, o czym mówili. W czasach dobrobytu uważano Elwooda Murraya za głupca, i może za, jak mówiła Reenie, lałę – cóż, nie był żonaty, a w jego wieku o czymś to świadczyło – ale tolerowano go, nawet ceniono, do pewnych granic, dopóki zamieszczał nazwiska uczestników wydarzeń towarzyskich i nie robił w nich błędów ortograficznych. Ale czasy dobrobytu się skończyły, a Elwood Murray był zbyt wścibski, żeby mu to mogło wyjść na dobre. Reenie powiedziała, że nie zawsze się chce, żeby pisano o każdym drobiazgu. Nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie chciał.

Zauważyłam ojca, który szedł, kulejąc, między biesiadującymi robotnikami. Kiwał gwałtownie głową temu czy innemu człowiekowi, a jego głowa zdawała się cofać względem szyi. Czarna przepaska migała raz z jednej, raz z drugiej strony; z tej odległości wyglądała jak dziura w głowie. Jego wąsy wygięły się niczym ciemny, zakrzywiony kieł nad ustami, czasem zaciskający się w grymasie, który musiał uważać za uśmiech. Dłonie ukrywał w kieszeniach.

Obok szedł młodszy mężczyzna, trochę wyższy od ojca. W przeciwieństwie do niego nie miał żadnych zmarszczek, żadnych kantów. Pasowało do niego słowo „ulizany”. Miał na sobie wytworną panamę i lniany garnitur, który wyglądał, jakby emitował światło, taki był świeży i czysty. Mężczyzna na pewno nie pochodził stąd.

– Kto jest z ojcem? – spytałam Reenie.

Reenie spojrzała tak, żeby nie było widać, że go obserwuje, po czym wybuchnęła śmiechem.

– To pan Królewskie Klasyczne we własnej osobie. Ale ma tupet.

– Tak myślałam, że to on – powiedziałam.

Pan Królewskie Klasyczne to był Richard Griffen z Królewskich Klasycznych Wyrobów z Dżianiny. Nasi robotnicy – robotnicy ojca – mówili o nich szyderczo Królewskie Klasyczne Wyroby ze Sraniny, gdyż pan Griffen był nie tylko głównym rywalem ojca, ale także jego wrogiem. Atakował ojca w prasie za to, że jest zbyt miękki dla bezrobotnych, pozostających na zasiłku i w ogóle dla wszystkich lewicujących. A także dla związkowców, to akurat było bezzasadne, gdyż w Port Ticonderoga nie istniały związki zawodowe, a nieprzychylny pogląd ojca na ich temat nie stanowił żadnej tajemnicy. Jednakże z jakiegoś przyczynny ojciec zaprosił Richarda Griffena na obiad w Awilionie po pikniku, i to w ostatniej chwili. Tylko cztery dni wcześniej.

Reenie uznała, że pan Griffen jest dla niej zaskoczeniem. Jak wszyscy wiedzą, dla wrogów trzeba się bardziej starać niż dla przyjaciół, a cztery dni to za mało, żeby się przygotować do takiego wydarzenia, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że w Awilionie nie wydawano eleganckich obiadów od czasów babki Adelii. Co prawda Callie Fitzsimmons czasem przywoziła znajomych na weekend, ale to co innego, bo to byli tylko artyści i powinni być wdzięczni za wszystko, co dostawali. Czasem znajdowało się ich nocą w kuchni, gdy po спустoszeniu spiżarni robili sobie kanapki z resztek. Dziury bez dna, nazywała ich Reenie.

– To nuworysz – powiedziała Reenie z pogardą, patrząc na Richarda Griffena. – Spójrz na te dziwaczne spodnie.

Była nieprzejednana w stosunku do każdego, kto krytykował ojca (to znaczy każdego prócz samej siebie), i gardziła tymi, którzy wybili się w świecie i zadzierali nosa; wiadomo było, że Griffenowie pochodzili z pospólstwa, a przynajmniej ich pradziadek. Przejął swój interes, oszukując Żydów, mówiła Reenie zagadkowym tonem – czy jej zdaniem był to jakiś wyczyn? – ale nie potrafiła powiedzieć, jak to zrobił. (Gwoli sprawiedliwości, wszystkie te opowieści mogły być wymysłem Reenie.

Czasem przypisywała ludziom historie, które, jak uważała, mogły się im przydarzyć).

Ze ojcem i panem Griffenem, razem z Callie Fitzsimmons, szła kobieta, którą wzięłam za żonę Richarda Griffena – młoda, szczupła, elegancka, ciągnął się za nią przezroczystry pomarańczowawy muślin, przypominający parę z wodnistej zupy pomidorowej. Jej okazały kapelusz był zielony, podobnie jak sandały na wysokim obcasie i delikatna apaszka na szyi. Ubrała się zbyt elegancko jak na piknik. Gdy patrzyłam, zatrzymała się, podniosła nogę i zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy coś przyczepiło się do jej obcasa. Miałam nadzieję, że tak. Pomyślałam także, że miło byłoby mieć takie śliczne ubrania za niegodziwe nuworzowskie pieniądze, zamiast szlachetnych, niemodnych, znoszonych strojów, które musiałyśmy wówczas nosić.

– Gdzie Laura? – spytała zniecierpliwiona Reenie.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam. Nabrałam zwyczaju odszczekiwania się Reenie, zwłaszcza gdy mną komenderowała. „Nie jesteś moją matką” stało się moją najbardziej zgryźliwą uwagą.

– Powinnaś wiedzieć, że nie wolno ci spuszczać jej z oczu – powiedziała Reenie. – Tu może być ktokolwiek.

„Ktokolwiek” był jednym z jej problemów. Nigdy nie wiadomo, jakich wykroczeń, jakich przestępstw i gaf może dopuścić się „ktokolwiek”.

Znalazłam Laurę siedzącą pod drzewem i rozmawiającą z młodym mężczyzną – mężczyzną, nie chłopcem – o ciemnej cerze, w jasnym kapeluszu. Trudno byłoby określić, kim jest – nie robotnik z fabryki, ale także nikt inny, nikt konkretny. Nie miał krawata, ale ostatecznie przyszedł przecież na piknik. Niebieska koszula, nieco wystrzępiona na mankietach. Zaimprovizowany na proletariacką modłę. Wtedy wielu młodych ludzi tak się nosiło – wielu studentów. Zimą wkładali kamizelki robione na drutach, w poziome pasy.

– Cześć – powiedziała Laura. – Dokąd sobie poszłaś? To moja siostra Iris, a to Alex.

– Pan...? – zapytałam. Jak Laura zdołała tak szybko przejść z nim na ty?

– Alex Thomas – przedstawił się młody mężczyzna.

Był uprzejmy, ale ostrożny. Podniósł się i wyciągnął rękę, a ja ją przyjąłem. Nagle usiadłam bok nich. Wydawało mi się, że to najrozsądniejsze, co mogę zrobić, żeby chronić Laurę.

– Nie jest pan stąd, panie Thomas?

– Nie. Przyjechałem tu z wizytą.

Mówił tak jak miły młody człowiek, według określenia Reenie, czyli nie biedny, ale i nie bogaty.

– To przyjaciel Callie – wyjaśniła Laura. – Była tu i przedstawiła nas sobie. Przyjechał pociągiem razem z nią.

Trochę za dużo wyjaśniała.

– Poznałaś Richarda Griffena? – zapytałam Laurę. – Był razem z ojcem. Tego, który przyjdzie na obiad?

– Richarda Griffena, magnata od swetrów? – zainteresował się młody mężczyzna.

– Alex – pan Thomas – zna się na starożytnym Egipcie – powiedziała Laura. – Opowiadał mi o hieroglifach.

Popatrzyła na niego. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby patrzyła tak na kogoś innego. Wydawała się poruszona, olśniona? Trudno było nazwać to spojrzenie.

– To interesujące – stwierdziłam. Słyszałam własny głos, w którym przy wymawianiu słowa „interesujące” brzmiało szyderstwo, jak u niektórych. Musiałam znaleźć sposób, żeby powiedzieć temu Alexowi Thomasowi, że Laura ma tylko czternaście lat, ale nie mogłam wymyślić nic, co by jej nie rozżłościło.

Alex Thomas wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów – marki Craven A, jak sobie przypominam. Wyjął jednego dla siebie. Zdumiało mnie, że pali gotowe papierosy – nie pasowały do jego koszuli. Były luksusem: robotnicy z fabryki sami zwijali sobie papierosy, niektórzy jedną ręką.

– Dziękuję, chętnie zapalę – powiedziałam. Dotąd wypaliłam, i to po kryjomu, tylko kilka papierosów podkradzionych ze srebrnego pudełka, które stało na fortepianie. Popatrzył na mnie przenikliwie, czego pewnie chciałam, po czym wyciągnął paczkę. Zapalił zapałkę kciukiem i przytrzymał ją dla mnie.

– Nie powinienes tego robić – powiedziała Laura. – Podpalisz się.

Wyrósł przed nami Elwood Murray, znowu w dobrej formie i wesół. Prząd koszuli wciąż miał wilgotny i poplamiony na różowo tam, gdzie kobiety z mokrymi chusteczkami usiłowały zetrzeć krew; wewnątrz jego nozdrzy zabarwiło się na ciemnoczerwono.

– Dzień dobry, panie Murray – powiedziała Laura. – Nic panu nie jest?

– Niektórych chłopców poniosło – odparł Elwood Murray, jak gdyby ze wstydem wyjawiał, że wygrał jakąś nagrodę. – To wszystko dla zabawy. Mogę? – Potem zrobił nam zdjęcie swoim aparatem. Zawsze pytał: „Mogę?”, zanim zrobił zdjęcie do gazety, ale nigdy nie czekał na odpowiedź. Alex Thomas podniósł rękę, jak gdyby chciał się przed nim obronić.

– Oczywiście, znam te dwie urocze damy – powiedział do niego Elwood Murray – ale jak pan się nazywa?

Nagle pojawiła się Reenie. Miała przekrzywiony kapelusz, była cała czerwona i brakowało jej tchu.

– Wasz ojciec wszędzie was szuka – oznajmiła.

Wiedziałam, że to nieprawda. Niemniej jednak Laura i ja musiałyśmy się podnieść z cienia drzewa, wygładzić spódnice i podążyć za nią, jak kaczątko w stadzie.

Alex Thomas pomachał nam na do widzenia. Było to ironiczne machnięcie albo tak mi się wydawało.

– Nie macie więcej rozumu? – zapytała Reenie. – Rozwalać się na trawie z Bóg wie kim. Na litość boską, Iris, wyrzuć tego papierosa, nie jesteś dziwką. Co będzie, jeśli ojciec cię zobaczy?

– Ojciec kopci jak piec – odparłam beczelnym, jak miałam nadzieję, tonem.

– To co innego – stwierdziła Reenie.

– Pan Thomas – powiedziała Laura. – Pan Alex Thomas. Studiuje teologię. Albo studiował, do niedawna – dodała sumiennie. – Stracił wiarę. Sumienie nie pozwala mu kontynuować studiów.

Sumienie Alexa Thomasa widocznie zrobiło olbrzymie wrażenie na Laurze, ale Reenie pozostała niewzruszona.

– No to czym się teraz zajmuje? – zapytała. – Czymś podejrzanym, bo jeśli nie, to ja jestem królową angielską. Ma chytre spojrzenie.

– Co jest z nim nie tak? – spytałam Reenie. Nie podobał mi się, ale teraz sądzono go nawet bez przesłuchania.

– Lepiej spytaj, co jest z nim tak – odparła Reenie. – Turlać się po trawniku na oczach wszystkich. – Mówiła bardziej do mnie niż do Laury. – Przynajmniej miałyście opuszczone spódnice.

Reenie mawiała, że kiedy dziewczyna jest sam na sam z mężczyzną, powinna móc utrzymać monetę pomiędzy kolanami. Zawsze się obawiała, że ludzie – mężczyźni – zobaczą nasze nogi, tę część nad kolanem. O kobietach, które na to pozwalały, mówiła: „Kurtyna w górę, gdzie przedstawienie?” Albo: „Równie dobrze mogła wywiesić tablicę”. Albo złośliwiej: „Sama się o to prosi, jeszcze się doigra”, albo, co było najgorsze: „Jest jak wypadek, który czeka, żeby się zdarzyć”.

– Nie turlaliśmy się – powiedziała Laura. – Nie było żadnego wzgórze, żeby się z niego sturlać.

– Turlaliśmy się czy nie, wiesz, o co mi chodzi – odparła Reenie.

– Nic nie robiliśmy – wyjaśniłam. – Rozmawialiśmy.

– To nie ma znaczenia – stwierdziła Reenie. – Ludzie mogli was zobaczyć.

– Następnym razem, kiedy nic nie będziemy robili, schowamy się w krzakach – oznajmiłam.

– Kto to w ogóle jest? – zapytała Reenie, która zazwyczaj ignorowała moje prowokacje, odkąd nic nie mogła na nie poradzić. „Kto to jest?” oznaczało: „Kim są jego rodzice?”

– To sierota – powiedziała Laura. – Mieszkał w sierocińcu. Adoptował go prezbiteriański pastor i jego żona.

Wyglądało na to, że wyciągnęła tę informację od Alexa Thomasa w bardzo krótkim czasie, ale to był jeden z jej talentów, jeśli można to tak nazwać – wciąż zadawała pytania, osobiste, jakich uczono nas nie zadawać, aż ta druga osoba, ze wstydu czy wściekłości, w końcu musiała przestać odpowiadać.

– Sierota! – wykrzyknęła Reenie. – To może być ktokolwiek!

– A co ci się nie podoba w sierotach? – zapytałam. Wiedziałam, co się Reenie w nich nie podobało: nie wiedzieli, kim są ich ojcowie, co czyniło z nich osoby niesolidne, jeśli nie skończonych degeneratów. Urodzony w rynsztoku, tak mówiła Reenie. Urodzony w rynsztoku, podrzucony na progu.

– Nie można im ufać – odpowiedziała Reenie. – Narzucają się. Nie wiedzą, gdzie są granice.

– Cóż, i tak zaprosiłam go na obiad – wypaliła Laura.

– No to trzeba podać pieczone gołąbki – rzekła Reenie.

Karmicielki

Na tyłach ogrodu, po drugiej stronie płotu rośnie dzika śliwa. Jest stara, wykrzywiona, gałęzie ma pełne sęków. Walter twierdzi, że powinno się ją ścinać, ale zwróciłam mu uwagę, że formalnie rzecz biorąc, nie należy do mnie. Tak czy inaczej, lubię ją. Zakwita każdej wiosny, nieproszona, nie dogładana; późnym latem zrzuca śliwki do mojego ogrodu, małe, granatowe, owalne, z meszkiem jak kurz. Co za hojność. Tego ranka zebrałam ostatni spad – tę resztkę owoców, którą zostawiły mi wiewiórki, szopy i pijane osy – i zjadłam je chciwie, a sok z ich obitego mięszu poplamił mi brodę. Nie zauważyłam tego, dopóki nie wpadła Myra z kolejną zapiekanką z tuńczyka. Mój Boże, powiedziała z zadyśzaniem, ptasim śmiechem. Z kim walczyłaś?

Pamiętam każdy szczegół tego obiadu podczas Święta Pracy, bo tylko przy tej okazji wszyscy znaleźliśmy się razem w jednym pomieszczeniu.

Zabawa na Obozowisku wciąż trwała, ale nie w takiej formie, w której chciałoby się uczestniczyć, gdyż ukradkowa konsumpcja taniego alkoholu rozkręciła się na dobre. Laura i ja poszłyśmy wcześniej, żeby pomóc Reenie w przygotowaniach do obiadu.

Przygotowania te trwały już od kilku dni. Gdy tylko Reenie dowiedziała się o przyjęciu, wyciągnęła jedną ze swoich książek kucharskich, *Podręcznik bostońskiego gotowania*, autorstwa Fannie Merritt Farmer. Tak naprawdę to nie była jej książka, należała do babki Adelii, która korzystała z niej – oczywiście razem ze swoimi rozmaitymi kucharzami – podczas planowania dwunastodniowych posiłków. Reenie odziedziczyła książkę, choć nie używała jej do gotowania na co dzień – wszystko miała w głowie, jak mówiła. Ale dziś trzeba było podać wymyślniejsze potrawy.

Czytałam tę książkę kucharską, a przynajmniej do niej zaglądałam, wtedy gdy uromantyczniałam moją babkę. (Teraz już z tego zrezygnowałam. Wiedziałam, że psułaby mi szyki, tak jak psuli mi szyki Reenie i ojciec i jak psułaby jej matka, gdyby nie zmarła. Życiowym celem wszystkich starszych ludzi było psucie mi szyków. Nie zajmowali się niczym innym).

Książka kucharska miała zwykłą okładkę, w praktycznym musztardowym kolorze, i zawierała zwykle przepisy. Fannie Merritt Farmer była bezlitośnie pragmatyczna – prozaiczna, na surową nowoangielską modłę. Zakładała, że nic nie umiesz, i zaczynała od: „Napój to cokolwiek do picia. Woda to napój podarowany człowiekowi przez naturę. Wszystkie napoje zawierają wiele wody i dlatego ich przeznaczenie to: I. Zaspokajanie pragnienia. II. Wprowadzanie

wody do układu krążenia. III. Regulacja temperatury ciała. IV. Wspomaganie wydalania wody. V. Odżywianie. VI. Stymulacja układu nerwowego i rozmaitych organów. VII. Stosowanie w celach medycznych” i tak dalej.

Smak i przyjemność nie znalazły się na jej liście, ale na wstępie książki zamieszczono dziwny epigraf Johna Ruskina:

Sztuka gotowania to wiedza Medei, Kirke, Heleny i królowej Saby. To znajomość wszystkich ziół, owoców, balsamów i przypraw, a także tego, co uzdrawiające i słodkie na polach i w gajach oraz smakowite w mięsach. To ostrożność, pomysłowość, ochota i gotowość do eksperymentów. To oszczędność naszych babek i odkrycia nowoczesnych chemików; to próbowanie i niemarnowanie; to angielska zasadniczość i francuska oraz arabska gościnność; w skrócie oznacza to, że musicie być całkowicie i zawsze damami karmicielkami.

Trudno mi było wyobrazić sobie Helenę Trojańską w fartuszku, z rękawami zakasany do łokci i policzkiem upstrzonym mąką; z tego, co wiedziałam o Kirke i Medei, gotowały jedynie magiczne wywary, żeby otruć spadkobierców albo zmienić mężczyzn w świnie. Co do królowej Saby, wątpiałam, czy zrobiła w życiu choćby tost. Zastanawiałam się, skąd pan Ruskin czerpał swoje przedziwne pomysły, zarówno w kwestii dam, jak i sztuki gotowania. Niezależnie od tego, w czasach mojej babki taki obrazek musiał przemawiać do wielkiej liczby kobiet z klasy średniej. Miały być stateczne, niedostępne, wręcz królewskie, ale znać tajemnicze i potencjalnie zabójcze przepisy, a także wzbudzać w mężczyznach najdziksze namiętności. Na dokładkę miały być całkowicie i zawsze damami karmicielkami. Rozdawczkami łaskawej szczodrości.

Czy ktoś traktował to poważnie? Moja babka. Wystarczyło tylko popatrzeć na jej portrety – na ten uśmiech kota, który właśnie pożarł kanarka, na te opadające powieki. Myślała, że kim jest, królową Saby? Bez wątpienia.

Kiedy wróciłyśmy z pikniku, Reenie zaczęła się miotać po kuchni. Nie za bardzo przypominała Helenę Trojańską: mimo wszystkich wcześniejszych przygotowań była podenerwowana i w złym nastroju; pocila się i opadły jej włosy. Powiedziała, że będziemy musieli zadowolić się tym, co jest, bo czego mielibyśmy się spodziewać, ona nie potrafi robić cudów, i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. I jeszcze dodatkowe nakrycie, w krytycznej godzinie, dla tego Alexa czy jak on się tam nazywa. Spryciarz Alex, wystarczy na niego spojrzeć.

– Nazywa się własnym imieniem – powiedziała Laura. – Tak jak wszyscy.

– Nie jest taki jak wszyscy – odparła Reenie. – Od razu można to zauważyć. Najprawdopodobniej jest pół-Indianinem albo Cyganem. Na pewno nie jest z tego samego zagonu co reszta z nas.

Laura nic nie odpowiedziała. Z zasady nie miewała żadnych wyrzutów sumienia, ale tym razem wyglądało na to, że czuje się trochę winna z powodu spontanicznego zaproszenia Alexa Thomasa. Nie mogła jednak go odprosić, jak zauważyła – to byłoby o wiele gorsze niż zwykła nieuprzejmość. Zaproszony

gość to zaproszony gość, niezależnie do tego, kim się okaże.

Ojciec też to wiedział, choć był bardzo niezadowolony: Laura zachowała się niedojrzale, weszła w jego kompetencje gospodarza, i wiedział też, że następnym razem zaprosi do domu każdą sierotę, każdego włóczęgę i pechowca, żeby siedzieli przy jego stole, jak gdyby był świętym Wacławem. Powiedział, że trzeba okiełznać jej świętoszkowate zapędy; nie prowadził przytułku dla biedoty.

Callie Fitzsimmons próbowała uspokoić ojca: zapewniała go, że Alex nie jest żadnym pechowcem. To prawda, że ten młody człowiek nie miał stałej pracy, ale najwyraźniej dysponował jakimś źródłem dochodu, a już na pewno nie słyszała, żeby kogoś naciągnął. A jakie to źródło dochodu, spytał ojciec. Callie nie miała pojęcia: Alex milczał na ten temat. Może napada na banki, powiedział ojciec z ciężką ironią. Wcale nie, odparła Callie; w każdym razie niektórzy jej przyjaciele znali Alexa. Ojciec powiedział, że jedno nie wyklucza drugiego. Wtedy już kąśliwie wypowiadał się o artystach. Zbyt wielu za bardzo interesowało się marksizmem i robotnikami, oskarżając go o wykorzystywanie wieśniaków.

– Alex jest w porządku. To po prostu młodziak – powiedziała Callie. – Zwyczajnie chciał się przejechać. To zwykły znajomy. – Nie chciała, żeby ojciec nabrał fałszywego przeświadczenia, że Alex Thomas może być jej chłopakiem czy rywalem dla niego.

– Jak mogę pomóc? – zapytała Laura w kuchni.

– Ostatnie, czego mi potrzeba – zaczęła Reenie – to kucharek sześć. Proszę cię tylko o to, żebyś nie wchodziła mi w drogę i niczego nie przewracała. Iris może mi pomóc. Ona przynajmniej nie ma dwóch lewych rąk.

Reenie uważała, że możliwość pomagania jej to oznaka łaski: wciąż była zła na Laurę i chciała jej to okazać. Ale taka kara nie robiła na Laurze najmniejszego wrażenia. Wzięła swój słomkowy kapelusz i wyszła powłóczyć się po trawniku.

Do mnie należało ułożenie kwiatów na stole i rozsadzenie gości. Jeśli chodzi o kwiaty, ścięłam trochę cynii z rabatek – prawie wszystkie, które tam rosły o tej porze roku. Co do gości, to umieściłam Alexa Thomasa obok siebie, z Callie po drugiej stronie, a Laurę na przeciwległym końcu. Czułam, że w ten sposób odizoluję go, albo przynajmniej Laurę.

Laura i ja nie miałyśmy stosownych uroczystych sukienek. Dysponowałyśmy jednak jakimś sukienkami. Były uszyte z typowego ciemnoniebieskiego aksamitu, sprzed kilku lat, z prującymi się brzegami i czarną wstążką wszytą na obrębieniu, żeby to ukryć. Kiedyś miały koronkowe kołnierze. Sukienka Laury wciąż go miała: ja odprułam swoją koronkę, przez co dekolt trochę się powiększył. Sukienki były za ciasne, przynajmniej moja; chociaż kiedy o tym pomyśle, to Laura też. W zasadzie Laura nie była na tyle duża, żeby uczestniczyć w ta-

kim uroczystym obiedzie, ale Callie stwierdziła, że to okrutne zmuszać ją do siedzenia samotnie w swoim pokoju, zwłaszcza że osobiście zaprosiła jednego z gości. Ojciec powiedział, że chyba ma rację. Dodał też, że tak czy inaczej, skoro teraz tak wystrzeżiła do góry, wyglądała, jakby była prawie w moim wieku. Trudno powiedzieć, jaki wiek miał na myśli. Nigdy nie potrafił zapamiętać dat naszych urodzin.

O umówionej godzinie goście zgromadzili się w salonie na sherry, które podawała niezamężna kuzynka Reenie, zatrudniona na tę okazję. Laurze i mnie nie wolno było napić się sherry ani wina przy obiedzie. Laura najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu wykluczeniu, ale ja tak. W tej sprawie Reenie stanęła po stronie ojca – była abstynentką. „Usta, które dotyczą alkoholu, nigdy nie dotkną moich”, mawiała, wylewając do zlewu resztki wina z kieliszków. (Tu się jednak myliła – niecały rok po tym uroczystym obiedzie wyszła za Rona Hincksa, swego czasu osławionego pijaka. Myra, zapamiętaj sobie, jeśli to czytasz: zanim Reenie uczyniła z twojego ojca podporę społeczeństwa, był słynnym mordercą).

Kuzynka Reenie była starsza od niej i okropnie zaniedbana. Nosiła czarną sukienkę i biały fartuszek, jak należało, ale jej pończochy były z brązowej bawełny i opadały, a ręce też mogłaby mieć czystsze. Pracowała w sklepie, gdzie między innymi musiała pakować ziemniaki do worków; trudno doszorować taki brud.

Reenie przygotowała kanapki z krojonymi oliwkami, jajkami na twardo i małeńkimi marynatami; a także kulki z pieczonego sera, które niezupełnie wyszły tak, jak tego oczekiwała. Ułożono je na najlepszych półmiskach, porcelanie z Niemiec ręcznie malowanej we wzór w ciemnoczerwone peonie ze złotymi liśćmi i łodygami. Na półmisku leżała ozdobna papierowa serweta, na środku stała miseczek solonych orzeszków, a wszystkie kanapeczki – najeżone wykałaczkami – ułożono dookoła w kształcie płatków. Kuzynka znienacka pchnęła je ku gościom, wręcz groźnie, jakby pozorowała napad.

– To wygląda na zatrute – powiedział ojciec pełnym ironii tonem, który nauczyłam się rozpoznawać jako maskowany gniew. – Lepiej poproście, żeby was wypuszczono, albo narazicie się na cierpienia.

Callie się roześmiała, ale Winifred Griffen Prior z gracją uniosła serową kuleczkę i włożyła ją do ust tak, jak to robią kobiety, kiedy nie chcą, żeby zesła im szminka – wydymają usta w rodzaj lejka – i powiedziała, że to interesujące. Kuzynka zapomniała o serwetkach, więc Winifred miała lepkie palce. Patrzyłam z zaciekawieniem, czy je obliże, czy też wytrze o sukienkę, a może o naszą sofę, ale w niewłaściwym momencie odwróciłam wzrok i to przegapiłam. Czulałam, że padło na sofę.

Winifred nie była (jak przypuszczałam) żoną Richarda Griffena, ale jego siostrą. (Mężatką, wdową czy rozwódką? Nie bardzo było wiadomo. Posługiwała

się też panieńskim nazwiskiem, co wskazywało, że byłego męża, pana Priora, spotkało jakieś nieszczęście, jeśli rzeczywiście był jej byłym mężem. Rzadko o nim wspomniano, nigdy go nie widziano, podobno miał mnóstwo pieniędzy i przebywał „w podróży”. Później, kiedy Winifred i ja przestałyśmy ze sobą rozmawiać, wymyślałam historyjki o panu Priorze; Winifred kazała wypchać męża i trzymała go między kulkami naftaliny w tekturowym pudle albo ona i sofer zamknęły go w piwnicy, żeby oddawać się lubieżnym orgiom. Jeśli chodzi o orgie, być może nie byłam tak daleka od prawdy, chociaż muszę powiedzieć, że cokolwiek Winifred robiła w tej sprawie, robiła to zawsze dyskretnie.

Zacierала za sobą ślady – co chyba jest w pewnym sensie zaletą).

Tego wieczoru Winifred włożyła czarną suknię, prostego kroju, ale niezwykle elegancką, co uwydatniał potrójny sznur pereł. Jej kolczyki miały kształt małych kiści winogron, także z pereł, ale ze złotymi łożyczkami i liśćmi. Callie Fitzsimmons, dla kontrastu, celowo ubrała się zbyt skromnie. Przez te kilka lat zrezygnowała ze swoich fuksjowych i szafranowych tkanin, z odważnych strojów rosyjskiej emigracji, nawet z fifki. Teraz w ciągu dnia nosiła spodnie i swetry w serek, a rękawy koszuli podwijała do łokci; obcięła włosy i skróciła swoje imię do Cal.

Zrezygnowała z pomników poległych żołnierzy: nie było już na nie zbyt dużo zapotrzebowania. Obecnie zajmowała się płaskorzeźbami robotników i farmerów, rybaków w ubraniach sztormowych i indiańskich traperów, matek w fartuchach, z dziećmi na biodrze i oczyma zmrużonymi przed słońcem. Jedynymi mecenasami, którzy mogli sobie na to pozwolić, były towarzystwa ubezpieczeniowe i banki, chętnie umieszczające płaskorzeźby na swoich budynkach, żeby pokazać, że są na czasie. Callie mówiła, że to przykre, gdy zatrudniają cię okropni kapitaliści, ale głównie chodzi o przesłanie, a przynajmniej każdy, kto przechodził obok banku czy gdzieś w okolicy, mógł zobaczyć te płaskorzeźby, i to za darmo. Mówiła, że to sztuka dla ludu.

Chciała, żeby ojciec jej pomógł – załatwił jej więcej zleceń od banków. Ojciec jednak odparł sucho, że nie da się już powiedzieć, żeby on i banki były w dobrej komitywie.

Tego wieczoru włożyła dżersejową sukienkę w kolorze ścierki do kurzu – tę barwę nazywano *taupe*, jak nam powiedziała, po francusku oznaczało to kreta. Na kimś innym sukienka wyglądałaby jak worek z rękawami i paskiem, ale Callie sprawiła, że była szczytem, może nie mody albo elegancji – ta sukienka sugerowała, że takie sprawy w ogóle są nieważne – ale raczej czegoś, co można łatwo przegapić, lecz jest ostre, jak zwykłe narzędzie kuchenne – powiedzmy, że jak szpikulec do lodu – tuż przed morderstwem. Jako sukienka, to była wzniesiona pięść, lecz w milczącym tłumie.

Ojciec miał na sobie smoking, który wymagał prasowania. Alex Thomas włożył brązową marynarkę i szare flanelowe spodnie, zbyt grube na tę pogodę;

także krawat, w czerwone kropki na niebieskim tle. Nosił białą koszulę ze zbyt szerokim kołnierzem. Jego ubrania wyglądały tak, jakby je pożyczył. Cóż, nie spodziewał się zaproszenia na obiad.

– Co za czarujący dom – powiedziała Winifred Griffen Prior ze sztucznym uśmiechem, gdy weszliśmy do jadalni. – Jest tak... tak dobrze zachowany. Te zdumiewające witrażowe okna – cóż za *fin de siècle!* Musi się tu mieszkać jak w muzeum!

Chciała powiedzieć: „przestarzały”. Czułam się upokorzona: zawsze uważałam, że te okna są całkiem ładne. Wiedziałam jednak, że osąd Winifred jest osądem całego świata – świata, który znał się na tym i ferował wyroki, świata, do którego tak rozpaczliwie chciałam się przyłączyć. Uświadomiłam sobie właśnie, jak bardzo do niego nie pasuję. Jaka jestem prowincjonalna, jaka niewyrafinowana.

– To szczególnie piękne przykłady pewnego okresu – powiedział Richard. – Boazeria jest także wysokiej jakości.

Mimo jego pedantyczności i protekcyjnego tonu byłam mu wdzięczna; nie przyszło mi do głowy, że robi spis inwentarza. Potrafił rozpoznać upadający reżim: widział, że jesteśmy lub wkrótce będziemy na sprzedaż.

– Czy przez „muzeum” rozumie pani zakurzony? – spytał Alex Thomas. – Czy może przestarzały?

Ojciec zmarszczył brwi. Winifred, trzeba oddać jej sprawiedliwość, zaczerwieniła się.

– Nie powinieś czeplić się słabszych od siebie – powiedziała Callie zadowolonym półgłosem.

– Dlaczego nie? – odparł Alex. – Wszyscy to robią.

W kwestii jadłospisu Reenie poszła na całość, no, może na taką całość, na jaką mogliśmy sobie wtedy pozwolić. Rzuciła się jednak na zbyt głębokie wody. Zupa z raków, okoń po prowansalsku, kurczak à la Providence – pojawiały się jedno po drugim, nadciągając niczym niepowstrzymana defilada, fala czy przeznaczenie. W zupie było trochę czuć metal, a mąkę w kurczaku, który – potraktowany zbyt pobieżnie – skurczył się i stwardniał. Obserwowanie, jak tyle osób w jednym pomieszczeniu żuje – tak skupionych i z takim zapalem – było trochę nieprzyzwoite. Należało to nazwać przeżuwaniami – nie jedzeniem.

Winifred Prior układała jedzenie na swoim talerzu niczym kostki domina. Byłam na nią wściekła: postanowiłam zjeść wszystko, nawet kości. Nie zawiodę Reenie. Pomyślałam, że w dawnych czasach nigdy nie napotkałaby takich trudności – nie zostałaby zaskoczona, zdemaskowana, przez co zdemaskowała nas. W dawnych czasach sprowadzono by specjalistów. Obok mnie Alex Thomas czynił swoją powinność. Kroił mięso, jak gdyby od tego zależało jego życie; kurczak skrzyział pod jego nożem. (Ale Reenie wcale nie była wdzięczna za to poświęcenie. Niewątpliwie jednak przyglądała się, co kto jadł. Ten Alex

Jakmutam rzeczywiście miał apetyt, skomentowała. Można by pomyśleć, że głodzili go w piwnicy).

W tych okolicznościach rozmawiano niewiele. Po serach – zbyt młody i jędrny cheddar, zbyt stary śmietankowy, zbyt mocny *bleu* – nastąpiła jednak chwila przerwy, w czasie której mogliśmy odpocząć, ocenić sytuację i rozejrzeć się wokół siebie.

Ojciec zwrócił błękitne oko ku Alexowi Thomasowi.

– Tak więc, młody człowieku – powiedział tonem, który uważał za pewne za przyjazny – co pana sprowadza do naszego pięknego miasta?

Zabrzmiało to jak słowa ojca rodziny w nudnej wiktoriańskiej sztuce. Wbiłam wzrok w stół.

– Odwiedziłem przyjaciół, proszę pana – odparł dosyć uprzejmie Alex. (Później usłyszałyśmy, jak Reenie tłumaczyła jego uprzejmość. Sieroty miały dobre maniery, gdyż w sierocińcach wpajano im te dobre maniery biciem. Tylko sieroty mogą być tak pewne siebie, ale to ich opanowanie skrywa mściwy charakter – tak naprawdę drwią ze wszystkich. Cóż, pewnie że mogli być mściwi, zważywszy na to, jak się ich pozbyto. Większość anarchistów i porywaczy to sieroty).

– Córka mówiła mi, że chce pan zostać duchownym – powiedział ojciec. (Ani Laura, ani ja mu tego nie mówiłyśmy – musiał to usłyszeć od Reenie, która jak można było przewidzieć, a może złośliwie, coś pokręciła).

– Tak było, proszę pana – odparł Alex. – Ale musiałem zrezygnować. Podzieliły nas różnice zdań.

– A teraz? – spytał ojciec, który przywykł do konkretnych odpowiedzi.

– A teraz żyję ze swojego rozumu – powiedział Alex. Uśmiechnął się, aby pokazać dezaprobatę dla samego siebie.

– Musi być panu ciężko – mruknął Richard, a Winifred wybuchnęła śmiechem. Byłam zdumiona: nie posądzałam go o ten rodzaj dowcipu.

– Pewnie chce powiedzieć, że jest dziennikarzem – stwierdziła Winifred. – Między nas zakradł się szpieg.

Alex znowu się uśmiechnął i nic nie powiedział. Ojciec zmarszczył brwi. Jego zdaniem, dziennikarze byli szkodnikami. Nie tylko kłamali, ale i żerowali na nieszczęściu innych – określał ich mianem „ścierwojadów”. Robił jednak wyjątek dla Elwooda Murraya, bo znał jego rodzinę. „Handlarz bredniami” to najgorsze, co mówił o Elwoodzie.

Rozmowa zeszała później na sprawy ogólne – politykę, ekonomię – jak to zazwyczaj się działo w tamtych dniach. W opinii ojca było coraz gorzej; zdaniem Richarda, lada moment miał nadejść punkt krytyczny; trudno się zorientować, co o tym wszystkim myśleć, powiedziała Winifred, ale ma nadzieję, że uda im się to utrzymać pod pokrywką.

– Co utrzymać pod pokrywką? – zapytała Laura, która dotąd nie odezwała

się ani słowem. Było tak, jak gdyby przemówiło krzesło.

– Możliwość zamieszek w społeczeństwie – odparł ojciec karcącym tonem, który oznaczał, że nie powinna się więcej odzywać.

Alex powiedział, że w to wątpi. Powiedział, że właśnie wrócił z obozów.

– Z obozów? – powtórzył zaintrygowany ojciec. – Jakich obozów?

– Obozów pomocy, proszę pana – odparł Alex. – Z obozów pracy Benetta dla bezrobotnych. Dziesięć godzin dziennie i marne zarobki. Chłopcom nie bardzo się to podoba – mówią, że robią się niespokojni.

– Żebracy nie mają prawa wyboru – powiedział Richard. – To lepsze niż jeżdżenie z miejsca na miejsce koleją. Dostają trzy pełne posiłki, czyli więcej niż to, na co może liczyć robotnik z rodziną na utrzymaniu, i słyszałem, że jedzenie nie jest najgorsze. Można by pomyśleć, że będą wdzięczni, ale ten rodzaj ludzi nigdy nie jest.

– To nie jest jakiś specjalny rodzaj ludzi – powiedział Alex.

– O Boże, kanapowy socjalista – stwierdził Richard. Alex opuścił wzrok na swój talerz.

– Jeśli on jest socjalistą, to ja też – powiedziała Callie. – Nie sądzę jednak, że trzeba być socjalistą, żeby zdać sobie sprawę z tego, że...

– Co pan tam robił? – przerwał jej nagle ojciec. (On i Callie dużo się ostatnio kłócili. Callie chciała, żeby zaakceptował ruch związkowy. On mówił, że Callie chce, żeby dwa plus dwa równało się pięć).

I właśnie wtedy pojawiła się *bombe glacée*. Mieliliśmy już lodówkę – kupiliśmy ją tuż przed kryzysem – i Reenie, choć podejrzliwie odnosiła się do zamrażalnika, tego wieczoru zrobiła z niego dobry użytek. *Bombe* miała kształt piłki do rugby, była jaskrawozielona i twarda jak skała, więc przez jakiś czas skupiała na sobie uwagę nas wszystkich.

Kiedy podano kawę, na Obozowisku zaczął się pokaz sztucznych ogni. Wszyscy wyszliśmy na pomost, żeby popatrzeć. To był piękny widok, można było zobaczyć nie tylko fajerwerki, ale i ich odbicie w Jogues. Fontanny czerwieni, żółci i błękitu wystrzeliwały w powietrze – eksplodujące gwiazdy, chryzantemy, wierzby ze światła.

– Chińczycy wynaleźli proch – powiedział Alex – ale nigdy nie używali go do zabijania. Tylko do sztucznych ogni. Jednak trudno powiedzieć, żeby mi się podobały. Za bardzo przypominają ciężką artylerię.

– Jest pan pacyfistą? – zapytałam. Wydawało mi się, że może być. Gdyby przytaknął, zamierzałam się z nim nie zgodzić, bo chciałam zwrócić na siebie jego uwagę. Rozmawiał przede wszystkim z Laurą.

– Nie pacyfistą – powiedział Alex. – Ale moi rodzice zginęli na wojnie. To znaczy zakładam, że musieli zginąć.

Pomyślałam, że teraz usłyszymy opowieść o sierocie. Po tym całym zamie-

szaniu, jakie robiła Reenie, miałam nadzieję, że historia będzie dobra.

– Nie wiesz tego na pewno? – zapytała Laura.

– Nie – odparł Alex. – Mówiono mi, że znaleziono mnie siedzącego na ster-
cie zwęglonych gruzów w spalonym domu. Wszyscy inni nie żyli. Prawdopo-
dobnie schowałem się pod balią albo garnkiem do gotowania – pod jakimś me-
talowym pojemnikiem.

– Gdzie to było? Kto cię znalazł? – wyszeptała Laura.

– Trudno powiedzieć – odparł Alex. – Tak naprawdę nie wiadomo. To nie
było we Francji ani w Niemczech. Bardziej na wschód – w jednym z tych ma-
łych państw. Musieli mnie przekazywać z rąk do rąk; potem zajął się mną
Czerwony Krzyż.

– Pamięta pan to? – zapytałam.

– Niezupełnie. Po drodze zgubiło się kilka szczegółów – na przykład moje
nazwisko – a potem wyładowałem u misjonarzy, którzy uznali, że najlepiej bę-
dzie, jak o tym zapomnę, ze względu na okoliczności. Byli prezbiterianami, po-
rządną gromadką. Ogolono nam wszystkim głowy z powodu wszy. Pamiętam
uczucie, gdy nagle nie miałem już włosów – jak było chłodno. Od tego zaczyna-
ją się moje wspomnienia.

Chociaż zaczynałam go lubić, wstyd mi przyznać, ale podeszłam dość scepy-
tycznie do tej opowieści. Było w niej za dużo melodramatyzmu – za dużo
szczęścia i pecha. Wciąż byłam za młoda, żeby wierzyć w przypadki. Jeśli jed-
nak usiłował zrobić wrażenie na Laurze – a usiłował? – nie mógłby wymyślić
lepszego sposobu.

– To musi być straszne – powiedziałam. – Nie wiedzieć, kim się jest.

– Też tak myślałem – odparł Alex. – Ale potem przyszło mi do głowy, że
ten, kim naprawdę jestem, to ktoś, kto nie musi wiedzieć, kim naprawdę jest w
zwykłym znaczeniu tego słowa. Bo co to właściwie oznacza: pochodzenie? Lu-
dzie zasłaniają się tym, żeby usprawiedliwić własny snobizm albo swoje upadki.
Ja jestem wolny od pokusy, i tyle. Jestem wolny od więzów. Nic mnie nie wią-
że. – Powiedział coś jeszcze, ale wtedy nastąpił wybuch na niebie i nie usłysza-
łam. Laura jednak słyszała; z powagą pokiwała głową.

(Co takiego powiedział? Dowiedziałam się później. Powiedział: Przynajmniej
nigdy nie tęskni się za domem).

Wybuchł nad nami dmuchawiec ze światła. Wszyscy spojrzeliśmy w górę.
Trudno tego nie zrobić w takiej chwili. Trudno nie stać z otwartymi ustami.

Czy to wtedy właśnie się zaczęło, tego wieczoru – na przystani w Awilionie,
przy sztucznych ognich błyskających na niebie? Trudno powiedzieć. Początki
są nagłe, ale także podstępne. Zakradają się z boku, trzymają się w cieniu, cza-
ją się, nie rozpoznane. A potem eksplodują.

Ręczne kolorowanie

Dzikie gęsi odlatują na południe, skrzypiąc jak udręczone zawiasy; na brzegu rzeki świece sumaku płoną ciemnoczerwono. To pierwszy tydzień października. Pora wełnianych strojów wyjętych z naftaliny; mgieł o północy, rosy i śliskich schodków, późno dojrzewających ślimaków i ostatniego rozkwitu lwich paszczy; tych falbaniastych, ozdobnych, różowofioletowych główek kapusty, które kiedyś nie istniały, a teraz jest ich pełno.

Pora chryzantem, pogrzebowych kwiatów; tych białych. Zmarli muszą się czuć już nimi zmęczeni.

Ranek był rześki i pogodny. Zerwałam mały pęk żółtych i różowych lwich paszczy w ogrodzie przed domem i zabrałam na cmentarz, żeby położyć je przy rodzinnym grobowcu z dwoma zamyślonymi aniołami na białym postumencie: stwierdziłam, że to będzie dla nich jakaś odmiana. Już na miejscu odprawiłam swój mały rytuał – obejście pomnika, odczytanie nazwisk. Myślę, że robię to w milczeniu, ale co jakiś czas słyszę własny głos, mamroczący jak jakiś jezuita odprawiający modły.

Wymówić nazwiska zmarłych to znowu ich ożywić, mawiali starożytni Egipcjanie; nie zawsze się tego chce.

Kiedy już obeszłam cały pomnik, zauważyłam dziewczynę – młodą kobietę – klęczącą przed grobem, czy też przed miejscem należącym do Laury. Pochylała głowę. Była ubrana na czarno: w czarne dżinsy, czarny podkoszulek i kurtkę, z małym czarnym chlebakiem, takim, jakie teraz się nosi zamiast torebki. Miała długie czarne włosy – jak Sabrina, pomyślałam z szybszym biciem serca: wróciła Sabrina, z Indii czy gdzie tam była. Wróciła bez ostrzeżenia. Zmieniła zdanie co do mnie. Chciała mnie zaskoczyć, a ja wszystko zepsułam.

Kiedy jednak przyjrzałam się uważniej, zobaczyłam, że to obca dziewczyna: bez wątpienia jakaś wyczerpana nerwowo absolwentka wyższej uczelni. Na początku pomyślałam, że się modli, ale nie, kładła kwiat; pojedynczy biały goździk, z łodygą owiniętą w folię. Kiedy się podniosła, zobaczyłam, że płacze.

Laura wzrusza ludzi. Ja nie.

Po fabrycznym pikniku w „Herald and Banner” pojawiła się zwyczajowa notatka – które dziecko wygrało konkurs na najpiękniejsze niemowlę, kto miał najlepszego psa. I to, co powiedział ojciec w swoim przemówieniu, mocno skrócone: Elwood Murray wszystko lukrował dawką optymizmu, więc mowa niczym się nie różniła od poprzednich. Były też zdjęcia – zwycięski pies, ciemna sylwetka w kształcie mopa; zwycięskie niemowlę, pękate jak poduszeczka na igły,

w czepku z falbankami: tancerze trzymający olbrzymią tekturową koniczynę; ojciec na podium. To nie było dobre zdjęcie: miał na wpół otwarte usta i wyglądał, jakby ziewał.

Jedno ze zdjęć przedstawiało Alexa Thomasa razem z nami – ze mną po lewej i z Laurą po prawej stronie, jak podpórkami na książki. Obie patrzyłyśmy na niego i uśmiechałyśmy się; on także się uśmiechał, ale wyciągnął przed siebie rękę, jak gangsterzy, którzy zasłaniają się przed fleszami aparatów fotograficznych przy aresztowaniu. Udało mu się jednak zakryć tylko pół twarzy. Podpis brzmiał: „Panna Chase i panna Laura Chase zabawiają przybysza spoza miasta”.

Elwood Murray nie zdołał nas znaleźć tego popołudnia, żeby poznać nazwisko Alexa, a kiedy zadzwonił do domu, odebrała Reenie, która stwierdziła, że nie można szargać naszych nazwisk przez umieszczenie ich razem z Bóg wie kim, i nie chciała mu powiedzieć. I tak opublikował zdjęcie, więc Reenie poczuła się dotknięta, przez nas i przez Elwooda Murraya. Uważała, że zdjęcie jest na granicy przyzwoitości, chociaż nie pokazywałyśmy nóg. Uważała, że mamy głupie, lubieżne uśmiechy na twarzach, jak zakochane gęsi; z tak szeroko otwartymi ustami równie dobrze mogłybyśmy się ślinić. Zrobiliśmy z siebie żalotne przedstawienie: wszyscy w mieście wyśmiewali się z nas za naszymi plecami, za wzdychanie do jakiegoś młodego opryszka, który wygląda jak Indianin – albo, co gorsza, Żyd – a na dodatek ma podwinięte rękawy, jak komunista.

– Temu Elwoodowi Murrayowi należy się lanie – powiedziała. – Myśli, że jest niezwykle sprytny.

Przedarła gazetę i wrzuciła ją do pojemnika z drewnem na rozpałkę, żeby ojciec niczego nie zobaczył. I tak musiał ją widzieć w fabryce, ale nie robił żadnych uwag.

Laura złożyła wizytę Elwoodowi Murrayowi. Nie robiła mu wyrzutów ani nie powtórzyła niczego, co mówiła o nim Reenie. Zamiast tego oznajmiła mu, że chce zostać fotografem jak on. Nie: nie skłamałaby tak. On to wywnioskował. Tak naprawdę powiedziała mu, że chce się nauczyć, jak robić odbitki z negatywów. Taka była prawda.

Elwoodowi Murrayowi pochlebił ten dowód łaski z wyzyn Awilionu – choć złośliwy, Elwood był też tchórzliwym snobem – i zgodził się, by Laura pomagała mu w ciemni trzy razy w tygodniu. Mogła obserwować, jak wywołuje portrety, którymi sobie dorabiał, ślubne albo z okazji zakończenia szkoły. Choć dwóch mężczyzn na zapleczu układało czcionkę i drukowało gazetę, Elwood robił niemal wszystko przy tygodniku, nawet sam wywoływał zdjęcia.

Powiedział, że może ją także nauczyć ręcznego kolorowania; to było bardzo modne. Ludzie przynosili stare czarno-białe odbitki, żeby je nieco ożywić kolorem. Robiło się to, wybielając najciemniejsze fragmenty pędzlem, a potem nakładając na odbitkę toner w kolorze sepii, żeby fotografia miała różową poświa-

tę. Dopiero wtedy zaczynało się kolorowanie. Farby trzymano w małych tubkach i buteleczkach. Nakładano je ostrożnie małykami pędzelkami, nadmiar zaś skrupulatnie usuwano. Trzeba było mieć smak i umiejętność wtapiania koloru, żeby policzki nie wyglądały jak różowe koła, a ciało jak beżowe ubranie. Trzeba było mieć dobry wzrok i pewną rękę. Elwood twierdził, że to sztuka – i to taka, której opanowaniem się szczycił, skoro tak mówił. Jako reklamę wywiesił zmieniającą się kolekcję ręcznie kolorowanych fotografii w rogu okna w biurze gazety. „Odśwież swoje wspomnienia”, głosił napis, który Elwood umieścił obok.

Najczęściej pojawiali się na zdjęciach młodzi mężczyźni w przestarzałych już mundurach z wojny; także panny młode i panowie młodzi. Były też zdjęcia z zakończenia szkoły, Pierwszej Komunii, poważne zgromadzenia rodzinne, niemowlęta w strojach do chrztu, dziewczęta w uroczystych sukienkach, dzieci w kostiumach na bal, koty i psy. Co pewien czas pojawiało się jakieś ekscentryczne zwierzątko domowe – żółw, ara – rzadko dziecko w trumnie, z woskową twarzą, otoczone koronkami.

Kolory nigdy nie wychodziły wyraźnie, tak jak na białym papierze; wszystkie postaci miały zamglone kształty, jak gdyby oglądało się je przez gazę. Przez to osoby na zdjęciach nie wyglądały bardziej prawdziwie; wyglądały raczej ultra-prawdziwie: jak obywatele jakiegoś dziwaczego półkraj, drastycznie wyrazistego, choć przytłumionego, gdzie realizm jest zupełnie nieistotny.

Laura powiedziała mi, co robi u Elwooda Murraya; powiedziała też Reenie. Oczekiwałam protestu, awantury; oczekiwałam, że Reenie stwierdzi, że Laura się zniża albo że zachowuje się w tandetny, kompromitujący sposób. Kto wiedział, co się działo między młodą dziewczyną i mężczyzną w ciemni, przy zgaszonych światłach? Reenie uznała jednak, że Elwood nie płaci Laurze za pracę; raczej ją uczy, a to było zupełnie coś innego. To stawiało go na równi z wynajętą służbą. A co do tego, że Laura spędza z nim czas w ciemni, nikt nie pomyśli, że to coś złego, bo Elwood to taka lala. Podejrzewam, że Reenie w głębi ducha czuła ulgę, że Laura wykazuje zainteresowanie czymkolwiek poza Bogiem.

Laura rzeczywiście wykazywała zainteresowanie, ale jak zwykle przesadziła. Zwędziła niektóre należące do Elwooda materiały do ręcznego kolorowania i przyniosła je ze sobą do domu. Odkryłam to przez przypadek: byłam w bibliotece, na chybił trafił wyciągałam książki, kiedy zauważyłam oprawione w ramki fotografie dziadka Benjamina, każdą z innym premierem. Twarz sir Johna Sparrowa Thompsona była teraz jasnioletowa, sir Mackenzie Bowella obrzydliwie zielona, a sir Charlesa Tuppera bladopomarańczowa. Broda i bokobrody dziadka Benjamina miały jasnopurpurowy odcień.

Tego wieczoru przyłapałam ją na gorącym uczynku. Na jej toalecie leżały małe tubki, cienkie pędzelki. A także uroczysty portret Laury i mój, w naszych aksamitnych sukienkach i butach od Mary Janes. Laura wyjęła już zdjęcie z

ramki i malowała mnie na jasnoniebiesko.

– Laura – powiedziałam – na miłość boską, co ty wyprawiasz? Dlaczego pokolorowałaś te zdjęcia? Te z biblioteki? Ojciec się wścieknie.

– Tylko ćwiczę – odparła Laura. – Poza tym trzeba było upiększyć tych ludzi. Myślę, że teraz wyglądają lepiej.

– Wyglądają dziwacznie – stwierdziłam. – Albo jakby byli bardzo chorzy. Nikt nie ma zielonej twarzy! Ani fioletowej.

Laura pozostała niewzruszona.

– To kolory ich duszy – powiedziała. – Taką powinny mieć barwę.

– Narobisz sobie kłopotów! Domyślą się, kto to zrobił.

– Nikt się im nie przygląda – stwierdziła. – Nikogo to nie obchodzi.

– Nie waż się tknąć babki Adelii – powiedziałam. – Ani zmarłych wujków! Ojciec cię zbije na kwaśne jabłko!

– Chciałam pomalować ich na złoto, żeby pokazać, że otacza ich chwała Pana – odparła. – Ale nie mam złotego. Wujków, nie babkę. Ją zrobiłabym na stalowoszarą.

– Ani mi się waż! Ojciec nie wierzy w chwałę Pana. I lepiej zwróć te farby, zanim oskarżą cię o kradzież.

– Niewiele zużyłam – stwierdziła Laura. – Poza tym zaniósłam Elwoodowi słoik dżemu. To uczciwa wymiana.

– Rozumiem, że to dżem Reenie. Z piwnicy z zapasami na zimę. Zapytałaś ją? Ona liczy te dżemy, przecież wiesz. – Podniosłam fotografię nas obu. – Dlaczego jestem niebieska?

– Bo śpisz – powiedziała Laura.

Zwędziła nie tylko materiały do kolorowania. Jednym z zadań Laury było segregowanie. Elwood lubił, kiedy w jego biurze, a także w ciemni, panował porządek. Trzymał negatywy w przezroczystych kopertach, ułożone według dat, więc Laura nie miała kłopotów ze znalezieniem negatywu z pikniku. Zrobiła dwie czarno-białe odbitki, pewnego dnia, gdy Elwood wyszedł i miała całe pomieszczenie dla siebie. Nikomu o tym nie powiedziała, nawet mnie – dopiero później. Kiedy zrobiła odbitki, wsunęła negatyw do torebki i zabrała go ze sobą do domu. Nie uważała tego za kradzież: przede wszystkim to Elwood ukradł zdjęcie, nie pytając nas o pozwolenie, ona tylko odbierała mu coś, co tak naprawdę nigdy do niego nie należało.

Po osiągnięciu celu Laura przestała przychodzić do biura Elwooda Murraya. Nie podała mu żadnej przyczyny ani go nie uprzedziła. Czułam, że to niezręcznie z jej strony, i rzeczywiście tak było, bo Elwood odebrał to jako afront. Usiłował się dowiedzieć od Reenie, czy Laura jest chora, ale Reenie odpowiedziała tylko, że Laura musiała zmienić zdanie co do fotografowania. Ta dziewczyna miała mnóstwo pomysłów; zawsze dostawała bzika na jakimś punkcie i teraz

pewnie też tak było.

To wzbudziło ciekawość Elwooda. Zaczął mieć oko na Laurę, było to coś więcej niż jego zwykłe wścibstwo. Właściwie nie nazwałabym tego szpiegowaniem – nie krył się za krzakami. Po prostu bardziej ją zauważał. (Nie odkrył jeszcze braku negatywu. Nie przyszło mu do głowy, że Laura kierowała się ukrytym motywem, gdy do niego przyszła. Miała takie bezpośrednie spojrzenie, takie szeroko otwarte oczy, takie czyste, okrągłe czoło, że mało kto podejrzewał ją o obłudę).

Z początku Elwood niewiele miał do zaobserwowania. Widział, jak Laura spaceruje po głównej ulicy, w niedzielne poranki idzie do kościoła, gdzie uczyła pięciolatków w szkółce niedzielnej. W trzy inne poranki w tygodniu pomagała w jadalni Zjednoczonego Kościoła, którą ustawiono w pobliżu dworca kolejowego. Jej misja polegała na rozdawaniu misek kapuśniaku głodnym, brudnym mężczyznom i chłopcom, przyjeżdżającym pociągami: był to szlachetny wysiłek, który nie spotykał się z aprobatą wszystkich mieszkańców miasta. Niektórzy uważali, że ci ludzie to wywrotowi konspiratorzy albo, co gorsza, komuniści; inni, że nie powinno się rozdawać darmowych posiłków, bo oni sami musieli zapracować na każdy kęs. Słychać było okrzyki: „Do roboty!” (Jasne, że obelgi padały z obu stron, chociaż wędrowcy robili to ciszej. Jasne, że nie lubili Laury i takich jak ona kościelnych uszczęśliwaczy. Jasne, że mieli swoje sposoby na okazanie tych uczuć. Żart, szyderczy uśmiech, kuksaniec, ponure lubieżne spojrzenie. Nie ma nic bardziej uciążliwego niż wymuszona wdzięczność).

Jadalni pilnowała miejscowa policja, aby tym mężczyznom nie przyszedł do głowy jakiś chytry pomysł, na przykład pozostanie w Port Ticonderoga. Mieli zostać usunięci, przeniesieni gdzie indziej. Nie wolno im jednak było wskakiwać do wagonów towarowych na dworcu, bo na to nie zgodziłoby się przedsiębiorstwo kolejowe. Wybuchały sprzeczki i bójki na pięści i – jak napisał Elwood Murray w gazecie – w ruch szły pałki.

Ludzie ci wędrowali więc nieco dalej wzdłuż torów kolejowych i tam usiłowali wskoczyć, ale było to trudniejsze, bo pociągi nabierały tam szybkości. Zdarzyło się kilka wypadków, w tym jeden śmiertelny – chłopiec, który nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat, wpadł pod koła i został dosłownie przecięty na pół. (Po tym wydarzeniu Laura zamknęła się na trzy dni w swoim pokoju i nic nie jadła: wcześniej podała miskę zupy temu chłopcu). Elwood Murray napisał artykuł w gazecie, w którym stwierdził, że ten niefortunny wypadek jest godny ubolewania, ale nie wydarzył się z winy kolei, a już z pewnością nie z winy miasta: jeśli się podejmuje tak szalone ryzyko, to czego się można spodziewać?

Laura wyłudzała kości od Reenie, do kotła z kościelną zupą. Reenie powiedziała, że nie składa się z kości; kości nie rosną też na drzewach. Większość kości potrzebowała dla siebie – dla Awilionu, dla nas. Powiedziała, że do grosza grosz, a napełni się trzos, i spytała, czy Laura nie widzi, że w tych ciężkich cza-

sach ojciec potrzebuje każdego grosza, który uda mu się zarobić? Nigdy nie potrafiła jednak zbyt długo opierać się Laurze i zawsze pojawiały się dwie czy trzy kości. Laura nie chciała ich dotykać, nawet na nie patrzeć – była na tym punkcie przewrażliwiona – więc Reenie zawiązała je dla niej.

– Proszę bardzo. Ci włóczędzy przejedzą nam cały dom – wzdychała. – Włożyłam jeszcze cebulę.

Uważała, że Laura nie powinna pracować w jadalni – to było zbyt ciężkie dla takiej młodej dziewczyny.

– Nie wolno nazywać ich włóczęgami – powiedziała Laura. – Wszyscy ich odsyłają. A oni tylko chcą pracować. Chcą tylko pracy.

– Doprawdy – mówiła Reenie sceptycznym, nieznośnym tonem. Mnie, prywatnie, informowała: – Wypisz, wymaluj jej matka.

Nie chodziłam z Laurą do jadalni. Nie prosiła mnie o to, a poza tym i tak nie miałabym czasu: ojciec wbił sobie teraz do głowy, że muszę się nauczyć zawłóści guzikowego biznesu, co było moim obowiązkiem. *Faute de mieux*^[31] miałam być synem w firmie Chase i Synowie, a jeśli kiedykolwiek zamierzałam zarządzać przedsiębiorstwem, musiałam ubrudzić sobie ręce.

Wiedziałam, że nie mam zdolności do interesów, ale byłam zbyt zastraszona, żeby zaprotestować. Każdego ranka towarzyszyłam ojcu do fabryki, żeby zobaczyć (tak mówił), jak wygląda prawdziwy świat. Gdybym była chłopcem, kazałby mi zacząć od pracy przy taśmie, przez wojskową analogię, że oficer nie może oczekiwać, iż jego ludzie wykonają pracę, której sam nie umiałby wykonać. Ponieważ nie byłam chłopcem, kazał mi robić inwentaryzację i bilansować masę towarową – kupno i sprzedaż.

Byłam w tym kiepska, mniej lub bardziej celowo. Nudziłam się, a także bałam. Kiedy każdego ranka pojawiałam się w fabryce w przypominających zakonne spódnicach i bluzkach, depcząc ojcu po piętach jak pies, musiałam przechodzić obok rzędu robotników. Czułam, że kobiety mną gardzą, a mężczyźni się na mnie gapią. Wiedziałam, że stroją sobie ze mnie żarty za moimi plecami – stroją sobie żarty z mojego sposobu poruszania się (kobiety) i mojego ciała (mężczyźni), i w taki właśnie sposób wyrównują rachunki. Z pewnych względów ich nie winiałam – na ich miejscu robiłabym to samo – ale i tak czułam się urażona.

„O la la. Myśli, że jest królową Saby”.

„Dobre rżnięcie i nie byłaby taka ważna”.

Ojciec tego nie zauważał. Może nie chciał zauważać.

Pewnego popołudnia Elwood Murray zjawił się pod kuchennymi drzwiami Reenie, z wypiętą klatką piersiową, zarozumiały, z manierami zwiastuna nieprzyjemnych wieści. Pomagałam Reenie przy robieniu zapasów: wrzesień dobiegał

końca i wekowałyśmy ostatnie pomidory z ogródka. Reenie zawsze oszczędzała, a w tamtych czasach marnotrawstwo było grzechem. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, jak cienka robi się ta nić – nić dodatkowych dolarów, które wiązały ją z pracą.

Jest coś, co powinniście wiedzieć, powiedział Elwood Murray, dla waszego własnego dobra. Reenie spojrzała na niego, na niego i jego napuszoną sylwetkę, oceniając powagę informacji, i uznała ją za dość istotną, żeby zaprosić go do środka. Zaproponowała mu nawet filiżankę herbaty. Potem poprosiła, żeby poczekał, aż szczypcami wyciągnie ostatnie słoje z gorącej wody i je zakręci. Następnie usiadła.

Oto nowina. Pannę Laurę Chase widywano w mieście, powiedział Elwood, w towarzystwie młodego człowieka, tego samego młodego człowieka, z którym sfotografowano ją na pikniku fabryki guzików. Najpierw zauważono ich koło jadłodajni, potem, jak siedzieli na parkowej ławce – na niejednej parkowej ławce – i palili papierosy. A może to mężczyzna palił; co do Laury, nie dałby sobie ręki uciąć, stwierdził, zaciskając usta. Widziano ich obok pomnika Ofiar Wojny, przy ratuszu i opartych o poręczę mostu Jubileuszowego, skąd wyglądali na progi rzeczne – to typowe miejsce flirtów. Być może zauważono ich też na Obozowisku, co z pewnością było oznaką podejrzanego zachowania albo preludium do niego – choć za to nie mógłby ręczyć, gdyż nie widział tego na własne oczy.

Tak czy inaczej, uważał, że powinniśmy wiedzieć. To był dorosły mężczyzna, a czy panna Laura nie miała dopiero czternastu lat? Wstyd, żeby ją tak wykorzystywał. Poprawił się na krześle, kiwając ze smutkiem głową, zadowolony z siebie, z oczyma błyszczącymi ze złośliwej radości.

Reenie się wściekła. Nienawidziła, kiedy ktoś zaskakiwał ją jakąś plotką.

– Bardzo panu dziękujemy za informację – powiedziała ze sztywną uprzejmością. – Trzeba zaszyć dziurkę, póki mała.

Tak właśnie broniła honoru Laury: nie zdarzyło się nic, czemu nie można by zapobiec.

– A nie mówiłam – odezwała się Reenie, kiedy Elwood Murray sobie poszedł. – Nie ma wstydu.

Oczywiście, nie chodziło jej o Elwooda, ale o Alexa Thomasa.

Podczas konfrontacji Laura niczego się nie wyparła, z wyjątkiem wizyty na Obozowisku. Ławki w parku i tak dalej – tak, siedziała na nich, ale niezbyt długo. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego Reenie robi takie zamieszanie. Alex Thomas nie był tanim lowelasem (określenie, którym posłużyła się Reenie). Nie był też kobieciarzem (kolejne określenie Reenie). Zaprzeczyła, że kiedykolwiek zapaliła papierosa. A co do „migdalenia się” – też określenie Reenie – uważała, że to obrzydliwe. Co zrobiła, żeby wzbudzić tak niecne podejrzenia? Najwyraźniej nie wiedziała.

Pomyślałam, że być Laurą, to jak być głuchą na pewne dźwięki: grała muzy-

ka i czasem coś się usłyszało, ale nie to samo co inni.

Zdaniem Laury, we wszystkich wypadkach – a były tylko trzy – ona i Alex Thomas byli pogrążeni w poważnej dyskusji. O czym? O Bogu. Alex Thomas stracił wiarę, a Laura pomagała mu ją odzyskać. To było trudne zadanie, ponieważ był bardzo cyniczny, a może miała na myśli: sceptyczny. Uważał, że obecny wiek to wiek tego świata, nie zaś następnego – świata człowieka, ludzkości – i wierzył w to z całych sił. Twierdził, że nie ma duszy, i powiedział, że wszystko mu jedno, co się z nim stanie po śmierci. Mimo to nie zamierzała ustawać w wysiłkach, jakkolwiek trudne by się okazały.

Odkaślnęłam w dłoń. Nie ośmieliłam się wybuchnąć śmiechem. Wystarczająco często widziałam, jak Laura posługuje się tym zwrotem w stosunku do pana Erskine’a, i pomyślałam, że teraz robi to samo: mydli nam oczy. Reenie, z rękami na biodrach, rozstawionymi nogami i otwartymi ustami wyglądała jak atakująca kwoka.

– Dlaczego on ciągle jest w mieście, chciałabym to wiedzieć – powiedziała zdumiona, nieco zbита z tropu. – Myślałam, że przyjechał z wizytą.

– Załatwia tu jakiś interes – odparła łagodnie Laura. – Może być tam, gdzie chce. Tu nie ma niewolników. Oprócz robotników, oczywiście.

Zrozumiałam, że to nie była jednostronna konwersacja. Alex Thomas też wtrącił swoje trzy grosze. Jeśli sprawy dalej potoczą się tym trybem, będziemy mieli w domu małego bolszewika.

– Czy on nie jest za stary? – spytałam.

Laura popatrzyła na mnie surowo – za stary na co? – rzucając mi wyzwanie, gdybym chciała się dalej wtrącać.

– Dusza nie ma wieku – odparła.

– Ludzie gadają. – Reenie wysunęła swój miażdżący argument.

– To już ich zmartwienie – powiedziała Laura. W jej tonie dało się słyszeć wyniosłą irytację: ludzie zawsze byli dla niej krzyżem pańskim.

Ani ja, ani Reenie nie wiedziałyśmy, co dalej. Co można było zrobić? Mogłyśmy powiedzieć ojcu, który z kolei mógłby zakazać Laurze widywać się z Alexem Thomasem. Ona by go jednak nie posłuchała, w grę wchodziła dusza. Zdecydowałyśmy, że poinformowanie ojca spowodowałoby więcej kłopotów, niż to wszystko było warte; a poza tym, co trik naprawdę się działo? Nic takiego, co można by wskazać palcem. (Od tej chwili byliśmy z Reenie powierniczkami w tej kwestii; co dwie głowy to nie jedna).

Zaczęłam mieć wrażenie, że Laura robi ze mnie idiotkę, chociaż nie potrafiłam określić, na czym to polega. Nie myślałam, że kłamie wprost, ale nie mówiła też całej prawdy. Raz widziałam ją i Alexa Thomasa, pogrążonych w rozmowie, idących powoli obok pomnika Ofiar Wojny; raz na moście Jubileuszowym, raz kręcących się obok Barku Betty, gdy zapomnieli odwrócić głowy, ja zresztą też. To był najzwyczajniejszy bunt.

– Musisz przemówić jej do rozumu – powiedziała mi Reenie. Ale ja nie mogłam przemówić Laurze do rozumu. W ogóle coraz mniej mogłam z nią rozmawiać; a może rozmawiałam, ale czy ona słuchała? To przypominało rozmowę z kartką bibuły: słowa wychodziły z moich ust i znikwały za jej twarzą, jak gdyby w ścianie spadającego śniegu.

Kiedy nie spędzałam czasu w fabryce guzików – co z dnia na dzień okazywało się coraz bardziej bezowocne, nawet zdaniem ojca – samotnie spacerowałam. Maszerowałam brzegiem rzeki, udając, że mam jakiś cel, albo stawiałam na moście Jubileuszowym, jak gdybym na kogoś czekała, wpatrując się w czarne wody i przypominając sobie historie kobiet, które się w nie rzuciły. Robiły to z miłości, bo właśnie taki skutek wywierała miłość. Zakradała się, chwytiała cię w swoje szpony, zanim zdążyłaś się zorientować, i nic już nie dało się zrobić. Gdy się zakochałaś, byłaś oszołomiona i na nic nie zważałaś. Tak przynajmniej pisano w książkach.

Chodziłam też po głównej ulicy, z uwagą przyglądając się temu, co leżało w sklepowych witrynach – skarpetom i butom, kapeluszm i rękawiczkom, śrubokrętom i kluczom. Wpatrywałam się w plakaty gwiazd filmowych w szklanych gablotach przed kinem Bijou i zastanawiałam się, jak wyglądam w porównaniu z nimi albo jak mogłabym wyglądać, gdybym zczesiała włosy na jedno oko i miała odpowiednie ubranie. Nie wolno mi było wchodzić do środka; poszłam do kina dopiero po ślubie, bo Reenie twierdziła, że Bijou jest poniżające, w każdym razie dla samotnych młodych dziewcząt. Mężczyźni chodzili tam polować, nieprzyzwoici mężczyźni. Siadali na fotelu obok ciebie, a ich ręce przyklejały się do twojego ciała jak muchy do miodu i zanim zdążyłaś się zorientować, już byli na tobie.

W opisach Reenie dziewczyna czy kobieta zawsze była bezwładna, ale spleciona mnóstwem sznurów z uchwytami, jak na placach zabaw. Była magicznie pozbawiona zdolności do krzyku czy działania. Była skamieniała, była sparaliżowana – z szoku, wściekłości czy wstydu. Nie mogła uciec.

Piwnica z zapasami na zimę

Przyszedł mróz; wysokie chmury i wiatr. Snopy suszonej kukurydzy pojawiły się na co elegantszych drzwiach wejściowych; na gankach latarenki z dyni z uśmiechem stoją już na warcie. Za tydzień od dziś opętane wizją cukierków dzieci wylegną na ulice, przebrane za baletnice, zombi, przybyszów z kosmosu, szkielety, cygańskie wróżki i zmarłe gwiazdy rocka, a ja jak zwykle pogaszę światła i będę udawała, że nie ma mnie w domu. Nie chodzi o to, że ich nie lubię, to samoobrona – jeśli jakieś maluchy znikną, nie chcę, żeby oskarżono mnie o to, że je zwabiłam i zjadłam.

Powiedziałam to Myrze, która robi świetny interes na przysadzistych pomarańczowych świecach, czarnych ceramicznych kotach, satynowych nietoperzach oraz na ozdobnych, wypchanych czarownicach z główkami z suszonych jabłek. Roześmiała się. Myślała, że żartuję.

Wczoraj miałam ospały dzień – pobolewało mnie serce, ledwo zwlokłam się z sofy – ale tego ranka po zażyciu tabletki poczułam niespodziewany przyływ energii. Całkiem sprawnie dotarłam aż do ciastkarni. Tam przyjrzałam się ścianie w toalecie, na której najnowszy napis brzmi: „Jeśli nie możesz powiedzieć nic miłego, to nie mów nic”, a pod nim: „Jeśli nie możesz possać nic miłego, to nie ssij nic”. Dobrze wiedzieć, że nadal kwitnie w tym kraju wolność słowa.

Kupiłam kawę i czekoladowy obwarzanek, po czym zabrałam je ze sobą na jedną z ławeczek zakupionych przez kierownictwo cukierni i ustawionych wygodnie tuż obok kosza na śmieci. Usiadłam na słońcu, wygrzewając się jak żółw. Obok przechodzili ludzie – dwie otyłe kobiety z dziecięcym wózkiem, młodsza, szczuplejsza kobieta w czarnym skórzanym płaszczu ze srebrnymi ćwiekami, które wyglądały jak gwoździe, i takim samym ćwiekiem w nosie, trzej starszuszki w wiatrówkach. Miałam wrażenie, że się na mnie gapią. Wciąż jestem tak znana czy to paranoja? A może po prostu mówiłam głośno do siebie? Czy mój głos wypływa na zewnątrz, kiedy nie zwracam na to uwagi? Wysuszony szept, szelest zimowej winorośli, świst jesienno-wiatru w trawie.

Kogo obchodzi, co myślą ludzie? – powiedziałam do siebie. Skoro chcą słuchać, to proszę bardzo.

Kogo obchodzi, kogo obchodzi? Odwieczna riposta młodego człowieka. Mnie obchodzi, oczywiście. Zawsze mnie obchodziło, co myślą ludzie. Naprawdę zawsze. W przeciwieństwie do Laury, nigdy nie miałam odwagi wyrazić własnych przekonań.

Podszedł pies; dałam mu pół obwarzanka.

– Nie krępuj się – powiedziałam do niego. Tak zawsze mówiła Reenie, gdy

przyłapała kogoś na podsłuchiwanie.

Przez cały październik – październik 1934 roku – wciąż mówiło się o tym, co się dzieje w fabryce guzików. Podobno kręcili się tam agitatorzy z zewnątrz; podgrzewali atmosferę, zwłaszcza wśród młodych zapaleńców. Mówiło się o układach zbiorowych, o prawach robotnika, o związkach. Związki były z pewnością nielegalne, a może raczej nielegalne były te związki, które nie pozwalały pracować nie zrzeszonym robotnikom – prawda? Właściwie to chyba nikt nie wiedział. Tak czy owak, zalatywało od nich siarką.

Ludzie, którzy podgrzewali atmosferę, należeli do grona złoczyńców i najętych przestępców (zdaniem pani Hillcoate). Nie dość, że byli agitatorami spoza miasta, to na dodatek zagranicznymi agitatorami spoza miasta, co wydawało się jeszcze bardziej przerażające. Niscy, smagli mężczyźni z wąsami, którzy wypisywali swoje imiona krwią i przysięgali lojalność aż do śmierci, tacy, którzy wzniecą zamieszki i przed niczym się nie cofną, podłożą bomby, wślizną się w nocy i poderzną nam we śnie gardła (zdaniem Reenie). Takie mieli metody ci bezlitośni bolszewicy i przywódcy związkowi, którzy w głębi duszy niczym się od siebie nie różnią (zdaniem Elwooda Murraya). Chcieli wolnej miłości, zniszczenia rodziny i śmierci przed plutonem egzekucyjnym dla wszystkich, którzy mieli pieniądze – jakiegokolwiek pieniądze – albo zegarek, albo obrączkę. To właśnie działo się w Rosji. Tak mówiono.

Mówiono też, że fabryki ojca mają kłopoty.

Obie plotki – o agitatorach spoza miasta i o kłopotach – zostały publicznie zdementowane. W obie uwierzono.

We wrześniu ojciec zwolnił niektórych robotników – tych młodszych, którzy według jego teorii lepiej mogli sobie poradzić – i poprosił resztę, żeby się zgodziła na krótsze godziny pracy. Wyjaśnił im, że obroty są zbyt małe, aby wszystkie fabryki pracowały pełną parą. Klienci nie kupowali guzików, a przynajmniej nie kupowali takich guzików, jakie produkowała fabryka Chase i Synowie, która, żeby przynosić zyski, musiała produkować duże ilości towarów. Podobnie nie kupowali taniej, praktycznej bielizny: zamiast tego zadowalali się cerowaną. Oczywiście, nie wszyscy w kraju stracili pracę, ale ci, którzy ją mieli, nie byli pewni, czy zdołają ją utrzymać. Naturalnie oszczędzali pieniądze, zamiast je wydawać. Trudno mieć do nich pretensje. Na ich miejscu zrobilibyście to samo.

Na scenę wkroczyła arytmetyka ze swoimi licznymi nogami, licznymi kręgosłupami i głowami, z przepastnymi oczami z zer. Dwa plus dwa to cztery, brzmiało przesłanie. Co jednak, jeśli się nie miało dwóch i dwóch? Wtedy rzeczy się nie sumowały; i rzeczywiście się nie sumowały, nie mogłam ich zmusić; nie mogłam sprawić, żeby czerwone liczby w spisie inwentarza zrobiły się czarne. To mnie straszliwie martwiło: czułam się tak, jakbym to ja zawiniła. Kiedy nocą zamykałam oczy, widziałam przed sobą liczby na stronie, ułożone w rzę-

dach na moim dębowym biurku w fabryce guzików – te rzędy czerwonych liczb, jak liczne mechaniczne gąsienice, przezuwające to, co zostało z pieniędzy. To, za ile można było sprzedać daną rzecz, było kwotą mniejszą niż ta, którą się zapłaciło za jej wyprodukowanie – co się działo w fabryce Chase i Synowie od jakiegoś czasu – tak zachowywały się liczby. To było złe zachowanie – bez miłości, bez sprawiedliwości, bez litości – ale czego się spodziewać? Liczby to tylko liczby. W tej kwestii nie miały wyjścia.

W pierwszym tygodniu grudnia ojciec zamknął fabrykę. Powiedział, że tymczasowo. Miał nadzieję, że bardzo tymczasowo. Mówił o wycofaniu się, okopaniu w celu przegrupowania. Prosił o zrozumienie i cierpliwość i spotkał się z czujnym milczeniem zgromadzonych robotników. Po tym obwieszczeniu wrócił do Awilionu, zamknął się w swojej wieży i upił do nieprzytomności. Tłukł tam jakieś rzeczy – bez wątpienia butelki. Laura i ja siedziałyśmy w moim pokoju na łóżku, trzymając się mocno za ręce i słuchając furii i żalu szalejących nad naszymi głowami niczym mała burza z piorunami. Od dłuższego czasu ojciec nie robił niczego na tak wielką skalę.

Musiał uważać, że zawiódł swoich ludzi. Że poniósł porażkę. Że to, co zrobił, nie wystarczyło.

– Będę się za niego modliła – powiedziała Laura.

– A czy Boga to obchodzi? – zapytałam. – Tak naprawdę myślę, że ma to w nosie. Jeśli w ogóle istnieje Bóg.

– Tego dowiesz się dopiero po – powiedziała Laura.

Po czym? Dobrze wiedziałam, już o tym rozmawialiśmy.

Po śmierci.

Kilka dni po obwieszczeniu ojca związek ujawnił swoją siłę. Już wcześniej istniało ściśle grono członków, a teraz chcieli, żeby wszyscy się do nich przyłączyli. Odbyło się zebranie poza fabryką guzików, robotnikom rozdano wezwanie do wstąpienia do związku, bo jak napisano, gdy ojciec ponownie otworzy fabryki, obetnie wynagrodzenia i będzie oczekiwał, że ludzie zaczną pracować za grosze. Był taki sam jak cała reszta, w ciężkich czasach włożył pieniądze do banku, a potem usiadł z założonymi rękami, czekając, aż ludzie staną się całkiem biedni i sponiewierani; wtedy ujrzał sposobność wzbogacenia się kosztem robotników. On, jego wielki dom i luksusowe córki – te frywolne pasożyty, żywiące się robotniczym potem.

Widać, że ci tak zwani organizatorzy są spoza miasta, twierdziła Reenie, która opowiedziała nam o tym wszystkim, kiedy siedziałyśmy przy kuchennym stole. (Nie jadałyśmy już posiłków w jadalni, bo ojciec też ich tam nie jadał. Zabarzkadował się w swojej wieży: Reenie zanosila tacę na górę). Te prostaki nie miały pojęcia o tym, co to przyzwoitość, wciągając nas w to wszystko, chociaż każdy wiedział, że nie mamy z tym nic wspólnego. Powiedziała nam, żebyśmy

nie zwracały na to uwagi, co było łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Kilku robotników było wciąż lojalnych wobec ojca. Słyszałyśmy, że wybuchła sprzeczka, potem rozległy się podniesione głosy i zaczęła się szarpanina. Ludzie stracili panowanie nad sobą. Jednego mężczyznę kopnięto w głowę i ze wstrząsem mózgu został odwieziony do szpitala. To był któryś ze strajkujących – teraz już nazwali się strajkującymi – ale jego obrażenia zwalono na samych strajkujących, bo skoro się zaczyna takie zamieszki, kto wie, czym to się może skończyć?

Lepiej nie zaczynać. Lepiej nie otwierać ust. O wiele lepiej.

Callie Fitzsimmons przyjechała zobaczyć się z ojcem. Powiedziała, że bardzo się o niego martwi. Martwiła się, że się marnuje. Moralnie, to miała na myśli. Jak mógł traktować swoich robotników w tak nonszalancki i poniżający sposób? Ojciec powiedział jej, żeby stawiała czoło rzeczywistości. Nazwał ją pocieszycielką Hioba. Spytał też: „Kto ci to podsunął, jeden z twoich różowych przyjaciół?” Odparła, że przyjechała z własnej woli, z miłości, bo chociaż ojciec był kapitalistą, to był również przyzwoitym człowiekiem, ale teraz odkryła, że zamienił się w bezlitosnego plutokratę. Oznajmił, że nie można być plutokratą, jeśli się jest bankrutem. Powiedziała, że mogłyby zlikwidować swoje aktywa. Odparł, że jego aktywa nie są więcej warte niż jej tyłek, którym – z tego, co wiedziała – służyła za darmo każdemu, kto poprosił. Powiedziała, że i on nim nie pogardził. Zgodził się z nią, ale dodał, że ukryte koszty były zbyt wysokie – najpierw jedzenie w domu dla jej przyjaciół artystów, potem jego krew, a teraz dusza. Nazwała go burżuazyjnym reakcjonistą. On nazwał ją ścierwojadem. Wtedy już wrzeszczeli na siebie. Potem rozległo się trzaskanie drzwiami, a samochód podskakiwał na żwirze i to był koniec całej historii.

Czy Reenie to ucieszyło, czy zmartwiło? Zmartwiło. Nie lubiła Callie, ale przywykła do niej, a kiedyś, dawno temu, Callie była dobra dla ojca. Kto ją zastąpi? Jakaś inna latawica, diabli wiedzą kto.

W następnym tygodniu zaczęło się nawoływanie do strajku generalnego, na znak solidarności z robotnikami z Chase i Synowie. Zgodnie z obwieszczeniem, wszystkie sklepy i firmy miały zostać zamknięte. Podobnie jak przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. Telefony, poczta. Żadnego mleka, żadnego chleba, żadnych lodów. (Kto wydawał te obwieszczenia? Nikt nie sądził, że człowiek, który wypowiedział je na głos. Mężczyzna ten twierdził, że jest stąd, z naszego miasta, i kiedyś uważano, że to prawda – nazywał się Morton czy Morgan, jakoś tak – ale stało się jasne, że nie był stąd, nie naprawdę. Nie mógł, skoro się tak zachowywał. A w ogóle to kim był jego dziadek?).

Zatem nie był to ten człowiek. Reenie powiedziała, że nie on stanowił mózg całej operacji, bo przede wszystkim brakowało mu mózgu. W grę wchodziły siły nieczyste.

Laura martwiła się o Alexa Thomasa. Powiedziała, że jest z tym jakoś powiązany. Wiedziała, że tak. Musiał być, biorąc pod uwagę jego poglądy.

Tego samego dnia wczesnym popołudniem Richard Griffen przyjechał do Awilionu samochodem w towarzystwie dwóch innych aut. To były duże samochody, eleganckie i niskopodłogowe. Towarzyszyło mu pięciu innych mężczyzn, czterech z nich potężnych, w ciemnych płaszczach i szarych filcowych kapeluszach. Richard Griffen i jeden z mężczyzn weszli razem z ojcem do jego gabinetu. Dwaj inni ulokowali się przy frontowych i tylnych drzwiach domu, a pozostali dwaj gdzieś pojechali jednym z dróg samochodów. Laura i ja obserwowałyśmy przyjazd i odjazd aut z okna w sypialni Laury. Kazano nam nie wchodzić w drogę, co oznaczało również niepodśuchiwanie. Kiedy zapytałyśmy Reenie, co się dzieje, wyglądała na zmartwioną i powiedziała, że wie tyle co i my, ale stara się nadstawić uszu.

Richard Griffen nie został na obiedzie. Kiedy odjechał, pojechał za nim drugi z samochodów. Trzeci został, a wraz z nim trzech potężnych mężczyzn. Dyskretnie zajęli dawne mieszkanie szofera nad garażem.

Reenie powiedziała, że to detektywi. Z pewnością tak. Dlatego zawsze mieli na sobie płaszcze: chowali wielką broń, którą trzymali pod pachą. Tą bronią były rewolwery. Wiedziała to ze swoich rozmaitych czasopism. Powiedziała, że są tutaj, by nas chronić, i jeśli zobaczymy kogoś podejrzanego, jak skrada się w nocy po ogrodzie – poza tymi trzema, oczywiście – mamy zacząć krzyżeć.

Następnego dnia wybuchły zamieszki na głównych ulicach miasta. Wielu uczestników nie widziano wcześniej w mieście, a jeśli nawet widziano, to ich nie zapamiętano. Kto pamiętałby włóczkę? Niektórzy z nich nie byli jednak włóczkami, tylko międzynarodowymi agitatorami w przebraniu. Cały czas szpiegowali. Jak dotarli tutaj w tak krótkim czasie? Mówiono, że na dachach pociągów. Tak właśnie podróżowali ludzie ich pokroju.

Zamieszki rozpoczęły się od wiecu przed ratuszem. Najpierw wygłaszano mowy, w których wspomniano o kryminalistach i pasożytach z fabryki; następnie tekturowa kukła ojca, ubrana w cylinder i paląca cygaro – nie robił ani jednego, ani drugiego – została spalona przy akompaniamencie radosnych okrzyków. Dwie szmaciane lalki w falbaniastych różowych sukienkach również podpalone i one też stanęły w płomieniach. Reenie powiedziała, że przedstawiały nas – Laurę i mnie. Padały żarty na temat gorących laleczek. (Spacery Laury z Alexem nie przeszły bez echa). Reenie powiedziała, że przekazał jej to wszystko Ron Hincks, chciał, żeby wiedziała. Mówił, że my dwie nie powinnyśmy teraz chodzić do miasta, bo nastroje są gorące i nigdy nie wiadomo. Zasugerował, że powinnyśmy zostać w Awilionie, gdzie będziemy bezpieczne. Dodał, że to skandal z tymi lalkami i że chętnie dorwałby w swoje ręce tego, kto to wymyślił.

W tych sklepach i firmach na głównej ulicy, które tego dnia działały, wybito

okna. Potem wybito je i w tych zamkniętych. Wtedy zaczęły się grabieże i sprawy wymknęły się spod kontroli. Zaatakowano pomieszczenia gazety, zdemolowano biuro: Elwood Murray został poturbowany, a maszyny w drukarni zniszczone. Ciemnia ocalała, ale aparat fotograficzny nie. To były ciężkie czasy dla Elwooda, o czym słyszałyśmy jeszcze wiele razy później.

Tej nocy wybuchł pożar w fabryce guzików. Płomienie wystrzeliwały z okien na dolnych piętrach: widziałam je ze swojego pokoju, ale wkrótce rozdzwonił się wóz straży pożarnej, śpiesząc na ratunek. Oczywiście, czułam niepokój i strach, ale muszę przyznać, że było w tym także coś podniecającego. Kiedy nasłuchiwałam sygnału straży pożarnej i odległych krzyków z tej samej strony, usłyszałam, że ktoś idzie po tylnych schodach. Pomyślałam, że to Reenie, ale się myliłam. To była Laura; miała na sobie płaszcz.

– Gdzie byłaś? – zapytałam ją. – Powinniśmy siedzieć w domu. Ojciec ma wystarczająco wiele zmartwień bez twoich spacerów.

– Poszłam tylko do cieplarni – powiedziała. – Modliłam się. Potrzebowałam spokojnego miejsca.

Udało im się ugasić ogień, ale budynek mocno ucierpiał. Takie było pierwsze doniesienie. Potem zjawiała się pani Hillcoate, zadyszana i z czystą bielizną, pozwolono jej minąć strażników. Podpalenie, powiedziała: znaleźli kanistry z benzyną. Nocny stróż leżał martwy na podłodze. Miał guza na czole.

Widziano dwóch uciekających mężczyzn. Czy ich rozpoznano? Nie z całą pewnością, ale krążyły plotki, że jeden z nich to Alex Thomas, młody człowiek Laury. Reenie powiedziała, że to nie był młody człowiek Laury, Laura nie miała młodego człowieka, to tylko znajomy. Cóż, ktokolwiek to był, stwierdziła pani Hillcoate, najprawdopodobniej podpalił fabrykę guzików, uderzył biednego Ala Davidsona w głowę i zabił go jak szczura, i lepiej, żeby ulotnił się z miasta, jeśli dobrze sobie życzył.

Podczas obiadu Laura oznajmiła, że nie jest głodna. Powiedziała, że teraz nie może jeść; przygotowuje sobie tacę na później. Patrzyłam, jak niesie ją po schodach z tyłu do swojego pokoju. Były tam podwójne porcje wszystkiego – królika, kabaczka, ziemniaków. Zazwyczaj traktowała jedzenie jako coś w rodzaju nerwowego odruchu – jakiegoś zajęcia dla rąk przy stole, gdy inni ludzie rozmawiają – albo obowiązek, przez który trzeba przejść, jak czyszczenie sreber. Rodzaj uciążliwej rutyny. Zastanawiałam się, skąd wzięła się w niej nagle taka chęć jedzenia.

Następnego dnia przybyły oddziały Królewskiego Pułku Kanadyjskiego, żeby przywrócić porządek. To był dawny pułk ojca z czasów wojny. Ojciec bardzo przeżył widok tych żołnierzy zwróconych przeciwko ludziom – jego ludziom czy też ludziom, których uważał za swoich. Wniosek, że nie podzielają już jego przekonań, nie wymagał wielkiej inteligencji, to zresztą też przeżył. Czyżby więc kochali go tylko dla jego pieniędzy? Na to wyglądało.

Po Królewskim Pułku Kanadyjskim przybyli konni policjanci. Trzej z nich zjawili się przed naszymi drzwiami. Zapukali uprzejmie, po czym stanęli w holu ze sztywnymi brązowymi kapeluszami w rękę, a ich lśniące buty skrzypiały na wywoskowanym parkiecie. Chcieli rozmawiać z Laurą.

– Proszę, chodź ze mną, Iris – wyszeptła wezwana Laura. – Nie mogę być z nimi sama.

Wyglądała bardzo młodo, bardzo blado.

Obie usiadłyśmy na sofie w pokoju dziennym, obok starego gramofonu. Policjanci zajęli krzesła. Nie wyglądali tak, jak sobie wyobrażałam konnych policjantów, byli za starzy i za grubi w pasie. Jeden z nich był młodszy, ale to nie on dowodził. Środkowy zaczął mówić. Powiedział, że przepraszają nas za to, iż przeszkadzają w zapewne trudnej chwili, ale sprawa jest raczej pilna. Chcieli porozmawiać o panu Aleksie Thomasie. Czy Laura ma świadomość, że ten człowiek jest znanym wywrotowcem i radykałem i że był w obozach pracy, gdzie agitował i sprawiał kłopoty?

Laura powiedziała, że z tego, co wie, uczył tam ludzi czytać.

Policjant odrzekł, że można i tak na to spojrzeć. Skoro był niewinny, to z pewnością nie ma nic do ukrycia i pojawi się, jeśli będzie potrzebny, prawda? Gdzie obecnie przebywa?

Laura odparła, że nie może powiedzieć.

Pytanie postawiono w inny sposób. Ten człowiek jest podejrzany: czy Laura nie chce wskazać przestępcy, który mógł podpalić fabrykę jej ojca i być przyczyną śmierci lojalnego pracownika? Jeśli wierzyć naocznyemu świadkom, oczywiście.

Powiedziałam, że nie można wierzyć naocznyemu świadkom, bo ktokolwiek uciekał, widzieli go tylko z tyłu, a poza tym było ciemno.

– Panno Lauro? – spytał policjant, ignorując mnie.

Laura odparła, że nawet gdyby mogła powiedzieć, nie zrobiłaby tego. Powiedziała, że człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Poza tym rzucanie człowieka lwom na pożarcie jest wbrew jej chrześcijańskiemu zasadom. Powiedziała, że przykro jej z powodu zmarłego stróża, ale to nie wina Alexa Thomasa, bo Alex Thomas nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nie może jednak nic więcej powiedzieć.

Trzymała mnie za rękę, blisko przegubu; czułam drżenie jej ciała, jak wibrowanie szyn pociągu.

Najważniejszy policjant posiedział coś o utrudnianiu działań wymiarowi sprawiedliwości.

W tym momencie oznajmiłam, że Laura ma tylko piętnaście lat i nie można obarczać jej odpowiedzialnością tak jak dorosłego. Dodałam, że to, co im powiedziała, jest oczywiście poufne, a jeśli wyjdzie z tego pomieszczenia – na przykład trafi do prasy – ojciec będzie wiedział, komu za to dziękować.

Policjanci uśmiechnęli się, wstali i zaczęli się zbierać do wyjścia; byli przyzwyczajeni i spokojni. Może widzieli niestosowność takiego dochodzenia. Choć przyparty do muru, ojciec wciąż miał przyjaciół.

– No dobrze – powiedziałam do Laury, kiedy poszli. – Wiem, że ukrywasz go w domu. Lepiej powiedz mi gdzie.

– Ulokowałam go w piwnicy z zapasami na zimę – odparła Laura, a jej dolna warga drżała.

– W piwnicy z zapasami na zimę! – wykrzyknęłam. – Co za głupie miejsce! Dlaczego tam?

– Żeby starczyło mu jedzenia w razie potrzeby – oznajmiła Laura i wybuchnęła płaczem.

Objęłam ją, a ona oparła się na moim ramieniu.

– Starczyło mu jedzenia? – zapytałam. – Starczyło mu dżemu, konfitur i marmelat? No wiesz, Laura, przeszłaś samą siebie. – Wtedy obie zaczęłyśmy się śmiać, a kiedy już się wyśmiałyśmy i Laura wytarła oczy, powiedziałam: – Musimy go stamtąd wydostać. Co będzie, jeśli Reenie zejdzie na dół po słoik dżemu i niechcący na niego natrafi? Dostanie ataku serca.

Znowu wybuchnęłyśmy śmiechem. Byłyśmy rozstrojone. Potem stwierdziłam, że strych lepiej się nada, bo nikt tam nigdy nie chodzi. Powiedziałam, że wszystko załatwię. Niech ona lepiej idzie do łóżka: było oczywiste, że napięcie dało się jej we znaki i jest wyczerpana. Westchnęła lekko, jak zmęczone dziecko, i zrobiła to, co jej zasugerowałam. Zżerały ją nerwy, gdy dźwigała to ciężkie brzemie świadomości, jak jakiś pełen zła plecak, i teraz, kiedy mi go przekazała, mogła wreszcie spać.

Czy wierzyłam, że robię to tylko po to, żeby ją oszczędzić – żeby jej pomóc, żeby się nią zająć, tak jak zawsze?

Tak. W to właśnie wierzyłam.

Czekałam, aż Reenie posprząta w kuchni i pójdzie spać. Potem zeszłam po schodach do piwnicy, w chłód, mrok, zapach pajęczej wilgoci. Przeszłam obok drzwi do piwnicy z węglem, obok zamkniętych drzwi do piwnicy z winem. Drzwi do piwnicy z zapasami na zimę były zamknięte na skobel. Zapukałam, podniosłam go i weszłam. Rozległ się odgłos szybkich kroków. Oczywiście, było ciemno; jedyne światło paliło się w korytarzu. Na beczce z jabłkami leżały pozostałości obiadu Laury – królicze kości. Wyglądały jak jakiś prymitywny ołtarzyk.

Na początku go nie widziałam, ukrył się za beczką z jabłkami. Nagle zaczęłam go dostrzegać. Kolano, stopa.

– Wszystko w porządku – wyszeptalam. – To tylko ja.

– Ach – powiedział normalnym głosem. – Oddana siostra.

– Ciii – syknęłam. Światło zapalało się, gdy pociągnęło się za sznur, na którym wisiała żarówka. Pociągnęłam więc i zrobiło się jasno. Alex Thomas rozprostował się, gramoląc się zza beczki. Przykucnął i zamrugał, zmieszany, jak człowiek przyłapany bez spodni.

– Powinieneś się wstydzić – powiedziałam.

– Rozumiem, że przyszedłś mi wykopać albo oddać w ręce odpowiednich organów – stwierdził.

– Nie bądź głupi – syknęłam. – Oczywiście nie chciałabym, żeby cię tu odkryto. Ojciec nie zniósłby takiego skandalu.

– „Córka kapitalisty pomaga bolszewickiemu mordercy?” – powiedział. – „Odkrycie gniazodka miłości wśród słoików z dżemem?” Takiego skandalu?

Zmarszczyłam brwi. To nie był temat do żartów.

– Nie denerwuj się. Między mną a Laurą nic nie ma – dodał. – To świetny dzieciak, ale przygotowuje się do roli świętej, a ja nie uwodzę dzieci.

Teraz już stał i otrząpywał się z kurzu.

– Dlaczego więc cię ukrywa? – zapytałam.

– To kwestia zasad. Kiedy poprosiłem, musiała się zgodzić. Jej zdaniem, podpadałem pod właściwą kategorię.

– Jaką kategorię?

– Chyba „najmniejszych” – powiedział. – Cytując Jezusa.

Uznałam, że to cyniczne. Potem powiedział, że wpadł na Laurę niemal przypadkiem. Trafił na nią w cieplarni. Co tam robił? Najwyraźniej się krył. Powiedział też, że miał nadzieję porozmawiać ze mną.

– Ze mną? – zdziwiłam się. – Dlaczego ze mną, na litość boską?

– Myślałem, że będziesz wiedziała, co robić. Wyglądasz na praktyczną osobę. Twoja siostra jest mniej...

– Najwyraźniej jednak Laura nieźle sobie poradziła – przerwałam mu. Nie lubiłam, gdy inni ludzie krytykowali Laurę – jej roztargnienie, jej prostotę, jej nieodpowiedzialność. Krytyka Laury była zarezerwowana dla mnie. – Jak cię przeprowadziła przez tych mężczyzn przy drzwiach? – spytałam. – Tych w płaszczach.

– Nawet mężczyźni w płaszczach muszą się czasem odlać – odparł.

Byłam zdumiona tą wulgarnością – nie pasowała do jego uprzejmości podczas obiadu – ale może to był przykład sierocych szyderstw, niszczonech przez Reenie. Postanowiłam to zignorować.

– Rozumiem, że to nie ty podpaliłeś fabrykę – powiedziałam. To miało zabrzmieć sarkastycznie, ale nie tak zostało przyjęte.

– Nie jestem taki głupi – zachnął się. – Nie podkładałbym ognia bez powodu.

– Wszyscy myślą, że to ty.

– Ale to nie ja – stwierdził. – Chociaż niektórym ludziom byłoby bardzo wy-

godnie tak myśleć.

– Którym ludziom? Dlaczego? – Tym razem wcale nie naciskałam, byłam zdumiona.

– Pomyśl trochę – powiedział. Ale już nic nie dodał.

Strych

Wyjęłam świeczkę ze stosika w kuchni, trzymanego tam na wypadek przerw w dostawie energii, zapaliłam ją i wyprowadziłam Alexa Thomasa z piwnicy, przez kuchnię, aż na tylne schody, a potem na węższe schody wiodące na strych, gdzie zainstalowałam go za trzema pustymi kuframi. W cedrowej skrzyni były jeszcze stare kołdry, więc wyciągnęłam je, żeby przygotować mu posłanie.

– Nikt tu nie przyjdzie – powiedziałam. – Gdyby jednak, schowaj się pod kołdrami. Nie spaceruj, będzie słychać kroki. Nie włączaj światła (na strychu też była żarówka na sznurze, tak jak w piwnicy). Rano przyniesiemy ci coś do jedzenia – dodałam, nie wiedząc, jak dotrzymam tej obietnicy.

Poszłam na dół, a potem wróciłam z nocnikiem i postawiłam go bez słowa. To był szczegół, który zawsze mnie niepokoił w opowieściach Reenie o porywaczach – a naturalne potrzeby? Co innego być zamkniętym w krypcie, a co innego kucać w kącie z zadartą spódnicą.

Alex Thomas pokiwał głową.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział. – Dobry z ciebie kumpel. Mówiłem, że jesteś praktyczna.

Rankiem Laura i ja odbyłyśmy szeptaną konferencję w sypialni. Dyskutowaliśmy o zdobywaniu jedzenia i picia, potrzebie czujności i opróżnianiu nocnika. Jedna z nas – udając, że czyta – stanie na straży w moim pokoju, przy otwartych drzwiach: stamtąd można było zobaczyć drzwi do schodów na strych. Druga załatwi sprawę. Uzgodniłyśmy, że będziemy to robiły na zmianę. Największą przeszkodą pozostawała Reenie – z pewnością by coś wywachała, gdybyśmy za bardzo starały się to ukryć.

Nie opracowałyśmy żadnego planu na wypadek, gdyby nas przyłapano. Nigdy tego nie zrobiłyśmy. Wszystko było improwacją.

Pierwsze śniadanie Alexa Thomasa składało się ze skórek od naszych tostów. W zasadzie nie zjadałyśmy skórek bez strofowania – Reenie wciąż miała w zwyczaju mówić: Pamiętajcie o głodujących Ormianach – ale tym razem, kiedy spojrzała, skórek już nie było. A właściwie były, w kieszeni granatowej spódnicy Laury.

– Alex Thomas to pewnie głodujący Ormianie – wyszeptalam, gdy wbiegałyśmy na schody. Laura nie uważała tego za śmieszne. Sądziła, że tak właśnie jest.

Odwiedzałyśmy go rankami i wieczorami. Przeprowadzałyśmy ataki na spizarnię, ratowałyśmy resztki. Szmuglowałyśmy surowe marchewki, skórki od

bekonu, na wpół zjedzone jajka na twardo, złożone kawałki chleba z masłem i dżemem. Raz nawet udko kurczaka w potrawce – niezwykle wyczyn. Także szklanki wody, filiżanki mleka, zimnej kawy. Wynosiliśmy puste naczynia, upychaliśmy je pod łózkami, dopóki nie minęło niebezpieczeństwo, a potem myliśmy je w umywalce przed odstawieniem do kuchennego kredensu (ja to robiłam: Laura była zbyt niezręczna). Nie brałyśmy dobrej porcelany. A gdyby coś się stłukło? Nawet zwykły talerz mógłby zostać zauważony: Reenie miała wszystko na oku. Wobec tego niezwykle ostrożnie obchodziliśmy się z naczyniami stołowymi.

Czy Reenie nas podejrzewała? Sądzę, że tak. Zazwyczaj potrafiła się zorientować, kiedy coś knułyśmy. Orientowała się jednak także, kiedy rozsądniej nie wiedzieć, co się dokładnie dzieje. Moim zdaniem, była gotowa oświadczyć, że nie miała o niczym pojęcia, na wypadek gdyby nas przyłapano. Tylko raz nam powiedziała, żebyśmy nie podkradały rodzynków; oznajmiła, że zachowujemy się jak obzartuchy i skąd się nam nagle wzięły żołądki bez dna? Była też zła z powodu ćwiartki placka dyniowego, która zniknęła. Laura wyjaśniła, że ją zjadła, że miała nagły atak głodu.

– Razem ze skórką? – zapytała surowo Reenie. Laura nigdy nie zjadała skórki z placka Reenie. Nikt nie zjadał. Alex Thomas też nie.

– Dałam ją ptakom – odparła Laura. Nie kłamała; to właśnie zrobiła, po wszystkim.

Alex Thomas początkowo doceniał nasze wysiłki. Powiedział, że dobre z nas kumpelki i że bez nas byłby załatwiony. Potem zachciało mu się papierosów – marzył o paleniu. Przyniosłyśmy kilka ze srebrnego pudełka na fortepianie, ale kazałyśmy mu ograniczyć się do jednego dziennie – dym mógł zostać zauważony. (Zignorował ten nakaz).

Potem powiedział, że najgorsze na strychu jest to, że nie można zachować czystości. Powiedział, że cuchnie mu z ust. Ukradłyśmy starą szczoteczkę, której Reenie używała do czyszczenia sreber, i wyszorowałyśmy ją dla niego najlepiej, jak potrafiłyśmy: stwierdził, że lepsze to niż nic. Pewnego dnia przyniosłyśmy mu miednicę, ręcznik i dzbanek z ciepłą wodą. Zaczekał, aż nikogo nie będzie na zewnątrz, i wylał brudną wodę przez okno na strychu. Padało, ziemia i tak była mokra, więc nikt nie zauważył. Trochę później, kiedy wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło, sprowadziłyśmy go po schodach i zamknęłyśmy w naszej wspólnej łazience, żeby mógł się porządnie umyć. (Powiedziłyśmy Reenie, że jej pomożemy, przejmując na siebie sprzątanie tej łazienki, co skomentowała: „Cuda się zdarzają”).

Podczas kąpieli Alexa Thomasa Laura siedziała w swoim pokoju. Ja usiadłam w swoim i obie pilnowałyśmy drzwi do łazienki. Staralam się nie myśleć o tym, co się tam dzieje. Wyobrażanie go sobie bez ubrania wydawało mi się zbyt bolesne, nie byłam w stanie znieść rozmyślenia o nim.

Alex Thomas pojawił się w komentarzach redakcyjnych, nie tylko w naszej miejscowej gazecie. Pisano, że jest podpalaczem i mordercą, i to najgorszego rodzaju – takim, który zabija z powodu bezlitosnego fanatyzmu. Przybył do Port Ticonderoga, żeby przeniknąć do sił robotniczych i zasiać ziarno niezgody, co mu się udało, czego dowodzą strajk generalny i zamieszki. Był przykładem niebezpieczeństw uniwersyteckiego wykształcenia – bystry chłopak, zbyt bystry, żeby mogło mu to wyjść na dobre. Zszedł na manowce pod wpływem złego towarzystwa i jeszcze gorszych książek. Cytowano mężczyznę, który go adoptował, prezbiteriańskiego duchownego. Wyznał, że każdego wieczoru modli się za duszę Alexa, ale że należy on do pokolenia żmij. Nie pominięto tego, że duchowny uratował małego Alexa przed koszmarem wojny: Alex był płonącym drzewem wyciągniętym z pożaru, powiedział duchowny, ale sprowadzenie nieznanego do domu zawsze wiąże się z ryzykiem. Wniosek: lepiej nie ruszać takich drzew.

Oprócz tego policja wydrukowała listy gończe ze zdjęciem Alexa oraz napisem „Poszukiwany” i wywiesiła je na pocztach, a także w innych publicznych miejscach. Na szczęście zdjęcie nie było wyraźne: Alex wyciągał przed siebie rękę, która częściowo zasłaniała jego twarz. Była to fotografia z gazety, ta, którą zrobił nam trójgu Elwood Murray podczas pikniku fabryki guzików. (Naturalnie, Laurę i mnie wykadrowano). Elwood Murray zaznaczał, że mógłby wywołać lepsze zdjęcie z negatywu, ale kiedy zaczął go szukać, okazało się, że negatyw zniknął. Cóż, nie było w tym nic dziwnego: wiele rzeczy zniszczono podczas ataku na biuro gazety.

Przyniosłyśmy Alexowi wycinki z gazet i jeden z listów gończych – Laura zerwała go ze słupa telefonicznego. Przeczytał o sobie z pełnym smutku niepokojem.

– Chcą mojej głowy. – Tylko tyle powiedział.

Po kilku dniach zapytał, czy możemy mu przynieść trochę papieru do pisania. Po panu Erskinie została sterta zeszytów, przyniosłyśmy mu je, a także ołówek.

– Jak myślisz, co on pisze? – zapytała Laura. Nie mogliśmy się zdecydować. Dziennik więźnia, mowę obrończą? Może list do kogoś, kto zdoła go uratować. Nie prosił nas jednak o wysłanie czegokolwiek, więc to nie mógł być list.

Opieka nad Alexem Thomasem ponownie zbliżyła Laurę i mnie. Był naszym grzesznym sekretem, a także cnotliwym projektem – takim, który mogliśmy dzielić. Byłyśmy dwiema dobrymi małymi samarytankami, wyciągającymi z rowu człowieka, który wpadł między zbójców. Byłyśmy Marią i Martą, służącymi – cóż, nie Jezusowi, nawet Laura nie posunęłaby się tak daleko, ale było jasne, jak nas obsadziła w tych rolach. Ja miałam być Martą, wypełniającą domowe obowiązki; ona miała być Marią, składającą czyste oddanie u stóp Alexa.

(Co woli mężczyzna? Bekon i jajka czy uwielbienie? Czasem jedno, czasem drugie, w zależności od tego, jak bardzo jest głodny).

Laura wносиła po schodach na strych resztki jedzenia, jakby były ofiarami świątynnymi. Znosiła też nocnik, niczym relikwię lub drogocenną, prawie wypaloną świecę.

Nocami, po nakarmieniu i napojeniu Alexa Thomasa, rozmawialiśmy o nim – jak tego dnia wyglądał, czy nie jest za szczupły, czy kaszle – nie chcieliśmy, żeby się rozchorował. Mówiliśmy o tym, czego mógł potrzebować, co mogłybyśmy ukraść dla niego następnego dnia. Potem kładliśmy się do łóżek. Nie wiem, jak Laura, ale ja wyobrażałam go sobie na strychu, bezpośrednio nade mną. On także usiłował zasnąć, rzucał się i wił na posłaniu z pachnących stęchlizną kołder. Potem spał. Śnił długie sny o wojnie i ogniu, o niszczących wioskach, o rozrzuconych wokół gruzach.

Nie wiem, w którym momencie jego sny zmieniły się w sny o pogoni i ucieczce; nie wiem, w którym momencie dołączyłam do niego w tych snach, uciekając z nim ręką w rękę o zmroku, z dala od płonącego budynku, przez pobrużdżone grudniowe pola, ścierniska ścięte mrozem, ku ciemnej linii odległych lasów.

Tak naprawdę to nie był jego sen, tyle wiedziałam. To był mój sen. To Awilion płonął, a jego szczątki leżały rozrzucone na ziemi – dobra porcelana, misa z Sèvres z płatkami róż, srebrne pudełko z papierosami, to z fortepianu. Sam fortepian, witraż z jadalni – krwistoczerwony kielich, zniszczona harfa Izoldy – wszystko, od czego pragnęłam uciec, owszem, ale nie poprzez zniszczenie. Chciałam opuścić dom, ale zostawić go w całości, by czekał na mnie, nie zmieniony, tak bym mogła tu wrócić, kiedy zapragnę.

Pewnego dnia, gdy Laura wyszła – nie było to już niebezpieczne, zniknęli mężczyźni w płaszczach, a także konni policjanci, i na ulicach znowu zapanował porządek – postanowiłam udać się samotnie na strych. Miałam ofiarę do złożenia – kieszeń pełną rodzynek i suszonych fig, podkradzionych składników świątecznego puddingu. Przeprowadziłam rozpoznanie – Reenie była w kuchni, zajęta rozmową z panią Hillcoate – po czym podeszłam do drzwi wychodzących na schody na strych i zapukałam. Wtedy już opracowaliśmy specjalny rodzaj pukania, jeden stuk, przerwa, i trzy szybkie. Następnie weszłam na wąskie schodki na strych.

Alex Thomas kuczał przy małym okrągłym okienku, usiłując jak najlepiej wykorzystać światło dzienne. Najwyraźniej nie dosłyszał mojego pukania: był odwrócony plecami i okrywał się jedną z kołder. Wyglądał, jakby pisał. Czulałam dym – tak, palił, widziałam jego dłoń z papierosem. Nie sądziłam, że będzie to robił tuż obok kołdry.

Nie bardzo wiedziałam, jak powiadomić go o mojej obecności.

– Jestem tu – powiedziałam.

Podskoczył i upuścił papierosa. Niedopałek upadł na koldrę. Z trudem złapałam w płuca powietrze i rzuciłam się na kolana, żeby go zgasić – miałam przed oczami wizję Awilionu w płomieniach.

– Nic się nie stało – powiedział. On także klęczał, oboje szukaliśmy tłących się iskerek. Nagle zorientowałam się, że leżymy na podłodze, on mnie obejmuje i całuje w usta.

Tego nie oczekiwałam.

A może jednak? Czy zdarzyło się to nagle, czy też były wcześniej jakieś sygnały: dotyk, spojrzenie? Czy zrobiłam coś, żeby go sprowokować? Nie mogę sobie niczego przypomnieć, ale czy to, co pamiętam, jest tym samym, co się naprawdę wydarzyło?

Teraz tak: tylko ja ocalałam.

W każdym razie było tak, jak mówiła Reenie o mężczyznach w kinie, tyle że nie czułam oburzenia. Reszta jednak się zgadzała: skamieniałam, nie mogłam nawet drgnąć, nie mogłam uciec. Moje kości zamieniły się w rozpuszczony wosk. Zdołał mi rozpiąć niemal wszystkie guziki, zanim udało mi się ruszyć, wyrwać, umknąć.

Zrobiłam to bez słowa. Kiedy zbiegałam po schodach, odrzucając włosy i wkładając bluzkę w spódnicę, miałam wrażenie, że on – za moimi plecami – śmieje się ze mnie.

Nie bardzo wiedziałam, co mogłoby się stać, gdybym pozwoliła, aby coś takiego się powtórzyło, ale cokolwiek by się stało, byłoby to niebezpieczne, przynajmniej dla mnie. Prosiłabym się o to, doigrałabym się, byłabym jak wypadek, który czeka, aby się wydarzyć. Nie mogłam sobie pozwolić na kolejne sam na sam na strychu z Alexem Thomasem ani nie mogłam zwierzyć się Laurze dlatego. To by ją za bardzo zraniło: nigdy by tego nie zrozumiała. (Istniała też inna możliwość – mógł robić coś podobnego z Laurą. Nie, nie mogłam w to uwierzyć. Nigdy by na to nie pozwoliła! Czyżby?).

– Musimy mu pomóc wydostać się z miasta – powiedziałam do Laury. – Nie możemy tego ciągnąć. Na pewno zauważą.

– Jeszcze nie – odparła Laura. – Wciąż obserwują tory kolejowe.

Mogła to wiedzieć, stale pracowała w kościelnej jadłodajni.

– No to umieścimy go gdzie indziej w mieście – powiedziałam.

– Gdzie? Nie ma gdzie indziej. To najlepsze miejsce – tutaj nigdy nie przyjdą go szukać.

Alex Thomas powiedział, że nie chce zamarznąć, że zima na strychu doprowadzi go do szaleństwa, że zwariuje. Powiedział, że przejdzie parę kilometrów wzdłuż torów i wskoczy do pociągu – znajdował się tam wysoki nasyp, który to ułatwiał. Powiedział, że jeśli tylko zdoła dotrzeć do Toronto, będzie mógł się

ukryć – tam miał przyjaciół, a oni też mieli przyjaciół. Potem w taki czy inny sposób przedostanie się do Stanów, gdzie jest bezpieczniej. Z tego, co wyczytał w gazetach, władze podejrzewały, że już tam przebywa. Z pewnością nie szukano go w Port Ticonderoga.

W pierwszym tygodniu stycznia uznaliśmy, że jest wystarczająco bezpiecznie, by Alex mógł odejść. Ukradliśmy stary płaszcz ojca z kąta garderoby, zapakowałyśmy lunch – chleb, ser i jabłko – i wyprawiliśmy go w podróż. (Ojciec szukał potem tego płaszcza, a Laura powiedziała, że oddała go włóczędze, co częściowo było prawdą. Ponieważ ten czyn bardzo do niej pasował, ojciec go nie kwestionował, tylko gderał).

Nocą wypuściliśmy Alexa tylnymi drzwiami. Powiedział, że wiele nam wdzięcza i że tego nie zapomni. Obie nas uścisnął, braterskim uściskiem trwającym tyle samo. Było oczywiste, że chce nas opuścić. Pomijając fakt, że wszystko działo się nocą, dziwnie przypominało to wysyłanie go do szkoły. Potem płakałyśmy, jak matki. Odczuwałyśmy także ulgę – że odszedł, że już nie znajdował się w naszych rękach – ale i w tym przypominałyśmy matki.

Zostawił jeden z tanich zeszytów, które mu podarowałyśmy. Oczywiście, nantychmiast go otworzyłyśmy, żeby sprawdzić, czy coś w nim napisał. Na co liczyłyśmy? Na pożegnalny list z wyrazami dozgonnej wdzięczności? Miłe opinie o nas? Na coś w tym rodzaju.

Oto, co znalazłyśmy:

anychron	nakrod
berel	onyksor
karchinilowy	porfiryjny
diamit	kwarcefir
ebonort	rhint
fulgor	szafirion
gluc	tristok
horc	ulint
iridis	vorver
jocynt	wotanit
kalkil	ksenor

lazaris yorula
malachont zykron

- Szlachetne kamienie? – spytała Laura.
- Nie. To brzmi inaczej – odparłam.
- Może to obcy język?

Nie wiedziałam. Pomyślałam, że ta lista podejrzenie przypomina szyfr. Może Alex Thomas był (jednak) tym, za kogo uważali go inni ludzie: jakimś szpiegiem.

- Uważam, że powinnyśmy się tego pozbyć – stwierdziłam.
- Ja to zrobię – powiedziała szybko Laura. – Spalę to u siebie w kominku. Złożyła kartkę i wsunęła do kieszeni.

Tydzień po odejście Alexa Thomasa Laura przysłała do mojego pokoju.

- Myślę, że powinnaś to mieć – powiedziała.

To była odbitka fotografii nas trojga, tej zrobionej przez Elwooda Murraya podczas pikniku. Ale Laura odcięła siebie – została tylko jej ręka. Nie mogła jej wyciąć, nie zostawiając krzywego brzegu. Nie pokolorowała zdjęcia, oprócz swojej odciętej ręki. Ją zabarwiła na bladożółto.

- Na litość boską, Lauro! – zawołałam. – Skąd to masz?
- Zrobiłam kilka odbitek – odparła. – Kiedy pracowałam u Elwooda Murraya. Mam też negatyw.

Nie wiedziałam, czy powinnam być zła, czy zaniepokojona. To, co zrobiła ze zdjęciem, było bardzo dziwne. Na widok jasnożółtej ręki Laury, zakradającej się ku Alexowi po trawie niczym świecący krab, po kręgosłupie przeszedł mi zimny dreszcz.

- Dlaczego to zrobiłaś, na litość boską?
- Bo właśnie to chcesz zapamiętać – powiedziała.

Było to tak zuchwałe, że zaniemówiłam. Spojrzała mi prosto w oczy i u każdego innego człowieka odebrałabym to jak wyzwanie. Taka jednak była Laura: w jej głosie nie brzmiał smutek ani zazdrość. Ona po prostu stwierdzała fakt.

- W porządku – powiedziała. – Mam jeszcze jedną, dla siebie.
- Na twojej mnie nie ma?
- Nie – odparła. – Nie ma. Jest tylko twoja ręka. – Ze wszystkiego, co od niej usłyszałam, to było najbliższe wyznania miłości do Alexa Thomasa. To znaczy, z wyjątkiem dnia przed jej śmiercią. Chociaż nawet wtedy nie użyła słowa „miłość”.

Powinnam była wyrzucić to okaleczone zdjęcie, ale tego nie zrobiłam.

Wszystko wróciło do znajomej, monotonnej normy. Na mocy nie wypowiedzia-

nej umowy Laura i ja już nie rozmawialiśmy ze sobą o Aleksie Thomasie. Z drugiej strony, zbyt wiele nie można było powiedzieć. Na początku chodziłam na strych – wciąż dało się tam wyczuć słabą woń dymu papierosowego – ale po jakimś czasie przestałam, gdyż to niczemu nie służyło.

Znowu zajęliśmy się codziennym życiem, na tyle, na ile było to możliwe. Pojawiło się trochę pieniędzy, bo ojciec zdołał jednak dostać je z ubezpieczenia za spalony budynek fabryki. Nie było tego wiele, ale przynajmniej mogliśmy – jak powiedział – odetchnąć.

Cesarska Sala

Pora roku się zmieniła, ziemia oddała się od światła, pod przydrożnymi krzewami papierowe śmieci lata tworzą zasy niczym zapowiedź śniegu. Powietrze wysycha, przygotowując nas na nadchodzącą Saharę centralnie ogrzewanej zimy. Koniuszki moich kciuków już pękają, twarz jeszcze bardziej wędnie. Gdybym mogła zobaczyć w lustrze swoją skórę – gdybym mogła podejść na tyle blisko albo odejść na tyle daleko – byłaby pokrzyżowana drobnymi liniami, pomiędzy dużymi zmarszczkami, jak ozdoby rzeźbione w muszli czy kości słoniowej.

Ostatniej nocy śniłam, że moje nogi pokryły się włosami. Nie cienkimi, tylko bardzo gęstymi – kępami i kosmykami ciemnych włosów; gdy patrzyłam, dosięgały moich ud, jak zwierzęca okrywa. Śniłam, że nadchodzi zima i zapadnę w zimowy sen. Najpierw wyrośnie mi futro, potem wpełnę do jaskini, a następnie zasnę. Wydawało się to zwyczajne, jak gdybym robiła to już wcześniej. Nagle przypomniałam sobie, nawet we śnie, że nigdy nie miałam zbyt owłosionego ciała, a teraz byłam łysa jak kolano, przynajmniej na nogach; więc choć nogi najwyraźniej były częścią mojego ciała, nie mogły być moje. Poza tym nie miałam w nich czucia. To były nogi czegoś – albo kogoś – innego. Musiałam tylko spojrzeć na nogi, przesunąć po nich ręką, aby się przekonać, kto lub co to jest.

Obudził mnie niepokój, jak sądzę. Śniło mi się, że powrócił Richard. Słyszałam jego oddech obok siebie w łóżku. Jednak nikogo tam nie było.

Wtedy naprawdę się obudziłam. Moje nogi spały: leżałam skulona. Namacałam lampkę, spojrzałam na zegarek: była druga w nocy. Moje serce waliło boleśnie, jak gdybym biegła. Pomyślałam, że to prawda, co mówią. Nocny koszmar może cię zabić.

Przyspieszam, pełnę w bok niczym krab po papierze. To powolny wyścig, między mną a moim sercem, ale zamierzam pierwsza dotrzeć do mety. Gdzie ona jest? Koniec albo *Koniec*. Jedno albo drugie. Oba to swego rodzaju znaczenie.

Styczeń i luty 1935 roku. Sroga zima. Spadł śnieg, ciężko się oddychało: płonęły piece, unosił się dym, szczękały kaloryfery. Samochody zjeżdżały z dróg do rowów: ich kierowcy, tracąc nadzieję na pomoc, nie wyłączali silników i się dusili. Na parkowych ławkach i w opuszczonych magazynach znajdowano martwych włóczęgów, sztywnych jak manekiny; zupełnie jakby pozowali w witrynach, reklamując ubóstwo. Trupy, które nie mogły zostać pochowane, ponieważ w twardej jak skała ziemi nie dawało się wykopać grobów, czekały na swoją kolej

w budynkach gospodarczych zdenerwowanych przedsiębiorców pogrzebowych. Szczury miały się dobrze. Matki z dziećmi, bez pracy i nadziei na zapłacenie czynszu, wyrzucano na śnieg z całym dobytkiem. Dzieci jeździły na łyżwach po zamrzniętym stawie zasilającym młyn na Louveteau, dwoje wpadło pod lód, jedno utonęło. Rury zamarzały i pękały.

Laura i ja coraz mniej przebywałyśmy ze sobą. W ogóle rzadko ją widywaliśmy: zaangażowała się w pomoc ubogim organizowaną przez Zjednoczony Kościół – przynajmniej tak twierdziła. Reenie powiedziała, że od następnego miesiąca będzie pracowała dla nas tylko trzy razy w tygodniu; oznajmiła, że dokuczają jej nogi, i w ten sposób ukryła fakt, że nie mogliśmy jej już zatrudnić na cały etat. I tak wiedziałam, wszystko się działo tuż pod moim nosem. Także pod nosem ojca, rankami wyglądającym jak po katastrofie kolejowej. Ojciec ostatnio sporo czasu spędzał w swojej wieży.

Fabryka guzików stała pusta, jej wnętrze było spalone i zniszczone. Brakowało pieniędzy na remont: towarzystwo ubezpieczeniowe uchylało się od wypłaty, powołując się na tajemnicze okoliczności towarzyszące podpaleniu. Szep-tano, że nie wszystko wyglądało tak, jak się wydawało: niektórzy sugerowali nawet, że to ojciec podłożył ogień, oszczercze pomówienie. Pozostałe dwie fabryki wciąż były zamknięte. Ojciec łamał sobie głowę nad tym, jak je ponownie uruchomić. Coraz częściej jeździł w interesach do Toronto. Czasami zabierał mnie ze sobą, zatrzymywaliśmy się w Royal York Hotel, uważanym wtedy za najlepszy hotel w mieście. To właśnie tam niektórzy prezesi firm, lekarze i prawnicy zwykli umieszczać swoje kochanki i wyprawiać trwające tydzień imprezy, wtedy jednak o tym nie wiedziałam.

Kto płacił za te nasze wypady? Podejrzewam, że Richard, obecny przy tych okazjach. To właśnie z nim ojciec robił interesy: z ostatnim na uszczuplonym polu. Te skomplikowane interesy dotyczyły sprzedaży fabryk. Ojciec już wcześniej usiłował się ich pozbyć, ale w tamtych czasach nikt nie kupował, nie na jego warunkach. Chciał sprzedać tylko mniejszościowe udziały. Chciał zachować kontrolę. Chciał zastrzyku kapitału. Chciał ponownie otworzyć fabryki, żeby jego ludzie mieli pracę. Nazywał ich „swoimi ludźmi”, jak gdyby wciąż służyli w wojsku pod jego dowództwem. Nie chciał zapobiec dalszym stratom i ich opuścić, gdyż, jak każdy wie lub też kiedyś wiedział, kapitan schodzi ze statku ostatni. Teraz nikt by się tym nie przejmował. Teraz wszystko by spieniężyli, podreperowali finanse i wynieśli się na Florydę.

Ojciec twierdził, że potrzebuje mnie „do robienia notatek”, ale nigdy żadnych nie zrobiłam. Myślałam, że zabiera mnie, żeby mieć przy sobie kogoś – jako moralne wsparcie. Z pewnością go potrzebował. Był chudy jak trzcina, a jego ręce bezustannie drżały. Podpisanie się kosztowało go sporo wysiłku.

Laura nie jeździła na te wycieczki. Jej obecność nie była konieczna. Została w domu i jadła trzydniowy chleb i wodnistą zupę. Zaczęła skąpić sobie

posiłków, jak gdyby uważała, że nie ma prawa jeść.

– Jezus jadł – powiedziała Reenie. – Jadał wszystko. Nie żałował sobie.

– Tak – odparła Laura – ale ja nie jestem Jezusem.

– Cóż, dzięki Bogu, że przynajmniej tyle wie – burknęła do mnie Reenie. Zeskrobała pozostałe po posiłku dwie trzecie jedzenia Laury do wazy, bo marnowanie go byłoby grzechem. Przez te lata Reenie szczyliła się, że nigdy niczego nie wyrzuca.

Ojciec nie miał już szofera i nie ufał sobie na tyle, żeby samemu prowadzić. Jeździliśmy do Toronto pociągiem, wysiadaliśmy na Union Station i szliśmy przez ulicę do hotelu. Popołudniami, gdy załatwiano interesy, miałam się zajmować sobą. Zazwyczaj przesiadywałam w pokoju hotelowym, bo bałam się miasta i wstydziłam niemodnych ubrań, przez które wyglądałam jak o wiele młodsza osoba. Czytałam czasopisma: „Ladies’ Home Journal”, „Collier’s”, „Mayfair”. Przede wszystkim opowiadania o miłości. Nie interesowały mnie zapiekanki ani wzory do szydełkowania, chociaż kącik kosmetyczny przyciągał moją uwagę. Czytywałam także ogłoszenia. Podszyte lateksem elastyczne ubranie pozwoli mi lepiej grać w brydża. Mogę kopcić jak piec, ale nikt nie zwróci na to uwagi, bo moje usta będą świeże niczym kwiat, jeśli użyję spuds. Coś o nazwie larvex położy kres moim zmartwieniom. W gospodzie Bigwin nad pięknym jeziorem Bays, gdzie każda chwila jest pełna radości, mogłam się oddawać odchudzającym ćwiczeniom przy muzyce na plaży.

Kiedy interesy zostały załatwione, wszyscy troje – ojciec, Richard i ja – szliśmy na kolację do restauracji. Przy takich okazjach wcale się nie odzywałam, bo niby co miałam mówić? Rozmawiano o ekonomii i polityce, o kryzysie, sytuacji w Europie, o niepokojącej ekspansji światowego komunizmu. Richard był zdania, że z finansowego punktu widzenia Hitler z pewnością wydobyl Niemcy z kryzysu. Mniej podobał mu się Mussolini, amator i dyletant. Do Richarda zwrócono się – w wielkiej tajemnicy – z prośbą o zainwestowanie w nową tkaninę z ogrzewanego białka mlecznego, nad którą pracowali Włosi. Stwierdził jednak, że materiał, kiedy zmókł, straszliwie śmierdział serem i dlatego panie z Ameryki Północnej nigdy by go nie zaakceptowały. Postanowił pozostać przy sztucznym jedwabiu, chociaż ten się strasznie marszczył, gdy wilgotniał. Zamierzał też mieć oczy i uszy szeroko otwarte i wyłowić coś obiecującego. Z pewnością powstanie coś nowego, jakieś sztuczne tworzywo, które zastąpi jedwab, a także w dużym stopniu bawełnę. Panie potrzebowały czegoś, czego nie trzeba prasować – co można powiesić na sznurze i gdy wyschnie, nie będzie pogniecione.

Chciały także pończoch, które nie dość, że trwałe, będą przezroczyście, żeby panie mogły popisywać się swoimi nogami. Czy to prawda? – spytał mnie z uśmiechem. Miał zwyczaj zwracania się do mnie w sprawach dotyczących

pań.

Pokiwałam głową. Zawsze kiwałam głową. Nigdy nie słuchałam zbyt uważnie, nie tylko dlatego, że te rozmowy mnie nudziły, ale dlatego, że mnie raniły. Bolało mnie, gdy mój ojciec zgadzał się z poglądami, których – moim zdaniem – nie podzielał.

Richard powiedział, że zaprosiłby nas na kolację do siebie do domu, ale ponieważ jest kawalerem, przyjęcie mogłoby okazać się byle jakie. Dodał, że zajmuje ponure mieszkanie, że żyje właściwie jak mnich.

– Cóż to za życie bez żony? – stwierdził z uśmiechem. Zabrzmiało to jak cytata. Pewnie nim było.

Richard oświadczył mi się w Cesarskiej Sali w Royal York Hotel. Zaprosił mnie i ojca na lunch, jednak w ostatniej chwili, gdy szliśmy przez hotelowy korytarz do windy, ojciec powiedział, że nie może nam towarzyszyć. Stwierdził, że będą musiała pójść tam sama.

Oczywiście, wspólnie to ukartowali.

– Richard cię o coś poprosi – odezwał się do mnie. Jego głos brzmiał tak, jakby ojciec przepraszał.

– Tak? – odparłam. Pewnie o coś związanego z prasowaniem, ale było mi wszystko jedno. Uważałam Richarda za dojrzałego mężczyznę. Miał trzydzieści pięć lat, ja osiemnaście. Zupełnie mnie nie interesował.

– Myślę, że może cię poprosić, abys za niego wyszła – powiedział ojciec.

Byliśmy już wtedy w recepcji. Usiadłam.

– Och – westchnęłam. Nagle zobaczyłam to, co już od pewnego czasu powinno być oczywiste. Chciałam się roześmiać, jak ze sztuczki. Czułam też, że mój żołądek gdzieś zniknął. Mimo to mówiłam opanowanym głosem. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Ja się już zgodziłem – powiedział ojciec. – Teraz twoja kolej. – Po czym dodał – Od tego zależą pewne sprawy.

– Pewne sprawy?

– Musiałem pomyśleć o waszej przyszłości. Na wypadek, gdyby coś mi się stało. Zwłaszcza o przyszłości Laury. – Chciał przez to powiedzieć, że dopóki nie wyjdę za Richarda, nie będziemy mieli pieniędzy. Chciał także powiedzieć, że my obie – ja, a przede wszystkim Laura – nigdy nie zdołamy sobie poradzić. – Muszę mieć też na uwadze fabryki – dodał. – Muszę mieć na uwadze interes. Wciąż da się go uratować, ale ścigają mnie bankierzy. Depczą mi po piętach. Nie zechcą czekać zbyt długo. – Opierał się na swojej lasce, wpatrując się w dywan, i widziałam, jak mu wstyd. Jaki jest przybity. – Nie chcę, żeby to wszystko poszło na marne. Twój dziadek, potem... pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat ciężkiej pracy, wszystko na nic.

– Aha. Rozumiem. – Byłam osaczona. Wyglądało na to, że nie mam alter-

natywy.

– Zabiorą też Awilion. Sprzedadzą go.

– Naprawdę?

– Jest bardzo zadłużony.

– Och.

– Przydałoby się trochę zdecydowania. Trochę odwagi. Mężnie stawić czoło i tak dalej.

Nic nie powiedziałam.

– Oczywiście, niezależnie od wszystkiego, to twoja decyzja – dodał.

Nic nie powiedziałam.

– Nie chciałbym, żebyś zrobiła coś, czego nie mogłabyś zaakceptować – rzucił, patrząc zdrowym okiem ponad moją głowę i marszcząc lekko czoło, jak gdyby nagle pojawił się tam przedmiot wielkiej wagi. Za mną znajdowała się tylko ściana.

Nic nie powiedziałam.

– Dobrze. To wszystko. – Najwyraźniej mu ulżyło. – Ten Griffen ma sporo zdrowego rozsądku. Myślę, że w gruncie rzeczy jest rozsądny.

– Pewnie tak – odezwałam się. – Z pewnością jest bardzo rozsądny.

– Znajdziesz się w dobrych rękach. Oczywiście Laura także.

– Oczywiście – powtórzyłam słabo. – Laura także.

– No to głowa do góry.

Czy go winię? Nie. Już nie. Patrząc na to z perspektywy, widzę wyraźnie, że robił tylko to, co uznano by – co uznano wtedy – za odpowiedzialne. Robił to najlepiej, jak potrafił.

Richard dołączył do nas jak na wezwanie i obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Ujął także moją dłoń, uścisnął ją przelotnie. Potem łokieć. Tak właśnie mężczyźni sterowali dziewczętami w tamtych czasach – za łokieć. Następnie poprowadził mnie do Cesarskiej Sali. Podobno chciał, abyśmy poszli do kawiarni Weneckiej, w której panowała mniej poważna i radośniejsza atmosfera, ale, niestety, wszystkie stoliki zarezerwowano.

Dziwne, że teraz to pamiętam, ale wtedy Royal Park Hotel był najwyższym hotelem w Toronto, a Cesarska Sala największą restauracją. Richard lubił duże rzeczy. W pomieszczeniu znajdowały się rzędy wielkich czworobocznych kolumn, mozaikowy sufit, szereg żyrandoli, każdy ozdobiony frędzlem u dołu: okrzeple bogactwo. Wszystko wydawało się twarde, ciężkie, opasłe – jakby pożyłkowane. Przychodzi mi do głowy słowo „porfir”, choć może wcale go tam nie było.

Było południe, jeden z tych niepokojących zimowych dni, jaśniejszych niż należy. Białe słońce padało z ukosa przez prześwity w ciężkich, chyba bordowych, a na pewno aksamitnych zasłonach. Pod typowym zapachem hotelowej

jadalni, zapachem gotowanych warzyw i letniej ryby, czuć było woń rozgrzanego metalu i tłącej się tkaniny. Zarezerwowany przez Richarda stolik stał pogrzążony w półmroku w kącie sali, z dala od rażącego światła. W smukłym wazonie tkwił pęk czerwonej róży; popatrzyłam na Richarda, ciekawa, jak to załatwi. Czy weźmie mnie za rękę, uściśnie ją, zawaha się, zająknie? Wątpiłam.

Nie chodziło o to, że go jakoś szczególnie lubiłam bądź nie lubiłam. Nie miałam na jego temat wyrobionej opinii, bo rzadko o nim myślałam, chociaż – od czasu do czasu – dostrzegałam jakość jego ubrań. Czasem bywał napuszony, ale przynajmniej nie dałoby się go nazwać brzydkim, o nie. Przypuszczałam, że jest znakomitą partią. Trochę kręciło mi się w głowie. Wciąż nie wiedziałam, co zrobić.

Przyszedł kelner. Richard złożył zamówienie. Potem popatrzył na zegarek. Po chwili zaczął mówić. Niewiele słyszałam. Uśmiechnął się. Wyjął małe, pokryte czarnym aksamitem pudełeczko, otworzył je. W środku znajdował się lśniący okruch światła.

Spędziłam tę noc skulona i drżąca w przepastnym hotelowym łóżu. Miałam lodowate stopy, podciągnęłam kolana, a głowę położyłam na poduszce; arktyczne pustkowie wykrochmalonego białego prześcieradła wydawało się bezkresne. Nigdy nie zdołałabym przez nie przebrnąć, odnaleźć drogi, wrócić tam, gdzie jest ciepło: wiedziałam, że to bezcelowe; wiedziałam, że się zgubiłam. Odkryje mnie tu po latach jakaś nieustraszona drużyna – zeszywniała, z wyciągniętą ręką, jak gdybym chwytala się brzytwy, z zaszuszoną twarzą i palcami poobgryzanymi przez wilki.

Ogarnął mnie strach, ale nie przed Richardem. Czułam się tak, jakby oderwano oświetloną kopułę Royal York Hotel i jakby patrzyła na mnie złowroga istota, usytuowana gdzieś ponad czarną, usianą gwiazdami, pustą powierzchnią nieba. To był Bóg, przyglądał mi się obojętnym, ironicznym reflektorem swojego oka. Obserwował mnie, obserwował moją sytuację, obserwował moją klęskę wiary w Niego. W pokoju nie było podłogi: tkwiłam zawieszona w powietrzu, gotowa runąć na ziemię. Moje spadanie nie będzie miało końca – wciąż w dół.

Gdy jest się młodym, takie ponure uczucia nieczęsto jednak trwają w jasnym świetle poranka.

Arkadyjski Dwór

Za oknem, na pogrążonym w mroku podwórzu, pada śnieg. Ten dźwięk, jakby ktoś całował szybę. Śnieg się rozpuści, bo jest dopiero listopad, ale to i tak przedsmak zimy. Nie wiem, dlaczego mnie to fascynuje. Wiem, co nadchodzi: plucha, ciemność, grypa, brudny śnieg, wiatr, plamy od soli na butach. Ale wciąż pozostaje oczekiwanie: człowiek napina się przed walką. Zima to coś, na co można wyjść, z czym można się zmierzyć twarzą w twarz, a potem pokrzyżować mu plany, wracając do domu. Wciąż żałuję, że nie mam tu kominka.

W domu, w którym mieszkałam z Richardem, był kominek. Cztery kominki, o ile dobrze pamiętam, jeden w naszej sypialni. Płomienie liżące skórę.

Odwijam rękawy swetra, naciągam mankiety na dłonie, jak te bezpalczaste rękawiczki, które niegdyś nosili sprzedawcy i ludzie podobnych zawodów podczas pracy w chłodzie. Dotąd jesień była ciepła, ale nie mogę pozwolić sobie na nieostrożność. Powinnam wezwać kogoś do pieca. Wyciągnąć flanelową koszulę nocną. Przygotować fasolę w puszkach, świece, zapałki. Burza śniegowa, taka jak w zeszłym roku, może sparaliżować wszystko, i wtedy zostaje się bez elektryczności, sprawnej toalety i wody do picia, z wyjątkiem tego, co można rozpuścić.

W ogrodzie nie ma nic oprócz opadłych liści, kruchych łodyg i kilku najbardziej odpornych chryzantem. Słońce traci zapach; teraz wcześniej robi się ciemno. Piszę w domu, przy kuchennym stole. Brakuje mi szumu spadającej wody. Czasami słychać wiatr, hulający między bezlistnymi gałęziami, co brzmi bardzo podobnie, choć jest mniej godne zaufania.

Tydzień po zaręczynach wysłano mnie na lunch z siostrą Richarda, Winifred Griffen Prior. Zaproszenie wyszło od niej, ale czułam, że to Richard nalegał na spotkanie. Mogę się mylić, bo Winifred pociągała za wiele sznurków i przy tej okazji mogła również pociągnąć za sznurek Richarda. Najprawdopodobniej więc oboje to przygotowali.

Lunch miał się odbyć w Arkadyjskim Dworze. Tam właśnie jadały panie, na górze domu towarowego Simpsona, na Queen Street – w tym dużym, przestronnym miejscu, określanym jako „bizantyjskie” w wystroju (co oznaczało, że znajdowały się tam łuki i palmy w doniczkach), utrzymanym w kolorach lilii i srebra, o opływowych lampach i krzesłach. Nad restauracją biegł balkon o poręczach z kutego żelaza; był przeznaczony tylko dla mężczyzn, dla biznesmenów. Mogli tam przesiadywać i patrzeć na panie, wystrojone i świergoczące jak w ptaszarni.

Włożyłam swój najlepszy wyjściowy strój, jedyny, który miałam na takie okazje: granatowy kostium ze spódnicą w kratę, białą bluzkę z kokardą przy szyi i granatowy kapelusz z płaskim rondem. Przez to ubranie wyglądałam jak uczennica albo agitatorka z Armii Zbawienia. O butach nie wspomnę: nawet teraz ogarnia mnie zniechęcenie na myśl o nich. Trzymałam swój nieskazitelny pierścionek zaręczynowy w pięści obleczony w bawełnianą rękawiczkę, świadoma, że noszony do mojego stroju będzie wyglądał jak kryształ górski albo jak coś ukradzionego.

Maitre spojrział na mnie tak, jak gdyby był pewien, że znalazłam się w niewłaściwym miejscu albo weszłam przez niewłaściwe drzwi – szukałam pracy? Rzeczywiście wyglądałam biednie i zbyt młodo na damski lunch. Wtedy jednak podałam nazwisko Winifred i wszystko było w porządku, bo Winifred właściwie mieszkała w Arkadyjskim Dworze. („Właściwie mieszkać” – to był jej zwrot).

Przynajmniej nie musiałam czekać i popijać samotnie lodowatej wody, z tymi wszystkimi dobrze ubranymi kobietami gapiącymi się na mnie i zastanawiającymi się, jak się tu dostałam, bo Winifred już siedziała przy jednym z jasnych stolików. Była wyższa, niż zapamiętałam – smukłej szata czy też wiotka, można by powiedzieć, choć zapewne zawdzięczała to wyszczuplającemu pasowi. Miała na sobie zielony strój – nie pastelowozielony, ale jaskrawozielony, niemal rażący. (Kiedy dwie dekady później weszła w modę chlorofilowa guma do żucia, też miała taki kolor). Włożyła do kompletu zielone buty z aligatora. Były lśniące, skórzane, jakby mokre, niczym liście wodnych lili; pomyślałam, że nigdy nie widziałam takich przepięknych, niezwyklej butów. Jej kapelusz miał ten sam odcień – okrągły zwój zielonej tkaniny, balansujący na jej głowie jak jakiś trujący tort.

W tej chwili robiła coś, czego, jak mnie uczono, nie wolno robić, bo to tandetne – publicznie przeglądała się w lusterku puderniczki. Co gorsza, pudrowała nos. Kiedy wahałam się, nie chcąc, aby zorientowała się, że przyłapałam ją na tak wulgarnej czynności, zamknęła puderniczkę i wsunęła ją do lśniacej, zielonej torebki z aligatora, jakby nic się nie stało. Potem wyciągnęła szyję, powoli odwróciła upudrowaną twarz i omiotła salę bezbarwnym spojrzeniem, niczym reflektorem. Wtedy mnie dostrzegła, uśmiechnęła się i bez pośpiechu wyciągnęła rękę na powitanie. Miała srebrną bransoletkę, której natychmiast zapragnęłam.

– Mówi mi Freddie – powiedziała, kiedy usiadłyśmy. – Wszystkie moje kumpelki tak mówią, a chcę, żebyśmy zostały świetnymi kumpelkami. – Wtedy modne kobiety w rodzaju Winifred posługiwały się zdrobnieniami, które brzmiały jak imiona młodszych osób: Billie, Bobbie, Willie, Charlie. Nie miałam takiego przydomka, więc nie mogłam się jej zrewanżować.

– O, czy to ten pierścionek? – zapytała. – Piękny, prawda? Pomogłam Richardowi go wybrać – lubi, kiedy wyreżam go w zakupach. Przyprawiają mężczyzn o ból głowy, prawda? Myślał o szmaragdzie, ale nie ma jak brylant,

co?

Mówiąc to, wpatrywała się we mnie z zainteresowaniem i pewnym chłodnym rozbawieniem, żeby zobaczyć, jak przyjmę porównanie mojego zaręczynowego pierścionka do drobnego zakupu. Miała inteligentne i dziwnie wielkie oczy, z zielonym cieniem na powiekach. Pomalowane ołówkiem brwi, wyskubane w gładkie, wygięte luki, nadawały jej twarzy wyraz zdumienia i jednocześnie pełnego niedowierzania zdumienia, kultywowanego przez gwiazdy filmowe tamtej epoki, choć wątpię, czy Winifred była kiedykolwiek szczególnie zdumiona. Jej szminka miała odcień ciemnoróżowego oranżu, koloru, który dopiero się pojawił – nazwano go krewetkowym, jak wyczytałam w popołudniowych czasopismach. Jej usta były tak samo filmowe jak brwi, dwie połówki górnej wargi pomalowane w luki Kupidyna. Miała głos nazywany wtedy sznaps barytonem – niski, wręcz głęboki, o szorstkim, drapiącym brzmieniu, jak koci język – niczym aksamit zrobiony ze skóry.

(Później odkryłam, że grywała w karty. W brydża, nie w pokera – dobrze by sobie radziła w pokera, w blefowaniu, ale to było zbyt ryzykowne, za bardzo przypominało hazard; lubiła stawiać na pewnego konia. Grywała też w golfa, chociaż przede wszystkim dla kontaktów towarzyskich: nie była w tym tak dobra, jak udawała. Tenisa ją męczył; nie chciała, żeby ją przyłapano na poceniu się. „Żeglowała”, co oznaczało dla niej siedzenie na poduszcze na łodzi, w kapełuszu i z drinkiem).

Winifred zapytała mnie, na co mam ochotę. Odparłam, że na cokolwiek. Zwracała się do mnie „moja droga” i powiedziała, że sałatka Waldorf jest cudowna. Zgodziłam się.

Nie miałam pojęcia, jak kiedykolwiek zdobędę się na to, by nazywać ją Freddie: wydawało się to zbyt familiarne, wręcz lekceważące. W końcu była dorosła – skończyła trzydzieści, a przynajmniej dwadzieścia dziewięć lat. Choć była o sześć czy siedem lat młodsza od Richarda, był jej dobrym kompanem: „Richard i ja jesteśmy świetnymi kompanami”, powiedziała do mnie poufnie, po raz pierwszy, ale nie ostatni. Była to groźba, oczywiście, jak większość tego, co mi mówiła tym lekkim i poufnym tonem. Oznaczało to nie tylko, że miała do niego większe prawo niż ja i łączyła ich lojalność, której nie potrafiłabym zrozumieć, ale także, że jeśli kiedykolwiek zdrę z Richardem, będę miała do czynienia z nimi obojgiem.

Powiedziała mi, że aranżuje wszystko dla Richarda – spotkania towarzyskie, koktajle, kolacje i tak dalej – gdyż on jest kawalerem i, jak stwierdziła (i wciąż powtarzała, rok po roku): „My, dziewczyny, zajmujemy się wszystkim od tej strony”. Potem powiedziała, że jest po prostu uszczęśliwiona, że Richard postanowił w końcu się ożenić, i to z taką miłą, młodą dziewczyną jak ja. Wcześniej było parę bliskich związków – jakieś poprzednie uwikłania. (Tak właśnie zawsze mówiła Winifred o kobietach powiązanych z Richardem: uwikłania, jak

gdyby to były pajęczyny, sieci czy sidła, czy może lepkie sznurki pozostawione na ziemi, w które można przez przypadek wdepnąć).

Na szczęście Richard zdołał się wyswobodzić z tych uwikłań, choć kobiety nadal za nim latały. Latały za nim stadami, powiedziała Winifred, obniżając sznaps baryton, a mnie przed oczami stanął Richard w podartym ubraniu, z potarganymi włosami, zazwyczaj tak starannie uczesanymi, uciekający w panice przed stadem goniących go kobiet. Nie mogłam wyobrazić sobie, jak Richard biegnie, spieszy się czy choćby martwi. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić w niebezpieczeństwie.

Pokiwałam głową i uśmiechnęłam się do niej, niepewna, gdzie umieścić samą siebie. Czy byłam jedną z lepkich uwikływaczek? Być może. Miałam jednak zrozumieć, że Richard przedstawia sobą wielką wartość i lepiej, żebym uważała na język i maniery, jeśli mam na niego zasłużyć.

– Z pewnością dasz sobie radę – powiedziała Winifred i uśmiechnęła się lekko. – Jesteś taka młoda.

Jeśli już, to ta moja młodość powinna mi raczej utrudniać dawanie sobie rady, i na to właśnie liczyła Winifred. Wcale nie zamierzała rezygnować z rządzenia.

Pojawiła się nasza sałatka Waldorf. Winifred obserwowała, jak podnoszę nóż i widelec – przynajmniej nie je rękami, mówił jej wyraz twarzy – i lekko westchnęła. Teraz rozumiem, że cierpiała katusze. Bez wątplenia uważała mnie za ponurą i niedostępną: nie umiałam prowadzić towarzyskiej rozmowy, byłam ignorantką, prowincjuszka. A może było to westchnienie przewidywania – przewidywanej pracy, bo byłam niekształtną bryłą gliny i teraz Winifred musiała podwinąć rękawy i zabrać się do rzeźbienia.

Najlepiej od zaraz. Natychmiast przystąpiła do dzieła. Posługiwała się aluzjami, sugestiami. (Miała też inną metodę – walenia pałą – ale nie użyła jej podczas tego lunchu). Dodała, że znała moją babkę, a przynajmniej o niej słyszała. Powiedziała, że kobiety z rodu Montfortów z Montrealu zawsze podziwiano za styl, ale oczywiście Adelia Montfort zmarła przed moimi narodzinami. W ten sposób chciała dać mi do zrozumienia, że niezależnie od rodowodu, tak naprawdę zaczynamy od zera.

Powiedziała, że moje ubranie jest najmniej istotne. Naturalnie, ubrania zawsze można kupić, ale muszę się nauczyć odpowiednio je nosić. „Jak gdyby były twoją drugą skórą, moja droga”. Moje włosy też się nie nadawały – długie, proste, zaczesane do tyłu i spięte spinką. Pod nożyczki i do ondulacji. Pozostawała kwestia paznokci. Nic zbyt zuchwałego, uwaga: byłam zbyt młoda na zuchwałosc.

– Mogłabyś być czarująca – powiedziała Winifred. – Bez wątplenia. Przy odrobinie wysiłku.

Słuchałam pokornie, niechętnie. Wiedziałam, że brak mi wdzięku. Brakowało

go również Laurze. Byłyśmy zbyt skryte na wdzięk albo zbyt tępe. Nigdy się go nie nauczyłyśmy, bo Reenie nas rozpieściła. Uważała, że to, kim jesteśmy, musi wszystkim wystarczyć. Nie powinnyśmy wysilać się dla innych ludzi, wdzięczyć się do nich za pomocą pochlebstw i trzepotania rzesami. Myślę, że pod pewnymi względami ojciec uważał wdzięk za przydatny, ale nie zaszczyił go w nas. Chciał, żebyśmy raczej przypominały chłopców, i teraz tak było. Nie mówi się chłopcom, że mają być pełni wdzięku. Przez to ludzie mogliby ich wziąć za krętaczy.

Z zagadkowym uśmiechem na ustach Winifred patrzyła, jak jem. Już teraz stawałam się serią przymiotników w jej głowie – serią zabawnych anegdot, które opowie ze szczegółami swoim kumpelkom, tym wszystkim Billie, Bobbie i Charlie. „Ubrana jak z przytułku. Jadła, jakby jej w ogóle nie karmili. A te buty!”

– Cóż – powiedziała, kiedy już pogrzebała w sałatce. Winifred nigdy nie kończyła posiłków. – Teraz musimy wspólnie zacząć łamać sobie głowy.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Znowu lekko westchnęła.

– Zaplanować ślub – wyjaśniła. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Myślałam o kościele Świętego Szymona Apostoła, a potem o sali balowej w Royal York na przyjęcie.

Chyba uznałam, że po prostu zostanie przekazana Richardowi jak przesyłka, ale nie, musiały się odbyć pewne ceremonie – więcej niż jedna. Koktajle, podwieczorki, wieczór panieński, zdjęcia portretowe do gazet. Miało to przypominać wesele mojej własnej matki, z historii opowiadanych przez Reenie, ale jakby w innej kolejności i bez kilku elementów. Gdzie romantyczne preludium z młodzieńcem kłęczącym u moich stóp? Poczułam falę niepokoju, wędrującą od kolan aż do twarzy. Winifred to zauważyła, ale nie zrobiła nic, żeby rozwiązać moje wątpliwości. Nie chciała, żeby się rozwiały.

– Nie przejmuj się, moja droga – powiedziała tonem, który sugerował, że raczej nie ma już nadziei. Poklepała mnie po ręce. – Zajmę się tobą.

Czułam, jak wycieka ze mnie wola – resztki władzy nad moimi czynami. (Coś podobnego, myślę teraz. Naprawdę była kimś w rodzaju burdelmamy. Naprawdę była alfonsem).

– Mój Boże, patrz, która godzina – powiedziała. Miała srebrny zegarek o miękkich kształtach, jak wstęga ciekłego metalu; zamiast cyfr widniały na nim kropki. – Muszę uciekać. Przyniosą ci herbatę i tartę albo coś, na co będziesz miała ochotę. Wy, dziewczęta, lubicie położyć coś na ząb. A może na zęby? – roześmiała się, wstała i złożyła krewetkowy pocałunek na moim czole, nie na policzku. To miało uświadomić mi, gdzie jest moje miejsce, które – co wydawało się oczywiste – było miejscem dziecka.

Patrzyłam, jak szła przez drgającą pastelową przestrzeń Arkadyjskiego Dworu, wręcz sunąc, lekko kiwając głową i rozdając wokół nieznaczące, wywa-

zone machnięcia ręki. Powietrze rozstępowało się przed nią niczym długa trawa: jej nogi wyglądały, jakby wyrastały nie z bioder, lecz wprost z talii; nic się nie trzęsło. Czułam, że moje ciało nadyma się po obu stronach paska i nad pończochami. Pragnęłam naśladować ten sposób chodzenia, tak płynny, bezcielesny i pewny siebie.

W dniu ślubu nie zabierano mnie z Awilionu, ale z drewnianego, zbudowanego w pseudotudorowskim stylu domu Winifred w Rosedale. Uważano, że tak będzie wygodniej, bo większość gości przyjedzie z Toronto. Miało to być także mniej żenujące dla ojca, którego nie stać już było na takie wesele, jakie Winifred uważała za stosowne urządzać.

Nie stać go było nawet na ubrania: Winifred się tym zajęła. W moim bagażu – w jednym z kilku nowych kufrów – leżała tenisowa spódniczka, chociaż nie grałam w tenisa, kostium kąpielowy, chociaż nie potrafiłam pływać, i kilka sukienek do tańca, chociaż nie umiałam tańczyć. Gdzie miałam się tego wszystkiego nauczyć? Nie w Awilionie, nawet nie pływania, bo Reenie nam nie pozwalała. Winifred uparła się jednak na te stroje. Powiedziała, że muszę się stosownie ubierać, niezależnie od braku umiejętności, do czego w ogóle nie powinienam się przyznawać.

– Mów, że boli cię głowa – poradziła. – To zawsze dobra wymówka.

Powiedziała mi także wiele innych rzeczy.

– Możesz okazywać znudzenie – mówiła. – Ale nigdy strach. Wyczują go w tobie jak rekiny i zbiegną się, żeby zabić. Możesz patrzeć na róg stołu – opuszcza się powieki – ale nigdy nie patrz na podłogę, bo przez to twoja szyja wygląda słabo. Nie prostuj się, nie jesteś żołnierzem. Nigdy się nie kul. Jeśli ktoś rzuci uwagę, która cię obraża, powiedz: „Słucham?“, jak gdybyś nie dosłyszała; w dziewięciu przypadkach na dziesięć nie starcza im odwagi, żeby ją powtórzyć. Nigdy nie mów głośno do kelnera, to wulgarnie. Niech się schyli, od tego jest. Nie baw się rękawiczkami ani włosami. Zawsze wyglądam tak, jakbyś miała coś lepszego do roboty, ale nie okazuj zniecierpliwienia. Kiedy masz wątpliwości, idź przypudrować nos, ale powoli. Gracja bierze się z obojętności. To były jej kazania. Muszę przyznać, mimo nienawiści do niej, że okazały się dość przydatne w moim życiu.

Noc przed ślubem spędziłam w jednej z najlepszych sypialni Winifred.

– Zrób z siebie piękność – powiedziała wesoło Winifred, sugerując, że nią nie jestem. Dała mi jakiś krem do rąk i parę bawełnianych rękawiczek – powinienam nałożyć krem, a potem rękawiczki. Dzięki tej kuracji moje dłonie miały się stać białe i miękkie – o fakturze tłuszczu z surowego bekonu. Stałam w przylegającej do sypialni łazienki, nasłuchując brzęczenia wody uderzającej o porcelanę wanny i przyglądając się swojej twarzy. Wydawałam się sobie roz-

mazana, bez żadnych rysów, jak resztką zużytego mydła czy malejący księżyc.

Laura przyszła ze swojej sypialni przez drzwi łączące oba pomieszczenia i usiadła na klapie sedesu. Nigdy nie zadawała sobie trudu, żeby zapukać. Włożyła prostą, białą koszulę z bawełny, niegdyś moją, zaczesła do tyłu włosy: pszeniczny zwój zwiślał z jednego ramienia. Była boso.

– Gdzie twoje kaptcie? – zapytałam. Miała smętny wyraz twarzy. Przez to i przez białą koszulę oraz bose stopy wyglądała jak skruszona grzesznica – jak heretyczka na starym obrazie, w drodze na egzekucję. Ścisła przed sobą ręce, a jej palce tworzyły O z pustej przestrzeni, jak gdyby trzymała zapaloną świecę.

– Zapomniałam. – W ubraniu, ze względu na wzrost, wydawała się starsza niż w rzeczywistości, ale teraz wyglądała młodziej, na jakieś dwanaście lat, pachniała jak dziecko. To ze względu na szampon – myła włosy szamponem dla dzieci, bo był tańszy. Robiła małe, daremne oszczędności. Rozejrzała się po łazience, po czym utkwiała spojrzenie w terakocie na podłodze. – Nie chcę, żebyś wychodziła za mąż.

– Dałaś to już do zrozumienia – powiedziałam. Była ponura podczas wszystkich przygotowań – przyjęć, przymiarek, prób – zdawkowo uprzejma dla Richarda, obojętnie posłuszna Winifred, jak służąca na okresie próbnym. Mnie okazywała złość, jakby ten ślub był w najlepszym wypadku złośliwym kaprysem, w najgorszym zaś odrzuceniem jej samej. Na początku myślałam, że może być o mnie zazdrosna, ale właściwie nie chodziło o to. – Dlaczego nie powinienam wychodzić za mąż?

– Jesteś za młoda – stwierdziła.

– Mama miała osiemnaście lat. Ja mam już prawie dziewiętnaście.

– Ale wychodziła za kogoś, kogo kochała. Chciała tego.

– Skąd wiesz, że ja nie chcę? – zapytałam, doprowadzona do rozpacz.

To ją na chwilę ostudziło.

– Nie możesz chcieć. – Popatrzyła na mnie. Jej oczy były wilgotne i zaczerwienione; płakała. To mnie zirytowało: jakie miała prawo płakać? Jeśli w ogóle ktoś je miał, to ja.

– Nie chodzi o to, czego ja chcę – powiedziałam szorstko. – To jedyne rozsądne wyjście. Nie mamy pieniędzy, nie zauważyłaś? Chcesz, żebyśmy trafili na ulicę?

– Możemy znaleźć pracę – odparła. Moja woda toaletowa stała na parapacie okiennym za nią; spryskała się nią w roztargnieniu. To była Liu Guerlaina, prezent od Richarda. (Wybrany – jak sama to podkreśliła – przez Winifred. „Mężczyźni zupełnie się gubią w perfumeriach, prawda? Zapachy uderzają im do głowy”).

– Nie bądź głupia – stwierdziłam. – Co miałybyśmy robić? Słucz to, a obezwiesz.

– Mogłybyśmy robić wiele rzeczy – odrzekła wymijająco i odstawiła wodę na swoje miejsce. – Mogłybyśmy zostać kelnerkami.

– Nie wyżyłybyśmy z tego. Kelnerki zarabiają tyle co nic. Muszą się przymilać, żeby dostać napiwki. Mają płaskie stopy. Nie masz pojęcia, ile wszystko kosztuje – powiedziałam. To przypominało tłumaczenie zasad arytmetyki ptakowi. – Fabryki są zamknięte. Awilion rozpada się na kawałki, chcą go sprzedać; bank na nas poluje. Przyjrzałaś się ojcu? Widziałaś go? Wygląda jak starzec.

– Czyli to dla niego – stwierdziła. – To, co robisz. To chyba coś tłumaczy. To chyba odważne.

– Robię, co uważam za słuszne – odparłam. Czułam się taka szlachetna, a jednocześnie taka wrobiona, że prawie zaczęłam płakać.

– To niesprawiedliwe – oznajmiła. – To wcale nie jest sprawiedliwe. Możesz przerwać, nie jest za późno. Mogłabyś dzisiaj uciec i zostawić wiadomość. Pójdę z tobą.

– Laura, przestań mnie męczyć. Jestem wystarczająco dorosła, żeby wiedzieć, co robię.

– Ale będziesz musiała pozwolić mu się dotykać, wiesz. Nie tylko całować. Będziesz musiała mu pozwolić...

– Nie martw się o mnie – przerwałam. – Zostaw mnie w spokoju. Mam oczy szeroko otwarte.

– Jak lunaticzka – powiedziała. Podniosła pojemnik z talkiem, otworzyła go, powąchała i przy okazji sporo wysypała na podłogę. – Przynajmniej będziesz miała ładne ubrania.

Mogłam ją uderzyć. To była, oczywiście, moja sekretna pociecha.

Gdy już poszła, zostawiając białe ślady z talku, usiadłam na krawędzi łóżka, wpatrując się w swój kufer podróżny. Był bardzo modny, jasnożółty z zewnątrz i granatowy wewnątrz, obity stalowymi listwami. Ćwieki lśniły jak twarde metaliczne gwiazdy. Był starannie spakowany, leżało w nim wszystko, co potrzebne do podróży poślubnej, ale mnie wydawał się pełen ciemności – pustki, pustej przestrzeni.

Oto moje *trousseau*, ślubna wyprawa, pomyślałam. Niemal natychmiast to słowo stało się straszne – takie obce, takie ostateczne. Brzmiało jak związana{32}.

Szczoteczka do zębów, pomyślałam. Będzie mi potrzebna. Moje ciało siedziało tam, bezwładne.

Trousseau pochodzi od francuskiego słowa oznaczającego kufer. *Trousseau*. Tylko tyle znaczyło: rzeczy w kufrze. Nie trzeba więc się tym przejmować, bo oznaczało jedynie bagaż. Oznaczało wszystkie rzeczy, które ze sobą zabierałam, zapakowane.

Tango

Oto ślubne zdjęcie:

Młoda kobieta w białej atlasowej sukni, ukośnie krojonej, bardzo eleganckiej, z trenem aż do stóp jak rozlana melasa. Jest coś niezręcznego w jej postawie, w ułożeniu bioder, stóp, jak gdyby jej kręgosłup nie pasował do tej sukni – był zbyt prosty. Do takiej sukni trzeba wzruszyć ramionami, rozluźnić się, nadać plecom wygięty kształt, coś w rodzaju gruzliczego garbu.

Welon opada po obu stronach jej głowy, najszerszy nad czołem, rzuca zbyt ciemny cień na oczy. Żadnych zębów w uśmiechu. Wianuszek drobnych białych róż; kaskada większych róż, różowych i białych, zmieszanych z asparagusem, w jej rękach w długich białych rękawiczkach – rękach o nieco zbyt wystających łokciach. Wianuszek, kaskada – to słowa z gazet. Przywodzą na myśl zakonnice {33} i świeżą, niebezpieczną wodę. „Piękna panna młoda”, głosił nagłówek. Wtedy tak pisano. W jej przypadku uroda była obowiązkowa, skoro w grę wchodziło tyle pieniędzy.

(Mówię „jej”, bo nie przypominam sobie, żebym była tam obecna, nie w głębokim sensie tego słowa. Ja i dziewczyna z fotografii przestałyśmy być tą samą osobą. Ja jestem jej wynikiem, rezultatem życia, które niegdyś wiodła; ona natomiast, jeśli w ogóle można powiedzieć, że istnieje, składa się wyłącznie z moich wspomnień. Mam lepszą perspektywę – przez większość czasu widzę ją wyraźnie. Gdyby jednak domyśliła się nawet, że ma spojrzeć, i tak nie mogłaby mnie zobaczyć).

Richard stoi obok mnie, godny podziwu jak na tamtą epokę i miejsce, przez co rozumiem dosyć młody, niebrzydki i zamożny. Budzi zaufanie, ale jednocześnie wygląda zagadkowo: uniesiona brew, lekko wydęta dolna warga, usta na skraju uśmiechu, jakby w reakcji na jakiś tajemniczy, podejrzany żart. Goździk w butonierce, włosy zaczesane do tyłu jak lśniący gumowy czepek, przyklejony do jego głowy jakąś mazią używaną w tamtych czasach. Mimo to przystojny z niego mężczyzna. Muszę to przyznać. Elegant. Światowiec.

Jest też kilka pozowanych grupowych portretów – w tle tłum družbów w odświętnych strojach, zazwyczaj takich samych na śluby, pogrzeby i kelnerowanie: bliżej czyste, lśniące drużny, z bukietami piniącymi się kwieciem. Laura zepsuła każde z tych zdjęć. Na jednym okropnie się krzywi, na drugim ruszyła głową, więc jej twarz jest zamazana, jak gołąb rozplaszczony na szybie. Na trzecim szarpie się za palec, rzucając w bok spojrzenie pełne winy, jak przyłapaną z ręką w seffie. Czwarty negatyw musiał zostać uszkodzony, gdyż światło jest rozproszone, nie pada na nią z góry, tylko z dołu, jak gdyby nocą stała na

brzegu oświetlonego basenu.

Po ceremonii przyszła Reenie, w odświętnych granatach i piórach. Uścisnęła mnie mocno i powiedziała: „Gdyby tylko twoja matka tu była”. O co jej chodziło? Byłaby tu, żeby przyklasnąć czy przerwać ceremonię? Sądząc z tonu Reenie, mogło chodzić o jedno i drugie. Ludzie płaczą na weselach z tego samego powodu, dla którego płaczą przy szczęśliwych zakończeniach: bo choć wiedzą, że coś nie jest wiarygodne, rozpaczliwie chcą w to wierzyć. Ja jednak byłam ponad taką dziecinadą: oddychałam dojrzałą i ponurą atmosferą rozczarowania, przynajmniej tak uważałam.

Oczywiście, pojawił się szampan. Musiał się pojawić: Winifred by go nie pominęła. Wszyscy jedli. Wznoszono toasty, z których nic nie pamiętam. Czy tańczyliśmy? Myślę, że tak. Nie umiałam tańczyć, ale znalazłam się na parkiecie, więc musiało nastąpić jakieś deptanie po nogach.

Następnie przebrałam się w strój podróży. Był to dwuczęściowy kostium z lekkiej, sprężystej jasnozielonej wełny, ze skromnym kapeluszem do kompletu. Winifred powiedziała, że kosztował fortunę. Stałam, przygotowana do wyjazdu, na schodach (na jakich schodach? Schody zniknęły z mojej pamięci) i rzuciłam bukiet w stronę Laury. Nie złapała go. Tkwiła tam w jasnoróżowym stroju, patrząc na mnie zimno, z rękami złączonymi przed sobą, jak gdyby chciała trzymać się w ryzach, a jedna z druhen – któraś z kuzynek Griffenów – chwyciła bukiet i umknęła z nim chciwie, jakby to było jedzenie.

W tym czasie mój ojciec zdążył już zniknąć. I dobrze, bo gdy widziałam go po raz ostatni, był sztywny od alkoholu. Pewnie odszedł, by dokończyć dzieła.

Potem Richard ujął mnie pod łokieć i poprowadził do samochodu, którym mieliśmy uciec. Nikogo nie poinformowano o celu naszej podróży, podobno znajdował się gdzieś za miastem – w jakiejś odludnej, romantycznej gospodzie. W rzeczywistości pojechaliśmy za róg, do bocznego wejścia do Royal York, gdzie przed chwilą odbywało się ślubne przyjęcie, i przemknęliśmy do windy. Richard powiedział, że skoro następnego ranka jedziemy pociągiem do Nowego Jorku, a dworzec znajduje się ulicę stąd, to po co zbaczać z drogi?

O nocy poślubnej, a raczej o poślubnym popołudniu – słońce bowiem jeszcze nie zaszło i pokój był skąpany, jak mówią, w różowej poświacie, gdyż Richard nie zaciągnął zasłon – opowiem bardzo niewiele. Nie wiedziałam, czego oczekiwać: moim jedynym informatorem była Reenie, dzięki której uwierzyłam, że cokolwiek się wydarzy, będzie nieprzyjemne i najprawdopodobniej bolesne, i pod tym względem mnie nie oszukała. Zasugerowała też, że to niemiłe wydarzenie czy uczucie nie jest niczym nadzwyczajnym – wszystkie kobiety muszą przez to przejść, czy też wszystkie mężatki – więc nie powinnam robić zamieszania. „Rób dobrą minę do złej gry”, tak brzmiały jej słowa. Powiedziała, że będzie trochę krwi, i było. (Ale nie powiedziała dlaczego. To stanowiło dla mnie całko-

wite zaskoczenie).

Jeszcze nie wiedziałam, że mój brak entuzjazmu – mój wstręt, wręcz cierpienie – Richard uzna za normalne, nawet pożądane. Był jednym z tych mężczyzn, którzy uważali, że lepiej, jeśli kobieta nie doświadcza seksualnej rozkoszy, gdyż wtedy nie zbłądzi, nie poszuka gdzie indziej. Może takie nastawienie jak moje było w tamtych czasach powszechne. A może nie. Nie mam jak się tego dowiedzieć.

Richard kazał przysłać butelkę szampana w chwili, którą już wcześniej uznał za najstosowniejszą do tego celu. Zamówił też kolację. Pokuściłam do łazienki i zamknęłam się w niej, podczas gdy kelner ustawiał potrawy na przenośnym stoliku nakrytym białym obrusem. Miałam na sobie strój, który Winifred uznała za odpowiedni na tę okazję, czyli atlasową koszulę nocną w odcieniu łososiowym, obramowaną delikatną, jasnoszarą koronką. Usiłowałam doprowadzić się do porządku za pomocą myjki, a potem głowiłam się, co z nią zrobić: czerwień na niej była zbyt widoczna, jakby poszła mi krew z nosa. W końcu wrzuciłam myjkę do kosza na śmieci, mając nadzieję, że hotelowa pokojówka pomyśli, że wpadła tam przypadkiem.

Następnie spryskałam się Liu, zapachem, który wydawał mi się słaby i zwierzęły. Nazwano go tak, jak już zdążyłam odkryć, na cześć bohaterki pewnej opery – niewolnicy, której przeznaczeniem było się zabić, a nie zdradzić ukochanego mężczyznę, zakochanego w innej. Tak się właśnie działo w operach. Nie uważałam tego zapachu za obiecujący, martwiłam się, że dziwnie pachnę. Pachniałam dziwnie. Ten dziwny zapach był od Richarda, ale teraz stał się mój. Miałam nadzieję, że nie robiłam zbyt wiele hałasu. Mimowolne jęki, wstrzymany oddech, jak przy nurkowaniu do zimnej wody.

Na kolację był stek i sałatka. Zjadłam głównie sałatkę. Sałatka w hotelach w tamtym czasie była wszędzie taka sama. Przede wszystkim smakowała jak jasnozielona woda. Smakowała jak mróz.

Podróż pociągami do Nowego Jorku przebiegła spokojnie. Richard czytał gazety, ja czasopisma. Nasze rozmowy nie odbiegały zbyt od tych prowadzonych przed ślubem. (Waham się, czy nazywać je rozmowami, bo niewiele mówiłam. Uśmiechałam się, potakiwałam i nie słucałam).

W Nowym Jorku jedliśmy w restauracji kolację z przyjaciółmi Richarda, parą, której nazwiska zapomniałam. Byli nuworyszami do tego stopnia, że to aż piszczało. Ich ubrania wyglądały tak, jakby wysmarowali się klejem, a następnie wytarziali w studolarowych banknotach. Zastanawiałam się, jak dorobili się takiej fortuny; pachniało mi to czymś podejrzany.

Ci ludzie wcale dobrze nie znali Richarda ani tego nie pragnęli: byli mu coś winni, i tyle – za jakąś nie sprecyzowaną przysługę. Bali się go, okazywali mu szacunek. Wywnioskowałam to z gry zapalczyków: kto komu przypalał i jak

szybko. Richardowi podobał się szacunek, który mu okazywali. Podobało mu się, że przypalają mu papierosy, a w rezultacie także mnie.

Uderzyło mnie, że Richard chciał się z nimi spotkać nie tylko dlatego, że pragnął otoczyć się małą koterią służalców, ale także po to, by nie zostawać ze mną sam na sam. Trudno mi go za to winić: niewiele miałam do powiedzenia. Tak czy inaczej, teraz – w towarzystwie – bardzo się o mnie troszczył, z czułością otulał mnie płaszczem, okazywał mi drobne, pełne uczuć względy, dotykał mnie lekko. Co jakiś czas ogarniał wzrokiem pomieszczenie, sprawdzając, który z mężczyzn mu zazdrości. (To, oczywiście, moja retrospekcja: wtedy w ogóle tego nie zauważałam).

Restauracja była bardzo droga, a także bardzo nowoczesna. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Wszystko się mieniło, zamiast błyszczeć; było tam bielone drewno, mosiężne ozdoby, niegustowne kieliszki i mnóstwo laminatu. Mosiężne lub stalowe rzeźby stylizowanych kobiet, gładkie jak toffi, z brwiami, ale bez oczu, z okrągłymi pośladkami, lecz bez stóp, z rękami wtapiającymi się w tułów; białe marmurowe kule, okrągłe lustra jak łuki. Na każdym stoliku samotna kalina w cienkim wazonie ze stali.

Przyjaciele Richarda byli jeszcze starsi niż on, a kobieta wyglądała starzej od mężczyzny. Choć była wiosna, miała na sobie białe norki. Jej suknia także była biała, o kroju zainspirowanym – powiedziała nam w końcu – starożytną Grecją, a dokładnie skrzydlatą Nike z Samotraki. Plisy sukni udrapowano za pomocą złotego sznurka pod piersiami i skrzyżowano pomiędzy nimi. Pomyślałam, że gdybym miała tak obwisłe, opadające piersi, nigdy nie włożyłabym takiej sukni. Jej skóra nad dekoltem była piegowata i pomarszczona, podobnie jak na rękach. Gdy kobieta mówiła, jej mąż siedział w milczeniu, z zaciśniętymi pięściami i półuśmiechem z betonu; wpatrywał się z mądrą miną w obrus. A więc to jest małżeństwo, pomyślałam; ta wspólna nuda, ta szarpanina, i te małe wałeczki pudru po obu stronach nosa.

– Richard nas nie ostrzegł, że jesteś taka młoda – powiedziała kobieta.

– To się zmieni – dodał jej mąż, a jego żona wybuchnęła śmiechem.

Zastanowiłam się nad słowem „ostrzegł”: czy byłam aż tak niebezpieczna? Chyba tylko w taki sposób jak owce, myślę teraz. Są tak głupie, że narażają się na niebezpieczeństwo, utykają na wzgórzach albo dają się osaczyć wilkom, i jakiś opiekun musi nadstawiać karku, by wy dostać je z kłopotów.

Wkrótce – po dwóch, a może trzech dniach w Nowym Jorku – odpłynęliśmy do Europy na „Berengerii”, o której Richard mówił, że płynie nią każdy, kto jest kimś. O tej porze roku morze nie było zbyt wzburzone, ale i tak rzygałam jak kot. (Właściwie dlaczego jak kot? Bo koty wyglądają tak, jak gdyby nic nie mogły na to poradzić. Ja też nie mogłam).

Przynieśli mi miednicę z zimną, słabą herbatę z cukrem i bez mleka. Richard

zdecydował, że powinnam pić szampana, bo to najlepsze lekarstwo, ale nie chciałam ryzykować. Był raczej troskliwy, ale także dosyć zirytowany, chociaż powiedział, że przykro mu z powodu mojego złego samopoczucia. Odparłam, że nie chcę psuć mu wieczoru i że powinien iść udzielać się towarzysko, co zrobił. Choroba morska przydała się o tyle, że Richard nie przejawiał chęci wchodzenia do mojego łóżka. Seks dobrze pasuje do wielu rzeczy, ale wymiotowanie do nich nie należy.

Następnego ranka Richard stwierdził, że powinnam zdobyć się na wysiłek i pokazać się na śniadaniu, jak gdyby dobre maniery gwarantowały połowiczne zwycięstwo. Usiadłam przy naszym stole, skubałam chleb, piłam wodę i usiłowałam zignorować kuchenne zapachy. Czułam się bezcielesna, bezwładna i pomarszczona, jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Richard od czasu do czasu się mną zajmował, ale znał rozmaitych ludzi, albo wydawało się, że zna, ludzie zaś znali jego. Wstawał, ścisnął dłonie, znowu siadał. Czasem mnie przedstawiał, czasem nie. Nie znał jednak wszystkich tych, których chciał znać. To było widać po sposobie, w jaki ciągle się rozglądał, nade mną, nad głowami rozmówców.

W ciągu dnia stopniowo mi się poprawiało. Piłam napój imbirowy i on pomagał. Nie zjadłam kolacji, ale pojawiłam się na niej. Wieczorem był kabaret. Włożyłam suknię, którą Winifred wybrała na taką okazję, gołębią z liliową peleryną z szyfonu. Do kompletu miałam liliowe sandały na wysokich obcasach. Jeszcze nie przywykłam do takich obcasów: trochę się chwiałam. Richard powiedział też, że morskie powietrze najwyraźniej mi służy; powiedział, że mam akurat tyle koloru, ile trzeba, delikatny rumieniec uczennicy. Powiedział, że wyglądam cudownie. Zaprowadził mnie do stolika, który zarezerwował, i zamówił dla nas martini. Stwierdził, że to zaraz postawi mnie na nogi.

Upiłam trochę drinka, a potem nie było już obok mnie Richarda, za to w świetle niebieskiego reflektora pojawiła się piosenkarka. Jej czarne włosy opadały falą na jedno oko, miała na sobie obcisłą, czarną, pokrytą dużymi, łuskowatymi cekinami suknię, która przylegała do jej jędrnych, ale wydatnych pośladków, i nie opadała tylko dzięki czemuś, co wyglądało jak skręcony sznurek. Wpatrywałam się w nią zafascynowana. Nigdy nie byłam w kabarecie ani nawet w nocnym klubie. Poruszała ramionami i śpiewała *Stormy Weather* głosem przypominającym zduszone mruczenie. Można było zobaczyć pół jej biustu.

Ludzie siedzieli przy stolikach, patrząc na nią, słuchając i mając na jej temat swoje zdanie – mogli ją lubić lub nie, dać się jej uwieść lub nie, doceniać jej występ czy sukienkę lub ich nie docenić. Ona jednak nie miała wyboru. Musiała przez to przebrnąć – śpiewać, kołysać się. Zastanawiałam się, ile jej za to płacą i czy to jest tego warte. Uznałam, że tylko jeśli klepie się straszną biedę. Od tego czasu zwrot „w świetle reflektorów” był dla mnie tożsamy z upokorzeniem. Reflektory to coś, od czego należało trzymać się z dala, jeśli tylko można.

Po piosenkarce wystąpił mężczyzna, który grał na białym fortepianie, bardzo szybko, a po nim para zawodowych tancerzy, tańczących tango. Byli ubrani na czarno, jak piosenkarka. Ich włosy lśniły niczym lakierowana skóra w świetle reflektora, które teraz było ostro zielone. Kobieta miała jeden ciemny lok przyklepiony do czoła i duży czerwony kwiat za uchem. Jej sukienka rozszerzała się od połowy uda, ale wyżej przypominała pończochę. Muzyka była urywana, utykająca – jak gdyby czworonogie zwierzę szarpało się na trzech nogach. Rzucający się, okaleczony byk z opuszczonym łbem.

Co do tańca, to przypomniał on raczej bitwę. Twarze tancerzy były zacięte, beznamiętne: patrzyli na siebie lśniącymi oczami, czekając tylko, aż zdołają się ugryźć. Wiedziałam, że to gra, wiedziałam, że biegle to przedstawili, ale, niezależnie od tego, oboje wyglądali na zranionych.

Nadszedł trzeci dzień. Wczesnym popołudniem wyszłam na pokład, na świeże powietrze. Richard mi nie towarzyszył powiedział, że oczekuje jakiegoś ważnego telegramu. Ostatnio dostawał mnóstwo telegramów, rozcinał koperty srebrnym nożem do papieru, czytał, po czym darł je albo układał w swojej aktówce, którą zawsze zamykał.

Niespecjalnie chciałam, żeby dotrzymywał mi towarzystwa na pokładzie, ale czułam się samotna. Samotna, więc przez to zaniedbana, zaniedbana i przez to nieudana. Zupełnie jakby mnie wystawiono, porzucono: jakbym miała złamane serce. Grupa Anglików w kremowych ubraniach z lnu wpatrywała się we mnie. To nie było wrogie spojrzenie; było obojętne, odległe, nieco zaciekawione. Nikt nie potrafi tak spoglądać jak Anglicy. Czułam się zmięta, niechlujna i mało interesująca.

Niebo było zachmurzone: chmury miały ciemnoszary kolor, zbiły się w bryły, jak wypełnienie mokrego materaca. Siąpił lekki deszcz. Nie miałam na sobie kapelusza, ze strachu, że mógłby odlecieć; nałożyłam tylko jedwabną chustkę związaną pod brodą. Stałam przy relingu, patrząc w górę i w dół na przetaczające się fale w kolorze łupków, na biały kilwater statku bazgrzący krótką, bezsensowną wiadomość. Jak wskazówka do ukrytego nieszczęścia: jak smuga rozdartego szyfonu. Sadza z kominów poleciała na mnie; włosy wysunęły mi się ze szpilek i w mokrych kosmykach przywarły do policzków.

Zatem to jest ocean, pomyślałam. Nie wydawał się tak głęboki, jak powinien. Usiłowałam przypomnieć sobie coś, co mogłam o nim czytać, jakiś wiersz, ale nie mogłam. „Bij, bij, bij”. Coś tak się zaczynało. Były w tym zimne, szare kamienie. „O morze”.

Chciałam wyrzucić coś za burtę. Czułam, że tak trzeba. W końcu wyrzuciłam miedziaka, ale nie wypowiedziałam życzenia.

VI

Ślepy zabójca: Kostium w kratę

Przekręca klucz. To zasuwa, łaska boska. Tym razem dopisało mu szczęście, pożyczył sobie całe mieszkanie. Kawalerkę, tylko jeden pokój z wąskim blatem kuchennym, ale ma teraz własną łazienkę, z wanną na nóżkach i różowymi ręcznikami. Elegancka rzecz. Należy do dziewczyny przyjaciela, która wyjechała z miasta na pogrzeb. Cztery pełne dni bezpieczeństwa albo złudzenia bezpieczeństwa.

Zasłony pasują do narzuty na łóżku: zrobiono je z mięsistego jedwabiu, w wiśniowym kolorze, wiszą za delikatnymi firankami. Trzymając się w pewnej odległości od okna, wygląda na ulicę. Okno wychodzi – z tego, co widzi przez coraz mocniej żółknące liście – na Allan Gardens. Para pijaków albo włóczęgów zasnęła pod drzewami, jeden przykrył twarz gazetą. On sam tak sypiał. Gazety zwilgotniałe od oddechów śmierdziały jak ubóstwo, jak porażka, jak spleśniała tapicerka, do której przyczepiła się psia sierść. Na trawie leżą rozrzucone tekturowe transparenty i zmięte gazety z ostatniego wieczoru – po wiecu, towarzysze wykrzykujący swoje dogmaty w uszy słuchaczy, kujący już przestudzone żelazo. Dwaj niezadowoleni mężczyźni, sprzątający teraz po nich, ze stalowymi kijkami i konopnymi workami. Przynajmniej biedne gnojki mają pracę.

Będzie szła przez park. Zatrzyma się, zbyt ostentacyjnie rozejrzy dookoła, żeby sprawdzić, czy ktoś ją obserwuje. Zanim skończy się rozglądać, tak właśnie będzie.

Na damskim biało-złotym biurku stoi radio wielkości i kształtu połówki chleba. Włącza je: meksykański tercet, głosy jak płynny powróż, twarde, miękkie, przeplatające się. Tam powinien pojechać, do Meksyku. Pić tequilę. Zejść na psy albo jeszcze bardziej zejść na psy. Zostać wilkiem. Zostać desperado. Ustawia przenośną maszynę do pisania na biurku, otwiera futerał, zdejmuje wieko, wkłada papier. Zaczyna brakować mu taśmy. Ma czas na kilka stron, zanim ona przyjdzie, jeśli przyjdzie. Czasem odkłada to na później albo coś staje jej na przeszkodzie. Przynajmniej tak twierdzi.

Chciałby ją zanieść do tej eleganckiej wanny, namydlić. Pławić się tam razem z nią, jak świnię w różowych bąbelkach. Może tak zrobi.

To, nad czym pracuje, to pomysł albo pomysł na pomysł. Chodzi o przybyszów z kosmosu, wysyłających statek kosmiczny w celu zbadania Ziemi. Składają się z kryształów w najwyższym stadium organizacji i usiłują nawiązać kontakt z tymi istotami na Ziemi, które, ich zdaniem, są podobne do nich: z monoklami, szybami okiennymi, przyciskami do papieru z weneckiego szkła, kielichami do

wina, pierścieniami z brylantem. W tym tkwi źródło ich upadku. Wysyłają raport na macierzystą planetę: „Na planecie znajduje się wiele interesujących reliktyw niegdyś kwitnącej, lecz obecnie wymarłej cywilizacji, która musiała znajdować się na wysokim poziomie rozwoju. Nie można stwierdzić, przez jaką katastrofę wymarły inteligentne formy życia. Obecnie na planecie znajduje się jedynie wiele lepkich zielonych filigranów i duża liczba dziwnie ukształtowanych kropli na wpół płynnego błota, przesuwanego w rozmaite miejsca przez nieregularne prądy lekkiego, przezroczystego płynu pokrywającego powierzchnię planety. Przenikliwe piski i donośne jęki wydawane przez nie trzeba przypisać frykcyjnym wibracjom i nie należy ich mylić z mową”.

Jednak to jeszcze nie opowieść. To nie może być opowieść, dopóki kosmici nie wylądują i nie obrócą Ziemi w perzynę, a jakaś pani nie wyskoczy z kombinezonu. Inwazja będzie jednak nielogiczna. Skoro kryształowe byty uważają, że na planecie nie ma życia, po co miałyby lądować na niej? Może ze względów archeologicznych. Żeby pobrać próbki. Znienacka tysiące okien zostałyby wyssanych z nowojorskich drapaczy chmur przez pozaziemską próżnię. A z nimi tysiące prezesów banków, którzy z wrzaskiem rozbiliby się o ziemię. To byłoby miłe.

Nie. To wciąż nie jest opowieść. Musi napisać coś, co się sprzeda. Wrócić do niezawodnych łaknących krwi martwych kobiet. Tym razem obdarzy je fioletowymi włosami, puści w ruch pod trującymi łądogami orchidei dwunastu księżyców Am. Najlepiej wyobrazić sobie taką okładkę, jaką najprawdopodobniej wymyśliliby chłopcy, i od tego zacząć.

Jest już nimi zmęczony, zmęczony tymi kobietami. Jest zmęczony ich kłami, ich gibkością, ich jędrnymi, choć dużymi jak połówki grejpfruta pierścieniami, ich żarłocznością. Jest zmęczony ich szponami, ich żmijowatymi oczami. Jest zmęczony ich chęcią mordy. Jest zmęczony bohaterami o imionach Will, Burt albo Ned, jednosylabowych imionach; jest zmęczony ich miotaczami promieni, ich metalicznymi, obcisłymi strojami. Dreszcz emocji za dziesięć centów. A jednak to pozwoli mu żyć, jeśli zdoła utrzymać tempo, a biedacy nie mogą być wybredni.

Znowu zaczyna mu brakować gotówki. Ma nadzieję, że ona przyniesie czek, z jednej ze skrzytek pocztowych nie na jego nazwisko. On go podpisze, a ona zrealizuje; ze swoim nazwiskiem nie będzie miała żadnych problemów u siebie w banku. Ma nadzieję, że przyniesie mu kilka znaczków. Ma nadzieję, że przyniesie wiącej papierosów. Zostały tylko trzy.

Chodzi po pokoju. Podłoga skrzypi. Twarde drewno, ale poplamione tam, gdzie przeciekał grzejnik. Ten budynek zbudowano przed wojną, dla samotnych ludzi interesu o dobrych charakterach. Wtedy było więcej nadziei. Parowe ogrzewanie, ciepła woda bez ograniczeń, korytarze wyłożone terakotą – ostatni krzyk

mody. Teraz jego świetność to już przeszłość. Kilka lat temu, gdy był młody, znał dziewczynę, która tu mieszkała. Pielęgniarkę, jeśli się nie myli; kondomy w nocnej szafce. Miała dwupalnikowy piecyk, czasem gotowała coś dla niego – bekon i jajka, maślane naleśniki z syropem klonowym, zlizywał go z jej palców. Na ścianie wisiała wypchana głowa jelenia, zostawiona przez poprzednich lokatorów: dziewczyna suszyła pończochy na porożu.

Szędzali sobotnie popołudnia, wtorkowe wieczory, kiedy tylko miała wolne, na picie – szkockiej, dżinu, wódki, czegokolwiek. Lubiła wcześniej być dobrze zalana. Nie chciała chodzić do kina ani na tańce, wyglądało na to, że nie pragnie romansu ani jego namiastki, i to było w porządku. Pragnęła od niego tylko wytrzymałości. Lubiła rozkładać koc na podłodze łazienki, lubiła twardą terakotę pod swoimi plecami. To było piekło dla jego kolan i łokci, chociaż wtedy tego nie zauważał, skupiał się na czymś innym. Jęczała jak w kinie, rzucała głową i wywracała oczami. Kiedyś wziął ją na stojąco, w jej dużej szafie. Miłość przygotowująca o drżenie nóg, pachnąca naftaliną, pośród odświętnych sukienek z krepy i wełnianych bliźniaków. Szlochała z rozkoszy. Po tym, jak go rzuciła, wyszła za adwokata. Sprytne posunięcie, białe małżeństwo; przeczytał o tym w gazetach, ubawiony, bez nienawiści. Dobrze dla niej, pomyślał. Dziwki czasem wygrywiają.

Szczeniące lata. Dni bez imion, bezrozumne popołudnia, szybkie, bluźniercze i szybko przemijające, i żadnej tęsknoty przed ani po, żadnych koniecznych słów, nic do zapłaty. Zanim wplątał się w rzeczy, które się poplątały.

Spogląda na zegarek, a potem znowu w okno, ona właśnie nadchodzi, przecina park, dziś w kapeluszu z szerokim rondem, w kraciastym kostiumie mocno spiętym paskiem, torebkę ściska pod ramieniem, jej spódnica w kratę łopocze, a ona idzie tym swoim dziwnym, zygzakowatym krokiem, jak gdyby nie zdołała przywyknąć do chodzenia na tylnych łapach. Chociaż może to przez wysokie obcasy. Często się zastanawiał, jak można zachować na nich równowagę. Teraz się zatrzymała, jakby celowo; rozgląda się w ten nieprzytomny sposób, niczym właśnie zbudzona z zagadkowego snu, a dwaj faceci podnosząc gazety, patrzą na nią. „Zgubiłaś coś, panienko?” Ale ona rusza dalej, przechodzi przez ulicę, widzi jej fragmenty między liśćmi, pewnie szuka numeru ulicy. Teraz wchodzi na stopień. Brzęczy domofon. On naciska guzik, gasi papierosa, wyłącza lampę na biurku, otwiera drzwi.

Cześć. Brak mi tchu. Nie czekałam na windę. Zamyka za sobą drzwi, staje, opierając się o nie plecami.

Nikt za tobą nie szedł. Patrzyłem. Masz papierosy?

I twój czek, i ćwiartkę szkockiej, najlepszej jakości. Zwinęłam ją z naszego dobrze zaopatrzonego barku. Mówiłam ci, że mamy dobrze zaopatrzone barek?

Próbuje być swobodna, wręcz frywolna. Nie wychodzi jej to. Wymiguje się,

czeka, sprawdza, czego on chce. Nigdy nie robi pierwszego kroku, nie lubi się zdradzać.

Grzeczna dziewczynka. Rusza ku niej, obejmuje ją.

Jestem grzeczną dziewczynką? Czasem czuję się jak dziewczyna rewolwerowca.

Nie możesz być dziewczyną rewolwerowca. Nie mam rewolweru. Oglądasz za dużo filmów.

Mniej niż powinnam, mówi z ustami przy jego szyi. Przydałoby mu się strzyżenie. Miękki oset. Rozpina cztery górne guziki, wkłada dłoń pod koszulę. Jego ciało jest takie zwarte, takie spójne. Takie gładkie, wypalone. Widywała popielniczki wyrzeźbione w takim drewnie.

Ślepy zabójca: Czerwony brokat

To było słodkie, mówi ona. Kąpiel była słodka. Nigdy nie wyobrażałam sobie ciebie w różowych ręcznikach. W porównaniu z codziennością to wręcz luksus.

Pokusa czai się wszędzie, mówi on. Dostatek kusi. Powiedziałbym, że to dziwka amatorka, a ty?

Owinął ją w jeden z różowych ręczników i zaniósł do łóżka, mokrą i śliską. Teraz leżą pod krótką, wiśniową narzutą z jedwabiu, w satynowej pościeli, pijąc szkocką, którą ze sobą przyniosła. To dobry gatunek, pachnący dymem, ciepły, wchodzi gładko jak toffi. On przeciąga się z rozkoszą, tylko przez chwilę zastanawiając się, kto upierze pościel.

Nigdy nie potrafi pokonać poczucia transgresji w tych rozmaitych pokojach – poczucia, że pogwałca prywatne granice tych, którzy zazwyczaj tu mieszkają. Chciałaby pogrzebać w szafkach, szufladach biurka – nie, żeby coś zabrać, tylko popatrzeć. Prawdziwi ludzie, prawdziwi od niej. Z nim chciałaby zrobić to samo, on jednak nie ma szafek, nie ma szuflad, nie należą do niego. Nic, co można by znaleźć, nic, co by go zdradziło. Tylko odrapana czarna walizka, zawsze zamknięta. Zazwyczaj leży pod łóżkiem.

Jego kieszenie nie informują; kilka razy je przeszukała. (To nie szpiegostwo, chciała tylko wiedzieć, co tam jest i co jest czym, i o co chodzi). Chusteczka, niebieska, z białą lamówką, drobne, dwa niedopałki papierosów, owinięte w papier śniadaniowy – na pewno je oszczędza. Scyzoryk, stary. Kiedyś dwa guziki, od koszuli, jak się domyśliła. Nie zaproponowała, że je przyszyje, bo dowiedziałaby się, że węszyła. Lepiej niech myśli, że można jej ufać.

Prawo jazdy, nie na jego nazwisko. Metryka, to samo. Różne nazwiska. Chciałaby po nim przejechać grzebieniem o gęstych zębach. Pogrzebać w nim. Wywrócić go do góry nogami. Wypatroszyć.

On śpiewa łagodnie, miękkim głosem, jak radiowy szansonista:

*W pokoju siekiera, księżyc jak cholera
żyć się chce
Ukradłem całusa, sukienka twa kusa
nęci mnie
Kładłem dłoń na twym brzuchu
Ty gryzłaś mnie w ucho
Przyszła ranna pora, znikłaś jak kamfora
Brakuje mi cię.*

Ona się śmieje. Skąd to znasz?

To moja pieśń do dziwki. Pasuje do otoczenia.

Ona nie jest prawdziwą dziwką. Nawet nie amatorką. Wątpię, żeby brała pieniądze. Najprawdopodobniej wynagradzają ją w inny sposób.

Mnóstwem czekoladek. Zgodziłabyś się na coś takiego?

Musiałabym dostawać tony, mówi ona. Jestem dosyć kosztowna. Narzuta to prawdziwy jedwab, podoba mi się ten kolor – jaskrawy, ale całkiem ładny. Korzystny dla karnacji, jak blask świec. Wymyśliłeś coś jeszcze?

Coś jeszcze czego?

Mojej historii.

Twojej historii?

Tak. Czy nie jest dla mnie?

O, tak, mówi on. Oczywiście, nie myślę o niczym innym. Przez to nie śpiam po nocach.

Kłamczuch. Czy to cię nudzi?

Nic, co sprawia ci przyjemność, nie mogłoby mnie znudzić.

Boże, jakie to uprzejme. Powinniśmy częściej używać różowych ręczników. Wkrótce zaczniesz całować moje pantofle. Ale mów dalej.

Na czym stanąłem?

Dzwon już bił. Poderżnięte gardło. Otwierają się drzwi.

Aha. No dobrze.

Mówi: Dziewczyna, o której rozmawialiśmy, słyszy, jak otwierają się drzwi. Przywiera do ściany, otulając się szczelnie czerwonym brokatem z Łoża Jednej Nocy. Brokat pachnie solą, jak morze podczas odpływu: zasuszonym strachem tych, które odeszły przed nią. Ktoś wszedł, słysząc odgłos wleczonego po podłodze ciężkiego przedmiotu. Drzwi znowu się zamykają, w pokoju jest ciemno jak w grobie. Dlaczego nie ma lampy ani świecy?

Wyciąga przed siebie rękę, jakby chciała się obronić, i czuje dotyk innej dłoni: dłoń ujmuje ją delikatnie, bez przymusu. Jak gdyby zadawała jej pytanie.

Ona nie może mówić. Nie może powiedzieć: „Nie mogę mówić”.

Ślepy zabójca pozwala, by woalka jego kobiety spadła na podłogę. Trzymając dziewczynę za rękę, siada na łożu obok niej. Nadal ma zamiar ją zabić, ale można to zrobić później. Słyszał o uwieczonych dziewczętach, ukrytych przed wszystkim aż do ostatniego dnia życia, jest jej ciekaw. W każdym razie to rodzaj prezentu, w całości dla niego. Nie przyjąc takiego daru to jak napluć bogom w twarz. Wie, że powinien działać szybko, dokończyć dzieła, zniknąć, ale wciąż ma na to mnóstwo czasu. Czuje wtarty w nią aromat; dziewczyna pachnie jak mary młodych kobiet, które umarły bez męża. Zmarnowana słodycz.

Nie zepsuje niczego, czy też niczego, co kupiono i za co zapłacono: oszukańczy Władca Podziemia pewnie już poszedł. Czy miał na sobie zardzewiałą kol-

czugę? Najprawdopodobniej. Brzęczał w dziewczynie jak ciężki żelazny klucz, obrócił się w jej ciele, otworzył ją gwałtownie. Sam aż za dobrze pamięta to uczucie. Cokolwiek by się stało, tego nie zrobi.

Podnosi jej rękę do ust, przykłada do niej wargi, to nie pocałunek, ale wyraz szacunku i hold. Łaskawa i złocista, mówi – standardowa odzywka żebraka do potencjalnego dobroczyńcy – przywiodły mnie tu wieści o twej niezwyklej piękności, choć przez to, że tutaj jestem, moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Nie mogę cię ujrzyć oczami, gdyż jestem ślepy. Pozwolisz, bym zobaczył cię dłońmi? To będzie ostatnia łaska, być może i dla ciebie.

Nie na darmo był niewolnikiem i kurwą; nauczył się, jak pochlebiać, jak wiarygodnie kłamać, jak się przymilać. Kładzie palce na jej brodzie i czeka, aż dziewczyna się zawaha, a później skinie głową. Niemal słyszy jej myśl: Jutro będę martwa. Zastanawia się, czy ona się domyśla, po co naprawdę tu przyszedł.

Czasem najmądrzej postępują ci, którzy nie mają dokąd pójść, ci, którzy nie mają czasu, ci, którzy naprawdę rozumieją słowo „bezradność”. Ci obchodzą się bez kalkulacji ryzyka i zysków, nie myślą o przyszłości, są zmuszeni do życia w teraźniejszości. Człowiek rzucony w przepaść spada albo lata; czepia się każdej nadziei, choćby najbardziej nieprawdopodobnej; nawet liczy na – jeśli mogę się posłużyć tak nadużywanym słowem – cud. I wtedy mówimy: pomimo wszelkich przeciwności.

Tak jest tej nocy.

Ślepy zabójca bardzo powoli zaczyna jej dotykać, tylko jedną ręką, prawą – zręczną ręką, ręką od noża. Przesuwa nią po twarzy dziewczyny, wzdłuż gardła; potem dodaje lewą rękę, złowieszczą rękę, używa ich obu, czule, jak gdyby otwierał najdelikatniejszy zamek, zamek z jedwabiu. To jak pieścizny wody. Dziewczyna drży, ale nie, jak wcześniej, ze strachu. Po jakimś czasie pozwala, żeby czerwony brokat opadł, po czym bierze zabójcę za rękę i sama ją prowadzi.

Dotyk jest ważniejszy od wzroku, ważniejszy od mowy. To pierwszy i ostatni język, zawsze mówi prawdę.

I tak oto dziewczyna, która nie mówiła, i mężczyzna, który nie widział, zakochali się w sobie.

Zadziwiasz mnie, mówi ona.

Doprawdy? – pyta on. Dlaczego? Chociaż właściwie lubię cię zadziwiać. Zapala papierosa, jej też proponuje, ona przecząco kręci głową. On za dużo pali. To nerwy, choć dłonie mu nie drżą.

Bo powiedziałeś, że się zakochali, mówi ona. Wystarczająco często sztychłeś z tego pojęcia – nierealistyczny, burżuazyjny przesąd, zgniły u podstaw. Chorobliwie sentymentalne, pretensjonalne, wiktoriańskie usprawiedliwienie zdrowej

cielesności. Czyżbyś miękł?

Nie wiń mnie, wiń historię, odpowiada on z uśmiechem. Takie rzeczy się zdarzają. Zakochanie udokumentowano. Albo przynajmniej te słowa. Tak czy inaczej, powiedziałem, że kłamał.

W ten sposób się nie wykręcisz. Kłamstwo było tylko na początku. A potem to zmieniłeś.

Punkt dla ciebie. Ale można na to spojrzeć w bardziej bezduszny sposób.

Na co spojrzeć?

Na cały ten interes z zakochiwaniem się.

Od kiedy to interes? – pyta ona ze złością.

On się uśmiecha. Ten zwrot cię denerwuje? Zbyt handlowy? Chcesz powiedzieć, że wzdraga się przed nim twoje sumienie? Ale przecież to zawsze wymiana, prawda?

Nie, mówi ona. Nieprawda. Nie zawsze.

Można by powiedzieć, że złapał, co miał pod ręką. Dlaczego nie? Nie miał skrupułów, jego życie zawsze było okrutną walką. Można by też powiedzieć, że oboje byli młodzi i nie wiedzieli, co robić. Młodzi zazwyczaj myślą pożądanie z miłością, są zarażeni idealizmem. Nie powiedziałem zresztą, że potem jej nie zażył. Jak wspominałem, interesowały go jedynie korzyści własne.

Czyli strach cię obleciał, mówi ona. Wycofujesz się, tchórz z ciebie. Nie pójdziesz na całość. Tyle masz wspólnego z miłością, co podpuszczalska z pieprzeniem.

On się śmieje, zaniepokojonym śmiechem. Czy to szorstkość jej słów, czy jest zdumiony, czy w końcu jej się udało? Trzymaj język na wodzy, moja panno.

Dlaczego? Ty tego nie robisz.

Ja jestem złym przykładem. Powiedzmy po prostu, że posłuchali siebie – swoich uczuć, jeśli tak chcesz to nazwać. Mogli się pławić w swoich uczuciach – żyć chwilą, spijać sobie z dziobków, hulać ile wlezie, opróżnić kielichy, wyc do księżycy. Czas uciekał. Nie mieli nic do stracenia.

On miał. Albo z pewnością uważał, że ma!

No dobrze. Dziewczyna nie miała nic do stracenia. Wypuszcza z siebie kłęb dymu.

W przeciwieństwie do mnie, mówi ona, to pewnie masz na myśli.

W przeciwieństwie do ciebie, skarbie, potakuje on. Ale nie do mnie. Ja nie mam nic do stracenia.

Przecież masz mnie, mówi ona. Ja nie jestem niczym.

***The Toronto Star*, 28 sierpnia 1935**

UCZENNICA Z TOWARZYSTWA ODNALEZIONA

DODATEK DO „THE TORONTO STAR”

Policja odwołała wczoraj poszukiwania piętnastoletniej uczennicy z towarzystwa, Laurry Chase, zaginionej ponad tydzień temu. Pannę Chase odnaleziono w letniej rezydencji przyjaciół rodziny, państwa E. Newton-Dobbsów, w Muskoka. Znany przemysłowiec Richard E. Griffen, mąż siostry panny Chase, w imieniu rodziny przeprowadził rozmowę telefoniczną z dziennikarzami. „Żona i ja odczuwamy wielką ulgę”, powiedział. „To było zwykłe nieporozumienie, spowodowane przez spóźniony list. Panna Chase poczyniła wakacyjne plany, myśląc, że jesteśmy ich świadomi, podobnie jak jej gospodarze. Na wakacjach nie czytują gazet, inaczej nie doszłoby do tej pomyłki. Kiedy wrócili do miasta i zdali sobie sprawę z sytuacji, natychmiast do nas zadzwonili”.

Zapytany o pogłoski na temat tego, że panna Chase uciekła z domu i widziano ją w dziwnych okolicznościach w Parku Rozrywki Sunnyside Beach, pan Griffen stwierdził, że nie wie, kto rozsiewa te plotki, ale z całą pewnością się dowie. „To zwykłe nieporozumienie, które mogłoby się przytrafić każdemu”, podkreślił. „Żona i ja cieszymy się, że Laura się odnalazła, i serdecznie dziękujemy policji, gazetom i zatroskanemu społeczeństwu za pomoc”. Pannę Chase podobno niepokoi ten rozgłos i odmawia udzielania wywiadów.

Choć nie stało się nic poważnego, był to z pewnością pierwszy poważny kłopot, spowodowany wadliwie funkcjonującym systemem pocztowym. Społeczeństwu należą się usługi, na których może bezwarunkowo polegać. Urzędnicy rządowi powinni zwrócić na to uwagę.

Ślepy zabójca: Spacer ulicą

Idzie ulicą, mając nadzieję, że wygląda jak kobieta uprawniona do chodzenia ulicą. Czy też tą ulicą. A jednak tak nie wygląda. Jest nieodpowiednio ubrana, ma nieodpowiedni kapelusz, nieodpowiedni płaszcz. Powinna zawiązać na głowie chustkę, włożyć workowaty płaszcz z wystrzępionymi mankietami. Powinna wyglądać szaro i skromnie.

Tutejsze domy przylegają do siebie. Niegdyś domki dla służby, rząd w rząd, ale teraz służby ubywa, a i bogaci zamieszkali gdzie indziej. Okopcona cegła, dwa pomieszczenia na górze, dwa na dole, ubikacja z tyłu. Przy niektórych domach uchowały się fragmenty ogródków warzywnych na małych trawnikach – poczerniałe łodygi pomidorów, drewniany słup ze zwieszającym się z niego sznurem. Ogrody nie mogły się tu rozwijać – za dużo cienia, na ziemi za dużo popiołu. Ale nawet tutaj jesienne drzewa są przepyszne, liście, które nie opadły, żółte, pomarańczowe i cynobrowe.

Z domów dobiega głośny płacz, ujadanie, gadanie i utyskiwanie. Żeńskie głosy podniesione od sfrustrowanej wściekłości, buntownicze wrzaski dzieci. Na ciasnych gankach, na drewnianych krzesłach siedzą mężczyźni z łokciami opartymi na kolanach, bez pracy, ale jeszcze nie bez domu. Ich wzrok na niej, ich chmurne spojrzenia, gorzko oceniające futrzane wykończenie mankietów i dekoltu, torebkę z jaszczurczej skóry. Być może to lokatorzy, stłoczeni w piwnicach i dziwnych zaułkach, żeby dokładać się do czynszu.

Przed siebie śpieszą kobiety, z opuszczonymi głowami, zgarbionymi ramionami, niosąc paczki zawinięte w brązowy papier. To z pewnością mężatki. Przychodzi jej do głowy słowo „stłamszone”. Musiały wyłudzić kości u rzeźnika, zanoszą je do domu, żeby odciąć skrawki mięsa i podać je z duszoną kapustą. Za bardzo odchyła ramiona, brodę trzyma za wysoko, nie wygląda na przygaszoną: kiedy podnoszą głowy, żeby się jej przyjrzeć, w ich spojrzeniu widać obrzydzenie. Pewnie myślą, że jest prostytutką, ale co tu robi w takich butach? To nie jej liga.

Oto bar, na rogu, tam, gdzie mówił. Piwiarnia. Pod nią stoją zbici w gromadkę mężczyźni. Żaden się do niej nie odzywa, kiedy przechodzi obok, patrzą tylko jak zza krzaka, ale słyszy mamrotanie, nienawiść i pożądanie w ich gardłach, płynące za nią jak kilwatter za statkiem. Może wzięli ją za chrześcijańską wolontariuszkę albo uszczęśliwiaczkę biednych. Pakującą wyszorowane palce w ich życie, oferującą ochłapy protekcyjnalnej pomocy. Na to jest jednak za dobrze ubrana.

Wzięła taksówkę, odprawiła ją trzy ulice dalej, gdzie był większy ruch. Le-

piej nie wzbudzać sensacji: kto tu wzięłby taksówkę? Chociaż i tak już wzbudza sensację. Potrzebuje innego płaszcz, kupionego na wyprzedazy, zmiętego w walizce. Mogłaby iść do hotelowej restauracji, zostawić własny płaszcz w szatni, wśliznąć się do toalety i przebrać. Potargać włosy, rozmaszać szminkę. Wyłonić się jako inna kobieta.

Nie, to by się nigdy nie udało. Po pierwsze, kwestia walizki; wyjście z nią z domu. „Dokąd wyjeżdżasz w takim pośpiechu?”

Tak oto utknęła w scenariuszu rodem z powieści płaszcz i szpady, ale bez płaszcz. Tylko dzięki swojej twarzy, jej przebiegłości. Teraz ma wystarczająco dużo wprawy, w gładkości, obojętności, niewzruszeniu. Uniesione brwi, szczere, otwarte spojrzenie podwójnego agenta. Oblicze jak czysta woda. Chodzi nie o to, żeby kłamać, ale żeby uniknąć takiej konieczności. Sprawić, by wszelkie pytania z góry wydały się głupie.

Jednakże istnieje pewne niebezpieczeństwo. Dla niego też: większe niż dawniej, jak jej powiedział. Myśli, że raz został zauważony, na ulicy: rozpoznany. Przez jakiegoś durnia z Czerwonego Oddziału, może. Wydostał się przez zatłoczoną piwiarnię, tylnymi drzwiami.

Nie wie, czy powinna w to wierzyć czy nie, w taki rodzaj niebezpieczeństwa: w mężczyzn w ciemnych, wypchanych garniturach, z postawionym kołnierzem, czające się samochody. „Proszę z nami. Aresztujemy panią”. Puste pokoje i ostre światło. To się wydaje zbyt teatralne albo zbyt przypomina rzeczy, które przydarzają się wyłącznie we mgle, w bieli i czerni. Wyłącznie w innych krajach, w innych językach. Albo, jeśli tutaj, to nie jej.

Jeśli ją złapią, zaprze się go, jeszcze zanim kogut zapieje po raz pierwszy. Wie to bez wątpienia, bez emocji. I tak zostałaby wypuszczona, a jej udział uznano by za frywolną zabawę albo buntowniczy psikus, wyciszono by jakikolwiek ewentualny zamęt. Oczywiście, musiałaby za to zapłacić prywatnie, ale czym? Już jest bankrutem: nie da się wycisnąć krwi z kamienia. Zamknęłaby się, zatrzasknęła okiennice. Przerwa na lunch, na zawsze.

Ostatnio ma wrażenie, że ktoś ją obserwuje, choć ilekroć przeprowadza rekonosans, nikogo nie widzi. Stała się ostrożniejsza; tak ostrożna, jak się da. Czy się boi? Tak. Przez większość czasu. Jej strach nie ma jednak znaczenia. Czy też raczej ma znaczenie. Potęguje rozkosz, jaką przy nim odczuwa; także poczucie, że uchodzi jej to na sucho.

Prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi w niej samej. W tym, na co pozwoli, jak daleko zechce się posunąć. Zgoda i chęci nie mają z tym jednak nic wspólnego. Zatem dokąd zostanie pchnięta: dokąd poprowadzona? Jeszcze nie zbadała swoich motywów. Być może brak jej motywów jako takich: pożądanie to nie motyw. Nie wydaje się jej, by miała jakiś wybór. Taka skrajna rozkosz to także upokorzenie. Zupełnie jakby dawała się ciągnąć na sznurze hańby, na smyczy wokół szyi. Nie lubi tego, tego braku wolności, więc zwleka, racjonuje sobie

mężczyznę. Stawia mu czoło, kręci, dlaczego jej się nie udało – twierdzi, że nie widziała skreślonych kredą znaków na parkowym murze, nie zrozumiała wiadomości – nowego adresu nie istniejącego sklepu z ubraniami, pocztówki od dawnej przyjaciółki, której nigdy nie miała, telefonicznej pomyłki.

Jednakże w końcu wraca. Nie ma sensu się opierać. Przychodzi do niego po amnezję, po zapomnienie. Ofiarowuje siebie, znika; wchodzi w ciemność własnego ciała, zapomina swojego imienia. Złożyć się w ofierze, oto, czego pragnie, choć na krótko. Istnieć bez granic.

Wciąż jednak przyłapuje się na tym, że myśli o rzeczach, które początkowo nie przychodziły jej do głowy. Jak on sobie pierze? Któregoś razu skarpetki suszyły się na grzejniku – dostrzegł, że spoglądała w tym kierunku, i usunął je z pola widzenia. Sprząta przed jej wizytami, przynajmniej z grubsza. Gdzie jada? Mówił jej, że nie lubi, gdy widuje się go zbyt często w jednym miejscu. Musi krążyć między jedną jadłodajnią, jedną knajpą a drugą. W jego ustach te słowa mają obskurny blask. Niekiedy jest bardziej nerwowy, zwiesza głowę, nie wychodzi; ogryzki od jabłka leżą tu i tam, a na podłodze walają się okruchy chleba.

Skąd bierze jabłka, chleb? Jest dziwnie małowówny w kwestii tego, co się dzieje w jego życiu podczas jej nieobecności. Być może uważa, że gdyby wiedziała za dużo, miałaby o nim gorsze mniemanie. Gdyby знаła zbyt wiele paskudnych szczegółów. Może ma rację. (Te wszystkie obrazy kobiet w galeriach, zaskoczonych w intymnych momentach. *Śpiąca nimfa. Zuzanna i starcy. Kąpiąca się, z nogą w cynowej wannie* – Renoir czy może Degas? Obaj, obie kobiety pulchne. Diana i jej służki, zanim zauważą na sobie wścibskie spojrzenie myśliwego. Żadnego obrazu zatytułowanego *Mężczyzna piorący skarpety w zlewie*).

Romans toczy się na bezpieczną odległość. Romans to patrzeć na siebie przez okno zasnutę mgiełką. Romans oznacza wyeliminowanie pewnych spraw: tam, gdzie życie chrząka i sapie, romans tylko wzdycha. Czy chce coś ponadto – czy chce więcej jego? Czy chce całości?

Niebezpieczeństwo przyszło, gdyby przyglądała się zbyt uważnie i ujrzała zbyt wiele – gdyby on zaczął maleć, a ona wraz z nim. Potem obudziłyby się pusta, wszystko by się zużyło – i już. Nic by jej nie zostało. Byłaby wyzuta.

Staroświeckie słowo.

Tym razem po nią nie przyszedł. Powiedział, że lepiej nie. Sama musiała przebyć całą drogę. W jej dłoni, pod rękawiczką, tkwi kwadrat złożonego papieru z zaszyfrowanymi wskazówkami, ale nie musi na niego patrzeć. Czuje jego lekki żar na skórze, jak czujnik radowy w ciemności.

Wyobraża sobie jego, jak on wyobraża sobie ją – idącą ulicą, coraz bliżej, nadchodzącą. Czy jest zniecierpliwiony, na krawędzi, nie może się doczekać?

Jest taki jak ona? Lubi dawać do zrozumienia, że jest mu to obojętne – że wszystko mu jedno, czy ona przyjdzie czy nie – ale to udawanie, nie jedyne zresztą. Na przykład nie pali już gotowych papierosów, nie stać go. Sam je zwi-
ja, jednym z tych obscenicznie wyglądających urządzeń z różowej gumy, z któ-
rych wychodzą po trzy sztuki naraz; obcina je brzytwą, a potem wkłada do
paczki po craven A. Jedno z jego drobnych oszustw albo słabości; to, że on ich
tak potrzebuje, zapiera jej dech w piersiach.

Czasem przynosi mu papierosy, całymi garściami – wielość, obfitość. Pod-
krada je ze srebrnego pudełka na papierosy stojącego na szklanym stoliku do
kawy, wrzuca do torebki. Ale nie robi tego za każdym razem. Najlepiej trzymać
go w niepewności, najlepiej go przegłądać.

Leży na plecach, nasycony, pali. Kiedy ona pragnie komplementów, musi
domagać się ich wcześniej – dopilnowywać, żeby dostała je z góry, jak kurwa
swoje pieniądze. Nawet jeśli bywają skromne. Tęskniłem za tobą, mógłby po-
wiedzieć. Albo: Nie mogę się tobą nasycić. Zamknął oczy, zgrzyta zębami, żeby
się opanować; ona słyszy je przy swojej szyi.

Potem musi się dopraszać.

Powiedz coś.

Na przykład co?

Na przykład co chcesz.

Powiedz mi, co chcesz usłyszeć.

Jeśli to zrobię, a potem ty to powiesz, to ci nie uwierzę.

No to czytaj między wierszami.

Przecież nie ma żadnych wierszy. Nic mi nie mówisz.

Wtedy mógłby zaśpiewać:

Och, włóż swój interes i wyjmij swój interes,

A dym i tak będzie ulatywał z komina.

Może być taki wiersz? – pyta.

Straszny z ciebie sukinsyn.

Nigdy nie twierdziłem, że nie.

Nic dziwnego, że uciekają się do opowieści.

Skreca w lewo obok szewca, idzie przed siebie, potem mija dwa domy. Da-
lej mała kamienica: Excelsior. Pewnie nazwano ją tak na cześć wiersza Hen-
ry’ego Wadswortha Longfellowa. Sztandar z dziwnym herbem, rycerz poświę-
cający wszystkie swoje ziemskie troski, by wspiąć się na szczyty. Na szczyty
czego? Kanapowej burżuazyjnej pobożności. Jakie to śmieszne, tu i teraz.

Excelsior zbudowano z czerwonej cegły, ma dwa piętra, cztery okna na każ-

dym piętrze, balkony z kutego żelaza – bardziej parapety niż balkony, nawet bez miejsca na krzesło. Niegdyś odrobinę lepszy od sąsiedztwa, teraz ludzie tutaj ledwie wiążą koniec z końcem. Na jednym z balkonów ktoś naprędce rozpiął sznur do bielizny; szara ścierka do naczyń wisi na nim jak flaga jakiegoś pokonanego pułku.

Mija budynek, potem przechodzi przez ulicę na następnym rogu. Tam się zatrzymuje i zerka w dół, jak gdyby coś przylepiło się jej do buta. W dół, a później za siebie. Nikt za nią nie idzie, nie ma żadnego wolno toczącego się samochodu. Krępa kobieta wspina się po schodach, w obu rękach trzyma siatki, jak balast. Dwaj obszarpani chłopcy gonią brzydkiego psa po chodniku. Żadnych mężczyzn z wyjątkiem trzech starych werandowych sępów, zgarbionych nad wspólnie czytaną gazetą.

Wtedy odwraca się i podąża po swoich śladach, a kiedy dochodzi do Excelsioru, nurkuje w alejkę obok i przyśpiesza, ze wszystkich sił starając się nie biec. Asfalt jest nierówny, jej obcasy zbyt wysokie. To kiepskie miejsce na skręcenie kostki. Teraz czuje się bardziej zagrożona, wystawiona na widok publiczny, chociaż nie ma tu okien. Jej serce bije mocno, nogi są słabe, miękkie. Opanowała ją panika, dlaczego?

Nie będzie go tam, mówi cichy głos w jej głowie; cichy, pełen cierpienia głos, żaloszny jak zawołanie mewy. Odszedł. Zabrali go. Nigdy więcej go nie zobaczysz. Nigdy. Prawie płacze.

To głupie, tak się samej straszyc. Ale mimo to tkwi w tym ziarno prawdy. Mógłby zniknąć łatwiej niż ona: ona ma stały adres, zawsze by wiedział, gdzie ją znaleźć.

Zatrzymuje się, podnosi nadgarstek, wdycha krzepiący zapach perfumowanego futra. Z tyłu są metalowe drzwi, drzwi dla służby. Puka lekko.

Ślepy zabójca: Stróż

Drzwi się otwierają, on tam jest. Ona nie ma czasu, by poczuć wdzięczność, już wciąga ją do środka. Stoją na podeście, na tylnych schodach. Nie ma światła, oprócz tego, które sączy się z okna gdzieś nad nimi. On ją całuje, trzyma jej twarz w dłoniach. Papier ścierny jego brody. Jego ciało drży, ale nie z podniecenia, albo nie tylko.

Ona się odsuwa: Wyglądasz jak bandyta. Nigdy nie widziała bandyty, myśli o tych w operach. O przemytnikach z *Carmen*. Obficie uczernionych spalonym korkiem.

Przepraszam, mówi on. Musiałem się szybko wynosić. To mógł być fałszywy alarm, ale zostawiłem parę rzeczy.

Na przykład brzytwę?

Między innymi. Chodź – to na dole.

Schody są wąskie; nie malowane drewno, mikroskopijna poręcz. Na dole cementowa podłoga. Zapach pyłu węglowego, przenikliwy podziemny odór, jak wilgotne kamienie w piwnicy.

To tutaj. Stróżówka.

Przecież nie jesteś stróżem, mówi ona, śmiejąc się cicho.

Jesteś?

Teraz jestem. Albo tak myśli gospodarz. Wpadł tu parę razy, wcześniej rano, żeby się upewnić, czy rozpałił w piecu, ale nie za wcześniej. Nie chce gorących lokatorów; letni są w sam raz. To niezbyt dobre łóżko.

Jednak to łóżko, mówi. Przekręć klucz.

Tu nie ma zamka.

Jest małe okienko, zakratowane, resztki zasłony. Wpada przez nie rdzawe światło. Podparli klamkę krzesłem, krzesłem niemal pozbawionym oparcia, prawie w drzazgach. Nie najlepsze zabezpieczenie. Leżą pod zapleśniałym kocem, na którym położyli płaszcze. O prześcieradle nawet nie ma co myśleć. Ona czuje jego żebra, wodzi palcami po skórze między nimi.

Co jadasz?

Nie męcz mnie.

Jesteś za szczupły. Mogłabym coś przynieść, jakieś jedzenie.

Ale nie za bardzo można na tobie polegać, co? Pewnie umarłbym z głodu, czekając, aż przyjdiesz. Nie martw się, wkrótce mnie tu nie będzie.

Gdzie? W tym pokoju, w mieście czy...

Nie wiem. Nie zrzedź.

To mnie interesuje, i tyle. Przejmuję się, chcę...

Przestań.

No cóż, mówi ona, może wrócimy na Zykron. Chyba że chcesz, żebym sobie poszła.

Nie. Zostań trochę. Przepraszam, jestem zdenerwowany. Na czym stanęliśmy? Zapomniałem.

Zastanawiał się, czy poderznąć jej gardło, czy kochać na wieki.

Zgadza się. Tak. Typowy wybór.

Zastanawia się, czy poderznąć jej gardło, czy kochać na wieki, kiedy – dzięki wrażliwemu słuchowi, którym obdarzyła go ślepotą – dobiega go metaliczne zgrzytanie i skrzypienie. Ogniwo łańcucha o ogniwo łańcucha, poruszające się kajdany. Coraz bliżej na korytarzu. On już wie, że Władca Podziemia jeszcze nie złożył opłaconej wizyty: zorientował się po stanie dziewczyny. Nie naruszonym, można by powiedzieć.

Co teraz robić? Mógłby się wśliznąć za drzwi albo pod łóżko, zostawić ją własnemu losowi, a potem pojawić się ponownie i dokończyć to, za co mu zapłacono. Ale w obecnych okolicznościach nie chce tego robić. Mógłby też poczekać, aż sprawy potoczą się ustalonym trybem i dworzanie będzie głuchy na otaczający go świat, po czym wymknąć się drzwiami. Wtedy jednak honor wszystkich ślepych zabójców – całej gildii, można powiedzieć – byłby zszargany.

Bierze dziewczynę za ramię i kładąc rękę na jej ustach, daje do zrozumienia, że musi uszanować ciszę. Potem sprowadza ją z łóżka i umieszcza za drzwiami. Upewnia się, że są otwarte, tak jak uzgodniono. Dworzanie nie będzie się spodziewał wartowniczeki: w umowie z Najwyższą Kapłanką zaznaczył, że nie życzy sobie świadków. Świątynna wartowniczka ma zniknąć, kiedy usłyszy jego kroki.

Ślepy zabójca wyciąga martwą kobietę spod łóżka i układa ją na narzucie, szalem zasłania cięcie na jej szyi. Jeszcze nie ostygła, przestała krwawić. Niedobrze, jeśli facet będzie miał jasną świecę; w innym wypadku w nocy wszystkie koty są czarne. Świątynne dziewice uczy się nie reagować. Może minąć sporo czasu, zanim mężczyzna – skrupowany ciężkim kostiumem boga, zazwyczaj z hełmem i osłoną – odkryje, że pieprzy nie tę kobietę, a w dodatku martwą.

Ślepy zabójca niemal całkiem zaciąga brokatowe zasłony wokół łóżka. Potem dołącza do dziewczyny, z całej siły przyciskając siebie i ją do ściany.

Ciężkie drzwi otwierają się ze skrzypieniem. Dziewczyna obserwuje rosnącą pod nimi plamę światła. Władca Podziemia najwyraźniej niezbyt dobrze widzi; wpada na coś, klnie. Teraz płacze się w zasłonach. Gdzie jesteś, moja piękna? – pyta. Nie zdziwi się, jeśli ona nie odpowie, zważywszy na dogodną oko-

liczność, jej niemotę.

Ślepy zabójca wysuwa się zza drzwi, wraz z nim dziewczyna. Jak mam zdjąć to cholerstwo? – mruczy do siebie Władca Podziemia. Oboje okrążają drzwi, po czym wypadają na korytarz, ręka w rękę, jak dzieci uciekające przed dorosłymi.

Za sobą słyszą krzyk, wściekłości lub przerażenia. Ślepy zabójca puszcza się pędem, jedną ręką dotykając ściany. W biegu wyciąga pochodnie z ich wsporników, ciska je za siebie w nadziei, że zgasną.

Zna Świątynię na wylot, dotykiem i węchem, na tym polega jego praca. Tak samo zna miasto, może po nim biegać jak szczur po labiryncie – zna przejścia, tunele, zakamarki i ślepe uliczki, nadproża, rowy i ścieki – nawet hasła, zazwyczaj. Teraz popycha marmurową płycinę – widnieje na niej płaskorzeźba Rozbitego Boga, patrona uciekinierów – i otacza ich ciemność. Wie to, bo dziewczyna się potyka, i po raz pierwszy przychodzi mu do głowy, że zabierając ją ze sobą, sam będzie poruszał się wolniej. Stanie mu na przeszkodzie jej zmysł wzroku.

Po drugiej stronie ściany jakieś stopy śpieszą przed siebie. Ślepy zabójca szepcze: Złap się mojej szaty, i dodaje niepotrzebnie: Nic nie mów. Znajdują się w sieci ukrytych tuneli, pozwalających Najwyższej Kapłance i jej kohortom poznać wiele cennych sekretów tych, którzy przychodzą do Świątyni spotkać się, zwierzyć Bogini czy pomodlić; muszą jak najprędzej się stąd wydostać. Przecież to miejsce Najwyższa Kapłanka zechce przeszukać na samym początku. Ślepy zabójca nie może ich wyprowadzić przejściem za obłuzowanym kamieniem w murze, przez które wszedł. Fałszywy Władca Podziemia może znać tę drogę, to on zaplanował zabójstwo i wyznaczył miejsce i czas, a teraz musiał się już domyślić zdrady ślepego zabójcy.

Wytlumiony przez gruby kamień, odzywa się gong z brązu. Ślepy zabójca słyszy go przez stopy.

Prowadzi dziewczynę od ściany do ściany, a potem w dół po stromych, wąskich schodach. Ona kwili ze strachu: obcięcie języka nie pozbawiło jej zdolności do płaczu. Szkoda, myśli on. Szuka nie używanego przepustu, wie, że tu jest, podnosi ją do niego, robiąc ze swoich dłoni strzemień, po czym sam podciąga się obok niej. Teraz muszą sięczołgać przez resztę drogi. Zapach nie jest przyjemny, ale to stary zapach. Zakrzepłe ludzkie wyziewy, zamienione w pył.

A teraz świeże powietrze. Wdycha je, sprawdza, czy poczuje dym z pochodni.

Czy widać gwiazdy? – pyta ją. Ona kiwa głową. Zatem nie ma chmur. Niedobrze. Na pewno świecą dwa z pięciu księżyców – to ta pora miesiąca – wkrótce dołączą do nich pozostałe trzy. Dwa są doskonale widoczne przez resztę nocy, a w świetle dnia się żarzą.

Świątynia nie zechce, aby historia ich ucieczki przedostała się do publicznej

wiadomości – straciłaby prestiż, mogłoby dojść do zamieszek. Na ofiarę przeznaczony się jakąś inną dziewczynę; skąd wezmą zasłonę, kto wie? Wielu będzie ich ścigać, po cichu, ale bezlitośnie.

Mógłby ich gdzieś ukryć, ale prędzej czy później musieliby wyjść po jedzenie i wodę. Sam by sobie jakoś poradził, ale nie z nią.

Zawsze może ją porzucić. Albo zasztyletować, wrzucić do studni.

Nie, nie może.

Pozostaje jeszcze melina zabójców. Tam wszyscy chodzą, gdy nie pracują, żeby poplotkować, podzielić się łupami i przechwalać swoimi postępkami. Jest zuchwale ukryta tuż pod salą sprawiedliwości w głównym pałacu. To głęboka jaskinia wyłożona dywanami – dywanami, które mordercy musieli tkać w dzieciństwie i które potem kradli. Znają ich dotyk i często na nich siadają, paląc wywołujące marzenia zioło *fring* i gładząc palcami wzory, przepyszne barwy, wspominając, jak owe barwy wyglądały, gdy jeszcze widzieli.

Tylko ślepym zabójcom wolno wchodzić do jaskini. Tworzą zamknięte społeczeństwo, do którego obcy trafiają jedynie w formie łupu. Poza tym zdradził swój fach, ocalił kogoś, za zabicie kogo mu zapłacono. To zawodowcy, ci zabójcy; szczytą się wypełnianiem zleceń, nie zniosą pogwałcenia swoich reguł. Zabijają go bez litości, i ją także, po pewnym czasie.

Jeden z jego kompanów może ich śledzić za opłatą. Wyślij złodzieja, by złapał złodzieja. Jeśli tak, prędzej czy później poniosą klęskę. Sam jej zapach ich wyda – wyperfumowali ją aż po same uszy.

Będzie musiał ją zabrać z Sakiel-Norn – z miasta, ze znajomego terytorium. To niebezpieczne, ale nie aż tak jak pozostanie tutaj. Być może zdoła zaprowadzić ich do portu, a potem na statek. Ale jak przemknąć przez bramy? Jest ich osiem, wszystkie zamknięte i strzeżone, jak każde nocny obyczaj. Sam mógłby się wspinać po murze – jego palce u nóg i rąk są przyczepne jak u gekona – ale z nią to się skończy katastrofą.

Istnieje inny sposób. Nasłuchując przy każdym kroku, sprowadza ją ze wzgórze, ku części miasta leżącej najbliżej morza. Wody wszystkich źródeł i fontann Sakiel-Norn łączą się w jeden kanał, a przez ten kanał woda wypływa poza mur miasta, łukowato sklepionym tunelem. Woda sięga powyżej głowy, a prąd jest wartki, więc nikt nie próbował dostać się do miasta w ten sposób. Ale czy uda się tak z niego wydostać?

Woda zabije zapach.

On umie pływać. To jedna z tych umiejętności, których uczą się zabójcy. Zakłada, słusznie, że dziewczyna nie umie. Każę jej zdjąć ubranie i zwinąć je w tobołek. Potem zrzuca świątynną szatę i przywiązuje ubranie do jej tobołka. Przymocowuje pakunek do swoich ramion i nadgarstków dziewczyny, mówi jej, że jeśli węzły się rozwiążą, nie może go puścić, cokolwiek by się działo. Kiedy dochodzą do sklepionego tunelu, ona wstrzymuje oddech.

Ptaki *nyerk* hałasują, słyszy ich poranne krakanie, wkrótce zrobi się jasno. Trzy ulice dalej ktoś idzie, pewnie, rozważnie, jak gdyby czegoś szukał. Ślepy zabójca na wół prowadzi, na wół wpycha dziewczynę do zimnej wody. Ona z trudem łapie oddech, ale robi to, co on jej każe. Płyną razem, on usiłuje wyczuć główny prąd, nasłuchuje szumu i bulgotu tam, gdzie woda wpada do tunelu. Za wcześniej i zabraknie im powietrza, za późno i uderzy głową w kamień. Potem nurkuje.

Woda jest mglista, nie ma kształtu, można włożyć w nią rękę; a jednak potrafi zabić. Jej siła leży w pędzie, w trajektorii. Zależy od tego, z czym się zderza i z jaką szybkością. To samo można powiedzieć o... – reszta nieważne.

Teraz długa, męcząca przeprawa. Myśli, że rozsadzi mu płuca, że jego ręce się poddadzą. Czuje, że wlecze ją za sobą, zastanawia się, czy utonęła. Przynajmniej prąd im sprzyja. Zawadza o ścianę tunelu, coś się rozrywa. Ubranie czy ciało?

Po drugiej stronie tunelu wyłaniają się na powierzchnię; ona kaszle, on cicho się śmieje. Trzyma jej głowę nad wodą, leżąc na plecach, i w ten sposób płyną przez pewien czas kanałem. Kiedy uznaje, że są wystarczająco daleko i dość bezpieczni, zatrzymuje się, wyciąga ją na stromy kamienny brzeg. Szuka cienia drzewa. Jest wyczerpany, ale także radosny, wypełniony dziwnym, bolesnym szczęściem. Ocalił ją. Okazał miłosierdzie, pierwszy raz w życiu. Kto wie, co może wyniknąć z opuszczenia raz obranej ścieżki?

Czy jest ktoś w pobliżu? – pyta. Ona zatrzymuje się i rozgląda, po czym kręci przecząco głową. Jakieś zwierzęta? Także nie. Rozwiesza ich ubrania na gałęziach drzewa, a potem, w blednym świetle szafranowego, heliotropowego i karmazynowego księżycy, zagarnia ją jak jedwab, tonie w niej. Jest chłodna jak melon i lekko słona jak świeża ryba.

Leżą w swoich ramionach, śpiąc głębokim snem, gdy potykają się o nich trzej szpiedzy wysłani na zwiady przez Ludzi Zniszczenia. Dziewczyna i mężczyzna zostają bez ceregieli obudzeni, a następnie przesłuchani przez jednego ze szpiegów, który włada ich językiem, choć daleko mu do doskonałości. Chłopiec jest ślepy, mówi szpieg pozostałym, a dziewczyna niema. Trzej szpiedzy dziwią się ich obecności. Skąd się tu wzięli? Z pewnością nie z miasta, wszystkie bramy są zamknięte. Wygląda na to, że spadli z nieba.

Odpowiedź jest oczywista: muszą być boskimi posłańcami. Szpiedzy z szacunkiem pozwalają im się ubrać w suche już stroje, sadzają ich na koniu i prowadzą na spotkanie ze Sługą Świętowania. Szpiedzy są z siebie niezwykle zadowoleni, a ślepy zabójca dobrze wie, że nie powinien wiele mówić. Słyszał pogłoski o tych ludziach i ich dziwacznej wierze w boskich posłańców. Podobno przekazują oni wiadomości w niezrozumiały sposób, więc próbuje sobie przypomnieć wszystkie zagadki, paradoksy i tajemnice: Droga w górę to droga w dół.

Co rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech? Całe życie tylko je i ginie z głodu. Co jest czarno-białe i całe czerwone?

To nie z Zykronu, oni nie mieli gazet.

Punkt dla ciebie. Wykreśl to. Może, silniejsze od Boga, gorsze od diabła; mają to biedni, nie mają bogaci, a gdy to zjesz, umrzesz?

To coś nowego.

Zgadnij.

Poddaję się.

Nic.

Ona myśli nad tym przez chwilę. Nic. Tak, mówi. To pasuje.

Kiedy ją, ślepy zabójca obejmuje ramieniem dziewczynę. Jak ją chronić? Ma pomysł, zaimprovizowany i zrodzony z rozpacz, ale tak czy inaczej, może się powieść. Zapewni ich, że oboje są boskimi posłańcami, ale innego rodzaju. On otrzymuje wiadomości od Niepokonanego, ale tylko ona potrafi je interpretować. Robi to za pomocą rąk, pisząc znaki palcami. Sposób odczytywania tych znaków zna tylko on. Doda, na wypadek gdyby przychodziły im do głowy jakieś paskudne pomysły, że żadnemu mężczyźnie nie wolno dotykać niemej dziewczyny w niewłaściwy sposób, w żaden sposób. Oprócz niego, oczywiście. Inaczej ona straci moc.

To niezawodne, tak długo jak długo tamci będą to kupować. Ma nadzieję, że dziewczyna szybko się zorientuje i że potrafi improwizować. Zastanawia się, czy ona zna jakieś znaki.

Dość na dziś, mówi on. Muszę otworzyć okno.

Ale jest tak zimno.

Mnie nie. Tu jest jak w szafie. Duszę się.

Dotyka jego czoła. Myślę, że coś złapałeś. Mogłabym pójść do apteki.

Nie. Nigdy nie choruję.

O co chodzi? Co się dzieje? Martwisz się.

Właściwie nie jestem zmartwiony. Nigdy się nie martwię. Ale nie ufam temu, co się dzieje. Nie ufam swoim przyjaciółom. Tak zwanym przyjaciółom.

Dlaczego? Co oni planują?

Nic. To właśnie problem.

Mayfair, luty 1936

NAJŚWIEŻSZE PLOTKI Z TORONTO

YORK

W połowie stycznia hotel Royal York zapelniał się egzotycznie ubranymi uczestnikami trzeciego w tym sezonie balu kostiumowego, z którego dochód zostanie przeznaczony na cele charytatywne. Zabawę zorganizowano w celu wspomnienia średnio-wiejskiej ochronki dla podzutek. Tegorocznym motywem przewodnim był „Xanadu” – to ukłon w stronę zeszłorocznego spektakularnego *Tamerlana w Samarkandzie*. Pod zręcznym kierownictwem pana Wallace'a Wynanta trzy przestronne sale balowe przekształciły się w „przepyszny pałac” niezrównanej doskonałości, w którym zamieszkiwali Kubla Chan oraz jego znamienite otoczenie. Cudzoziemscy potentaci ze Wschodu oraz ich świta – nałożnice, służba, tancerki i niewolnicy, jak również damy z cymbałami, kupcy, kurtyzany, fakirzy, żołnierze najróżniejszych narodowości oraz żebracy – oni wszyscy witali w okół niezwyklej fontanny „Alph, świętej rzeki”, zabarwionej na fioletowo za pomocą umocowanego na suficie reflektora, i pod błyszczącymi, kryształowymi girlandami w centralnie usytuowanej „pieczarze lodu”.

Tańce trwały również w dwóch przylegających domkach ogrodowych, przepelnionych kwiatami. Orkiestry jazzowe w każdej sali balowej prezentowały „pomieszany dźwięk”. Nie usłyszeliśmy żadnego „głosu przodków, który do wojny zapala”, w wszystko bowiem komponowało się harmonijnie dzięki żelaznej ręce pani Winifred Griffen Prior, organizatorce balu, doskonale prezentującej się w szkarłatach i złocie jako księżniczka z Radżastanu. W komitecie balowym zasiadali także pani Richardowa Chase Griffen, dziewczeczka z Abisynii w zieleni i srebrze, pani Oliverowa MacDonnell w chińskich czerwieniach oraz pani Hugh N. Hillertowa, imponująca jako sułtanka w karmazynowym stroju.

Ślepy zabójca: Kosmici na lodzie

Teraz jest w innym miejscu, w pokoju, który wynajął nieopodal stacji węzłowej. Mieści się on nad sklepem z artykułami żelaznymi. W oknie urządzono małą wystawę kluczy i zawiasów. Interes nie idzie najlepiej: nic w okolicy nie idzie najlepiej. W powietrzu unosi się pył, zmięty papier na ziemi; chodniki są niebezpieczne przez lód, zasypany śniegu, którego nikt nie uprząta.

Pociągi stukoczą żałośnie i toczą się po torach, ich gwizd niknie w oddali. Nigdy witaj, zawsze żegnaj. Mógłby wskoczyć do jednego z nich, ale to ryzyko; przeszukują je, choć nigdy nie wiadomo kiedy. I tak teraz jest przykuty do tego miejsca – powiedzmy to wprost – z jej powodu. Chociaż, podobnie jak pociąg, ona nigdy nie zjawia się na czas i zawsze go opuszcza.

Pokój znajduje się na pierwszym piętrze, wchodzi się po tylnych schodach pokrytych wytartym gumowanym bieżnikiem, przynajmniej jest osobne wejście. Chyba że liczyć młodych ludzi z niemowlakiem po drugiej stronie ściany. Korzystają z tych samych schodów, ale rzadko ich widuje, za wcześnie wychodzą. Słyszy ich jednak o północy, kiedy usiłuje pracować; robią to tak zapamiętale, jakby to była ostatnia okazja, ich łóżko skrzypi jak opętane. To go doprowadza do szału. Można by pomyśleć, że jeden wrzeszczący bachor, którego spłodzili, ich zniechęci, ale skąd, dalej galopują. Przynajmniej są szybcy.

Czasem przykładła ucho do ściany, żeby posłuchać. Na bezrybiu i rak ryba. Nocą wszystkie koty są czarne.

Dwukrotnie wpadł na kobietę, okutaną jak rosyjska matrioszka, męczącą się z paczkami i spacerówką dla dziecka. Trzymają ten sprzęt na podjeździe na parterze, gdzie czeka jak jakaś kosmiczna śmiertelna pułapka z otwartą czarną paszczą.

Kiedyś pomógł kobiecie, a ona uśmiechnęła się do niego niepewnie, jej drobne zęby zaśniły niebiesko na krawędziach, jak mleko zbierane. Czy moja maszyna do pisania nie przeszkadza państwu w nocy? – zaryzykował – robiąc aluzję, że wtedy nie śpi, że podsłuchuje. Ani trochę. Obojętne spojrzenie, puste jak u krowy. Ciemne koła pod oczyma, pionowe zmarszczki od nosa do kącików ust. Wątpi, żeby to ona inicjowała te wieczorne zabawy. Po pierwsze, trwają zbyt krótko – facet wpada i wypada jak złodziej bankowy. Ona ma na czole wypisane: „Wól roboczy”; pewnie wpatruje się w sufit i myśli o umyciu podłogi.

Jego pokój powstał dzięki podzieleniu większego pomieszczenia na dwa, co tłumaczy cienką ścianę. Jest wąski i zimny: wieje od okna, grzejnik brzęczy i kapie, ale nie daje ciepła. W jeden chłodny róg wciśnięto ubikację, stara uryna i plamy rdzy zabarwiły muszlę na jadowity oranż, oraz cynowy prysznic z gumo-

wą zasłoną, brudną ze starości. Prysznic to czarny wąż biegnący wzdłuż jednej ze ścian, z okrągłą główką dziurkowanego metalu. Woda, która czasem z niego wycieka, jest zimna jak ręka trupa. Składane łóżko, nieudolnie zmontowane, więc on musi się nieźle napocić przy jego rozkładaniu; blat ze sklejki zбитy gwoździami i dawno temu pomalowany na żółto. Jednopalnikowa kuchenka. Nędza okrywa wszystko jak sadza.

W porównaniu z tym, gdzie mógłby być, to pałac.

Opuścił swoich kumpli. Porzucił ich, nie zostawił adresu. Załatwienie paszportu czy dwóch paszportów, które mu są potrzebne, nie powinno trwać tak długo. Ma wrażenie, że trzymali go w zapasie jako ubezpieczenie: gdyby złapano kogoś cenniejszego dla nich, mogliby go wymienić. Może i tak planowali go wydać. Dobrze by się nadawał na kozła ofiarnego: był zbędny, nigdy nie pasował do ich poglądów. Komunista, ale jedynie sympatyk, a nie członek partii. Nie podobala im się jego erudycja; nie podobał im się jego sceptycyzm, który niesłusznie brali za beztroskę. To, że Smith nie ma racji, nie znaczy, że ma ją Jones, powiedział kiedyś. Pewnie zapamiętali to do późniejszego wykorzystania. Mają swoje listy.

Może chcieli własnego męczennika, swojego Sacco i Vanzettiego{34} w jednej osobie. Powiesiliby go na sznurze, ale zanim w gazetach ukazałaby się niegodziwa twarz czerwonego, ujawniliby jakiś dowód jego niewinności – zapisaliby na swoim koncju kilka punktów moralnego oburzenia. „Patrzcie, co robi system! Jawne morderstwo! Żadnej sprawiedliwości”. Oni tak myślą, towarzysze. To gambit. On będzie poświęconym pionkiem.

Podchodzi do okna, wygląda. Sople jak brązowawe kły zwisają za szybą, nabierając koloru papy na dachu. Myśli o jej imieniu, o otaczającej je seksualnej aurze – seksualnym buzowaniu, jak niebieski neon. Gdzie ona jest? Nie weźmie taksówki, nie dojedzie nią aż tutaj, na to jest za bystra. Wpatruje się w przystanek tramwajowy, mając nadzieję, że ona się zmaterializuje. Wyłoni się jej noga w bucic na wysokim obcasie z najlepszego pluszu. Dziwka na szczudłach. Dlaczego tak myśli, skoro gdyby powiedział to jakiś inny mężczyzna, uderzyłby sukinsyna?

Będzie miała na sobie futro. Pogardza nią za to, poprosi, żeby go nie zdejmowała. Futro przez cały czas.

Kiedy ostatnio ją widział, miała siniaka na udzie. Żałował, że sam jej go nie nabił. Co to? Wpadłam na drzwi. Zawsze wie, kiedy ona kłamie. Albo myśli, że wie. Takie myślenie może być pułapką. Były profesor powiedział mu kiedyś, że ma intelekt twardy jak diament, i wtedy mu to pochlebilo. Teraz zastanawia się nad naturą diamentów. Choć ostre, lśniące i przydatne do rżnięcia szkła, świecą wyłącznie odbitym światłem. W ciemnościach są bezużyteczne.

Dlaczego ona wciąż się pojawia? Czy traktuje go jak jakąś osobistą rozgrywkę, czy o to chodzi? Nie pozwoli jej za nic płacić, nie da się kupić. Chce od niego historii miłosnej, bo tego chcą dziewczyny, albo dziewczyny takie jak ona, które wciąż oczekują czegoś od życia. Ale musi istnieć jeszcze inny punkt widzenia. Pragnienie zemsty albo ukarania kogoś. Kobiety mają dziwne sposoby ranienia innych. W rezultacie ranią się same albo ranią tak, że facet bardzo długo nawet nie wie, że został zraniony. W końcu się orientuje. Opada mu kutas. Mimo tych oczu, czystej linii jej gardła, czasem przelotnie widzi w niej coś skomplikowanego i nieczystego.

Lepiej jej nie wymyślać pod jej nieobecność. Lepiej poczekać, aż rzeczywiście przyjdzie. Wtedy wymyśli ją, gdy będzie szła.

Ma stolik do brydża z pchłego targu i jedno składane krzesło. Siada przy maszynie do pisania, chucha na palce i wkręca papier.

Na lodowcu w Alpach Szwajcarskich (albo w Górach Skalistych – lepiej, czy na Grenlandii – jeszcze lepiej) badacze odnaleźli – uwięziony w potoku czystego lodu – pojazd kosmiczny. Ma kształt małego sterowca, ale na końcach jest zaostrowany jak strąki piżmianu. Jaki kolor ma ta poświata? Najlepszy jest zielony, z domieszką żółci, jak absynt.

Badacze rozpuszczają lód, za pomocą czego? Przypadkiem mają przy sobie lampę lutowniczą? Dużego ogniska z pobliskich drzew? Skoro drzew, to trzeba wrócić w Góry Skaliste. Na Grenlandii nie ma drzew. Może dałoby się wykorzystać olbrzymi kryształ, który skupiłby promienie słońca. Harcerze – przez chwilę sam był jednym z nich – uczyli się tej metody rozpalania ognisk. Kiedy nie patrzył na nich drużynowy, jowialny, zasmucony mężczyzna o różowej twarzy, wielbiciel wspólnych śpiewów i toporków, nakierowywali lupy na swoje nagie ramiona, żeby sprawdzić, kto najdłużej wytrzyma. W ten sposób podpalali igły i kawałki papieru toaletowego.

Nie, gigantyczny kryształ byłby zbyt nieprawdopodobny.

Stopniowo rozpuszczają lód. X, który będzie oschłym Szkotem, ostrzega ich, żeby się nie mieszać, bo nic dobrego z tego nie wyniknie, ale Y, angielski naukowiec, mówi, że muszą powiększyć zasoby ludzkiej wiedzy, podczas gdy Z, Amerykanin, utrzymuje, że zarobią miliony. B, która jest dziewczyną o jasnych włosach i wydętych, wyglądających na opuchnięte ustach, mówi, że to bardzo ekscytujące. Jest Rosjanką, wszyscy myślą, że wierzy w wolną miłość. X, Y i Z tego nie sprawdzili, ale wszyscy by chcieli – Y podświadomie, X z poczuciem winy, a Z prymitywnie.

Zawsze na początku określa bohaterów literami, potem wpisuje imiona. Czasem korzysta z książki telefonicznej, czasem z napisów na nagrobkach. Kobieta to zawsze B, co oznacza Bajeczne Bóstwo, Bezmyślną Babę, Bombowy Biust, w zależności od nastroju. Albo Boską Blondynkę, rzecz jasna.

B sypia w osobnym namiocie i ma zwyczaj zapominać rękawiczek oraz spacerować nocą po okolicy, wbrew rozkazom. Robi uwagi o pięknie księżycy i o harmonii wycia wilków, jest w doskonałej komitywie z psami zaprzęgowymi, gaworzy z nimi po rosyjsku i twierdzi (wbrew swojemu oficjalnemu materializmowi naukowemu), że mają dusze. Będzie kłopot, jeśli zabraknie żywności i będą zmuszeni zjeść któregoś, uznał X na swój pesymistyczny, szkocki sposób.

Badacze uwalniają z lodu jarzący się, przypominający kokon kształt, ale mają jedynie kilka minut na obejrzenie materiału, z którego go wykonano – cienki stop metalu, nie znany człowiekowi – zanim wyparuje, zostawiając po sobie zapach migdałów albo paczuli, albo palonego cukru, albo siarki, albo cyjanku. Ich oczom ukazuje się humanoidalna postać, z pewnością płci męskiej, ubrana w obcisły kombinezon w zielonkawo-niebieskim kolorze jak pióra pawia, połyskliwy jak skrzydła żuków. Nie. Za bardzo bajkowe. Ubrana w obcisły kombinezon w zielonkawoniebieskim kolorze jak płomień gazowy, połyskliwy jak benzyna rozlana na wodę. Obcego wciąż pokrywa lód, który musiał się uformować pod kokonem. Obcy ma jasnozieloną skórę, nieco spiczaste uszy, szczupłe biodra, jak wyrzeźbione, i duże oczy, otwarte. To przede wszystkim źrenice, jak u sowy. Jego włosy mają ciemniejszy odcień zieleni i przylegają w mocno skręconych lokach do znacząco spiczastej czaszki.

Niewiarygodne. Istota z kosmosu. Kto wie, jak długo tu leżała? Dziesiątki lat? Setki? Tysiące?

Z pewnością nie żyje.

Co mają zrobić? Wyciągają blok lodu, który otacza kosmitę, i pogrążają się w dyskusji. (X mówi, że powinni teraz go zostawić i zadzwonić do władz; Y chce na miejscu przeprowadzić sekcję, ale pozostali przypominają mu, że obcy może wyparować jak statek; Z chce go zawieźć na sankach do cywilizacji, a potem zapakować w suchy lód i sprzedać temu, kto najwięcej zapłaci; B zauważa, że psy zaprzęgowe przejawiają niezdrowe zainteresowanie i zaczęły skowyczeć, ale zostaje zlekceważona ze względu na swój przesadny, rosyjski, kobiecy sposób przedstawiania spraw). W końcu – teraz jest już ciemno i zorza polarna zachowuje się w szczególny sposób – decydują się umieścić go w namiocie B. B będzie musiała spać w innym namiocie, z trzema pozostałymi mężczyznami, co pozwoli na odrobinę podglądactwa w blasku świateł, gdyż B potrafi wypełnić sobą kombinezon do wspinaczki, a także śpiwór. W nocy będą zaciągali czterogodzinne warty, na przemian. Rano rzucą kostką, żeby podjąć ostateczną decyzję.

Wszystko idzie dobrze podczas warty X, Y i Z. Nadchodzi kolej B. Kobieta twierdzi, że ma złe przeczucia, podejrzewa, że coś pójdzie nie tak. Ponieważ często tak mówi, ignorują ją. Dopiero co obudzona przez Z, który obserwował z pożądaniem, jak się przeciągała i gramoliła ze śpiwora, a potem wślizgiwała w kombinezon ochronny, zajmuje miejsce w namiocie wraz z zamarznąłą istotą.

Drżący płomień świecy wprawia ją w rozmarzenie, zastanawia się, jak zachowywałby się zielony mężczyzna w romantycznej sytuacji – ma atrakcyjne brwi, chociaż jest taki szczupły. Przysypia.

Stworzenie pokryte lodem zaczyna się jarzyć, początkowo delikatnie, potem coraz silniej. Woda splywa cicho na podłogę namiotu. Teraz lód już zniknął. Mężczyzna siada, później wstaje. Ciemnozielone włosy na jego głowie, lok po loku, ruszają się, a potem wyprostowują, macka – jak się okazuje – po macce. Jedna owija się wokół gardła dziewczyny, druga wokół jej obfitych wdzieków, trzecia zaciska się na jej ustach. Ona budzi się jak z sennego koszmaru, ale to nie koszmar: twarz przybysza z kosmosu jest blisko jej twarzy, zimne macki trzymają ją w mocnym uścisku, obcy wpatruje się w nią z niespotykaną tęsknotą i pożądaniem, czystym, nagim pragnieniem.

Żaden śmiertelnik nigdy nie patrzył na nią tak intensywnie. B walczy przez chwilę, po czym poddaje się temu uściskowi.

Nie ma innego wyboru.

Zielone usta się otwierają, odsłaniają kły. Zbliżają się do jej szyi. Kocha ją tak bardzo, że ją wchłonie – uczyni z niej część siebie, na zawsze. Staną się jednością. Ona rozumie to bez słów, gdyż ów dżentelmen jest obdarzony zdolnością telepatii. Tak, wzdycha B.

Zwija sobie kolejnego papierosa. Pozwoli, żeby B została zjedzona i wypita w ten sposób? Czy też psy zaprzęgowe przejmą się jej ciężkim położeniem, zerwą się ze smyczy i rozerwą tego faceta na strzępy, macka po macce? Czy ktoś z pozostałych – stawia na Y, chłodnego angielskiego naukowca – pośpieszy jej na ratunek? Czy wywiąże się walka? To mogłoby być dobre. Głupcze! Mogłem cię wszystkiego nauczyć, nada telepatycznie przybysz do Y, tuż przed śmiercią. Jego krew będzie miała niehumaniczny kolor. Pomarańczowy byłby dobry.

A może zielony facet wymieni płyny ustrojowe z B i ona stanie się taka jak on – udoskonalona, zielonkawa wersja samej siebie. Wtedy będzie ich dwoje i zrobią z innych galaretkę, zdekapitują psy i wyruszą na podbój świata. Bogate, tyrańskie miasta muszą zostać zniszczone, pełni cnoty biedni uwolnieni. Jesteśmy młotem Pana, ogłoszą. Będą w posiadaniu Śmiertelnego Promienia, stworzonego dzięki wiedzy przybysza z kosmosu, a także paru kluczy i zawiasów z pobliskiego sklepu z częściami, więc kto im się sprzeciwi?

A może kosmita wcale nie wypije krwi B – może wślizgnie się w dziewczynę. Jego własne ciało wyschnie jak winogrono, sucha, pomarszczona skóra zamieni się we mgłę i rano nie zostanie po nim żaden ślad. Trzej mężczyźni natkną się na B, przecierającą zaspane oczy. Nie wiem, co się stało, powie ona, a ponieważ nigdy nie wie, uwierzą. Może mieliśmy halucynacje, stwierdzą. To Północ, zorza polarna – mieszają ludziom w głowach. Zagęszczają ludziom krew tym zimnem. Nie zauważają ultrainteligentnego, kosmicznego błysku zieleni

w oczach B, które i tak są zielone. A jednak psy się domyślą. Wyczują zmianę. Będą warczeć ze skulonymi uszami, potem tęsknie wyć, i już nie będą jej przyjaciółmi. Co wstąpiło w te psy?

To mogłoby się rozwinąć na tak wiele sposobów.

Zmaganie się, walka, ratunek. Śmierć kosmity. Po drodze podrą się ubrania. Zawsze się drą.

Dlaczego wypisuje te bzdury? Bo musi – inaczej byłby kompletnie splukany, a szukanie innego zatrudnienia przy tej stacji węzłowej wypchnęłoby go na świat bardziej, niż to wskazane. Także dlatego, że potrafi. Dysponuje taką umiejętnością. Nie każdy może to powiedzieć, wielu próbowało, wielu zawiodło. Kiedyś miał większe ambicje, poważniejsze. Opisać ludzkie życie takie, jakie naprawdę jest. Zejść na najniższy poziom, poziom głodowych płac, chleba ze smalcem, groszowych, opłacanych z góry dziwek o twarzach jak z żużlu, butów na twarzy i rzygania w rynsztoku. Obnażyć działanie systemu, maszyny, tego, jak trzyma cię przy życiu, póki masz trochę sił, jak cię zużywa, zamienia w koło zębate albo pijaka, wciska ci twarz w gnój, w taki czy inny sposób.

Jednakże przeciętny pracujący człowiek nie przeczytałby czegoś takiego – ten pracujący człowiek, który zdaniem towarzyszy jest z natury szlachetny. Ci faceci wolą jego książki. Tanie, warte grosze, o szybkiej akcji, z mnóstwem cyców i dup. Nie znaczy to, że można wydrukować słowa „cyce” i „dupa”, czytała są zadziwiająco pruderyjne. Piersi i siedzenie to najwięcej, na co można sobie pozwolić. Krew i kule, jelita, krzyki i skręcanie się z bólu, ale żadnej pełnej nagości. Żadnego brzydkiego języka. Może to nie pruderia, może po prostu wy dawnictwa nie chcą zostać zamknięte.

Zapala papierosa, zaczaja się, wygląda przez okno. Żużel przyciemnia śnieg. Zgrzytając, przejeżdża tramwaj. On się odwraca, czai, gniazda ze słów w jego głowie.

Patrzy na zegarek, ona znowu się spóźnia. Nie przyjdzie.

VII

Kufer podróżny

Jedyny sposób, żeby napisać prawdę, to założyć, że to, co się spisze, nigdy nie zostanie przeczytane. Nie tylko przez kogoś innego, ale także przez ciebie, w przyszłości. Inaczej zaczynasz się usprawiedliwiać. Trzeba postrzegać pisanie jak długą spiralę atramentu, wydobywającą się z palca wskazującego prawej ręki; trzeba traktować lewą rękę jak gumkę do wycierania.

Niemożliwe, oczywiście.

Popuszczam linę, popuszczam linę, tę czarną nić przędę na stronie.

Wczoraj przyszła do mnie paczka: nowe wydanie *Ślepego zabójcy*. Ten egzemplarz to jedynie uprzejmość: nie idą za tym żadne pieniądze, przynajmniej nie dla mnie. Teraz książka stała się własnością publiczną i może ją wydrukować dosłownie każdy, więc majątek Laury się nie powiększy. Tak się właśnie dzieje po upływie pewnej liczby lat od śmierci autora: traci się kontrolę. Książka jest gdzieś w świecie, powielana w Bóg wie ilu postaciach, bez mojego zezwolenia.

Artemesia Press, tak się nazywa wydawnictwo, jest z Anglii. To chyba ci, którzy chcieli, żebym napisała wstęp, i którym, oczywiście, odmówiłam. Pewnie zarządza nim gromada kobiet, skoro tak się nazywa. Zastanawiam się, o którą Artemizję im chodziło – perską panią generała, która podkuiliła ogon, kiedy zaczęła przegrywać bitwę, czy też o rzymską matronę, która zjadła prochy zmarłego męża, tak by jej ciało stało się jego żywą urną? Pewnie o zgwałconą renesansową malarzkę⁽³⁵⁾; tylko o tej się dzisiaj pamięta.

Książka leży na kuchennym stole. Zapomniane arcydzieła dwudziestego wieku – napisano kursywą pod tytułem. Laura była „modernistką”, informuje nas tekst na skrzydełku. Znajdowała się „pod wpływem” takich pisarek jak Djuna Barnes, Elizabeth Smart, Carson McCullers – auterek, których Laura z całą pewnością nie czytała. Rysunek na okładce nie jest jednak najgorszy. Płowięjący brązowawy fiolet, wygląda jak fotografia: kobieta w halce, przy oknie, widziana przez firankę, z twarzą ukrytą w cieniu. Za nią fragment męzczyzny, ramię, dłoń, tył głowy. Całkiem odpowiednie, jak mniemam.

Uznałam, że nadszedł czas, żebym zadzwoniła do swojego adwokata. Czy też nie do swojego prawdziwego adwokata. Nie do tego, którego uważałam za swojego, tego, który załatwiał sprawę z Richardem, który tak heroicznie walczył z Winifred, choć na próżno – on umarł kilkadziesiąt lat temu. Od tamtego czasu przekazywano mnie sobie z rąk do rąk w obrębie firmy, jak jakiś ozdobny

srebrny imbryk, ofiarowywany kolejnemu pokoleniu na każdym ślubie, ale przez nikogo nie używany.

– Proszę z panem Sykesem – powiedziałam do dziewczyny odbierającej telefon, pewnie recepcjonistki. Wyobraziłam sobie jej paznokcie, szpiczaste i w kolorze bordo. Ale może to niewłaściwe paznokcie dla współczesnej recepcjonistki. Może są lodowato niebieskie.

– Przykro mi, pan Sykes jest na spotkaniu. A kto dzwoni?

Równie dobrze mogli zatrudnić robota.

– Iris Griffen – powiedziałam swoim najlepszym, twardym jak skała głosem. – Jestem jedną z jego najstarszych klientek.

Nic to nie dało. Pan Sykes wciąż był na zebraniu. Najwyraźniej to zajęty młodzieniec. Dlaczego myślę o nim jak o młodzieńcu? Musi mieć po pięćdziesiątce – być może urodził się w tym samym roku, w którym zmarła Laura. Czy rzeczywiście Laura nie żyje już od tak dawna, że zdążył się narodzić i dojrzeć adwokat? To kolejna z tych rzeczy, które muszą być prawdą, bo wszyscy tak twierdzą, chociaż mnie się wydaje inaczej.

– Mogę przekazać panu Sykesowi, o co chodzi? – spytała recepcjonistka.

– O mój testament – powiedziałam. – Zamierzam go napisać. Często powtarzał mi, że powinnam. (Kłamstwo, ale chciałam utrwalić w jej łatwo dekoncentrującym się umyśle fakt, że pan Sykes i ja znamy się jak łyse konie). O to, i jeszcze o kilka spraw. Wkrótce powinnam przyjechać do Toronto, żeby się z nim skonsultować. Może do mnie zadzwoni, kiedy znajdzie chwilę.

Wyobraziłam sobie pana Sykesa, jak dostaje tę wiadomość; wyobraziłam sobie dreszcz biegnący mu po karku, gdy próbuje przypomnieć sobie moje nazwisko i wreszcie mu się to udaje. Jakby słyszał głos z tamtego świata. To się czuje – nawet ja to czuję – kiedy napotyka się w gazetach drobne wzmianki dotyczące ludzi niegdyś popularnych, sławnych albo nie cieszących się dobrą sławą i dawno uznanych za zmarłych. Jednak okazuje się, że wciąż żyją, w jakiejś wyschniętej, ponurej formie, oblepieni skorupą lat, jak żuki pod kamieniem.

– Oczywiście, pani Griffen – powiedziała recepcjonistka. – Dopilnuję, żeby się z panią skontaktował.

Muszą brać lekcje – lekcje wymowy – żeby osiągnąć odpowiednią mieszankę uznania i pogardy. Dlaczego jednak narzekam? Tę umiejętność sama kiedyś opanowałam.

Odłożyłam słuchawkę. Bez wątplenia nie obejdzie się bez uniesionych brwi pana Sykesa i jego młodych, łysiejących, prowadzących mercedesy, brzuchatych przyjaciół: Co ta stara ropucha może mieć do zostawienia?

Co takiego, o czym warto wspominać?

W rogu mojej kuchni stoi kufer podróży oklejony zniszczonymi naklejkami. To część kompletu z mojej ślubnej wyprawy – niegdyś z jasnożółtej kozłej skóry,

teraz wypłwiała, stalowe okucia zniszczone i brudne. Nie otwieram go, klucz leży w zakręconym słoju z płatkami owsianymi. Puszki na kawę czy cukier byłby zbyt oczywiste.

Siłowałam się z zakrętką od słoja – muszę pomyśleć o jakimś lepszym, bardziej dostępnym schowku – i w końcu go otworzyłam, po czym wyciągnęłam klucz. Ukłękłam z wysiłkiem, obróciłam klucz w zamku, uniosłam pokrywę.

Nie otwierałam kufra od dłuższego czasu. Zapach starego papieru przypominający palone jesienią liście uniósł się na moje powitanie. Tu leżą wszystkie zeszyty w tanich, tekturowych okładkach, jak sprasowane trociny. A także masywny obowiązek starym kuchennym sznurkiem. No i listy do wydawców – ode mnie, oczywiście, nie od Laury, wtedy już nie żyła – i korekty. Oraz pełne nienawiści listy z okresu, zanim przestałam je przechowywać.

Ponadto pięć egzemplarzy pierwszego wydania w papierowych obwolutach, wciąż w idealnym stanie – tandetne, ale tuż po wojnie takie były obwoluty. Kolory to jaskrawy oranż, spłwiała fiolet, cytrynowa zieleń, na lichym papierze, z okropnym obrazkiem – pseudo-Kleopatra z bulwiastymi zielonymi piersiami, obrysowanymi czarnym ołówkiem oczami, fioletowym naszyjnikiem od pępka do brody, odętymi pomarańczowymi ustami, wynurzająca się jak dżin ze snującego się dymu fioletowego papierosa. Kwas wżera się w kartki, zabójcza okładka płowieje niczym pióra wypchanego tropikalnego ptaka.

(Otrzymałam sześć darmowych egzemplarzy – nazywano je egzemplarzami autorskimi – ale jeden podarowałam Richardowi. Nie wiem, co z nim zrobił. Podejrzewam, że go podarł, zawsze darł te papiery, których nie chciał. Nie – teraz sobie przypominam. Książkę znaleziono z nim na łodzi, na stole w kambuzie, obok jego głowy. Winifred odesłała mi ją z dopiskiem: „Patrz, co zrobiłaś!” Wyrzuciłam książkę. Nie chciałam obok siebie niczego, co kiedykolwiek dotykało Richarda).

Często się zastanawiałam, co z tym wszystkim zrobić – z tym ukrytym składem różności, tym małym archiwum. Nie mogę się zmobilizować, żeby to sprzedać, ale nie mogę też tego wyrzucić. Jeśli niczego nie zrobię, decyzję będzie musiała podjąć Myra, sprzątając po mnie. Po pierwszej chwili szoku – zakładając, że zacznie czytać – bez wątpienia dojdzie do darcia i rozrywania. Potem przyłożona zapalka i tyle. Uznałaby, że to lojalność; tak właśnie postąpiłaby Reenie. Dawniej kłopoty pozostawały w rodzinie, która wciąż jest dla nich najlepszym miejscem, co nie znaczy, że w ogóle istnieje jakieś dobre miejsce na kłopoty. Po co znowu wszystko mącić po tylu latach, skoro wszyscy zainteresowani leżą grzecznie, jak zmęczone dzieci, w grobach?

Może powinnam zostawić ten kufer i jego zawartość uniwersytetowi albo bibliotece. Tam przynajmniej by to docenili, w nieco upiorny sposób. Niejeden uczoney chciałby wbić swoje szpony w te nie wykorzystane papiery. Materiały, tak by to nazwali – tak nazywają łupy. Muszą mnie uważać za staroświeckiego

starego smoka, rozkraczonego nad nielegalnie zdobytymi zbiorami – za ponurego psa ogrodnika, zasuszoną, cenzurującą klawiszkę, wąskoustą strażniczkę kluczy, pilnującą lochu, w którym tkwi wygłodzona, przykuta do ściany Laura.

Przez lata bombardowali mnie pismami, żądając listów Laury – żądając rękopisów, pamiętek, wywiadów, anegdot – wszystkich makabrycznych szczegółów. Na te natrętne listy miałam zwyczaj układać dosadne odpowiedzi:

„Droga panno W., moim zdaniem, Pani plan zorganizowania »Ceremonii Pamięci« na moście, na którym rozegrała się tragiczna śmierć Laury Chase, jest jednocześnie niesmaczny i makabryczny. Chyba Pani oszalała. Myślę, że cierpi Pani na samozatrucie. Proszę spróbować lewatywy”.

„Drogi Panie X., zwróciłam uwagę na Pana list z zaproponowanym tematem pracy, choć trudno powiedzieć, żeby tytuł miał dla mnie jakiś sens. Bez wątpienia dla Pana też nie, bo by go Pan nie zaproponował. Nie mogę Panu służyć pomocą. Poza tym nie zasłużył Pan na nią. »Dekonstrukcja« kojarzy się z kulą do wyburzania, a czasownik »problematyzować« nie istnieje”.

„Drogi doktorze Y., w związku z Pańskim badaniem teologicznych implikacji w *Ślepy zabójcy*, wiara mojej siostry była bardzo żarliwa, ale trudno ją nazwać konwencjonalną. Laura nie lubiła Boga ani Go nie aprobowała, nie twierdziła też, że rozumie Boga. Mówiła, że kocha Boga, z ludźmi zaś było inaczej. Nie, nie była buddystką. Proszę nie pisać bzdur. Proponuję, żeby nauczył się Pan czytać”.

„Drogi Profesorze Z., wzięłam pod uwagę Pana opinię, że biografię Laury Chase należało napisać o wiele wcześniej. Być może Laura jest, jak Pan twierdzi, »jedną z naszych najważniejszych pisarek połowy wieku«. Nie wiem. Jednak moja współpraca przy tym, co Pan nazywa swoim »projektem«, jest wykluczona. Nie mam zamiaru zaspokajać Pana żądy fiolek zakrzepłej krwi i odciętych palców świętych.

Laura Chase nie jest Pana »projektem«. Była moją siostrą. Nie życzyłyby sobie, żeby obmacywano ją po śmierci, jakkolwiek eufemistycznie by nazwać to obmacywanie. Napisanie pewnych rzeczy może wyrządzić mnóstwo szkód. Ludzie zbyt często nie biorą tego pod uwagę”.

„Droga Panno W., to już Pani czwarty list na ten sam temat. Proszę mnie nie męczyć. Jest Pani nudziarą”.

Przez dziesiątki lat czerpałam ponurą satysfakcję z tych jadowitych gryzmołów. Lubiałam lizać znaczki, a potem wrzucać listy, niczym liczne ręczne granaty, do

łśniących czerwonych skrzynek, czując się tak, jakbym zamykała usta jakiemuś przejętemu, chciwemu szperaczowi. Ostatnio jednak przestałam na nie odpowiadać. Po co dokuczać nieznanym? Ich nie obchodzi, co o nich myślę. Dla nich jestem jedynie dodatkiem: dziwną, nadprogramową ręką Laury, nie doczeptioną do żadnego ciała – ręką, która przekazuje Laurę światu, im samym. Mają mnie za składnicę – żyjące mauzoleum, „źródło”, jak oni to nazywają. Dlaczego miałabym wyświadczać im jakieś przysługi? Moim zdaniem, to padlinożercy – hieny, cała chmara hien, szakale na tropie padliny, kruki polujące na zabite na drogach zwierzęta, ścierwojady. Chcą mnie skubać, jakbym była stertą kości, w poszukiwaniu resztek metalu i rozbitych garnków, w poszukiwaniu kawałków tabliczek z pismem klinowym, fragmentów papiirusu, w poszukiwaniu dziwnych, zagubionych zabawek, złotych zębów. Gdyby podejrzewali, co tu mam, wyłamałoby zamki, wyważyli drzwi i się wdarli, powalili mnie ciosem w głowę i uciekli z łupem, i czuliby się więcej niż usprawiedliwieni.

Nie. Zatem nie uniwersytet. Po co dawać im satysfakcję?

Być może mój kufer podróżny powinien powędrować do Sabriny, mimo jej decyzji o izolacji, mimo – to mnie właśnie boli – jej uporczywego zaniedbywania mnie. Tak czy inaczej, krew nie woda, co wie każdy, kto próbował obu. Należy jej się to prawnie. Można by nawet powiedzieć, że to jej dziedzictwo: jest w końcu moją wnuczką. A także cioteczną wnuczką Laury. Z pewnością będzie chciała dowiedzieć się czegoś o swoich korzeniach, kiedy w końcu się do tego zabierze.

Ale Sabrina bez wątpienia nie przyjmie takiego daru. Teraz jest dorosła, wciąż sobie o tym przypominam. Jeśli będzie mnie chciała o coś poprosić, jeśli zapragnie, żebym cokolwiek powiedziała, da mi znać.

Dlaczego jednak tego nie robi? Dlaczego zajmuje jej to tyle czasu? Czy jej milczenie to forma zemsty, za kogoś albo za coś? Nie za Richarda, na pewno. Wcale go nie znała. Nie za Winifred, od której uciekła. Zatem za swoją matkę – za biedną Aimee?

Ile może pamiętać? Miała tylko cztery lata.

Śmierć Aimee to nie moja wina.

Gdzie jest teraz Sabrina i czego poszukuje? Wyobrażam ją sobie jako szczupłą dziewczynę, z niepewnym uśmiechem, nieco ascetyczną; a jednak uroczą, z poważnymi oczami w niebieskim kolorze, jak u Laury, z długimi ciemnymi włosami, zwiniętymi jak śpiące węże. Nie będzie jednak miała woalki, będzie miała na sobie sandały albo nawet solidne buty o przetartych podeszwach. A może zdecydowała się na sari? Dziewczyny takie jak ona tak robią.

Jest w trakcie takiej czy innej misji – karmi biedotę z Trzeciego Świata; uspokaja umierających, odpokutowuje grzechy reszty z nas. Bezowocne zadanie – nasze grzechy to jaskinia bez dna i jest ich o wiele więcej tam, skąd przy-

chodzą. Ale to boski punkt widzenia, sprzeciwiłaby się niewątpliwie – bezowocność. On zawsze lubił daremność. Uważa, że jest szlachetna.

Pod tym względem jest taka jak Laura: ma taką samą tendencję do absolutyzmu, tę samą niechęć do kompromisu, tę samą pogardę dla poważniejszych ludzkich słabości. Żeby coś takiego uszło na sucho, trzeba być pięknym. Inaczej wygląda to na chimery.

Ognista Czeluść

Wciąż jest nietypowo ciepło. Balsamicznie, spokojnie, sucho i pogodnie; nawet słońce, zwykle tak blade i mizerne o tej porze roku, jest pełne i dojrzałe, a jego zachody przepyszne. Energiczni, uśmiechnięci prezenterzy na kanale pogodowym mówią, że to dzięki jakiejś dalekiej, niejasnej katastrofie – trzęsieniu ziemi, wulkanowi? Jakiś nowy, morderczy wyczyn Boga. Po burzy zawsze jest słońce. I nie ma słońca bez burzy.

Wczoraj Walter zawiózł mnie do Toronto na spotkanie z adwokatem. To miasto, do którego nigdy nie jeździ, jeśli ma wybór, ale Myra go zmusiła. Zrobiła to, gdy powiedziałam, że pojedę autobusem. Myra nie chciała o tym słyszeć. Wszyscy wiedzą, że jest tylko jeden autobus, odjeżdża po ciemku i wraca po ciemku. Powiedziała, że kiedy wysiądę z autobusu w nocy, kierowcy mnie nie zobaczą i rozgniotą jak robaka. Poza tym nie powinnam jeździć sama do Toronto, bo – i to też wszyscy wiedzą – mieszkają w nim tylko złodzieje i bandyci. Powiedziała, że Walter się mną zajmie.

Na podróż Walter włożył czerwoną baseballową czapkę. Między jej dołem i kołnierzem kurtki jego szczeciniasta szyja wybrzuszała się niczym biceps. Powieki miał pomarszczone jak kolana.

– Wziąłbym furgonetkę – powiedział. – Mocna jak murowany wychodek, dałaby gnojom do myślenia, zanimby na mnie wjechali. Tyle że brakuje paru sprężyn, więc nie za dobrze by się podróżowało.

Jego zdaniem, wszyscy kierowcy w Toronto byli nienormalni.

– Trzeba być nienormalnym, żeby tam jechać, co? – spytał.

– My tam jedziemy – przypomniałam.

– Ale tylko raz. Tak jak mówiliśmy dziewczynom, raz się nie liczy.

– I wierzyły ci, Walterze? – powiedziałam, drażniąc się z nim, tak jak lubi.

– Pewnie. Tępe jak pnie. Zwłaszcza blondynki. – Czuję, że się uśmiecha.

Mocna jak murowany wychodek. Tak się kiedyś mówiło o kobietach, to był komplement w czasach, gdy nie wszyscy mieli murowane wychodki: tylko drewniane, liche, śmierdzące i chybrotliwe.

Gdy tylko Walter posadził mnie w aucie i przypiął pasami, włączył radio: zawodzenie elektrycznych skrzypiec, pokręcony romans, mocny, rozdzierający serce rytm. Wyświechtane cierpienie, niemniej jednak cierpienie. Przemysł rozrywkowy. Jakimi podglądaczami staliśmy się wszyscy. Oparłam się na poduszkę, którą dała mi Myra. (Zaopatrzyła nas jak na wyprawę za ocean – zapakowała serwetę, kanapki z tuńczykiem, ciastka, termos z kawą). Za oknem widziałam rzekę Jogues, powolnie toczącą wody. Przejechaliśmy nad nią i skręci-

liśmy na północ, przez ulice, na których kiedyś stały robotnicze domki, teraz znane jako „domy na początek”; potem kilka małych firm: pomoc drogowa, cienko przędące centrum zdrowej żywności, sklep z obuwem ortopedycznym i neonem przedstawiającym zieloną stopę, zapalającym się i gasnącym, jak gdyby stopa wędrowała samotnie w miejscu. Potem miniaturowe centrum handlowe, pięć sklepów, z których tylko jeden zdążył wywiesić gwiazdkowe lamety. Potem salon piękności Myry, Przystań Włosów. W oknie widniało zdjęcie osoby z ostrzyżoną głową, ale nie potrafiłam powiedzieć, czy to mężczyzna czy kobieta.

Potem motel, który nazywano „Nie Idź Dalej”. Myślę, że chodziło im o „Nie idź dalej, śliczna, słodka; Po cóż iść, jeśli się spotka z kochanką swą kochanek?” (36), ale nie można było oczekiwać, że każdy zrozumie to odniesienie: nazwa mogła się wydać zbyt złowieszczą, jak budynek złożony z samych wejść, lecz bez wyjścia, cuchnący aneuryzmem i zakrzepicą, i opróżnionymi fiolkami po tabletkach nasennych, i ranami postrzałowymi w głowie. Teraz nazywa się po prostu „Dalej”. Mądrze, że zmienili nazwę. Jest o wiele bardziej niezdecydowana, o wiele mniej ostateczna. Lepiej podróżować dalej, niż przybywać na miejsce.

Minęliśmy jeszcze kilka sieci sklepów – uśmiechnięte kurczaki oferujące półmiski z upieczonymi kawałkami samych siebie, szczerzącego zęby Meksykana dzierżącego w dłoni meksykańskie placki. Z oddali wyłaniał się miejski zbiornik wody, jedna z tych wielkich baniek cementu, wyglądających jak komiksowe dymki bez tekstu, którymi upstrzony jest wiejski krajobraz. Teraz wyjechaliśmy już na wieś. Metalowy silos wystawał z pola jak wieża dowodzenia, obok drogi trzy wrony dziobały futrzany strzęp świstaka. Płoty, jeszcze więcej silosów, stado przemoczonych krów; drzewostan ciemnych cedrów, potem plama moczarów, letnie sitowie, już przeredzone i łysiejące.

Zaczęło się śpić. Walter uruchomił wycieraczki. Zasnęłam, wsłuchując się w rytm ich uspokajającej kołysanki.

Gdy się obudziłam, moją pierwszą myślą było: Czy chrapałam? Jeśli tak, to czy miałam otwarte usta? Jakie to szpetne, a więc, co za tym idzie, upokarzające. Nie odważyłam się jednak zapytać. Jeśli cię to interesuje, próżność nigdy nie przemija.

Jeżeliśmy ośmiopasmową autostradą, blisko Toronto. Tak twierdził Walter, ja nic nie widziałam, bo utkwiliśmy za kołyszącą się ciężarówką wypełnioną po brzegi skrzyniami pełnymi białych gęsi, bez wątplenia przeznaczonych na sprzedaż. Ich długie, skazane na śmierć szyje i oszalałe głowy wystawały gdzieś gdzie przez kraty, ich dzioby otwierały się i zamykały, wydając z siebie tragiczne i absurdałne okrzyki, zagłuszane przez hałasujące koła. Pióra przyczepiały się do przedniej szyby, samochód wypełnił się smrodem gęsiich odchodów i spalin.

Na ciężarówce widniał napis, który głosił: „Jeśli możesz to przeczytać, to jedziesz za blisko”. Kiedy w końcu skręciła, przed nami rozpościerało się Toronto, sztuczna góra ze szkła i betonu, wznosząca się na płaskiej, leżącej nad jeziorem równinie, cała z kryształów, iglic, gigantycznych lśniących płyt i obelisków o ostrych bokach, pływających w pomarańczowo-orzechowej mgiełce smogu. Miasto wyglądało jak coś, czego nigdy dotąd nie widziałam – coś, co wyrosło przez jedną noc, ale czego tak naprawdę nie ma jak fatamorgany.

Przeleciały czarne płatki, jakby przed nami tliła się hałda papieru. Gniew wibrował w powietrzu niczym upał. Pomyślałam o strzelających z samochodów bandytach.

Biuro adwokata mieściło się blisko King i Bay. Walter się zgubił, a potem nie mógł znaleźć parkingu. Musieliśmy przejść pięć ulic, Walter prowadził mnie pod ramię. Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy, bo wszystko bardzo się zmieniło. Zmienia się za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, czego nie robię często, a ostateczny efekt jest miażdżący – jak gdyby miasto zrównano z ziemią i zbudowano na nowo z ruin.

Śródmieście, które pamiętam – ponure, kalwińskie, z białymi mężczyznami w ciemnych płaszczach, maszerującymi gęsiego po chodnikach, od czasu do czasu przyozdobionymi kobietami w standardowych butach na wysokich obcasach, rękawiczkach i kapeluszach, z torebką ściśniętą pod ramieniem, patrzącymi przed siebie – zwyczajnie zniknęło, ale stało się to przecież jakiś czas temu. Toronto to już nie protestanckie, a średniowieczne miasto: tłumy wypełniające ulice są różnokolorowe, stroje jaskrawe. Budki z hot dogami, żółte parasole, sprzedawcy precli, akwizytorzy kolczyków, tkanych toreb i skórzanych pasków, żebracy obwieszani tablicami z napisem „Bezrobotny”: to oni podzielili między siebie terytorium. Minęłam flecistę, tercet elektrycznych gitar i mężczyznę w kilcie i z dudami. W każdej chwili spodziewałam się żonglerów lub połykaczy ognia, procesji trędowatych w kapturach i z żelaznymi dzwonkami. Zawszad dobiegał hałas, opalizująca mgiełka oblepiła moje okulary niczym tłuszcz.

W końcu udało nam się dotrzeć do adwokata. Kiedy po raz pierwszy skontaktowałam się z tą firmą jeszcze w latach czterdziestych, miała siedzibę w jednym z tych okopconych, prostokątnych biurowców z czerwonej cegły. Recepcję wyłożono mozaikową terakotą i ustawiono w niej pełno kamiennych ław. Na drewnianych drzwiach z okienkami z kryształu górskiego widniały złote litery. Winda miała rozsuwaną kratę w środku, jazda nią przypominała krótki pobyt w areszcie. Obsługiwała ją kobieta w granatowym mundurze i białych rękawiczkach, wykrzykująca numery pięter, których było tylko dziesięć.

Teraz kancelaria znajduje się w wieży z walcowanego szkła, w apartamencie na pięćdziesiątym piętrze wykorzystywanym jako biuro. Walter i ja weszliśmy do błyszczącej windy o wnętrzu z plastiku udającego marmur i zapachu ta-

picerki samochodowej. Wypełniał ją tłum ludzi w garniturach, kobiet i mężczyzn, o odwróconym wzroku i nieobecnych twarzach urodzonych służących. Ludzi, którzy widzą tylko to, za co im się płaci. Biuro kancelarii ma własną recepcję, która równie dobrze pasowałaby do pięciogwiazdkowego hotelu: kwiatowe aranżacje o osiemnastowiecznej gęstości i ostentacji, gruby, brązowy dywan, abstrakcyjny obraz złożony z kosztownych plam.

Adwokat przyszedł, przywitał się, pomamrotał, pogestykułował: miałam mu towarzyszyć. Walter powiedział, że na mnie poczeka, tam gdzie stoi. Patrzył z niepokojem na młodą, elegancką recepcjonistkę, na jej czarny kostium, jasnofioletową apaszkę i perłowe paznokcie; ona wpatrywała się nie w niego, lecz w jego kraciatą koszulę i olbrzymie, przypominające kokony buty o gumowych podeszwach. Potem usiadł na dwuosobowej sofie, w którą natychmiast zapadł się jak w galaretkę, jego kolana rozłożyły się, nogi wystrzeliły do góry, odsłaniając grube, czerwone skarpety drwala. Przed nim, na eleganckim stoliku do kawy, leżała sterta czasopism dla biznesmenów, które radziły im, jak zmaksymalizować zyski z zainwestowanego dolara. Walter sięgnął po numer o funduszach wzajemnych: w jego wielkiej łapie wyglądał jak chusteczka higieniczna. Oczy biegały mu jak u spanikowanego wołu.

– To nie potrwa długo – powiedziałam, żeby go uspokoić. W rzeczywistości potrwało trochę dłużej, niż myślałam. Cóż, prawnicy liczą sobie za każdą minutę, jak najtańsze kurwy. Wciąż oczekiwałam pukania do drzwi i rozszłoszczonego głosu: Ej, ty tam. Na co czekasz? Postaw go, wsadź i wyciągnij!

Kiedy skończyłam załatwiać sprawy z adwokatem, wróciliśmy do samochodu i Walter powiedział, że zabierze mnie na lunch. Stwierdził, że zna jedno miejsce. Myra go na to namówiła: Na litość boską, dopilnuj, żeby coś zjadła, w tym wieku skubią jak ptaszki, nie wiedzą nawet, kiedy tracą siły, mogłaby umrzeć z głodu w samochodzie. Być może i on był głodny – kiedy spałam, pożarł wszystkie starannie zapakowane kanapki Myry, i ciastka na dodatek.

Powiedział, że miejsce, które zna, nosi nazwę Ognistej Czeluści. Jadł tam ostatnim razem, może dwa, trzy lata temu, i było całkiem przyzwoicie, zważywszy na okoliczności. Jakie okoliczności? Takie, że to Toronto. Zjadł podwójnego cheeseburgera ze wszystkimi dodatkami. Serwowali tam też żeberka na grillu, w ogóle specjalizowali się w jedzeniu z grilla.

Sama pamiętałam tę restaurację sprzed ponad dziesięciu lat – z czasów, gdy miałam oko na Sabrinę, po jej pierwszej ucieczce. Kręciłam się pod koniec dnia wokół szkoły, siadywałam na parkowych ławkach, w miejscach, gdzie mogłam się na nią zasadzić – nie tam, gdzie mogła mnie rozpoznać, chociaż było to mało prawdopodobne. Kryłam się za rozłożoną gazetą, niczym jakiś udręczony, żalony ekshibicjonista, podobnie wypełniona beznadziejną tęsknotą za dziewczyną, która bez wątpienia uciekłaby na mój widok, jakbym była trollem.

Chciałam tylko, żeby Sabrina wiedziała, że tu jestem, że istnieję, że nie jestem taka, jak jej mówiono. Że mogłabym stać się jej azylem. Wiedziałam, że będzie go potrzebowała, że już go potrzebuje, bo znałam Winifred. Nic z tego nie wyszło. Nigdy mnie nie zauważyła. Nigdy się nie odkryłam. Gdy przychodzi co do czego, jestem tchórzem.

Pewnego dnia poszłam za nią do Ognistej Czeluści. Wydawało się, że to miejsce, gdzie dziewczęta – dziewczęta w tym wieku, z tej szkoły – spędzają czas podczas przerwy na lunch albo gdy opuszczają lekcje. Napis na drzwiach był czerwony, ramy okien przyozdobione kawałkami żółtego plastiku, który miał imitować płomień. Zaniepokoiła mnie miltonowska zuchwałość nazwy: czy mogli wiedzieć, do czego się odwołują?

*W dół go strąciła i runął płonący
W bezdenną zgubę żaru i ruiny
(...) będzie szarpać i ognisty
Potop, żywiony siarką wiecznotrwłą. {37}*

Nie. Nie wiedzieli. Ognista Czeluść była piekłem jedynie dla mięsa.

Wewnątrz znajdowały się zwisające z sufitu witrażowe lampy i nakrapiane, włókniste rośliny w ceramicznych donicach – klimat lat sześćdziesiątych. Usiadłam w boksie obok tego, który zajęła Sabrina z dwiema koleżankami ze szkoły, ubranymi jak ona w takie same ciężkie, chłopięce mundurki, spódniczki jak kilty z dopasowanymi krawatami, zdaniem Winifred, niezwykle prestiżowe. Wszystkie trzy zrobiły, co tylko mogły, żeby zepsuć efekt – miały opadające skarpety, częściowo powyciągane koszule, przekrzywione krawaty. Żuły gumę, jakby to był ich religijny obowiązek, i rozmawiały znudzonym, zbyt donośnym głosem, który, jak się wydaje, do perfekcji opanowują dziewczęta w ich wieku.

Każda z nich była piękna, tak jak wszystkie dziewczęta w tym wieku. Nic się nie poradzi na ten rodzaj piękności, nie można go też zachować; to świeżość, pulchność komórek, nie wyuczona i chwilowa, i nie do podrobienia. Żadna z nich nie była jednak z tego zadowolona: już próbowały się odmienić, poprawić, zniekształcić i pomniejszyć, wypełnić sobą jakąś niemożliwą, wymyśloną formę, wyskubując i zamalowując wszystko na swoich twarzach. Nie dziwiłam im się, sama tak kiedyś robiłam.

Siedziałam tam, zerkając na Sabrinę spod runda miękkiego słomkowego kapelusza i podsłuchując ich banalną paplaninę, za którą się ukryły. Żadna nie mówiła, co leży jej na sercu, żadna nie wierzyła pozostałym – i słusznie, w tym wieku niefrasobliwa zdrada to codzienność. Dwie z nich miały jasne włosy, tylko Sabrina była ciemna i lśniąca jak morwa. Nie słuchała swoich koleżanek ani na nie nie patrzyła. Za wystudiowaną obojętnością jej spojrzenia musiał się kryć trudny do opanowania bunt. Rozpoznałam tę opryskliwość, ten upór, to oburze-

nie uwięzionej księżniczki, które musi pozostać w ukryciu, do czasu aż zgromadzi się wystarczająco dużo broni. Uważaj na tyły, Winifred, pomyślałam z satysfakcją.

Sabrina mnie nie zauważyła. Albo zauważyła, tylko nie wiedziała, kim jestem. Wszystkie trzy rzucały mi od czasu do czasu spojrzenia, szeptały i chichotały, pamiętam takie rzeczy. Zasuszone czupiradło albo jego współczesna wersja. Podejrzewam, że to przez mój kapelusz. Już dawno wyszedł z mody, ten kapelusz. Tego dnia dla Sabriny byłam jedynie starą kobietą – starszą kobietą – nieokreśloną starszą kobietą, ale jeszcze nie tak zniedołężniałą, żeby rzucać się w oczy.

Kiedy wszystkie trzy wyszły, udałam się do łazienki. Na drzwiach toalety widniał wiersz:

*Kocham Darrena z serca całego
Mam go na własność nic ci do tego
Gdybyś mi go zabrała
W ryja bym ci dała.*

Dziewczęta stały się bardziej bezpośrednie niż kiedyś, ale równie kiepsko radzą sobie z interpunkcją.

Kiedy Walter i ja znaleźliśmy w końcu Ognistą Czeluść, która nie była (jak twierdził) tam, gdzie ją zostawił, zobaczyliśmy przybitą do ram okiennych sklejkę i przymocowany do niej jakiś oficjalny komunikat. Walter sapał, kręcąc się przy zamkniętych drzwiach jak pies, który zapomniał, gdzie zakopał kość.

– Wygląda na to, że jest zamknięte – powiedział. Stał przez chwilę z rękami w kieszeniach. – Ciągle coś zmieniają – dodał. – Nie sposób nadążyć.

Po krótkich poszukiwaniach i kilku fałszywych tropach zadowoliliśmy się tanią knajpą na Davenport, z plastikowymi krzesłami i szafami grającymi przy stolikach, oferującymi muzykę country i parę starych piosenek Beatlesów i Elvisa Presleya. Walter nastawił *Heartbreak Hotel* i słuchaliśmy, jedząc hamburgery i pijąc kawę. Walter uparł się, że zapłaci – znowu Myra, bez wątpienia. Musiała wsunąć mu dwudziestkę.

Zjadłam tylko połowę hamburgera. Nie mogłam dać sobie rady z całym. Walter zjadł drugą połowę, wrzucając ją w całości do ust, jak list do skrzynki.

Gdy wyjeżdżaliśmy z miasta, poprosiłam Waltera, żeby przewiózł mnie obok mojego dawnego domu – domu, w którym mieszkałam kiedyś z Richardem. Doskonale pamiętałam drogę, ale kiedy dotarłam do samego domu, początkowo go nie poznałam. Wciąż był kanciasty i pozbawiony gracji, o zdeformowanych oknach, ciężki, ciemnobrązowy jak zbyt mocna herbata, ale jego ściany porósł

bluszcz. Mur pruski, udający drewnianą chatę, niegdyś kremowy, pomalowano na jabłkową zieleń, podobnie jak ciężkie frontowe drzwi.

Richard był przeciwny bluszczowi. Rosło go trochę, kiedy się wprowadziliśmy, ale Richard kazał go usunąć. Powiedział, że zżera mur; dostaje się do kominów, przyciąga gryzonie. Wtedy jeszcze wymyślał uzasadnienie tego, co myślał i robił, i przedstawiał je jako uzasadnienie tego, co ja powinnam myśleć i robić. Tak było, zanim machnął ręką na uzasadnienia.

Przelotnie ujrzałam siebie z tamtych lat, w słomkowym kapeluszu, jasnożółtej sukience, bawełnianej ze względu na upał. Było późne lato, rok po moim ślubie, ziemia przypominała cegłę. Za namową Winifred zajęłam się ogrodnictwem: powiedziała, że muszę znaleźć sobie hobby. Uznała, że powinnam zacząć od skalnego ogródka, bo nawet jeśli wymorduję rośliny, zostaną kamienie. Trudno ci będzie zabić kamień, zażartowała. Przysłała trzech solidnych ludzi, jak ich nazywała, którzy mieli zająć się kopaniem i ułożeniem kamieni, tak żebym mogła coś zasadzić.

W ogrodzie było już trochę kamieni zamówionych przez Winifred; małe, większe, porozrzucane byle jak albo ułożone w stos niczym przewrócone kostki domina. Staliśmy tam, trzej solidni ludzie i ja, patrząc na tę nie uporządkowaną stertę. Oni włożyli czapki, zdjęli marynarki, podwinęli rękawy, mieli szelki na wierzchu; czekali na moje instrukcje, ale ja nie wiedziałam, co im powiedzieć.

Wtedy jeszcze chciałam coś zmienić – sama coś zrobić, coś stworzyć, choćby i z mało obiecującego tworzywa. Jeszcze myślałam, że potrafię. Ale nie miałam pojęcia o ogrodnictwie. Czulałam, że zaraz się rozplaczę, ale rozplacz się raz i już po tobie: jeśli się rozplaczesz, solidni ludzie wzgardzą tobą i przestaną być solidni.

Walter wyciągnął mnie z samochodu, po czym czekał w milczeniu, tuż za mną, gotów mnie złapać, jeśli się potknę. Stałam na chodniku i patrzyłam na dom. Skalny ogródek wciąż tu był, choć bardzo zaniedbany. Oczywiście, zimą trudno się zorientować, ale wątpiłam, żeby jeszcze coś w nim rosło, z wyjątkiem draceny, która rośnie wszędzie.

Na podjeździe stał duży pojemnik na odpadki, pełen porąbanego drewna i kawałów gipsu, pewnie trwał remont. Chyba że wcześniej wybuchł pożar: okno na górze było rozbite. Zdaniem Myry, w takich domach biwakują ludzie z ulicy: zostaw dom bez opieki, przynajmniej w Toronto, a znajdą się w nim w okamgnieniu, wyprawiają te swoje narkotyczne przyjęcia czy cokolwiek innego. Słyszała, że to wyznawcy szatana. Rozpalają ogniska na drewnianych podłogach, zatykają ubikacje i srają do umywalk, kradną ozdobne gałki do drzwi, krany, wszystko, co da się sprzedać. Chociaż czasem to tylko dzieci, które niszczą dla rozrywki. Młodzi mają do tego talent.

Dom wyglądał na nie zamieszany, nietrwały, jak zdjęcie w prospekcie

agencji nieruchomości. Pod żadnym względem nie wydawał się już powiązany ze mną. Usiłowałam przywołać dźwięk swoich kroków w zimowych butach na suchym, skrzypiącym śniegu, gdy wracałam szybko do domu, spóźniona, improwizując wymówki; przypominałam sobie atramentową kratę na drzwiach; światło z ulicznych latarni na zaspach śniegu, lodowoniebieskie na krawędziach i upstrzone żółtym brajlem psich sików. Cienie były wtedy inne. Moje niespokojne serce, mój nierówny oddech, biały dym w mroźnym powietrzu. Gorączkowe ciepło moich palców; otarte usta pod świeżo nałożoną szminką.

W pokoju gościnnym był kominek. Siadywałam przed nim z Richardem, światło migotało, padało na nas i na nasze kieliszki, każdy z podkładką, żeby chronić fornir. Szósta wieczorem, czas na martini. Richard lubił podsumowywać dzień: tak to nazywał. Miał zwyczaj kłaść rękę na moim karku – układał ją tam, żeby leżała delikatnie, podczas gdy on zajmował się podsumowywaniem. Podsumowanie – to właśnie robili sędziowie, zanim sprawa trafiała na wokedę. Czy tak postrzegał samego siebie? Możliwe. Ale jego głębsze myśli, jego motywy, były mi często nie znane.

Stanowiło to jedno ze źródeł napięcia między nami: moja niezdolność do rozumienia go, do uprzedzania jego życzeń, którą kładł na karb mojego świadomego, wręcz napastliwego braku uwagi. W rzeczywistości było to także zakłopotanie, a później strach. Z biegiem lat Richard coraz mniej przypominał mi mężczyznę, ze skórą i kończynami, a coraz bardziej gigantyczną płataninę nici, które jakby pod wpływem zaklęcia byłam zmuszona każdego dnia rozplątywać. Nigdy mi się to nie udało.

Stałam przed domem, swoim dawnym domem, pragnąc poczuć jakiekolwiek emocje. Żadne się nie pojawiały. Doświadczywszy jednego i drugiego, nie umiem powiedzieć, co jest gorsze: intensywne uczucie czy też jego brak.

Z kasztana na trawniku zwieszała się para nóg, damskich nóg. Przez chwilę myślałam, że to prawdziwe nogi, gramolące się w dół, uciekające, ale przyjrzałam się uważniej. To była para rajstop, czymś wypchana – papierem toaletowym, bez wątpienia, albo bielizną – i wyrzucona przez okno na górze podczas jakiegoś satanistycznego rytuału albo w ramach nastoletnich dowcipów lub imprezy bezdomnych. Zaplątana w gałęzie.

To z mojego okna musiano wyrzucić te pozbawione ciała nogi. Z mojego dawnego okna. Wyobraziłam sobie siebie, jak wyglądam przez to okno, wiele lat temu, planując, jak mogłabym się tędy wymknąć nie zauważona i zejść po drzewie – zdjąć buty, zakołysać się na parapecie, sięgnąć jedną nogą w pończosze, a potem drugą, zacisnąć ręce na jakichś uchwytych. A jednak tego nie zrobiłam.

Wyglądałam przez okno. Wahałam się. Myślałam o tym, jak bardzo się zagubiłam.

Pocztówki z Europy

Dni są coraz krótsze, drzewa robią się ponure, słońce toczy się w dół zbrocza ku zimowemu przesileniu, ale to nadal nie zima. Nie ma śniegu, deszczu ze śniegiem, nie ma zawodzących wiatrów. To złowieszcze opóźnienie. Przenika nas mroczna cisza.

Wczoraj doszłam aż do mostu Jubileuszowego. Mówi się o rdzy, o korozji, o słabościach konstrukcji, mówi się, że go rozbiorą. Jakiś bezimienny, pozbawiony twarzy developer pała żądzą zbudowania bloków mieszkalnych na sąsiadujących z mostem terenach publicznych, twierdzi Myra – to pierwszorzędna ziemia, ze względu na widok. Obecnie widoki idą lepiej niż świeże bułeczki, co nie znaczy, że w tym miejscu kiedykolwiek wypiekano świeże bułeczki. Krążą plotki, że w celu nadania sprawom szybszego biegu zwitek brudnych pieniędzy zmienił pod stołem właściciela, co – jestem pewna – zdarzyło się także wtedy, gdy wznoszono most, rzekomo na cześć królowej Wiktorii. Ten czy inny wykonawca musiał opłacić wybranych przedstawicieli Jej Królewskiej Mości, żeby dostać tę pracę, a my wciąż szanujemy dawne zwyczaje w tym mieście: Zarób za wszelką cenę. Takie są dawne zwyczaje.

Dziwnie sobie wyobrazić, że panie w piórach i tiurniurach chodziły kiedyś po tym moście i przechylały się przez jego filigranowe barierki, żeby napawać się obecnie kosztownym, wkrótce prywatnym widokiem: wzburzona woda w dole, malownicze wapienne urwiska na zachodzie, fabryki wzdłuż wybrzeża pracujące po czternaście godzin na dobę, wypełnione służalczykami, mnącymi czapki w rękach wieśniakami i lśniące o zmierzchu jak kasyna z oświetleniem gazowym.

Stałam na moście i patrzyłam w bok, w górę rzeki, gładkiej jak szyba, ciemnej i milczącej, z jej groźną siłą. Po drugiej stronie były kaskady, wiry, biały szum. Bardzo wysoko. Stałam się świadoma swego serca i oszołomienia. A także braku tchu, jak gdybym się zanurzyła. Ale w czym? Nie w wodzie; w czymś gęściejszym. W czasie: starym, zimnym czasie, starym smutku, opadającym warstwami jak muł w stawie.

Na przykład:

Richard i ja, sześćdziesiąt cztery lata temu, schodzimy po trapie „Berengerii” na drugim końcu Oceanu Atlantyckiego, kapelusz Richarda zawadiacko przekrzywiony, moja dłoń w rękawiczce lekko dotyka jego ramienia – nowo poślubiona para w trakcie miesiąca miodowego.

Dlaczego miesiąc miodowy tak się właśnie nazywa? *Lunę de miel*, księżyc z miodu – jak gdyby sam księżyc nie był zimną, pozbawioną powietrza i jałową kulą z dziobatych skał, tylko czymś miękkim, złocistym, soczystym – świecąca

śliwką w cukrze, mirabelką rozpuszczającą się w ustach i lepką jak pożądanie, tak boleśnie słodką, że cierpną zęby. Ciepłym reflektorem, płynącym nie po niebie, ale w ciele.

Wiem o tym wszystko. Dobrze to pamiętam. Jednak nie ze swojego miodowego miesiąca.

Uczucie, które najlepiej sobie przypominam z tych ośmiu tygodni – czy mogło być ich dziewięć? – to niepokój. Martwiłam się, że Richard uważa nasze małżeństwo – rozumiałam przez to tę część, która rozgrywała się w ciemnościach i o której się nie mówiło – za równie rozczarowujące jak ja. Chociaż najwyraźniej nie o to chodziło: na początku był dla mnie całkiem przyjazny, przynajmniej za dnia. Ukrywałam ten swój niepokój tak starannie, jak potrafiłam, i często się kapałam. Czułam, że psuję się od środka, jak jajo.

Po dopłynięciu do Southampton Richard i ja pojechaliliśmy pociągiem do Londynu, gdzie zatrzymaliśmy się w hotelu „Brown”. Zjedliśmy śniadanie podane w apartamencie. Włożyłam negliż, jeden z trzech wybranych dla mnie przez Winifred; spopieliałe róże, kość słoniowa z gołębią koronką, bez z akwamaryną – jasne, wodniste, dobrze pasujące do porannej twarzy. Uznałam, że właśnie to noszą rano dorosłe kobiety. Widziałam zdjęcia takich strojów (ale gdzie? Czy to mogły być reklamy, może jakiejś marki kawy?) – mężczyzna w garniturze i krawacie, z włosami starannie zaczesanymi do tyłu, kobieta w negliżu, równie zadbane, w uniesionej ręce trzymająca dzbanek do kawy z zakrzywionym dziobkiem, oboje uśmiechają się do siebie z oszołomieniem nad maselniczką.

Laura wyszydziłaby te stroje. Już zdążyła je wyszydzić, kiedy widziała ich pakowanie. Chociaż właściwie nie można tego nazwać wyszydzaniem, Laura nie była zdolna do prawdziwego szyderstwa. Brakowało jej niezbędnego okrucieństwa. (To znaczy niezbędnego zamierzonego okrucieństwa. Jej okrucieństwo było przypadkowe – produkt uboczny tych wzniosłych pomysłów, które mogły przyjść jej do głowy). Jej reakcja przypominała bardziej zdumienie – albo niedowierzanie. Przesunęła dłoń po atłasie i lekko zdrząła, a ja poczułam zimną twardość, śliskość tkaniny w koniuszkach palców. Jak skóra jaszczurki. Zamierzasz to nosić? – zapytała.

W słoneczne londyńskie poranki – bo wtedy było już lato – jadaliliśmy śniadania za na wół zasuniętymi zasłonami, by chronić się przed ostrym słońcem. Richard zamawiał dwa gotowane jajka, dwa grube plastry bekonu i pomidor z rusztu, z grzanką i marmoladą, kruchą grzanką, ostudzoną w specjalnym stojaku. Ja zjadałam połówkę grejfruta. Herbata była ciemna, tani nowa, jak bągienna woda. Richard powiedział, że wszystko jest w porządku, tak podają ją Anglicy.

Niewiele padało słów, poza obowiązkowym: „Dobrze spałaś, kochanie?” i „Uhm – a ty?” Richard kazał przynosić sobie gazety wraz z telegramami. Zawsze było ich kilka. Przeglądał gazety, po czym otwierał telegramy, czytał je,

bardzo starannie składał i wsuwał do kieszeni. Albo darł je na strzępy. Nigdy ich nie miał i nie wrzucał do kosza na śmieci, choć gdyby to robił, być może nie wygrzebałabym ich i nie przeczytałam, przynajmniej nie wtedy.

Chyba wszystkie były do niego: nigdy nie wysłano mi telegramu i nie mogłam wyobrazić sobie żadnej przyczyny, dla której miałabym go dostać.

W ciągu dnia Richard miał rozmaite zobowiązania towarzyskie. Założyłam, że ze swoimi partnerami w interesach.

Wynajęłam dla mnie samochód i szofera, wyjeżdżałam więc, by obejrzeć to, co, zdaniem Richarda, powinno się obejrzeć. Przede wszystkim zobaczyłam budynki, czasem parki. Czasem jeszcze pomniki wzniesione przed budynkami albo w parkach; mężowie stanu z wciągniętymi brzuchami i wypiętymi klatkami piersiowymi, z ugiętą nogą, ściskający zwoje papieru wojskowi na koniach. Nelson na swojej kolumnie, księżę Albert na tronie z kwartetem egzotycznych kobiet, wijących się i tarzających u jego stóp, wypluwających owoce i zboże. To miały być Kontynenty, którymi księżę Albert, choć martwy, wciąż rządził, mimo że nie zwracał na nie żadnej uwagi; siedział surowy i milczący pod ozdobną, pozłocaną kopułą, wpatrując się w przestrzeń z umysłem zajęтым wyższymi sprawami.

– Co dziś widziałaś? – pytał Richard przy kolacji, a ja posłusznie recytowałam, odhaczając jeden budynek, park albo pomnik za drugim: Tower of London, pałac Buckingham, Kensington, Opactwo Westminster, Parlament. Nie zachęcał mnie do zwiedzania muzeów, z wyjątkiem Muzeum Historii Naturalnej. Zastanawiam się teraz, dlaczego uważał, że widok tyłu wielkich wypchanych zwierząt będzie korzystny dla mojej edukacji? Gdyż stało się jasne, czemu służą te wszystkie wyprawy – mojej edukacji. Dlaczego wypchane zwierzęta były dla mnie lepsze albo lepiej pasowały do jego koncepcji tego, kim powinnam się stać, niż chociażby sala pełna obrazów? Myślę, że wiem, ale mogę się mylić. Może wypchane zwierzęta mniej lub bardziej przypominały zoo – miejsce, dokąd zabiera się dzieci na wycieczkę.

A jednak poszłam do National Gallery. Zasugerowała to konsjerżka w hotelu, kiedy już skończyły mi się budynki. Wyczerpało mnie to – czułam się jak w sklepie, tyle ciał stłoczonych na ścianach, tyle blasku – ale jednocześnie było radosne. Nigdy nie widziałam tak wielu nagich kobiet w jednym miejscu. Byli tam też nadzy mężczyźni, ale nie do końca nadzy. A także mnóstwo wymyślnych strojów. Może to są podstawowe kategorie, jak kobiety i mężczyźni: nadzy i ubrani. Cóż, Bóg tak uważał. (Laura w dzieciństwie: W co się ubiera Bóg?).

We wszystkich tych miejscach samochód z kierowcą czekał, a ja energicznie wchodziłam tą czy inną bramą lub wejściem, usiłując wyglądać na osobę, która ma jakiś cel; usiłując nie wyglądać tak samotnie i bezsensownie. Następnie przyglądałam się i przyglądałam, żeby mieć później coś do powiedzenia. Nie potrafiłam jednak zrozumieć tego, co oglądałam. Budynki to tylko budynki. Nie są

interesujące, jeśli nie wie się nic o architekturze albo o tym, co się w nich kiedyś wydarzyło, a ja nie wiedziałam. Brakowało mi talentu do fachowej oceny; zupełnie jakby moje oczy znajdowały się naprzeciwko czegoś, na co powinnam patrzeć, a odchodziłam tylko z fakturą: szorstkością muru czy kamienia, gładkością woskowanych drewnianych poręczy, ostrością wyliniałego futra. Prażki na rogu, ciepły błysk kości słoniowej. Szklane oczy.

Richard traktował zakupy jako uzupełnienie tych edukacyjnych wycieczek, zachęcał mnie do nich. Czułam się zastraszona przez sprzedawców i mało kupowałam. Przy innych okazjach chesałam się u fryzjera. Richard nie życzył sobie, żebym obcinała albo podkręcała włosy, więc tego nie robiłam. Prosty styl jest dla ciebie najlepszy, mówił. Pasuje do twojej młodości.

Czasem tylko spacerowałam powoli albo siadałam na parkowych ławkach, czekając, aż nadejdzie czas powrotu. Niekiedy obok mnie siadał mężczyzna i usiłował nawiązać rozmowę. Wtedy odchodziłam.

Spędzałam mnóstwo czasu na zmianie strojów. Grzebałam się z tasiemkami, ze sprzączkami, z przekrzywionym kapeluszem, ze szwami pończoch. Martwiłam się, czy ta lub tamta rzecz pasuje na tę czy inną porę dnia. Nie było nikogo, kto by mi pomógł zapiąć się przy szyi albo powiedział, jak wyglądam z tyłu i czy nic mi nie wystaje. Kiedyś robiły to Reenie i Laura. Tęskniłam za nimi i usiłowałam to opanować.

Piłowałam paznokcie, moczyłam stopy. Wyrывałam włosy albo je goliłam: wypadalo być gładką, pozbawioną szpeciny. Topografia mokrej gliny, powierzchni, po której ześlizną się ręce.

Podobno miodowe miesiące są po to, by dać nowo poślubionym małżonkom czas na lepsze poznanie siebie, ale mijały dni, a ja czułam, że coraz mniej znam Richarda. Usuwał się w cień, a może ukrywał? Wycofywał się na dogodny punkt obserwacyjny. Ja sama jednak przybierałam kształt – kształt, który on dla mnie wybrał. Za każdym razem, gdy spoglądałam w lustro, widziałam kolejną pokolorowaną cząstkę siebie.

Po Londynie udaliśmy się promem, a potem pociągiem do Paryża. Dni w Paryżu prawie się nie różniły od tych w Londynie, chociaż śniadania były inne: twarda bułka, dżem truskawkowy, kawa z gorącym mlekiem. Interesujące posiłki – Richard sporo nad nimi wydziwiał, zwłaszcza nad winami. Wciąż powtarzał, że nie jesteśmy w Toronto, co mnie wydawało się oczywiste.

Widziałam wieżę Eiffla, ale nie wjechałam na nią, ze względu na lęk wysokości. Widziałam Panteon i grób Napoleona. Nie widziałam Notre Dame, bo Richard nie lubił kościołów, przynajmniej katolickich, uważał je za ogłupiające. Jego zdaniem, zwłaszcza kadzidła szkodziły na umysł.

We francuskim hotelu był bidet, którego działanie Richard objaśnił mi z lekkim uśmiechem wyższości na twarzy, po tym jak przyłapał mnie na myciu w

nim nóg. Pomyślałam, że Francuzi rozumieją coś, czego nie rozumieją inni. Rozumieją pragnienia ciała. Przynajmniej uznają jego istnienie.

Zatrzymaliśmy się w „Lutecji”, która podczas wojny służyła za kwaterę główną Niemców, ale skąd mogliśmy wiedzieć, że tak się stanie? Siadywałam w hotelowej kawiarni na porannej kawie, bo bałam się iść dokądkolwiek. Wbiłam sobie do głowy, że jeśli stracę hotel z oczu, nigdy nie będę potrafiła do niego wrócić. Wiedziałam już wtedy, że francuski, którego uczył mnie pan Erskine, jest bezużyteczny: *Le coeur a ses raisons que la raison ne connaît point* nie zapewni mi więcej gorącego mleka.

Obsługiwał mnie stary kelner o twarzy morsa, miał talent do nalewania kawy i gorącego mleka z dwóch dzbanków, trzymanyh wysoko w powietrzu, a ja czułam się oczarowana, jakby był dziecięcym magikiem. Pewnego dnia zapytał mnie – trochę znał angielski:

– Dlaczego jesteś smutna?

– Nie jestem smutna – odparłam i zaczęłam płakać. Współczucie nieznamym może być zgubne.

– Nie powinnaś być smutna – oznajmił, patrząc na mnie melancholijnymi, lśnącymi jak skóra morsa oczami. – To musi być miłość. Ale jesteś młoda i ładna, później będziesz miała czas się smucić.

Francuzi to koneserzy smutku, znają wszystkie jego rodzaje. Dlatego mają bidety.

– To karygodne, ta miłość – powiedział, klepiąc mnie po ramieniu. – Ale jej brak jest jeszcze gorszy.

Następnego dnia efekt tych słów nieco osłabł, gdy kelner złożył mi seksualną propozycję albo tak mi się wydawało; mój francuski nie był na tyle dobry, żeby wiedziała na pewno. Wcale nie był taki stary – miał może czterdzieści pięć lat. Powinnam była się zgodzić. Mylił się jednak co do smutku, lepiej przeżywać go w młodości. Smutną ładną dziewczynę chce się pocieszyć, w przeciwieństwie do smutnej staruchy. Zresztą to nieważne.

Potem pojechaliśmy do Rzymu. Rzym wydawał mi się znajomy – przynajmniej mogłam umieścić go w jakimś kontekście, zapewnionym mi wiele lat temu przez pana Erskine’a i jego lekcje łaciny. Widziałam Forum Romanum albo to, co z niego zostało, i Via Appia, i Koloseum, które wyglądało jak nadgryziony przez myszy ser. Różne mosty, różna banalna anioły, poważne i zamyślane. Widziałam płynący Tybr, żółty jak żółtaczka. Widziałam Bazylikę Świętego Piotra, chociaż jedynie z zewnątrz. Jest bardzo duża. Podejrzewam, że powinnam była dostrzec faszystowskie bojówki Mussoliniego w czarnych mundurach, maszerujące ulicami i bijące ludzi – czy już wtedy to robiły? – ale ich nie widziałam. Coś takiego wydaje się niewidoczne, chyba że jest się tego celem. W innym wypadku widzi się to dopiero później, w kronikach filmowych albo na fil-

mach nakręconych po wielu latach.

Po południu zamawiałam herbatę – zaczynałam rozumieć, jak się to robi, domyślałam się, jakim tonem zwracać się do kelnerów, jak trzymać ich na dystans. Pijąc herbatę, pisałam pocztówki. Adresowałam je do Laury i Reenie, i kilka do ojca. Widniały na nich zdjęcia budynków, które musiałam odwiedzić – przedstawiały, w sepiowych szczegółach, co powinnam była obejrzeć. Informacje, które na nich wypisywałam, były nedorzeczne. Do Reenie: „Pogoda jest wspaniała. Bardzo mi się podoba”. Do Laury: „Dziś widziałam Koloseum, gdzie rzucali chrześcijan lwom na pożarcie. Zainteresowałoby Cię to”. Do ojca: „Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Richard przesyła pozdrowienia”. (To ostatnie nie było prawdą, ale uczyłam się, jakie kłamstwa jako żona powinnam mówić automatycznie).

Gdy czas przeznaczony na nasz miesiąc miodowy dobiegał końca, pojechalismy na tydzień do Berlina. Richard załatwiał tam jakieś interesy, które miały coś wspólnego z uchwytami do łopat. Jedna z fabryk Richarda produkowała uchwyty do łopat, a Niemcom brakowało drewna. Mieli sporo do kopania, zapowiadało się na jeszcze więcej, a Richard mógł zapewnić im uchwyty po konkurencyjnej cenie.

Jak mawiała Reenie: Każdy kęs się liczy. Mawiała też: Interes to interes. Ja jednak nie wiedziałam nic o interesach. Moim zadaniem było się uśmiechać.

Muszę przyznać, że podobało mi się w Berlinie. Nigdzie aż tak nie czułam się blondynką. Mężczyźni byli nadzwyczaj uprzejmi, choć nie oglądali się za siebie, przechodząc przez wahadłowe drzwi. Całowanie w rękę rekompensowało mnóstwo grzechów. To w Berlinie nauczyłam się perfumować nadgarstki.

Zapamiętywałam miasta dzięki hotelom, hotele dzięki łazienkom. Ubieranie się, rozbieranie, wylegiwanie w wodzie. Wystarczy już jednak tych notatek z podróży.

Wróciliśmy do Toronto przez Nowy Jork w środku sierpnia, podczas fali upałów. Po Europie i Nowym Jorku Toronto wydawało się przysadziste i ciasne. Przed dworcem Union Station unosiła się mgiełka bitumicznych wyziewów z miejsc, w których naprawiano wyboje. Wynajęty samochód zawiózł nas zakurzonymi i hałaśliwymi ulicami obok imponujących banków i domów towarowych na Rosedale w cień kasztanów oraz klonów.

Wysiedliśmy przed domem, który Richard kupił dla nas przez telegram. Nabył go za bezcen, i koniec pieśni, tak powiedział po tym, jak poprzedni właściciel zbankrutował. Richard lubił mówić, że zrobił coś i koniec pieśni, co było dziwne, bo nigdy nie śpiewał. Nigdy nawet nie gwizdał. Nie był miłośnikiem muzyki.

Dom był ciemny, przystrojony bluszczem, z wysokimi, wąskimi oknami otwieranymi do wewnątrz. Klucz leżał pod wycieraczką, hol pachniał chemikaliami. Podczas naszej nieobecności Winifred odnawiała dom i prace jeszcze się

nie zakończyły: ubrania malarzy nadal leżały w pokojach od ulicy, w których zdarli starą wiktoriańską tapetę. Nowe kolory były perłowe, blade – kolory luksusowej obojętności, chłodnego dystansu. Cirrusy podświetlone przez dogorywający zachód słońca, dryfujące wysoko nad wulgarną jaskrawością ptaków, kwiatów i temu podobnych. To było proponowane mi otoczenie, wyrafinowana atmosfera, w której miałam się unosić.

Reenie pogardzałyby takim wnętrzem – jego lśniąca pustką, jego bladością. Cały ten dom wygląda jak łazienka. Ale jednocześnie byłaby nim wystraszona, podobnie jak ja. Przypomniałam sobie babkę Adelię: wiedziałyby, co robić. Rozpoznałyby nowobogacką próbę wywarcia wrażenia: byłaby uprzejma, lecz pełna rezerwy. Cóż, to z pewnością nowoczesne, mogłyby powiedzieć. Pomyślałam, że szybko rozprawiłyby się z Winifred, ale nie przyniosło mi to pociechy: teraz sama byłam taka jak Winifred. Przynajmniej częściowo.

A Laura? Laura przeszmugłowałyby swoje kredki, swoje tubki z farbą. Rozłaziłyby coś w tym domu, potłukła, zniszczyła przynajmniej jeden kąt. Zaznaczyłyby swoją obecność.

Liścik od Winifred opierał się o telefon w holu od ulicy. „Cześć, dzieciaki! Najpierw kazałam im skończyć sypialnię! Mam nadzieję, że się Wam spodoba – jest taka stylowa! Freddie”.

– Nie wiedziałam, że Winifred się tym zajmuje – powiedziałam.

– Pragnęliśmy, żeby to była niespodzianka – odparł Richard. – Nie chcieliśmy, żebyś ugrzęzła w szczegółach.

Nie po raz pierwszy poczułam się jak dziecko odsunięte przez swoich rodziców. Miłych, brutalnych rodziców, po uszy w znowie, przekonanych o słuszności swoich wyborów we wszystkim. Mogłam się już domyślać, że w prezencie urodzinowym od Richarda zawsze dostanę coś, czego nie będę chciała.

Po sugestii Richarda poszłam na górę, aby się odświeżyć. Musiałam wyglądać tak, jakbym tego potrzebowała. Zdecydowanie czułam się lepka i zwiędnięta. („Róża bez rosy”, tak to skomentował). Mój kapelusz był w ruinie, spisałam go na straty. Opłukałam twarz wodą i osuszyłam się jednym z białych ręczników z monogramem, wyłożonych przez Winifred. Sypialnia wychodziła na ogród z tyłu, gdzie nic nie zrobiono. Zrzuciłam buty i runęłam na bezkresne łożo kremowej barwy. Wieńczył je baldachim z moskitierą jak na safari. Właśnie tu miałam się uśmiechać i zaciskać zęby – na łóżku, którego sobie nie pościeliłam, ale na którym będę się musiała wysypiać. I to w ten sufit będę musiała się od teraz wpatrywać, przez muslinową mgłę, podczas gdy pod moją szyją będą się rozgrywały ziemskie sprawy.

Telefon obok łóżka był biały. Zadzwoił. Podniosłam słuchawkę. To była Laura, cała we łzach.

– Gdzie byłaś? – zaszlochała. – Dlaczego nie wróciłaś?

– O co ci chodzi? – spytałam. – Przecież dziś mieliśmy wrócić! Uspokój się, w ogóle cię nie słyszę.

– Wcale nie odpowiedziałś! – zawyla.

– O czym ty, na litość boską, mówisz?

– Ojciec nie żyje! Nie żyje, nie żyje – wysłałyśmy pięć telegramów! Reenie je wysłała!

– Czekaj chwilę. Powoli. Kiedy to się stało?

– Tydzień po twoim wyjeździe. Próbowaliśmy zadzwonić, dzwoniłyśmy do wszystkich hoteli. Mówili, że ci powtórzą, obiecali! Nic ci nie powiedzieli?

– Jutro przyjadę – odezwałam się. – Nie wiedziałam. Nikt mi niczego nie mówił. Nie dostałam żadnego telegramu. Ani jednego.

Nie mogłam w to uwierzyć. Co się stało, co poszło nie tak, dlaczego ojciec umarł, dlaczego mnie nie powiadomiono? Uświadomiłam sobie, że znalazłam się na podłodze, na szarobeżowym dywanie, kucając nad telefonem i tuląc go, jakby był czymś kruchym i cennym. Pomyślałam o swoich pocztówkach z Europy, przybywających do Awilionu z radosnymi, trywialnymi tekstami. Pewnie nadal leżały na stoliku w korytarzu. „Mam nadzieję, że dobrze się czujesz”.

– Ale pisali o tym w gazetach! – powiedziała Laura.

– Nie tam, gdzie byłam – odparłam. – Nie w tamtych gazetach.

Nie dodałam, że w ogóle nie zwracałam sobie głowy gazetami. Byłam zbyt oziębiała.

To Richard odbierał telegramy, na statku i w naszych hotelach. Widziałam jego skrupulatne palce, składające telegramy na czworo, odkładające je. Nie mogłam oskarżyć go o kłamstwo – nigdy nic nie mówił o tych telegramach – ale to też było kłamstwo. Prawda?

Musiał powiedzieć w hotelach, żeby nie łączyli żadnych rozmów. Żadnych rozmów do mnie ani przy mnie. Trzymał mnie w nieświadomości, celowo.

Pomyślałam, że zaraz zrobi mi się niedobrze, ale tak się nie stało. Po pewnym czasie zeszałam na dół. Stracisz panowanie nad sobą, przegrasz bitwę, mawiała Reenie. Richard siedział na werandzie z tyłu domu, sącząc dżin z tonikiem. Jak miło ze strony Winifred, że zaopatrzyła nas w dżin, powiedział to już dwukrotnie. Drugi dżin też już był nalany, czekał na mnie na niskim białym stoliku ze szkła i kutego żelaza. Podniosłam szklankę. Lód zabrzączał o kryształ. Tak powinien zabrzmieć mój głos.

– Dobry Boże – odezwał się Richard, patrząc na mnie. – Myślałem, że poszłaś się odświeżyć. Co się stało z twoimi oczami? – Musiały być czerwone.

– Ojciec nie żyje – powiedziałam. – Wysłali pięć telegramów. Nie powiedziałaś mi.

– *Mea culpa* – odparł Richard. – Wiem, że powinienem, ale chciałem ci oszczędzić zmartwień, kochanie. Nic nie dałoby się zrobić, nie zdążylibyśmy na pogrzeb, więc nie chciałem popsuć ci wyjazdu. Pewnie byłem też zbyt samo-

lubny – pragnąłem cię całej dla siebie, choćby na krótko. Teraz usiądź i się rozchmurz, wypij drinka i wybac mi. Zajmiemy się tym rano.

Upał przyprawiał o zawrót głowy. Tam, gdzie słońce padało na trawnik, zieleni była oślepiająca. Cienie pod drzewami miały gęstość smoły. Głos Richarda docierał do mnie w przerywanych impulsach, jak wiadomość przesłana alfabetem Morse'a. Słyszałam tylko poszczególne słowa.

Zmartwień. Zdążyć. Popsuć. Samolubny. Wybac mi.

Co mogłam na to odpowiedzieć?

Jasność kapelusza

Gwiazdka przyszła i poszła. Usiłowałam ją zignorować. Trudno było jednak zaprzeczyć istnieniu Myry. Podarowała mi mały pudding śliwkowy własnej roboty, z melasy i jakiegoś wypełniacza, przyozdobiony połówkami wisierek maraschino, jasnoczerwonymi, jak osłonki na sutki dawnych striptizerek, a także drewnianą malowaną płaskorzeźbę kota z drewna, z aureolą i anielskimi skrzydłami. Powiedziała, że te koty robią furorę w Piernikowej Chatce i uznała, że są całkiem miłutkie, został jej jeden, ma maleńkie pęknięcie, którego prawie wcale nie widać, i z pewnością będzie dobrze wyglądał na ścianie nad kuchenką.

Powiedziałam jej, że to odpowiednie miejsce. Anioł nad głową, i to mięsożerny anioł – najwyższy czas, żeby to wyjaśnili! Pod nim piec, jak we wszystkich najbardziej wiarygodnych przekazach. Reszta nas pomiędzy, tkwiąca w Śródziemiu, na poziomie patelni. Biedna Myra była zakłopotana, jak zawsze przy teologicznych dyskusjach. Woli, żeby Bóg był zwyczajny – zwyczajny i surowy, jak rzodkiewka.

Długo oczekiwana zima przybyła w sylwestra – ostry mróz, a następnego dnia obfity śnieg. Wirował za oknem, wiadro za wiadrem, jak gdyby Bóg wysypywał płatki mydlane w finale widowiska dla dzieci. Włączyłam kanał pogodowy, żeby mieć pełen obraz sytuacji – zamknięte drogi, zasypane samochody, nieczynne linie elektryczne, zablokowany handel, robotnicy w niewygodnych ubraniach, człapiący po okolicy jak przerośnięte dzieci, które zebrały się na zabawę. Podczas przedstawiania tego, co eufemistycznie nazwano „obecnymi warunkami”, młodzi prezenterzy tryskali rześkim optymizmem, jak zazwyczaj podczas każdej katastrofy, jaką można sobie wyobrazić. Prezentują nieskrępowaną beztroskę trubadurów, jarmarcznych Cyganów, agentów ubezpieczeniowych albo giełdowych guru – wygłaszając napuszone przepowiednie z pełną świadomością, że nic z tego, co mówią, nie musi się sprawdzić.

Myra zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Powiedziała, że Walter przyjedzie, jak tylko śnieg przestanie padać, żeby mnie odkopać.

– Nie bądź głupia, Myra – powiedziałam. – Sama się mogę odkopać. (Kłamstwo – nie zamierzam nawet kiwnąć palcem. Jestem dobrze zaopatrzona w masło fistaszkowe, mogę przeczekać. Ale przydałoby mi się towarzystwo, a próby aktywności z mojej strony zazwyczaj przyspieszały przybycie Waltera).

– Nie dotykaj łopaty! – wykrzyknęła Myra. – Setki starych – setki ludzi w twoim wieku umiera na atak serca od corocznego odśnieżania! A jeśli wysiądzie elektryczność, uważaj, gdzie stawiasz świece!

– Nie jestem zniedołężniała – warknęłam. – Jeśli spalę dom, to celowo.

Walter przyszedł, Walter odśnieżył. Przyniósł papierową torbę z obwarzankami; zjedliśmy je przy kuchennym stole, ja ostrożnie, Walter z apetytem, ale w zamyśleniu. To mężczyzna, dla którego przeżuwanie jest formą myślenia.

Przypomniał mi się wtedy napis, który kiedyś widniał w oknie budki z obwarzankami w Parku Rozrywki Sunnyside w – kiedy to było – w 1935 roku, latem:

*Kiedy przez życie idziesz, chłopie,
Kieruj się mottem tym:
Koncentruj się na obwarzanku,
A nie na dziurce w nim.*

Paradoks, dziurka w obwarzanku. Niegdyś pusta przestrzeń, ale teraz naczyli się sprzedawać nawet to. Ujemna ilość, nic, obecnie jadalne. Zastanawiam się, czy można by się nimi posłużyć – w sensie metaforycznym, oczywiście – żeby udowodnić istnienie Boga. Czy nadanie nazwy sferze nicości przekształca ją w byt?

Następnego dnia ośmieliłam się wyjść między zimne, okazałe śniegowe wydmy. Szaleństwo, ale chciałam w tym uczestniczyć – śnieg jest taki pociągający, chyba że zrobi się gąbczasty i brudny. Trawnik od ulicy był połyskliwą lawiną, z alpejskim tunelem w środku. Dotarłam aż do chodnika, nieźle mi szło, ale w kilku domach na północ sąsiedzi nie odśnieżali tak gorliwie jak Walter, więc utknęłam w zaspie, miotałam się, pośliznęłam i upadłam. Nic się nie złamało ani nie zwichnęło – przynajmniej tak mi się wydawało – ale nie mogłam wstać. Leżałam w śniegu, przebierając rękami i nogami, jak żółw na grzbiecie. Dzieci tak robią, ale celowo – machając jak ptaki, udając anioły. Dla nich to zabawa.

Zaczynałam się przejmować hipotermią, kiedy dwaj obcy mężczyźni podnieśli mnie i powlekli przed moje drzwi. Pokuśtykałam do pokoju gościnnego i opadłam na sofę, w butach i płaszczu. Zwęszywszy niebezpieczeństwo – jak to miała w zwyczaju – pojawiła się Myra z kilkoma ciastkami pozostałymi po jakimś rodzinnym obżarstwie. Przygotowała mi termofor, herbatę i wezwała lekarza, po czym oboje narobili mnóstwo zamieszania, zalewając mnie strumieniem pożytecznych rad i serdecznych, napastliwych narzekañ, i byli bardzo z siebie zadowoleni.

Teraz jestem uziemiona. A także wściekła na siebie. Nie na siebie – na to, co zrobiło mi moje ciało. Po tym, jak zacznie narzucać się nam jak samolub, domagając się swoich praw, wysuwając paskudne i niebezpieczne żądania, ostatnia sztuczka ciała to po prostu lekceważenie nas. Kiedy jest potrzebne, kiedy przydałaby się ręka albo noga, wówczas nagle ciało ma inne rzeczy do roboty. Słabnie, załamuje się pod nami; rozpuszcza się śnieg, i nic nie zostawia. Dwie

bryły węgla, stary kapelusz, uśmiech z kamyków. Kości wysychają na wiór, ła-two się łamią.

To wszystko to po prostu afront. Słabe kolana, artretyczne stawy, żyłaki, zniechęcenie, upokorzenia – nie należą do nas, nigdy ich nie chcieliśmy. W swoich głowach jesteśmy doskonali – w najlepszym wieku i w najlepszym świetle; nigdy nie przyłapani w niezręcznej sytuacji, z jedną nogą poza autem, jedną wciąż w nim, albo dłużyący w zębach, albo przygarbieni, albo drapiący się po nosie lub zadku. Jeśli nadzy, to odpoczywający z gracją i widziani przez mgiełkę z gazy, jak gwiazdy filmowe: przybierają takie pozy dla nas. To nasze młodsze wersje, gdy oddalając się od nas, błyszczą, stają się mitem.

W dzieciństwie Laura pytała: Ile lat będe miała w niebie?

Laura stała na wejściowych schodach do Awilionu, między dwiema kamiennymi donicami, w których nie rosły żadne kwiaty, i czekała na nas. Mimo wysokiego wzrostu wyglądała bardzo młodo, bardzo krucho i samotnie. A także prowincjonalnie, biednawo. Miała na sobie jasnoniebieską podomkę w wyblakłe jasnofioletowe motyle – moją, trzy lata wcześniej – i żadnych butów. (Czy to było jakieś nowe umartwienie ciała, zwykła ekscentryczność, czy po prostu zapomniała?). Włosy zaplotła w pojedynczy warkocz, spływający jej z ramienia, jak kamiennej nimfie przy naszym oczku wodnym.

Bóg wie, jak długo tak stała. Nie uprzedziliśmy, kiedy dokładnie przyjedziemy, bo jechaliśmy samochodem, co okazało się możliwe o tej porze roku: drogi nie były zalane ani pokryte błotem, niektóre już nawet wybrukowano.

Mówię „my”, bo Richard przyjechał ze mną. Powiedział, że nawet do głowy by mu nie przyszło wysłać mnie, bym stawiała temu czoło sama, nie w takim momencie. Był bardziej niż zatroskany.

Zawiózł nas sam, niebieskim coupé – jedną ze swoich najnowszych zabawek. W bagażniku za nami leżały dwie walizki, te małe, tylko na jedną noc – jego ze skóry w kolorze bordo, moja żółta jak cytrynowy sorbet. Miałam na sobie jasnożółty płócienny kostium – zbyt błahe, żeby o tym wspominać, bez wątpienia, ale kostium kupiłam w Paryżu i bardzo mi się podobał – i wiedziałam, że będzie cały pomarszczony na plecach, gdy dojedziemy na miejsce. Płócienne buty ze sztywnymi kokardkami i dziurkowanymi noskami. Jasnożółty kapelusz do kompletu jechał na moich kolanach, jak pudełko z drogocennym prezentem.

Richard był nerwowym kierowcą. Nie lubił, kiedy mu przeskadzano – twierdził, że to zaburza koncentrację – większość drogi przebyliśmy więc w milczeniu. Podróż zajęła ponad cztery godziny, teraz nie trwa dłużej niż dwie. Niebo było pogodne, lśniące i pozbawione głębi jak metal, słońce przelewało się jak lawa. Upał migotał nad asfaltem, małe miasteczka zasłoniły się przed słońcem, zaciągnęły zasłony. Pamiętam wyschnięte trawniki, ganki o białych filarach, puste stacje benzynowe z pompami jak jednorękie roboty, szklanymi da-

chami jak meloniki bez ronda, i cementarze wyglądające tak, jak gdyby już nikt nie miał zostać na nich pochowany. Co jakiś czas przejeżdżaliśmy obok jeziora, z którego wydobywał się zapach martwych płotek i ciepłych wodorostów.

Gdy dojeżdżaliśmy, Laura nam nie pomachała. Stała, czekając, aż Richard zatrzyma samochód, wygramolił się z niego i podejździe, by otworzyć drzwi z mojej strony. Przełożyłam nogi na bok, ze zwartymi kolanami, jak mnie uczono, i sięgnęłam po wyciągniętą rękę Richarda, kiedy Laura nagle ożyła. Zbiegła po schodach, złapała mnie za drugą rękę i wyciągnęła z samochodu, całkowicie ignorując Richarda, po czym zarzuciła mi ramiona na szyję i przywarła do mnie, jakby tonęła. Żadnych łez, tylko ten gruchoczący kości uścisk.

Mój jasnożółty kapelusz upadł na ziemię i Laura na niego nadepnęła. Rozległ się chrzęst, a Richard nabrał powietrza w płuca. Nic nie powiedziałam. W tamtym momencie kapelusz już mnie nie obchodził.

Objęliśmy się w pasie, Laura i ja weszliśmy po schodach do domu. Reenie wyłoniła się z kuchennych drzwi po drugiej stronie korytarza, ale była na tyle mądra, żeby na razie do nas nie podchodzić. Chyba zajęła się Richardem – odciągnęła jego uwagę drinkiem czy czymś innym. Cóż, pewnie chciał rozejrzeć się po domu i przespacerować po włościach, skoro je odziedziczył.

Poszliśmy prosto do pokoju Laury i usiadliśmy na jej łóżku. Mocno trzymaliśmy się za ręce – lewa dłoń w prawej, prawa w lewej. Laura nie płakała, jak przez telefon. Zamiast tego sprawiała wrażenie wyjątkowo opanowanej.

– Był w wieży – powiedziała. – Zamknął się.

– Zawsze tak robił – odparłam.

– Ale tym razem nie wyszedł. Reenie zostawiała tacę zjedzeniem przed drzwiami jak zawsze, ale on nic nie jadł ani nie pił – przynajmniej nie widzieliśmy. Musiałyśmy wyważyć drzwi.

– Ty i Reenie?

– Przyszedł chłopak Reenie – Ron Hincks – ten, którego poślubi. Wyważył je. Ojciec leżał na podłodze. Lekarz powiedział, że musiał tam leżeć co najmniej od dwóch dni. Wyglądał strasznie.

Nie wiedziałam, że Ron Hincks jest chłopakiem Reenie – a właściwie jej narzeczonym. Od jak dawna to trwało i jak mogłam to przegapić?

– Był martwy, to chcesz powiedzieć?

– Najpierw tak nie myślałam, bo miał otwarte oczy. Ale był całkiem martwy. Wyglądał... Nie umiem ci powiedzieć, jak wyglądał. Jak gdyby nasłuchiwał czegoś, co go poruszyło. Wyglądał czujnie.

– Zginął od strzału? – Nie wiem, dlaczego zadałam to pytanie.

– Nie. Po prostu nie żył. W gazetach napisano, że zmarł z przyczyn naturalnych – „nagle, z przyczyn naturalnych”, tak napisali – a Reenie powiedziała pani Hillcoate, że to rzeczywiście naturalne przyczyny, bo picie było drugą naturą ojca, a sądząc po liczbie pustych butelek, wlał w siebie tyle, że nawet koń by

tego nie wytrzymał.

– Zapłł się na śmierć – stwierdziłam. To nie było pytanie. – Kiedy to się stało?

– Wkrótce po tym, jak ogłosili, że na stałe zamykają fabryki. To go zabiło. Wiem, że tak!

– Co? – powiedziałam. – Jak to na stałe? Jakie fabryki?

– Wszystkie – odparła Laura. – Wszystkie nasze. Wszystko, co należało do nas w mieście. Myślałam, że o tym wiesz.

– Nie wiedziałam.

– Nasze fabryki połączyły się z fabrykami Richarda. Wszystko przeniesiono do Toronto. Teraz to Królewskie Zjednoczone Zakłady Griffena i Chase’a.

Innymi słowy, żadnych synów. Richard się ich pozbył.

– To oznacza brak pracy – powiedziałam. – Tutaj. To koniec. Już po wszystkim.

– Oni mówili, że to kwestia kosztów. Po tym, jak spłonęła fabryka guzików – mówili, że odbudowa byłaby za droga.

– Jacy oni?

– Nie wiem – odparła Laura. – A nie Richard?

– Nie taka była umowa – powiedziałam. Biedny ojciec – zaufał uściskom dłoni, słowom honoru i nie wypowiedzianym założeniom. Zaczynało być dla mnie jasne, że już nie tędy droga. Może nigdy tak nie było.

– Jaka umowa? – spytała Laura.

– Nieważne.

A więc niepotrzebnie poślubiłam Richarda – nie uratowałam fabryk i z pewnością nie uratowałam ojca. Ale wciąż była Laura, nie trafiła na ulicę. Musiałam o tym pomyśleć.

– Zostawił coś – list, wiadomość?

– Nie.

– Szukałaś?

– Reenie szukała – odparła Laura cienkim głosem, co oznaczało, że ona nie zdołała.

Oczywiście, pomyślałam. Reenie szukała. A gdyby znalazła coś takiego, spaliłaby to.

Zamroczony

Ojciec jednak nie zostawił listu. Był świadom konsekwencji. Nie chciał, żeby orzeczono samobójstwo, bo jak się okazało, miał ubezpieczenie na życie: płacił na nie od lat, więc nikt nie mógł go oskarżyć o przygotowanie tego w ostatniej chwili. Zamroził pieniądze – miały iść prosto na fundusz, żeby tylko Laura mogła je podjąć, i to dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat. Już wtedy musiał nie ufać Richardowi i uznał, że z zostawienia mi czegokolwiek nie wyjdzie nic dobrego. Wciąż byłam niepełnoletnia, byłam też żoną Richarda. To, co moje, należało więc do niego.

Jak mówiłam, odziedziczyłam ordery ojca. Za co? Za odwagę. Męstwo pod ostrzałem. Szlachetne gesty. Podejrzewam, że miałam żyć tak, abym sama na nie zasłużyła.

Reenie powiedziała, że całe miasto przyszło na pogrzeb. Cóż, prawie całe, w niektórych dzielnicach panowało spore rozgoryczenie; ojciec jednak był bardzo szanowany, a w tym czasie wiedziano już, że to nie on, ot, tak sobie, zamknął na dobre fabryki. Ludzie rozumieli, że nie brał w tym udziału – po prostu nie mógł temu zapobiec. To wysokie kredyty go załatwiły.

Reenie powiedziała, że wszyscy w mieście żalowali Laury. („Ale nie ciebie”, pozostało nie wypowiedziane. Ich zdaniem, mnie dostały się łupy. Takie, jakie były).

Oto ustalenia poczynione przez Richarda:

Laura zamieszka razem z nami. Cóż, oczywiście musi: nie może sama zostać w Awilionie, ma tylko piętnaście lat.

– Mogłabym zostać z Reenie – powiedziała Laura, ale Richard stwierdził, że to wykluczone. Reenie wychodzi za mąż, nie będzie miała czasu zajmować się Laurą. Laura oznajmiła, że nie trzeba się nią zajmować, ale Richard tylko się uśmiechnął.

– Reenie mogłaby przyjechać do Toronto – powiedziała Laura, ale Richard odparł, że nie chciała. (Richard nie chciał, żeby przyjechała. On i Winifred już zatrudnili odpowiednią – ich zdaniem – służbę do prowadzenia domu; ludzi, którzy wiedzieli, co w trawie piszczy, jak powiedział. Co oznaczało, że wiedzieli, co piszczy w trawie Richarda, a także Winifred).

Richard oświadczył, że już przedyskutował sprawy z Reenie i zawarli korzystną umowę. Powiedział, że Reenie i jej mąż zostaną naszymi dozorcami i dopilnują naprawy – Awilion się rozpadał, trzeba było przeprowadzić remont, poczynając od dachu – i w ten sposób będą na miejscu, by przygotować dla nas

dom, gdy zajdzie taka potrzeba, gdyż miał on służyć za letnią rezydencję. Będziemy przyjeżdżali do Awilionu na żagle i tak dalej, oznajmił tonem pobłażliwego wujaszka. W ten sposób Laura i ja nie zostaniemy pozbawione swojej „rodowej siedziby”. Powiedział „rodowa siedziba” z uśmiechem. Cieszymy się?

Laura mu nie podziękowała. Wpatrywała się w jego czoło z wystudiowaną obojętnością, jak kiedyś w pana Erskine’a, i zrozumiałam, że zapowiadają się kłopoty.

Richard mówił dalej, że on i ja wrócimy do Toronto samochodem, kiedy już wszystko zostanie załatwione. Najpierw musi się spotkać z adwokatami ojca, przy czym nasza obecność nie jest konieczna: to byłoby dla nas zbyt wstrząsające, zważywszy na obecne okoliczności; chciał nam oszczędzić, ile się da. Reenie szepnęła nam na stronie, że jeden z tych adwokatów był przez małżeństwo spokrewniony z naszą matką – jako mąż jej cioteczno-ciotecznej siostry – więc z pewnością będzie miał wszystko na oku.

Laura pozostanie w Awilionie, dopóki ona i Reenie nie spakują jej rzeczy; potem przyjedzie do miasta pociągiem i ktoś wyjdzie po nią na stację. Będzie mieszkała z nami w naszym domu – mieliśmy wolną sypialnię, która doskonale się nada, gdy tylko się ją odnowi. I będzie chodziła – w końcu – do prawdziwej szkoły. Po konsultacjach z Winifred, która zna się na takich sprawach, wybrał szkołę imienia Świętej Cecylii. Laura może potrzebować korepetycji, ale Richard był pewien, że z czasem wszystko się ułoży. W ten sposób będzie mogła ciągnąć zyski, czerpać korzyści...

– Korzyści z czego? – spytała Laura.

– Ze swojej pozycji – odparł Richard.

– Nie wydaje mi się, żebym miała jakąś pozycję – stwierdziła Laura.

– Co właściwie przez to rozumiesz? – spytał Richard już mniej pobłażliwie.

– To Iris ma pozycję – wyjaśniła Laura. – Jest panią Griffenową. Ja jestem tylko dodatkiem.

– Zdaję sobie sprawę, że masz powody do przygnębienia – odparł szybko Richard – zważywszy na niefortunne okoliczności, w których każdemu byłoby ciężko, ale nie ma powodu, abyś była nieuprzejma. Mnie i Iris też nie jest łatwo. Próbuję tylko robić dla ciebie to, co najlepsze.

– Myśli, że będę mu zawadzać – powiedziała mi Laura tego wieczoru w kuchni, gdzie ukryliśmy się przed Richardem. Sprawiało nam przykrość patrzeć, jak sporządza te swoje listy – co należy wyrzucić, co wyremontować, co wymienić. Patrzyłyśmy i milczałyśmy. Zachowuje się, jak gdyby dom należał do niego, powiedziała Reenie z oburzeniem. Bo należy, odparłam.

– Komu zawadzać? – zapytałam. – Jestem pewna, że nie o to mu chodziło.

– Zawadzać jemu – wyjaśniła Laura. – Zawadzać wam obojgu.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Reenie. Oznajmiła to jakby machinalnie. Głosem wyczerpanym, pozbawionym przekonania. Zorientowałam się,

że nie można oczekiwać od niej dalszej pomocy. Tego wieczoru w kuchni wyglądała staro i grubo, robiła też wrażenie przybitej. Jak się okazało, była już w ciąży. Pozwoliła, by zmiotło ją z nóg. Zmiata się kurz, i to do kosza, mawiała, ale pogwałciła własną maksymę. Musiała myśleć o czymś innym, na przykład, czy dociągnie do ołtarza, a jeśli nie, to co? Ciężkie czasy, bez wątplenia. Wtedy ludzie nie znali wielu sposobów na uwolnienie się od katastrofy: jeśli się potknęłaś, upadałaś, a jeśli upadłaś, młóciłaś rękami, rzucałaś się i szłaś na dno. Ciężko byłoby jej zasłużyć na kolejną szansę, bo nawet gdyby wyjechała, żeby urodzić dziecko, a potem je zostawiła, wszystko by się rozniosło i ludzie w mieście nigdy by jej tego nie darowali. Mogłaby równie dobrze wywiesić tabliczkę: wszyscy ustawialiby się w długiej kolejce. Kiedy kobieta raz zbłądziła, uważano, że taka już będzie. Po co kupować krowę, skoro można mieć mleko za darmo, musiała myśleć.

Zatem zrezygnowała z nas, oddała nas. Przez lata robiła, co mogła, ale teraz nie miała już władzy.

W Toronto czekałam na przybycie Laury. Upał nie ustępował. Duchota, wilgotne czoła, prysznic przed dżinem z tonikiem na werandzie z tyłu domu, wychodzącej na wyschnięty ogród. Powietrze przypominało mokry ogień, wszystko było osłabione albo żółte. W sypialni stał wentylator, który wydawał takie odgłosy jak starzec z drewnianą nogą wspinający się po schodach; zdyszane rżenie, szcęknięcie, rżenie. W ciężkie, bezgwiazdne noce wpatrywałam się w sufit, podczas gdy Richard robił swoje.

Powiedział, że jest mną zamroczony. Zamroczony – jak gdyby był pijany. Jak gdyby nigdy nie czuł tego do mnie na trzeźwo i przy zdrowych zmysłach.

Patrzyłam na siebie w lustrze, zastanawiając się, co we mnie jest? Co jest takiego, co go zamracza? Lustro ukazywało całą sylwetkę; próbowałam ujrzeć się w nim z tyłu, ale tego oczywiście nie da się zrobić. Nie da się zobaczyć tego, co widzi ktoś inny – mężczyzna patrzący z tyłu, gdy się o tym nie wie – bo w lustrze głowa jest zawsze wykręcona nad barkiem. Nieśmiała, zachęcająca poza. Można przytrzymać drugie lustro, żeby obejrzeć się z tyłu, ale zobaczy się to, co tak lubili malować liczni malarze – kobietę patrzącą w lustro, która podobno jest alegorią próżności. Chociaż to raczej nie próżność, lecz jej przeciwieństwo: poszukiwanie skaz. Co we mnie jest? można łatwo przerobić na: Co ze mną jest nie tak?

Richard powiedział, że kobiety dzielą się na jabłka i gruszki w zależności od kształtu pośladków. Powiedział, że jestem gruszką, ale niedojrzałą. To mu się we mnie podobało – moja zieloność, moja twardość. Myślałam, że ma na myśli pośladki, ale chyba chodziło mu o całość.

Po prysznicach, usunięciu szpeciny, wyczesaniu się i ułożeniu fryzury, teraz ostrożnie usuwałam wszystkie włosy z podłogi. Podnosiłam kłęбки z odpływu

wanny czy umywalki i spuszczałam je w ubikacji, bo Richard zauważył od niechcienia, że kobiety zawsze zostawiają po sobie włosy. Jak zwierzęta gubiące sierść, to miał na myśli.

Skąd wiedział? Skąd wiedział o gruszkach i jabłkach, i zostawianych włosach? Kim były te kobiety, inne kobiety? Poza powierzchowną ciekawością, niewiele mnie to obchodziło.

Usiłowałam nie myśleć o ojcu ani o tym, jak umarł i co planował, zanim to się stało, i jak musiał się czuć, i o tym wszystkim, czego Richard nie uznał za stosowne mi powiedzieć.

Winifred uwijała się jak w ukropie. Mimo upału wyglądała na nieco zmarzniętą, spowijała się lekkimi, zwiewnymi tkaninami niczym karykatura dobrej wróżki. Richard wciąż powtarzał, jaka jest wspaniała i ile mi poświęca pracy i zachodu, ale coraz bardziej mnie denerwowała. Bez przerwy wpadała do domu i z niego wypadała. Nigdy nie wiedziałam, kiedy może się zjawić, z radosnym uśmiechem wychylić głowę zza drzwi. Moim jedynym schronieniem stała się łazienka, gdyż tylko tam mogłam się zamknąć, nie wydając się zbyt nieuprzejma. Winifred doglądała remontu, zamawiała meble do pokoju Laury. (Toaletka z tkaniną z falbankami, w różowe kwiatki, z dopasowanymi zasłonami i narzutą na łożko. Lustro w białej ramie zdobionej złotem. To coś w sam raz dla Laury, czy nie uważam? Nie uważałam, ale nie było sensu tego mówić).

Planowała też ogród, już naszkicowała kilka projektów – parę koncepcików, jak powiedziała, wpychając mi kartki papieru, a potem je zabierając, układając je ostrożnie w teczce pękającej od innych jej koncepcików. Powiedziała, że fontanna będzie urocza – coś francuskiego, ale koniecznie autentyk. Czyż nie tak uważam?

Żałowałam, że Laura jeszcze nie przyjechała. Data jej przybycia była już trzykrotnie przekładana – nie zdążyła się spakować, zachorowała, zgubiła bilet. Rozmawiałam z nią przez biały telefon, jej głos był powściągliwy, daleki.

Zainstalowano u nas dwójkę służących, zrędliwą kucharkę i gospodynię w jednej osobie oraz dużego mężczyznę o obwisłych policzkach, pełniącego obowiązki ogrodnika i szofera. Nazywali się Murgatroyd i podobno byli małżeństwem, choć wyglądali na rodzeństwo. Traktowali mnie z nieufnością, którą odwzajemniałam. Za dnia, gdy Richard był w swoim biurze, a Winifred wszędzie, usiłowałam uciekać z domu jak najczęściej. Mówiłam, że idę do centrum – na zakupy, wyjaśniałam, co zawsze akceptowano jako sposób spędzania przeze mnie wolnego czasu. Kazałam szoferowi zawozić się do domu towarowego Simpsona i mówiłam mu, że wrócę taksówką. Wchodziłam do środka, dokonywałam szybkich zakupów: pończochy i rękawiczki zawsze były przekonującymi dowodami mojego zapału. Potem przechodziłam przez cały sklep i opuszczałam go drzwiami z przeciwnej strony.

Powróciłam do swoich dawnych zwyczajów – bezcelowego wędrowania, studiowania sklepowych wystaw, plakatów teatralnych. Nawet chodziłam do kina – sama. Nie bałam się już obmacujących mężczyzn, którzy stracili aurę demonicznej magii – teraz wiedziałam, co im chodzi po głowach. Nie byłam zainteresowana jeszcze większą dawką tego samego – tego samego obsesyjnego ściskania i macania. „Trzymaj ręce przy sobie albo zacznę krzyczeć”, skutecznie działało, jeśli byłaś gotowa na to, by za słowami poszły czyny. Najwyraźniej wyczuwali, że ja byłam. Wtedy z gwiazd filmowych najbardziej lubiłam Joan Crawford. Zranione oczy, zabójcze usta.

Czasem chodziłam do Królewskiego Muzeum Ontario. Patrzyłam na zbroje, na wypchane zwierzęta, antyczne instrumenty muzyczne. Nie zaprowadziło mnie to zbyt daleko. Albo wstępowałam do Cukierni Diany na napój lub filiżankę kawy: była to ekskluzywna herbaciarnia naprzeciwko domów towarowych, w której często przesiadywały panie, i nie wydawało się prawdopodobne, by nagabywali mnie tam mężczyźni. Albo szłam przez Queen’s Park, szybko i z poczuciem misji. Jeśli robiłam to zbyt wolno, zawsze pojawiał się mężczyzna. Mucholapka, nazywała Reenie tę czy inną młodą kobietę. Musi ich zeskrobywać, dodawała. Kiedyś pewien mężczyzna obnażył się przede mną, na wysokości moich oczu. (Popełniłam błąd, siadając na odosobnionej ławce na terenie uniwersytetu). Nie był wcale włóczęgą, miał całkiem schludne ubranie. „Przykro mi”, powiedziałam do niego. „Nie jestem zainteresowana”. Wyglądał na bardzo rozczarowanego. Najprawdopodobniej chciał, żebym zemdlała.

Teoretycznie mogłam iść, dokąd chciałam, praktycznie istniały niewidzialne bariery. Trzymałam się głównych ulic, bogatszych rejonów: nawet w tych granicach niewiele było miejsc, w których czułam się naturalnie. Obserwowałam innych ludzi – zazwyczaj nie mężczyzn, lecz kobiety. Czy były mężatkami? Dokąd szły? Miały pracę? Patrząc na nie, dostrzegałam niewiele poza ceną butów.

Czułam się tak, jak gdyby zabrano mnie i umieszczono w nieznanym kraju, w którym każdy mówi innym językiem.

Czasem zdarzały się pary, ręka w rękę – roześmiane, szczęśliwe, zakochane. Ofiary olbrzymiego oszustwa, a jednocześnie jego sprawcy, tak przynajmniej czułam. Wpatrywałam się w nie z nienawiścią.

Pewnego dnia – był to czwartek – zobaczyłam Alexa Thomasa. Stał po drugiej stronie ulicy, czekając, aż zmieni się światło. To była Queen Street, przy skrzyżowaniu z Yonge. Gorzej się ubierał – miał na sobie niebieską koszulę, jak robotnik, i zniszczony kapelusz – ale to z pewnością był on. Wyglądał, jakby coś go oświeślało, jak gdyby padał na niego snop światła z jakiegoś niewidzialnego źródła, czyniąc go przerażająco widocznym. Z pewnością wszyscy inni na ulicy także na niego patrzyli – z pewnością wiedzieli kto to! W każdej chwili mogli go rozpoznać, zacząć krzyczeć i rzucić się w pogoń. Moim pierwszym impulsem

było ostrzec go. Wtedy jednak zdałam sobie sprawę, że ostrzeżenie musiałyby dotyczyć nas obojga, bo jeśli był w coś wplątany, ja też bym się w to wplątała.

Mogłam nie zwracać na niego uwagi. Mogłam się odwrócić.

To byłoby mądrzejsze. Ale wtedy taka mądrość nie była moim udziałem.

Zeszłam z krawężnika i ruszyłam przez jezdnię w jego kierunku. Światło znowu się zmieniło: ugrzęzłam na środku ulicy. Trąbiły samochody, rozległy się krzyki, auta ruszyły. Nie wiedziałam, czy się cofnąć, czy iść przed siebie.

Wtedy on skręcił, na początku nie byłam pewna, czy mnie zobaczył. Wyciągnęłam rękę, jak tonący człowiek błagający o ratunek. W tamtej chwili już popełniłam zdradę w swoim sercu.

Czy była to zdrada, czy akt odwagi? Może jedno i drugie. Ani to, ani to nie wymaga przezorności: takie rzeczy zdarzają się nagle, w mgnieniu oka. Dzieje się tak dlatego, że już je ćwiczyliśmy, raz za razem, w ciszy i ciemności; w takiej ciszy, takiej ciemności, że w ogóle nie zdajemy sobie z nich sprawy. Ślepi, lecz pewnie trzymający się na nogach, robimy krok w przód, jakbyśmy zaczęli wyuczony taniec.

Sunnyside

Trzy dni później miała przyjechać Laura. Kazałam się zawieźć na Union Station, żeby ją przywitać, ale nie było jej w pociągu. Nie było jej też w Awilionie: zadzwoniłam do Reenie, żeby sprawdziła, i spowodowałam wybuch: zawsze wiedziała, że coś takiego się wydarzy, dlatego że Laura już taka jest. Poszła z Laurą na pociąg, nadała jej bagaż i wszystko inne, jak jej kazano, podjęła wszelkie środki ostrożności. Powinna była towarzyszyć jej przez całą drogę, a teraz proszę! Jakiś handlarz żywym towarem ją uprowadził.

Bagaż Laury przybył na czas, ale wyglądało na to, że sama Laura zniknęła. Richard był bardziej przygnębiony, niż mogłabym się spodziewać. Obawiał się, że porwały ją nieznane siły – ludzie, którzy mieli coś do niego. To mogli być czerwoni albo pozbawiony skrupułów rywal w interesach: tacy pokręceni ludzie istnieli. Kryminaliści, zasugerował, w zмовie z rozmaitymi osobnikami – osobnikami, którzy nie cofną się przed niczym, żeby tylko zdobyć nad nim przewagę, ze względu na jego rosnące polityczne powiązania. Następne, co nas czeka, to list od szantażysty.

W sierpniu tego roku miał podejrzenia co do rozmaitych spraw, powiedział, że powinniśmy bacznie rozglądać się wokół siebie. W Ottawie odbył się wielki marsz – tysiący, dziesiątków tysięcy ludzi, którzy twierdzili, że są bezrobotni, żądali pracy i uczciwej zapłaty. Ludzie podjudzani byli przez wywrotowców zdecydowanych obalić rząd.

– Założę się, że ten młody, jak mu tam, jest w to zamieszany – powiedział Richard, patrząc na mnie z ukosa.

– Młody kto? – zapytałam, wyglądając przez okno.

– Słuchaj, co mówię, kochanie. Kolega Laury. Ten ciemny. Ten młody opryszek, który spalił fabrykę waszego ojca.

– Przecież się nie spaliła – odparłam. – Zdążyli ją ugasić. Poza tym nigdy tego nie udowodniono.

– Uciekł w popłochu – powiedział Richard. – Zmykał jak królik. Dla mnie to wystarczający dowód.

Protestujących z Ottawy wylapano dzięki sprytnemu zakulisowemu fortelowi, zasugerowanemu – tak przynajmniej twierdzili – przez Richarda, który w tych czasach obracał się w wysokich kręgach. Przewodniczących marszu zwabiono do Ottawy na „oficjalne rozmowy”, a cała reszta zainstalowała się w Reginie. Rozmowy spełżyły na niczym, jak zaplanowano, ale wybuchły zamieszki. Wywołali je wywrotowcy, tłum wymknął się spod kontroli, byli zabici i ranni.

Kryli się za tym komuniści, bo maczali paluchy w każdej podejrzonej sprawie, a kto mógł zaświadczyć, że zasadzenie się na Laurę nie było właśnie tego typu sprawą?

Uważałam, że Richard nadmiernie się denerwuje. Też czułam się przygnębiona, ale wierzyłam, że Laura gdzieś zawędrowała – zapewne przez roztrągnięcie. To byłoby do niej podobne. Wsiadła na złej stacji, zapomniała naszego numeru telefonu, zabłądziła.

Winifred powiedziała, że powinniśmy sprawdzić szpitale: Laura mogła się rozchorować albo mieć wypadek. Ale w szpitalu jej nie było.

Po dwóch dniach zamartwiania się poinformowaliśmy policję i wkrótce po tym, mimo środków ostrożności podjętych przez Richarda, historia przedostała się do prasy. Reporterzy okupowali chodnik przed naszym domem. Robili zdjęcia, choćby tylko naszych drzwi i okien, telefonowali, błagali o wywiady. Pragnęli skandalu. „Znana uczennica z towarzystwa w gniazdku miłości”. „Makabryczne szczątki na Union Station”. Chcieli się dowiedzieć, że Laura uciekła z żonatym mężczyzną albo że została porwana przez anarchistów, albo że odnaleziono jej zwłoki w przechowalni bagażu, w walizce w kratkę. Seks lub śmierć albo jedno i drugie – o to im chodziło.

Richard powiedział, że powinniśmy być uprzejmi, ale nie należy udzielać informacji. Powiedział, że nie ma sensu nadmiernie zrażać do siebie prasy, bo reporterzy to mściwe małe robactwo, które przez lata będzie chowało urazę, by odpłacić się później, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. Powiedział, że wszystkim się zajmie.

Najpierw oznajmił, że znalazłam się na krawędzi załamania, i poprosił, żeby uszanować moją prywatność i delikatne zdrowie. Dzięki temu reporterzy trochę się uspokoiłi; oczywiście przypuszczali, że jestem w ciąży, co w tamtych czasach coś znaczyło – uważano poza tym, że ten stan miesza kobietom w głowach. Potem Richard dał do zrozumienia, że za informację będzie nagroda, choć nie powiedział w jakiej wysokości. Ósmego dnia otrzymaliśmy anonimowy telefon: Laura nie została zamordowana, ale pracuje w budce z goframi w Parku Rozrywki Sunnyside. Dzwoniący twierdził, że rozpoznał ją na podstawie opisu, który opublikowano we wszystkich gazetach.

Zdecydowano, że Richard i ja pojedziemy po nią razem. Winifred powiedziała, że Laura najprawdopodobniej teraz dopiero przeżywa szok spowodowany nieprzyjemną śmiercią ojca i odkryciem zwłok. Każdy byłby poruszony po tak ciężkich doświadczeniach, a Laura miała słabe nerwy. Najprawdopodobniej ledwie zdawała sobie sprawę z tego, co robi czy mówi. Kiedy ją odzyskamy, musi otrzymać silny środek uspokajający i zostać odwieziona do lekarza.

Najważniejsze jednak, jak stwierdziła Winifred, jest to, żeby nawet jedno słowo nie wydostało się na zewnątrz. Piętnastolatka uciekająca w taki sposób z

domu – to musi się odbić na rodzinie. Ludzie mogą pomyśleć, że źle ją traktowano, a to groziło poważnymi utrudnieniami. Richardowi i jego politycznym planom na przyszłość, to miała na myśli.

Do Sunnyside ludzie jeździli wtedy na lato. Nie tacy ludzie jak Richard i Winifred – dla nich było zbyt awanturnicze, zbyt spoczone. Karuzele, hot dogi, piwo, strzelnice, wybory piękności, publiczne baseny – słowem, prostackie rozrywki. Richard i Winifred nie życzyliby sobie znaleźć się w tak niewielkiej odległości od pach innych ludzi, którzy przeliczali swoje pieniądze na dziesiątaki. Właściwie nie wiem, dlaczego jestem świętsza od papieża, sama bym tego nie chciała.

Teraz już nie ma Sunnyside – zmiotło je dwanaście pasm autostrady gdzieś w latach pięćdziesiątych. Zdemontowano je dawno temu, jak wiele innych parków rozrywki. Ale tamtego lata, w sierpniu rozkręciło się na dobre. Pojechaliśmy coupé Richarda, ale musieliśmy zostawić samochód w pewnej odległości ze względu na ruch uliczny i tłum rozpychający się na chodnikach i zakurzonych drogach.

To był paskudny dzień, gorący i mglisty, gorętszy niż bramy Hadesu, jak mawia Walter. Nad brzegiem jeziora unosiła się niewidzialna, ale niemal namacalna mgła, złożona z zatęchłych perfum i olejku na ogorzałych nagich ramionach, zmieszana z parą z gotowanych kiełbasek i intensywną wonią palonego cukru. Wejście w tłum przypominało zatonięcie w gulaszu – człowiek stawał się składnikiem, nabierał pewnego smaku. Nawet czoło Richarda zwilgotniało pod rondenem panamy.

Z góry dobiegało nas zgrzytanie metalu o metal, złowieszcze dudnienie i chór kobiecych krzyków: kolejka górską. Nigdy nią nie jechałam, gapiałam się więc, aż Richard powiedział: „Zamknij usta, skarbie, bo wpadnie ci do nich mucha”. Później usłyszałam dziwną historię – od kogo? Od Winifred – bez wątpienia, to była jedna z tych rzeczy, które rozpowiadała, żeby pokazać, że naprawdę zna się na życiu, na prawdziwym życiu, poza sceną. Historia traktowała o tym, że dziewczęta, które wpędziły się w kłopoty – określenie Winifred, jak gdyby te dziewczęta same były odpowiedzialne za kłopoty – owe dziewczęta jeździły więc kolejką górską w Sunnyside, żeby wywołać poronienie. Winifred się śmiała: Oczywiście, to nic nie dawało, powiedziała, a gdyby nawet, to co by zrobiły? Chodzi mi o krew. Tak w powietrzu? Tylko to sobie wyobraź!

Gdy to mówiła, wyobraziłam sobie czerwone serpentyny, które zrzucano z liniowców w momencie wypływania w morze, opadające na widzów poniżej. Albo serię smug, długich, szerokich smug czerwieni, rozwijających się z kolejki górskiej i tych dziewczyn niczym farba wylewana z wiadra. Jak długie bazgroły cynobrowego obłoku. Jak pisanina na niebie.

Teraz myślę: jeśli pisanina, to jaka pisanina? Pamiętniki, powieści, autobiografie? A może zwykłe graffiti: Mary kocha Johna. Ale John nie kocha Mary

albo kocha ją za mało. Za mało, żeby ją ocalić od opróżniania siebie, od zabazgrania wszystkich czerwonymi, bardzo czerwonymi literami.

Stara historia.

Ale tego sierpniowego dnia w 1935 roku jeszcze nie słyszałam o aborcjach. Gdyby to słowo padło w mojej obecności – a nie padło – nie miałabym pojęcia, co oznacza. Nawet Reenie nigdy go nie wypowiedziała: ponure aluzje do rzeźników i kuchennych stołów to wszystko, do czego się posunęła, a Laura i ja – ukryte na tylnych schodach, podsłuchujące – myślałyśmy, że mówi o kanibalizmie, co uznałyśmy za bardzo ciekawe.

Wrzask dobiegający z kolejki górskiej oddalił się, ze strzelnicy rozlegały się dźwięki przypominające pękającą prażoną kukurydzę. Ktoś się śmiał. Zgłodniałam, ale nie mogłam zaproponować, żeby coś zjeść; nie byłoby to wówczas na miejscu, poza tym jedzenie się nie nadawało. Richard marszczył surowo brwi, trzymał mnie za łokieć, prowadząc przez tłum. Drugą rękę włożył do kieszeni. Powiedział, że to miejsce roi się od złodziei o lepkich palcach.

Dotarliśmy do budki z goframi. Laury nie było widać, ale Richard nie życzył sobie od razu z nią rozmawiać; wiedział, co robi. Lubił załatwiać sprawy, zaczynając od samej góry, jeśli było to możliwe. Tak więc poprosił o chwilę rozmowy z właścicielem budki z goframi, dużym mężczyzną o ciemnej szczecinie na brodzie, wydzielającym woń nieświeżego masła. Mężczyzna od razu wiedział, dlaczego Richard się tu zjawiał. Wyszedł z budki, rzucając ukradkowe spojrzenie przez ramię.

Richard spytał właściciela budki z goframi, czy jest świadomy, że ukrywa niepełnoletnią uciekinierkę? Boże broń, odparł z przerażeniem mężczyzna. Laura go oszukała – powiedziała, że ma dziewiętnaście lat. Ciężko pracowała, trzeba przyznać, harowała jak wół, sprząając budkę i pomagając przy gofrach, kiedy robił się tłok. Gdzie sypiała? Mężczyzna odpowiadał ogólnikowo. Ktoś w okolicy zaoferował jej nocleg, ale nie on.

To nie było nic zdrożnego, musimy uwierzyć, przynajmniej on nic o tym nie wie. To dobra dziewczyna, a on jest szczęśliwie żonaty w przeciwieństwie do niektórych w okolicy. Było mu jej żal – myślał, że może wpadła w jakieś kłopoty. Miał miękkie serce do takich miłych dzieciaków. W rzeczy samej to on zadzwonił, nie tylko dla nagrody, uznał, że chyba lepiej jej będzie z rodziną, prawda?

Tu popatrzył wyczekująco na Richarda. Pieniądze zmieniły właściciela, chociaż – jak mi się wydawało – nie tyle pieniędzy, ile oczekiwał mężczyzna. Wtedy wezwano Laurę. Nie protestowała. Spojrzała tylko na nas i uznała, że tego nie robi.

– W każdym razie, dziękuję za wszystko – powiedziała do mężczyzny z budki.

Uścisnęła mu dłoń. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że ją sprzedał.

Richard i ja trzymaliśmy ją z obu stron za ramiona i przeprowadziliśmy przez Sunnyside. Czułam się jak zdrajczynie. Richard posadził Laurę w samochodzie pomiędzy nami. Objęłam ją delikatnie. Byłam na nią zła, ale wiedziałam, że muszę ją pocieszyć. Pachniała wanilią, gorącym, słodkim syropem i brudnymi włosami.

Kiedy już zawieźliśmy ją do domu, Richard wezwał panią Murgatroyd i polecił jej przygotować szklankę mrożonej herbaty dla Laury. Ona jednak jej nie wypila. Siedziała na samym środku sofy, ze złączonymi kolanami, sztywna, z kamiennym wyrazem twarzy i szklanym spojrzeniem.

Richard spytał, czy Laura ma pojęcie, ile spowodowała niepokoju i zamieszania. Nie. Czy to ją obchodzi? Brak odpowiedzi. Ma ogromną nadzieję, że więcej nie będzie próbowała czegoś takiego. Brak odpowiedzi. Gdyż teraz działał *in loco parentis*, jeśli można tak to ująć, więc miał względem niej obowiązki i zamierzał je wypełnić, niezależnie od kosztów. A ponieważ istnieje także druga strona medalu, oczekuje, że i ona zdaje sobie sprawę ze swoich obowiązków wobec niego – wobec nas, dodał – i że powinna się dobrze zachowywać, robić to, czego się od niej oczekuje, kierując się rozsądkiem. Czy to rozumiała?

– Tak – odparła Laura. – Rozumiem, o co ci chodzi.

– Mam taką wielką nadzieję – powiedział Richard. – Mam wielką nadzieję, że rozumiesz, młoda damo.

Ta „młoda dama” mnie zdenerwowała. Zabrzmiało to jak zarzut, jak gdyby było coś złego w byciu młodą, a także w byciu damą. Jeśli tak, ten zarzut dotyczył i mnie.

– Co jaśdaś? – zapytałam, żeby zmienić temat.

– Jabłka w cieście – odparła Laura. – Obwarzanki z cukierni, na drugi dzień są tańsze. Sprzedawcy byli naprawdę mili. Hot dogi.

– O rety – powiedziałam z lekkim, wyrażającym dezaprobatę uśmiechem skierowanym do Richarda.

– To jedzą inni ludzie – stwierdziła Laura. – W prawdziwym życiu.

Zacząłam troszeczkę rozumieć, co ją musiało pociągać w Sunnyside. To byli „inni ludzie” – ci ludzie, którzy zawsze byli i będą inni, przynajmniej zdaniem Laury. Pragnęła im służyć, tym innym ludziom. Pragnęła w pewien sposób przyłączyć się do nich. Ale nie mogła. To znowu była jadłodajnia w Port Ticonderoga.

– Lauro, dlaczego to zrobiłaś? – zapytałam, gdy tylko zostałyśmy same. (Na: Jak to zrobiłaś?, odpowiedź była prosta: wysiadła z pociągu w Londynie i zamieniła bilet na późniejszy pociąg. Dobrze, że nie pojechała do innego miasta: moglibyśmy nigdy jej nie odnaleźć).

– Richard zabił ojca – odparła. – Nie mogę mieszkać w jego domu. To złe.

– To niesprawiedliwe – powiedziałam. – Ojciec zmarł w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Wstydziałam się, że tak mówię: brzmiało to jak słowa Richarda.

– Może to niesprawiedliwe, ale prawdziwe. W rzeczywistości to prawda – stwierdziła. – Poza tym chciałam mieć pracę.

– Ale dlaczego?

– Żeby pokazać, że możemy... że mogę. Że nie musimy, że nie muszę... – Odwróciła ode mnie wzrok, zaczęła obgryzać paznokcieć.

– Czego nie musimy?

– No wiesz – powiedziała. – Tego wszystkiego. – Machnęła ręką w kierunku toaletki, dopasowanych kwiecistych zasłon. – Najpierw poszłam do zakonnicy. Do Zakonu Morskiej Gwiazdy.

O Boże, znowu, pomyślałam, tylko nie zakonnice. Myślałam, że zakonnice mamy już z głowy.

– I co powiedziały? – zapytałam uprzejmym, obojętnym głosem.

– Nic z tego nie wyszło – odparła Laura. – Były dla mnie bardzo miłe, ale odmówiły. Nie, nie tylko dlatego, że nie jestem katoliczką. Powiedziały, że nie mam prawdziwego powołania, usiłuję tylko uchylić się od obowiązków. Powiedziały, że jeśli chcę służyć Bogu, powinnam to robić w życiu, do którego mnie powołał. – Przerwała. – Ale o jakie życie chodzi? – zapytała. – Ja nie mam życia!

Rozpląkała się, a ja ją objęłam, tym zużytym przez lata gestem z czasów, gdy była mała. Przestań ryczeć. Gdybym miała kostkę brązowego cukru, dałabym ją Laurze, ale wtedy dawno już minęły czasy brązowego cukru. Cukier by nie pomógł.

– Jak my się stąd kiedykolwiek wydostaniemy? – płakała. – Zanim będzie za późno.

Przynajmniej miała dość rozumu, żeby się bać. Miała więcej rozumu niż ja. Wzięłam to jednak za nastoletnie melodramatyzowanie.

– Za późno na co? – zapytałam ją łagodnie. Potrzebny był tylko głęboki oddech; głęboki oddech, trochę spokoju, mały remanent. Nie było powodów do paniki.

Myślałam, że dam sobie radę z Richardem, z Winifred. Myślałam, że mogę żyć jak mysz w zamku tygrysów, przekradając się poza zasięgiem wzroku pod ścianami, milcząc, pochylając głowę. Gorzej: nie wiedziałam, że sama mogę się stać tygrysem. Nie wiedziałam, że w odpowiednich okolicznościach może stać się nim Laura. Tak naprawdę każdy by mógł.

– Popatrz na to z drugiej strony – powiedziałam do Laury kojącym tonem. Poklepałam ją po plecach. – Zrobię ci filiżankę ciepłego mleka, a potem będziesz długo spać. Jutro poczujesz się lepiej.

Ale ona wciąż płakała i wcale nie dawała się pocieszyć.

Xanadu

Ostatniej nocy śniłam, że mam na sobie swój kostium z balu Xanadu. Miałam być dziewczką z Abisynii – damą z cymbałami. Kostium uszyto z zielonego atlasu: małe bolerko ze złotymi błyskotkami na lamówce, z głębokim dekoltem, odsłaniające talię; reformy z zielonego atlasu, przezroczyste pantaloney. Mnóstwo fałszywych złotych monet, służących za naszyjniki i zawieszonych nad czołem. Mały ozdobny turban z zapinką w kształcie półksiężyca. Kwef. Jakiś tandetny, cyrkowy projektant tak sobie wyobrażał Wschód.

Uważałam, że wyglądam w tym całkiem niezłe, dopóki nie zdałam sobie sprawy – patrząc w dół na opadający brzuch, spuchnięte, pożyczowane kostki, wyschnięte ręce – że nie mam tylu lat, ile wtedy, tylko tyle, ile teraz.

Nie znajdowałam się jednak na balu. Byłam sama, albo tak to na początku wyglądało, w zniszczonej ciepłarni w Awilonie. Tu i ówdzie walały się puste doniczki; inne, nie puste, wypełniała wyschnięta ziemia i martwe rośliny. Jeden z kamiennych sfinksów leżał na ziemi, przewrócony na bok, pobazgrany flamastrzem – imiona, inicjały, prymitywne rysunki. W szklanym dachu wybito dziurę. Wszędzie śmierdziało kotami.

Dom za mną był ciemny, opuszczony, wszyscy odeszli. Zostawili mnie w tym idiotycznym przebraniu. Była noc, z wąskim jak paznokieć księżycem. W jego świetle mogłam zobaczyć coś, co okazało się jedyną żyjącą rośliną: lśniącym krzakiem, z samotnym białym kwiatem. Laura, powiedziałam. Gdzieś w ciemności rozległ się śmiech mężczyzny.

Niezbyt straszny ten koszmar, powiesz. Czekaaj, aż ci się taki przyśni. Obudziłam się z poczuciem opuszczenia.

Dlaczego umysł to robi? Atakuje nas, rozdziera, zatapia w nas szpony. Mówią, że kiedy człowiek jest bardzo wygłodniały, zaczyna zjadać własne serce. Może to jedno i to samo.

Nonsens. To wszystko chemia. Muszę coś zrobić z tymi snami. Musi być jakaś tabletką.

Dziś więcej śniegu. Od samego wyglądnania przez okno bolą mnie palce. Piszą przy kuchennym stole, tak powoli, jakbym grawerowała. Długopis wydaje się ciężki, trudno się go przyciska, jest jak paznokieć drapiący o beton.

Jesień 1935 roku. Upał zelżał, nadszedł chłód. Mróz na opadłych liściach, potem na liściach, które jeszcze nie opadły. Później na oknach. Wtedy takie szczegóły sprawiały mi radość. Lubiałam oddychać. Przestrzeń w moich płucach należała tylko do mnie.

Czas płynął.

To, co Winifred nazwała „małą eskapadą Laury”, zostało jak najstaranniej zatuszowane. Richard powiedział Laurze, że jeśli będzie o tym rozmawiała z kimś obcym, zwłaszcza w szkole, on z pewnością się dowie i uzna to za osobisty afront, a także próbę sabotażu. Załatwił kwestię prasy: alibi zapewnili Newton-Dobbsowie, jego kumple na wysokich stanowiskach – on był kimś w jednym z przedsiębiorstw kolejowych – gotowi przysiąc, że Laura cały ten czas spędziła z nimi w Muskoka. Wakacje zorganizowano w ostatniej chwili, a Laura myślała, że Newton-Dobbsowie do nas zadzwonili, oni zaś byli przekonani, że zrobiła to Laura, i wszystko okazało się zwykłym nieporozumieniem, bo nie mieli pojęcia, że Laurę uważa się za zaginioną, gdyż podczas wakacji nigdy nie interesowali się prasą.

Prawdopodobna historia. Ludzie w nią uwierzyli albo udawali, że wierzą. Podejrzewam, że Newton-Dobbsowie rozpowiadali prawdziwą historię wśród dwudziestki swoich najlepszych przyjaciół, cicho sza, mówię to tylko tobie; podobnie na ich miejscu postąpiłaby Winifred, plotka była takim samym towarem jak wszystko inne. Ale przynajmniej nie trafiło to nigdy do gazet.

Laura została wpakowana w drapiącą spódnicę, krawat w kratkę i wysłana do Świętej Cecylii. Nie kryła się z tym, że nienawidzi szkoły. Mówiła, że nie musi tam chodzić; mówiła, że już miała jedną pracę, więc może zdobyć kolejną. Obwieszczała mi to wszystko w obecności Richarda. Nie odzywała się bezpośrednio do niego.

Obgryzała paznokcie, jadła za mało, była za szczupła. Zaczęłam się o nią bardzo martwić, jak oczekiwano i, szczerze mówiąc, jak powinnam. Richard jednak stwierdził, że męczą go te historyczne brednie, a co do pracy, to nie chce więcej o tym słyszeć. Laura była o wiele za młoda, żeby radzić sobie sama; wpłatałaby się w coś podejrzanego, bo wszędzie pełno jest ludzi, którzy żyją z wykorzystywania takich głupich młodych dziewcząt. Jeśli się jej nie podoba szkoła, może pójść do innej, daleko, w innym mieście, a jeśli ucieknie z tamtej, on umieści ją w Domu dla Krnąbrnych Dziewcząt razem z innymi niemoralnymi młodocianymi przestępczyniami, a jeśli i to nie pomoże, zawsze zostaje klinika. Prywatna klinika, z kratami w oknach; skoro chce worka pokutnego i popiołu, to jej powinno odpowiadać. Jest niepełnoletnia, on jest jej opiekunem, i żeby sobie nie myślała, on zrobi dokładnie to, co mówi. Jak wiedziała – jak wszyscy wiedzieli – dotrzymywał słowa.

Miał tendencję do wytrzeszczania oczu w złości i teraz były wytrzeszczone, choć mówił to wszystko spokojnym, wiarygodnym tonem. Laura mu uwierzyła i dała się zastraszyć. Usiłowałam interweniować – te groźby były zbyt surowe, nie rozumiał Laury ani tego, jak dosłownie wszystko traktowała – ale kazał mi się trzymać od tego z daleka. Tu potrzeba było twardej ręki. Laurę dość już

rozpieszczono. Czas, by dojrzała.

W ciągu kilku tygodni zawarli niepewny rozejm. Usiłowałam tak wszystko układać, żeby na siebie nie wpadali. Statki nocą, na to liczyłam.

Oczywiście, Winifred też wtrąciła swoje trzy grosze. Musiała powiedzieć Richardowi, żeby zajął stanowisko, bo takie jak Laura kąsają rękę, która je karmi, chyba że się im założy kaganiec.

Richard radził się Winifred w każdej sprawie, bo solidaryzowała się z nim, popierała go, zachęcała. Ona też pomagała mu w towarzystwie, wprowadzała w kręgi osób uważanych przez siebie za odpowiednie. Kiedy będzie kandydował do parlamentu? Jeszcze nie, szeptała do każdego ucha gotowego jej wysłuchać – jeszcze nie nadszedł czas – ale wkrótce. Oboje uznali, że Richard to człowiek przyszłości, a kobietą, która za nim stoi – czyż każdy człowiek sukcesu nie ma takiej kobiety? – jest ona.

Z pewnością nie byłam to ja. Zarówno jej, jak i moja pozycja były już wtedy jasne – albo też zawsze były jasne dla niej, lecz teraz stawały się jasne również dla mnie. Richard jej potrzebował, mnie z kolei zawsze mogli kimś zastąpić. Ja miałam rozkładać nogi i zamykać usta.

Może to brzmi brutalnie, ale tak było. I nie było to niczym niezwykłym.

Winifred musiała się mną zajmować w ciągu dnia: nie chciała, żebym wariowała z nudów, nie chciała, żebym straciła cierpliwość. Sporo wysiłku włożyła w wymyślanie bezsensownych zajęć dla mnie i takie aranżowanie czasu i przestrzemi, żebym mogła je wykonać. Nie były to nigdy zajęcia zbyt wymagające, nie kryła bowiem, że uważa mnie za głupią gąskę. Ja ze swojej strony nie zrobiłam nic, żeby zmienić tę opinię.

Nadszedł czas balu charytatywnego na rzecz średnio-wiejskiej ochronki dla pod-rzutek, balu, którego była organizatorką. Wpisała mnie na listę koordynatorek, nie tylko po to, żebym miała przy czym skakać, ale też dlatego, że to postawiłoby w dobrym świetle Richarda. „Koordynatorka” była żartem, Winifred uważała, że nie skoordynowałabym własnych sznurowadeł, więc jakie zajęcie można mi było przydzielić? Uznała, że adresowanie kopert. Miała rację, to potrafiłam robić. Byłam w tym nawet niezła. Nie musiałam się przy tym zastanawiać i myślami mogłam przebywać gdzie indziej. („Dzięki Bogu, że ma przynajmniej jeden talent”, niemal słyszałam, jak mówi to do rozmaitych Billie i Charlie przy brydżu. „Och, zapomniałam – dwa!” Salwy śmiechu).

Średnio-wiejska ochronka dla podrzutek, pomagająca dzieciom ze slumsów, była chlubą Winifred, a przynajmniej był nią bal. Podobnie jak inne tego rodzaju, był to bal kostiumowy, ludzie w tamtych czasach lubili kostiumy. Lubili je niemal tak samo jak mundury. Jedno i drugie służyło identycznemu celowi: uniknięciu bycia tym, kim się było, udawaniu, że jest się kimś innym. Wkładając egzotyczny strój, człowiek mógł się stać ważniejszy i potężniejszy albo bardziej ponętny i

tajemniczy. Cóż, coś w tym było.

Organizacją balu zajmował się specjalny komitet, ale wszyscy wiedzieli, że ważne decyzje Winifred podejmuje samodzielnie. Ona trzymała obręcze, inni przez nie skakali. Ona wybrała temat na 1936 rok – „Xanadu”. Konkurencyjny bal Towarzystwa Sztuk Pięknych ostatnio wziął na warsztat *Tamerlana w Samarkandzie* i odniósł wielki sukces. Wschodnie motywy nie mogły zawieść, poza tym z pewnością wszyscy znali *Kubla Chana* na pamięć ze szkoły, więc nawet prawnicy – nawet lekarze – nawet bankierzy będą wiedzieli, co to jest Xanadu. Na pewno będą to wiedziały ich żony.

*W Xanadu kazał Kubla Chan
Wznieść pyszny pałac, tam, gdzie płynie
W pieczarach, których myśl człowieka
Nie zmierzy, Alph, święta rzeka,
Co w mrocznym morzu ginie.*{38}

Winifred kazała przepisać cały poemat na maszynie, powielić go i rozdać członkom naszego komitetu – żeby spopularyzować pomysł, jak powiedziała – i dodała, że wszelkie sugestie będą mile widziane, chociaż my wiedzieliśmy, że wszystko już sobie dokładnie zaplanowała. Poemat pojawił się też na wydrukowanych zaproszeniach – złote liternictwo, ze złoto-błękitną obwódką z arabskim pismem. Czy ktoś rozumiał to pismo? Nie, ale wyglądało po prostu prześlicznie.

Były to przyjęcia tylko dla zaproszonych gości. Zapraszano cię, płaciłeś jakieś niebotyczne sumy, ale za to grono gości było bardzo wąskie. Z niepokojem oczekiwano, kto się znajdzie na liście, choć denerwowali się tylko ci z wątpliwościami co do własnego statusu. Czekanie na zaproszenie i nieotrzymanie go było przedśmionkiem czyśćca. Podejrzewam, że wiele łez wylewano z takich powodów, ale w sekrecie – w tym świecie nie można było pokazać, że komuś na czymś zależy.

Piękność Xanadu polegała na tym (powiedziała Winifred po przeczytaniu poematu swoim sznaps barytonem – przeczytała go znakomicie, trzeba jej to przyznać) – jego piękność polegała na tym, że przy takim temacie można pokazać albo ukryć, co tylko się chce. Korpulentni mogą się spowić kosztownym brokatem, smukli mogą się przebrać za niewolnice albo perskie tancerki i odsłonić dosłownie wszystko. Spódnice z gazy, bransolety, brzęczące łańcuchy na kostkach – możliwości były w zasadzie nieograniczone i oczywiście mężczyźni uwielbiali przebierać się za baszów i udawać, że mają haremy. Dodała, przy pełnym aprobaty chichocie, że wątpi jednak, czy zdoła przekonać kogoś do przebrania się za eunucha.

Laura była za młoda na ten bal. Winifred planowała dla niej debiut, rytuał

przejścia, który się jeszcze nie odbył, i do tego czasu Laura nie mogła być uważana za partię. Mimo to zainteresowały ją przygotowania do balu. Czuję wielką ulgę, że znowu się czymś zajęła. Z pewnością nie interesowała jej szkoła: miała fatalne stopnie.

Sprostowanie: to nie przygotowaniem się zainteresowała, tylko poematem. Ja już go znałam, od panny Przemocy z Awilionu, ale wtedy Laure nie specjalnie zainteresował. Teraz wciąż go czytała.

Chciała wiedzieć, kim był kochanek demon? Dlaczego morze było mroczne, dlaczego było martwe? Dlaczego w słonecznym pałacu znajdowały się pieczary z lodem? Czym była góra Abora i dlaczego dziewczeczka z Abisynii o niej śpiewała? Czemu głos przodków zapalał do wojny?

Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Teraz znam na wszystkie. Nie odpowiedzi Samuela Taylora Coleridge'a – nie jestem pewna, czy je znał, skoro wtedy był na prochach – ale własne odpowiedzi. Oto one, w całej okazałości.

Święta rzeka żyje. Wpływa do martwego morza, bo tak kończą wszystkie żywe rzeczy. Kochanek jest kochankiem demonem, bo go nie ma. W słonecznym pałacu kryją się pieczary z lodu, bo tak jest we wszystkich pałacach – po jakimś czasie robi się w nich bardzo zimno, a potem się rozpuszczają, i co wtedy? Wszystko mokre. Góra Abora była domem dziewczeczki z Abisynii, a dziewczeczka śpiewała o nim, bo nie mogła do niego wrócić. Głos przodków zapalał do wojny, bo głos przodków nigdy nie milknie, bo przodkowie nie znoszą się mylić, a wojna z pewnością wybuchnie, prędzej czy później.

Popraw mnie, jeśli się mylę.

Spadł śnieg, najpierw miękkie, potem twarde grudki, które wbijały się w skórę jak igły. Słońce zaszło po południu, niebo zmieniło kolor z wyblakłego błękitu na barwę zebranego mleka. Dym buchał z kominów i z pieców pełnych węgla. Konie piekarzy zostawiały na ulicy sterty parujących brązowych bułek, które zamarały na kość. Dzieci rzucały nimi w siebie. Zegary wybijały północ, raz za razem, każda północ była granatowoczarna, pełna lodowatych gwiazd, księżyc jak biała kość. Wyglądałam z okna w sypialni na chodnik poprzez gałęzie kasztana. Potem zgasiałam światło.

Bal Xanadu odbył się w drugą sobotę stycznia. Tego ranka przybył mój kostium, w pudełku pełnym bibuły. Należało wypożyczyć go z Malabaru, gdyż uszycie go specjalnie na tę okazję mogłoby zostać uznane za ostentację. Teraz dochodziła szósta wieczór, a ja przymierzałam kostium. W moim pokoju była Laura, często odrabiała tu lekcje albo udawała, że to robi.

– Za kogo się przebierzesz? – zapytała.

– Za dziewczeczkę z Abisynii – odparłam. Jeszcze nie byłam pewna, co zastąpi cymbały. Może banjo ozdobione wstążkami. Wtedy przypomniałam sobie, że

jedynie banjo, o jakim wiem, zostało na strychu w Awilionie, porzucone tam przez moich zmarłych stryjów. Będę musiała zrezygnować z banjo.

Nie oczekiwałam, że Laura powie mi, że wyglądam ładnie czy chociażby sympatycznie. Nigdy tego nie robiła: nie posługiwała się kategoriami ładnie i sympatycznie. Tym razem stwierdziła:

– Nie jesteś szczególnie abisyńska. Abisyńki nie powinny być blondynkami.

– Nic nie poradzę na kolor włosów – odparłam. – To wina Winifred. Powinna była wybrać wikingów czy coś w tym rodzaju.

– Dlaczego oni wszyscy się go boją? – spytała Laura.

– Kogo się boją? – powiedziałam. (Nie widziałam w tym poemacie strachu, jedynie luksus. Pyszny pałac. Właśnie teraz naprawdę mieszkałam w pysznym pałacu – moje prawdziwe ja, nie znane tym wokół mnie. Z obwarowanymi murami i wieżami, żeby nikt inny nie mógł wejść).

– Posłuchaj – powiedziała. Zaczęła recytować z zamkniętymi oczami:

*O, gdybym wskrziesić w sobie zdołał
Jej pieśń i te z cymbałów dźwięki,
Tak bym się pięknem rozweselił,
Że przez rozgłośnej, długiej pieśni cud
Dźwignąłbym znowu pałac ten pod błękit
Słoneczny dach! W pieczarach lód!
Ludzie, słuchając, pałac by widzieli.
„Jakże ten człowiek patrzy! – tłum by wołał. –
Blask w oku, włos na wietrze! Kreślcie koła,
By krąg po trzykroć wokół niego wił!
W świętej zawrzyjcie trwodze oczy!
On miodną rosę z liści sączył!
On rajskie mleko pił!”{39}*

– Widzisz, boją się go – oznajmiła. – Ale dlaczego? Dlaczego w trwodze?

– Naprawdę, Lauro, nie mam pojęcia – powiedziałam. – To tylko wiersz. Nie zawsze da się powiedzieć, o co chodzi w wierszach. Może myślą, że jest szalony.

– To dlatego, że jest zbyt szczęśliwy – stwierdziła Laura. – Pił rajskie mleko. Ludzi przeraża, gdy się jest zbyt szczęśliwym, w taki sposób. Czy to dlatego?

– Lauro, nie męcz mnie – powiedziałam. – Nie wiem wszystkiego. Nie jestem profesorem.

Laura siedziała na podłodze w swojej szkolnej spódnicy. Ssała kostkę, patrząc na mnie z rozczarowaniem. Ostatnio często ją rozczarowywałam.

– Parę dni temu widziałam Alexa Thomasa – oznajmiła.

Odwróciłam się szybko, poprawiłam kwef w lustrze. Kiepsko to wyglądało, ten zielony atlas: hollywoodzki wamp w filmie o pustyni. Pocieszyłam się myślą, że wszyscy inni będą wyglądali równie fałszywie.

– Alexa Thomasa? Naprawdę? – zapytałam. Powinnam była okazać większe zaskoczenie.

– Nie cieszysz się?

– Z czego?

– Z tego, że żyje – wyjaśniła. – Że go nie złapali.

– Oczywiście, że się cieszę – powiedziałam. – Ale nikomu nic nie mów. Chyba nie chcesz, żeby go wytropili.

– Nie musisz mi tego mówić. Nie jestem dzieckiem. Dlatego nawet mu nie pomachałam.

– Widział cię? – zapytałam.

– Nie. Po prostu szedł ulicą. Miał postawiony kołnierz i szalik na szyi, ale wiedziałam, że to on. Trzymał ręce w kieszeniach.

Na wzmiankę o rękach, o kieszeniach, poczułam ostre ukłucie bólu.

– Na jakiej ulicy?

– Na naszej – odparła. – Był po drugiej stronie, patrzył na domy. Myślę, że nas szukał. Musi wiedzieć, że tu mieszkamy.

– Lauro – powiedziałam – nadal durzysz się w Aleksie Thomasie? Bo jeśli tak, to musisz z tym skończyć.

– Nie durzę się w nim – stwierdziła z pogardą. – Nigdy się nie durzyłam. Durzenie to takie straszne słowo. Śmierdzące. – Odkąd poszła do szkoły, stała się mniej pobożna i jej język był coraz ostrzejszy. Smród dominował.

– Jakkolwiek to nazwać, musisz z tego zrezygnować. To nie jest możliwe – powiedziałam łagodnie. – Przez to będziesz nieszczęśliwa.

Laura objęła rękami kolana.

– Nieszczęśliwa – powtórzyła. – Co ty, na Boga, wiesz o byciu nieszczęśliwym?

VIII

Ślepy zabójca: Mięsożerne opowieści

Znów się przeprowadził, i bardzo dobrze. Nie cierpiała tego mieszkania przy stacji. Nie lubiła tam chodzić, a poza tym było tam za daleko. I tak zimno: ile razy docierała na miejsce, szczękały jej zęby. Nie cierpiała wąskiego, ponurego pokoju, odoru papierosów, bo nie dawało się otworzyć zabitego okna, obskurnego małego prysznicza w kącie, kobiety, którą spotkała na schodach – kobiety jak sponiewierana wieśniaczka w jakiejś cuchnącej stęchlizną starej powieści: człowiek spodziewa się, że ujrzy ją z wiązką patyków na plecach. Ponurego, bezczelnego spojrzenia, rzuconego jej przez tę kobietę, jakby wyobrażała sobie dokładnie, co się będzie działo za jego drzwiami, gdy się zamkną. Spojrzenia pełnego zazdrości, ale także złośliwego.

No i dobrze, że to się skończyło.

Teraz śnieg się rozpuścił, choć w cieniu pozostało kilka szarych smug. Słońce jest ciepłe, czuć zapach wilgotnej ziemi, wypełzających korzeni i rozmokłych pozostałości po zimowych gazetach, zamazanych i nieczytelnych. W lepszych rejonach miasta pojawiły się żonkile, a w nielicznych ogródkach, tam gdzie nie ma cienia, wyrosły tulipany, czerwone i pomarańczowe. Zapowiedź nadziei, jak piszą w kąciku ogrodniczym, chociaż nawet teraz, pod koniec kwietnia, któregoś dnia padał śnieg – duże, białe, brzydkie płatki, kapryśna zadymka.

Ukryła włosy pod chustką, włożyła granatowy płaszcz, najciemniejszy, jaki znalazła. Powiedział, że ten będzie najlepszy. W tutejszych zakamarkach i kątach czuć kocury i wymioty, smród kur w kurnikach. Na ulicy leży końskie łajno, po koniach policjantów, którzy mają oko na okolicę, nie na złodziei, a na agitatorów – gniazdo cudzoziemskich czerwonych, szepczących po kątach jak szczury w słomie, bez wątplenia po sześciu w jednym łóżku, dzielących się kobietami, knujących swoje wypaczone, zawile spiski. Emma Goldman^{40}, wygnana ze Stanów, podobno mieszka gdzieś tutaj.

Krew na chodniku, mężczyzna z wiadrem i szczotką. Ona ostrożnie omija mokrą różową kałużę. To rejon koszernych rzeźników, a także krawców i kuśnierzy hurtowników. I fabryk wykorzystujących robotników, bez wątplenia. Rzędy imigrantek zgarbionych nad maszynami, z płucami pełnymi szarpii.

Ubrania na twoim grzbiecie należą do kogoś innego, powiedział do niej kiedyś. Tak, odparła lekko, aleja lepiej w nich wyglądam. Po czym dodała z gniewem: Co chcesz, żebym zrobiła? Co miałabym zrobić? Czy ty poważnie myślisz, że mam jakąś władzę?

Zatrzymuje się przy sklepie warzywnym, kupuje trzy jabłka. Nie za dobre jabłka, zeszłoroczne, z lekko pomarszczoną skórką, ale czuje, że powinna za-

nieść coś w rodzaju prezentu na zgodę. Kobieta zabiera jej jedno z jabłek, pokazuje gnijący brązowy punkt, wymienia na lepsze. Wszystko to bez słowa. Znaczące kiwnięcia i szczerbate uśmiechy.

Mężczyźni w długich czarnych szatach, szerokich czarnych kapeluszach, małe, bystrookie kobiety. Szale, długie spódnice. Łamane czasowniki. Nie patrzą wprost na człowieka, ale niewiele przegapiają. Ona rzuca się w oczy, jest olbrzymką. Ma nogi na wierzchu.

Oto sklep z guzikami, tam gdzie mówił. Zatrzymuje się na chwilę, żeby spojrzeć na wystawę. Wytworne guziki, atlasowe guziki, plecione, w zygzaki, cekiny – surowy materiał dla baśniowych przymiotników z tekstu o modzie. Czyjeś palce, właśnie tutaj, musiały przyszywać wykończenie z gronostajów na jej białej wyjściowej pelerynie z szyfonu. Kontrast między delikatną tkaniną i cuchnącą zwierzęcą skórą, to się podoba panom. Delikatne ciało, potem zarośla.

Jego nowy pokój znajduje się nad piekarnią. Na róg, potem po schodach, w oparach zapachu, który się jej podoba. Gęsty, wszechogarniający – fermentujące drożdże, uderzające wprost do głowy, jak ciepły hel. Zbyt długo go nie działa. Dlaczego trzymała się na dystans?

On tu jest, otwiera drzwi.

Przyniosłam ci kilka jabłek, mówi ona.

Po pewnym czasie otaczające ją przedmioty tego świata ponownie nabierają kształtów. Jest jego maszyna, niepewnie chwiejąca się na maleńkim postumencie pod urny walkę. Obok niebieska walizka, a na niej przestawiona miednica. Zmięta koszula na podłodze. Dlaczego zmięte ubrania zawsze symbolizują pożądanie? Te skręcone, gwałtowne kształty. Tak wyglądały płomienie na obrazach – jak pomarańczowa tkanina, zwinięta i ciśnięta.

Leżą w łóżku, olbrzymiej, rzeźbionej konstrukcji z mahoniu, która niemal wypełnia sobą pokój. Niegdyś mebel ślubny, z dawnych czasów, mający przetrwać całe życie. Całe życie, jakie głupie wydają się teraz te słowa, trwałość, jaka bezużyteczna. Ona kroi jabłko jego kieszonkowym nożem, karimi go kawałkami.

Gdybym cię tak dobrze nie znał, pomyślałbym, że mnie uwodzisz.

Nie – tylko trzymam cię przy życiu. Tuczę cię, żeby później cię zjeść.

Co za perwersyjna myśl, moja panno.

Tak. Twoja. Nie mów mi, że zapomniałeś o martwych kobietach o lazurowych włosach i oczach jak jaskinie pełne węży? Zjadłyby cię na śniadanie.

Gdybym im pozwolił. Znowu po nią sięga. Gdzie się chowałaś? Minęło tyle tygodni.

Tak. Czekaj. Muszę ci coś powiedzieć.

Czy to pilne? – pyta on.

Słońce zachodzi, cienie zasłon przesuwiają się po łóżku. Głosy na ulicy, nieznanne

języki. Zawsze będę to pamiętać, mówi ona w duchu. A potem: czemu myślę o pamięci? To jeszcze nie wtedy, to teraz. Jeszcze nie minęło.

Przemyślałam tę historię, mówi. Przemyślałam następną część.

Hm? Masz własne pomysły?

Zawsze mam własne pomysły.

Zgoda. Posłuchajmy, mówi on z uśmiechem.

Dobrze, odpowiada ona. Stało na tym, że dziewczyna i ślepy mężczyzna zostają zabrani na spotkanie ze Sługą Świętowania, przywódcą barbarzyńskich najeźdźców zwanych Ludźmi Zniszczenia, bo oboje podejrzewani są o to, że są boskimi posłańcami. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Naprawdę przywiązujesz do tego wagę? – pyta on ze zdziwieniem. Naprawdę to pamiętasz?

Oczywiście, że tak. Pamiętam każde twoje słowo. Przybywają do obozowiska barbarzyńców, a ślepy zabójca mówi Słudze Świętowania, że ma wiadomość od Niepokonanego, tylko musi mu ją przekazać na osobności, razem z dziewczyną. To dlatego, że nie chce spuścić jej z oka.

On nie widzi. Jest ślepy, zapomniałaś?

Wiesz, o co mi chodzi. Sługa Świętowania mówi, że nie ma sprawy.

Nie powiedziała by tak po prostu: „nie ma sprawy”. Wygłosiłby mowę.

Tego nie umiem. Wszyscy troje idą do namiotu oddalonego od innych, a ślepy zabójca przedstawia plan. Powie im, jak się dostać do miasta Sakiel-Norn bez oblężenia czy trupów, to znaczy trupów po ich stronie. Powinni wysłać dwóch ludzi, on poda im hasło – zna hasło, nie zapominaj – a kiedy już będą w środku, wejdą do kanału i przeciągną linę pod sklepieniem. Powinni przywiązać do czegoś koniec liny – na przykład do kamiennego filaru – a potem, nocą, grupa wojowników mogłaby się przedostać do miasta pod wodą, pokonać strażę, otworzyć osiem bram i bingo.

Bingo, mówi on ze śmiechem. To niezbyt zykroniańskie słowo.

No to: i wszystko pójdzie jak po maśle. Potem będą mogli zabić, kogo im się podoba, jeśli właśnie tego chcą.

Sprytna sztuczka, mówi on. Bardzo zręczna.

Tak, odpowiada ona, tak jest u Herodota, w każdym razie coś podobnego. Chyba chodzi o upadek Babilonu.

Masz w głowie mnóstwo rupieci, mówi on. Ale rozumiem, że możemy osiągnąć kompromis? Nasza młodzież nie może wciąż udawać boskich posłańców. To zbyt ryzykowne. Wcześniej czy później popełnią błąd, wpadną i zostaną zabici. Muszą uciekać.

Tak. Myślałam o tym. Zanim hasło i wskazówki zostaną przekazane, ślepy mężczyzna mówi, że trzeba oboje zaprowadzić do podnóża gór na zachodzie, z obfitym zapasem jedzenia i tak dalej. Powie, że muszą tam odbyć coś w rodzaju pielgrzymki – wspiąć się na górę, otrzymać więcej boskich wskazówek. Do-

piero wtedy mężczyzna przekaże dobra, przez co rozumie hasło. W ten sposób, gdyby atak barbarzyńców się nie powiodł, tych dwoje będzie tam, gdzie nikomu z Sakiel-Norn nie przyjdzie do głowy ich szukać.

Ale zabijają ich wilki, mówi on. A jak nie wilki, to martwe kobiety o okrągłych kształtach i rubinowych wargach. Jeśli ona zginie, on będzie musiał zaspokajać ich wynaturzone pragnienia aż do grobowej deski, biedny gość.

Nie, mówi ona. Tak się nie stanie.

Czyżby? A kto tak mówi?

Nie mów „czyżby”. Ja tak mówię. Posłuchaj – będzie tak. Ślepy zabójca słyszy wszystkie plotki, więc zna prawdę o tych kobietach. W rzeczywistości one wcale nie są martwe. Same rozpowszechniają te historie, żeby zostawiono je w spokoju. To zbiegłe niewolnice i inne kobiety, które uciekły, żeby nie sprzedały ich mężowie czy ojcowie. Zresztą to nie tylko kobiety – są tam też mężczyźni, ale mili i przyjaźni. Wszyscy mieszkają w jaskiniach i wypasają owce, i mają własne ogródki warzywne. Na zmianę czają się przy grobach i płoszą podróżnych – wyją i tym podobne – żeby zachować pozory.

W dodatku wilki to nie są prawdziwe wilki, tylko wilczury, które wytresowano tak, żeby udawały wilki. W rzeczywistości są bardzo łagodne i bardzo lojalne.

Ci ludzie przyjmą więc dwójkę uciekinierów, a kiedy usłyszą ich smutną historię, będą dla nich bardzo mili. Potem ślepy zabójca i dziewczyna bez języka zamieszkają w jednej z jaskiń i prędkiej czy później doczekają się dzieci, które będą widziały i mówiły, i będą bardzo szczęśliwi.

A tymczasem ich ziomkowie zostaną wyrznięci? – pyta on z uśmiechem. Popierasz zdradę własnego państwa? Zamieniłaś dobro społeczne na osobiste zadowolenie?

Cóż, przecież to ci ludzie chcieli ich zabić. Ich ziomkowie.

Tylko kilkoro miało taki zamiar – elita, najważniejsze figury w talii. Potępiasz wraz z nimi całą resztę? Każesz swojej parce zdradzić własnych ludzi? To bardzo samolubne z twojej strony.

To historia, mówi ona. To jest w *Podboju Meksyku* – jak mu tam, Cortez – jego aztecka kochanka to zrobiła. Jest też w Biblii. Nierządnicza Raheb postąpiła tak samo podczas upadku Jerycha. Pomogła ludziom Jozuego i oszczędzono ją i jej rodzinę.

Punkt dla ciebie, mówi on. Ale złamałaś zasady. Nie możesz tak dla kaprysu zmienić martwych kobiet w bandę folklorystycznych pasterek.

Tak naprawdę nigdy nie włączyłaś tych kobiet do opowieści, mówi ona. Nie bezpośrednio. Opowiadałaś tylko plotki o nich. Plotki mogą być fałszywe.

On się śmieje. To prawda. A oto moja wersja. W obozie Ludzi Radości wszystko dzieje się tak, jak powiedziałeś, chociaż przemawiają lepszym językiem. Barbarzyńcy prowadzą dwoje młodych do podnóża gór na zachodzie i

pozostawiają ich wśród grobów, wchodzą do miasta zgodnie z instrukcjami, grabią je i niszczą, i wyrzynają jego mieszkańców. Nikt nie uchodzi z życiem. Król zostaje powieszony na drzewie, Najwyższa Kapłanka wypatroszona, spiskujący dworzanin ginie wraz z resztą. Niewinne dzieci niewolnicy, cech ślepych zabójców, dziewczęta przeznaczone na świątynną ofiarę – wszyscy giną. Cała kultura zostaje zmieciona z kosmosu. Nie został nikt, kto wie, jak tkać wspaniałe dywany. Sama musisz przyznać, że to wstyd.

Tymczasem dwoje młodych, ręka w rękę, powoli, nieśpiesznie wędruje w samotności przez góry na zachodzie. Czują się bezpiecznie, wierząc, że wkrótce odnajdą ich życzliwi rolnicy, że przyjmą ich do siebie. Ale, jak sama mówisz, plotki nie muszą być prawdą i ślepy zabójca słyszał nieprawdziwe plotki. Martwe kobiety naprawdę są martwe. Co więcej, wilki to prawdziwe wilki, a martwe kobiety potrafią je przywoływać. Nasza dwójka romantycznych bohaterów w gnieniu oka zamienia się w posiłek dla wilków.

Jesteś niepoprawnym optymistą, mówi ona.

Nie jestem niepoprawny. Lubię, kiedy moje opowieści przypominają życie, co oznacza, że muszą występować w nich wilki. W takiej czy innej postaci.

Dlaczego to przypomina życie? Odrywa się od niego i przewraca na plecy, wpatruje się w sufit. Jest obrażona, bo jej własną wersję przebito atutem.

Wszystkie opowieści są o wilkach. To znaczy wszystkie, które warto powtarzać. Pozostałe to sentymentalne brednie.

Wszystkie?

Pewnie, mówi on. Pomyśl tylko. Jest ucieczka przed wilkami, walka z wilkami, pojmanie wilków, oswojenie wilków. Bycie rzuconym wilkom na pożarcie, rzucanie innych wilkom, żeby wilki zjadły ich, a nie ciebie. Ucieczka z wilkami. Zamiana w wilka. I najlepsze, przemiana w wilka przewodnika. Nie ma innych przyzwoitych historii.

Myślę, że są, mówi ona. Myślę, że opowieść o tobie opowiadającym mi o wilkach nie jest opowieścią o wilkach.

Nie bądź taka pewna, mówi on. Mam w sobie coś z wilka. Chodź tutaj.

Poczekaj. Muszę cię o coś zapytać.

Dobra, strzelaj, mówi on leniwie. Ma zamknięte oczy, jego dłoń leży na jej dłoni.

Czy kiedyś byłeś mi niewierny?

Niewierny. Co za staroświeckie słowo.

Nie zwracaj uwagi na mój dobór słów, mówi ona. Byłeś?

Nie bardziej niż ty mnie. Milknij. Nie uważam tego za niewierność.

A za co to uważasz? – pyta ona zimnym głosem.

Za roztargnienie, z twojej strony. Zamykasz oczy i zapominasz, gdzie jesteś.

A z twojej strony?

Powiedzmy, że jesteś pierwsza między równymi.

Naprawdę sukinsyn z ciebie.

Tylko mówię prawdę, twierdzi on.

Cóż, może nie powinienes.

Przestań wierzyć, mówi on. Żartuję tylko. Nie mógłbym dotknąć innej kobiety. Zwymiotowałbym.

Zapada cisza. Ona go całuje, odsuwa się. Muszę wyjechać, mówi ostrożnie. Musiałam ci powiedzieć. Nie chciałam, żebyś się zastanawiał, gdzie jestem.

Wyjechać dokąd? Po co?

Płyniemy w dziewiczy rejs. Wszyscy, cała świta. On mówi, że nie możemy tego przegapić. Mówi, że to wydarzenie stulecia.

Minęła dopiero jedna trzecia stulecia. Mimo to myślałem, że ta nazwa jest zarezerwowana dla wojny. Szampan przy świetle księżyca raczej nie może konkurować z milionami trupów w okopach. A co z epidemią grypy albo...

Chodziło mu o wydarzenie towarzyskie.

Proszę wybaczyć, droga pani. Przyznaję się do pomyłki.

O co chodzi? Nie będzie mnie tylko przez miesiąc – cóż, mniej więcej. W zależności od ustaleń.

On nic nie mówi.

Nie chodzi o to, że chcę.

Nie. Nie sądzę, żebyś chciała. Za dużo siedmiodaniowych posiłków i o wiele za dużo tańca. To bardzo męczące dla dziewcząt.

Nie bądź taki.

Nie mów mi, jaki mam być! Nie dołączaj do chóru tych, którzy wiedzą, jak mnie ulepszyć. Jestem tym kurewsko zmęczony. Już się nie zmienię.

Przepraszam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Nie cierpię, kiedy się płaszczysz. Jezu, jesteś w tym dobra. Założę się, że mnóstwo ćwiczysz, na domowym froncie.

Może powinnam iść.

Idź, jeśli masz ochotę. Odwraca się plecami do niej. Rób, na co masz, kurwa, ochotę. Nie jestem twoim strażnikiem. Nie musisz siadać, błagać, pisać i machać dla mnie ogonem.

Nie rozumiesz. Nawet nie próbujesz. Wcale nie rozumiesz, jak to jest. Nie chodzi o to, że mi się to podoba.

Jasne.

Mayfair, lipiec 1936

W POSZUKIWANIU PRZYMIOTNIKA

J. HERBERT HODGINS

(...) Nigdy dotąd tak piękny statek nie pokonywał morskich fal. To giętkie, opływowe arcydzieło przypomina kształtem charta, jego wnętrze zaś wyposażono w luksusowe ozdoby i najwyższej jakości meble, dzięki czemu statek można uznać za ideał komfortu, elegancji i luksusu. Nowa jednostka to w odny hotel Waldorf-Astoria.

Usiłowałem znaleźć właściwy przymiotnik. Statek określano mianem cudownego, wspaniałego, imponującego, dostojnego, wytwornego, majestatycznego i nadzwyczajnego. Wszystkie te słowa opisują go stosunkowo precyzyjnie, lecz każde z osobna nie wykracza poza podsumowanie jedynie fragmentu tego „największego osiągnięcia w historii brytyjskiej marynarki”. Nie można opisać „Queen Mary”: należy ją obejrzeć, „poczuć” i włączyć się do niezwykłego życia na jej pokładzie.

(...) Oczywiście, każdego wieczoru organizowano tańce w największym salonie, gdzie trudno sobie wyobrazić, że płynie się po morzu. Muzyka, parkiet i elegancko ubrani goście nie różnili się od bywalców sal balowych w jednym z kilku hoteli na całym świecie. Dało się zauważyć najmodniejsze suknie prosto z Londynu i Paryża, świeżo wyciągnięte z pudeł. Widać było także najnowsze trendy w sferze dodatków: urocze torebki, falujące pelerynki w wielu interesujących wersjach, noszone w celu podkreślenia kolorystyki stroju, luksusowe szale i narzutki z futra. Największą popularnością cieszyły się obfite suknie, z tafty lub tkaniny przypominającej siatkę. Panie, które wybrały stroje o kroju ołówka, chętnie uzupełniały szaty wytworną tuniką z tafty lub wzorzystego atłasu. Często rzucały się w oczy najróżniejsze szyfonowe tuniki, spływające z ramion, stylizowane na wioskowe. Pewna urocza młoda dama o twarzy niczym z porcelany drezdeńskiej i jasnych włosach miała na sobie szyfonową tunikę koloru liliowego, narzuconą na lejącą się szarą suknię. Wysoka blondynka w arbuzowej sukience wybrała białą szyfonową pelerynkę, wykończoną gronostajowymi ogonkami.

Ślepy zabójca: Kobiety-Brzoskwinie z Aa’A

Wieczorami są tańce, płynne, migotliwe tańce na śliskim parkiecie. Przymusowa wesołość: ona nie może tego uniknąć. Wszędzie dookoła trzaskają flesze: nigdy nie wiadomo, w kogo celują albo kiedy w gazecie ukaże się zdjęcie, twoje zdjęcie, z odrzuconą głową i wyszczerzonymi zębami.

Rankami bolą ją stopy.

Popołudniami chroni się w pamięci, leżąc na pokładowym leżaku, za okularami słonecznymi. Nie chce pływać w basenie, rzucać pierścieni na słupek, grać w badmintona, nie kończące się, bezsensowne gry. Czasochłonne rozrywki mają chłonąć czas, a ona ma własne rozrywki.

Psy chodzą w kółko po pokładzie na smyczy. Za nimi kroczą najwyższej klasy wyprowadzaczki psów. Udaje, że czyta.

Niektórzy piszą listy w bibliotece. Ona nie ma po co pisać. Nawet gdyby wysłała list, on tak często się przeprowadza, że mógłby go nie dostać. Czy też dostałby go ktoś inny.

W spokojne dni fale robią to, do czego je zatrudniono. Kołyszą. Morskie powietrze, mówią ludzie – och, dobrze ci służy. Tylko weź głęboki oddech. Tylko się rozluźnij. Tylko sobie odpuść.

Dlaczego opowiadasz mi te smutne historie? – pyta ona wiele miesięcy wcześniej. Leżą otuleni jej futrem, sierścią do góry, na jego prośbę. Zimne powietrze wpada przez popękane okno, hałasują przejeżdżające samochody. Jeszcze chwilę, mówi ona, guzik wpija mi się w plecy.

Bo takie historie znam. Smutne. Tak czy inaczej, logicznie rzecz biorąc, każda historia jest smutna, bo na końcu wszyscy umierają. Narodziny, kopulacja i śmierć. Bez wyjątku, chyba że w kwestii kopulacji. Niektórym nawet to się nie trafia, biedne sukinsyny.

Ale w trakcie mogą być szczęśliwe momenty, powiedziała ona. Pomiedzy narodzinami i śmiercią – prawda? Chociaż pewnie jeśli wierzy się w niebo, to też może być szczęśliwą historią – to znaczy umieranie. Z latającymi aniołami śpiewającymi ci przy odejściu i tak dalej.

Tak. W niebie z radością czekamy na ciebie. Nie, dziękuję.

Jednak mogą istnieć szczęśliwe chwile, mówi ona. A przynajmniej więcej niż ty dajesz. Nie dajesz zbyt wiele.

Chodzi ci o to, że bierzemy ślub, zamieszkujemy w małym bungalowie i mamy dwójkę dzieci? O takie chwile ci chodzi?

Jesteś zjadliwy.

No dobrze, mówi on. Chcesz szczęśliwej opowieści. Widzę, że nie popuścisz, dopóki jej nie dostaniesz. Oto ona.

To był dziewięćdziesiąty dziewiąty rok walk znanych pod nazwą wojny stuletniej albo wojen ksenoriańskich. Planetę Ksenor, mieszczącą się w innym wymiarze, zamieszkiwała niezwykle inteligentna i niezwykle okrutna rasa istot znanych jako Ludzie-Jaszczury, choć oni nazywali siebie inaczej. Co do wyglądu, mieli trzy i pół metra wysokości, łuski i byli szarzy. Mieli oczy o wąskich źrenicach, jak koty czy węże. Ich skóra była tak twarda, że zazwyczaj nie musieli nosić ubrań, z wyjątkiem krótkich spodni z karchinilu, rozciągliwego czerwonego metalu, nie znanego na Ziemi. Chroniły one ich części intymne, także łuskowate i olbrzymie, mógłbym dodać, ale jednocześnie bezbronne.

I dzięki Bogu, przynajmniej to, mówi ona ze śmiechem.

Pomyślałem, że to ci się spodoba. Tak czy inaczej, mieli w planach porwanie dużej liczby ziemskich kobiet i wyhodowanie superrasy, pół ludzkich, pół ksenoriańskich Ludzi-Jaszczurów, którzy byłiby lepiej od nich przygotowani do życia na innych zamieszkałych planetach wszechświata – zdolni do przystosowania się do rozmaitych atmosfer, do jedzenia różnych pokarmów, odporni na nieznanne choroby i tak dalej – ale którzy mieliby także siłę i pozaziemską inteligencję Ksenorian. Ta superrasa rozprzestrzeniłaby się w kosmosie i podbiłaby go, po drodze zjadając mieszkańców rozmaitych planet, bo Ludzie-Jaszczury potrzebowali przestrzeni do rozwoju i nowych źródeł białka.

Flota kosmiczna Ludzi-Jaszczurów z Ksenoru przeprowadziła pierwszy atak na Ziemię w roku 1967, siejąc spustoszenie w największych miastach, w których zginęły miliony ludzi. Wśród rozprzestrzeniającej się paniki Ludzie-Jaszczury skolonizowali część Eurazji i Ameryki Południowej, wykorzystując młodsze kobiety do swoich diabelskich eksperymentów hodowlanych i grzebiąc trupy mężczyzn w olbrzymich dołach, po zjedzeniu najsmaczniejszych części. Smakowały im zwłaszcza serca i mózgi, a także nerki, lekko podpieczone.

Ale ksenoriańskie zaopatrzenie odciął raketowy ostrzał z ukrytych ziemskich instalacji, więc Ludziom-Jaszczurom zabrakło najważniejszych elementów do miotaczy śmiertelnych promieni zorcz. Ziemianie zaś powstałi i przystąpili do walki, nie tylko z pomocą wojska, ale także przy użyciu obłoków gazu przygotowanego z jadu rzadkiej irydyjskiej żaby *hertz*, jadu używanego kiedyś przez Nakrodów z Ulinth do smarowania końcówek strzał, na który to jad, jak odkryli ziemscy naukowcy, Ksenorianie byli wyjątkowo podatni. Rachunki zostały wyrównane.

Także ich karchinilowe spodnie były łatwopalne, jeśli trafiło się w nie rozgranym pociskiem. Ziemscy snajperzy z celownikami, używający karabinów dalekiego zasięgu na fosforowe kule, stawali się bohaterami dnia, chociaż odwet był straszny i miał wiele wspólnego z elektrycznymi torturami, nieznanymi

wcześniej i straszliwie bolesnymi. Ludzie-Jaszczury nieprzychylnie reagowali na podpalanie swoich części intymnych, co zrozumiałe.

Teraz, w roku 2066, Ludzi-Jaszczurów z kosmosu wygnano z powrotem do innego wymiaru, gdzie ścigali ich ziemscy piloci w małych, szybkich, dwuosobowych myśliwcach. Ich nadrzędnym celem było całkowite wybicie Ksenorian, może z wyjątkiem paru tuzinów do pokazywania w specjalnie strzeżonych ogrodach zoologicznych, z szybami z nietłukącego się szkła. Ksenorianie jednak nie chcieli ustąpić bez zażartej walki. Wciąż mieli sprawną flotę i parę asów w rękawie.

Mieli rękawy? Myślałam, że od pasa byli nadzy.

Jezus Maria, nie bądź taka drobiazgowo. Wiesz, o co mi chodzi.

Will i Boyd byli starymi kumplami – dwoma naznaczonymi bliźniami i zaprawionymi w bojach weteranami myśliwców, latali od trzech lat. To długo w służbach powietrznych, w których straty były olbrzymie. Jak mówili ich dowódcy, obaj mieli więcej odwagi niż rozumu, choć jak dotąd ich pochopne zachowanie uchodziło im na sucho, atak za atakiem.

W chwili, gdy zaczyna się nasza opowieść, otoczyła ich ksenoriańska flota uzbrojona w zorc, a dodatkowo po ataku mieli uszkodzony pojazd. Promienie zorc uszkodziły zbiornik paliwa, przerwały łączność z ziemską stacją dowodzenia i rozpuściły dźwignię sterowania, przy okazji poważnie raniąc Boyda, podczas gdy Will, trafiony gdzieś w środek brzucha, wykrwawiał się w swój kombinezon.

Chyba już po nas, powiedział Boyd. Zrobili nas na szaro. Ten statek lada chwila się rozleci. Szkoda, że nie mamy czasu posłać jeszcze paru setek tych łuskowatych sukinsynów do piekła.

Tak, racja. No to w gardła nasze, powiedział Will. Ty już coś w siebie wlałeś, jak widać. Aż z ciebie cieknie. Ha, ha.

Ha, ha, odparł Boyd, krzywiąc się z bólu. Świetny dowcip. Zawsze miałeś parszywe poczucie humoru.

Zanim Will zdążył odpowiedzieć, statek zakołysał się i wpadł w wir. Złapało ich pole grawitacyjne, ale na jakiej planecie? Nie mieli pojęcia, gdzie są. System sztucznej grawitacji wysiadł i obaj mężczyźni stracili przytomność.

Kiedy się obudzili, nie mogli uwierzyć własnym oczom. Nie znajdowali się już w myśliwcu, ubrani w obcisłe metaliczne kombinezony. Zamiast nich mieli na sobie luźne zielone szaty z jakiegoś błyszczącego materiału i leżeli na miękkich złotych sofach w altance pełnej winorośli. Ich rany się zagoiły, a środkowy palec na lewej dłoni Willa, odstrzelony podczas poprzedniego ataku, odrósł. Byli zdrowi i pławili się w dobrobycie.

Pławili się, mruczy ona. No, no.

Tak, my, faceci, lubimy rzucić od czasu do czasu wytwornym słowem, mówią, kącikiem ust jak filmowy gangster. To przydaje klasy.

Zapewne.

Kontynuując. Nie rozumiem, powiedział Boyd. Myślisz, że jesteśmy martwi? Jeśli jesteśmy martwi, to chcę być martwi, odparł Will. To jest w porządku, w porządku.

Pewnie.

I wtedy Will gwizdnął cicho. Zbliżały się ku nim dwie najsoczystsze kobiety, jakie kiedykolwiek widzieli. Obie miały włosy w kolorze koszyków wyplatanych z wierzby. Ubrane były w długie szaty o fioletowoniebieskim odcieniu, opadające w drobnych plisach i szeleszczące przy poruszaniu. To kojarzyło się Willowi wyłącznie z małymi papierowymi spódniczkami, w które owija się owoce w snobistycznych sklepach spożywczych najwyższej klasy. Kobiety miały odsłonięte ręce i stopy: obie włożyły dziwne przybrania głowy z cienkiej czerwonej siateczki. Ich skóra miała soczysty, złotoróżowy odcień. Poruszały się bardzo płynnie, zupełnie jakby były zanurzone w syropie.

Witamy was, mężczyźni z Ziemi, powiedziała pierwsza.

Tak, witamy, dodała druga. Od dawna was oczekiwaliśmy. Śledziłyśmy wasze przybycie na międzyplanetarnej telekamerze.

Gdzie jesteście? – spytał Will.

Na planecie Aa'A, powiedziała pierwsza. To słowo brzmiało jak westchnienie po posiłku, z lekkim sapnięciem w środku, takim jakie wydają z siebie niemowlęta, kiedy przewracają się na bok we śnie. Brzmiało to też jak ostatnie tchnienie konającego.

Jak się tu dostaliśmy? – spytał Will. Boydowi odebrało mowę. Wodził wzrokiem za bujnymi krągłościami przed sobą. Chętnie zanurzyłbym w was zęby, myślał sobie.

Spadliście z nieba, w waszym statku, odparła pierwsza kobieta. Niestety, uległ zniszczeniu. Będziecie musieli zostać tu z nami.

To nie takie straszne, oznajmił Will.

Zajmiemy się wami. Zasłużyliście na nagrodę. Broniąc swojego świata przed Ksenorianami, bronicie także nas.

Przywoitość wymaga, by spuścić kurtynę na to, co się stało później.

Konieczniesz?

Pokażę ci to za chwilę. Trzeba tylko dodać, że Boyd i Will byli jedynymi mężczyznami na planecie Aa'A, więc oczywiście te kobiety były dziewczynami. Ale umiały czytać w myślach i potrafiły przewidzieć, czego pożądają Will i Boyd. Wkrótce spełniły się najbardziej nieprzyzwoite fantazje obu przyjaciół.

Potem podano przepyszny posiłek z nektaru, który, jak powiedziano mężczyznom, powstrzymuje starzenie się i śmierć; następnie odbyła się przechadzka po pięknych ogrodach, pełnych niewyobrażalnych kwiatów; później obaj goście zostali zabrani do dużego pokoju pełnego fajek, gdzie mogli sobie wybrać taką fajkę, jaką chcieli.

Fajkę? Taką do palenia?

Żeby pasowała do kapci, które im następnie wręczono.

Chyba sama się o to prosiłam.

Pewnie że tak, powiedział z uśmiechem.

Robiło się coraz przyjemniej. Jedna z dziewcząt myślała tylko o seksie, druga była bardziej poważna i rozmawiała o sztuce, literaturze i filozofii, o teologii nie wspominając. Dziewczęta najwyraźniej wiedziały, czego się od nich wymaga w danym momencie, zamieniały się rolami w zależności od nastroju i upodobań Boyda i Willa.

Czas płynął im w harmonii. Mijały doskonałe dni, a mężczyźni dowiadywali się coraz więcej o planecie Aa'A. Po pierwsze, nie jadło się na niej mięsa i nie było mięsożernych zwierząt, choć zamieszkiwało ją mnóstwo motyli i śpiewających ptaków. Nie muszę chyba dodawać, że bóg czczony na Aa'A miał postać olbrzymiej dyni?

Po drugie, nie było tam narodzin jako takich. Te kobiety rosły na drzewach, na łądze biegnącej do szczytu ich głów, a gdy dojrzały, zrywały je ich poprzedniczki. Po trzecie, nie istniała też śmierć jako taka. Kiedy nadchodził czas, każda z Kobiet-Brzoskwiń – nazywajmy je tak, jak Boyd i Will – po prostu dezintegrowała swoje cząsteczki, które ponownie tworzyły przez drzewo nową, świeżą kobietę. Ostatnia kobieta była więc w swojej istocie i postaci identyczna z pierwszą.

Skąd wiedziały, kiedy nadchodzi czas? Na dezintegrację cząsteczek?

Po pierwsze, poznawały to po delikatnych zmarszczkach, które pojawiały się na ich aksamitnej skórze, jakby była zbyt dojrzała. Po drugie, po muchach.

Po muchach?

Po muszkach owocówkach, które krążyły stadami nad ich nakryciami głowy z czerwonej siateczki.

Czy to twoje wyobrażenie szczęśliwej opowieści?

Poczekaj. To nie koniec.

Po pewnym czasie ta egzystencja, choć wspaniała, zaczęła się Boydowi i Willowi przykrzyć. Po pierwsze, kobiety wciąż sprawdzały, czy są szczęśliwi. To się w końcu może stać męczące. Poza tym nie istniało nic, czego nie zrobiłyby te kociaki. Były całkowicie pozbawione wstydu albo bezwstydnę, wszystko jedno. Na sygnał potrafiły zaprezentować najbardziej kurewskie zachowania. Dziwki to zbyt łagodne słowo. Albo stawały się nieśmiałe i pruderyjne, zastraszone, skromne; nawet szlochały i krzyczały – także na zawołanie.

Na początku Will i Boyd uważali, że to podniecające, po jakimś czasie zaczęło ich jednak irytować.

Kiedy uderzyło się kobietę, nie było krwi, tylko sok. Kiedy uderzyło się ją mocniej, rozpuszczała się w słodką papkę, która szybko stawała się kolejną Ko-

bietą-Brzoskwinią. Najwyraźniej nie odczuwały bólu, więc Will i Boyd zaczęli się zastanawiać, czy na pewno odczuwają rozkosz. Czy też ekstaza była po prostu udawana?

Pytane o to, dziewczęta uśmiechały się i unikały odpowiedzi. Nigdy nie można było dotrzeć do sedna.

Wiesz, na co mam teraz ochotę? – zapytał Will pewnego pięknego dnia.

Na to samo co ja, odparł Boyd.

Na wielki stek z grilla, ociekający krwią. Wielki stos frytek. I pyszne zimne piwo.

Właśnie. A potem ostre naparzenie z tymi łuskowatymi sukinsynami z Ksenora.

Dobrze powiedziane.

Postanowili zbadać planetę. Choć mówiono im, że Aa'A jest wszędzie taka sama, że znajdują tylko więcej drzew i altanek, więcej płatków i motyli i więcej soczystych kobiet, wyruszyli na zachód. Po dłuższym czasie i bez żadnych przygód natknęli się na niewidzialną ścianę. Była śliska jak szkło, ale także miękka, i ugięła się, kiedy się na nią naparło. Potem wracała do dawnego kształtu. Była też wyższa, nie zdołaliby jej dosięgnąć ani się na nią wspiąć. Przypominała olbrzymią bańkę z kryształu.

Chyba utknęliśmy w wielkim, przezroczystym cycku, powiedział Boyd.

Usiedli u stóp wzgórza, pogrążeni w głębokiej rozpaczy.

To miejsce jest spokojne i pełne wspaniałości, powiedział Will. Tu mamy ciepłe łóżko w nocy i słodkie sny, tulipany na stoliku śniadaniowym na słończku, kobiety robiące kawę. Tyle kochania, ile można sobie wymarzyć, w każdym kształcie i formie. Tu mamy wszystko, co wydaje się najwspanialsze ludziom, gdy są tam, walczą w innym wymiarze. Za to oddaliby życie. Mam rację?

Wyjąłeś mi to z ust, powiedział Boyd.

Ale to zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ciągnął Will. To musi być pułapka. Może to jakieś diabelskie urządzenie Ksenorian, które ma nas powstrzymać od udziału w wojnie. To raj, ale nie możemy się z niego wydostać. A wszystko, z czego nie można się wydostać, to piekło.

Ależ to nie piekło. To szczęście, powiedziała jedna z Kobiet-Brzoskwiń, która zmaterializowała się na gałęzi pobliskiego drzewa. Stąd nie ma dokąd iść. Odprężcie się. Dobrze się bawcie. Przyzwyczajcie się do tego.

I to już koniec.

Już? – mówi ona. Będziesz trzymał tych dwóch mężczyzn w klatce na zawsze?

Zrobiłem to, co chciałeś. Chciałeś szczęścia. Mogę ich trzymać albo wypuścić, w zależności od tego, czego chcesz.

No to ich wypuść.

Na zewnątrz jest śmierć. Zapomniałeś?

Ach, tak. Rozumiem. Przewraca się na bok, nakrywa się futrem, obejmuje go ramieniem. Jednak mylisz się co do Kobiet-Brzoskwiń. Nie są takie, jak myślisz.

Jak to się myłę?

Po prostu się mylisz.

The Mail and Empire, 19 września 1936

GRIFFEN OSTRZEGA PRZED CZERWONYMI W HISPANII

SPECJALNIE DLA „THE MAIL AND EMPIRE”

W ubiegły czwartek w gorącym wystąpieniu na forum Klubu Cesarskiego w wpływowy przemysłowiec Richard E. Griffen z Królewskich Zjednoczonych Zakładów Griffena-Chase'a ostrzegł przed potencjalnym niebezpieczeństwem zagrażającym porządkowi światowemu oraz możliwości pokojowego prowadzenia międzynarodowej wymiany handlowej, mającym źródło w trwającej w Hiszpanii wojnie domowej. Griffen stwierdził, że republikanie wypełniają rozkazy komunistów, co zostało udowodnione podczas przejmowania przez nich prywatnej własności, rzezi pokojowo nastawionych cywiliów oraz zbrodni popełnianych przeciwko religii. Wiele kościołów zbezczeszczono i spalono, a mordowanie zakonników i księży stało się codziennością.

Interwencja nacjonalistów z generałem Franco na czele była oczekiwaną reakcją. Słusznie oburzeni i odważni Hiszpanie ze wszystkich grup społecznych połączyli siły w obronie tradycji i porządku obywatelskiego, a świat z niepokojem w szystkiemu się przygląda. Triumf republikanów będzie oznaczał zwiększenie agresji rosyjskiej, w rezultacie wiele mniejszych państw może się znaleźć w groźnej sytuacji. Z krajów kontynentalnych jedynie Niemcy i Francja, a do pewnego stopnia także i Włochy, były wystarczająco silne, aby stawiać czoło zagrożeniu.

Pan Griffen stanowczo nalegał, aby Kanada poszła za przykładem Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych i zdystansowała się w obecności konfliktu. Polityka nieinterwencji była rozsądna i powinna zostać w prowadzona niezwołnie, gdyż od obywateli Kanady nie należy żądać, aby poświęcali życie w prowadzonych za granicą wojnach. Co prawda, z Ameryki do Hiszpanii kierował się potężny strumień zdeklarowanych komunistów, i choć ich wyjazd powinien być zabroniony, państwa mogą się cieszyć, że pojawiła się okazja pozbycia się tych wywrotowych elementów bez narażania podatnika na zbędne koszty.

Uwagi pana Griffena przyjęto z olbrzymim aplauzem.

Ślepy zabójca: Grill pod Cylindrem

Grill pod Cylindrem ma neon z czerwonym cylindrem i podnoszącą go niebieską rękawiczką. Cylinder idzie do góry, i jeszcze wyżej; nigdy nie schodzi w dół. Nie ma pod nim głowy, tylko jedno oko, które mruga. Oko mężczyzny otwiera się, zamyka; oko sztukmistrza; przebiegła, głupia sztuczka.

Cylinder to jedyna rzecz z klasą w Grillu pod Cylindrem. A jednak są tu, siedzą w jednym z boksów, na widoku, jak zwykli ludzie, każde z kanapką z gorącą wołowiną, szarym mięsem na chlebie, białym, miękkim i bez smaku, jak pośladki anioła, brązowy sos do mięsa jest gęsty od mąki. Obok fasolka z puszki, lekko szarzielona, frytki rozmiękłe od tłuszczu. W innych boksach siedzą samotni, niepokieszeni mężczyźni o zaróżowionych, przeprasających oczach, w nieco zabrudzonych lśniących krawatach księgowych, kilka sponiewieranych par, oddających się takiej gorączce piątkowej nocy, na jaką ich stać, i kilka tercetów kurew po pracy.

Ciekawe, czy on chodzi na kurwy, myśli ona. Kiedy mnie nie ma. A potem: Skąd wiem, że to kurwy?

To najlepsze, co można tu dostać, mówi on, za pieniądze. Chodzi mu o kanpkę z gorącą wołowiną.

Próbowałaś innych rzeczy?

Nie, trzeba mieć wyczucie.

Jest całkiem smaczna, na swój sposób.

Oszczędź mi tych dobrych manier, mówi on, ale niezbyt szorstko. Trudno byłoby powiedzieć, że jest w przyjaznym nastroju, ale zachowuje czujność. Jest jakiś spięty.

Nie był taki, kiedy wróciła z podróży. Był małomówny i mściwy.

Szmat czasu. Przyszłaś po to, co zwykle?

Po to, co zwykle?

Po szybkie pieprzenie.

Musisz być wulgarny?

To przez towarzystwo.

Teraz chciałaby wiedzieć, dlaczego wyszli coś zjeść. Dlaczego nie są w jego pokoju. Dlaczego zrezygnował z ostrożności. Skąd ma pieniądze.

On najpierw odpowiada na to ostatnie pytanie, chociaż nie zapytała.

Tę kanpkę, którą przed sobą widzisz, mówi, zawdzięczasz Ludziom-Jaszczurom z Ksenora. Ich zdrowiu, tych niegodziwych łuskowatych bestii, temu, co w nich płynie. Podnosi szklankę coca-coli, doprawił ją rumem, ze swojej butelki. (Żadnych koktajli, niestety, powiedział, otwierając przed nią drzwi. Ten

bar jest suchy jak wiór).

Ona podnosi swoją szklanke. Ludzi-Jaszczurów z Ksenora? Tych samych?

Tych samych. Przelałem wszystko na papier, wysłałem dwa tygodnie temu, rzucili się na to. Wczoraj przyszedł czek.

Musiał pójść do skrytki pocztowej sam i sam zrealizować czek, ostatnio tak robił. Musiał, zbyt często jej nie było.

Cieszysz się z tego? Wyglądasz, jakbyś się cieszył.

Tak, pewnie... To arcydzieło. Mnóstwo akcji, mnóstwo krwi na podłodze. Piękne panie. Uśmiecha się. Kto mógłby się oprzeć?

Czy to o Kobietach-Brzoskwiniach?

Nie. W tej nie ma Kobiet-Brzoskwiń. To zupełnie inna historia.

On myśli: Co się stanie, kiedy jej powiem? Koniec gry czy wieczne śluby i co jest gorsze? Ona ma na sobie szalik z cienkiego, lejącego się materiału, takiego różowawo-pomarańczowego. Ten odcień nazywa się arbuzowy. Słodkie, kruche, płynne ciało. Pamiętał, jak zobaczył ją pierwszy raz. Wszystko, co wtedy widział w jej sukience, było mgłą.

Co w ciebie wstąpiło? – pyta ona. Wydajesz się bardzo... Pięś?

Nie. Niedużo. Popycha jasnoszare fasolki po talerzu. W końcu się stało, mówi. Wyruszam w drogę. Mam paszport i wszystko, co trzeba.

Aha, mówi ona. Tak po prostu. Stara się, żeby w jej głosie nie było słyhać niepokoju.

Tak po prostu, mówi on. Towarzysze się ze mną skontaktowali. Musieli uznać, że bardziej przydam im się tam niż tutaj. Zresztą po tym nie kończącym się bezsensownym kręceniu się tutaj nagle nie mogą się doczekać, kiedy się mnie pozbęda. Jeszcze jeden problem z głowy.

Będiesz bezpieczny, w podróży? Myślałam...

Bezpieczniejszy niż tutaj. Podobno nikt mnie już specjalnie nie szuka. Mam wrażenie, że druga strona też chce, abym zniknął. Mniej komplikacji dla nich. Ale i tak nie powiem nikomu, którym pociągiem odjadę. Nie mam zamiaru dać się wypchnąć z dziurą w głowie i nożem w plecach.

A co z przejściem przez granicę? Zawsze mówiłeś...

Teraz granica jest dziurawa jak szwajcarski ser, to znaczy, jeśli się wynosisz. Celnicy wiedzą, co się dzieje, wiedzą, że szlak biegnie stąd do Nowego Jorku, a potem do Paryża. Wszystko jest zorganizowane i każdy nazywa się Joe. Gliny dostały rozkazy. Pilnujcie drugiego kierunku, tak im przykazano. Wiedzą, z której strony smaruje się chleb. Nic ich to nie obchodzi.

Szkoda, że nie mogę z tobą jechać.

Stąd ta kolacja na mieście. Chciał jej to oznajmić w miejscu, w którym nie mogłaby się niestosownie zachować. Liczy na to, że ona nie urządzi sceny publicznie. Ze szlochaniem, wyciem, wrywaniem włosów. Ma taką nadzieję.

Tak. Też bym tego chciał, mówi on. Ale nie możesz. Tam jest ciężko. Nuci

w głowie:

Idzie burza.

Zupełnie mi to nie w smak, w rozporoku guzików brak.

Mam suwak tam..

Weź się w garść, mówi do siebie. Czuje w głowie musowanie, jak w napoju imbirowym. Musująca krew. Zupełnie, jakby leciał – patrzył na nią z góry. Jej śliczna, zmartwiona twarz drży jak odbicie w zmaczonej sadzawce; już się rozpущza, zaraz zaleje się łzami. Jednakże mimo tego smutku nigdy nie była tak ponętna. Otacza ją miękka, mleczna poświata; ciało na jej ramieniu, gdzie jej dotykał, jest jędrne i zaokrąglone. Chciałby ją złapać, zawlec do swojego pokoju i pieprzyć raz za razem. Jak gdyby to mogło ją zatrzymać.

Zaczekam na ciebie, mówi ona. Kiedy wrócisz, wyjdę frontowymi drzwiami i odejdziemy razem.

Naprawdę byś odeszła? Naprawdę byś go zostawiła?

Tak. Dla ciebie tak. Gdybyś chciał. Zostawiłabym wszystko.

Smugi światła z neonu wpadają przez okno nad nimi, czerwone, niebieskie, czerwone. Wyobraża go sobie rannego – to byłby jakiś sposób, żeby go nie puścić. Chciałaby go zamknąć, związać, zatrzymać tylko dla siebie.

Zostaw go teraz, mówi on.

Teraz? Otwiera szerzej oczy. Od razu? Dlaczego?

Bo nie mogę znieść, że z nim jesteś. Nie mogę znieść samej myśli.

To dla mnie nic nie znaczy, mówi ona.

Ale dla mnie tak. Zwłaszcza kiedy mnie nie będzie, kiedy nie będę mógł cię zobaczyć. Przez to oszaleję – przez myślenie o tym.

Ale nie będę miała żadnych pieniędzy, mówi ona zdumionym głosem. Gdzie bym mieszkała? W jakimś wynajętym pokoju, całkiem sama? Jak ty, myśli. Z czego bym żyła?

Mogłabyś znaleźć pracę, mówi on bezradnie. Mogłbym ci wysłać pieniądze.

Nie masz żadnych pieniędzy, żadnych, o których warto mówić. A ja nic nie potrafię. Nie umiem szyć, nie umiem pisać na maszynie. Jest jeszcze jeden powód, myśli, ale tego nie może mu powiedzieć.

Musi być jakieś wyjście. Ale nie naciska na nią. Może to nie taki dobry pomysł, żeby mieszkała sama. Sama w złym, wielkim świecie, w którym mógłby ją wykorzystać każdy facet. Gdyby coś poszło nie tak, winiłby tylko siebie.

Chyba lepiej zostanę w domu, nie sądzisz? Tak będzie najlepiej. Dopóki nie wrócisz. Bo wrócisz, prawda? Wrócisz cały i zdrowy?

Pewnie, mówi on.

Bo jeśli nie wrócisz, to nie wiem, co zrobię. Jeśli dasz się zabić albo coś, roz-

padnę się na kawałki. Myśli: mówię jak w filmie. Ale jak mam mówić? Zapomnieliśmy już jak.

Cholera, myśli on. Ona się podkręca. Teraz się rozplacze. Będzie płakała, a ja będę siedział tu jak głupi, a kiedy kobiety zaczynają płakać, nie można ich powstrzymać.

Chodź, wezmę twój płaszcz, mówi ponuro. To nie jest zabawne. Nie mamy zbyt wiele czasu. Wracamy do pokoju.

IX

Pranie

W końcu marzec i kilka niechętnych zapowiedzi wiosny. Drzewa nadal są nagie, pąki nadal twarde, w kokonach, ale tam, gdzie pada na nie słońce, topnieją. Psie kupy odmarzają, po czym maleją, ich lodowe szczątki robią się ziemiste od starych sików. Fragmenty trawnika wydostają się na światło dzienne, muliste i rozsiane. Tak musi wyglądać zapomnienie.

Dzisiaj jadłam na śniadanie coś innego. Jakiś nowy rodzaj płatków przyniesionych przez Myrę, żeby mnie ożywić. Jest miłośniczką napisów na pudełkach. Tych płatków, jak napisano prostymi literami w kolorze lizaków albo wełnistych bawełnianych dresów do biegania, nie zrobiono z uszkodzonych, na wskroś komercyjnych zbóż, tylko z mało znanych ziaren o trudnych do wymówienia nazwach – archaicznych, mistycznych. Te ziarna odnaleziono w prekolumbijskich grobach i piramidach egipskich; uwiarygodniający szczegół, chociaż jeśli się nad tym zastanowić, wcale nie pokrzepiający. Płatki nie tylko postawią człowieka na nogi jak mocna kawa, szepczą także o przedłużonej witalności, o nie kończącej się młodości, o nieśmiertelności. Tył pudełka przyozdobiono skręconym różowym jelitem, na froncie widnieje pozbawiona oczu, zielona, mozaikowa twarz, która, czego z pewnością nie wiedzieli ludzie odpowiedzialni za reklamę, jest aztecką maską pogrzebową.

Na cześć tych nowych płatków zmusiłam się do zajęcia miejsca przy kuchennym stole z nakryciem i papierową serwetką do kompletu. Żyjący samotnie przyzwyczajają się do jedzenia na stojąco: po co zawracać sobie głowę subtelnościami, skoro nie ma nikogo, kto by je dzielił albo nas oceniał? Jednakże rozluźnienie w jednej dziedzinie może prowadzić do chaosu we wszystkich.

Wczoraj zdecydowałam się zrobić pranie, żeby zagrać na nosie Bogu, pracując w niedzielę. Nie chodziło o to, że On zwraca uwagę, jaki mamy dzień tygodnia: w niebie, podobnie jak w podświadomości – tak nam się mówi – czas nie istnieje. W rzeczywistości chciałam zagrać na nosie Myrze. Myra mówi, że nie powinnam ścielić łóżka, nie powinnam nosić ciężkich koszy brudnych ubrań po chybottliwych schodach do piwnicy, gdzie stoi przedpotopowa, oszalała pralka.

Kto więc pierze? Myra, z braku innych chętnych. Skoro już tu jestem, równie dobrze mogę coś tam wrzucić, mówi. Potem obie udajemy, że tego nie zrobiła. Sprzysięgamy się w fikcji – albo w tym, co szybko staje się fikcją – że mogę to zrobić sama. Jednak napięcie związane z zachowywaniem pozorów zaczyna dawać się jej we znaki.

Poza tym boli ją kręgosłup. Chce mi załatwić kobietę, jakąś wynajętą wścib-

ską nieznaną, żeby przychodziła i wszystkim się zajmowała. Jej pretekst to moje serce. Jakoś się o tym dowiedziała, o lekarzu, jego panaceach i rokownikach – zapewne od jego pielęgniarki, farbowanego rudzielca z opadającymi kącikami ust. To miasto jest jak sito.

Powiedziałam Myrze, że to, co robię z brudną bielizną, to moja sprawa. Będę się broniła przed tą nieznaną kobietą tak długo, jak się da. Czy wynika to ze wstydu? Bez wątplenia. Nie chcę, żeby ktoś inny wtykał nos w moją niewydolność, moje plamy i zapachy. Myra może to robić, bo ją znam, a ona zna mnie. Jestem jej krzyżem pańskim: to dzięki mnie jest taka dobra w oczach innych. Wystarczy, że wypowie moje imię i przewróci oczami, a wszystko zostanie jej wybaczone, jeśli nie przez anioły, to przynajmniej przez sąsiadów, których o wiele trudniej zadowolić.

Nie zrozum mnie źle. Nie naśmiewam się z dobroci, która jest o wiele trudniejsza do zrozumienia niż zło, a równie skomplikowana. Po prostu czasem trudno ją znieść.

Podjąwszy decyzję – i przewidziawszy jęk niezadowolenia Myry, gdy odkryje stos wypranych i złożonych ręczników, i swój własny, uradowany, triumfalny uśmiezek – wyruszyłam na wyprawę z praniem. Pogrzebałam w koszu, o mały włos nie wleciałam do niego głową, a następnie wyciągnęłam to, co uznałam za wystarczająco lekkie, unikając tęsknoty za bielizną minionych lat. (Jaka piękna była! Teraz już nie robią takich rzeczy, nie z obciążanymi guzikami ani ręcznie obszywanymi. A może robią, tylko ja ich nie widzę, zresztą i tak nie mogłabym sobie na nie pozwolić ani bym się w nie nie zmieściła. Takie rzeczy mają talię).

To, co wybrałam, trafiło do plastikowego koszyka. Wyruszyłam, krok po kroku, bokiem po schodach, jak Czerwony Kapturek w drogę do domu babci via podziemie. Tyle że teraz ja jestem babcią i mam własnego wilka. Szarpie mnie, szarpie.

Parter, na razie dobrze. Wzdłuż korytarza do kuchni, potem włączyć światło w piwnicy i roztrzęsiony skok w wilgoć. Niemal natychmiast nadciągnęła trwoga. Miejsca w domu, które kiedyś z łatwością pokonywałam, stały się zdradliwe: opuszczane okna przypominają pułapki, gotowe przyciąć mi ręce, stółek zagraża upadkiem, górne półki regałów nafaszerowano drogocennym szkłem. W połowie schodów do piwnicy zrozumiałam, że nie powinnam próbować. Schody były zbyt strome, cienie zbyt gęste, zapach zbyt złowrogi, jak świeżo rozlany cement ukrywający zrećnie otrutego małżonka. Na podłodze na dole znajdowała się sadzawka ciemności, głęboka, lśniąca i mokra niczym prawdziwa sadzawka. Może była prawdziwa, może rzeka wzbierała pod podłogą, jak kiedyś pokazywali na kanale pogodowym. Któryś z czterech żywiołów może się pojawić w każdej chwili: ogień może wybuchnąć z ziemi, ziemia skroplić się i zalać cię po uszy, powietrze uderzy w ciebie jak skała, zrywając dach znad twojej

głowy. Dlaczego więc nie powódź?

Usłyszałam bulgotanie, mogło wydobywać się ze mnie; czułam, jak spanikowane serce galopuje w mojej piersi. Wiedziałam, że ta woda to złudzenie, oka, ucha lub umysłu, mimo to lepiej nie schodzić. Zostawiłam pranie na schodach, rozrzucając je. Może zdołam pójść i zabrać je później, może nie. Ktoś to zrobi. Myra to zrobi, z zaciśniętymi ustami. No i się doigrałam, teraz na pewno wciśnię mi tę kobietę. Odwróciłam się, niemal upadłam, złapałam za poręcz, po czym podciągnęłam się do góry, krok po kroku, do zdrowego, mdłego światła dnia w kuchni.

Na zewnątrz okna widać było szarość, jednorodną bezduszną szarość nieba i gąbczastego, ostatniego śniegu. Włączyłam elektryczny czajnik, wkrótce rozpocznie swoją kołysankę z pary. Sprawy zaszły dość daleko, jeśli człowiek ma wrażenie, że to jego sprzęty się nim zajmują, a nie odwrotnie. Mimo wszystko czułam się pokrzepiona.

Zrobiłam herbatę, wypiłam ją, umyłam filiżankę. Przynajmniej wciąż potrafię zmywać po sobie naczynia. Odstawiłam filiżankę na półkę pełną innych filiżanek ręcznie malowanych we wzory babki Adelii, lilie z liliami, fiołki z fiołkami, podobne wzory koło podobnych. Przynajmniej kredensy nie zwariowały. Jednak obraz porzuconych części bielizny, leżących na schodach do piwnicy, męczył mnie. Wszystkie te strzępy, te zmięte fragmenty, jak zrzucona biała skóra. Choć może niezupełnie białe. Świadcstwo czegoś: czyste kartki, na których bągrze moje ciało, zostawiając zagadkowy dowód, gdy powoli, lecz nieuchronnie wywraca się na lewą stronę.

Może powinnam spróbować pozbierać te rzeczy, a potem złożyć je w koszu, i nikt by nic nie wiedział. Nikt oznacza Myrę.

Wygląda na to, że pokonała mnie żądza schludności.

Lepiej późno niż wcale, mówi Reenie.

Och, Reenie. Jak bardzo za tobą tęsknię. Wracaj i zajmij się mną!

Ona tego jednak nie robi. Sama będę musiała się sobą zająć. Sobą i Laurą, jak to uroczyście przyrzekłam.

Lepiej późno niż wcale.

Gdzie jestem? Była zima. Nie, to już za mną.

Była wiosna. Wiosna 1936 roku. Roku, w którym wszystko zaczęło się rozpadać. To znaczy, nadal się rozpadało, tylko poważniej niż wcześniej.

Tego roku abdykował król Edward, wybrał miłość zamiast ambicji. Nie. Wybrał ambicję księżnej Windsoru zamiast swojej. To coś, co ludzie pamiętają. Zaczęła się też wojna domowa w Hiszpanii. Tyle że jedno i drugie wydarzyło się kilka miesięcy później. Dzięki czemu zapamiętano marzec? Właśnie dzięki temu. Richard, szeleszcząc gazetą przy śniadaniu, powiedział: Zatem zrobił to.

Tego dnia byliśmy sami na śniadaniu. Laura jadała z nami tylko w weekend-

dy, a i wtedy unikała ich, jak tylko się dało, udając, że śpi. W tygodniu jadła sama w kuchni, bo musiała chodzić do szkoły. A właściwie nie sama, była przy niej pani Murgatroyd. Potem pan Murgatroyd odwoził Laurę do szkoły i przyjeżdżał po nią, bo Richardowi nie podobała się perspektywa, że mogłaby chodzić sama. Tak naprawdę nie podobała mu się perspektywa, że mogłaby zabłądzić.

Jadała lunch w szkole i miała tam lekcje gry na flecie, we wtorki i czwartki, bo zajęcia muzyczne były obowiązkowe. Próbowała fortepianu, ale nic z tego nie wyszło. Podobnie z wiolonczelą. Powiedziano nam, że Laura ma awersję do ćwiczeń, choć w niektóre wieczory częstowała nas żalonym, nieczystym zawożeniem fletu. Fałszywe dźwięki wydawały się zamierzone.

– Porozmawiam z nią – powiedział Richard.

– Nie możemy narzekać – odparłam. – Ona robi tylko to, czego od niej wymagasz.

Laura nie demonstrowała już otwarcie wrogości wobec Richarda. Kiedy jednak wchodził do pokoju, ona go opuszczała.

Wracając do porannej gazety. Richard trzymał ją przed nami, więc mogłam przeczytać nagłówek. Ten, o kogo mu chodziło, to był Hitler, który zawędrował do Nadrenii. Złamał zasady, przekroczył granicę, zrobił to, co zakazane. Cóż, powiedział Richard, można to było przewidzieć, ale reszta dała się złapać z ręką w nocniku. Gra im na nosie. Bystry facet. Widzi dziurę w płocie. Widzi swoją szansę i po nią sięga. To mu trzeba przyznać.

Zgodziłam się, ale nie słuchałam. Niesłuchanie było w tamtych miesiącach jedynym sposobem na utrzymanie równowagi. Musiałam ignorować otaczający mnie zgiełk: jak linoskoczek na wodospadzie Niagara, żeby nie spaść, nie mogłam się rozglądać wokół siebie. Co innego można zrobić, kiedy to, o czym się myśli w każdej świadomej chwili, jest tak bardzo oddalone od życia, którym się rzekomo żyje? Od tego, co właśnie znalazło się na stole, a tego dnia był to wazon ze śnieżnobiałym narcyzem, wyjętym z misy ciepłarnianych kwiatów przysłanych przez Winifred. Cudownie jest mieć je o tej porze roku, powiedziała. Pięknie pachną. Jak tchnienie nadziei.

Winifred uważała, że jestem nieszkodliwa. Innymi słowy, uważała mnie za głupią. Później – dziesięć lat później – miała powiedzieć, przez telefon, bo już nie spotykaliśmy się osobiście:

– Myślałam, że jesteś głupia, ale tak naprawdę jesteś zła. Zawsze nas nienawidziłaś, bo twój ojciec zbankrutował i spalił własną fabrykę, i miałaś nam to za złe.

– Nie spalił jej – odparłam. – Richard to zrobił. Albo zlecił.

– To niegodziwe kłamstwo. Twój ojciec był kompletnym bankrutem i gdyby

nie ubezpieczenie budynku, nic byście nie mieli! Wyciągnęliśmy was z bagna, ciebie i twoją głupkowatą siostrzyczkę! Gdyby nie my, trafiłybyście na ulicę, zamiast siedzieć sobie na tyłkach jak rozpuszczone bachory, którymi byłyście. Zawsze wszystko dostawałaś, nigdy nie musiałaś zdobyć się na jakikolwiek wysiłek, nigdy nie okazałaś wdzięczności Richardowi. Nie kiwnęłaś palcem, żeby mu pomóc, nigdy, ani razu.

– Robiłam, co chciałaś. Trzymałam buzię na kłódkę. Uśmiechałam się. Ubierałam jak manekin. Z Laurą sprawy zaszyły za daleko. Nie powinien był do tego mieszać Laury.

– To tylko złośliwość, zwykła złośliwość! Wszystko nam zawdzięczałyście i nie mogłyście tego znieść. Musiałyście się na nim zemścić! Zabiłyście go obie, zupełnie jak gdybyście przystawiły mu pistolet do głowy i pociągnęły za spust.

– Zatem kto zabił Laurę?

– Laura sama się zabiła, o czym doskonale wiesz.

– To samo mogę powiedzieć o Richardzie.

– To bezczelne kłamstwo. Poza tym Laura była stuknięta. Nie wiem, jak mogłaś uwierzyć w choć jedno jej słowo, o Richardzie czy czymkolwiek. Nikt przy zdrowych zmysłach by nie uwierzył!

Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa, więc odłożyłam słuchawkę. Byłam jednak bezsilna, bo wtedy miała już zakładnika. Miała Aimee.

W 1936 roku była jednak jeszcze dość przyjazna, a ja nadal grałam rolę jej protegowanej. Ciągała mnie od przyjęcia do przyjęcia – na spotkania Ligii Juniorów, polityczne zjazdy, komitety na rzecz tego czy owego – i zostawiała mnie na krzesłach i w kątach, a sama udzielała się towarzysko. Teraz widziałam, że jest w zasadzie nie lubiana, ledwie tolerowana, tylko ze względu na swoje pieniądze i niespożytą energię: większość kobiet w tych kręgach z radością pozwalała Winifred brać na barki łwią część tego, co było do zrobienia.

Co jakiś czas któraś z nich podchodziła do mnie ukradkiem i zauważała, że znała moją babkę – albo, jeśli była młodsza, że chciałyby ją znać, w tamtych złotych latach przed wojną, kiedy istniała jeszcze prawdziwa elegancja. Było to hasło: oznaczało, że Winifred to nuworyszka – dorobkiewiczka, demonstracyjna i wulgarna, i że ja powinnam bronić innych wartości. Uśmiechałam się nieznacznie i mówiłam, że babka zmarła na długo przed moim urodzeniem. Innymi słowy, nie mogły ode mnie oczekiwać żadnego sprzeciwu wobec Winifred.

Jak tam pani bystry mąż? – pytały. Kiedy usłyszemy ważne oświadczenie? Ważne oświadczenie dotyczyło kariery politycznej Richarda, która formalnie się nie zaczęła, ale spodziewano się jej lada chwila.

Och, uśmiechałam się, myślę, że pierwsza się o tym dowiem. Wcale w to nie wierzyłam: sądziłam, że dowiem się ostatnia.

Nasze życie – Richarda i moje – ustabilizowało się i przypuszczałam wtedy, że

nic się już w nim nie zmieni. Czy też raczej dwa życia, to za dnia i nocą: były odrębne i także niezmiennie. Spokój i porządek, z przyzwoitą i usankcjonowaną przemocą kryjącą się pod wszystkim, jak ciężki, brutalny but wybijający rytm na dywanie. Każdego ranka brałam prysznic, żeby pozbyć się nocy, zmyć substancję, którą Richard wcierał we włosy – jakąś drogą, perfumowaną brylantynę. Była na całej mojej skórze.

Czy przeszkadzało mu, że jego nocne działania są mi obojętne, wręcz czuję do nich niechęć? Ani trochę. Wolał podbój od współpracy, w każdej dziedzinie życia.

Zdarzało się – coraz częściej w miarę upływu czasu – że pojawiały się siniaki, fioletowe, potem niebieskie, potem żółte. To zdumiewające, jak łatwo robią ci się siniaki, mówił Richard z uśmiechem. Od zwykłego dotyku. Nigdy nie widział kobiety, u której tak łatwo by wykwiwały. To wynika z młodości i delikatności.

Preferował uda, bo nie było widać. Coś jawnego mogłoby stanąć na przeszkodzie jego ambicjom.

Czasem czułam się tak, jak gdyby te ślady na moim ciele były czymś w rodzaju szyfru, który rozkwitał, a potem płwiał, jak niewidzialny atrament przy płomieniu świecy. Ale skoro był to szyfr, kto miał do niego klucz?

Byłam piaskiem, byłam śniegiem – do pisania, przepisywania, wygładzania.

Popielniczka

Znów odwiedziłam lekarza. Myra mnie tam zawiozła: ze względu na świeży lód po odwilży i ponownym mrozie stwierdziła, że jest zbyt ślisko, abym poszła sama.

Lekarz postukał mi w żebra i podsłuchiwał moje serce, powściągnął surowy grymas i – już o odpowiedzi zdecydowawszy – zapytał mnie, jak się czuję. Chyba zrobił coś w włosami: z pewnością dawniej były rzadsze na czubku. Czyżby przyklejał sobie pasma do czaszki? A może, co gorsza, poddał się przeszczepowi? Aha, pomyślałam. Mimo joggingu i owłosionych nóg zaczyna cię nadgryzać ząb czasu. Wkrótce pożalujesz tego opalania. Twoja twarz będzie wyglądała jak męskie jądro.

Pomimo to był obraźliwie dowcipny. Przynajmniej nie mówi: „Jak się dzisiaj mamy?” Nigdy nie zwraca się do mnie „my”, jak niektórzy: rozumie ważność pierwszej osoby liczby pojedynczej.

– Nie mogę spać – poinformowałam go. – Za dużo śnię.

– Skoro pani śni, to musi pani spać – odparł, myśląc zapewne, że to zabawne.

– Wie pan, o co mi chodzi – powiedziałam ostro. – To nie to samo. Sny mnie budzą.

– Pije pani kawę?

– Nie – skłamałam.

– To pewnie nieczyste sumienie. – Wypisywał receptę, bez wątpienia na jakieś cukierki. Zachichotał sam do siebie; uważał, że jest dowcipny. Po osiągnięciu pewnego pułapu doświadczeń wszystko zaczyna się cofać: z wiekiem nabieramy niewinności, przynajmniej zdaniem innych. Patrząc na mnie, lekarz widzi niesprawną, a więc niewinną starowinkę.

Myra siedziała w poczekalni i czytała stare czasopisma, gdy ja przebywałam w sanktuarium lekarza. Wydarła artykuł o radzeniu sobie z napięciem emocjonalnym i inny, o dobroczynnych skutkach jedzenia surowej kapusty. Powiedziała, że są dla mnie, zadowolona ze swojej troskliwej *trouville*. Zawsze mnie diagnozuje. Moje zdrowie fizyczne jest dla niej równie istotne jak moje zdrowie duchowe; rości sobie prawo zwłaszcza do moich jelit.

Powiedziałam jej, że trudno podejrzewać, abym cierpiała na napięcie, w próżni nie ma napięcia. Co do surowej kapusty, wzdymało mnie po niej jak martwą krowę, więc daruję sobie dobroczynne skutki. Powiedziałam, że nie życzę sobie iść przez życie, czy też to, co mi z niego pozostało, śmierdząc jak beczka kiszzonej kapusty i trąbiąc jak klakson.

Szorstkie odniesienia do funkcji cielesnych zazwyczaj powstrzymywały Myrę. Przejechała resztę drogi do domu w milczeniu, z uśmiechem twardniejącym na twarzy jak gips.

Czasem wstyd mi za siebie.

Do zajęcia pod ręką. „Pod ręką” to odpowiednie określenie: czasem wydaje mi się, że pisze tylko moja ręka, nie reszta mnie; że moja ręka zaczęła żyć własnym życiem i że będzie żyła, nawet oderwana ode mnie, jak jakiś zabalsamowany, czarodziejski egipski fetysz albo suszone królicze pazurki, które mężczyźni wieszali sobie na szczęście nad samochodowym lusterkiem. Mimo artretyzmu w palcach moja ręka wykazuje ostatnio niezwykłą żywotność, jak gdyby odrzuciła wszelkie ograniczenia. Z pewnością napisała sporo rzeczy, których nie wolno by jej było napisać, gdybym to dobrze rozważyła.

Przewróć kartkę, przewróć kartkę. Na czym skończyłam? Kwiecień 1936.

W kwietniu zadzwoniła do nas dyrektorka ze szkoły imienia Świętej Cecylii, w której uczyła się Laura. Powiedziała, że chodzi o zachowanie Laury. To nie jest temat, o którym należałoby rozmawiać przez telefon.

Richard nie miał czasu ze względu na swoje interesy. Zaproponował, że Winifred będzie mi towarzyszyć, ale odparłam, że to na pewno nic ważnego. Sama dam sobie radę i zawiadomię go, jeśli coś istotnego wyjdzie na jaw. Umówiłam się z dyrektorką, której nazwiska zapomniałam. Ubrałam się tak, żeby ją onieśmielić, a przynajmniej przypomnieć jej o pozycji i wpływach Richarda: chyba włożyłam kaszmirowy płaszcz obrębiony futrem rosomaka – za ciepły na tę porę roku, ale imponujący – i kapelusz z martwym bażantem czy też jego częściami. Ze skrzydłami, ogonem i głową przyozdobioną okrągłymi, czerwonymi oczkami ze szkła.

Dyrektorka była siwiejącą kobietą o figurze przypominającej drewniany wieszak na ubrania – krusze kości z udrapowanymi na nich sflaczałymi materiałami. Stała w swoim gabinecie, zabarykadowana za dębowym biurkiem, skulona z przerażenia. Rok wcześniej ja byłabym przestraszona nią tak samo jak teraz ona mną, czy też raczej tym, co sobą reprezentowałam: wielkim rulonem pieńędzy. Obecnie jednak nabrałam pewności siebie. Obserwowałam Winifred w akcji i ćwiczyłam. Teraz potrafiłam już podnieść brew.

Uśmiechnęła się nerwowo, pokazując okrągłe, żółte zęby jak ziarenka w częściowo obgryzionej kolbie kukurydzy. Zastanawiałam się, co Laura zrobiła. To musiało być coś ważnego, skoro dyrektorka zdecydowała się na konfrontację z nieobecny Richardem i jego niewidzialną władzą.

– Obawiam się, że nie damy sobie już rady z Laurą – powiedziała. – Robiliśmy, co w naszej mocy, i mamy świadomość, że istnieją okoliczności łagodzące, ale musimy zatroszczyć się też o inne uczennice, a obawiam się, że Laura

ma na nie zbyt destrukcyjny wpływ.

Nauczyłam się już wtedy zmuszać innych do tłumaczenia się.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o czym pani mówi – powiedziałam, ledwie poruszając wargami. – Jakie okoliczności łagodzące? Jaki destrukcyjny wpływ? – Wciąż trzymałam ręce na kolanach, głowę zaś uniesioną i lekko przekrzywioną – pod najlepszym kątem dla kapelusza z bażantem. Miałam nadzieję, że kobieta będzie się czuła tak, jakby wpatrywało się w nią czworo oczu, nie tylko dwoje. Moim przywilejem było bogactwo, jej zaś wiek i pozycja. W gabinecie było gorąco.

Powiesiłam płaszcz na oparciu krzesła, ale mimo to pociałam się jak mysz.

– Podaje w wątpliwość istnienie Boga – odparła – na zajęciach z wiedzy religijnej, jedynych, które zdają się ją interesować. Posunęła się tak daleko, że napisała esej zatytułowany „Czy Bóg kłamie?” Bardzo zaniepokoił całą klasę.

– I jaką dała odpowiedź? – zapytałam. – W kwestii Boga?

Byłam zdumiona, choć tego nie okazałam: myślałam, że Laura straciła zainteresowanie Bogiem, ale najwyraźniej nie.

– Twierdzącą. – Popatrzyła na swoje biurko, na którym leżał esej Laury. – Cytuje – właśnie tutaj – Pierwszą Księgę Królewską, rozdział dwudziesty drugi – fragment, w którym Bóg okłamuje króla Achaba: „Dał więc Pan teraz ducha kłamstwa w usta tych wszystkich twoich proroków”. Laura twierdzi, że skoro Bóg zrobił to raz, to skąd możemy wiedzieć, czy zrobi tego znowu. I jak można odróżnić fałszywe proroctwa od prawdziwych?

– Cóż, w każdym razie to logiczna konkluzja – stwierdziłam. – Laura zna Biblię.

– Doprawdy – powiedziała z rozpaczą dyrektorka. – Szatan może cytować Pismo Święte dla swoich celów. Potem Laura zauważyła, że chociaż Bóg kłamie, to nie oszukuje – zawsze wysyła też prawdziwego proroka, tylko ludzie nie chcą go słuchać. Jej zdaniem, Bóg to rozgłośnia radiowa, my zaś jesteśmy uszkodzonymi odbiornikami, które to porównanie wydaje mi się w najlepszym wypadku lekceważące.

– Laura nie chce okazywać braku szacunku – powiedziałam. – W każdym razie nie w kwestii Boga.

Dyrektorka to zignorowała.

– Chodzi nie tyle o pozornie słuszne argumenty, ile o to, że Laura uznała za stosowne w ogóle je wysuwać.

– Laura lubi znać odpowiedzi – oznajmiłam. – Lubi znać odpowiedzi na ważne pytania. Z pewnością zgodzi się pani, że Bóg jest ważny. Nie rozumiem, czemu miałoby to być destrukcyjne.

– Inne uczennice tak to odbierają. Uważają, że Laura się popisuje. Kwestionuje uznane autorytety.

– Podobnie jak Chrystus – zauważyłam – albo jak niektórzy wtedy uważali.

Nie zrobiła oczywistej uwagi, że to, co wypadało Chrystusowi, niekoniecznie przystoi szesnastolatce.

– Nie wszystko pani rozumie – westchnęła. Dosłownie załamała ręce, co obserwowałam z zainteresowaniem, bo nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam. – Inne dziewczęta myślą... myślą, że się wygłupia. Przynajmniej część z nich. Jeszcze inne, że to bolszewiczka. Reszta uważają za dziwną. W każdym wypadku wzbudza niezdrowe zainteresowanie.

Zaczynałam ją rozumieć.

– Wątpię, żeby Laura próbowała się wygłupiać – stwierdziłam.

– Ale to trudno powiedzieć! – Przez chwilę patrzyliśmy na siebie nad biurkiem, w całkowitej ciszy. – Ma też swoje zwolenniczki – dodała dyrektorka z odrobiną zazdrości. Czekala, aż to przetrawię, po czym ciągnęła: – Pozostaje jeszcze kwestia jej nieobecności. Rozumiem, że ma problemy ze zdrowiem, ale...

– Jakie problemy ze zdrowiem? – przerwałam. – Zdrowie Laury jest bez zarzutu.

– Cóż, przypuszczałam, zważywszy na wizyty lekarskie...

– Jakie wizyty lekarskie?

– Nie podpisywała ich pani? – Wyciągnęła plik listów. Rozpoznałam papeterię, była moja. Przejrzałam je: nie pisałam ich, ale były podpisane moim nazwiskiem.

– Rozumiem – stwierdziłam, biorąc mój rosomakowy płaszcz i torebkę. – Porozmawiam z Laurą. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas. – Potrząsnęłam koniuszkami jej palców. Było oczywiste, że Laura zostanie usunięta ze szkoły.

– Robiliśmy, co w naszej mocy – powiedziała ta biedna kobieta. Niemal płakała. Kolejna panna Przemoc. Wynajęty wół roboczy, o dobrych intencjach, ale nieskuteczny. Nie była przeciwniczką godną Laury.

Tego wieczoru, kiedy Richard zapytał, jak poszła mi rozmowa, opowiedziałam o destrukcyjnym wpływie Laury na koleżanki z klasy. Zamiast się zezłościć, wydawał się rozbawiony, niemal zachwycony. Powiedział, że Laura ma silny charakter. Powiedział, że trochę buntowniczości świadczy o ambicji. Powiedział też, że sam nie lubił szkoły i utrudniał życie nauczycielom. Wątpiałam, żeby to było celem Laury, ale darowałam sobie komentarze.

Nie wspominałam o fałszywych zaświadczeniach lekarskich: to byłoby jak wpuszczenie kota między gołębie. Dokuczanie rodzicom to jedno, wagary to zupełnie co innego. To trąciło przestępstwem.

– Nie powinnaś była podrabiać mojego charakteru pisma – powiedziałam na osobności do Laury.

– Nie mogłam podrobić pisma Richarda. Zbyt różni się od naszego. Twoje było o wiele łatwiejsze.

– Charakter pisma to rzecz osobista. To jak kradzież.

Przez chwilę rzeczywiście wyglądała na skruszoną.

– Przykro mi. Tylko pożyczyla. Nie sądziłam, że będziesz miała coś przeciwko temu.

– Chyba nie ma sensu się zastanawiać, dlaczego to zrobiłaś?

– Nigdy nie prosiłam, żeby mnie posyłać do tej szkoły – powiedziała Laura.

– Nie lubili mnie ani trochę bardziej niż ja ich. Nie traktowali mnie poważnie. To nie są poważni ludzie. Gdybym musiała siedzieć tam przez cały czas, chyba bym się pochorowała.

– Co robiłaś – zapytałam – kiedy nie byłaś w szkole? Dokąd chodziłaś?

Martwiłam się, że może się z kimś spotykała – z mężczyzną. Wchodziła w ten wiek.

– Och, tu i tam – odparła Laura. – Chodziłam do centrum, siadywałam na ławkach i w ogóle. Albo tylko spacerowałam. Widziałam cię parę razy, ale ty nie widziałas mnie. Chyba robiłaś zakupy.

Poczułam przypływ krwi do serca, potem ucisk w piersi: panika, jak zaciskająca się na mnie dłoń. Musiałam zblednąć.

– Co się stało? – spytała Laura. – Źle się czujesz?

Tego maja przypłynęliśmy do Anglii na „Berengerii”, potem wróciliśmy do Nowego Jorku dziewiczym rejsem na „Queen Mary”. „Queen Mary” była największym i najbardziej luksusowym liniowcem, jaki kiedykolwiek wybudowano, tak przynajmniej pisali w ulotkach. Richard powiedział, że to epokowe wydarzenie.

Winifred popłynęła z nami. Także Laura. Richard stwierdził, że taka podróż dobrze jej zrobi: wydawała się wynędzniała i cherlawka; od czasu gdy nagle przestała chodzić do szkoły, nie miała nic do roboty. Ta podróż będzie dla niej nauką, taką, na której skorzysta dziewczyna taka jak ona. Poza tym i tak nie mogliśmy jej zostawić.

Spółczesność nie mogła się nasycić „Queen Mary”; każdy jej centymetr opisano i obfotografowano, a także pieczołowicie przystrojono plastikowymi laminatami, żłobionymi kolumnami i klonowymi płaskorzeźbami – wszędzie kosztowne fasady. Ale kołysało tam potwornie, a pokład dla drugiej klasy wychodził na ten dla pierwszej, więc nie można było się przespacerować bez tłumy gapiącej się biedoty, tłoczącej się przy relingu.

Pierwszego dnia cierpiałam na chorobę morską, ale potem mi przeszło. Było mnóstwo tańców. Wtedy już potrafiłam tańczyć – dosyć dobrze, ale nie za dobrze. (Nigdy nie rób niczego zbyt dobrze, powiedziała Winifred, to zdradza, że ci zależy). Tańczyłam z innymi mężczyznami – mężczyznami, z którymi Richard łączyły interesy, mężczyznami, którym mnie przedstawiał. Zajmij się, proszę, Iris, mówił do nich, uśmiechając się, klepiąc ich po ramieniu. Czasem tańczył z innymi kobietami, żonami znanych sobie mężczyzn. Czasem wychodził zapalić

papierosa albo przejść się po pokładzie, przynajmniej tak mówił. Myślałam, że zamiast tego zamartwiał się lub rozmyślał. Traciłam go z oczu nawet na godzinę. Potem wracał, siadał przy naszym stole, patrzył, jak całkiem dobrze tańczy, a ja zastanawiałam się, od jak dawna tam siedzi.

Uznałam, że jest rozzarowany, bo wycieczka nie ułożyła się tak, jak zaplanował. Nie mógł dostać rezerwacji na kolację w Werandowym Grillu, nie spotykał się z ludźmi, z którymi pragnął się spotkać. Był grubą rybą u siebie, jednak na „Queen Mary” wydawał się bardzo małą płótką. Winifred też była małą płótką: jej dziarskość się marnowała. Nieraz widziałam, jak kobiety, do których podchodziła, udawały, że jej nie widzą. Wtedy chyłkiem wracała do, jak to nazywała, „naszej paczki”, mając nadzieję, że nikt nie zauważył.

Laura nie tańczyła. Nie umiała i nie interesowała się tym, poza tym była za młoda. Po kolacji zamykała się w swojej kabinie – mówiła, że czyta. Trzeciego dnia podróży przy śniadaniu jej oczy były zapuchnięte i czerwone.

Przed południem poszłam jej szukać. Znalazłam ją na leżaku na pokładzie, po szyję okrytą kocem w kratę, apatycznie przyglądającą się grze w pierścieniu. Usiadłam obok niej. Obok przeszła krzepka młoda kobieta z siedmioma psami, każdym na osobnej smyczy, mimo chłodu miała na sobie szorty, a jej nogi były opalone.

– Mogłabym mieć taką pracę – odezwała się Laura.

– Jaką pracę?

– Wyprowadzanie psów – powiedziała. – Cudzych psów. Lubię psy.

– Nie polubiłabyś właścicieli.

– Nie wyprowadzałabym właścicieli. – Miała na sobie okulary słoneczne, ale drżała.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

– Nie.

– Wyglądasz na zmarzniętą. Chyba coś ci jest.

– Nic mi nie jest. Nie zwracaj sobie mną głowy.

– To naturalne, że się przejmuję.

– Nie musisz. Mam szesnaście lat. Potrafię rozpoznać, kiedy jestem chora.

– Obiecałam ojcu, że się tobą zaopiekuję – powiedziałam sztywno. – Mamie też.

– Głupio z twojej strony.

– Bez wątpienia. Ale byłam młoda. Za mało wiedziałam. Jak to młodzi.

Laura zdjęła okulary, ale nie spojrzała na mnie.

– Nie odpowiadam za to, co inni obiecali – powiedziała. – Ojciec cię mną obarczył. Nigdy nie wiedział, co ze mną zrobić – co z nami zrobić. Ale teraz nie żyje, oboje nie żyją, więc wszystko w porządku. Odpuszczam ci. Zwalniam cię.

– Laura, o co chodzi?

– O nic – odparła. – Jednak za każdym razem, kiedy chcę pomyśleć –

wszystko poukładać – uznajesz, że jestem chora i zaczynasz mnie dręczyć. Denerwuje mnie to.

– Jesteś niesprawiedliwa – powiedziałam. – Próbowałam, zawsze stawałam po twojej stronie, robiłam wszystko, żebyś...

– Zostawmy to – przerwała. – Popatrz, jaka głupia gra! Dlaczego to się nazywa pierścienie?

Złożyłam to wszystko na karb dawnego smutku – żałoby po Awilionie i wszystkim, co się tam zdarzyło. A może rozmyślała o Aleksie Thomasie? Powinnam była lepiej ją wypytać, powinnam była nalegać, chociaż wątpię, czy nawet wtedy powiedziała by mi, co ją naprawdę trapi.

Z podróży – oprócz Laury – najlepiej pamiętam kradzieże na całym statku w dniu, w którym wpłynęliśmy do portu. Wszystko z nazwą „Queen Mary” albo z inicjałami zniknęło w torbach i walizkach – papeteria, srebra stołowe, ręczniki, mydelniczki, co tylko się dało – wszystko nie przyspawane do podłogi. Niektórzy nawet poodkręcali krany i mniejsze lusterka, a także gałki od drzwi. Pasażerowie pierwszej klasy byli gorsi od reszty, w końcu jednak bogaci zawsze mieli kleptomańskie zapędy.

Jaki był racjonalny powód tych kradzieży? Pamiątki. Ci ludzie chcieli czegoś na pamiątkę. Dziwne, takie polowanie na pamiątki: „teraz” staje się „wtedy”, chociaż wciąż jest teraz. Tak naprawdę nie wierzysz, że tu jesteś, więc szukasz dowodu lub czegoś, co błędnie bierzesz za dowód.

Ja zadowoliliam się popielniczką.

Mężczyzna z głową w płomieniach

Wczorajszej nocy wzięłam jedną z tabletek przepisanych przez lekarza. Pomogła mi zasnąć, ale znowu śniłam i ten sen nie był wcale lepszy od tych, które miałam bez pomocy medykamentów.

Stałam na pomoście w Awilionie, popękany, zielonkawy lód na rzece brzęczał jak dzwonki, ale nie miałam na sobie zimowego płaszcza, tylko bawełnianą wzorzystą sukienkę w motylki. Także kapelusz z plastikowych kwiatów w krzykliwych kolorach – pomidorowej czerwieni, paskudnym fiolecie – podświetlony od środka przez małe żarówki.

Gdzie mój? – zapytała Laura głosem pięcioletniego dziecka. Popatrzyłam na nią, ale już nie byliśmy dziećmi. Laura się zestarzała tak jak ja, miała oczy jak rodzynki. To mnie przeraziło i wtedy się obudziłam.

Była trzecia w nocy. Poczekalam, aż moje serce przestanie protestować, po czym zwlokłam się na dół i przygotowałam sobie gorące mleko. Powinnam była wiedzieć, że nie można polegać na tabletkach. Nie da się tak tanio kupić nieświadomości.

Wracając do tematu.

Po zejściu z „Queen Mary” nasza rodzina spędziła trzy dni w Nowym Jorku. Richard miał jakiś interes do sfinalizowania, powiedział, że możemy pozwiedzać sobie miasto.

Laura nie chciała iść do Rockettes ani na szczyt Statuy Wolności czy Empire State Building. Nie chciała też robić zakupów. Powiedziała, że zamierza pochodzić i pooglądać rzeczy na ulicy, ale Richard stwierdził, że to dla niej zbyt niebezpieczne, więc chodziłam z nią. Nie była ożywioną towarzyszką – ulga po Winifred, która postanowiła być tak ożywiona, jak to tylko możliwe.

Potem spędziliśmy kilka tygodni w Toronto, gdzie Richard załatwiał swoje sprawy. Później pojechaliliśmy do Awilionu. Richard powiedział, że będziemy pływać. Jego ton sugerował, że to miejsce nie nadaje się do niczego więcej, a także, że jest szczęśliwy, mogąc poświęcić własny czas, żeby spełnić nasze kaprysy. Albo łagodniej powiedziawszy, żeby nas uszczęśliwić – żeby uszczęśliwić mnie, ale także Laurę.

Wydawało mi się, że zaczął traktować Laurę jak zagadkę, którą miał w obowiązku rozwiązać. Przyłapywałam go, jak patrzy na nią w dziwnych chwilach, tak samo jak patrzył na kolumny z wynikami z giełdy – szukając sposobu, wytrycha, kłamki, klina, żeby dostać się do środka. Zgodnie z jego poglądem na życie, na wszystko można było znaleźć taki sposób lub wytrych. Albo to, albo

cenę. Chciał mieć Laurę pod kontrolą, chciał postawić but na jej karku, choćby lekko. Tyle że Laura nie miała takiego karku. Po każdej próbie zastygał z jedną ręką w powietrzu, jak myśliwy pozujący na zdjęciu z upolowanym niedźwiedziem, z którego ten niedźwiedź zniknął.

Jak Laura to robiła? Nie przeciwstawiała się mu, już nie: wtedy zaczęła unikać bezpośrednich starć z Richardem. Wycofywała się, odwracała, pozbawiała go równowagi. Zawsze rzucał się w jej kierunku, zawsze chwycił powietrze.

Pragnął jej aprobaty, wręcz podziwu. Albo chociażby wdzięczności. Czegoś w tym rodzaju. W wypadku innej dziewczyny mógłby spróbować dawać jej prezenty – naszyjnik z pereł, sweter z kaszmiru – rzeczy, których podobno pragnęła szesnastolatki. Wiedział jednak, że nie ma co narzucać się Laurze z czymś takim.

Krew z kamienia, pomyślałam. Nigdy jej nie rozgryzie. A na nią nie ma ceny, gdyż on nie posiada nic, czego ona by chciała. W każdym konkursie silnej woli, z każdym przeciwnikiem stawiałam na Laurę. Na swój sposób była uparta jak osioł.

Myślałam, że podskoczy z radości na wieść o możliwości spędzenia czasu w Awilionie – tak niechętnie go opuszczała – ale kiedy się o tym dowiedziałyśmy, wydawała się obojętna. Nie chciała niczego zawdzięczać Richardowi albo tak to odczytałam.

– Przynajmniej zobaczymy Reenie. – To wszystko, co powiedziała.

– Przykro mi, ale Reenie już u nas nie pracuje – oznajmił Richard. – Została zwolniona.

Kiedy to się stało? Jakiś czas temu. Miesiąc, kilka miesięcy? Richard wymigiwał się od odpowiedzi. Powiedział, że chodziło o męża Reenie, który za dużo pił. Przez to napraw w domu nie przeprowadzono w szybki i zadowalający sposób, co zauważyłby każdy rozsądny człowiek, i Richard nie widział sensu w płaceniu naszych dobrych pieniędzy za lenistwo i za to, co można jedynie nazwać niesubordynacją.

– Nie chce, żeby była tam w tym samym czasie co my – powiedziała Laura. – Wie, że stanęłaby po naszej stronie.

Obchodziliśmy parter Awilionu. Wydawało się, że dom zmalał; pokrowce zakryły meble, czy też resztki mebli – niektóre, bardziej nieporęczne, ciemniejsze usunięto, na polecenie Richarda, jak sądzę. Mogłam sobie wyobrazić Winifred, jak mówi, że nie można od nikogo oczekiwać, aby mieszkał z kredensem przyozdobionym takimi masywnymi, nieprzekonującymi winoroślami. Oprawione w skórę książki wciąż stały w bibliotece, ale czułam, że długo tam nie zostaną. Fotografie premierów z dziadkiem Benjaminem usunięto, ktoś – Richard, bez wątplenia – musiał w końcu zauważyć ich pastelowe twarze.

Kiedyś Awilion miał w sobie stabilność, która przerodziła się w nieprzejed-

nianie – wielki, przysadzisty głaz upuszczony pośrodku strumienia czasu, taki, który nie da się nikomu ruszyć – ale teraz był odrapany, skruszony, jakby miał się zapaść. Już nie wierzył we własne prawa.

Jakież to przykre, stwierdziła Winifred, wszędzie tyle kurzu, i w kuchni są myszy – widziała ich odchody – a także rybiki. Później jednak, jeszcze dziś, przyjeżdżali Murgatroydowie razem z kilkoma innymi, nowymi służącymi, których przyłączono do naszej świty, by pozmywać wszystkie statki, oprócz oczywiście (powiedziała ze śmiechem), samego statku, czyli „Nimfy Wodnej”. Łódź miano oczyścić i wyremontować pod nadzorem Reenie i Rona Hincksa, ale tego także nie dopilnowali. Winifred nie miała pojęcia, co Richard zamierza zrobić z tą starą łajbą – gdyby naprawdę chciał żeglować, zatopiłby tego mamuta i kupił sobie nową łódź.

– Pewnie myśli, że ona ma wartość sentymentalną – powiedziałam. – To znaczy, dla nas. Dla Laury i dla mnie.

– A ma? – zainteresowała się Winifred z tym swoim rozbawionym uśmiechem.

– Nie – odrzekła Laura. – Niby dlaczego? Ojciec nigdy nas ze sobą nie zabierał. Tylko Callie Fitzsimmons.

Siedziałyśmy w jadalni; przynajmniej był tam długi stół. Zastanawiałam się, jaką decyzję podejmie Richard, czy też raczej Winifred, w sprawie Tristana i Izoldy i ich szklanego, staroświeckiego romansu.

– Callie Fitzsimmons przyszła na pogrzeb – powiedziała Laura. Byłyśmy same, Winifred poszła na górę, by uciąć sobie drzemkę dla piękności. Kładła wtedy na powiekach bawełniane waciki nasączone wyciągiem z oczaru i pokrywała twarz maską z kosztownego zielonego błota.

– Tak? Nic mi nie mówiłaś.

– Zapomniałam. Reenie się na nią wściekła.

– Za to, że przyszła na pogrzeb?

– Za to, że nie zjawiała się wcześniej. Była dla niej niegrzeczna. Powiedziała: „Jesteś godzinę za późno, a byłaś dziesięć lat za krótko”.

– Przecież nienawidziła Callie! Nie cierpiała, kiedy do nas przyjeżdżała! Uważała ją za dziwkę.

– Pewnie nie była aż taką dziwką, żeby zdołała zadowolić Reenie. Leniła się, nie wychodziło jej to.

– Bycie dziwką?

– Cóż, Reenie uważała, że powinna trwać przy ojcu do końca. A przynajmniej być przy nim, kiedy wpadł w kłopoty. Oderwać go od nich.

– Reenie to wszystko powiedziała?

– Niezupełnie, ale można było się domyślić, o co jej chodzi.

– Co zrobiła Callie?

– Udawała, że nie rozumie. Potem zrobiła to, co wszyscy robią na pogrze-

bach. Płakała i opowiadała kłamstwa.

– Jakie kłamstwa? – zapytałam.

– Powiedziała, że chociaż nie zgadzali się w kwestiach polityki, ojciec był dobrym, naprawdę dobrym człowiekiem. Reenie powiedziała: polityczne kwestie, pocałuj mnie w pupę, ale za jej plecami.

– Chyba próbował... – stwierdziłam – być dobry.

– Widać nie próbował wystarczająco mocno – powiedziała Laura. – Pamiętasz, co mówił? Że zostałyśmy mu w rękach, jakbyśmy były jakimś smarem.

– Starał się, jak mógł – odparłam.

– Pamiętasz tę Gwiazdkę, kiedy przebrał się za Świętego Mikołaja? To było przed śmiercią mamy. Właśnie skończyłam pięć lat.

– Tak – powiedziałam. – Właśnie o to mi chodzi. Starał się.

– Nie znosiłam tego – stwierdziła Laura. – Nigdy nie znosiłam takich niespodzianek.

Kazano nam zaczekać w przedsionku. Podwójne drzwi na korytarz miały po wewnętrznej stronie firanki, więc nie mogłyśmy wyjrzeć na główną, kwadratową sień z kominkiem w starym stylu, gdzie ustawiono choinkę. Przycupnęłyśmy na sofie w przedsionku, tyłem do okrągłego lustra. Płaszcz wisiał na długim wieszaku – płaszcze ojca, płaszcze matki, a nad nimi kapelusze – jej z dużymi piórami, jego z małymi. Pachniało kaloszami, a także świeżą sosnową żywicą i cedrem z wieńców rozwieszonych na balustradach frontowych schodów, i woskiem na ciepłym parkiecie, bo napalono w piecu: grzejniki syczały i szczękały. Spod parapetu ciągnął chłód i bezlitosny, krzepiący zapach śniegu.

W pomieszczeniu wisiała tylko jedna lampa, rzucała żółte, jedwabiste światło. W szklanych drzwiach widziałam nasze odbicie: nasze granatowe aksamitne sukienki z koronkowymi kołnierkami, białe twarze, jasne włosy rozdzielone przedziałkiem pośrodku, blade dłonie ułożone na kolanach. Nasze białe skarpetki, czarne buty od Mary Janes. Nauczono nas siedzieć z jedną nogą skrzyżowaną z drugą – nigdy jednak w kolanach – i tak właśnie siedziałyśmy. Lustro wyrastało za nami jak szklana bańka wychodząca z czubków naszych głów. Słyszałam nasze oddechy, wdychane i wydychane powietrze: oddechy oczekiwania. Wydawało się, że to oddycha ktoś inny – duży, ale niewidzialny, ukryty między płaszczami.

Podwójne drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał tam mężczyzna w czerwieni, czerwony olbrzym górujący nad nami. Za nim była ciemność nocy i luna. Jego twarz otaczał biały dym. Paliła mu się głowa. Runął do przodu: miał szeroko rozłożone ramiona. Z jego ust wydobyło się wycie, a może krzyk.

Przez chwilę byłam przerażona, ale też dość dorosła, żeby się domyślić, co to miało być. Ten dźwięk miał brzmieć jak śmiech. To ojciec udawał, że jest Świętym Mikołajem, i wcale nie płonął – to była tylko oświetlona choinka za

nim, tylko wieniec świeczek na jego głowie. Miał swój czerwony szlafrok z brokatu włożony tył na przód i brodę z waty.

Mama mawiała, że nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły: nie wiedział, jaki jest wielki w porównaniu z innymi. Pewnie nie domyślał się, jak przerażający mógł się wydawać. Z pewnością przerażał Laurę.

– Krzyczałaś i krzyczałaś – powiedziałam teraz. – Nie rozumiałaś, że tylko udawał.

– Było jeszcze gorzej – odparła Laura. – Myślałam, że przez resztę czasu udawał.

– Co masz na myśli?

– Że taki jest naprawdę – wyjaśniła Laura ze spokojem. – Że pod powierzchnią płonie. Przez cały czas.

„Nimfa Wodna”

Tego ranka zasnęłam, wyczerpana po nocy ponurych wędrówek. Miałam spuchnięte stopy, jak gdybym długo chodziła po twardym gruncie, a moja głowa wydawała się gąbczasta i wilgotna. Obudziło mnie dopiero pukanie Myry do drzwi.

– Wstawaj, słoneczko – zaświergotała przez otwór na listy.

Perwersyjnie nie wstawałam. Może pomyśli, że umarłam – że przekręciłam się we śnie! Bez wątplenia już wydziwiła, w którą z moich kwiecistych sukienek mnie ubierze, i planowała posiłki na poczęstunek. Nie nazwie tego stypą, nic równie barbarzyńskiego. Stypa jest po to, żeby się upewnić, że zmarli naprawdę zmarli, zanim przysypie się ich ziemią.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym. A potem przypomniałam sobie, że Myra ma klucz. Pomyślałam, że może przykryje twarz kołdrą, żeby podarować jej choć minutę przyjemnego strachu, ale uznałam, że jednak nie. Podniosłam się na łóżku, wstałam i włożyłam szlafrok.

– Czekaaj no! – zawołałam ze schodów.

Ale Myra była już w środku, a wraz z nią kobieta, sprzątaczką. Była zwalista, przypominała Portugalkę: nie miałam szans jej powstrzymać. Natychmiast przystąpiła do pracy z odkurzaczem Myry – pomyślały o wszystkim – a ja krążyłam za nią niczym banshee^[41], jęcząc: Proszę tego nie dotykać! Proszę to tam zostawić! Sama to zrobię! Nigdy niczego tu nie znajdę! Przynajmniej do kuchni dotarłam przed nimi i schowałam stosik zapisanych kartek do piecyka. Mało prawdopodobne, żeby walczyły z nim już pierwszego dnia sprzątania. W każdym razie nie był zbyt zabrudzony, nigdy niczego nie piekę.

– No proszę – powiedziała Myra, kiedy kobieta skończyła. – Czysto i schludnie. Czy dzięki temu nie czujesz się lepiej?

Przyniosła mi nowy gadżet z Piernikowej Chatki – szmaragdową doniczkę na krokusy, tylko trochę wyszczerbioną, w kształcie główki nieśmiało uśmiechniętej dziewczynki. Krokusy mają wyrastać przez otwory na czubku i stworzyć „aureolę kwiecia”, to dokładnie jej słowa. Myra mówi, że muszę to tylko podlewać, a wkrótce będzie śliczne jak obrazek.

Bóg pisze prosto po liniach krzywych, jak mawiała Reenie. Czy to możliwe, że Myra ma być moim aniołem stróżem? Czy też jest przedsmakiem czyśćca? I jak to odróżnić?

Drugiego dnia pobytu w Awilionie Laura i ja wybrałyśmy się z wizytą do Reenie. Nietrudno było się zorientować, gdzie mieszka, wszyscy w mieście to

wiedzieli. Przynajmniej wszyscy w Barku Betty, bo tam teraz pracowała, trzy razy w tygodniu. Nie powiedziałyśmy Richardowi ani Winifred, dokąd idziemy, po co miałyśmy potęgować nieprzyjemną atmosferę przy śniadaniu? Nie zabroniono by nam tego wprost, ale z pewnością ściągnęłybyśmy na siebie irytującą dawkę tłumionego potępienia.

Zabrałyśmy misia, którego kupiłam dla dziecka Reenie u Simpsona w Toronto. To nie był specjalnie miłutki miś – surowy, mocno wypchany i sztywny. Wyglądał jak urzędnik służby cywilnej niższego szczebla, a przynajmniej jak urzędnik z tamtych czasów. Nie wiem, jak teraz wyglądają misie. Pewnie noszą dzinsy.

Reenie i jej mąż mieszkali w jednym z małych szeregowych domków z wapienia, zbudowanych kiedyś dla robotników z fabryki – parter i piętro, spiczasty dach, wygodka na tyłach wąskiego ogrodu – niedaleko mojego obecnego miejsca zamieszkania. Nie mieli telefonu, więc nie mogłyśmy uprzedzić Reenie o naszej wizycie. Kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła nas obie na progu, uśmiechnęła się szeroko, a potem zaczęła płakać. Po chwili Laura przyłączyła się do niej. Stałam z misiem w rękach i czułam się wyobcowana, bo nie płakałam.

– Niech was Bóg błogosławi – powiedziała Reenie do nas obu. – Wejdźcie i zobaczcie dziecko.

Przeszłyśmy przez wyłożony linoleum korytarz do kuchni. Reenie pomalowała ją na biało i powiesiła żółte zasłony w tym samym odcieniu, co zasłony w Awilionie. Zauważyłam zestaw puszek, także białych, z żółtymi, namalowanymi za pomocą szablonu napisami: Mąka, Cukier, Kawa, Herbata. Nie trzeba mi było tłumaczyć, że Reenie sama wykonała te ozdoby. Zarówno te na puszkach, jak i zasłony, i wszystko, czego się tylko dotknęła. Starła się, jak mogła.

Dziecko – to ty, Myro, pojawiłaś się właśnie na scenie – leżało w wiklinowym koszu na bieliznę i wpatrywało się w nas okrągłymi, nie mrugającymi oczami, które były jeszcze bardziej niebieskie niż zazwyczaj u dzieci. Muszę powiedzieć, że przypominało pudding z łożu, ale większość niemowląt tak wygląda.

Reenie uparła się, żeby zrobić nam herbaty. Powiedziała, że teraz jesteście młodymi damami: możemy pić prawdziwą herbatę, a nie mleko z odrobiną herbaty tak jak kiedyś. Utyła: wewnętrzna strona jej ramion, niegdyś tak zwarta i mocna, trochę się trzęsła; gdy Reenie podchodziła do pieca, człapała. Miała spuchnięte ręce i obrzękłe kostki.

– Je się za dwoje, a potem zapomina się przestać – powiedziała. – Widzicie moją obrączkę? Nie mogłabym jej zdjąć, chyba żeby ją przerznięli. Będą musieli mnie z nią pochować.

Powiedziała to z westchnieniem zadowolenia. Potem dziecko zaczęło marudzić, Reenie wzięła je i posadziła na kolanie, po czym spojrzała na nas przez stół niemal buntowniczo. Stół (prosty, zbity, z ceratą w żółte tulipany) był jak olbrzy-

mia przepaść – z jednej strony my dwie, z drugiej, niesłychanie daleko, Reenie i jej dziecko, bez żalu.

Żalu z jakiego powodu? Że nas opuściła. Tak przynajmniej to odczuwałam.

Było coś dziwnego w zachowaniu Reenie, nie wobec dziecka, ale wobec nas w związku z dzieckiem – zupełnie jakbyśmy ją przejrzały. Od tamtego czasu zastanawiałam się – musisz mi wybaczyć, że o tym wspominam, Myro, ale naprawdę nie powinnaś była tego czytać – ciekawość to pierwszy stopień do piekła – od tamtego czasu zastanawiałam się, czy ojcem dziecka nie jest przypadkiem nasz ojciec, a nie Ron Hincks.

Reenie była jedyną służącą pozostałą w Awilionie, gdy wyjechałam w podróż poślubną, a wszystko zaczęło się walić na głowę ojca. Czy nie zaferowała się mu jako gorący okład, tak samo jak przynosiła mu ciepłą zupę albo butelkę z gorącą wodą? Pociecha, zamiast zimna i ciemności.

W takim wypadku, Myro, jesteś moją siostrą. Czy też przyrodnią siostrą. Chociaż nigdy się tego nie dowiemy, przynajmniej ja się nie dowiem. Pewnie mogłabyś kazać mnie odkopać, pobrać próbkę moich włosów albo kości, czy czego tam potrzebują, i wysłać to do analizy. Wątpię jednak, żebyś posunęła się tak daleko. Inny możliwy dowód to Sabrina – mogłybyście iść razem, porównać strzępki siebie. Ale żeby do tego doszło, Sabrina musiałaby wrócić, a Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek to zrobi. Może być wszędzie. Może nie żyć. Może leżeć na dnie oceanu.

Zastanawiam się, czy Laura wiedziała o Reenie i ojcu, jeśli rzeczywiście coś między nimi zaszło. Zastanawiam się, czy to jedna z tych wielu rzeczy, o których wiedziała, ale nie mówiła. To całkiem możliwe.

Dni w Awilionie nie mijały szybko. Wciąż było zbyt gorąco, wciąż zbyt wilgotno. W obu rzekach utrzymywał się niski poziom wody: nawet Louveteau płynęła ocieźale, a nad Jogues unosił się nieprzyjemny zapach.

Większość czasu spędzałam w domu, w skórzanym fotelu dziadka, z nogami na poręczach. Trupy martwych much z zeszłej zimy wciąż pokrywały parapety: biblioteka nie była najważniejsza dla pani Murgatroyd. Portret babki Adelii nadal tam wisiał.

Spędzałam popołudnia z jej albumami, z wycinkami o podwieczorkach i wizytach u Fabian, o badaczach z ich magicznymi pokazami i opowieściami o oryginalnych zwyczajach tubylców. Pomyślałam, że nie wiem, dlaczego kogokolwiek dziwiło, że malowali czaszki swoich przodków. My też to robimy.

Przeglądałam też stare czasopisma towarzyskie, pamiętając, jak kiedyś zazdroszciałam znajdującym się w nich ludziom; myszkowałam też po książkach z poezją o cieniutkich, złożonych na brzegach stronach. Wiersze, które mnie oczarowywały w czasach panny Przemocy, teraz wydały mi się egzaltowane i mdłe. Daremnie, brzemień, twojeż, gdybyż, straszno – archaiczny język niechcia-

nej miłości. Irytowały mnie te słowa, sprawiały, że nieszczęśliwi kochankowie – teraz to wiedziałam – byli ledwie śmieszni, jak biedna, nieszczęsna panna Przemoc. O miękkich konturach, zamazani, rozmokli niczym bułka, która wpadła do wody. Nic, czego chciałoby się dotknąć.

Moje dzieciństwo wydawało się takie odległe – dalekie lata, spłowiałe i słodko-gorzkie, jak suszone kwiaty. Czy żałowałam, że je straciłam, pragnęłam, żeby wróciło? Raczej nie.

Laura nie siedziała w domu. Wędrowała po mieście, jak kiedyś ze mną. Nosiła moją żółtą bawełnianą sukienkę z zeszłego roku i kapelusz do kompletu. Patrzyenie na nią z tyłu wywoływało we mnie dziwne uczucie, jakbym widziała samą siebie.

Winifred nie ukrywała, że nudzi się śmiertelnie. Codziennie chodziła pływać na małą prywatną plażę za hangarem, chociaż nigdy się nie zanurzała: przeważnie tylko brodziła w wodzie, w olbrzymim karmazynowym kapeluszu ze słomki na głowie. Chciała, żebyśmy, Laura i ja, przyłączyły się do niej, ale odmówiliśmy. Żadna z nas nie potrafiła dobrze pływać, a poza tym wiedziałyśmy, co wrzucano dawniej do rzeki, obecnie pewnie też. Kiedy Winifred nie pływała ani się nie opalała, chodziła po domu, sporządzając notatki, szkice i listy niedoskonałości – tapeta w głównym holu musiała zostać wymieniona, schody były zmurszałe od spodu – albo drzemała w swoim pokoju. Awilion najwyraźniej pozabawiał ją energii. To pocieszające, że coś było w stanie tego dokonać.

Richard często prowadził rozmowy międzymiastowe przez telefon albo jeździł do Toronto na cały dzień. Przez resztę czasu grzebał przy „Nimfie Wodnej”, nadzorując naprawy. Powiedział, że jego celem jest na niej pozełgować, zanim będziemy musieli wyjechać.

Każdego ranka dostarczano mu gazety.

– Wojna domowa w Hiszpanii – oznajmił kiedyś przy lunchu. – Cóż, szykowała się już od dawna.

– To przykre – westchnęła Winifred.

– Nie dla nas – odparł Richard. – O ile będziemy się trzymać z daleka. Niech komuniści i naziści powyrzynają się wzajemnie – wkrótce jedni i drudzy rzucają się sobie do gardeł.

Laura nie przyszła na lunch. Była na pomoście, sama, z filiżanką kawy. Ostatnio często tam chodziła, co mnie niepokoiło. Leżała na pomoście, z jedną ręką zanurzoną w wodzie, i wpatrywała się w rzekę, jak gdyby coś upuściła i szukała tego na dnie. Woda była jednak zbyt ciemna. Niewiele dało się zobaczyć. Tylko od czasu do czasu ławicę srebrzystych rybek, pomykających cichaczem jak palce kieszonkowca.

– Tak czy owak, wolałabym, żeby tego nie robili – powiedziała Winifred. – To bardzo nieprzyjemne.

– Przydałaby się porządna wojna – stwierdził Richard. – Może to by wszystko ożywiło, skończyłby się kryzys. Znam paru facetów, którzy na to liczą. Niektórzy zarobią na tym mnóstwo pieniędzy.

Nigdy mi niczego nie mówiono o finansowej pozycji Richarda, ale ostatnio zaczęłam wierzyć – pod wpływem rozmaitych aluzji i znaków – że nie miał aż tyle pieniędzy, jak kiedyś myślałam. Albo już ich nie miał. Remont Awilionu został przerwany – przełożony – bo Richard nie chciał wydawać pieniędzy. Tak uważała Reenie.

– Dlaczego zarobią pieniądze? – spytałam. Doskonale znałam odpowiedź, ale nabrałam zwyczaju zadawania naiwnych pytań tylko po to, żeby posłuchać odpowiedzi Richarda i Winifred. Ich kurcząca się skala moralności, którą stosowali w niemal każdej dziedzinie życia, jeszcze nie przestała mnie ciekawić.

– Bo tak jest – odparła szybko Winifred. – A propos, aresztowano kogoś, kogo znasz.

– Kogo? – spytałam za szybko.

– Tę Callistę jakąś tam. Dawną miłość twojego ojca. Tę, która uważa się za artystkę.

Poczułam się urażona jej tonem, ale nie wiedziałam, jak się odszczeknąć.

– Była dla nas bardzo dobra w dzieciństwie – powiedziałam.

– Oczywiście, że była, dlaczego nie?

– Lubiłam ją – dodałam.

– Bez wątplenia. Dorwała mnie kilka miesięcy temu – usiłowała mnie nakłonić do kupienia jakiegoś okropnego obrazu czy innego fresku – z gromadą brzydkich kobiet w kombinezonach. Wątpię, żeby ktokolwiek powiesił to sobie w jadalni.

– Dlaczego ją aresztowano?

– Czerwony Oddział, jakaś obława na spędzie komunistów. Zadzwoiła tu – była mocno roztrzęsiona. Chciała z tobą rozmawiać. Nie bardzo wiedziałam, po co cię do tego mieszać, więc Richard pojechał do miasta i wyciągnął ją za kucją.

– Dlaczego to zrobił? – zapytałam. – Ledwie ją zna.

– Och, z dobroci serca – wyjaśniła Winifred ze słodkim uśmiechem. – Chociaż zawsze powtarzał, że ci ludzie sprawiają więcej kłopotów w więzieniu niż poza nim, prawda, Richard? Zawsze wydzierają się do prasy. Sprawiedliwość to, sprawiedliwość tamto. Może robił przysługę premierowi.

– Jest jeszcze kawa? – spytał Richard.

To oznaczało, że Winifred powinna zmienić temat, ale ona ciągnęła:

– A może czuł, że jest to winien twojej rodzinie. Pewnie uważał ją za coś w rodzaju pamiątki rodowej, jak jakiś stary grat przekazywany z rąk do rąk.

– Chyba pójdę do Laury na pomost – powiedziałam. – Dziś jest taki piękny dzień.

Podczas mojej rozmowy z Winifred Richard czytał gazetę, ale teraz szybko podniósł wzrok.

– Nie – zaprotestował. – Zostań tutaj. Za bardzo jej pomagasz. Zostaw ją, sama da sobie z tym radę.

– Z czym? – zapytałam.

– Z tym, co ją gryzie – rzekł Richard. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na nią przez okno, a ja po raz pierwszy zauważyłam, że łysieje z tyłu i okrągła plamka różowej skóry przeziiera przez jego brązowe włosy. Wkrótce będzie miał tonsurę.

– W następne wakacje pojedziemy do Muskoka – oznajmiła Winifred. – Nie mogę powiedzieć, żeby ten wakacyjny eksperyment odniósł oszałamiający sukces.

Pod koniec naszego pobytu postanowiłam odwiedzić strych. Poczekalam, aż Richard zajmie się rozmową przez telefon, a Winifred z wilgotną szmatką na oczach położy się na leżaku na naszym wąskim pasku piachu. Wtedy otworzyłam drzwi od schodów na strych, zamknęłam je za sobą i weszłam tak cicho, jak potrafiłam.

Laura już tam była, siedziała na jednym cedrowych krzesel. Dzięki Bogu, otworzyła okno, inaczej można by się tam udusić. W powietrzu unosił się piżmowy zapach starych ubrań i mysich odchodów.

Odwróciła głowę, niezbyt szybko. Nie przestraszyłam jej.

– Cześć – powiedziała. – Tu są nietoperze.

– Nie dziwi mnie to – odparłam. Obok niej stała duża papierowa torba na zakupy. – Co tam masz?

Zaczęła wyjmować rzeczy – rozmaite drobiazgi, bibeloty. Srebrny imbryk, który należał do babki, trzy porcelanowe filiżanki i spodki, ręcznie malowane, z Drezna. Kilka łyżek z monogramami. Dziadka do orzechów w kształcie aligatora, jedną spinę do mankietów z macicy perłowej, szylkretowy grzebień o brakujących zębach, zepsuta srebrną zapalniczkę, komplet do przypraw bez pojemnika na ocet.

– Co zrobisz z tymi rzeczami? – dopytywałam się. – Nie możesz ich zabrać do Toronto!

– Chowam je przed nimi. Nie mogą wszystkiego zniszczyć.

– Kto nie może?

– Richard i Winifred. I tak to wszystko wyrzucą, słyszałam, jak mówią o bezwartościowych śmieciach. Wszystkiego się pozbędą, prędzej czy później. Chcę zachować kilka rzeczy, dla nas. Zostawię je tutaj w jednej ze skrzyń. Tu będą bezpieczne, a my będziemy wiedziały, gdzie leżą.

– A jeśli zauważą? – zapytałam.

– Nie zauważą. Nie ma tu nic cennego. Patrz – powiedziała. – Znalazłam

nasze stare zeszyty. Wciąż tu były, w tym samym miejscu, w którym je zostawiłyśmy. Pamiętasz, jak je tutaj przyniosłyśmy? Dla niego?

Dla Laury Alex Thomas nie potrzebował imienia: był zawsze nim, jego, niemu. Przez jakiś czas myślałam, że dała sobie z nim spokój, dała sobie spokój z jego wyobrażeniem, ale najwyraźniej nie.

– Trudno uwierzyć, że to zrobiliśmy – zadumałam się. – Że ukryliśmy go tutaj i że nas nie zdemaskowano.

– Byłyśmy ostrożne – stwierdziła Laura. Zastanawiała się przez chwilę, po czym uśmiechnęła się do mnie. – Nigdy mi nie wierzyłaś w sprawie pana Erskine’a – powiedziała. – Prawda?

Pewnie powinnam była otwarcie skłamać. Zamiast tego poszłam na kompromis.

– Nie lubiłam go. Uważałam, że jest straszny – odparłam.

– Reenie mi uwierzyła. Jak myślisz, gdzie on teraz jest?

– Pan Erskine?

– Wiesz kto. – Urwała, odwróciła się, by znowu wyjrzeć przez okno. – Wciąż masz swoje zdjęcie?

– Laura, uważam, że nie powinnaś tego rozpamiętywać – oznajmiłam. – Uważam, że się nie zjawi. To nie jest ci przeznaczone.

– Dlaczego? Myślisz, że nie żyje?

– Dlaczego miałby nie żyć? – odpowiedziałam pytaniem. – Myślę, że żyje. Myślę też, że gdzieś wyjechał.

– W każdym razie nie złapali go, bo usłyszałybyśmy o tym. Trafiłoby do gazet – powiedziała Laura. Zebrała stare zeszyty i wsunęła je do papierowej torby.

Zasiedzieliśmy się w Awilionie dłużej, niż się spodziewałam, i z pewnością dłużej, niż pragnęłam: czułam się tam osaczona, zamknięta, niezdolna do ruchu.

Dzień przed naszym planowanym wyjazdem zeszałam na śniadanie, ale Richarda tam nie było: była tylko Winifred, jadła jajko.

– Przegapiłaś wielkie wodowanie – powiedziała.

– Jakie wielkie wodowanie?

Machnęła ręką, wskazując widok przed nami, czyli Louveteau po jednej stronie, a Jogues po drugiej. Ze zdumieniem ujrzałam Laureę na pływającej z prądem „Nimfie Wodnej”. Laura siedziała na dziobie jak marionetka, plecami do nas. Richard stał przy sterze. Miał jakiś straszny marynarski kapelus.

– Przynajmniej nie utonęli – stwierdziła Winifred nieco kwaśnym tonem.

– Nie chciałaś popłynąć? – zapytałam.

– Właściwie to nie. – Było coś dziwnego w jej głosie, co błędnie zinterpretowałam jako zazdrość; tak bardzo lubiła znajdować się na pierwszym planie w każdym przedsięwzięciu Richarda.

Poczułam ulgę: może teraz Laura trochę zmięknie, zrezygnuje z lodowatej

walki. Może zacznie traktować Richarda jak istotę ludzką, a nie jak coś, co wypełzło spod kamienia. Pomyślałam, że z pewnością ułatwiłoby mi to życie. Rozluźniłoby atmosferę.

Tak się jednak nie stało. Jeśli w ogóle, to napięcie wzrosło, chociaż się zmieniło: teraz Richard wychodził z pokoju, ilekroć Laura do niego wchodziła. Zupełnie, jakby się jej bał.

– Co powiedziałaś Richardowi? – zapytałam ją pewnego wieczoru, kiedy wróciliśmy do Toronto.

– O co ci chodzi?

– Tego dnia, kiedy z nim pływałaś na „Nimfie Wodnej”.

– Nic mu nie powiedziałam – odparła. – Po co miałam mu coś mówić?

– Nie wiem.

– Nigdy mu nic nie mówię – dodała Laura – bo nie mam nic do powiedzenia.

Kasztan

Patrzę na to, co napisałam, i wiem, że jest złe, nie ze względu na to, co tam umieściłam, ale ze względu na to, co ominęłam. To, czego tam zabrakło, istnieje, jak brak światła.

Chcesz prawdy, oczywiście. Chcesz, żebym dodała dwa do dwóch. Ale dwa plus dwa niekoniecznie powie ci prawdę. Dwa plus dwa to głos za oknem. Dwa plus dwa to wiatr. Żywy ptak to nie jego ponazywane kości.

Ostatniej nocy obudziłam się nagle z bijącym sercem. Od strony okna usłyszałam brzęk; ktoś rzucał kamykami w szybę. Wstałam z łóżka i po omacku dobrnęłam do okna, podniosłam je i się wychyliłam. Nie miałam okularów, ale dobrze widziałam. Świecił księżyc, niemal w pełni, pożyłkowany starymi bliznami, a poniżej rozproszona, pomarańczowawa poświata rzucana na niebo przez uliczne latarnie. Podo mną był chodnik, upstrzony cieniami i częściowo skryty przez kasztan na podwórzu.

Miałam świadomość, że nie powinno tu być tego drzewa, ono rosło gdzie indziej, setki kilometrów stąd, przed domem, w którym niegdyś mieszkałam z Richardem. A jednak tu było, jego gałęzie rozpościerały się jak twarda, gęsta siatka, jego białe, przypominające śmy kwiaty świeciły słabym światłem.

Znów rozległ się brzęk. Zobaczyłam kształt, skulony: męczyzna szperający po śmietniku, potrząsający butelkami po winie w rozpaczliwej nadziei, że coś w nich zostało. Uliczny pijak, kierowany pustką i pragnieniem. Jego ruchy były ukradkowe, napastliwe, jakby nie polował, ale szpiegował – przeszukiwał moje śmieci w poszukiwaniu dowodu przeciwko mnie.

Potem się wyprostował, wyszedł na światło i spojrzał w górę. Mogłam zobaczyć jego ciemne brwi, zapadnięte oczodoły, uśmiech przypominający białą bliznę w poprzek ciemnego owalu twarzy. W wycięciu pod jego szyją widać było coś bladego: koszulę. Podniósł rękę, przesunął ją w bok. Machnięcie na powitanie, także na pożegnanie.

Odchodził teraz i nie mogłam za nim krzyknąć. Wiedział, że nie mogę. Już go nie było.

Czułam dławiący ucisk wokół serca. Nie, nie, nie, powiedział jakiś głos. Po mojej twarzy spływały łzy.

Powiedziałam to jednak głośno – za głośno, bo Richard już nie spał. Stał tuż za mną. Miał właśnie położyć rękę na moim karku.

Wtedy naprawdę się obudziłam. Leżałam z mokrą twarzą, otwartymi oczami,

wpatrując się w pustą szarość sufitu i czekając, aż moje serce zwolni. Rzadko teraz płaczę na jawie, czasem uronię kilka suchych łez. To zdumiewające, że płakałam.

Kiedy jesteś młoda, myślisz, że wszystkiego można się pozbyć. Pędzisz od teraz do teraz, mniesz w rękach czas, odrzucasz go. Sama się popędzasz. Myślisz, że możesz pozbyć się rzeczy, a także ludzi – zostawić ich za sobą. Jeszcze nie znasz ich zwyczaju, zwyczaju powracania.

Czas w snach zastyga. Nigdy nie wydostaniesz się z miejsca, w którym by-
łaś.

Naprawdę coś brzęczało, jak szkło o szkło. Wygramoliłam się z łóżka – mojego prawdziwego jednoosobowego łóżka – i podeszłam do okna. Dwa szopy pracze grzebały w śmietniku sąsiadów po drugiej stronie ulicy, przewracając butelki i puszki. Poszukiwacze odpadków, czujący się w śmietniku jak w domu. Szopy popatrzyły na mnie, czujne, nie zaniepokojone, a ich małe maski złodziei wydały się czarne w świetle księżyca.

Powodzenia, pomyślałam. Zabierzcie, co się da, póki jeszcze możecie. Co za różnica, czy to wasze? Tylko nie dajcie się złapać.

Wróciłam do łóżka i leżałam w głębokiej ciemności, nasłuchując oddechu, którego, jak wiedziałam, tam nie ma.

X

Ślepy zabójca: Ludzie-Jaszczury z Ksenora

Tygodniami przeszukuje półki. Chodzi do najbliższego sklepu i kupuje pilnik do paznokci albo szpatułkę do odsuwania skórek, jakiś drobiazg, po czym wędruje wzdłuż rzędów czasopism, nie dotyka ich jednak i stara się, żeby nikt nie zobaczył, że się im przygląda, ale wodzi wzrokiem po okładkach w poszukiwaniu jego nazwiska. Jednego z jego nazwisk. Teraz już zna je wszystkie, czy może większość z nich: realizowała jego czeki.

„Zadziwiające historie”. „Dziwne opowieści”. „Zdumiewające”. Badawczo przygląda się wszystkim.

W końcu coś dostrzega. To musi być to: *Ludzie-Jaszczury z Ksenora. Pierwszy ekscytujący odcinek kronik zykroniańskich wojen*. Na okładce blondynka w pseudobabilońskim stroju, białej szacie mocno ściśniętej pod nieprawdopodobnymi piersiami paskiem ze złotych ogniw, z szyją owiniętą lazurytową biżuterią i srebrnym rogiem księżycy wyrastającym z głowy. Ma wilgotne wargi, otwarte usta, wielkie oczy i tkwi w uścisku dwóch trójpalczastych stworzeń o wypukłych źrenicach. Stwory mają na sobie tylko czerwone szorty. Ich twarze to spłaszczone dyski, skóra pokryta jest łuskami w srebrzystozielononiebieskim kolorze. Lśnią jak polani tłuszczem, pod szaroniebieską skórą ich mięśnie prężą się i błyszczą. Zęby w bezwargich ustach są liczne i ostre jak igły.

Poznałaby ich wszędzie.

Jak zdobyć egzemplarz? Nie w tym domu towarowym, w którym ją znają. Nie należy dawać okazji do plotek dziwnym zachowaniem jakiegokolwiek rodzaju. Podczas następnej wyprawy do sklepów wędruje aż do stacji kolejowej i znajduje czasopismo na tamtejszym stojaku. Tylko dziesięć centów; podaje pieniądze dłonią w rękawicze, szybko zwija magazyn i wrzuca go do torebki. Sprzedawca patrzy na nią dziwnie, ale mężczyźni tak robią.

Przez całą drogę powrotną w taksówce przytula do siebie czasopismo, przemycy je do domu i zamyka się z nim w łazience. Wie, że jej ręce będą drżały podczas przewracania kartek. To taka opowieść, jaką włóczędzy czytają w wagonach towarowych albo uczniowie przy świetle latarki. Dozorcy w fabrykach o północy, żeby nie zasnąć; komiwojażerowie w hotelach dla podróżnych po bezowocnym dniu, bez krawata, w rozpiętej koszuli, z nogami na stole i z whisky w kubku do mycia zębów. Policjanci w nudny wieczór. Nikt z nich nie znajdzie wiadomości, która z pewnością kryje się gdzieś między wierszami. To będzie wiadomość przeznaczona tylko dla niej.

Papier jest tak miękki, że niemal rozpada się w jej rękach.

Tu, w zamkniętej łazience, rozłożone na jej kolanach, opisane czarno na białym, rozpościera się Sakiel-Norn, miasto tysiąca wspaniałości – jego bogowie, zwyczajne, niezwykła sztuka tkania dywanów, uwięzione i maltretowane dzieci, dziecinnie przeznaczone na ofiarę. Jego siedem mórz, pięć księżyców, trzy słońca, jego góry na zachodzie i złowieszcze grobowce, w których wyją wilki i czają się kobiety zombi. Spiskowcy przygotowują zamach stanu, król czeka na właściwy moment, domyślając się, że siły zbrojne szykują się przeciwko niemu, najwyższa kapłanka chowa swoje łapówki.

To noc przed złożeniem ofiary, wybranka oczekuje na śmiertelnym łożu. Ale gdzie jest ślepy zabójca? Co się z nim stało, co się stało z jego miłością do niewinnej dziewczyny? Na pewno zostawił tę część na później, stwierdza ona.

Wtedy, szybciej niż się tego spodziewała, atakują bezlitośni barbarzyńcy, zagrożeni przez swojego przywódcę monomana. Jednakże ledwie przedostają się przez bramy miasta, następuje niespodziewany zwrot akcji: trzy statki kosmiczne lądują na równinie na wschodzie. Wyglądają jak sadzone jaja albo półkórki Saturna, a przyleciały z Ksenora. Jeden z nich sprowadził Ludzi-Jaszczurów o prężących się, szarych mięśniach, w metalicznych kąpielówkach i z nowoczesną bronią. Mają miotacze promieni, elektryczne lassa, jednoosobowe latające pojazdy. Wszelkiego rodzaju nowoczesne gadżety.

Nagła inwazja zmienia porządek panujący u Zykronian. Barbarzyńcy i mieszkańcy miasta, urzędnicy i buntownicy, panowie i niewolnicy – wszyscy zapominają o dzielących ich różnicach i walczą za wspólną sprawę. Znikają bariery klasowe – Snilfardowie pozbywają się dawnych tytułów wraz z maskami na twarz, podwijają rękawy i stają na barykadach ramię w ramię z Ygnirodami. Wszyscy pozdrawiają się słowem „tristok”, które oznacza (z grubsza) „tego, z którym wymieniłem krew”, czyli towarzysza albo brata. Kobiety – podobnie jak dzieci – zostają zagonione do świątyni i zamknięte w niej dla własnego bezpieczeństwa. Król obejmuje dowództwo. Barbarzyńskie siły są mile widziane w mieście ze względu na swoje umiejętności bitewne. Król ściska dłoń Sługi Świątowania i obaj postanawiają podzielić się dowodzeniem. Pięść to nie tylko suma palców, mówi Król, cytując starożytne przysłowie. W mgnieniu oka osiem ciężkich wrót do miasta zostaje zamkniętych.

Ludzie-Jaszczury początkowo odnoszą sukces na oddalonych polach walki, ze względu na element zaskoczenia. Pojmują kilka niebrzydkich kobiet, które zamykają w klatkach, a dziesiątki jaszczurczych żołnierzy pożera je wzrokiem. Ale ksenoriańska armia ponosi straty: miotacze promieni nie najlepiej sprawdzają się na planecie Zykron, ze względu na różnicę w sile grawitacji, elektryczne lassa działają tylko z bliskiej odległości, a mieszkańcy Sakiel-Norn znajdują się obecnie po drugiej stronie grubego muru. Ludzie-Jaszczury nie mają wystarczająco wielu jednoosobowych pojazdów latających, żeby przetransportować liczbę napastników, wystarczającą do zajęcia miasta. Pociski spadają z

wałów obronnych na każdego Człowieka-Jaszczura, który podejście bliżej. Zykronianie odkryli też, że metalowe szorty Ksenorian palą się w wysokich temperaturach, więc ciskają w nich kule płonącej smoły.

Przywódca Ludzi-Jaszczurów dostaje szału i pięciu jaszczurczych naukowców gryzie ziemię: Ksenor najwyraźniej nie jest demokracją. Pozostali przy życiu przystąpili do prac nad rozwiązaniem problemów technicznych. Twierdzą, że mając do dyspozycji odpowiednio dużo czasu i dobry sprzęt, rozpuszczą mury Sakiel-Norn. Mogą też wynaleźć gaz, który pozbawi Zykronian przytomności. Wtedy Ludzie-Jaszczury będą mogli bez pośpiechu wprowadzić swoje nieciekłe plany w życie.

I to koniec pierwszego odcinka. Co się stało z historią miłosną? Gdzie ślepy zabójca i dziewczyna bez języka? W zamieszaniu zapomniano o dziewczynie – ostatnio ukrywała się pod łóżem nakrytym czerwonym brokatem – a ślepy zabójca w ogóle się nie pojawił. Przegląda z powrotem strony; może coś przegapiła. Ale nie, tych dwoje zwyczajnie zniknęło.

Może wszystko dobrze się skończy, w następnym wstrząsającym odcinku. Może on się odezwie.

Wie, że w tym jej oczekiwaniu jest coś obłąkanego – on nie przyśle jej wiadomości, a jeśli nawet, nie tą drogą ona do niej dotrze – nie może się jednak od tego uwolnić. To nadzieja rodzi te fantazje, to tęsknota budzi te złudzenia – nadzieja wbrew nadziei, tęsknota w próżni. Może się jej w głowie pomieszało, może traci rozum, może jej umysł się wypaczył. Wypaczył, jak stare drzwi, jak drewniana furtka, jak okienne ramy. Kiedy rozum się wypacza, z człowieka wydostaje się to, co powinno być w środku, a to, co powinno trzymać się od niego z dala, wpełza do wnętrza. Zamki tracą moc. Straże udają się na spoczynek. Hasła zawodzą.

Może została porzucona, myśli. To takie wyświechtane słowo „porzucona”, ale doskonale opisuje jej położenie. Może sobie wyobrazić, jak on ją porzuca. Pod wpływem impulsu mógłby dla niej zginąć, ale żyć dla niej to zupełnie coś innego. On nie cierpi monotonii.

Wbrew rozsądkowi czeka i obserwuje, miesiąc za miesiącem. Odwiedza sklepy, stacje kolejowe, ogląda każdy przypadkowy stojak z gazetami. Ale następny wstrząsający odcinek nigdy się nie ukazuje.

Mayfair, maj 1937

NAJŚWIEŻSZE PLOTKI Z TORONTO

YORK

Kwiecień tego roku rozbrykał się jak jagniątko, a żywe nastroje sprawiły, że w wiosenną porę wypełniła się radosną energią przyjazdów i wyjazdów. Państwo Henrykostwo o Riddelle'owie przyjechali z zimowych peregrynacji po Meksyku, państwo Johnsonowie Reevesowie powrócili autem ze swą kryjówką w Palm Beach na Florydzie, a państwo T. Perry Grange'owie przybyli z rejsu dookoła słonecznych Wysp Karaibskich. Pani R. Westerfield wraz z córką Daphne udały się w podróż do Francji, a także do Włoch „za przyzwoleniem Mussoliniego”. Państwo W. McClellandowie zaś skierowali się do bajecznej Grecji. Państwo Dumontowie Fletcherowie zakończyli emocjonujący sezon w Londynie i raz jeszcze pojawili się na miejscowej scenie w porze festiwalu Dominion Drama, którego pan Fletcher jest arbitrem.

Tymczasem w liliowych i srebrnych pomieszczeniach Arkadyjskiego Dworu odbyło się jeszcze innego rodzaju przyjęcie. Panią Richardową Griffen (wcześniej panna Iris Montfort Chase) widziano na uroczystym obiedzie, w ydanym przez jej szwagierkę, panią Winifred „Freddie” Griffen Prior. Młoda pani Griffen, urocza jak zawsze, jedna z najważniejszych panien młodych ostatniego sezonu, miała na sobie elegancki komplecik z jedwabiu w odcieniu nieba oraz jasnoniebieskozielony kapelusik, w którym przyjmowała gratulacje z okazji narodzin córki, Aimee Adelii.

Plejady drżały z przejęcia, gdy pojawiła się z gościnnymi występami gwiazda, panna Frances Homer, ceniona monologistka. W audytorium Eaton raz jeszcze zaprezentowała cykl „Kobiety przeznaczenia”, w którym kreuje kobiety historii i przedstawia ich wpływ na życie tak znaczących postaci jak: Napoleon, Ferdynand Kastylijski, Horacy Nelson i Szekspir. Panna Homer tryskała dowcipem i energią jako Neli Gwyn; dramatycznie wcieliła się w królową Izabelę Kastylijską; jej Józefina okazała się niezwykle poruszająca; w roli lady Emmy Hamilton zabłysnęła zaś aktorstwem najwyższej klasy. Podsumowując, można stwierdzić, że widzowie oglądali barwne i urocze przedstawienie.

Na zakończenie wieczoru podano kolację przy bufecie, zarówno dla Plejad, jak i ich gości. Uroczystość odbyła się w Okrągłej Sali, w której zebranych podejmowała pani Winifred Griffen Prior.

List z Bella Vista

Biuro Dyrektora
Dom Opieki Bella Vista
Arnprior, Ontario
12 maja 1937

Pan Richard E. Griffen
Prezes i Przewodniczący Zarządu
Królewskie Zjednoczone Zakłady Griffena-Chase'a sp. z o.o.
20 King Street West
Toronto, Ontario

Drogi Richardzie,

miło było Cię spotkać w lutym – choć w tak nieprzyjemnych okolicznościach – i znowu uściskać Ci dłoń po tylu latach. Nasze drogi rzeczywiście się rozeszły po tych „dobrych, złotych czasach szkoły”.

Przechodząc do spraw poważniejszych, mam nieprzyjemny obowiązek donieść Ci, że stan Twojej młodej szwagierki Laury Chase nie poprawił się, a jeśli cokolwiek się zmieniło, to nieznacznie się pogorszył. Urojenia, na które cierpi, są mocno zakorzenione. Naszym zdaniem, nadal stanowi zagrożenie dla samej siebie i musi przebywać pod stałą obserwacją, z użyciem środków uspokajających w razie konieczności. Już nie wybija okien, choć przydarzył się wypadek z nożyczkami. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by więcej to się nie powtórzyło.

Wciąż robimy, co się da. Jest kilka nowych kuracji, które mamy nadzieję wykorzystać z dobrym skutkiem, zwłaszcza terapię elektrowstrząsową, do której wkrótce otrzymamy niezbędny sprzęt. Za Twoją zgodą, uzupełnimy nią leczenie insuliną.

Mamy wielką nadzieję na ewentualną poprawę, choć prognozujemy, że panna Chase nigdy nie odzyska pełni sił.

Zmartwię Cię, ale muszę Cię prosić, abys wraz ze swoją żoną powstrzymał się od wizyt u nas, a także chwilowo od wysyłania listów do panny Chase, gdyż kontakt z którymkolwiek z Was z pewnością będzie miał destrukcyjny wpływ na leczenie. Masz przecież świadomość, że Ty sam jesteś obiektem najbardziej uporczywej fiksacji panny Chase.

Zawitam do Toronto w przyszłą środę i mam nadzieję na prywatną rozmowę z Tobą – w Twoim biurze, gdyż Twoja młoda żona, od niedawna matka, nie powinna się zbyt kłopotać tak niepokojącymi sprawami. Wtedy poproszę Cię, abys podpisał zgodę na leczenie, które proponujemy.

Pozwalam sobie załączyć rachunek za zesły miesiąc do rychłego rozpatrzenia.

Z wyrazami szacunku,
dr Gerald P. Witherspoon, dyrektor

Ślepy zabójca: Wieża

Czuje się ciężka i brudna, jak torba rzeczy do prania. Jednocześnie płaska, bez treści. Czysty papier, na którym – ledwo dostrzegalny – widnieje bezbarwny odcisk podpisu, nie jej. Detektyw mógłby go znaleźć, ale jej samej nie wolno niepokoić. Nawet patrzenie mogłoby ją niepokoić.

Nie zrezygnowała z nadziei, po prostu odłożyła ją na bok: nie jest do codziennego użytku. Tymczasem trzeba dbać o ciało. Nie ma sensu nie jeść. Najlepiej zachować zdrowe zmysły, a pożywienie w tym pomaga. A także drobne przyjemności: kwiaty, w których można się schronić, na przykład pierwsze tulipany. Nie ma sensu się rozpraszać. Biegać boso po ulicy, krzycząc: Pożar! Fakt, że nie ma pożaru, z pewnością zostanie zauważony.

Najlepiej zachować sekret, udając, że go nie ma. Jak miło, mówi przez telefon. Ale przepraszam, nie dam rady. Jestem zajęta.

W niektóre dni – zwłaszcza te pogodne i ciepłe – czuje się żywcem pogrzebana. Niebo to kopuła z błękitnego kamienia, słońce – okrągła dziura, przez którą szyderczo wpada światło prawdziwego dnia. Inni ludzie, pogrzebani wraz z nią, nie wiedzą, co się wydarzyło: tylko ona wie. Gdyby podzieliła się z nimi tą wiedzą, zamknęliby ją na zawsze. Jej jedyna szansa to zachowywać się tak, jak gdyby wszystko toczyło się zwykłym trybem, i jednocześnie mieć oko na płaskie, błękitne niebo, wypatrywać wielkiej rysy, która w końcu się na nim pojawi. Potem on mógłby zejść na dół po sznurowej drabinie. Ona wydoستاłaby się na dach, wskoczyła na nią. Wciągnięto by drabinę z nimi obojgiem, uwieszonymi na niej, uwieszonymi na sobie, nad wieżyczkami, wieżami i iglicami, przez rysę w fałszywym niebie; zostawiliby innych na dole, na trawniku, gapiących się na nich z otwartymi ustami.

Co za wszechmocne i dziecięce intrygi.

Pod błękitnym kamieniem pada deszcz, świeci słońce, wieją wiatry, rozpogadza się. Zdziwiałające, jak się osiąga te wszystkie naturalistyczne efekty pogody.

W pobliżu jest niemowlę. Dobiegają ją jego nieregularne krzyki, jak gdyby niesione wiatrem. Drzwi otwierają się i zamykają, dźwięk maleńkiej, głębokiej wściekłości nasila się i oddala. Zdziwiałające, jak one potrafią wrzeszczeć. Jego rżący oddech słychać czasem całkiem blisko, ten dźwięk jest szorstki i delikatny, jak rozdzierany jedwab.

Ona leży na łóżku, na kołdrze albo pod nią, w zależności od pory dnia. Najbardziej lubi białą poduszkę, białą jak pielęgniarka i lekko wykrochmaloną. Kilka

poduszek, żeby ją wyprostować, filiżanka herbaty, żeby ją zakotwiczyć, tak aby nie odpłynęła. Trzyma filiżankę w rękach, a jeśli naczynie uderzy o podłogę, ona się budzi. Nie robi tego przez cały czas, nie jest aż tak leniwa.

Co jakiś czas przeszkadzają jej marzenia.

Wyobraża sobie, jak on wyobraża sobie ją. To jej ratunek.

W duchu wędruje po mieście, odkrywa jego labirynty, płataniny obskurnych ulic: każdą schadzkę, każdą randkę, każde drzwi, schody i łóżko. Co on powiedział, co ona powiedziała, co zrobili, co zrobili potem. Nawet te chwile, gdy się kłócili, walczyli, rozstawali, dręczyli się, wracali do siebie. Jak uwielbiali się ranić, smakować nawzajem swoją krew. Niszczyliśmy się wzajemnie, myśli. Ale jak inaczej możemy żyć, w tych dniach, jeśli nie w samym środku zniszczonych ruin?

Czasem chce przyłożyć do niego zapalną, załatwić go, dać sobie spokój z tą nie kończącą się, beznadziejną tęsknotą. Przynajmniej mijający czas i zanik własnego ciała powinny to załatwić – przetrzeć ją, zużyć, wymazać to miejsce z jej mózgu. Ale żaden egzorcyzm nie wystarcza, co prawda nie próbowała zbyt usilnie. Nie egzorcyzmów jej jednak potrzeba. Potrzebna jej ta przerażająca rozkosz, jak przypadkowe wypadnięcie z samolotu. Potrzebne jej jego wygłodniałe spojrzenie.

Ostatnio, kiedy go widziała, wrócili do jego pokoju – to przypominało tonięcie: wszystko pociemniało i wyło, ale jednocześnie było bardzo srebrzyste, powolne i wyraźne.

To właśnie oznacza niewolę.

Może on też nosi w sobie jej obraz, jak w medalionie, a może nie obraz, a raczej wykres. Mapę, jak mapę skarbów. Będzie mu potrzebna do powrotu.

Najpierw jest ziemia, tysiące kilometrów, otoczona kręgiem skał i gór, pokrytych lodem, pełnych szczelin i pomarszczonych, potem las obok połąci ziemi pokrytych powalonymi przez wiatr drzewami, szorstka kora, martwe drzewo gnijące pod mchem, dalej dziwna polana. Potem wrzosowiska, nie osłonięte stopy i suche czerwone wzgórza, gdzie toczy się wojna. Za skałami, zaczajeni w spieczonych kanionach, kucają obrońcy. Wspecjalizowali się w snajperach.

Następnie pojawiają się wioski z nędznymi chałupami, zezowatymi urwisami i kobietami taszczącymi naręczą patyków, brudne drogi z tarzającymi się świniami. Potem tory kolejowe przecinające miasteczka, ze stacjami i zajezdniami, fabrykami i magazynami, kościołami i marmurowymi bankami. Potem miasta, wielkie prostokąty światła i ciemności, wieża na wieży. Wieże są powleczone diamentem. Nie: coś bardziej współczesnego, bardziej wiarygodnego. Nie cynk, jak wanny biednych kobiet.

Wieże pokryte są stalą. Tam się robi bomby i bomby tam spadają. Ale on to wszystko mija, przejeżdża nietknięty, przez całą drogę do miasta, tego z nią w

środku, z domami i wieżami otaczającymi ją, zamkniętą w najgłębiej ukrytej, najbardziej centralnej wieży ze wszystkich, nawet nie przypominającej wieży. Ta budowla jest zakamuflowana: bez trudu można pomylić ją z domem. Ona sama jest drżącym sercem wszystkiego, zapakowanym do białego łożka. Odgradzona od niebezpieczeństwa, ale to o nią w tym wszystkim chodzi. Chodzi o to, żeby ją chronić. Na tym właśnie spędzają czas – chronią ją przed wszystkim. Wygląda przez okno i nic nie może jej dosięgnąć, i ona niczego nie może dosięgnąć.

Jest okrągłym 0, zerem absolutnym. Przestrzenią, która określa się przez swoje nieistnienie. Dlatego nie mogą do niej dotrzeć, skrzywdzić jej. Dlatego nie mogą się do niej przyczepić. Ma taki ładny uśmiech, ale to nie ona za nim stoi.

On chce myśleć, że jest nieosiągalna. Staje w oświetlonym oknie, za nią zamknięte drzwi. Chciałby tam być, pod drzewem, spoglądać w górę. Zbierając się na odwagę, wspina się po murze, krok po kroku, obok winorośli i parapetu, szczęśliwy jak złodziej, kuca, podnosi okno, wchodzi do środka. Radio szemrze łagodnie, taneczna muzyka nasila się i cichnie. Zagłusza kroki. Nie pada między nimi żadne słowo, i znów rozpoczyna się delikatne, dokładne pładrowanie ciała. Stłumione, pełne wahania i niewyraźne, jakby pod wodą.

Prowadzisz życie w ukryciu, powiedział jej kiedyś.

Można to tak nazwać, odparła.

Ale jak ma się z tego wydostać, ze swojego życia, jeśli nie poprzez niego?

The Globe and Mail, 26 maja 1937

CZERWONA WENDETA W BARCELONIE

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA DODATEK NADZWYCZAJNY DO „THE GLOBE AND MAIL”

Chociaż informacje z Barcelony podlegają ścisłej cenzurze, nasz paryski korespondent dowiedział się, że doszło tam do starć między rywalizującymi frakcjami republikanów. Wspierani przez Stalina komuniści, dobrze uzbrojeni przez Rosję, podobno przeprowadzają czystki wymierzone przeciwko rywalizującemu ugrupowaniu POUM, w którego skład wchodzi ekstremiści trockistowscy sprzymierzeni z anarchistami. Początkowy entuzjazm związany z przejęciem władzy przez republikanów ustąpił pola atmosferze podejrzeń i obaw, kiedy komuniści oskarżyli POUM o zdradę i pełnienie roli piątej kolumny. Na ulicach dochodziło do otwartych walk, w których policja miejska występowała po stronie komunistów. Wielu członków POUM trafiło podobno do więzień lub uciekło. Niewykluczone, że pod ostrzałem znalazło się kilku Kanadyjczyków, lecz te doniesienia nie zostały potwierdzone.

Co się tyczy innych miejsc w Hiszpanii, to w Madrycie wciąż rządzą republikanie, ale siły nacjonalistyczne pod dowództwem generała Franco stale powiększają strefę swoich wpływów.

Ślepy zabójca: Union Station

Pochyla głowę, opiera czoło na krawędzi stołu. Wyobraża sobie jego przybycie.

Zapadł zmierzch, światła na stacji się palą, jego twarz wydaje się w nich zabiedzona. Gdzieś w pobliżu jest morze, koloru ultramaryny: on słyszy krzyki mew. Wskakuje do pociągu w kłębach syczącej pary, wrzuca worek marynarski na półkę, potem opada na siedzenie, wyjmuje kanapkę, którą kupił, odwijają ją ze zmiętego papieru, rozrywa. Jest zbyt zmęczony, by jeść.

Obok niego siedzi starsza kobieta, która robi na drutach coś czerwonego, sweter. On wie, co to jest, bo mu powiedziała; opowiedziałaby mu o tym wszystko, gdyby jej pozwolił, o swoich dzieciach, swoich wnukach; bez wątpienia ma zdjęcia, ale on nie chce słuchać jej historii. Nie może myśleć o dzieciach, zbyt wiele widział ich martwych. Te dzieci zostają przy nim, nawet bardziej niż kobiety, bardziej niż staruszkowie. To zawsze było takie nieoczekiwane: ich śpiące oczy, woskowe ręce, bezwładne palce, zniszczona szmaciana lalka nasiąknięta krwią. Odwraca się, wpatruje w swoją twarz w nocnej szybie, w podkrążone oczy, okolone wyglądającymi na mokre włosami, zielonkawoczną skórę, niewyraźną przez smołę i ciemne cienie drzew przemykających na zewnątrz.

Gramoli się nad kolanami staruszki do przejścia, staje między wagonami, pali, wyrzuca niedopałek, sika w ciemność. Wyczuwa, że zmierza w tym samym kierunku – w nicość. Mógłby tu wypaść i nikt by go nigdy nie znalazł.

Bagna, ledwie widoczny horyzont. Wraca na swoje miejsce. W pociągu jest zimno i wilgotno albo za gorąco i parno; on albo się poci, albo drży, albo jedno i drugie; płonie i zamarza, jak zakochany. Szorstka tapicerka na oparciu jest zatęchła i nieprzyjemna, drapie go w policzek. W końcu zasypia, z otwartymi ustami, głową przechyloną na bok, opartą o brudną szybę. W uszach słyszy brzęczenie drutów, a pod sobą szcęk kół na żelaznych torach, jak tykanie jakiegoś nieubłaganego metronomu.

Teraz ona wyobraża sobie, jak on śni. Wyobraża sobie, że śni o niej, tak jak ona śni o nim. Przez niebo koloru mokrych łupków lecą do siebie na ciemnych, niewidzialnych skrzydłach, szukając, szukając, zawracając, wiedzeni miłością i tęsknotą, hamowani strachem. W swoich snach dotykają się, oplatają, bardziej to przypomina zderzenie, i już koniec lotu. Spadają na ziemię, pechowi spadochroniarze, partackie i spopielale anioły, a miłość sączy się za nimi jak podarty jedwab. Wita ich nieprzyjacielski ostrzał.

Mija dzień, noc, dzień. Na stacji wysiada, kupuje jabłko, cola-colę, pół paczki papierosów, gazetę. Powinien był wziąć piersiówkę albo i całą butelkę, dla za-

pomnienia, które można w niej znaleźć. Wygląda przez pokryte deszczem szyby na długie, płaskie pola rozwijające się jak szczeciniaste dywaniki, na kępy drzew; zezuje ze zmęczenia. Wieczorem trwa uporczywy zachód słońca, znikającego na zachodzie, gdy on nadjeżdża, przechodzącego z różu w fiolet. Noc zapada z niepokojem, zaczyna się i zatrzymuje, żelazne krzyki pociągu. Za jego oczami jest czerwień, czerwień maleńkich ogników, eksplozji w powietrzu.

Budzi się, gdy niebo się rozjaśnia. Dostrzega wodę po jednej stronie, płaską, pozbawioną brzegu i srebrzystą, nareszcie jezioro. Po drugiej stronie torów widać małe, zniechęcone domki, pranie wiszące na sznurach na podwórzach. Potem pokryty cegłą komin fabryczny, pustooką fabrykę z wysokim kominem; potem kolejną fabrykę, w ich wielu oknach odbija się najjaśniejszy błękit.

Ona wyobraża sobie, jak on wychodzi na wczesny poranek, wędruje przez stację, długim sklepionym holem pełnym kolumn, po marmurowej posadzce. Słysząc tu echo, niewyraźne głosy z megafonu z niezrozumiałą informacją. W powietrzu czuć dym – dym z papierosów, pociągów, z samego miasta – który bardziej przypomina kurz. Ona także brnie w ten dym czy kurz – jest gotowa rozłożyć ramiona, dać mu się porwać w powietrze. Radość ściska ją za gardło, nie daje się odróżnić od paniki. Nie widzi go. Wschodzące słońce wpada przez wysokie, łukowate okna, pełne dymu powietrze się zapala, podłoga migocze. Teraz już jest widoczny, na drugim końcu, każdy szczegół wyraźny – oko, usta, dłoń – choć drżący, jak odbicie w drgającej sadzawce.

Ale jej umysł nie umie go zatrzymać, nie potrafi dobrze zapamiętać, jak wyglądał. Zupełnie jak gdyby lekki wiatr powiał nad wodą, on się rozpada na pojedyncze kolory, na zmarszczki; potem pojawia się gdzie indziej, przy kolumnie obok, już w dobrze znanym ciele. Dookoła niego migotanie.

To migotanie to jego nieobecność, ale dla niej wygląda jak światło. Zwykłe dzienne światło, które oświetla wszystko wokół niej. Każdy ranek i noc, każdą rękawiczkę i but, każde krzesło i talerz.

XI

Kabina

Od tej chwili sprawy przybierają bardziej ponury obrót. Ale wiesz przecież, że tak miało być. Wiesz, bo wiesz już, co się przydarzyło Laurze.

Oczywiście, Laura tego nie wiedziała. Nie miała zamiaru odgrywać tragicznej romantycznej heroiny. Stała się nią później, w swoim dziele, a przez to w umysłach wielbicieli. W normalnym życiu często bywała irytująca, jak każdy. Albo nudna. Albo radosna, to też potrafiła: w odpowiednich warunkach, których sekret znała tylko ona sama, umiała popadać w zachwyty. Te jej wybuchy radości najbardziej mnie teraz wzruszają.

Tak oto w pamięci wędruje przez swoje przyziemne czynności, dla kogoś z zewnątrz to nic niezwykłego – jasnowłosa dziewczyna wchodząca na wzgórze, zatopiona w myślach. Mnóstwo jest takich ślicznych, zamyślonych dziewcząt, krajobraz jest wypełniony nimi, co minutę rodzi się jedna. Przez większość czasu nie przytrafia się im, tym dziewczynom, nic nadzwyczajnego. Raz czy dwa, i może jeszcze raz, a potem się starzeją. Laura jednak została wybrana, przez ciebie, przeze mnie. Na obrazie zbierałaby polne kwiaty, choć w prawdziwym życiu rzadko to robiła. Bóg o ziemskiej twarzy kuca za nią w leśnym cieniu. Tylko my go widzimy. Tylko my wiemy, że rzuci się na nią.

Przejrzałam to, co dotąd zapisałam, i wydaje mi się to niewystarczające. Może za wiele tu błahostek albo rzeczy, które można uznać za błahostki. Mnóstwo ubrań, stylów i kolorów, które już wyszły z mody, wyschnięte skrzydełka motyla. Mnóstwo kolacji, nie zawsze smacznych. Śniadania, pikniki, podróże oceaniczne, bale kostiumowe, gazety, pływanie łodzią. Ale w życiu tragedia nie jest jednym długim pasmem cierpień. Składa się ze wszystkiego, co do niej prowadzi. Godzina za trywialną godziną, dzień za dniem, rok za rokiem, i ten nagły moment: pchnięcie nożem, wystrzelony pocisk, upadek samochodu z mostu.

Już kwiecień. Przebiśniegi pojawiły się i zniknęły, teraz pokazały się krokusy. Wkrótce będę mogła zająć swoje miejsce na werandzie z tyłu domu, przy mysim, zniszczonym starym stole z drewna, przynajmniej w słoneczne dni. Nie ma już lodu na chodnikach, więc znowu zaczęłam spacerować. Miesiące zimowej beczynności osłabiły mnie, czuję to w nogach. Mimo to jestem gotowa odzyskać dawne terytoria, ponownie odwiedzić wodopoje.

Dziś, dzięki lasce i kilku krótkim postojom, zdołałam dojść aż do cmentarza. Były tam oba anioły Chase'ów, na pozór nie zniszczone po śnieżnej zimie; były nazwiska członków rodziny, tylko trochę bardziej nieczytelne, ale może to wzrok mi się pogarsza. Przejechałam palcami po tych nazwiskach, po literach –

mimo twardości, namacalności, wydawały się mięknąć pod wpływem mojego dotyku, blaknąć, drzeć. Czas nadgryzł je swoim ostrym, niewidzialnym zębem.

Ktoś posprzątał jesienne, rozmokłe liście z grobu Laury. Leżał tam mały bukiecik białych narcyzów, już zwiędniętych, z łodyżkami owiniętymi folią. Zabrałam go i wrzuciłam do najbliższego kosza. Co sobie myślą te czcicielki Laury? Kto niby ma docenić ich ofiary? A konkretniej, kto ma po nich posprzątać? One i ten ich kwiatowy chłam, zaśmiecają tylko okolicę symbolami swojego fałszywego smutku.

Dam ci powód do płaczu, mawiała Reenie. Gdybyśmy były jej własnymi dziećmi, uderzyłyby nas. Nigdy jednak tego nie zrobiła, więc nie dowiedziałyśmy się, jaki jest ten przerażający powód.

W drodze powrotnej zatrzymałam się przy cukierni. Musiałam wyglądać na tak zmęczoną, jak się czułam, bo natychmiast podeszła do mnie kelnerka. Zazwyczaj nie przyjmują zamówień przy stolikach, trzeba stać przy ladzie i samemu zanieść wszystko do stolika, ale ta dziewczyna – o owalnej twarzy, ciemnych włosach, ubrana w coś, co wyglądało na czarny mundurek – zapytała mnie, co przynieść. Zamówiłam kawę i dla odmiany ciastko z borówkami. A potem zobaczyłam, jak kelnerka mówi coś do innej dziewczyny, tej za ladą, i uświadomiłam sobie, że to wcale nie kelnerka, ale klientka, tak jak ja; jej czarny mundurek nie był nawet mundurkiem, tylko marynarką i spodniami. Lśniło na niej coś srebrnego, może suwaki – nie widziałam dobrze szczegółów. Zanim zdążyłam jej stosownie podziękować, zniknęła.

To takie pokrzepiające, spotkać się z uprzejmością i troską u dziewcząt w jej wieku. Zbyt często (zastanowiłam się, myśląc o Sabine) okazują tylko bezmyślną niewdzięczność. Ale bezmyślna niewdzięczność to zbroja młodych, jak bez niej przeszliby przez życie? Starzy życzą młodym dobrze, ale życzą im także źle: najchętniej by ich pożarli i wchłonęli ich żywotność, pozostając nieśmiertelni. Bez ochrony w postaci opryskliwości i beztroski wszystkie dzieci zmiażdżyłaby przeszłość – przeszłość innych, zrzucona im na barki. Egoizm to łaska, która ich chroni.

Do pewnego stopnia, oczywiście.

Kelnerka w niebieskim fartuszkach przyniosła kawę. A także ciastko z borówkami, czego niemal natychmiast pożalowałam. Nie za bardzo udało mi się je nadgryźć. Wszystko w restauracjach staje się zbyt duże, zbyt ciężkie – świat materialny jawi się jako olbrzymie, wilgotne bryłki ciasta.

Kiedy wypięłam tyle kawy, ile zdołałam, wyruszyłam na nowo zawłaszczyć toaletę. W środkowej kabinie zamalowano napisy, które pamiętałam z jesieni, ale na szczęście sezon już się zaczął. W górnym prawym rogu jedne inicjały nieśmiało deklarowały miłość do innych, jak zawsze. Niżej napisano starannie na niebiesko:

„Dobry osąd bierze się z doświadczenia. Doświadczenie bierze się ze złego osądu”.

Niżej, fioletowym długopisem, kursywą: „Jeśli chcesz doświadczonej dziewczyny, zadzwoń do Anity Potężne Wargi, zabiorę cię do nieba”, i numer telefonu.

Niżej, drukowanymi literami, czerwonym flamastrem: „Zbliża się Sąd Ostateczny. Przygotuj się na spotkanie z przeznaczeniem, do Ciebie mówię, Anito”.

Czasem myślę – nie, czasem bawię się myślą – że wszystkie te toaletowe bazgroły to tak naprawdę robota Laury, działającej z dużej odległości za pomocą rąk i dłoni dziewcząt, które to piszą. Głupi pomysł, ale miły, zanim zrobię krok dalej, dedukując, że w takim razie przeznaczone są dla mnie, bo kogo innego Laura miałaby znać w tym mieście? A jeśli przeznaczone są dla mnie, to co Laura ma na myśli? Nie to, co mówi.

Innym razem czuję silną potrzebę, żeby się przyłączyć, wziąć w tym udział: przyłączyć własny drżący głos do anonimowego chóru okrojonych serenad, nabazgranych listów miłosnych, lubieżnych ogłoszeń, hymnów i przekleństw.

*Ruchomy palec myśl zmienia w słowa,
Pisze wciąż, ni pobożność, ni głowa
Twe nie każą mu wrócić w pół wersu,
Łzy nie każą mu pisać od nowa.*{42}

Ha, myślę sobie. Usiadłyby i zaczęły warczeć.

Kiedyś, kiedy poczuje się lepiej, wrócę tam i rzeczywiście to napiszę. Powinno je to pocieszyć, przecież chyba tego pragną? Wszyscy tego pragniemy: zostawić po sobie wiadomość, która wyrzuci efekt, choćby zgubny; wiadomość, której nie da się odwołać.

Ale takie wiadomości są niebezpieczne. Dwa razy pomyśl, zanim wypowiesz życzenie, a zwłaszcza zanim zechcesz oddać się w ręce losu.

(Dwa razy pomyśl, powiedziała Reenie. Laura zapytała: Dlaczego tylko dwa?).

Kotek

Przyszedł wrzesień, potem październik. Laura wróciła do szkoły, innej szkoły. Tam spódnice były w szaro-niebieską kratę, nie w bordowo-czarną; z tego, co widziałam, pod innymi względami ta szkoła nie różniła się niczym od poprzedniej.

W listopadzie, wkrótce po swoich siedemnastych urodzinach Laura oznajmiła, że Richard marnuje pieniądze. Ona może nadal chodzić do szkoły, jeśli on sobie tego życzy, będzie sadzała ciało w ławce, ale nie nauczy się niczego pożytecznego. Oznajmiła to spokojnie i bez nienawiści, i co zadziwiająco, Richard się poddał.

– Właściwie może nie chodzić do szkoły – powiedział. – Przecież i tak nigdy nie będzie musiała zarabiać na utrzymanie.

Ale Laurę trzeba było czymś zająć, tak jak i mnie. Została zwerbowana do jednego z przedsięwzięć Winifred, ochotniczej organizacji zwanej Abigails, zajmującej się odwiedzinami w szpitalu. Abigails były grupą dziarskich dziewcząt z dobrych rodzin, przygotowujących się do roli przyszłych Winifred. Nakładały fartuszki jak mleczarki, z aplikacjami tulipanów, i włóczyły się po szpitalnych oddziałach. Miały rozmawiać z pacjentami, może im czytać i pocieszać ich – jak, tego nie określono.

Okazało się, że Laura jest w tym biegła. Nie lubiła innych Abigails, tego nie trzeba mówić, ale polubiła fartuszek. Jak można było przewidzieć, wybierała szpitale dla biedaków, których pozostałe Abigails starały się unikać ze względu na smród i nieskromność. Te szpitale zapełnione były ludzkimi wrakami: staruszkami z demencją, pechowymi ubogimi weteranami, beznosymi mężczyznami z zaawansowanym syfilisem i im podobnymi. W tych królestwach brakowało pielęgniarek i wkrótce Laura zajęła się sprawami, które absolutnie nie powinny jej obchodzić. Wyglądało na to, że baseny i wymioty ani trochę jej nie zrażają, podobnie jak przekleństwa, bełkot i inne dziwaczne zachowania. Nie takie były plany Winifred, ale wkrótce musieliśmy się z tym pogodzić.

Pielęgniarki uważały, że Laura to anioł (albo raczej część tak uważała; inne myślały po prostu, że zwyczajnie przeszkadza). Zdaniem Winifred, która usiłowała mieć oko na wszystko i dysponowała szpiegami, Laura podobno wyjątkowo dobrze radziła sobie z beznadziejnymi przypadkami. Najwyraźniej nie uświadamiała sobie, że ci ludzie są umierający, powiedziała Winifred. Laura traktowała ich stan jak zwykły, wręcz normalny, co – jak sądziła Winifred – chorzy musieli uznać za poniekąd uspokajające, choć człowiek przy zdrowych zmysłach tak by tego nie traktował. Zdaniem Winifred, ta umiejętność czy ta-

lent Laury to kolejna oznaka jej istotnie dziwacznej natury.

– Musi mieć nerwy ze stali – powiedziała Winifred. – Ja z pewnością nie mogłabym tego zrobić. Nie zniosłabym tego. Pomyśl o tej nędzy!

Tymczasem powstały plany debiutu Laury. Ona jeszcze o nich nie wiedziała; zasugerowałam Winifred, że reakcja Laury nie byłaby pozytywna. Winifred stwierdziła, że w takim wypadku należy wszystko przygotować, a potem przedstawić Laurze jako rzecz dokonaną; albo, nawet lepiej, mogłoby się obejść bez debiutu, gdyby jego główny cel został wcześniej osiągnięty, a głównym celem było strategiczne małżeństwo.

Jadłyśmy lunch w Arkadyjskim Dworze. Winifred zaprosiła mnie, żebyśmy tylko we dwie wymyśliły jakiś fortel w sprawie Laury, jak to ujęła.

– Fortel? – spytałam.

– Wiesz, o co mi chodzi – odparła Winifred. – Nic zgrabnego.

Najlepsze, na co można liczyć dla Laury, zważywszy na okoliczności – ciągnęła – to jakiś miły bogacz, który weźmie byka za rogi, oświadczy się Laurze i poprowadzi ją do ołtarza. A jeszcze lepiej jakiś miły i głupi bogacz, który nie orientuje się, że trzeba wziąć za rogi jakiegoś byka, aż będzie za późno.

– Jakiego byka masz na myśli? – zapytałam. Zastanawiałam się, czy Winifred postąpiła podobnie, kiedy upolowała nieuchwytnego pana Priora. Czy ukrywała swoją byczą naturę aż do miesiąca miodowego i wtedy zaskoczyła go nią zbyt nagle? Czy właśnie dlatego można go było zobaczyć jedynie na fotografiach?

– Sama musisz przyznać – zaczęła Winifred – że Laura jest bardziej niż dziwna. – Urwała, żeby uśmiechnąć się do kogoś ponad moim ramieniem i pomachać na powitanie. Jej srebrne bransolety zabrzęczały, za dużo ich nosiła.

– Co masz na myśli? – zapytałam łagodnie. Kolekcjonowanie jej wyjaśnień stało się moim zasługującym na potępienie hobby.

Winifred zacisnęła usta. Miała pomarańczową szminkę, a jej wargi zaczynały się marszczyć. Dziś powiedzielibyśmy, że za mocno się opalała, ale wtedy ludzie jeszcze nie łączyli jednego z drugim, a Winifred lubiła być opalona na brąz; lubiła metaliczną patynę.

– Nie każdemu mężczyźnie przypadnie do gustu. Mówi rozmaite dziwne rzeczy. Brak jej – brak jej ostrożności.

Winifred włożyła zielone buty z aligatora, ale ja nie uważałam ich już za eleganckie – uważałam je za krzykliwe. Wiele rzeczy, które kiedyś wydawały mi się w Winifred tajemnicze i ponętne, teraz postrzegałam jako oczywiste tylko dlatego, że zbyt dużo wiedziałam. Jej wysoki połysk był łuszczącą się emalią, jej blask był sztucznym lakierem. Zajrzałam za kurtynę, widziałam sznurki i wielokrążki, widziałam druty i gorsety. Miałam swoje gusta.

– Na przykład? – dociekałam. – Jakie dziwne rzeczy?

– Wczoraj powiedziała mi, że nie jest ważne małżeństwo, tylko miłość. Powiedziała, że Jezus się z nią zgadza – odparła Winifred.

– Takie ma podejście – skwitowałam. – Nie ukrywa tego. Ale, wiesz, jej nie chodzi o seks. Chodzi jej o eros.

Kiedy Winifred czegoś nie rozumiała, wyśmiewała się z tego albo to ignorowała. Tym razem zignorowała.

– Wszystkim chodzi o seks, czy są tego świadomi, czy nie – oznajmiła. – Takie podejście może ją wpędzić w kłopoty.

– Z czasem z tego wyrośnie. – Sama w to nie wierzyłam.

– Im wcześniej, tym lepiej. Dziewczyny z głową w chmurach są najgorsze – mężczyźni je wykorzystują. Brakuje nam tylko jakiegoś oślizgłego Romea. To by ją wykończyło.

– Co więc proponujesz? – spytałam, patrząc na nią pustym wzrokiem. Posługiwałam się takim tępym spojrzeniem, żeby ukryć irytację czy nawet gniew, ale to tylko ośmielało Winifred.

– Tak jak powiedziałam, należy ją wydać za jakiegoś miłego gościa, który nie umie zliczyć do trzech. Później będzie się mogła bawić w miłość, jeśli ma na to ochotę. Jeśli będzie to robiła cichaczem, nikt nie wytknie jej palcem.

Grzebałam w resztkach potrawy z kurczaka. Ostatnio Winifred używała wielu slangowych zwrotów. Pewnie uważała, że są nowoczesne. Osiągnęła wiek, w którym zaczęło jej zależeć na byciu nowoczesną.

Oczywiście nie znała Laurę. Trudno było mi sobie wyobrazić, że Laura mogłaby robić coś cichaczem. Prędzej już na ulicy w samo południe. Wołałaby się nam przeciwstawić, wytknąć nam błąd. Uciec albo zrobić coś równie melodramatycznego. Pokazać reszcie nas, jakimi jesteśmy hipokrytami.

– Kiedy Laura skończy dwadzieścia jeden lat, dostanie pieniądze – odezwałam się.

– Za mało – stwierdziła Winifred.

– Może Laurze wystarczy. Może po prostu chce żyć własnym życiem – powiedziałam.

– Żyć własnym życiem! – parsknęła Winifred. – Tylko pomyśl, co by z nim zrobiła.

Spieranie się z Winifred nie miało sensu. Była jak uniesiony tasak.

– Masz już jakichś kandydatów? – zapytałam.

– Nic pewnego, ale pracuję nad tym – odparła z ożywieniem. – Jest parę osób, które nie protestowałyby przeciwko znajomościom Richarda.

– Nie rób sobie za dużo kłopotów – wymamrotałam.

– Jeśli sobie odpuszczę – powiedziała radośnie – to co się stanie?

– Słyszałam, że nadepnęłaś na odcisk Winifred – oznajmiłam Laurze. – Strasznie ją zdenerwowałaś. Drażniłaś się z nią na temat wolnej miłości.

– Nigdy nie powiedziałam „wolna miłość” – odparła Laura. – Powiedziałam jedynie, że małżeństwo to przestarzała instytucja. Powiedziałam, że nie ma nic wspólnego z miłością, i tyle. Miłość to dawanie, małżeństwo to kupowanie i sprzedawanie. Nie można zawrzeć miłości w umowie. Powiedziałam też, że w niebie nie ma małżeństw.

– Ale to nie jest niebo – stwierdziłam – gdybyś jeszcze nie zauważyła. Tak czy inaczej, nieźle dałaś się jej we znaki.

– Po prostu mówiłam prawdę. – Odsuwała skórki przy paznokciach moją szpatułką. – Pewnie teraz zaczniesz przedstawiać mnie ludziom. Zawsze wtrąca swoje trzy grosze.

– Po prostu się boi, że zmarnujesz sobie życie. To znaczy, jeśli postawisz na miłość.

– Czy wyjście za mąż uchroniło cię przed zmarnowaniem sobie życia? Czy też jest jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić?

Zignorowałam jej ton.

– Co o tym myślisz?

– Masz nowe perfumy. Richard ci je podarował?

– Pytam o ideę małżeństwa.

– Nic. – Teraz czesała swoje długie, jasne włosy moją szczotką, siedząc przy toalecie. Ostatnio bardziej interesowała się swoim wyglądem, zaczęła się dość gustownie ubierać, zarówno w swoje, jak i w moje rzeczy.

– To znaczy, nie bardzo ci się podoba? – pytałam.

– Nie. W ogóle o nim nie myślę.

– Może powinnaś – powiedziałam. – Może chociaż przez chwilę powinnaś się zastanowić nad swoją przyszłością.

Nie możesz wiecznie się snuć i... – Chciałam powiedzieć: „nic nie robić”, ale to byłby błąd.

– Przyszłość nie istnieje – powiedziała Laura. Nabrała zwyczaju zwracania się do mnie, jakbym to ja była młodszą siostrą, a ona starszą. A potem zadała jedno z tych swoich dziwacznych pytań: – Gdybyś była linoskokczkiem przechodzącym po rozpiętej linie nad wodospadem Niagara, na co zwracałabyś większą uwagę – na tłumy na dalekim brzegu czy na własne stopy?

– Na stopy, przypuszczam. Wolałabym, żebyś nie używała mojej szczotki do włosów. To niehygieniczne.

– Ale gdybyś zwracała zbyt dużą uwagę na stopy, to byś spadła. Albo za dużą uwagę na tłum, to też byś spadła.

– Jak więc brzmi prawidłowa odpowiedź?

– Czy gdybyś umarła, to nadal byłaby to twoja szczotka? – spytała, patrząc z ukosa na swój profil. Przez to jej odbicie miało chytry wyraz twarzy, co było jak na nią dość niezwykle. – Czy umarli mają jakieś rzeczy? A jeśli nie, to dlaczego ona jest teraz twoja? Bo ma twoje inicjały? Albo twoje zarazki?

– Laura, przestań się drażnić!

– Ja się nie drażnię – odparła Laura, odkładając szcztokę. – Ja myślę. Ty nigdy nie widzisz różnicy. Nie rozumiem, dlaczego słuchasz czegośkolwiek, co mówi Winifred. To jak słuchanie pułapki na myszy. Bez myszy – dodała.

Ostatnio się zmieniła: stała się krucha, lekkomyślna, nieostrożna na nowy sposób. Przestała się otwarcie buntować. Podejrzywałam, że popalała za moimi plecami: raz czy dwa wyczułam od niej zapach tytoniu. Tytoniu i czegoś jeszcze: czegoś zbyt starego, zbyt doświadczonego. Powinnam była wykazywać więcej czujności w kwestii zachodzących w niej zmian, ale miałam mnóstwo innych spraw na głowie.

Poczekalam do końca października i dopiero wtedy powiedziałam Richardowi, że jestem w ciąży. Powiedziałam, że chciałam się upewnić. Wyraził konwencjonalną radość i pocałował mnie w czoło.

– Dobra dziewczynka – stwierdził.

Robiłam tylko to, czego ode mnie oczekiwano.

Korzyść z tego była taka, że teraz zawsze zostawiał mnie samą w nocy. Wyjaśnił, że nie chce niczego popsuć. Odparłam, że jest bardzo troskliwy.

– I od tej pory będę wydzielał ci dżin. Nie pozwolę na nieposłuszeństwo – oznajmił, machając mi palcem przed nosem w sposób, który uznałam za złowieszczy. Richard bardziej mnie niepokoił w chwilach beztroski niż kiedy indziej; przypominał mi hasającą jaszczurkę.

– Weźmiemy najlepszego lekarza – dodał. – Bez względu na koszty.

Ustawienie spraw na gruncie finansowym było krzepiące dla nas obojga. Z pieniędzmi w tle wiedziałam, gdzie jest moje miejsce: byłam dostarczycielką bardzo kosztownej przesyłki, jasne jak słońce.

Winifred, po pierwszym lekkim okrzyku prawdziwego lęku, zaczęła robić mnóstwo nieszczerego zamieszania. Tak naprawdę była zaniepokojona. Przypuszczała (słusznie), że gdy zostanę matką syna i spadkobiercy, czy choćby spadkobierczyni, moja pozycja w oczach Richarda będzie o wiele lepsza niż dotychczas i o wiele lepsza, niż mi się należy. Dla mnie więcej, mniej dla niej. Będzie szukała sposobów na zredukowanie mnie do dawnych rozmiarów: oczekiwałam, że w każdej chwili może pojawić się z planami aranżacji pokojów dziecięcego.

– Kiedy możemy się spodziewać błogosławionego wydarzenia? – zapytała, i już wiedziałam, że zaaplikuje mi zwiększoną dawkę afektowanego języka. Teraz będzie „przybycie nowego gościa” i „prezent od bociana”, i „mały nieznamy”, bez przerwy. Winifred potrafiła być złośliwa i bardzo pomysłowa, kiedy coś ją denerwowało.

– Chyba w kwietniu – powiedziałam. – Albo w marcu. Jeszcze nie byłam u lekarza.

– Ale musisz wiedzieć – stwierdziła, unosząc brwi.

– Przecież nigdy dotąd przez to nie przechodziłam – odparłam z irytacją. – Przecież się tego nie spodziewałam. Nie zwróciłam uwagi.

Pewnego wieczoru weszłam do Laury, żeby oznajmić jej nowinę. Zapukałam do drzwi, a kiedy nie zareagowała, otworzyłam je delikatnie, myśląc, że może śpi. Jednakże nie spała. Klęczała obok łóżka, w niebieskiej koszuli nocnej, z pochyloną głową i włosami rozrzuconymi jak przez nieruchomy wiatr, z rozpostartymi rękami, jakby ją tam rzucono. Na początku myślałam, że pewnie się modli, ale nie, przynajmniej nic nie słyszałam. Kiedy w końcu mnie dostrzegła, zerwała się, bardzo sprawnie, zupełnie jakby wcześniej odkurzała, i usiadła przed przystrojoną falbankami toaletką.

Jak zwykle uderzył mnie związek między otoczeniem, otoczeniem wybranym dla niej przez Winifred – filigranowe wzory, różyczki z wstążek, organdy, falbany – i samą Laurą. Na fotografii widać by było jedynie harmonię. Dla mnie jednak ich niedopasowanie wydawało się rażące, wręcz surrealistyczne. Laura była krzemieniem w gnieździe z puchu ostu.

Mówię „krzemieniem”, nie „kamieniem”; krzemień ma serce z ognia.

– Laura, chciałam ci coś powiedzieć – odezwałam się. – Będę miała dziecko.

Odwróciła się do mnie, z twarzą gładką i białą jak porcelanowy półmisek, z miną zastygłą pod szklivem. Nie wydawała się jednak zaskoczona. Nie pogratulowała mi. Zamiast tego spytała:

– Pamiętasz kotka?

– Jakiego kotka? – zapytałam.

– Tego kotka mamy. Tego, który ją zabił.

– Lauro, to nie był kotek.

– Wiem – powiedziała Laura.

Piękny widok

Reenie wróciła. Nie jest ze mnie zbyt zadowolona. No, moja panno. Co masz mi do powiedzenia? Co zrobiłaś Laurze? Nigdy się nie nauczysz?

Nie ma odpowiedzi na te pytania. Odpowiedzi są tak powiązane z pytaniami, tak splątane i wielopasmowe, że w rzeczywistości wcale nie są odpowiedziami.

To mój proces. Wiem to. Wiem, co wkrótce pomyślisz. To samo, co ja myślałam: czy powinnam była zachować się inaczej? Z pewnością tak uznasz, ale czy miałam jakiś wybór? Teraz bym miała, ale teraz to nie wtedy.

Czy powinnam była umieć czytać w myślach Laury? Czy powinnam była wiedzieć, co się dzieje? Czy powinnam była przewidzieć, co się zdarzy? Czyż byłam stróżem siostry mojej?

„Powinnam” to daremne słowo. Opisuje to, co się nie zdarzyło. Należy do równoległego wszechświata. Do całkiem innego wymiaru.

W środę w lutym zeszłam na dół po popołudniowej drzemce. Sporo wtedy drzemałam: byłam w siódmym miesiącu ciąży i miałam trudności z przespianiem nocy. Pojawiły się jakieś problemy z ciśnieniem: kostki mi puchły i kazano mi leżeć z nogami w górze tak często, jak tylko mogę. Czułam się jak olbrzymie winogrono, spuchnięte i gotowe wybuchnąć cukrem i fioletowym sokiem; czułam się brzydka i niezręczna.

Tego dnia padał śnieg, pamiętam wielkie, miękkie, mokre płatki: kiedy się podźwignęłam, wyrzesałam przez okno i zobaczyłam kasztan, cały biały, jak olbrzymi koral.

Pojawiła się Winifred w pokoju gościnnym o barwie chmury. Nie było w tym nic niezwykłego – wchodziła i wychodziła, jak gdyby dom należał do niej – ale towarzyszył jej Richard.

Zazwyczaj o tej porze siedział w biurze. Oboje trzymali drinki w rękach. Oboje wyglądali ponuro.

– O co chodzi? – spytałam. – Co się stało?

– Usiądź – powiedział Richard. – Tutaj, koło mnie. – Poklepał sofę.

– To będzie szok – oznajmiła Winifred. – Przykro mi, że to musiało się stać w tak nieodpowiednim czasie.

Ona zaczęła mówić. Richard trzymał mnie za rękę i wpatrywał się w podłogę. Co jakiś czas potrząsała głową, jakby uważał jej opowieść albo za nieprawdopodobną, albo też za zbyt prawdziwą.

Oto istota tego, co powiedziała.

W końcu Laura się załamała. Oznajmiła: załamała, jak gdyby Laura była de-

ską.

– Powinniśmy byli wcześniej poszukać pomocy dla tej biednej dziewczyny, ale myśleliśmy, że się jej polepsza – stwierdziła.

W każdym razie dziś w szpitalu podczas zwykłej dobroczynnej wizyty straciła panowanie nad sobą. Na szczęście był tam lekarz, wezwano jeszcze jednego specjalistę. Skończyło się na tym, że Laurę uznano za niebezpieczną dla siebie i otoczenia, i niestety Richard musiał oddać ją pod opiekę zakładu.

– Co ty opowiadasz? Co zrobiła?

Winifred przybrała współczujący wyraz twarzy.

– Groziła, że zrobi sobie coś złego. Mówiła też inne rzeczy, które były... Cóż, ewidentnie cierpi na urojenia.

– Co powiedziała?

– Nie wiem, czy powinnam ci powtarzać.

– Laura to moja siostra – zauważyłam. – Mam prawo wiedzieć.

– Oskarżyła Richarda, że próbuje cię zabić.

– Dosłownie?

– Było jasne, co ma na myśli – oświadczyła Winifred.

– Nie, powtórz dokładnie.

– Nazwała go zakłamanym, podstępny handlarzem niewolników i zdegenerowanym, wielbiącym mamonę potworem.

– Wiem, że czasem ma skrajne poglądy i tendencję do wyrażania się w bezpośredni sposób. Ale nie można wsadzić kogoś do wariatkowa tylko za to, że powiedział coś takiego.

– To nie wszystko – zauważyła posępnie Winifred.

Richard, żeby mnie pocieszyć, powiedział, że to nie jest zwykły zakład – nie wiktoriańska norma. To prywatna klinika, bardzo dobra, jedna z najlepszych. Klinika BellaVista. Doskonale się nią tam zajmą.

– Jaki ma widok? – dopytywałam się.

– Przepraszam?

– BellaVista. To znaczy: piękny widok. Jaki tam jest widok? Co zobaczy Laura, kiedy wyjrzy przez okno?

– Mam nadzieję, że nie starasz się być dowcipna – powiedziała Winifred.

– Nie. To bardzo ważne. Czy to trawnik, ogród, fontanna czy co? Może jakaś nędzna alejka?

Żadne z nich nie potrafiło mi powiedzieć. Richard stwierdził, że z pewnością to jakieś naturalne otoczenie. Powiedział, że BellaVista leży za miastem. Że są tam piękne krajobrazy.

– Byłeś tam?

– Wiem, że jesteś przygnębiona, skarbie – powiedział. – Może powinnaś się zdrzemnąć.

– Właśnie się obudziłam. Powiedz mi, proszę.

– Nie, nie byłem tam. Oczywiście, że nie.

– No to skąd wiesz?

– Daj spokój, Iris – odezwała się Winifred. – Jakie to ma znaczenie?

– Chcę ją zobaczyć. – Trudno mi było uwierzyć, że Laura nagle się załamała, ale tak przywykłam do jej dziwactw, że już nie wydawały mi się dziwne. Łątwo mogłam przegapić zapaść – charakterystyczne oznaki psychicznej słabości, jakiegokolwiek by one były.

Zdaniem Winifred, lekarze powiedzieli, że widywanie się z Laurą jest chwilowo wykluczone. Stanowczo nalegali. Była zbyt obłąkana, co więcej, porywczą. Trzeba też było wziąć pod uwagę mój stan.

Zaczęłam płakać. Richard podał mi chusteczkę. Była lekko wykrochmalona i pachniała wodą kolońską.

– Powinnaś wiedzieć coś jeszcze – powiedziała Winifred. – To najbardziej przynębiające.

– Może zostawimy to na później – wtrącił Richard przyciszonym głosem.

– To bardzo bolesne – stwierdziła Winifred z fałszywą niechęcią. Oczywiście, zaczęłam nalegać, że muszę to wiedzieć od razu.

– Ta biedna dziewczyna twierdzi, że jest w ciąży – oznajmiła Winifred. – Tak jak ty.

– I co? Jest? – Przestałam płakać.

– Oczywiście, że nie – odparła Winifred. – Jak mogłaby być?

– Kto jest ojcem? – Nie mogłam jakoś uwierzyć, że Laura ze wszystkich możliwości wybrała właśnie coś takiego. – To znaczy, wyobraża sobie, że kto nim jest?

– Nie chce powiedzieć – stwierdził Richard.

– Oczywiście, histeryzowała – wtrąciła Winifred. – Wszystko się mieszało. Chyba wierzy, że dziecko, które urodzisz, jest tak naprawdę jej, ale nie umie wytłumaczyć, jak to możliwe. Oczywiście bredziła.

Richard potrząsnął głową.

– Bardzo przykre – mruknął przyciszonym i poważnym tonem przedsiębiorcy pogrzebowego; miękkim jak gęsty dywan w kolorze bordo.

– Specjalista – specjalista od psychiki – uznał, że Laura szaleńczo ci zazdrości – dodała Winifred. – Zazdrości ci wszystkiego: chce żyć twoim życiem, chce być tobą, i to się przejawia w takiej formie. Powiedział, że powinniśmy trzymać cię z dala od niebezpieczeństwa. – Upiła maleńki łyk drinka. – Ty sama nie miałaś podejrzeń?

Widzisz, jaka była sprytna.

Aimee urodziła się na początku kwietnia. W tamtych czasach używali eteru, więc nie byłam przytomna podczas porodu. Wdychałam eter i odpłynęłam, a obudziłam się słabsza i bardziej płaska. Dziecka nie było. Leżało w pokoju dla

noworodków, z całą resztą. To była dziewczynka.

– Z nią wszystko w porządku, prawda? – spytałam. Bardzo się tym przejmowałam.

– Dziesięć palców u rąk, dziesięć u nóg – odparła z ożywieniem pielęgniarka. – Nic, czego nie powinno tam być.

Dziecko przyniesiono późnym popołudniem, owinięte w różowy kocyk. Już ją nazwałam, w swojej głowie. Aimee znaczyło „ta, którą kochano”, a ja zdecydowanie liczyłam na to, że będzie kochana, przez kogoś. Trochę wątpiłam we własne zdolności pokochania jej albo kochania tak mocno, jak będzie tego potrzebowała. Już teraz zbyt wiele wzięłam na swoje barki: wątpiłam, czy coś ze mnie zostanie.

Aimee wyglądała jak każdy noworodek – miała zgniecioną twarz, jakby uderzyła w ścianę z wielką prędkością. Włosy na jej głowie były długie i ciemne. Patrzyła na mnie spod przymkniętych powiek, nieufnym spojrzeniem. Ale obrywamy, kiedy się rodzimy, pomyślałam; jaką przykrą niespodzianką musi być to pierwsze brutalne zetknięcie się ze światem. Naprawdę było mi żal tego małego stworzonka; przysięgam zrobić dla niej wszystko, co w mojej mocy.

Winifred i Richard przybyli, gdy badałyśmy się nawzajem. Pielęgniarka wzięła ich za moich rodziców.

– Nie, to dumny tatuś – wyjaśniła Winifred i wszyscy się roześmiali. Tych dwoje przyniosło ze sobą kwiaty, kunsztowną wyprawkę, wszystko na szydełku i ozdobione białymi kokardami.

– Wspaniała! – powiedziała Winifred. – Ale, na Boga, spodziewaliśmy się blondynki. Jest strasznie ciemna. Popatrz na te włosy!

– Przepraszam – odezwałam się do Richarda. – Wiem, że chciałeś chłopca.

– Następnym razem, skarbie – odparł Richard. Wcale nie wydawał się zaniepokojony.

– To tylko owłosienie porodowe – powiedziała pielęgniarka do Winifred. – Mnóstwo dzieci je ma, czasem też na plecach. Wypada i wtedy rosną właściwe włosy. Możecie podziękować gwiazdom, że nie ma zębów albo ogonka, tak jak niektóre z nich.

– Dziadek Benjamin był brunetem – powiedziałam. – Zanim osiwił, a także babka Adelia, i ojciec, oczywiście, chociaż nie wiem, jak jego bracia. Blondyni w rodzinie pochodzą z linii matki. – Mówiłam zwykłym głosem, jakim prowadziłam rozmowy, i z ulgą zorientowałam się, że Richard nie zwraca na to uwagi.

Czy czułam wdzięczność, że nie ma tu Laury? Że zamknięto ją gdzieś daleko, gdzie nie mogę się z nią skontaktować? I gdzie ona nie może się ze mną skontaktować; gdzie nie może stanąć przy moim łóżku, jak nie zaproszona na chrzciny wróżka, i powiedzieć: O czym ty mówisz?

Wiedziałyby, oczywiście. Wiedziałyby od razu.

Jasno świecił księżyc

Ubiegłego wieczoru patrzyłam, jak podpałiła się młoda kobieta: szczupła młoda kobieta, ubrana w lekki, łatwopalny strój. Zaprotestowała tak wobec jakiejś niesprawiedliwości, czy jednak myślała, że to ognisko, w które się zamieniła, cokolwiek rozwiąże? Och, nie rób tego, chciałam jej powiedzieć. Nie podpalaj własnego życia. Cokolwiek to jest, nie warto. Ale jej zdaniem, najwyraźniej było warto.

Co je opętuje, te młode dziewczyny z talentem do samopoświęcenia? Czy robią to, aby pokazać, że dziewczęta także są odważne, że mogą zrobić więcej, niż tylko szlochać i zawodzić, że też potrafią z szykiem stawiać czoło śmierci? Skąd się bierze to pragnienie? Czy zaczyna się od buntu, a jeśli tak, to przeciwko czemu? Przeciwno wielkiemu, ciężkiemu, duszącemu porządkowi rzeczy, olbrzymiemu rydwanowi o kołach najeżonych kolcami, przeciw ślepym tyranom, ślepym bogom? Czy te dziewczęta są na tyle lekkomyślne albo na tyle arogantki, żeby uważać się za zdolne do powstrzymania biegu rzeczy przez ofiarowanie się na jakimś teoretycznym ołtarzu, czy też ma to być jakiś rodzaj świadectwa? Godne podziwu, jeśli podziwia się obsesję. Dostyc odważne, to też. I kompletnie bezużyteczne.

Martwię się o Sabrinę pod tym względem. Co ona knuje gdzieś tam na krańcach ziemi? Czy dostali ją w swoje szpony chrześcijanie, buddyści, czy może ma jakąś inną obsesję? „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. Czy to słowa na jej przepustce do daremności? Czy chce odpokutować za grzechy swojej pazernej, rozbitej, żalostnej rodziny? Mam nadzieję, że nie.

Nawet w Aimee było coś takiego, ale u niej przybrało to powolniejszą, bardziej przebiegłą formę. Laura spadła z mostu, kiedy Aimee miała osiem lat. Richard zmarł, gdy miała dziesięć. Te wydarzenia niewątpliwie na nią wpłynęły. Potem ja i Winifred rozdarłyśmy ją na kawałki. Teraz Winifred nie wygrałaby tej bitwy, ale wtedy jej się to udało. Ukradła mi Aimee i mimo usilnych starań nigdy nie zdołałam jej odzyskać.

Nic dziwnego, że gdy Aimee dorosła i położyła rękę na pieniądzech, które zostawił jej Richard, zniknęła i zwróciła się ku rozmaitym chemicznym formom pociechy, wskakiwała też do łóżka co chwilę z innym mężczyzną. (Kto, na przykład, był ojcem Sabriny? Trudno powiedzieć, Aimee nigdy tego nie zrobiła. Zakręć kołem, mówila, i wybierz kogokolwiek).

Usiłowałam utrzymywać z nią kontakt. Liczyłam na pojednanie – w końcu

była moją córką, miałam poczucie winy w stosunku do niej, chciałam jej jakoś wynagrodzić – chciałam jej wynagrodzić bagno, którym stało się jej dzieciństwo. Ale zwróciła się przeciwko mnie – przeciwko Winifred także, przynajmniej to była jakaś pociecha. Nie dopuszczała żadnej z nas ani do siebie, ani do Sabriny – zwłaszcza do Sabriny. Nie chciała, żebyśmy ją zatręły.

Często, niespokojnie, zmieniała miejsce zamieszkania. Kilka razy wyrzucono ją na bruk za niepłacenie czynszu, była aresztowana za zakłócanie spokoju. Przy różnych okazjach trafiała do szpitala. Myślę, że trzeba powiedzieć, że stała się nieuleczalną alkoholniczką, chociaż nie cierpię tego określenia. Miała dużo pieniędzy, więc nigdy nie musiała szukać sobie pracy, to dobrze, bo i tak by jej nie utrzymała. A może to wcale nie było dobrze. Wszystko pewnie wyglądałoby inaczej, gdyby nie mogła sobie dryfować, gdyby musiała się skoncentrować na następnym posiłku zamiast na wszystkich urazach, które rzekomo nam zawdzięczała. Nie zarobione pieniądze sprzyjają litowaniu się nad sobą u tych, którzy mają do tego skłonności.

Ostatnim razem, kiedy pojechałam zobaczyć się z Aimee, mieszkała w przypominającym melinę, szeregowym domu nieopodal Parliament Street w Toronto. Dziecko, które, jak uznałam, pewnie było Sabriną, kucął na kwadracie ziemi obok chodnika – niechlujny, rozczochrany oberwaniec w szortach, ale bez podkoszulka. Miała stary cynowy kubek i wrzucała do niego żwirek za pomocą wygiętej łyżki. Była zaradnym stworzonkiem, poprosiła mnie o ćwierć dolara. Czy jej dałam? Najprawdopodobniej.

– Jestem twoją babcią – powiedziałam do niej, a ona spojrzała na mnie tak, jakbym zwariowała. Bez wątplenia nigdy jej nie powiedziano o istnieniu takiej osoby.

Wtedy usłyszałam parę rzeczy od jej sąsiadów. Wydawali się przyzwoitymi ludźmi, przynajmniej na tyle przyzwoitymi, żeby karmić Sabrinę, kiedy Aimee zapominała wrócić do domu. Z tego, co pamiętam, nazywali się chyba Kelly. To oni zadzwonili na policję, kiedy znaleziono Aimee u podnóża schodów, ze złamanym karkiem. Spadła, zepchnięto ją lub skoczyła, nigdy się nie dowiemy.

Powinam była porwać Sabrinę tamtego dnia i uciec z nią. Ruszyć do Meksyku. Zrobiłabym to, gdybym wiedziała, co się wydarzy – że Winifred wykradnie ją i ukryje przede mną, tak jak to zrobiła z Aimee.

Czy Sabrinie byłoby lepiej ze mną niż z Winifred? Jak się czuła, dorastając z bogatą, mściwą, zgorzkniałą starą kobietą? Zamiast z biedną, mściwą, zgorzkniałą starą kobietą, mianowicie ze mną. Ja jednak bym ją kochała. Wątpię, czy kochała ją Winifred. Po prostu uwiesiła się Sabriny, żeby zrobić mi na złość; żeby mnie ukarać; żeby zatriumfować.

Jednakże tego dnia nie bawiłam się w porywanie dzieci. Zapukałam do drzwi, a kiedy nie usłyszałam odpowiedzi, otworzyłam je i weszłam, po czym wspięłam się po stromych, ciemnych i wąskich schodach do mieszkania Aimee

na pierwszym piętrze. Aimee była w kuchni, siedziała przy okrągłym stoliku, wpatrując się w swoje ręce, w których tkwił kubek z kawą, z namalowaną uśmiechniętą buzią. Trzymała go tuż przed oczami, obracając to w jedną, to w drugą stronę. Twarz miała bladą, włosy potargane. Nie wydała mi się specjalnie atrakcyjna. Palila papierosa. Najprawdopodobniej była pod wpływem jakiegoś narkotyku pomieszanego z alkoholem; wyczuwałam go w powietrzu, tak jak stęchły dym, brudny zlew i nie wyczyszczony kubeł na śmieci.

Usiłowałam z nią porozmawiać. Zaczęłam łagodnie, ale nie była w nastroju do słuchania. Powiedziała, że ma tego dosyć, dosyć nas wszystkich. Przede wszystkim miała dosyć poczucia, że ukrywamy coś przed nią. Cała rodzina to kryła; nikt nie powiedział jej prawdy; nasze usta otwierały się i zamykały, i wypływały z nich słowa, ale te słowa do niczego nie prowadziły.

I tak wszystkiego się domyśliła. Została obrabowana, pozbawiona swego dziedzictwa, bo ja nie byłam jej prawdziwą matką, a Richard nie był jej prawdziwym ojcem. Powiedziała, że wszystko jest w książce Laury.

Zapytałam ją, co, na Boga, ma na myśli. Odparła, że to oczywiste: Laura była jej prawdziwą matką, a ojcem ten mężczyzna, ten ze *Ślepego zabójcy*. Ciocia Laura kochała go, ale my pokrzyżowaliśmy jej szyki – jakoś pozbyliśmy się tego nieznanego kochanka. Przestraszyliśmy go, przekupiliśmy, przepędziliśmy. Mieszkała z Winifred wystarczająco długo, żeby się przekonać, jak postępują ludzie tacy jak my. Potem, kiedy okazało się, że Laura jest z nim w ciąży, odesłaliśmy ją, żeby zatuszować skandal, a kiedy moje dziecko umarło przy narodzinach, wykradliśmy dziecko Laury i adoptowaliśmy je, przedstawiając jako własne.

Nie mówiła spójnie, ale taki był sens jej słów. Widzisz, jak pociągająca musiała być dla niej ta fantazja: kto nie chciałby mieć za matkę mitycznej istoty zamiast niepełnowartościowej prawdziwej? Mając taką możliwość.

Powiedziałam, że bardzo się myli, że wszystko się jej pomieszało, ale mnie nie słuchała. Nic dziwnego, że nigdy nie była szczęśliwa z Richardem i ze mną, ciągnęła. Nigdy nie zachowywaliśmy się jak prawdziwi rodzice, bo w rzeczywistości nie byliśmy jej prawdziwymi rodzicami. Nic dziwnego, że ciocia Laura rzuciła się z mostu. Zapewne zostawiła Aimee list z wyjaśnieniami, żeby go przeczytała, kiedy będzie starsza, ale Richard i ja z pewnością go zniszczyliśmy.

Nic dziwnego, że byłam taką okropną matką, mówiła. Nigdy jej naprawdę nie kochałam. Gdybym ją kochała, byłaby dla mnie najważniejsza. Wzięłabym pod uwagę jej uczucia. Nie zostawiłabym Richarda.

– Może i nie byłam matką doskonałą – powiedziałam. – Chętnie to przyznam, ale robiłam, co mogłam, zważywszy na okoliczności – okoliczności, o których tak naprawdę wiesz niewiele. Co robi z Sabriną? – ciągnęłam. Pozwala jej biegać przed domem bez ubrania, brudnej jak żebraczka; to zaniedbanie, dziecko może w każdej chwili zniknąć, dzieci ciągle znikają. Jestem babcią Sa-

briny, bardzo chętnie ją wezmę, i...

– Nie jesteś jej babcią – przerwała Aimee. Teraz już płakała. – Ciocia Laura nią jest. Albo była. Nie żyje, i to ty ją zabiłaś!

– Nie bądź głupia – powiedziałam. To była zła odpowiedź: im gwałtowniej zaprzecza się takim rzeczom, tym mocniej inni w nie wierzą. Ale człowiek często udziela złych odpowiedzi, gdy czuje strach, a Aimee mnie przestraszyła.

Kiedy powiedziałam słowo „głupia”, zaczęła na mnie wrzeszczeć. Powiedziała, że to ja jestem głupia. Jestem niebezpiecznie głupia. Jestem tak głupia, że nawet nie wiem, jak jestem głupia. Używała mnóstwa słów, których tu nie powtórzę, podniosła kubek z uśmiechniętą buzią i rzuciła nim we mnie. Potem ruszyła na mnie chwiejnym krokiem. Zawodziła, to był rozdzierający szloch. Miała rozczapierzone ręce, przerażająco, jak mi się wydawało. Byłam przygnębiona, wstrząśnięta. Wycofałam się, ściskając poręcz, robiąc uniki przed innymi przedmiotami: butem, talerzykiem. Kiedy dobiegłam do drzwi wejściowych, uciekłam.

Może powinnam była wyciągnąć ramiona. Powinnam ją była przytulić. Powinnam była się rozplakać. A potem powinnam była usiąść razem z nią i opowiedzieć jej historię, którą opowiadałam tobie. Ale nie zrobiłam tego. Przegapiłam okazję i gorzko tego żałuję.

Zaledwie trzy tygodnie później Aimee spadła ze schodów. Oplakiwałam ją, oczywiście. Była moją córką. Ale muszę przyznać, że oplakiwałam ją taką, jaką była w dużo młodszym wieku. Oplakiwałam to, czym mogła się stać, oplakiwałam jej możliwości. Bardziej niż wszystko inne oplakiwałam swoje porażki.

Kiedy Aimee zmarła, Winifred zatopiła szpony w Sabrinie. Posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa, a ona pierwsza pojawiła się na scenie. Porwała Sabrinę do swojej odstawionej rezydencji w Rosedale i w mgnieniu oka mianowała się jej prawną opiekunką. Rozważałam możliwość walki, ale byłaby to powtórka bitwy o Aimee – byłam skazana na porażkę.

Kiedy Winifred zaopiekowała się Sabriną, nie miałam jeszcze sześćdziesiątki, wciąż mogłam prowadzić samochód. Od czasu do czasu jeździłam na wycieczkę do Toronto i śledziłam Sabrinę, jak prywatny detektyw z dawnych powieści kryminalnych. Kręciłam się przed jej szkołą podstawową – nową szkołą podstawową, nową ekskluzywną szkołą podstawową – żeby tylko na nią zerknąć i upewnić się, że mimo wszystko nic jej nie jest.

Przykładowo, byłam w domu towarowym tego ranka, gdy Winifred przyprowadziła ją do Eaton's, żeby kupić jej parę eleganckich butów, kilka miesięcy po tym, jak weszła w jej posiadanie. Bez wątplenia kupiła Sabrinie inne ubrania bez konsultacji z nią – to było do niej podobne – ale buty trzeba jednak mierzyć i z sobie tylko znanego powodu Winifred nie chciała powierzyć tego obowiązku służbie.

Zbliżała się Gwiazdka – filary w sklepie przyozdobiono sztucznym ostrokrzewem, wieńce z popryskanych złotym lakierem szyszek i czerwone aksamitne wstążki wisiały nad drzwiami jak kłujące aureole – i Winifred, ku swojej irytacji, ugrzęzła między kołędującymi. Ja znajdowałam się w sąsiednim przejściu. Nie nosiłam już takich ubrań jak kiedyś – miałam na sobie stary tweedowy płaszcz i chustkę zawiązaną na włosach – i choć patrzyła wprost na mnie, wcale mnie nie dostrzegała. Pewnie widziała sprzątaczkę albo imigrantkę polującą na okazję.

Była dobrze ubrana, jak zawsze, ale mimo to wyglądała raczej niechlujnie. Cóż, musiała się zbliżyć do siedemdziesiątki, a w pewnym wieku taki styl i makijaż sprawiają, że człowiek wygląda jak mumia. Nie powinna była trzymać się tak kurczowo pomarańczowej szminki, zbyt dla niej wyrazistej.

Widziałam przypudrowane bruzdy złości pomiędzy jej brwiami, zaciśnięte mięśnie uróżowionej szczęki. Ciągnęła Sabrinę za ramię, usiłując przepchać się przez chór pękatych, odzianych w zimowe płaszcze kupujących. Musiała nienawidzić entuzjastycznego, fałszywego śpiewu.

Sabrina z kolei chciała posłuchać muzyki. Ciągnęła w dół, zamieniając się w trudny do ruszenia balast, jak to potrafią dzieci – na pozór niedostrzegalny opór. Miała wyprostowaną rękę, niczym grzeczna dziewczynka odpowiadająca na pytanie w szkole, ale krzywiła się jak diabełek. To, co robiła, musiało boleć. Zajął ją pozycję, złożyła oświadczenie. Stawiała opór.

Piosenka nazywała się *Dobry król Wacław*. Sabrina знаła słowa: widziałam, jak poruszają się jej małe usta. „Jasno świecił księżyc tej nocy, choć mróz był ogromny”, śpiewała. „Gdy gałązki na opał zbierał człowiek bezdomny”.

To była piosenka o głodzie. Wiedziałam, że Sabrina ją rozumie – wciąż musiała pamiętać, jak to jest być głodną. Winifred szarpnęła ją za rękę i rozejrzała się nerwowo. Nie widziała mnie, ale wyczuwała, tak jak krowa na dobrze zabezpieczonym polu wyczuwa wilka. Tak czy inaczej, krowy różnią się od dzikich zwierząt, przywykły do opieki. Winifred była bojaźliwa, ale nie przestraszona. Jeśli w ogóle o mnie myślała, to bez wątplenia sądziła, że jestem gdzieś daleko, litościwie poza zasięgiem wzroku, w odległej ciemności, na którą mnie skazała.

Odczuwałam dojmującą potrzebę, żeby porwać Sabrinę w ramiona i uciec z nią. Mogłam sobie wyobrazić drżące zawrodoenie Winifred, gdy torowałabym sobie drogę pomiędzy beznamiętnymi kołędnikami, śpiewającymi z takim zadowoleniem o okropnej pogodzie.

Trzymałabym Sabrinę bardzo mocno, nie potknęłabym się, nie przewróciłabym się z nią. Ale nie posunęłabym się tak daleko. Dopadliby mnie w mgnieniu oka.

Wysłałam więc sama na ulicę, i szłam, i szłam, z opuszczoną głową i postawionym kołnierzem, po śródmiejskich chodnikach. Znad jeziora wiał wiatr, płat-

ki śniegu wirowały i opadały na ziemię. Był dzień, ale przez niskie chmury i śnieg wokół panował mrok. Samochody przedzierały się przez nie odśnieżone ulice, a ich czerwone tylne światła oddalały się ode mnie niczym oczu garbatych potworów biegnących do tyłu.

Ścisnęłam paczkę – zapomniałam, co kupiłam – i nie miałam na sobie rękawiczek. Musiałam upuścić je w sklepie, u stóp tłumu. Właściwie mi ich nie brakowało. Kiedyś potrafiłam wędrować przez zamieć z gołymi rękami i w ogóle tego nie czuć. Miłość, nienawiść, przerażenie albo zwykła wściekłość robią to z człowiekiem.

Miewałam taką mrzonkę na swój temat – właściwie wciąż ją miewam. To dosyć idiotyczna mrzonka, choć często przez takie wyobrażenia kształtujemy swoje przeznaczenie. (Zauważ, jak łatwo wpadam w napuszony język, taki jak „kształtujemy nasze przeznaczenie”, kiedy zawędruję w te rejony. Zresztą nieważne).

W tej mrzonce Winifred i jej przyjaciółki z wieńcami z pieniędzy na głowach stoją wokół białego, ozdobionego falbankami łóżka Sabriny, dyskutując, czym ją obdarzyć. Już dostała wygrawerowaną srebrną filizankę z Birks^[43], tapetę do pokoju dziecięcego we wzorek z misiami, dodatkowe perły do skromnego naszyjnika z pereł i rozmaite inne kosztowne prezenty, doskonale *comme il faut*, które zamienią się w węgiel po wschodzie słońca. Teraz planują ortodontę, lekcje tenisa i lekcje muzyki, lekcje tańca i ekskluzywny letni obóz. Jaka jest dla niej nadzieja?

W tym momencie pojawiają się w błysku siarki i kłębach dymu, machając osmalonymi skrzydłami ze skóry, czarna owca, nie zaproszona matka chrzestna. Chcę ją obdarzyć swoim darem, krzyczę. Mam prawo!

Winifred i jej załoga śmieją się i zauważają: Ty? Wyklęto cię dawno temu! Spoglądałaś ostatnio w lustro? Zapuściłaś się, wyglądasz na sto dwa lata. Wracaj do swojej obskurnej nory! Co możesz mieć do zaoferowania?

Prawdę, mówię. Teraz już tylko ja mogę jej to ofiarować. To jedyna rzecz w tym pokoju, która wciąż będzie tu rano.

Barek Betty

Mijały tygodnie, a Laura nie wracała. Chciałam do niej napisać, zadzwonić, ale Richard stwierdził, że to jej zaszkodzi. Powiedział, że nie powinien jej przeszkadzać głos z przeszłości. Musiała skupić uwagę na swojej obecnej sytuacji – na prowadzonej terapii. Tak mu powiedziano. Co do charakteru tej terapii, nie jest lekarzem, nie będzie udawał, że to rozumie. Najlepiej zostawić takie rzeczy specjalistom.

Torturowałam się wizjami Laury uwięzionej, walczącej, schwytej w bolesną fantazję własnego chowu albo w inną fantazję, równie bolesną, która wcale nie była jej, ale otaczających ją ludzi. Kiedy ta pierwsza stała się drugą? Gdzie był próg między wewnętrznym i zewnętrznym światem? Wszyscy nieświadomie przechodzimy codziennie przez te wrota, posługujemy się hasłami z gramatyki – mówię, mówisz, mówią, z drugiej strony, czy nie mówi się – płacąc za przywilej zdrowego rozsądku zwykłą monetą, znaczeniami, na które przystaliśmy.

Jednakże nawet w dzieciństwie Laura niezupełnie na nie przystawała. Czy w tym tkwił problem? Że mówiła stanowczo: nie, kiedy należało powiedzieć: tak? I vice versa, i vice versa.

Mówiono mi, że Laura dobrze sobie radzi, że robi postępy. Potem nagle nie radziła sobie tak dobrze, miała nawrót. Postępy w czym, nawrót czego? Nie powinnam się w to zagłębiać, to mnie zmartwi, ważne, żebym oszczędzała energię, jak na młodą matkę przystało.

– Lada moment powrócisz do zdrowia – powiedział Richard, klepiąc mnie po ramieniu.

– Ale ja wcale nie jestem chora – zaprotestowałam.

– Wiesz, co mam na myśli – powiedział. – Będzie jak zawsze.

Uśmiechnął się do mnie czule, niemal lubieżnie. Oczy mu malały czy też przesuwała się skóra wokół nich, co nadawało jego twarzy przebiegły wyraz. Myślał o chwili, w której będzie mógł wrócić na swoje miejsce: na górze. Pomyślałam, że przygniecie mnie tak, że nie dam rady oddychać. Utył, dużo jadał, przemawiał w klubach, na ważnych zebraniach, na istotnych zebraniach. Na doniosłych zebraniach, na których ważni, istotni mężczyźni spotykali się i dyskutowali – gdyż – jak wszyscy to podejrzewali – nadchodziły ciężkie czasy.

Całe to przemawianie może nadąć człowieka. Widziałam ten proces wiele razy. To przez te słowa, te, których używają w przemowach. Przez nie fermentuje mózg. Można to zobaczyć w telewizji, podczas politycznych debat – te słowa wychodzą z ich ust jak bańki gazu.

Postanowiłam być chora jak najdłużej.

Wciąż przejmowałam się Laurą. Wywracałam historię Winifred na prawo i lewo, przyglądałam się jej pod każdym kątem. Nie bardzo mogłam w nią uwierzyć, ale i nie mogłam jej całkiem odrzucić.

Laura zawsze miała pewną ogromną zdolność: zdolność niezamierzonego niszczenia rzeczy. Nigdy też nie respektowała cudzych granic. To, co moje, było jej: moje pióro, moja woda toaletowa, moja letnia sukienka, mój kapelusz, moja szczotka. Czy ta lista rozciągała się także na moje nie narodzone dziecko? Skoro jednak cierpiała na urojenia – jeśli tylko wymyślała pewne rzeczy – to dlaczego wymyśliła właśnie coś takiego?

Przypuśćmy jednak, że Winifred skłamała. Założmy, że Laura była równie zdrowa na umyśle jak zawsze. W takim wypadku mówiła prawdę. Skoro Laura mówiła prawdę, to była w ciąży. Jeśli rzeczywiście miało się urodzić dziecko, to co się z nim stanie? Dlaczego nie powiedziała o tym mnie, zamiast jakiemuś lekarzowi, jakiemuś nieznanemu? Dlaczego nie poprosiła mnie o pomoc? Mogło istnieć bardzo wiele powodów. Mój delikatny stan byłby tylko jednym z nich.

Co do ojca, wyimaginowanego czy prawdziwego, tylko jeden mężczyzna wchodził w rachubę. To musiał być Alex Thomas.

Ale nie mógł nim być. Jak mógłby?

Nie wiedziałam już, jak Laura odpowiedziałaby na te pytania. Stała się dla mnie nieznana, tak jak nieznane jest wnętrze rękawiczki, kiedy tkwi w niej twoja dłoń. Była przy mnie przez cały czas, ale nie mogłam na nią spojrzeć. Mogłam tylko wyczuć kształt jej obecności: pusty kształt, wypełniony jedynie moimi wyobrażeniami.

Mijały miesiące. Nastął czerwiec, potem lipiec, potem sierpień. Winifred powiedziała, że jestem blada i wyczerpana. Uznała, że powinnam spędzać więcej czasu na powietrzu. Jeśli nie chcę zająć się tenisem ani golfem, jak mi często sugerowała – mogłabym coś zrobić z tym brzuszkiem, trzeba się zająć, zanim będzie za późno – przynajmniej mogłabym popracować trochę przy skalnym ogródku. To zajęcie, które doskonale pasowało do mojego macierzyństwa.

Nie podobał mi się mój skalny ogródek, który był mój tylko z nazwy, jak tyle innych rzeczy. (Jak „moje” dziecko, jeśli o tym pomyśleć; z pewnością to dziecko zamienione przez wróżkę, z pewnością podrzucone przez Cyganów; z pewnością moje prawdziwe dziecko – to, które mniej płakało i więcej się uśmiechało, i nie było takie cierpkie – zostało w magiczny sposób porwane). Skalny ogródek był podobnie odporny na moje zabiegi, nic, co robiłam, go nie zadowalało. Kamienie prezentowały się nieźle – sporo różowego granitu i wapienia – ale nie potrafiłam na nich niczego wyhodować.

Zadawałam się książkami: *Byliny do skalnego ogródka*, *Kaktusy i su-*

kulenty w północnym klimacie i tym podobnymi. Czytałam te książki i sporządzałam listy – listy tego, co mogłabym zasadzić albo co już zasadziłam; co już powinno rosnąć, ale nie rosło. Smokowiec, wilczomlec, rojnik. Podobały mi się nazwy, ale niespecjalnie dbałam o rośliny.

– Nie mam drygu do roślin – powiedziałam Winifred. – W przeciwieństwie do ciebie.

Udawanie niekompetencji stało się moją drugą naturą, prawie nie musiałam o tym myśleć. Z kolei Winifred przestała uważać moją nieodpowiedzialność za wygodną.

– Cóż, oczywiście musiałybyś włożyć w to trochę wysiłku – wzdychała. Na co posłusznie przedstawiałam jej listy martwych roślin.

– Kamienie są ładne – mówiłam. – Może po prostu nazwiemy to rzeźbą?

Myślałam o samotnej wyprawie na spotkanie z Laurą. Mogłam zostawić Aimee z nową opiekunką, którą w myślach nazywałam panną Murgatroyd – wszyscy nasi służący byli dla mnie Murgatroydami, wszyscy byli w zмовie. Ale nie, opiekunka ostrzegłaby Winifred. Mogłam ich zignorować, mogłam wyszłać się z domu pewnego ranka i zabrać ze sobą Aimee, wsiałybyśmy do pociągu. Ale do pociągu dokąd? Nie wiedziałam, gdzie jest Laura – gdzie ją ukryto. Klinika BellaVista podobno leżała „gdzieś na północy”, ale gdzieś na północy to spore terytorium. Grzebałam w biurku Richarda, tym w jego gabinecie w domu, ale nie znalazłam żadnych listów z kliniki. Pewnie trzymał je w biurze.

Pewnego dnia Richard wcześniej wrócił do domu. Wyglądał na zaniepokojonego. Powiedział, że Laury nie ma już w BellaVista.

Jak to możliwe? – zapytałam.

Wyjaśnił, że zjawił się jakiś mężczyzna. Twierdził, że jest adwokatem Laury, czy też działa w jej imieniu. Jest jej powiernikiem, powiedział – powiernikiem funduszu panny Chase. Zakwestionował legalność decyzji, na podstawie której umieszczono ją w BellaVista. Zagroził postępowaniem prawnym. Czy wiedziałam coś o tych działaniach?

Nie, nie wiedziałam. (Trzymałam skrzyżowane ręce na podolku. Okazałam zdumienie i łagodne zainteresowanie. Nie okazałam radości). Co się stało? – spytałam.

Dyrektor BellaVista był nieobecny, a pracownicy potracili głowy. Puścili ją pod opieką tego mężczyzny. Uznali, że rodzina wolałaby uniknąć niepotrzebnego rozgłosu. (Adwokat groził czymś takim).

Cóż, uznałam, pewnie dobrze zrobili.

Richard powiedział, że bez wątplenia; ale czy Laura była przy zdrowych zmysłach? Dla jej własnego dobra, dla jej własnego bezpieczeństwa, powinni-

śmy przynajmniej to ustalić. Choć pozornie wydawała się spokojniejsza, personel w BellaVista miał wątpliwości. Kto wie, jakim zagrożeniem dla siebie i dla innych mogłaby się okazać, gdyby pozwolono jej biegać na wolności?

Czy przypadkiem nie wiedziałam, gdzie jest?

Nie wiedziałam.

Czy nie miałam od niej wiadomości?

Nie miałam.

Czy w takim wypadku bez wahania poinformowałabym go o tym?

Bez wahania. To były moje słowa. Te zdania nie miały dopełnienia, więc teoretycznie nie kłamałam.

Poczekalam, aż upłynie odpowiednio dużo czasu, i wtedy wyjechałam do Port Ticonderoga, pociągami, żeby skonsultować się z Reenie. Wymyśliłam telefoniczną informację: wyjaśniłam Richardowi, że Reenie nie cieszy się dobrym zdrowiem i chce się ze mną spotkać, zanim coś się stanie. Dałam do zrozumienia, że Reenie stoi nad grobem. Powiedziałam, że ucieszyłaby ją fotografia Aimee, chciałaby porozmawiać o dawnych czasach. Przynajmniej tyle mogłam zrobić. W końcu przecież to ona nas wychowała. Mnie wychowała, poprawiłam się, żeby odwrócić uwagę Richarda od myśli o Laurze.

Zaaranzowałam spotkanie z Reenie w Barku Betty. (Już dorobiła się telefonu, jakoś sobie radziła). Powiedziała, że tak będzie najlepiej. Nadal tam pracowała, na pół etatu, ale mogłyśmy się spotkać po godzinach. Dodała też, że Betty ma nowych właścicieli; starym nie podobałoby się, gdyby siedziała przy stoliku jak płacący klient, nawet gdyby płaciła, ale nowi uznali, że potrzebni są im wszyscy płacący klienci.

Barek Betty fatalnie podupadł. Zniknęła płócienna markiza, ciemne boksy wyglądały na odrapane i tandetne. Nie pachniało tu już świeżą wanilią, ale zjeżdżałym tłuszczem. Zdałam sobie sprawę, że jestem zbyt wystrojona. Nie powinienam była wkładać kołnierza z białego lisa. Jaki był sens popisywać się w takich okolicznościach?

Nie podobał mi się wygląd Reenie: była zbyt opuchnięta, zbyt żółta, trochę za ciężko oddychała. Może naprawdę nie cieszyła się dobrym zdrowiem: zastanawiałam się, czy powinienam zapytać.

– Dobrze jest trochę dać odpocząć nogom – powiedziała, osuwając się do boksu, naprzeciwko mnie.

Myra – ile miałaś lat, Myro? Na pewno trzy albo cztery, straciłam rachubę – Myra była razem z nią. Miała czerwone z podniecenia policzki, okrągłe i nieco wylupiate oczy, jak gdyby ktoś ją delikatnie podduszał.

– Opowiedziałam jej wszystko o tobie – odezwała się czule Reenie. – O was obu.

Muszę przyznać, że Myra się mną nie interesowała, ale zaintrygowała ją lisy

na mojej szyi. Dzieci w tym wieku zazwyczaj lubią futrzane zwierzątka, nawet martwe.

– Widziałaś Laurę – zapytałam – albo z nią rozmawiałaś?

– Im mniej się mówi, tym lepiej – stwierdziła Reenie, rozglądając się dookoła, jak gdyby ściany miały uszy. Nie widziałam potrzeby takiej ostrożności.

– Pewnie ty załatwiłaś tego adwokata? – zapytałam.

Reenie popatrzyła na mnie chytrze.

– Zrobiłam, co trzeba – odparła. – Poza tym ten adwokat to mąż cioteczno-ciotecznej siostry twojej matki, więc w pewien sposób rodzina. Uznał, że to ma sens, kiedy już dowiedziałam się, co się dzieje, i tyle.

– Skąd się dowiedziałas? – Zostawiłam „czego się dowiedziałas” na później.

– Napisała do mnie – wyjaśniła Reenie. – Podobno napisała też do ciebie, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. Nie pozwalano jej normalnie wysyłać listów, ale kucharka jej pomogła. Laura wysłała jej potem za to umówione pieniądze, i jeszcze trochę dorzuciła.

– Nie dostałam żadnego listu – zapewniłam.

– Domyśliła się. Domyśliła się, że oni już tego dopilnują.

Wiedziała, kogo ma na myśli, mówiąc „oni”.

– Rozumiem, że się tu pojawiła – stwierdziłam.

– A dokąd miała iść? – odparła Reenie. – Biedne stworzenie. Po wszystkim, przez co przeszła.

– Przez co przeszła? – Bardzo chciałam to wiedzieć, a jednocześnie się tego obawiałam. Laura może zmyślać, powtarzałam sobie. Laura może cierpieć na urojenia. Tego się nie da wykluczyć.

Reenie to jednak wykluczyła, niezależnie od tego, jaką historię opowiedziała Laura, Reenie jej uwierzyła. Wątpiłam, żeby to była ta sama historia, którą ja słyszałam. Zwłaszcza wątpiłam w to, że pojawiło się w niej jakieś niemowle, w dowolnym kształcie czy formie.

– Jest tu dziecko, więc nie będę o tym opowiadać – powiedziała. Skinęła głową na Myrę, która pożerała kawałek ohydneho różowego ciasta i wpatrywała się we mnie, jakby chciała mnie polizać. – Gdybym ci to wszystko opowiedziała, nie mogłabyś spać po nocach. Jedyna pociecha, że nie miałaś w tym żadnego udziału. Tak mówiła.

– Tak mówiła? – Słyszac to, poczułam ulgę. A więc to Richard i Winifred zostali odmalowani jako potwory, mnie usprawiedliwiono – ze względu na moralną słabość, bez wątpienia. Chociaż widziałam, że Reenie nie do końca darowała mi moją niedbałość, przez którą doszło do tego wszystkiego. (Kiedy Laura spadła z mostu, zawzięła się jeszcze bardziej. Jej zdaniem, musiałam mieć z tym coś wspólnego. Potem była dla mnie chłodna. Umarła z żalem w sercu).

– W ogóle nie powinno się umieszczać młodej dziewczyny w takim miejscu – odezwała się Reenie. – Pod żadnym pozorem. Mężczyźni chodzący wokół z

rozpiętymi spodniami, rozmaite dziwne rzeczy. Wstyd!

– Ugryzą? – spytała Myra, sięgając po moje lisy.

– Nie dotykaj – skarciła ją Reenie. – Tymi lepкими paluszkami.

– Nie – odparłam. – Nie są prawdziwe. Widzisz, mają szklane oczy. Gryzą tylko własne ogony.

– Powiedziała, że gdybyś tylko wiedziała, nigdy byś jej tam nie zostawiła – ciągnęła Reenie. – Gdybyś tylko wiedziała. Powiedziała, że niezależnie od wszystkiego, nie jesteś bez serca. – Zmarszczyła brwi i spojrzała z ukosa na szklankę z wodą. Miała co do tego wątpliwości. – Jedli tam głównie ziemniaki – dodała. – Tłuczone i gotowane, mówiła. Oszczędzali najedzeniu, odejmowali chleb od ust tym biednym obłąkańcom i wariatom. Pewnie chowali dla siebie, tak myślę.

– Dokąd pojechała? Gdzie jest teraz?

– To już nie powinno nikogo obchodzić – powiedziała Reenie. – Mówiła, że lepiej dla ciebie, jeśli nie będziesz wiedziała.

– Czy wydawała się, czy była... – Czy była widocznie nienormalna, o to chciałam zapytać.

– Była taka sama jak zawsze. Ani bardziej, ani mniej. Nie była obłąkana, jeśli o to pytasz – skwitowała Reenie. – Szczuplejsza – musi nabrać trochę ciała – i mniej mówiła o Bogu. Mam tylko nadzieję, że tym razem będzie nad nią czuwał, dla odmiany.

– Dziękuję ci, Reenie, za wszystko, co zrobiłaś – powiedziałam.

– Nie ma potrzeby mi dziękować – odparła sztywno Reenie. – Zrobiłam tylko to, co trzeba było zrobić.

Co oznaczało, że ja tego nie zrobiłam.

– Mogę do niej napisać? – Szukałam chusteczki w torebce. Czułam się jak przestępczyni. Zbierało mi się na płacz.

– Czy to twoja własna chustka? Jesteś chora? – dopytywała się Myra, z zainteresowaniem zauważając moje siąkanie.

– Jeśli będziesz zadawała zbyt wiele pytań, odpadnie ci język – poinformowała ją Reenie.

– Nie odpadnie – stwierdziła Myra z zadowoleniem. Zaczęła nucić coś fałszywie i kopać tłustymi nogami w moje kolana, pod stołem. Wyglądało na to, że odznacza się radosną pewnością siebie i trudno ją przestraszyć – cechy, które często wydawały mi się irytujące, ale za które w końcu byłam wdzięczna. (To może być dla ciebie nowość, Myro. Potraktuj to jako komplement, skoro masz okazję. To rzadkość).

– Pomyślałam, że chciałabyś zobaczyć zdjęcie Aimee – powiedziałam do Reenie. Przynajmniej to jedno mogłam jej pokazać, żeby się zrehabilitować w jej oczach.

Reenie wzięła zdjęcie.

– O rety, ale z niej czarnulka, prawda? – mruknęła. – Nigdy nie wiadomo, do kogo dziecko będzie podobne.

– Ja też chcę zobaczyć – odezwała się Myra, sięgając po fotografię lepkimi od cukru palcami.

– No to szybko i idziemy. Spóźnimy się po twojego tatę.

– Nie – powiedziała Myra.

– Zachowuj się przyzwoicie, nie ma jak w domu – zaśpiewała Reenie, ścierając papierową serwetką różowy lukier z twarzy Myry.

– Chcę tu zostać – oznajmiła Myra, ale Reenie już ubrała ją w płaszcz, wcisnęła jej na uszy czapkę zrobioną na drutach i wyciągnęła ją z boksu.

– Uważaj na siebie – powiedziała Reenie. Nie pocałowała mnie.

Chciałam otoczyć ją ramionami, a potem zawodzić i zawodzić. Chciałam, żeby mnie pocieszyła. Chciałam, żeby to mnie zabrała ze sobą.

– Nie ma jak w domu – powiedziała pewnego dnia Laura, kiedy miała jedenaście czy dwanaście lat. – Reenie tak śpiewa. Moim zdaniem, to głupie.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– Popatrz. – Zapisała to jako równanie. – Nie ma = domu. Czyli dom = nie ma. Czyli dom nie istnieje.

Tam dom twój, gdzie serce twoje, pomyślałam teraz, zbierając się do kupy w Barku Betty. Nie miałam już serca, zostało złamane; a może nie złamane, po prostu już go tam nie było. Zręcznie wyłuskano je ze mnie, jak żółtko z jaja na twardo, zostawiając resztę mnie bez krwi, zakrzepłą, pustą.

Nie mam serca, pomyślałam. Czyli jestem bezdomna.

Wiadomość

Wczoraj byłam zbyt zmęczona, żeby zająć się czymkolwiek poza leżeniem na sofie. Jak to się staje moim ohydny zwyczajem, oglądałam codzienny talk-show, taki, w którym pierze się brudy. Teraz to modne, to pranie brudów: ludzie piorą własne brudy albo brudy innych, piorą wszystkie brudy, które mają, a nawet te, których nie mają. Robią to ze względu na poczucie winy i cierpienie, i dla własnej przyjemności, ale głównie dlatego, że chcą się pokazać, a inni ludzie chcą ich oglądać. Nie pomijam siebie: rozkoszuję się tymi odrażającymi grzeszkami, tymi nędznymi rodzinnymi powikłaniami, tymi zachowanymi w pamięci traumami. Sprawia mi przyjemność oczekiwanie, z jakim odkręca się pokrywkę ze słoja z robactwem, jak z niezwyklego prezentu na urodziny, a potem rozczarowanie na twarzach widzów: wymuszone łyżki i skąpe, triumfujące współczucie, posłuszny, obowiązkowy aplauz. I to wszystko? – myślą pewnie. Czy to nie powinno być mniej zwyczajne, bardziej paskudne, bardziej epickie, bardziej wstrząsające – ta twoja żywa rana? Powiedz nam więcej. Czy możemy podkręcić ból?

Zastanawiam się, co jest lepsze – gdy idziesz przez życie spuchnięta od własnych sekretów, aż cię rozsada, czy gdy dasz je z siebie wysssać, każdy akapit, każde zdanie, każde słowo, aż w końcu zostaniesz pozbawiona wszystkiego, co nigdy było równie drogie jak zapasy złota – wszystkiego, co było najważniejsze, wszystkiego, co chciałaś ochronić i ukryć, wszystkiego, co należało tylko do ciebie – i spędzisz resztę życia jako pusty worek łopoczący na wietrze, oznaczony jaskrawą, fluorescencyjną nalepką, żeby wszyscy wiedzieli, jakie kryłaś sekrety?

Nie mam nic na swoją obronę, niezależnie od okoliczności.

Język rozpuszczony, statek zatopiony, głosił wojenny plakat. Oczywiście statki i tak zatoną, prędzej czy później.

Po takim zaspokojeniu powędrowałam do kuchni, gdzie zjadłam pół czerniejącego banana i dwa krakersy. Zastanawiałam się, czy coś – jakieś jedzenie – nie spadło za kosz na śmieci – czułam smród mięsa – ale szybka kontrola niczego nie ujawniła. Może to mój własny odór. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że moje ciało śmierdzi jak kocia karma, niezależnie od tego, jakim ciężkim zapachem poperfumowałam się tego ranka – czy to była Tosca, Ma Griffe czy może Je Reviens? Wciąż mam w domu trochę takich różności. W sam raz do tych zielonych worków na śmieci, Myro, kiedy już je znajdziesz.

Richard miał zwyczaj dawać mi perfumy, kiedy uważał, że trzeba mnie udobruchać. Perfumy, jedwabne apaszki, małe, wysadzone kamieniami szpilki w

kształcie domowych zwierząt, ptaszków w klatce, złotych rybek. Gust Winifred, nie dla niej, lecz dla mnie.

W pociągu powrotnym z Port Ticonderoga i wiele tygodni później rozmyślałam nad wiadomością od Laury, którą zdaniem Reenie mi zostawiła. Musiała więc wiedzieć, że to, co planuje oznajmić obcemu lekarzowi w szpitalu, może wywołać reperkusje. Musiała zdawać sobie sprawę z ryzyka, i przedsięwzięła środki ostrożności. W pewien sposób, gdzieś, zostawiła jakieś słowo, jakąś wskazówkę dla mnie, jak upuszczoną chusteczkę albo szlak z białych kamieni w lesie.

Wyobraziłam sobie, jak pisze tę wiadomość, tak jak zawsze przystępowała do pisania. Bez wątpienia ołówkiem, ołówkiem z obgryzionym końcem. Często gryzła ołówki, w dzieciństwie jej usta często pachniały cedrem, a jeśli to była kredka, jej wargi przybierały niebieską, zieloną albo purpurową barwę. Pisała powoli, jej charakter pisma był dziecinny, z okrągłymi samogłoskami i zamkniętymi „o”, z długimi, falującymi łodygami „g” i „y”. Kropki w „i” i „j” były okrągłe, przesunięte daleko na prawo, jak małe czarne baloniki przymocowane do patyków niewidzialną nicią; poziome kreski w „t” znajdowały się po jednej stronie. Wyobraziłam sobie, że siadam obok niej, żeby zobaczyć, co dalej robi.

Dotarła do końca wiadomości, włożyła ją do koperty i zalepiła, po czym ją schowała, tak jak chowała swoje drobiazgi w Awilionie. Ale gdzie mogła ukryć tę kopertę? Nie w Awilionie: nie była nigdzie w pobliżu, zanim ją zabrano.

Nie, to musi się znajdować w domu w Toronto. Gdzieś, gdzie nikt nie zagląda – ani Richard, ani Winifred, ani żadne z Murgatroydów. Szukałam w rozmaitych miejscach – na dnie szuflad, z tyłu kredensu, w kieszeniach swoich zimowych płaszczy, w torbach, nawet w rękawicach – nic nie znalazłam.

A potem przypomniałam sobie, jak ją kiedyś zaskoczyłam w gabinecie dziadka, gdy miała dziesięć albo jedenaście lat. Leżała przed nią rodzinna Biblia, pokazne, oprawione w skórę i ohydne wydanie, a ona wycinała z niej fragmenty starymi nożyczkami mamy.

– Laura, co robisz? – spytałam. – To Biblia!

– Wycinam te kawałki, których nie lubię.

Rozwinęłam strony, które wyrzuciła do kosza: pokosy Kronik, wiele stron Księgi Kapłańskiej, strzępek ze świętego Mateusza, w którym Jezus przeklina drzewo figowe. Przypomniałam sobie teraz, że w czasach szkółki niedzielnej Laura była oburzona incydentem z drzewem. Wściekła się, że Jezus tak się na nie zawziął. Każdy z nas ma swoje złe dni, skomentowała Reenie, żwawo ubijając pianę w żółtej misce.

– Nie powinnaś tego robić – powiedziałam.

– To tylko papier – stwierdziła Laura, nie przerywając wycinania. – Papier się nie liczy. To słowa na nim są ważne.

– Wpędzisz się w kłopoty.

– Nie, nie wpędzę – odparła. – Nikt tego nigdy nie otwiera. Patrzą tylko z przodu, na urodziny, śluby i zgony.

Tu też miała rację. Nigdy nie wpadła.

Pod wpływem tego wspomnienia wyciągnęłam swój ślubny album. Z pewnością ten album nie interesował Winifred, nigdy też nie widziałam, żeby przeglądał go Richard. Laura musiała to wiedzieć, musiała wiedzieć, że to będzie bezpieczne miejsce. Ale co – musiała się zastanowić – sprowokuje mnie, że bym do niego zajrzała?

Gdybym szukała Laury, zajrzałabym. Ona to wiedziała. Było w nim mnóstwo jej zdjęć, przylepionych do brązowych stron czarnymi trójkątami w rogach; zdjęć, na których się krzywi albo wpatruje w swoje stopy, ubrana w strój drużny.

Znalazłam wiadomość, choć nie w słowach. Laura przyjechała na mój ślub z kompletem przyborów do kolorowania, tych małych tubek z farbą, które zwinęła z biura Elwooda Murraya jeszcze w Port Ticonderoga. Musiała je przez cały czas chomikować. Jak na osobę demonstrującą taką pogardę dla świata materialnego, strasznie trudno przychodziło jej pozbywanie się różnych przedmiotów.

Zmieniła tylko dwie fotografie. Pierwsza to było zdjęcie grupowe z wesela. Na tym drużny i družbów pokolorowała grubą warstwą indygo – całkowicie usunęła ich ze zdjęcia. Zostałam ja, Richard i sama Laura, a także Winifred, która była honorową drużną. Winifred została pomalowana na jaskrawozielono, podobnie jak Richard. Mnie Laura potraktowała smugą akwamaryny. Sama Laura była promiennie żółta, nie tylko jej sukienka, ale również twarz i ręce. Co miał oznaczać ten blask? Gdyż był to blask, zupełnie jakby świeciła od środka, jak szklana lampa albo dziewczynka z siarki. Nie patrzyła wprost przed siebie, ale w bok, jakby przedmiot jej zainteresowania wcale nie znajdował się na zdjęciu.

Druga to była oficjalna fotografia państwa młodych zrobiona przed kościołem. Twarz Richarda została zamalowana na szaro, tak ciemnoszaro, że rysy się zamazały. Jego dłonie były czerwone, podobnie jak płomień, które wystrzeliwały dokoła jego głowy i z jej środka, jak gdyby płonął mu czaszka. Moja suknia ślubna, rękawiczki, welon, kwiaty – ten strój w ogóle nie zainteresował Laury. Zajęła się jednak moją twarzą – pobielila ją tak, że oczy, nos i usta wyglądały na zasnuęte mgłą, jak szyby w zimny, mokry dzień. Tło i nawet schody kościoła pod naszymi stopami całkowicie zaczerniła, zostały tylko dwie postaci zawieszony w powietrzu, w najgłębszej i najciemniejszej z nocy.

XII

The Globe and Mail, 7 października 1938

GRIFFEN CHWALI UKŁAD MONACHIJSKI

DODATEK NADZWYCZAJNY DO „THE GLOBE AND MAIL”

W żywo i ostrych mowach zatytułowanej „Pilnowanie własnego nosa”, wygłoszonej podczas środowego zebrania w Klubie Cesarskim w Toronto, pan Richard E. Griffen, prezes i przewodniczący Królewskich Zjednoczonych Zakładów Griffena-Chase'a, sp. z o.o., pochwalnie niezwykłe starania brytyjskiego premiera pana Neville'a Chamberlaina, które zaowocowały w ubiegłym tygodniu podpisaniem układu monachijskiego. Pan Griffen oznajmił, że ogromne znaczenie miała entuzjastyczna reakcja wszystkich partii zgromadzonych w brytyjskiej Izbie Gmin. Pan Griffen wyraził ponadto nadzieję, że ugrupowania kanadyjskie również przychylnie odniosą się do tej wiadomości, układ pozwoli bowiem zakończyć kryzys i wejść w nowy „złoty wiek” pokoju i dobrobytu. Dzięki układowi uwidoczniło się, że racja stanu i dyplomacji, jak również pozytywne myślenie i proste, realistyczne poczucie zdrowego rozsądku. „Jeśli każdy da odrobinę”, powiedział pan Griffen, „w ów czas wszyscy wiele zyskają”.

W odpowiedzi na pytania dotyczące statusu Czechosłowacji po podpisaniu układu, mówca oznajmił, że w jego opinii obywatele tego kraju otrzymali wystarczające gwarancje bezpieczeństwa. Pan Griffen dodał, że w interesie Zachodu, a zwłaszcza świata gospodarki, leży to, aby Niemcy były silne i zdrowe, dzięki temu bowiem „ bolszewików będzie można trzymać na odpowiedni dystans od Bay Street”^{44}. Pan Griffen zapewnił ponadto, że potrzebne jest jeszcze obustronne porozumienie handlowe, nad którym wciąż trwają prace. W chwili obecnej należy się zająć nie potrząsaniem szabelką, tylko zapewnieniem konsumentom towarów, dzięki czemu pojawią się miejsca pracy i dobrobyt tam, gdzie jest on najbardziej potrzebny – „na własnym podwórku”. Pan Griffen nie miał wątpliwości, że po siedmiu latach chudych nastanie teraz siedem lat tłustych, a przed latami czterdziestymi rozciągają się wspaniałe perspektywy. Krążą pogłoski, że trwają rozmowy między czołowymi przywódcami Partii Konserwatywnej oraz panem Griffenem w sprawie ewentualnego przejścia przez niego steru władzy w tej organizacji. Przemówienie przyjęto z powszechnym aplauzem.

Mayfair, czerwiec 1939

W KRÓLEWSKIM STYLU NA KRÓLEWSKIM PRZYJĘCIU POD GOŁYM NIEBEM

CYNTHIA FERYIS

Pięć tysięcy w wyróżnionych gości Ich Ekscelencji Lorda i Lady Tweedsmuir stało oczarowanych wzdłuż ścieżek ogrodowych podczas przyjęcia urodzinowego Jej Wysokości, zorganizowanego w budynku rządu w Ottawie, kiedy Ich Wysokości dostojnie spacerowały.

O godzinie w pół do piątej królewska para wyszła z budynku rządu przez chińską galerię. Król miał na sobie sztywny spodnie, żakiet i cylinder, Królowa wybrała kolor beżowy z miękkim futrem i perłami oraz duży, lekko przekrzywiony kapelusz. Jej twarz była delikatnie zaróżowiona, a ciepłe, błękitne oczy śmiały uśmiechy. Wszystkich zachwycał jej zniewalający urok.

Za Ich Wysokościami podążał Gubernator Generalny oraz Lady Tweedsmuir, Jego Ekscelencja w roli dostojnego i wspaniałego gospodarza, a Jej Ekscelencja dystyngowanej piękności. Śnieżnobiały komplet, wykończony futrem z lisów z kanadyjskiej Arktyki uzupełniła turkusowym elementem w postaci kapelusza. Ich Wysokościom przedstawiono pułkownika oraz panią F. Phelan z Montrealu; dama ta włożyła w zorzyste jedwabie, rozkwitające niewielkimi kolorowymi kwiatami i elegancki kapelusz o dużym, jasnym rondzie z celofanu. Zaszczytu poznania Ich Wysokości dostąpili także generał brygady, pan W.H.L. Elkins z żoną i panna Joan Elkins oraz pan i pani Gladstone'owie Murrayowie.

Sz szczególnie wyróżniali się państwo Richardostwo Griffenowie. Jej futro uszyto ze srebrnych lisów, promieniście rozchodzących się na czarnym szyfonie, narzuconym na storczykowy kostium. Pani Douglasowa Watts nosiła szartrezowy szyfon z brązową marynarką z aksamitu. Pani F. Reid świetnie się prezentowała w organdy i sukni z koronek z Valenciennes.

Nawet nie wspomniano o podwieczorku, dopóki Król i Królowa nie pożegnali się z dziennikarzami. Dopiero gdy szczerknęły aparaty fotograficzne i błysnęły flesze, wszystkie głosy zaśpiewały *Boże, chroń Króla*. Następnie zainteresowanie zgromadzonych skupiło się na tortach (...) ogromnych i białych, z lodowym lukrem. Tort podany królówi w budynku rządu ozdobiły nie tylko róże, koniczyny i osty, lecz także stada miniaturowych gołębi z cukru z białymi chorągiewkami w dziobach, symbole pokoju i nadziei.

Ślepy zabójca: W A R A

Jest popołudnie, pochmurne i wilgotne, wszystko się lepi: jej białe bawełniane rękawiczki już się poplamily od trzymania poręczy. Świat jest ciężki, sporo waży; jej serce napiera na niego jak na kamień. Parne powietrze opiera się jej. Nic się nie rusza.

I oto nadjeżdża pociąg, a ona czeka przy bramce, jak trzeba, jak spełniona obietnica, on przechodzi przez bramkę. Widzi ją, rusza ku niej, dotykają się przelotnie, po czym ściskają sobie dłonie, jak dalecy krewni. Ona całuje go szybko w policzek, bo to publiczne miejsce i nigdy nie wiadomo, idą wzdłuż pochyłego podjazdu na marmurowy dworzec. Czuje się przy nim inaczej, niepewnie; ledwie miała okazję na niego spojrzeć. Z pewnością jest szczuplejszy. I co jeszcze?

Powrót to było piekło. Nie miałem dużo pieniędzy. Cały czas parowce na gapę.

Wysłałabym ci trochę pieniędzy, mówi ona.

Wiem. Ale nie miałem adresu.

Zostawia swój marynarski worek w przechowalni bagażu, bierze tylko małą walizkę. Przyjdę po worek później, mówi, teraz nie chcę niczego sobie utrudniać. Mijają ich ludzie, kroki i głosy, przystają niezdecydowani, nie wiedzą, dokąd pójść. Powinna była pomyśleć, powinna była coś załatwić, bo on, oczywiście, nie ma mieszkania, jeszcze nie. Przynajmniej wzięła butelkę szkockiej, jest w jej torebce. O tym pamiętała.

Dokądś muszą pójść, idą więc do hotelu, taniego, który on pamięta. Robią to po raz pierwszy, to ryzykowne, ale kiedy ona widzi hotel, rozumie, że nikt nie spodziewa się po nich, że są po ślubie; a jeśli nawet, to nie ze sobą. Włożyła letni płaszcz przeciwdeszczowy sprzed dwóch sezonów, zawiązała chustkę na głowie. Chustka jest jedwabna, ale gorszej nie znalazła. Może myśla, że on jej płaci. Ma taką nadzieję. W ten sposób nikt nie zwróci na nią uwagi.

Na skwerku przed hotelem leży rozbite szkło, wymiociny, coś, co wygląda na zasychającą krew. Nie wdępnij w to, mówi on.

Na parterze jest bar, choć nazywa się PIWIARNIA. Tylko dla panów, panie do towarzystwa. Przed barem świeci wielki neon, litery są poziome, a czerwona strzałka prowadzi w dół i zgina się tak, że grot wskazuje na drzwi. Kilka liter nie działa, więc napis brzmi W A R A. Małe żarówki, jak światełka na choince, zapalają się i gasną, przesuając się po znaku jak mrówki zbiegające po mrze odpływowej.

Nawet o tej porze kręcą się tu mężczyźni, czekając na otwarcie baru. On

bierze ją za łokieć, kiedy przechodzą, lekko pospiesza. Za nimi jeden z mężczyzn wyje jak marcowy kocur.

Do części hotelowej prowadzą osobne drzwi. Czarno-biała mozaika na podłodze przy wejściu otacza coś, co kiedyś było może czerwonym lwem, ale co wygląda jak pożarte przez żywiące się kamieniami ćmy i teraz przypomina raczej zniekształcony polip. Dawno już nie czyszczono linoleum w kolorze żółtej ochry, plamy brudu kwitną na nim niczym szare, sprasowane kwiaty.

On wpisuje się do księgi, płaci. Kiedy wykonuje te standardowe czynności, ona ma nadzieję, że wygląda na znudzoną, z nieruchomą twarzą, ze wzrokiem wpatrzonym w zegar ponad przygnębnym recepcjonistą. Zegar jest prosty, stanowczy, bez pretensji do gracji, jak na stacji kolejowej: utylitarny. Oto czas, mówi tylko jedna jego warstwa, nie ma żadnej innej.

Teraz on ma już klucz. Drugie piętro. Jest winda, jak mała trumna, ale ona nie może znieść samej myśli o niej, wie, jak tam będzie cuchnęło, brudnymi dywanami i gnijącymi zębami, nie może stać tam twarzą w twarz z nim w tym odorze. Idą po schodach. Dywan, niegdyś granatowo-czerwony. Droga usłana kwiatami, teraz zniszczonymi do korzeni.

Przepraszam, powiedział. Mogło być lepiej.

Dostajesz to, za co płacisz, mówi ona, siłąc się na wesołość. Niewłaściwe stwierdzenie, on może pomyśleć, że komentowała jego brak pieniędzy. Ale to dobry kamuflaż, mówi więc, żeby to naprawić. On nie odpowiada. Ona za dużo mówi, słyszy siebie, i to, co mówi, wcale nie jest czarujące. Czy jest inna niż ta, którą zapamiętał, czy bardzo się zmieniła?

W holu jest tapeta, od dawna już pozbawiona koloru. Drzwi są z ciemnego drewna, pooblupywane, poprzebijane i zniszczone. On znajduje numer, klucz się obraca. To długi, staroświecki klucz, jak od dawnej kasy ogniotrwalej. Pokój jest gorszy niż każdy z umeblowanych pokoi, w których dotąd byli: tamte przynajmniej udawały, że są czyste. Podwójne łóżko, przykryte śliską narzutą, imitacją atlasu, brudnożółtoróżową jak podeszwa stopy. Jedno krzesło z dziurawą tapicerką na siedzeniu, które wygląda jak wypchane kurzem. Popielniczka z obtłuczonego brązowego szkła. Dym z papierosów, rozlane piwo, a pod tym bardziej niepokojący zapach, jakby długo nie pranej bielizny. Nad drzwiami jest okienko, wybrzuszone szkło pomalowano na białą.

Ona zdejmuje rękawiczki, rzuca je na krzesło razem z płaszczem i chustką, wyjmując butelkę z torebki. Żadnych szklanek w zasięgu wzroku, będą musieły pić z gwinta.

Czy okno się otwiera? – pyta. Przydałoby się trochę świeżego powietrza.

On podchodzi, podnosi okno. Silny wiatr wpada do środka. Po ulicy ze skrzypieniem przejeżdża samochód. On się odwraca, wciąż przy oknie, i odchyła, z rękami za sobą, na parapecie. Kiedy światło pada na niego od tyłu, ona widzi tylko zarys jego sylwetki. Mógłby być kimkolwiek.

Cóż, mówi on. Tak jak zawsze. Wydaje się bardzo zmęczony. Przychodzi jej do głowy, że może on chce w tym pokoju wyłącznie spać.

Podchodzi do niego, obejmuje go rękami w pasie. Znalazłam opowiadanie, mówi.

Jakie opowiadanie?

O Ludziach-Jaszczurach z Ksenora. Wszędzie go szukałam, trzeba mnie było widzieć, jak grzebię w stoiskach z prasą, pewnie myśleli, że zwariowałam, wciąż tylko szukałam.

A, tamto, mówi on. Czytałaś te śmieci? Całkiem zapomniałem.

Ona nie okaże niepokoju. Nie okaże zbyt dużo chęci. Nie powie mu, że to był trop udowadniający jego istnienie; dowód, jakkolwiek absurdalny.

Oczywiście, że to czytałam. Czekałam na kolejny odcinek.

Nigdy go nie napisałem, mówi on. Za bardzo byłem zajęty uciekaniem przed strzałami, z obu stron. Nasz grupa utknęła w środku. Uciekałem przed tymi dobrymi. Co za bajzel.

Jego ręce oplatają ją z opóźnieniem. Pachnie whisky. Opiera głowę na jej ramieniu, papier ścierny policzka obok jej szyi. Ma go, jest bezpieczny, przynajmniej na chwilę.

Boże, muszę się napić, mówi on.

Nie idź jeszcze spać, prosi ona. Nie idź jeszcze spać. Chodź do łóżka.

On śpi przez trzy godziny. Słońce się przesuwa, ściemnia się. Wie, że powinna iść, ale nie może się do tego zmusić ani też go obudzić. Jaką wymówkę przedstawi, kiedy już wróci do domu? Wymyśla starszą panią, która spadła ze schodów, starszą panią wymagającą pomocy; wymyśla taksówkę, podróż do szpitala. Jak mogła ją zostawić, żeby radziła sobie sama, biedna starowinka? Miała leżeć na chodniku bez żadnej przyjaznej duszy? Powie, że wie, że powinna zadzwonić, ale w pobliżu nie było telefonu, a starsza pani tak cierpiała. Przygotowuje się na wykład, którego będzie musiała wysłuchać, o pilnowaniu własnego nosa; na potrząsanie głową, no bo co można z nią zrobić? Czy kiedykolwiek nauczy się zachowywać, gdy wychodzi sama?

Na dole zegar odmierza minuty. Słysząc głosy na korytarzu, odgłosy pośpiechu, pośpieszne tupanie butów. Tu szybko się wchodzi i szybko wychodzi. Leży obudzona obok niego, nasłuchując, jak śpi, zastanawiając się, dokąd odszedł. I jak wiele powinna mu powiedzieć – czy powinna mu powiedzieć o wszystkim, co się stało. Jeśli poprosi ją, by z nim odeszła, będzie musiała mu powiedzieć. W innym wypadku może lepiej nie. Albo jeszcze nie.

Kiedy on się budzi, chce kolejnego drinka i papierosa.

Chyba nie powinniśmy tego robić, mówi ona. Palić w łóżku. Podpalimy się. I spłoniemy.

On nic nie mówi.

Jak było? – pyta ona. Czytałam gazety, ale to nie to samo.

Nie, mówi on. Nie to samo.

Tak się bałam, że cię zabiją.

Prawie zabili, mówi on. Najdziwniejsze jest to, że to było piekło, ale do niego przywykłem, a teraz nie mogę przywyknąć do tego. Trochę utyłas.

O, jestem za gruba?

Nie. To ładne. Jest za co złapać.

Zrobiło się już całkiem ciemno. Z dołu, tam gdzie goście piwiarni wylewają się na ulicę, dobiegają dźwięki rozstrojonego pianina, krzyki, śmiech, potem odgłos tłuczonego szkła. Ktoś rozbił butelkę. Jakaś kobieta krzyczy.

Muszą coś świętować.

Co świętują?

Wojnę.

Ale nie ma już wojny. Już się skończyła.

Świętują następną, mówi on. Już nadchodzi. Wszyscy tu, w chmurach, temu zaprzeczają, ale niżej, na ziemi, można wyczuć, że nadchodzi. Hiszpanię ostrzeżano w ramach ćwiczeń, wkrótce zabiorą się do poważnej wojny. To jak grzmot w powietrzu i są tym podnieceni. Dlatego rozbijają butelki. Chcą mieć fory.

Och, z pewnością nie, mówi ona. Nie może być jeszcze jednej. Zawarli pakt i w ogóle.

Pokój w naszych czasach, mówi on pogardliwie. Pieprzone brudy. Mają tylko nadzieję, że wuj Sam i Adolf porozrywają się na strzepy, a przy okazji pomogą im pozbyć się Żydów, kiedy oni będą siedzieć na tyłkach i zarabiać pieniądze.

Jesteś cyniczny jak zawsze.

A ty naiwna.

Niezupełnie, mówi ona. Nie kłóćmy się. My tego nie rozstrzygniemy. Ale to do niego podobne, do tego, jaki był kiedyś, więc poczuła się trochę lepiej.

Nie, mówi on. Masz rację. My tego nie rozstrzygniemy. Jesteśmy płótkami.

Ale ty i tak pojedziesz, mówi ona. Jeśli znowu się zacznie. Czy jesteś płótką czy nie.

Patrzy na nią. A co innego mogę zrobić?

Nie wie, dlaczego ona płacze. Ona stara się powstrzymać. Chciałabym, żebyś został ranny, szloch. Wtedy musiałbyś tu zostać.

Dużo by ci z tego przyszło, mówi on. Chodź tutaj.

Wychodząc, ledwie widzi. Idzie sama przez chwilę, żeby się uspokoić, ale jest ciemno, a po ulicy chodzi zbyt wielu mężczyzn, więc bierze taksówkę. Siadając z tyłu, poprawia usta, pudruje twarz. Kiedy się zatrzymują, grzebie w torebce, płaci za taksówkę, wchodzi po kamiennych schodach i przez łukowate wejście i zamyka za sobą ciężkie dębowe drzwi. W głowie powtarza sobie: Przepraszam,

że się spóźniłam, ale nie uwierzysz, co się stało. Miałam taką małą przygodę.

Ślepy zabójca: Żółte zasłony

Jak zakradła się wojna? Jak nabrzmiała? Z czego ją stworzono? Z jakich sekretów, kłamstw, zdrad? Z jakich miłości i nienawiści? Z jakich sum pieniędzy, z jakich medali?

Nadzieja tworzy zasłonę dymną. Dym dostaje się do oczu i nikt nie jest gotowy, lecz to się nagle pojawia, jak ognisko, które wymknęło się spod kontroli – jak morderstwo, tylko zwielokrotnione. Nagle, gwałtownie wylewa.

Wojna rozgrywa się w czerni i bieli. Przynajmniej dla tych z boku. Dla tych, którzy rzeczywiście biorą w niej udział, ma wiele kolorów, zbyt intensywnych kolorów, zbyt jaskrawych, zbyt czerwonych i pomarańczowych, zbyt płynnych i rozżarzonych, ale dla innych wojna jest jak kronika filmowa, ziarnista, zamazana, z wybuchami jak staccato i dużą liczbą szaroskórych ludzi zrywających się, wlokących albo upadających, wszystko gdzie indziej.

Ona chodzi na kroniki, w kinach. Czyta gazety. Wie, że jest na łasce wydarzeń, i wie już teraz, że wydarzenia nie znajdą łaski.

Zdecydowała się. Teraz jest zdeterminowana, poświęci wszystkich i wszystko. Nic i nikt nie stanie jej na drodze.

Oto, co robi. Wszystko zaplanowała. Pewnego dnia wyjdzie z domu, jak zawsze. Będzie miała pieniądze, jakieś pieniądze. To niejasna część, ale z pewnością coś się da załatwić. Co robią inni ludzie? Idą do lombardu i ona też tak zrobi. Zdobędzie pieniądze, zastawiając rzeczy: złoty zegarek, srebrną łyżeczkę, futro. Drobiazgi. Będzie zastawiała je po kolei i nikt tego nie zauważy.

Nie zbierze wystarczająco dużo pieniędzy, ale będzie musiało wystarczyć. Wynajmie pokój, niedrogi pokój, ale nie zanadto obskurny – nic, czego nie upiększyłaby warstwa farby. Napisze list, w którym oznajmi, że nie wraca. Wyśle emisariuszy, ambasadorów, potem prawników, będą straszyć, będą ją krzywdzić, ona przez cały czas będzie się bała, ale wytrzyma. Spali za sobą wszystkie mosty z wyjątkiem mostu do niego, choć most do niego jest taki kruchy. Wróć, powiedział, ale skąd miał taką pewność? Tego się nie da zagwarantować.

Będzie odżywiała się jabłkami i krakersami, filiżankami herbaty i szklankami mleka. Puszkami gotowanej fasolki i wołowiny. A także sadzonymi jajkami, kiedy się da, i tostami, które będzie jadła w kafejkach na rogu, tam gdzie żywią się gazeciarze i poranni pijacy. Będą tam przychodzili weterani, coraz więcej weteranów, w miarę upływu miesięcy: mężczyźni bez rąk, ramion, nóg, uszu,

oczu. Będzie miała ochotę z nimi porozmawiać, ale tego nie zrobi, bo jej zainteresowanie zostałoby opacznie rozumiane. Jej ciało jak zwykle stanie na przeszkodzie zwykłej rozmowie. Zatem będzie tylko podsłuchiwała.

W kafejce będzie się mówiło o końcu wojny, który już się zbliża, zdaniem wszystkich. To tylko kwestia czasu, powiedzą, zanim to minie i wrócą chłopcy. Mężczyźni tak mówiący nie będą się znali, ale i tak wymienią takie komentarze, gdyż dzięki perspektywie zwycięstwa staną się rozmowni. W powietrzu zawisnie inne uczucie, po części optymizm, po części strach. Statek przyplynie lada dzień, ale kto powie, co się na nim znajdzie?

Jej mieszkanie z kuchenką i łazienką będzie się znajdowało nad sklepem z warzywami. Kupi sobie roślinę – begonię, a może paproć. Będzie pamiętała o podlewaniu tej rośliny i ona nie umrze. Kobieta prowadząca sklep na dole będzie ciemnowłosa, pulchna i matczyna i będzie mówiła o jej chudości, i że powinna więcej jeść, co jest najlepsze na przeziębienie. Może będzie Greczynką: Greczynką albo kimś w tym rodzaju, z wielkimi rękami i przedziałkiem pośrodku włosów, i kokiem z tyłu. Jej mąż i syn będą za morzem; będzie trzymała ich zdjęcia, oprawione w malowane drewno, ręcznie kolorowane, za kasą.

Obie – ona i ta kobieta – będą spędzały mnóstwo czasu na nasłuchiwaniu: kroków, dzwonka telefonu, pukania do drzwi. Trudno spać w takich okolicznościach: będą dyskutowały o lekarstwach na bezsenność. Co pewien czas kobieta wciśnie jej w rękę jabłko albo jaskrawozielony cukierek ze szklanego słoja na ladzie. Takie prezenty bardziej ją pocieszą, niżby na to wskazywała ich niska cena.

Skąd będzie wiedział, jak ją odzyskać? Teraz, kiedy spaliła za sobą mosty. Jakoś się dowie. Jakoś ją znajdzie, bo się spotka z kochanką swą kochanek. Powinien. Musi.

Uszyje zasłony na okna, żółte zasłony, w kolorze kanarków albo żółtek jajek. Radosne zasłony, jak promień słońca. Nieważne, że nie umie szyć, bo kobieta z dołu jej pomoże. Potem wykrochmalili zasłony i je powiesi. Ukłęknie na podłodze ze zmiotką, wysprząta mysie odchody i martwe muchy spod kuchennego zlewu. Pomaluje zestaw puszek, które znajdzie na wyprzedaży, i napisze na nich: Herbata, Kawa, Cukier, Mąka. Malując, będzie sobie nucila. Kupi nowy ręcznik, cały komplet nowych ręczników. A także pościel, to ważne, i poduszki. Będzie często czesała włosy.

To są te radosne rzeczy, które będzie robiła, czekając na niego.

Kupi radio, małe, o metalicznym dźwięku, z drugiej ręki, w lombardzie; będzie słuchała wiadomości, żeby być na bieżąco. Będzie też miała telefon: na dłuższą metę telefon jest konieczny, chociaż nikt do niej nie zadzwoni, jeszcze nie. Czasem będzie podnosiła słuchawkę, żeby tylko usłyszeć cichy warkot. Albo głosy prowadzące rozmowę na tej samej linii. To będą głównie kobiety, wymieniające uwagi o posiłkach, pogodzie, wyprzedażach i dzieciach, i o męż-

czynach, którzy są gdzie indziej.

Nic z tego się nie wydarzy, oczywiście. Albo się wydarzy, ale niezauważalnie. To się stanie w innym wymiarze.

Ślepy zabójca: Telegram

Telegram przychodzi zwykłą drogą, dostarcza go mężczyzna w ciemnym mundurze, którego twarz nie zwiastuje dobrych wiadomości. Kiedy się zatrudniają, uczy się ich takiego wyrazu twarzy, nieprzystępnego, ale smutnego, jak ponury, obojętny dzwon. Jak zamknięta trumna.

Telegram zjawia się w żółtej kopercie z okienkiem z przezroczystej folii i przekazuje to samo, co zawsze przekazują takie telegramy – odległe słowa, jak słowa nieznanego, intruza, stojącego w najdalszym kącie długiego, pustego pomieszczenia. Nie ma ich tam wielu, ale każde jest jasne: poinformować, strata, żal. Ostrożne, neutralne słowa, z ukrytym za nimi pytaniem: A czego się spodziewałaś?

O co tu chodzi? Kto to? – pyta ona. Ach, pamiętam. To on. Tamten człowiek. Ale dlaczego przysłali to do mnie? Przecież nie jestem żadną krewną!

Krewną? – powtarza ktoś. To on ich miał? To ma być zabawne.

Śmieje się. To nie ma ze mną nic wspólnego. Mnie telegram, który, jak zakłada, przeczytali, zanim jeszcze go jej doręczyli. Czytają całą pocztę: to się rozumie samo przez się. Siada, nieco zbyt gwałtownie. Przepraszam, mówi. Nagle poczułam się trochę dziwnie.

Proszę. To cię pocieszy. Wypij do dna, to warunek.

Dziękuję. To nie ma ze mną nic wspólnego, ale jednak to szok. Zupełnie jak gdyby ktoś przeszedł po twoim grobie. Drży.

Ostrożnie. Jesteś trochę zielona. Nie bierz tego do siebie.

Może to pomyłka. Może pomyliły się im adresy.

Możliwe. A może to jego własny pomysł. Może ma takie poczucie humoru. Z tego, co pamiętam, był dziwny.

Dziwniejszy, niż myśleliśmy. Jakież to niegodziwe! Gdyby żył, mogłabym go pozwać do sądu.

Może chciał, żebyś miała poczucie winy. Tacy jak on tak robią. Są zazdrośni, wszyscy. Pies ogrodnika. Przestań się tym martwić.

Cóż, to nie jest zbyt miła wiadomość, jakkolwiek by na to patrzeć.

Miła? Dlaczego miałyby być miła? Jego z pewnością nie można by nazwać miłym.

Pewnie mogłabym napisać do jego przełożonego. Zażądać wyjaśnień.

A dlaczego on miałby cokolwiek wiedzieć? Nie on to wysłał, tylko jakiś urzędnik od takich spraw. Korzystają z tego, co mają zapisane w danych. Powiedzą, że to zwykła pomyłka, z pewnością nie pierwsza, z tego, co słyszałem.

Poza tym nie ma sensu robić zamieszania. To tylko wzbudzi zainteresowanie

i niezależnie od wszystkiego nigdy się nie dowiesz, dlaczego to zrobił.

Nie, dopóki umarli nie powstaną z grobów. Ich oczy są jasne, wpatrują się w nią z niepokojem. Czego się boją? Boją się, że co zrobi?

Wolałabym, żebyś nie używał tego słowa, mówi płaczliwie.

Jakiego słowa? Och. Chodzi jej o umarłych. Równie dobrze można nazwać łopatę łopatą. Nie ma sensu udawać. A teraz przestań...

Nie lubię łopat. Nie lubię tego, do czego się ich używa – do kopania dołów w ziemi.

To chorobliwe.

Daj jej chusteczkę. Nie ma co jej wiercić dziury w brzuchu. Niech idzie na górę, trochę odpocznie. Zaraz będzie wesoła jak szczygiełek.

Nie pozwól, żeby to popsło ci humor.

Nie bierz sobie tego do serca.

Zapomnij o tym.

Ślepy zabójca: Zniszczenie Sakiel-Norn

W nocy budzi się nagle, z bijącym sercem. Wyślizguje się z łóżka i w ciszy zmierza do okna, podnosi je i się wychyla. Świeci księżyc, niemal pełny, pożyłkowany dawnymi bliznami, a pod nim rozproszona, pomarańczowawa poświata rzuca na niebo przez uliczne lampy. Poniżej jest chodnik, upstrzony cieniami i częściowo ukryty przez kasztan rosnący na podwórzu, z gałęziami rozpościerającymi się jak twarda, gęsta siatka, z lekko lśniącymi, przypominającymi białe cmy kwiatami.

Jest tam męczyzna, patrzy w górę. Ona widzi jego ciemne brwi, zapadnięte oczodoły, uśmiech przypominający białą bliznę w poprzek ciemnego owalu twarzy. W wycięciu pod jego szyją widać coś bladego: koszulę. Podnosi rękę, macha nią, chce, żeby do niego dołączyła – wysliznęła się przez okno, zeszła po drzewie. Ale ona się boi. Boi się, że spadnie.

Teraz on jest już na parapecie na zewnątrz; teraz jest w pokoju. Kwiaty na kasztanie płoną: w ich białym świetle ona widzi jego twarz, szarawą skórę, pograżoną w półcieniu, dwuwymiarową, jak fotografia, ale rozmazana. Czuć zapach smażonego bekonu. On nie patrzy na nią, nie wprost na nią: zupełnie jakby była własnym cieniem i on patrzył na niego. Tam, gdzie byłyby jej oczy, gdyby jej cień mógł widzieć.

Pragnie go dotknąć, ale się waha: gdyby wzięła go w ramiona, z pewnością rozmazałby się, a potem rozplynał, na strzępy ubrań, dym, na cząsteczki, na atomy. Jej ręce przeszłyby przez niego na wylot.

Powiedziałem, że wrócę.

Co ci się stało? Co się stało?

Nie wiesz?

Teraz są na zewnątrz, chyba na dachu, i spoglądają na miasto, ale tego miasta nigdy nie widziała. Wygląda tak, jakby spadła na nie olbrzymia bomba, całe stoi w płomieniach, wszystko wybucha jednocześnie – domy, ulice, pałace, fontanny i świątynie – eksplodują, wybuchają jak fajerwerki. Nic nie słyhać. Miasto płonie w milczeniu, jak na filmie – na białe, żółte, czerwono i pomarańczowo. Żadnych krzyków. Żadnych ludzi: ludzie muszą być już martwi. Za nią on migocze w migotliwym świetle.

Nic po tym nie zostanie, mówi on. Sterta kamieni, kilka starych słów. Już go nie ma, zniknęło z powierzchni ziemi. Nikt nie będzie pamiętał.

Ale było takie piękne, mówi ona. Teraz wydaje się jej, że знаła to miejsce: że znała je bardzo dobrze, znała je jak własną kieszeń. Na niebie wzeszły trzy

księżycy. Zykron, myśli. Ukochana planeta, kraina mojego serca. Gdzie kiedyś, dawno temu, byłam szczęśliwa. Wszystko zniknęło, wszystko zniszczono. Nie może patrzeć na płomienie.

Piękny widok dla niektórych, mówi on. To zawsze był problem.

Co poszło nie tak? Kto to zrobił?

Stara kobieta.

Co?

L'histoire, cette vieille dame exaltée et menteuse.

Świeci jak blacha. Ma wypukłe źrenice. Jest inny, niż zapamiętała. Wszystko, co czyniło go wyjątkowym, spłonęło. Nieważne, mówi on. Znów je odbudują. Zawsze tak robią.

Teraz się go boi. Tak bardzo się zmieniłeś, mówi.

Sytuacja była krytyczna. Musieliśmy odpowiedzieć ogniem na ogień.

A jednak zwyciężyliście. Wiem, że zwyciężyliście!

Nikt nie zwyciężył.

Czyżby się pomyliła? Z pewnością donoszono o zwycięstwie. Była parada, mówi. Słyszałam o tym. Grała orkiestra.

Popatrz na mnie, mówi on.

Ale ona nie może. Nie może skupić na nim spojrzenia, on jest nieostry. Jest rozmazany, faluje jak płomień świecy, ale pozbawiony światła. Ona nie widzi jego oczu.

On nie żyje, oczywiście. Oczywiście, że nie żyje, czyż nie dostała telegramu? To tylko wymysł, to wszystko. To tylko inny wymiar. Skąd więc ta rozpacz?

Teraz on odchodzi, a ona nie może go zawołać, z jej gardła nie wydobędzie się żaden dźwięk. Już go nie ma.

Czuje dławiący ciężar wokół serca. Nie, nie, nie, nie, mówi głos w jej głowie. Łzy płyną po jej twarzy.

Wtedy budzi się naprawdę.

XIII

Rękawice

Dziś pada, to drobny, skąpy deszcz wczesnego kwietnia. Niebieskie cebulice już zaczynają kwitnąć, żonkile wystawiły pyszczki na powierzchnię, niezapominajki samosiejki wspinają się ku światłu. Oto znowu kolejny rok roślinnego zgiełku i przepychanek. Wydaje się, że nigdy ich to nie męczy: rośliny nie mają wspomnień, to dlatego. Nie pamiętają, ile razy już to robiły.

Muszę przyznać, iż zdumiewa mnie, że wciąż tu jestem, że wciąż do Ciebie mówię. Wolę traktować to jak monolog, choć nim nie jest: ja niczego nie mówię, ty niczego nie słyszysz. Jedyne, co nas łączy, to ta czarna lina: nić rzucona na pustą stronę, w puste powietrze.

Zimowy lód na przełomie Louveteau prawie zniknął, nawet w zacienionych szczelinach urwiska. Woda, czarna, a potem biała, przemyka przez wapienne rozpadliny i nad głazami, swobodnie jak zwykle. To brutalny dźwięk, ale kojący: niemal ponętny. Można zrozumieć, jak ludzie do tego ciągną. Do wodospadów, do wysokości, na pustynie, do głębokich jezior – do miejsc, z których nie ma powrotu.

Tego roku jak dotąd tylko jedno ciało w rzece, naćpanej młodej kobiety z Toronto. Kolejna śpiesząca się dziewczyna. Kolejna strata czasu, jej strata. Ma tu krewnych, ciotkę i wuja. Już stali się obiektem ukradkowych spojrzeń, jakby mieli z tym coś wspólnego. Już przybrali osaczoną, rozłuszczoną pozę świadomej niewinności. Jestem pewna, że są bez zarzutu, ale żyją, a wini się tego, kto przeżył. To zasada w takich sprawach. niesprawiedliwa, ale tak już jest.

Wczorajszego ranka przyszedł Walter, żeby dokonać wiosennego przeglądu. Tak właśnie nazywa standardową kontrolę domowych sprzętów, którą robi za mnie co roku. Przyniósł skrzynkę z narzędziami, ręczną piłę elektryczną, elektryczny śrubokręt; niczego nie lubi bardziej od łomotania, zupełnie jak część motoru.

Położył wszystkie te narzędzia na ganku z tyłu, po czym ciężkim krokiem obszedł dom. Kiedy wrócił, miał zadowolony wyraz twarzy.

– W furtce brakuje sztachety – powiedział. – Przybiję ją dzisiaj, a pomału, gdy nie będzie padała.

– Nie zwracaj sobie głowy – mówię mu, jak co roku. – Wszystko się rozpada, ale i tak mnie przeżyje.

Walter to ignoruje, jak zwykle.

– Schody frontowe też – ciągnie. – Trzeba je pomalować. Jeden ze stopni powinno się oderwać – i wstawić nowy. Jeśli zostawi się go zbyt długo, dosta-

nie się tam woda i drewno zgnije. Można zabejcować, na werandzie, tak będzie lepiej dla drewna. Pociągniemy warstwę farby wzdłuż krawędzi schodków, żeby ludzie lepiej widzieli. Teraz łatwo nie zauważyć stopnia i zrobić sobie krzywdę – mówi „my” z uprzejmości, a przez „ludzie” rozumie mnie. – Zrobię ten nowy schodek jeszcze dziś, później.

– Przemokniesz – powiedziałam. – Na kanale pogodowym mówią, że będzie padać.

– Nie, zaraz się przejaśni. – Nawet nie popatrzył na niebo.

Walter wyszedł po niezbędne rzeczy – pewnie po jakieś deski – więc podczas tej przerwy odpoczywałam na sofie w salonie, niczym jakaś efemeryczna powieściowa bohaterka, zapomniana na kartach własnej książki i zostawiona, żeby żółłka, pokryła się pleśnią i rozpadła jak sama książka.

Ponury obrazek, powiedziałyby Myra.

A co innego proponujesz? – odparłabym.

Moje serce znowu źle się zachowuje. Źle się zachowuje, przedziwny zwrot. Tak mówią ludzie, by zbagatelizować powagę swojego stanu. Sugeruje to, że urażona część (serce, żołądek, wątroba, cokolwiek) jest marudnym, rozwydrzonym dzieciakiem, którego można przywołać do porządku kłapsem albo ostrym słowem. I jednocześnie, że te symptomy – te dreszcze i bóle, te palpitacje – to typowe zagrania i że organ, o którym mowa, wkrótce przestanie się wygłupiać i robić z siebie przedstawienie, i znów zaczniesz zachowywać się spokojnie, jak poza sceną.

Lekarz nie jest zadowolony. Mamrotał coś o badaniach i testach, i wycieczkach do Toronto, gdzie czają się specjaliści, ci nieliczni, którzy nie uciekli tam, gdzie trawa jest bardziej zielona. Zmienił mi pigułki, dodał jeszcze inne do arsenału. Zasugerował nawet możliwość operacji. Co się będzie z nią wiązało? – zapytałam. I jakie może przynieść efekty? Za dużo jednego, jak się okazuje, i za mało drugiego. Podejrzewa, że nic poza nowym mechanizmem – to jego zwrot, zupełnie jakbyśmy rozmawiali o zmywarce do naczyń – już nie pomoże. Będę musiała stanąć w kolejce po mechanizm kogoś innego, komu nie będzie on już potrzebny. Żeby nie owijać tego w bawełnę, po serce kogoś innego, wyrwane jakimś młodemu człowiekowi: przecież nikt nie chciałby, żeby mu zainstalowano tak pomarszczone jak to do wyrzucenia. Każdy chciałby czegoś świeżego i soczystego.

Kto wie, skąd biorą te rzeczy? Obstawiam dzieci ulicy z Ameryki Łacińskiej – krąży taka paranoiczna plotka. Kradzione serca, czarny rynek serc, serca wyrwane spomiędzy połamanych żeber, ciepłe i krwawiące, ofiarowane fałszywemu bogowi. Co to jest fałszywy bóg? To my. My i nasze pieniądze. Tak powiedziałyby Laura. Nie dotykaj tych pieniędzy, powiedziałyby Reenie. Nawet nie wiesz, gdzie były.

Czy mogłabym żyć ze sobą, wiedząc, że noszę serce martwego dziecka?

A jeśli nie, to co?

Proszę, nie bierz tego chaotycznego lęku za stoicyzm. Łykam swoje pigułki, chodzę na powolne spacerory, ale nic nie mogę poradzić na lęk.

Po lunchu – kawałek twardego sera, szklanka podejrzanego mleka, zwiędnięta marchewka, w tym tygodniu Myra zaniedbała narzucony samej sobie obowiązek napełniania mojej lodówki – powrócił Walter. Mierzył, piłował, walił młotkiem, po czym zapukał do tylnych drzwi, mówiąc, że przeprosza za hałas, ale teraz wszystko jest na glanc.

– Zrobiłam ci kawę – powiedziałam. To rytuał przy tych kwietniowych okazjach. Czy tym razem ją przypaliłam? Nieważne. Przywykł do kawy Myry.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł. Ostrożnie zdjął gumowe buty i zostawił je na ganku z tyłu – Myra nieźle go wytresowała, nie wolno mu wnosić tego, co ona nazywa jego brudami, na to, co ona nazywa swoimi dywanami – po czym podreptał w gigantycznych skarpetach przez posadzkę w kuchni, która, dzięki energicznemu szorowaniu i polerowaniu przez kobietę Myry, jest teraz równie śliska i zdradziecka jak lodowiec. Kiedyś znajdowała się na niej przydatna kleista powłoka, nagromadzenie kurzu i brudu jak cienka warstwa kleju, ale już jej nie ma. Naprawdę powinnam posypać ją żwirkiem, bo inaczej pośliznę się i zrobię sobie krzywdę.

Patrzenie, jak drepcze Walter, samo w sobie było przyjemnością – słoń stąpający po jajach. Dotarł do stołu w kuchni, położył na nim żółte skórzane rękawice. Wyglądały tam jak gigantyczne, dodatkowe szpony.

– Nowe rękawice – powiedziałam. Były tak nowe, że niemal błyszcząły. Nie miały ani jednej rysy.

– Myra je kupiła. Facet trzy ulice stąd obciął sobie czubki palców wyrzynarką i strasznie się tym zdenerwowała – przestraszyła się, że mnie stanie się to samo albo coś gorszego. Ale ten facet to głupek, przeprowadził się tu z Toronto, przeproszam za brzydkie słowo, nie powinien był bawić się piłą, mogło mu obciąć łeb, niewielka strata. Mówiłem jej, trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby zrobić coś takiego, poza tym nie mam wyrzynarki. Ale i tak każe mi nosić ze sobą to draństwo. Za każdym razem, gdy podchodzę do drzwi, słyszę: „Hej, twoje rękawice”.

– Mógłbyś je zgubić – powiedziałam.

– Kupiłaby następne – odparł ponuro.

– Zostaw je tutaj. Powiedz, że zapomniałeś i że przyjdiesz po nie później. Tylko ich nie bierz – powiedziałam. Wyobraziłam sobie siebie podczas samotnych nocy, jak trzymam jedną z pustych, skórzanych rękawic: byłby to jakiś towarzysz. Żałosne. Może powinnam kupić kota albo małego pieska. Coś ciepłe-

go, bezkrytycznego i puszystego, o przyjaznym spojrzeniu, które pomoże mi czuć nocą. Musimy otaczać się ssakami: zbyt wiele samotności psuje wzrok. Jeśli jednak sprawiłabym sobie coś takiego, najprawdopodobniej potknęłabym się o to i skreśliła sobie kark.

Usta Waltera się wykrzywiły, ukazały się koniuszki górnych zębów. To był uśmiech.

– Wielkie umysły myślą podobnie, co? – odezwał się. – Może powinnaś wyrzucić to świństwo do śmieci, przypadkiem celowo.

– Walter, łobuz z ciebie – powiedziałam. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, wsypał pięć łyżeczek cukru do kawy, wypił ją, po czym położył obie ręce na stole i podźwignął się, jak obelisk wyciągnięty na linach. Ten ruch sprawił, że nagle przewidziałam, co zrobi dla mnie na samym końcu: dźwignie z jednej strony moją trumnę.

On też to wie. Przygotowuje się. Nie na darmo jest złotą rączką. Nie zrobi zamieszania, nie upuści mnie, dopilnuje, żebym podróżowała równo i bezpiecznie podczas mojej ostatniej krótkiej wyprawy.

– W górę ją – powie. I mnie podźwigną.

Smętne. Wiem, i sentymentalne. Ale proszę, wytrzymaj ze mną. Umierającym pozwala się na pewną swobodę, jak dzieciom podczas urodzin.

Domowe ogniska

Wczoraj wieczorem oglądałam wiadomości telewizyjne. Nie powinnam była tego robić, to szkodzi na trawienie. Znowu gdzieś trwa wojna, taka, którą nazywa się lokalną, ale oczywiście nie jest lokalna dla kogoś, kto dostał się w jej tryby. Wszystkie te wojny wyglądają podobnie – mężczyźni w maskujących strojach z chustkami na ustach i nosach, kłęby dymu, wypatroszone budynki, załamani, szlochający cywile. Kolejne matki, niosące kolejne bezwładne dzieci o twarzach zbryzganych krwią; kolejni prerażeni starcy. Wywlekają młodych mężczyzn i ich mordują, chcąc uprzędzić zemstę, jak Grecy w Troi. Z tego, co pamiętam, pod tym pretekstem Hitler zabijał żydowskie niemowlęta.

Te wojny wybuchają i się kończą, ale zaraz rozpala się kolejny płomień. Domy pękają jak rozbite jaja, ich zawartość płonie, zostaje rozkradziona albo zgnieciona pod butem; uchodźców ostrzeliwuje się z samolotów. W milionach piwnic przerażone rodziny królewskie stoją przed plutonem egzekucyjnym: klejnoty zaszyte w gorsetach ich nie ocala. Wojska Heroda patrolują tysiące ulic, tuż obok Napoleon ucieka ze srebrną zastawą. Inwazji, jakiegokolwiek inwazji, towarzyszą rowy pełne zgwałconych kobiet. Szczerze mówiąc, także zgwałconych mężczyzn. Zgwałconych dzieci, zgwałconych psów i kotów. Wszystko wymyka się spod kontroli.

Ale nie tutaj, nie w tym spokojnym, nudnym zaścianku, nie w Port Ticonderoga, choć mamy jednego czy dwóch narkomanów w parku, od czasu do czasu zaś zdarzają się włamania, a w rzecznych wirach można natrafić na ciało topielca. Przycupnęliśmy tutaj, popijamy przed snem drinki i skubimy przekąski, zerkając na świat jak gdyby przez ukryte okienko, a kiedy mamy dosyć, po prostu je zamykamy. Wystarczy tego dwudziestego wieku, mówimy, idąc na górę po schodach. Słychać jednak daleki ryk, jak falę przyływu pędzącą w głąb łądu. Oto nadchodzi dwudziesty pierwszy wiek, nadlatuje z góry jak kosmiczny statek wypełniony bezlitosnymi kosmitami o jaszczurczych oczach albo jak metalowy pterodaktyl. Wcześniej czy później zdmuchnie nas, rozerwie dachy naszych lichych nor swoimi żelaznymi szponami i wtedy będziemy równie nadzy, drżący, wygłodniali, chorzy i pozbawieni nadziei jak wszyscy.

Przepraszam za tę dygresję. Człowiek w moim wieku ulega takim apokaliptycznym wizjom. Mówi: Koniec świata jest bliski. Okłamuje sam siebie – cieszę się, że go nie doczekam – kiedy tak naprawdę o niczym bardziej nie marzy, pod warunkiem, że mógłby go oglądać przez ukryte okienko, pod warunkiem, że jego by nie dotyczył.

Ale po co zawracać sobie głowę końcem świata? Każdego dnia jest koniec

świata, dla kogoś. Czas rośnie i rośnie, a kiedy osiąga twoich oczu, toniesz.

Co się działo dalej? Na chwilę straciłam wątek, trudno mi sobie przypomnieć, ale udaje mi się to. Wybuchła wojna, oczywiście. Nie byliśmy na nią przygotowani, ale jednocześnie wiedzieliśmy, że kiedyś już tak było. To był ten sam chłód, chłód, który napłynął jak mgła, chłód, w którym się urodziłam. Tak jak wtedy, wszystko napelniło się drżącym niepokojem – krzesła, stoły, ulice i lampy uliczne, niebo, powietrze. Z dnia na dzień wielka część tego, co postrzegano jak rzeczywistość, po prostu zniknęła. Tak się dzieje, kiedy trwa wojna.

Ale masz o wiele za mało lat, żeby wiedzieć, która to była wojna. Każda wojna jest wojną dla tego, kto ją przeżył. Ta, o której piszę, zaczęła się na początku września 1939 roku i trwała aż do... Cóż, to jest w encyklopediach. Możesz sobie sprawdzić.

Nie pozwól, by zgasło domowe ognisko, to było jedno z dawnych wojennych haseł. Za każdym razem, gdy je słyszałam, wyobrażałam sobie tłum kobiet z rozwianym włosiem i błyszczącymi oczami, idących ukradkiem, pojedynczo lub dwójkami, w świetle księżyca, podpalających własne domy.

W miesiącach poprzedzających wybuch wojny moje małżeństwo z Richardem już się rozpadało, choć można by powiedzieć, że rozpadało się od samego początku. Poroziłam raz, potem następny. Richard z kolei miał jedną kochankę, a potem następną, tak przynajmniej podejrzewałam – to było nieuniknione (powie później Winifred), ze względu na słaby stan mojego zdrowia i potrzeby Richarda. W tamtych czasach mężczyźni mieli potrzeby. Te potrzeby były liczne; żyły pod powierzchnią, w ciemnych kątach i zakamarkach męskiego bytu i od czasu do czasu zbierały siły i ruszały naprzód, jak plaga szczerów. Biorąc pod uwagę ich przebiegłość i siłę, jak można było oczekiwać, że prawdziwy mężczyzna z nimi wygra? To zasada, jak twierdziła Winifred i – bądźmy sprawiedliwi – nie ona jedna.

Kochankami Richarda były (jak założyłam) jego sekretarki – zawsze bardzo młode, zawsze ładne, zawsze przyzwoite dziewczęta. Zatrudniał je tuż po szkole, która je produkowała. Przez pewien czas traktowały mnie z nerwową protekcyjnością, kiedy dzwoniłam do jego biura. Na jego polecenie kupowały mi prezenty i zamawiały kwiaty. Chciał, żeby znały priorytety: ja byłam oficjalną żoną, a on nie miał zamiaru się ze mną rozwieść. Rozwiedzeni mężczyźni nie zostawali przywódcami swoich krajów, nie w tamtych czasach. Ta sytuacja dawała mi trochę władzy. Ale ta władza była władzą tylko wtedy, kiedy z niej nie korzystałam. Tak naprawdę była to władza tylko wówczas, kiedy udawałam, że o niczym nie wiem. Wisiała nad nim groźba, że mogłabym się dowiedzieć; że może odkryję to, co już było odkrytym sekretem, i uwolnię całe zło.

Czy to mnie obchodziło? Tak, w pewien sposób. Lepsze pół bochenka chle-

ba niż nic, powtarzałam sobie, a Richard był właśnie połową bochenka. Był chlebem na stole, dla Aimee, a także dla mnie. Bądź ponad to, jak mawiała Renie, więc usiłowałam być ponad to, wysoko w powietrzu, jak zerwany ze sznurka balon, i czasem mi się udawało.

Organizowałam sobie czas, nauczyłam się to robić. Teraz na poważnie zajęłam się ogrodnictwem i odniosłam pewne sukcesy. Nie wszystko uszło. Miałam w planach posadzenie bylin w cieplarni.

Richard zachowywał pozory. Ja też. Chodziliśmy na koktajle i kolacje, razem wchodziliśmy i wychodziliśmy, jego ręka na moim łokciu. Zwyczajowo wypijaliśmy przed kolacją drinka albo dwa, albo trzy; trochę za bardzo polubiłam dżin, w takim czy innym drinku, ale nie było to niebezpieczne, dopóki czułam palce u nóg i trzymałam język za zębami. Wciąż ślizgaliśmy się po powierzchni spraw – po cienkim lodzie dobrych manier, który krył pod sobą mroczny staw: gdyby się rozpuścił, utonęlibyśmy.

Lepsze pół życia niż żadne.

Nie udało mi się pokazać Richarda w szerszym kontekście. Jest dwuwymiarową sylwetką wyciętą z kartonu. Wiem o tym. Nie potrafię prawdziwie go opisać, nie potrafię właściwie ustawić ostrości: jest zamazany, jak twarz w jakiejś mokrej, wyrzuconej gazecie. Nawet wtedy wydawało mi się, że jest niezwykły, a jednocześnie, że nie mógłby być przeciętniejszy. To ze względu na to, że miał zbyt wiele pieniędzy, był zbyt znany – kusilo, żeby spodziewać się po nim więcej, niż rzeczywiście sobą reprezentował, więc to, co było w nim przeciętne, wydawało się słabością. Był bezlitosny, ale nie jak lew, raczej jak przerośnięty gryzoń. Rył pod ziemią, zabijał, obgryzając korzenie.

Miał środki do czynienia wielkich gestów, aktów znaczącej hojności, ale tego nie wykorzystał. Był jak rzeźba samego siebie: olbrzymia, publiczna, imponująca, pusta.

Nie chodzi o to, że przeceniał swoje możliwości, on do nich nie dorósł. W dużym skrócie.

Gdy wybuchła wojna, znalazł się w trudnej sytuacji. Zbyt się spoufalał z Niemcami w interesach, zbyt ich podziwiał w swoich mowach. Jak wielu sobie podobnych przymykał oko na brutalne pogwałcenie przez nich demokracji; demokracji, którą wielu z naszych przywódców potępiało jako niewykonalną, ale której teraz chętnie broniło.

Richard także stanął przed perspektywą utraty sporych pieniędzy, gdyż nie mógł już robić interesów z tymi, którzy z dnia na dzień stali się wrogami. Musiał trochę pobić się w piersi, trochę się popłaszyc; nie bardzo to do niego pasowało, ale to zrobił. Zdołał się uratować i znowu wkraść w łaski – cóż, nie on jeden miał brudne ręce, więc lepiej dla innych było nie wskazywać go własnymi

poplamionymi palcami – wkrótce więc jego fabryki pracowały pełną parą dla wysiłku wojennego i nikt nie był większym patriotą od niego. Dlatego nie ucierpiał, kiedy Rosjanie stanęli po stronie aliantów i Józef Stalin stał się nagle ukochanym wujkiem wszystkich. Co prawda Richard stanowczo wypowiadał się przeciwko komunistom, ale to było dawno temu. Wszystko zmieciono pod dywan, bo czyż nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół nie są naszymi przyjaciółmi?

Tymczasem wlokłam się przez dni, nie jak zawsze – jak zawsze się zmieniało – ale najlepiej, jak potrafiłam. „Uparta”, to słowo, którego użyłabym teraz, żeby opisać siebie w tamtym czasie. Albo „otępiała”, to też pasuje. Koniec z przyjaciółmi, żeby się rozerwać, koniec z jedwabnymi pończochami, chyba że na czarnym rynku. Racjonowano mięso, masło i cukier: jeśli chciało się ich więcej, więcej niż mieli inni ludzie, trzeba było nawiązać pewne kontakty. Koniec z transatlantyckimi podróżami na luksusowych liniowcach – „Queen Mary” zmieniła się w okręt wojenny. Radio przestało być przenośną muszlą dla orkiestry, stało się gorączkową wyrocznią; każdego wieczoru włączałam je, by wysłuchać wiadomości, które na początku zawsze były złe.

Wojna nadal trwała, jak ryk niezmordowanego motoru. To ciągle, przerażające napięcie wykańczało ludzi. Przypominało słuchanie cudzego zgrzytania zębami, o zmierzchu przed świtem, gdy leży się bezsennie noc w noc.

Były jednak pewne korzyści. Pan Murgatroyd opuścił nas, żeby się zaciągnąć do wojska. Właśnie wtedy nauczyłam się prowadzić. Wzięłam jeden z samochodów, chyba był to bentley, a Richard zarejestrował go na mnie – dzięki temu zyskaliśmy więcej benzyny. (Benzynę racjonowano, oczywiście, chociaż nie takim ludziom jak Richard). To także dało mi więcej swobody, chociaż nie takiej, która byłaby mi jeszcze do czegokolwiek potrzebna.

Przeziębłam się, a przeziębienie przerodziło się w zapalenie oskrzeli – tamtej zimy wszyscy byli chorzy. Miesiącami się leczyłam, wiele czasu spędzałam w łóżku, czując smutek. Ciągle kaszlałam. Nie chodziłam już na kroniki filmowe – przemowy, bitwy, bombardowania, zniszczenia, zwycięstwa, nawet inwazje. Czasy pełne zamętu, jak nam mówiono, ale straciłam zainteresowanie.

Nadchodził koniec wojny. Był coraz bliżej. A potem nastąpił. Pamiętam ciżbę, kiedy skończyła się poprzednia wojna, a następnie bicie dzwonów. Wtedy był listopad, z lodem na kałużach, a teraz wiosna. Odbywały się parady. Obwieszczenia. Dęto w trąby.

Zakończenie tej wojny nie było jednak takie łatwe. Wojna to olbrzymie ognisko: popioły daleko odlatują i wolno osiadają.

Cukiernia Diany

Dziś doszłam aż do mostu Jubileuszowego, potem do cukierni, gdzie zjadłam prawie jedną trzecią pomarańczowego chruścika. Wielkiej bryły mąki i tłuszczu, rozlewającej się po moich arteriach jak muł.

Potem poszłam do łazienki. Ktoś był w środkowej kabinie, więc czekałam, unikając lustra. Wiek ujmuje skórze grubości, można zobaczyć żyły, ścięgna. Ale dodaje grubości człowiekowi. Trudno jest wrócić do tego, kim się kiedyś było, kiedy nie miało się ochronnej warstwy.

W końcu drzwi się otworzyły i wyszła z nich dziewczyna – ciemnowłosa dziewczyna w ponurym stroju z oczami obwiedzionymi sadzą. Krzyknęła cicho, po czym się roześmiała.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie widziałam pani, cicho się pani zakradła.

Miała obcy akcent, ale była stąd: należała do narodu młodych. To ja teraz byłam obca.

Najnowszą wiadomość napisano złotym flamastrem: „Nie trafisz do nieba bez Jezusa”. Komentatorki już wzięły się do roboty: wykreślono słowo „Jezusa”, napisano nad nim na czarno „śmierci”.

Niżej na zielono: „Niebo to ziarnko piasku. Blake”.

Jeszcze niżej na pomarańczowo: „Niebo jest na planecie Ksenor. Laura Chase”.

Kolejny przekreślony cytat.

Wojna oficjalnie zakończyła się w pierwszym tygodniu maja – to znaczy wojna w Europie. To jedyna jej część, która dotyczyła Laury.

Tydzień później zatelefonowała. Zadzwoiła rano, godzinę po śniadaniu, więc musiała wiedzieć, że Richarda nie będzie w domu. Nie rozpoznałam jej głosu. Przestałam już na nią czekać. Początkowo myślałam, że to kobieta od mojej krawcowej.

– To ja – powiedziała.

– Gdzie jesteś? – zapytałam ostrożnie. Musisz pamiętać, że wtedy była już dla mnie niewiadomą – niekoniecznie zrównoważoną.

– Jestem tutaj – odparła. – W mieście.

Nie chciała powiedzieć, gdzie się zatrzymała, ale wskazała mi róg ulicy, na który mogłam po nią przyjechać, później tego popołudnia. Powiedziałam, że wobec tego pójdziemy na herbatę. Zamierzałam ją zabrać do Cukierni Diany. Herbaciarnia była bezpieczna, odosobniona, obsługiwała głównie kobiety; znano mnie tam. Powiedziałam, że przyjadę samochodem.

- O, masz teraz samochód?
- Tak jakby. – Opisałam go.
- To wygląda raczej na rydwan – stwierdziła radośnie.

Stała na rogu King i Spadina, tak jak mówiła. Nie była to specjalnie elegancka dzielnica, ale Laurze to najwyraźniej nie przeszkadzało. Zatrąbiłam, a ona pomachała, po czym podeszła i wsiadła. Przechyliłam się i pocałowałam ją w policzek. Natychmiast poczułam się jak zdrajczyni.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś – powiedziałam do niej.
- Ale jestem.

Nagle poczułam, że zaraz się rozplaczę; ona wydawała się niezbyt przejęta. Jednak jej policzek był bardzo chłodny. Chłodny i szczupły.

– Mam nadzieję, że nie mówiłaś Richardowi – odezwała się. – O tym, że tu jestem. Ani Winifred – dodała – bo to to samo.

- Nie zrobiłabym tego – odparłam. Nic nie powiedziała.

Ponieważ prowadziłam, nie mogłam spojrzeć jej w twarz.

Musiałam zaczekać, aż zaparkuję samochód, aż wejdziemy do Cukierni Dia-ny, aż usiądziemy naprzeciwko siebie. Wreszcie mogłam ją zobaczyć w całej okazałości.

Była i nie była Laurą, którą pamiętałam. Była starsza, oczywiście – obie byłyśmy starsze – ale nie tylko o to chodziło. Miała schludne, niemal surowe ubranie, szaroniebieską szmizjerkę z plisowaną górą i małymi guziczkami na przodzie; włosy ściągnęła w surowy kok. Wydawała się skurczona, zapadnięta w sobie, wyblakła, ale jednocześnie półprzezroczysta – jakby małe igiełki światła przekłuły jej skórę od środka, jakby kolce światła wyrastały z niej w formie szpiczastej mgielki, niczym oset unoszący się ku słońcu. Trudno opisać to wrażenie. (Nie przywiązuaj też do niego zbyt wielkiej wagi: już wtedy szwankował mi wzrok, już wtedy potrzebowałam okularów, choć jeszcze o tym nie wiedziałam. Nieostre światło wokół Laury mogło być spowodowane moją wadą wzroku).

Złożyłyśmy zamówienie. Ona chciała kawę zamiast herbaty. Ostrzegłam ją, że to będzie mama kawa – nie dostanie się dobrej kawy w takim miejscu, ze względu na wojnę. Ale ona odparła:

- Przywykłam do marnej kawy.

Zapadło milczenie. Zupełnie nie wiedziałam, od czego zacząć. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby zapytać, co robi znowu w Toronto. Gdzie była przez ten cały czas, zapytałam. Co robiła?

- Byłam w Awilionie, z początku – odparła.

– Ale przecież był zamknięty! – Rzeczywiście, przez całą wojnę. Nie byliśmy tam od lat. – Jak się dostałaś do środka?

- Och, sama wiesz – powiedziała. – Zawsze potrafiłyśmy się dostać do

środka, kiedy tylko chcieliśmy.

Przypomniałam sobie zsypany węgiel, podejrzany zamek na jednych z piwnicznych drzwi. Ale go naprawiono, dawno temu.

– Wybiłaś okno?

– Nie musiałam. Reenie miała klucz – wyjaśniła. – Ale nikomu nie mów.

– Nie rozpałabyś w piecu. Musiało ci być tam zimno – stwierdziłam.

– I było – odparła. – Za to mieszkało tam mnóstwo myszy.

Pojawiła się nasza kawa. Smakowała spalonymi skórkami od tostów i pieczoną cykorią, co nie było dziwne, zwłaszcza że właśnie to do niej wrzucano.

– Chcesz coś słodkiego? – spytałam. – Mają tu niezłe ciastka.

Była taka szczupła, pomyślałam, że ciastko dobrze by jej zrobiło.

– Nie, dziękuję.

– No to co potem robiłaś?

– Potem skończyłam dwadzieścia jeden lat, dostałam trochę pieniędzy po ojcu. I pojechałam do Halifaksu.

– Do Halifaksu? Dlaczego do Halifaksu?

– Bo tam przyplływają statki.

Nie drażyłam tego. Krył się za tym jakiś powód, jak zawsze w przypadku Laury: to był powód, o którym bałam się usłyszeć.

– Ale co robiłaś?

– To i owo – stwierdziła. – Staralam się być pożyteczna. – I to wszystko, co powiedziała na ten temat. Podejrzewałam, że chodziło o jakąś jadłodajnię albo jej odpowiednik. Czyszczenie toalet w szpitalu, coś w tym rodzaju. – Nie dostałaś moich listów? Z Bella Vista? Reenie mówiła, że nie.

– Nie – powiedziałam. – Nigdy nie dostałam żadnych listów.

– Pewnie je kradli. I nie pozwalali ci zadzwonić ani przyjechać do mnie z wizytą?

– Powiedzieli, że to ci zaszkodzi.

Roześmiała się krótko.

– To mogłoby zaszkodzić tobie – powiedziała. – Naprawdę nie powinnaś tu mieszkać, w tym domu. Nie powinnaś z nim zostawać. Jest bardzo zły.

– Wiem, że zawsze tak uważałaś, ale co mogę zrobić? – zapytałam. – Nigdy nie da mi rozwodu. A ja nie mam żadnych pieniędzy.

– To nie jest usprawiedliwienie.

– Może nie dla ciebie. Masz swój fundusz powierniczy od ojca, ale ja nie mam niczego takiego. A co z Aimee?

– Mogłabyś ją ze sobą zabrać.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Mogłaby nie chcieć odejść. Jest teraz bardzo przywiązana do Richarda, musisz wiedzieć.

– Niby dlaczego? – zapytała Laura.

– Rozpieszcza ją. Daje jej rozmaite rzeczy.

– Pisałam do ciebie z Halifak.su – zmieniła temat.
– Tych listów też nie dostałam.
– Zapewne Richard czyta twoją pocztę – powiedziała Laura.
– Zapewne tak – stwierdziłam. Rozmowa zaczynała przybierać niespodziewany obrót. Założyłam, że będę pocieszała Laurę, współczuła jej, wysłuchawszy smutnej opowieści, tymczasem to ona mnie pouczała. Jak łatwo wśliznęłyśmy się w nasze dawne role.
– Co on ci o mnie powiedział? – zapytała teraz. – Kiedy już umieścił mnie w tamtym miejscu?

I ten temat także wypłynął, wprost na nasz stolik. Stałam na rozdrożu: albo Laura oszalała, albo Richard kłamał. Nie mogłam uwierzyć ani w jedno, ani w drugie.

– Opowiedział mi historię – wymigałam się.
– Jaką historię? Nie przejmuj się, to mnie nie przygnębi. Po prostu chcę wiedzieć.

– Powiedział, że jesteś... cóż, niespełna rozumu.
– Oczywiście. To do niego podobne. I co jeszcze?
– Powiedział, że myślałaś, że jesteś w ciąży, ale to było urojenie.
– Byłam w ciąży – oznajmiła Laura. – O to właśnie chodziło – dlatego w takim pośpiechu mnie zabrali. On i Winifred – przestraszyli się. Hańby, skandalu – możesz sobie wyobrazić, jak, ich zdaniem, wpłynęłoby to na jego przyszłą karierę.

– Tak, mogę to sobie wyobrazić. – I rzeczywiście mogłam: ukradkowy telefon od lekarza, panikę, pospieszną naradę tych dwojga, błyskawiczny plan. Potem inną wersję wydarzeń, fałszywą, wymyśloną specjalnie dla mnie. Z zasady byłam potulna, ale musieli wiedzieć, że istnieje jakaś granica. Bali się tego, co mogłabym zrobić, gdyby ją przekroczyli.

– Tak czy inaczej, nie urodziłam tego dziecka. To jedna z tych rzeczy, które robią w Bella Vista.

– Jedna z tych rzeczy?
– Poza bredzeniem, proszkami i maszynami. Zajmują się usuwaniem – powiedziała. – Nokautują cię eterem, jak dentysta. Później wyciągają dziecko. A potem mówią ci, że wszystko zmyśliłaś. Jeśli ich o to oskarżysz, twierdzą, że jesteś zagrożeniem dla siebie i innych.

Była taka spokojna, taka wiarygodna.

– Laura – odezwałam się. – Jesteś pewna? To znaczy, w kwestii dziecka. Jesteś pewna, że naprawdę było?

– Oczywiście, że jestem pewna – odparła. – Dlaczego miałabym wymyślać coś takiego?

Wciąż miałam wątpliwości, ale tym razem uwierzyłam Laurze.

– Jak to się stało? – wyszeptałam. – Kto był ojcem?

Coś takiego prosiło się o szept.

– Jeśli sama nie wiesz, to wątpię, żebym mogła ci powiedzieć.

Podejrzałam, że musiało chodzić o Alexa Thomasa. Alex był jedynym mężczyzną, któremu Laura kiedykolwiek okazywała zainteresowanie – oprócz ojca i Boga. Nie chciałam przyjąć do wiadomości takiej możliwości, ale nie było innego wyjścia. Musieli się spotykać wtedy, kiedy uciekała na wagary z pierwszej szkoły w Toronto, i później, kiedy już wcale nie chodziła do szkoły; kiedy rzekomo pocieszała zniedołężniałych, biednych staruszków w szpitalu, ubrana w swój afektowany, świętoszkowaty fartuszek, a przez cały czas potwornie kłamała. On bez wątpienia przeżywał tani dreszczyk związany z fartuszkami, taka mała dewiacja by mu się spodobała. Może dlatego rzuciła szkołę – żeby spotykać się z Alexem. Miała – ile? – szesnaście, siedemnaście lat? Jak mógł zrobić coś takiego?

– Byłaś w nim zakochana? – odezwał się.

– Zakochana? – powtórzyła Laura. – W kim?

– W... no, wiesz. – Nie mogłam tego powiedzieć.

– O, nie – odparła Laura. – Ani trochę. To było straszne, ale musiałam to zrobić. Musiałam złożyć ofiarę. Musiałam wziąć ból i cierpienie na siebie. Obiecałam to Bogu. Wiedziałam, że jeśli to zrobię, ocalę Alexa.

– Co ty na litość boską opowiadasz? – Moja nowo odnaleziona wiara w zdrowie psychiczne Laury zaczęła się załamywać: znów znalazłyśmy się w królestwie jej wariackiej metafizyki. – Ocalisz Alexa przed czym?

– Przed złapaniem. Zastrzeliliby go. Callie Fitzsimmons wiedziała, gdzie był, i powiedziała to. Powiedziała Richardowi.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Callie była kapusiem – powiedziała Laura. – Tak mówił Richard – mówił, że Callie go informuje. Pamiętasz, jak siedziała w więzieniu, a Richard ją wyostał? Dlatego to zrobił. Był jej coś winien.

Ta konstrukcja wydarzeń zapierała mi dech w piersiach. Była też przerażająca, choć istniała niewielka, bardzo niewielka możliwość, że okaże się prawdziwa. Ale jeśli tak, to Callie musiałaby kłamać. Skąd by wiedziała, gdzie jest Alex? Tak często się przeprowadzał.

Mógł jednak utrzymywać kontakt z Callie. Mógł to robić. Była jedną z osób, którym ufał.

– Dotrzymałam umowy – ciągnęła Laura – i podziałało. Bóg nie oszukuje. Ale potem Alex poszedł na wojnę. To znaczy po powrocie z Hiszpanii. Tak mówiła Callie – powiedziała mi to.

Nie mogłam się w tym połapać. Czułam, że kręci mi się w głowie.

– Laura – odezwał się. – Dlaczego tu przyjechałaś?

– Bo wojna się skończyła – wyjaśniła mi cierpliwie Laura – i Alex wkrótce wróci. Gdyby mnie tu nie było, nie wiedziałby, gdzie mnie znaleźć. Nie wiedział-

by o Bella Vista, nie wiedziałyby, że pojechałam do Halifaksu. Jedyne mój adres, który ma, to twój adres. Jakoś dostarczy mi wiadomość. – Mówiła z denerwującym przekonaniem prawdziwie wierzącej osoby.

Chciałam nią potrząsnąć. Zamknęłam na chwilę oczy. Ujrzałam oczko wodne w Awilonie, kamienną nimfę moczącą palce u stóp; ujrzałam zbyt gorące słońce na gumowanych zielonych liściach, dzień po pogrzebie mamy. Czułam, że jest mi niedobrze, od zbyt dużej ilości ciasta i cukru. Laura siedziała obok mnie, nucąc sobie z zadowoleniem, bezpieczna w przekonaniu, że wszystko jest w porządku i że anioły stoją po jej stronie, jakby zawarła jakiś sekretny, wariacki pakt z Bogiem.

Palce śwędziły mi ze złości. Wiedziałam, co się zaraz stanie. Zepchnęłam ją.

Teraz dochodzę do części, która wciąż mnie prześladowuje. Powinnam była ugryźć się w język, powinnam była trzymać buzię na kłódkę. Z miłości powinnam była skłamać albo powiedzieć coś innego: cokolwiek, byle nie prawdę. Nigdy nie budź lunatyka, mawiała Reenie. Szok może go zabić.

– Laura, niechętnie ci to mówię – odezwałam się – ale cokolwiek zrobiłaś, to nie ocaliło Alexa. Alex nie żyje. Zginął na wojnie, pół roku temu. W Holandii.

Światło wokół niej zbladło. Zrobiła się bardzo biała. Zupełnie jakbym patrzyła na stygnący wosk.

– Skąd wiesz?

– Dostałam telegram – odparłam. – Wysłali mi go. Zarejestrował mnie jako krewną. – Nawet wtedy mogłam zmienić bieg wydarzeń; mogłam powiedzieć: Musiała zajść jakaś pomyłka, pewnie był przeznaczony dla ciebie. Ale nie powiedziałam. Zamiast tego ciągnęłam: – To było bardzo niedyskretne z jego strony. Nie powinien był tego robić, ze względu na Richarda. Ale nie miał żadnej rodziny, a wiesz, byliśmy kochankami – w tajemnicy, przez dosyć długi czas – i kto inny mu pozostał?

Laura nic nie mówiła. Patrzyła tylko na mnie. Patrzyła przeze mnie na wyłot. Bóg wie, co tam zobaczyła. Tonący statek, miasto w płomieniach, nóż w plecach. Rozpoznałam jednak to spojrzenie: takie samo spojrzenie miała tego dnia, gdy prawie utonęła w Louveteau, gdy szła na dno – przerażone, zimne, frenetyczne. Lśniące jak stal.

Po chwili wstała, sięgnęła przez stół i wzięła moją torebkę, szybko i ostrożnie, jakby było tam coś cennego. Potem odwróciła się i wyszła z cukierni. Nie ruszyłam się, żeby ją powstrzymać. Zaskoczyła mnie, a kiedy zdołałam wstać z krzesła, Laury już nie było.

Zrobiło się zamieszanie w kwestii zapłacenia rachunku – nie miałam pieniędzy poza tymi w torebce, którą moja siostra – jak wyjaśniłam – zabrała przez pomyłkę. Obiecałam, że następnego dnia ureguluję należność. Kiedy zostało to

załatwione, niemal pobiegłam do miejsca, w którym zostawiłam samochód.

Zniknął. Kluczyki też były w mojej torebce. Nie miałam pojęcia, że Laura nauczyła się prowadzić.

Przeszłam kilka przecznic, wymyślając rozmaite historie. Nie mogłam powiedzieć Richardowi i Winifred, co naprawdę się stało z moim samochodem; wykorzystaliby to jako dodatkowy argument przeciwko Laurze. Powiem zamiast tego, że miałam awarię i że samochód odholowano do warsztatu, i że wzywano mi taksówkę, więc wsiadłam w nią i przejechałam całą drogę do domu, zanim zdałam sobie sprawę, że przez pomyłkę zostawiłam torebkę w samochodzie. Nie ma się czym martwić, powiem. Wszystko wyjaśni się rano.

Wtedy naprawdę złapałam taksówkę. Pani Murgatroyd będzie w domu, wpuści mnie i zapłaci kierowcy.

Richard nie wrócił do domu na kolację. Był w jakimś klubie, jadł paskudną kolację, przemawiał. Teraz bardzo się starał, miał cel w zasięgu wzroku. Tym celem – teraz to wiem – nie było jedynie bogactwo czy władza. Pragnął szacunku, szacunku, mimo swojego nuworyszostwa. Tęsknił do szacunku, łaknął go, chciał nim władać, nie za pomocą młotka, lecz berła. Takie pragnienia same w sobie nie są godne potępienia.

Do owego klubu mieli wstęp jedynie mężczyźni; w innym wypadku byłabym tam, siedziałabym w tle, uśmiechając się, na końcu bijąc brawo. Przy takich okazjach jak dzisiejsza dawałam opiekunce Aimee wolny wieczór i sama zajmowałam się małą. Tego szczególnego wieczoru była niezwykle marudna przed snem: musiała wiedzieć, że czymś się przejmuję. Usiadłam przy niej, trzymając ją za rękę, głaszcząc jej czoło i wyglądając przez okno, aż zasnęła.

Dokąd pojechała Laura, gdzie się zatrzymała, co zrobiła z moim samochodem? Jak mogłam się z nią spotkać, co mogłam powiedzieć, żeby wszystko odkręcić?

O okno objął się chrapaszcz, zwabiony światłem. Uderzał o szybę głośno i desperacko, jak ślepiec. Brzmiało to gniewnie, daremnie, a także bezradnie.

Skarpa

Dziś mój mózg uraczył mnie nagłą luką: przypominało to burzę śnieżną. Nie chodzi o to, że zniknęło czyjeś nazwisko – w każdym wypadku to normalne – ale o słowo, które obróciło się do góry nogami i opróżniło ze znaczenia, jak przewrócony papierowy kubek.

To słowo to „skarpa”. Dlaczego się pojawiło? Skarpa, skarpa, powtarzałam, zapewne głośno, ale nie pojawił się żaden obraz. Czy to był przedmiot, czynność, stan umysłu, ułomność ciała?

Nic. Zawrót głowy. Zachwiałam się na krawędzi, złapałam powietrze. W końcu uciekłam się do słownika. Skarpa, pochyła ściana wykopu lub nasypu ziemnego albo naturalna spadzista płaszczyna terenu.

Na początku było słowo, wierzyliśmy kiedyś. Czy Bóg zdawał sobie sprawę, jaką marną rzeczą potrafi być słowo? Jak słabą, jak łatwą do wymazania?

Może to właśnie stało się z Laurą – dosłownie zepchnęło ją w przepaść. Słowa, którym ufała, budując na nich swój domek z kart, wierząc, że są solidne, przewróciły się, odsłaniając pusty środek, a potem odfrunęły jak mnóstwo zmarnowanego papieru.

Bóg. Zaufanie. Poświęcenie. Sprawiedliwość.

Wiara. Nadzieja. Miłość.

Nie mówiąc już o siostrze. Cóż, tak. Zawsze jest jeszcze to.

Rankiem, dzień po podwieczorku z Laurą w Cukierni Diany kręciłam się w pobliżu telefonu. Mijały godziny: ani słowa. Na lunchu miałam się spotkać w Arkadyjskim Dworze z Winifred i dwiema członkiniami jej komitetu. W wypadku Winifred zawsze lepiej było trzymać się uzgodnionych planów – inaczej robiła się ciekawska – więc poszłam.

Opowiedziano nam o ostatnim przedsięwzięciu Winifred, występie kabaretowym na rzecz rannych żołnierzy. Będą śpiewy i tańce, niektóre dziewczęta miały odtańczyć kankana, więc wszystkie musimy zakasać rękawy, wziąć się do roboty i zacząć sprzedawać bilety. Czy sama Winifred zamierzała machać nogami w ozdobnej halce i czarnych pończochach? Miałam szczerą nadzieję, że nie. Teraz była już po tej złej stronie chudości.

– Wyglądasz nieco mizernie, Iris – powiedziała Winifred, przekrzywiając głowę.

– Tak? – odezwałam się uprzejmie. Ostatnio powtarzała mi, że nie jestem w formie. Oznaczało to, że nie robię wszystkiego, co trzeba, żeby windować Richarda, żeby popchnąć go na ścieżce do chwały.

– Tak, jesteś trochę błada. Czy Richard cię męczy? Ileż ten człowiek ma energii! – Była w znakomitym humorze. Jej plany – jej plany dotyczące Richarda – musiały iść dobrze, mimo mojej niedbałości.

Nie mogłam jednak zwracać na nią zbyt wiele uwagi; za bardzo przejmowałam się Laurą. Co zrobię, jeśli wkrótce się nie pojawi? Nie mogę zgłosić kradzieży samochodu; nie chciałam, żeby ją aresztowano. Richard także by tego nie chciał. To nie leżało w niczym interesie.

Wróciłam do domu, gdzie pani Murgatroyd poinformowała mnie, że podczas mojej nieobecności zjawiała się Laura. Nawet nie zadzwoniła do drzwi – pani Murgatroyd przypadkowo przechodziła przez główny hol. To był wstrząs, ujrzeć pannę Laurę we własnej osobie po tylu latach, to jak zobaczyć ducha. Nie, nie zostawiła adresu. Coś jednak powiedziała. Proszę powtórzyć Iris, że porozmawiam z nią później. Coś w tym rodzaju. Zostawiła klucze do domu na tacy do listów, powiedziała, że wzięła je przez pomyłkę. Dziwne, żeby brać klucze przez pomyłkę, stwierdziła pani Murgatroyd, a jej czujny nos węszył coś podejrzanego. Już nie wierzyła w moją historyjkę o warsztacie.

Poczułam ulgę: wszystko może się jeszcze ułożyć. Laura wciąż jest w mieście. Później ze mną porozmawia.

I porozmawiała, a jakże, chociaż lubi się powtarzać, jak to zmarli. Mówią wszystko, co mówili za życia – rzadko jednak mówią coś nowego.

Przebierałam się właśnie po lunchu, kiedy pojawił się policjant z wiadomością o wypadku. Laura przeleciała przez barierkę, a potem spadła z mostu St. Clair Avenue wprost w przepaść pod nim. To była okropna kraksa, powiedział policjant, ze smutkiem potrząsając głową. Prowadziła mój samochód, sprawdzili tablice. Na początku myśleli – naturalnie – że to ja muszę być spaloną kobietą we wraku auta.

To by dopiero była wiadomość.

Kiedy policjant wyszedł, usiłowałam opanować drżenie. Musiałam się uspokoić, musiałam wziąć się w garść. Musisz tańczyć tak, jak ci zagrają, mawiała Renie, ale jaką muzykę miała na myśli? To nie była muzyka do tańca. Zgrzytliwa orkiestra dęta, jakaś parada z tłumem ludzi po obu stronach, wyciągających dłonie i szydzących. Kat na końcu drogi, pełen energii.

Oczywiście, nastąpi krzyżowy ogień pytań ze strony Richarda. Moja historyjka o samochodzie i warsztacie przejdzie, jeśli dodam, że tego dnia spotkałam się z Laurą na podwieczorku, ale nic mu nie mówiłam, bo nie chciałam go niepotrzebnie denerwować przed decydującym przemówieniem. (Teraz wszystkie jego przemówienia były decydujące; piął się na szczyty).

Powiem, że podczas awarii auta Laura była ze mną; towarzyszyła mi do warsztatu. Kiedy zostawiłam torebkę, musiała ją zabrać, po czym z dziecinną

łatwością mogła iść rano do warsztatu i zażądać samochodu, płacąc sfałszowanym czekiem z mojej książeczki czekowej. Wyrwę czek, żeby to uwiarygodnić; jeśli zaczną naciskać w kwestii warsztatu, powiem, że zapomniałam. Dalej indagowana, rozplącę się. Jak mogłabym pamiętać taki trywialny szczegół, w takiej chwili?

Poszłam na górę się przebrać. Do wizyty w kostnicy potrzebowałam rękawiczek i kapelusza z woalką. Mogą tam już być reporterzy, fotografowie. Podjadę tam, pomyślałam, po czym przypomniałam sobie, że mój samochód to teraz złom. Będę musiała zamówić taksówkę.

Powinam też ostrzec Richarda, natychmiast. Jak tylko wieść się rozniesie, opadną go ścierwojady. Był zbyt znany, żeby mogło się stać inaczej. Będzie chciał mieć przygotowane oświadczenie.

Zadzwoiłam. Odebrała najnowsza młoda sekretarka Richarda. Powiedziałam jej, że sprawa jest pilna i że nie mogę tego przekazać przez nią. Muszę osobiście rozmawiać z Richardem.

Nastąpiła przerwa, podczas której szukano Richarda.

– O co chodzi? – spytał. Nie lubił telefonów do pracy.

– Zdarzył się straszny wypadek – powiedziałam. – Chodzi o Laurę. Samochód, który prowadziła, spadł z mostu.

Nic nie powiedział.

– To był mój samochód.

Nic nie powiedział.

– Obawiam się, że ona nie żyje – dodałam.

– Mój Boże. – Cisza. – Gdzie była przez cały ten czas? Kiedy wróciła? Co robiła w twoim samochodzie?

– Myślałam, że będziesz chciał wiedzieć od razu, zanim zajmie się tym prasa – powiedziałam.

– Tak – odparł. – Mądrze postąpiłaś.

– Teraz muszę jechać do kostnicy.

– Do kostnicy? – powtórzył. – Do miejskiej kostnicy? Po co, do diabła?

– Tam ją przewieźli.

– No dobrze, zabierz ją stamtąd – powiedział. – Umieść ją w jakimś przyzwoitym miejscu. Bardziej...

– Ustronnym – dokończyłam. – Dobrze, zrobię to. Powinam ci powiedzieć, że istnieje przypuszczenie – ze strony policji, jeden z nich tu był – sugestia, że...

– Co? Co im powiedziałaś? Jakie przypuszczenie? – Wydawał się bardzo zaniepokojony.

– Tylko, że zrobiła to celowo.

– Nonsens – stwierdził. – To musiał być wypadek. Mam nadzieję, że to powiedziałaś.

– Oczywiście. Ale byli świadkowie. Widzieli...

– Został jakiś list? Jeśli tak, to spal go.

– Było ich dwóch, adwokat i ktoś z banku. Miała białe rękawiczki. Widzieli, jak skręciła.

– Złudzenie optyczne – powiedział. – Albo byli pijani. Zadzwoń do adwokata. Załatwię to.

Odłożyłam słuchawkę. Poszłam do garderoby: będzie mi potrzebne coś czarnego i chusteczka. Pomyślałam, że będę musiała powiedzieć Aimee. Powiem, że to przez most, powiem, że się zawalił.

Otworzyłam szufladę, w której trzymałam pończochy, a tam leżały zeszyty – pięć sztuk tanich, starych zeszytów z czasów pana Erskine’a, przewiązanych sznurkiem. Na okładce leżącego na wierzchu było napisane imię Laury, ołówkiem – jej dziecięcym pismem. Pod tym słowo „Matematyka”. Laura nienawidziła matematyki.

Stare szkolne zadania, pomyślałam. Nie: stare zadania domowe. Dlaczego mi je zostawiła?

Mogłabym się tu zatrzymać. Mogłabym wybrać niewiedzę, ale zrobiłam to, co zrobiłabyś ty na moim miejscu – co robisz teraz, skoro doszłaś tak daleko. Zamiast tego wybrałam wiedzę.

Większość z nas by tak zrobiła. Wybraliśmy wiedzę bez względu na wszystko, chociaż doznalibyśmy obrażeń; jeśli to konieczne, wsadzilibyśmy ręce w płomień. Ciekawość to nie jedyny nasz motyw: miłość czy żal, rozpacz czy nienawiść, oto, co pcha nas naprzód. Bezlitośnie śledzimy umarłych: otwieramy ich listy, czytamy ich pamiętniki, grzebiemy w ich śmieciach, mając nadzieję na wskazówkę, ostatnie słowo, wyjaśnienie od tych, którzy nas opuścili – którzy zostawili nas z całym bagażem, często o wiele bardziej pustym, niż przypuszczaliśmy.

Co z tymi, którzy zostawiają nam takie wskazówki? Czemu zawracają sobie głowę? Z egoizmu? Litości? Chęci zemsty? Zwykłej pretensji do istnienia, tak jak wypisywanie inicjałów na ścianach toalet? Skrzyżowanie obecności i anonimowości – spowiedź bez pokuty, prawda bez konsekwencji – ma swoje zalety. Pozwala zmyć krew z rąk w taki czy inny sposób.

Ci, którzy zostawiają takie dowody, raczej nie powinni się uskarżać, jeśli potem przychodzą nieznajomi i wtykają nosy w każdą rzecz, która kiedyś w ogóle nie powinna była ich interesować. Nie tylko nieznajomi: kochankowie, przyjaciele, krewni. Wszyscy jesteście podglądaczami, wszyscy. Czemu zakładamy, że możemy sobie wziąć coś z przeszłości, tylko dlatego, że to znaleźliśmy? Wszyscy stajemy się hienami cmentarnymi, gdy otworzymy drzwi zamknięte przez innych.

Ale tylko zamknięte. Pomieszczenia wraz z zawartością są nie naruszone. Gdyby ci, którzy je opuścili, chcieli zapomnienia, zawsze pozostawał im ogień.

XIV

Złote pasmo

Muszę się teraz pospieszyć. Widzę już koniec, migoczący daleko przede mną, jak światła przydrożnego motelu ciemną, deszczową nocą. Powojenny hotel ostatniej szansy, gdzie nie zadaje się żadnych pytań, gdzie żadne nazwiska w księdze gości nie są prawdziwe, a płaci się z góry. Recepcja jest ozdobiona starymi światełkami choinkowymi, za nią znajduje się grupa ponurych domków, poduszki pachną pleśnią. Przed nimi dystrybutor benzyny, którego tarcza przypomina księżyc. Brak w nim jednak paliwa, skończyło się wiele dziesiątków lat wcześniej. Stąd się nie wyjeżdża.

Koniec, ciepłe, bezpieczne niebioso. Miejsce odpoczynku. Jeszcze jednak do niego nie dotarłam, jestem stara i zmęczona, przyszłam pieszo i kulejąc. Zgubiłam się w lesie, żadne białe kamienie nie wskazują mi drogi i muszę przejść przez zdradliwy teren.

Wilki, wywołuję was! Martwe kobiety o lazurowych włosach i oczach jak jaskinie pełne węży, przyzywam was! Stańcie wraz ze mną, gdy zbliżamy się do końca! Pokierujcie moimi drżącymi, artretycznymi palcami, tandetnym czarnym długopisem; pomóżcie dziurawemu sercu podróżować jeszcze przez kilka dni, aż wszystko poukładam. Bądźcie moimi towarzyszami, moimi pomocnikami i przyjaciółmi, raz jeszcze, dodaję, bo czyż nie znaliśmy się dobrze w przeszłości?

Wszystko ma swoje miejsce, jak mawiała Reenie; albo, gdy była w gorszym nastroju, do pani Hillcoate: Nie ma kwiatów bez gówna. Pan Erskine zdołał mnie nauczyć paru pożytecznych sztuczek. Zręcznie sformułowana inwokacja do Furii może się przydać w razie potrzeby. Kiedy chodzi przede wszystkim o zemstę.

Początkowo naprawdę wierzyłam, że pragnę jedynie sprawiedliwości. Myślałam, że moje serce jest czyste. Lubimy mieć taką dobrą opinię o własnych motywach, kiedy zamierzamy zrobić coś, co zaszkodzi komuś innemu. Ale jak zauważył pan Erskine, Eros ze swoim tukiem i strzałami nie jest jedynym ślepy m bogiem. Jest jeszcze Iustitia. Niezręczni ślepi bogowie z ostrą bronią: Iustitia dźwiga miecz, którym – zwłaszcza że ma ona przepaskę na oczach – nie-trudno się skaleczyć.

Oczywiście, zechcesz się dowiedzieć, co było w zeszytach Laury. Leżą, jak je zostawiła, związane szorstkim brązowym sznurkiem, pozostawione dla ciebie w moim kufrze podróżnym, razem ze wszystkim innym. Niczego nie zmieniałam. Sama możesz zobaczyć. Brakujące kartki nie zostały wydarte przeze mnie.

Czego oczekiwałam w tym przepełnionym strachem maju 1945 roku? Zwie-

rzeń, wyrzutów? A może pamiętnika, opisującego szczegółowo miłosne spotkania Laury i Alexa Thomasa? Bez wątplenia, bez wątplenia. Byłam przygotowana na cios. I otrzymałam go, choć inaczej, niż sobie wyobrażałam.

Przecięłam sznurek. Rozłożyłam zeszyty. Było ich pięć, z tytułami: „Matematyka”, „Geografia”, „Francuski”, „Historia” i „Łacina”. Księgi wiedzy.

Pisze jak anioł, twierdzi się o Laurze na okładce jednego z wydań *Ślepego zabójcy*. To amerykańskie wydanie, z tego, co pamiętam, ze złotymi literami na okładce: w tamtych stronach przywiązują wielką wagę do aniołów. W rzeczywistości anioły piszą niewiele. Zapisują grzechy i nazwiska potępionych i ocalonych albo ukazują się w postaci pozbawionych ciał rąk i wypisują na ścianach ostrzeżenia. Albo przynoszą posłania, rzadko kiedy radosne: „Bóg z tobą” to dwuznaczne błogosławieństwo.

Jeśli się to wszystko weźmie pod uwagę, to rzeczywiście Laura pisała jak anioł. Innymi słowy, niewiele. Ale do rzeczy.

„Łacina” to pierwszy zeszyt, który otworzyłam. Większość pozostałych w nim stron była nie zapisana: zostały postrzępione resztki kartek z pewnością wyrwanych przez Laurę podczas usuwania starej pracy domowej. Zostawiła jeden ustęp, przetłumaczony – przy mojej pomocy, a także za pomocą biblioteki w Awilionie – z końcowych zdań księgi czwartej *Eneidy* Wergiliusza. Dydona przebiła się mieczem na płonącym stosie czy ołtarzu, ułożonym ze wszystkich przedmiotów powiązanych z Eneaszem, kochankiem, który ją opuścił, by wypełnić swoje przeznaczenie w walce. Choć Dydona krwawi jak zarzynana Świnia, ma problemy z wyzonięciem ducha. Strasznie się wiała. Z tego, co pamiętam, panu Erskine’owi podobała się ta część.

Pamiętam dzień, w którym Laura to pisała. Słońce późnego popołudnia wpadało przez okno w mojej sypialni. Laura leżała na podłodze, machając odzianymi w skarpety stopami, pracowicie przepisując nabazgrany rezultat naszej współpracy do zeszytu. Pachniała mydłem Ivory i wiórkami po temperowaniu ołówka.

Wówczas potężna Junona wzruszyła się jej bólem i niełatwą podróżą i wysłała z Olimpu Iris, by tę duszę cierpiącą uwolniła od ciała, gdyż Dydona nie zmarła śmiercią naturalną ani z ręki innych, ale z rozpacz, szalonym impulsem kierowana. Jeszcze jej Prozerpina nie ścięła złotego pasma z czoła i nie wysłała jej do Hadesu.

Mglista Iris spłynęła z nieba na skrzydłach żółtych jak krokusy, mieniąc się w słońcu mnóstwem kolorów, i okrążyła Dydonę, mówiąc:

– Jak mi kazano, biorę tę świętą rzecz, która należy do Boga Śmierci, i uwalniam cię od ciała.

Wtedy ciepło zniknęło i jej życie rozwiało się z wiatrem.

– Dlaczego musiała obciąć pasmo? – zapytała Laura. – Ta Iris?

Nie miałam pojęcia.

– Po prostu musiała to zrobić – odparłam. – To jakby ofiara.

Sprawiło mi przyjemność, że noszę takie samo imię jak osoba w tej opowieści i że nie nazwano mnie na cześć kwiatu, jak zawsze myślałam. W rodzinie mojej matki dominował botaniczny motyw wśród imion dla dziewczynek.

– To pomogło Dydonie wydostać się z ciała – powiedziała Laura. – Nie chciała już żyć. Uwolniło ją to od nieszczęścia, więc dobrze zrobiła. Prawda?

– Chyba tak – odparłam. Nie bardzo interesowały mnie takie subtelnosci natury etycznej. W poematach dzieją się dziwaczne rzeczy. Nie było po co doszukiwać się w nich sensu. A jednak zastanawiałam się, czy Dydona miała jasne włosy. Wydawała mi się raczej brunetką, przez resztę opowieści.

– Kim jest Bóg Śmierci? Na co mu włosy?

– Dostyc już o włosach – powiedziałam. – Odrobiliśmy łacinę. Teraz skończmy francuski. Pan Erskine za dużo nam zadał, jak zawsze. Uważaj: *Il ne faut pas toucher aux idoles; la dorure en reste aux mains*.

– Może: nie zadawaj się z fałszywymi bogami, bo będziesz miał ręce całe w złotej farbie.

– Tu nie ma nic o farbie.

– Ale to właśnie to znaczy.

– Znasz pana Erskine’a. Nie obchodzi go, co to znaczy.

– Nienawidzę pana Erskine’a. Żałuję, że nie ma z nami panny Przemocy.

– Ja też. Żałuję, że nie ma z nami mamy.

– Ja też.

Panu Erskine’owi niezbyt podobało się tłumaczenie Laury. Całe pokreślił na czerwono.

Jak mam opisać smutek, w którego odmętach się pogrążałam? Nie umiem go opisać, więc nawet nie spróbuję.

Przejrzałam inne zeszyty. Zeszyt do historii był pusty, oprócz fotografii, którą wkleiła Laura – samej siebie i Alexa Thomasa na pikniku fabryki guzików, obojga pokolorowanych na żółto, z moją oderwaną niebieską ręką pełznącą ku nim przez trawnik. W zeszyście do geografii nie było nic poza krótkim opisem Port Ticonderoga, który zadał nam pan Erskine. „To średniej wielkości miasto znajduje się u zbiegu rzek Louveteau i Jogues, słynie z kamieni i innych rzeczy”, brzmiało pierwsze zdanie Laury. Z zeszytu do francuskiego usunięto cały francuski. Zamiast tego znajdowała się w nim lista dziwnych słów, które Alex Thomas zostawił na naszym strychu – więc jednak Laura tego nie spaliła. Anychron, bereł, karchinilowy, diamit, ebonort... Obcy język, to prawda, ale taki, który nauczyłam się rozumieć lepiej, niż kiedykolwiek rozumiałam francuski.

W zeszyście do matematyki była długa kolumna liczb, przy niektórych znajdo-

wały się słowa. Minęło kilka minut, zanim zrozumiałam, co to za liczby. To były daty. Pierwsza zbiegała się z moim powrotem z Europy, ostatnią zapisano jakieś trzy miesiące przed wyjazdem Laury do Bella Vista. Oto zapisane słowa:

Awilion, nie. Nie. Nie. Sunnyside. Nie. Xanadu, nie. „Queen Mary”, nie, nie. Nowy Jork, nie. Awilion. Nie od początku.

„Nimfa Wodna”, X. „Zamroczony”.

Znowu Toronto. X.

X. X. X. X.

O.

I to cała historia. Wszystko było jasne. Cały czas znajdowało się tuż przed moim nosem. Jak mogłam być tak ślepa?

Zatem nie Alex Thomas. Nawet nie Alex. Alex, należał, zdaniem Laury, do innego wymiaru.

Zwycięstwo przychodzi i odchodzi

Po przejrzeniu zeszytów Laury odłożyłam je z powrotem do szuflady z pończochami. Wszystko było jasne, ale niczego nie dałoby się udowodnić. To nie budziło wątpliwości.

Nie kijem go, to pałką, mawiała jednak Reenie. Jeśli nie można iść przed siebie, trzeba kluczyć.

Poczekalam do pogrzebu, a potem jeszcze tydzień. Nie chciałam działać zbyt pochopnie. Lepiej nie ryzykować, niż żałować, tak też mawiała Reenie. Wątpliwy aksjomat: zbyt często jedno wiąże się z drugim.

Richard wyjechał w podróż do Ottawy, w ważną podróż do Ottawy. Sugerował, że mężczyźni na wysokich stanowiskach mogą go poprzeć i wywindować na wyższe stanowisko; jeśli nie teraz, to wkrótce. Powiedziałam mu, a także Winifred, że skorzystam z okazji i pojedę do Port Ticonderoga z prochami Laury w srebrzystej umie. Powiedziałam, że chcę rozsypać te prochy i dopilnuję napisów na monumencie rodziny Chase'ów. Wszystko jak należy.

– Nie obwiniaj się – powiedziała Winifred, mając nadzieję, że będę się obwiniała: gdybym obwiniała siebie, nie zaczęłabym obwiniać nikogo innego. – Pewnych rzeczy nie należy rozpamiętywać.

Jednakże i tak je rozpamiętujemy. Nic nie możemy na to poradzić.

Wyprawivszy Richarda w podróż, dałam służbie wolny wieczór. Powiedziałam, że będę sprawowała pieczę nad domem. Ostatnio często to robiłam – lubiłam być sama w domu, tylko z Aimee, kiedy spała – więc nawet pani Murgatroyd niczego nie podejrzewała. Kiedy horyzont opustoszał, zaczęłam szybko działać. Już wcześniej spakowałam potajemnie parę rzeczy – pudełko z biżuterią, fotografie, *Byliny do skalnego ogródka* – a teraz dokończyłam dzieła. Zapakowałam swoje ubrania, choć oczywiście nie wszystkie; parę rzeczy Aimee, chociaż także nie wszystkie. To, co zdołam, wrzuciłam do kufru podróżnego, tego samego, który kiedyś stanowił część mojej wyprawy, i do walizki od kompletu. Mężczyźni z dworca przyszli po bagaże, jak to było umówione. Dlatego następnego dnia łatwo mi było dojechać na Union Station taksówką, razem z Aimee, a każda z nas miała tylko walizkę podróżną i nic więcej.

Zostawiłam list do Richarda. Napisałam, że w świetle tego, co zrobił – co teraz wiem, że zrobił – nie chcę go nigdy więcej widzieć. Z uwagi na jego ambicje polityczne nie zażądam rozwodu, choć mam pod dostatkiem dowodów jego odrażającego zachowania, dowodów w postaci zeszytów Laury – które – stwierdziłam kłamliwie – umieściłam bezpiecznie w sejfie. Jeśli chodzi mu po głowie, żeby położyć swoje brudne łapska na Aimee, dodałam, to powinien po-

rzucić te plany, gdyż wtedy wywołał niebywały wprost skandal, podobnie zresztą postąpię, jeśli nie zaspokoi moich roszczeń finansowych. Nie były one wygórowane: wszystko, czego chciałam, to kwota pieniędzy wystarczająca na kupno małego domu w Port Ticonderoga i utrzymanie Aimee. Własne potrzeby mogłam zaspokoić w inny sposób.

Podpisałam ten list: „Z poważaniem”, a liżąc kopertę, zastanawiałam się, czy nie zrobiłam błędu w słowie „odrażające”.

Kilka dni przed opuszczeniem Toronto odszukałam Callistę Fitzsimmons. Zrezygnowała z rzeźbienia, teraz zajęła się freskami. Znalazłam ją w towarzystwie ubezpieczeniowym – w biurze zarządu – gdzie pracowała nad zleceniem. Wkład kobiet w wysiłek wojenny, taki był temat – nie na czasie, skoro wojna się skończyła (i o czym żadna z nas jeszcze nie wiedziała, wkrótce malowidło miało zostać zamalowane na krzepiąco nijaki odcień koloru szarobrazowego).

Dali jej całą ścianę. Trzy kobiety z fabryki, w kombinezonach i z dzielnymi uśmiechami, przy produkcji bomb; dziewczyna prowadząca karetkę; dwie robotnice na farmie z motykami i koszykiem pomidorów; kobieta w mundurze niosąca maszynę do pisania; w rogu, w dolnym rogu, wciśnięta w kąt matka w fartuszkach, wyjmująca z pieca bochenek chleba i dwoje przyglądających się jej z aprobatą dzieci.

Callie zdumiała się na mój widok. Nie uprzedziłam jej o swojej wizycie: nie chciałam, żeby mnie unikała. Z włosami ściągniętymi bandaną, w spodniach koloru khaki i tenisówkach, doglądała malarzy, chodząc wokół z rękami w kieszeniach i papierosem przylepionym do dolnej wargi.

Słyszała o śmierci Laury, czytała o tym w gazetach – taka urocza dziewczyna, taka niezwykła jako dziecko, co za strata. Po tych wszystkich wstępach wyjaśniłam, co powiedziała mi Laura, i zapytałam, czy to prawda.

Callie była oburzona. Często powtarzała zwrot: „gówno prawda”. Rzeczywiście, Richard jej pomógł, kiedy Czerwony Oddział aresztował ją za agitowanie, ale myślała, że robi to ze względu na dawne rodzinne układy. Zaprzeczyła, że kiedykolwiek mówiła coś Richardowi o Aleksie czy innym różowym albo czerwonym. Gówno prawda! To byli jej przyjaciele! Co do Alexa, początkowo mu pomagała, kiedy był w takich strasznych tarapatkach, ale potem zniknął, mając u niej dług, a jeszcze później słyszała, że jest w Hiszpanii. Jak mogłaby wygadać, gdzie był, skoro nawet tego nie wiedziała?

Nic nie zyskałam. Być może Richard okłamał w tej sprawie Laurę, jak kłamał mi w innych sprawach. Z drugiej strony, może to Callie kłamała. Czego jednak się po niej spodziewałam?

Aimee nie podobało się w Port Ticonderoga. Chciała do ojca. Chciała do tego, co znała, jak to dzieci. Chciała z powrotem dostać własny pokój. Jak my wszyscy.

Wyjaśniłam jej, że musimy tu trochę zostać. Nie powinnam mówić „wyjaśniłam”, bo nie było żadnych wyjaśnień. Co sensownego mogłam powiedzieć ósmioletniemu dziecku?

Port Ticonderoga było teraz inne, przeszła przez nie wojna. Kilka fabryk ponownie otwarto podczas konfliktu – kobiety w kombinezonach wyrabiały zapalniki do bomb – ale teraz znowu je zamykano. Może przestawia się na pokojową produkcję, kiedy się już okaże, co dokładnie powracający żołnierze zechcą kupić, do domów i dla rodzin, których z pewnością się dorobią. Teraz jednak wielu ludzi nie miało pracy i trzeba było czekać.

Były też wakaty. Elwood Murray nie wydawał już gazety: wkrótce miał się stać nowym, błyszczącym nazwiskiem na pomniku Ofiar Wojny, po tym, jak wstąpił do marynarki i dał się wysadzić w powietrze. Interesujące, o których mężczyznach z miasta mówiło się, że zginęli, a o których, że dali się zabić, jak gdyby była to niezręczność albo nawet celowe, choć mało znaczące działanie – niemal usługa, jak strzyżenie. Umarł w butach, to było najnowsze miejscowe określenie, używane z zasady przez mężczyzn. Człowiek się zastanawiał, czyje buty mieli na myśli.

Mąż Reenie, Ron Hincks, nie został zakwalifikowany do tych nieostrożnych poszukiwaczy śmierci. Uroczyście oświadczono, że zginął na Sycylii, razem z grupą towarzyszy z Port Ticonderoga, którzy wstąpili do Królewskiego Pułku Kanadyjskiego. Reenie dostała rentę, ale niewielką, wynajmowała pokój w swoim małym domku: wciąż pracowała w Barku Betty, chociaż twierdziła, że plecy ją zabijają.

To nie plecy ją zabijały, jak wkrótce miałam się przekonać. To nerki, i dokończyły swoją robotę pół roku po moim powrocie. Jeśli to czytasz, Myro, chcę, żebyś wiedziała, jaki to był poważny cios. Liczyłam na to, że tam będzie – przecież zawsze była? – a teraz, nagle, jej zabrakło.

A potem znów coraz bardziej była, no bo czyj głos słyszałam, kiedy zapragnęłam komentarza na bieżąco?

Oczywiście, pojechałam do Awilionu. Przyszło mi to z trudem. Teren był opuszczony, ogród zarósł, cieplarnia znajdowała się w ruinie, z wybitymi szybami i wyschniętymi roślinami, wciąż w doniczkach. Trochę ich było, nawet w tamtych czasach. Stróżeńskie sfinksy upstrzono kilkoma napisami w rodzaju: „John kocha Mary”; jednego przewrócono. Oczko wodne kamiennej nimfy zatkało się zgniłą trawą i chwastami. Sama nimfa wciąż stała, choć brakowało jej kilku palców. Miała jednak ten sam uśmiech; daleki, tajemniczy, nie zainteresowany.

Nie chciałam się włąmywać do domu: wtedy Reenie wciąż żyła, wciąż miała swój tajny klucz. Dom znajdował się w żalnym stanie: wszędzie kurz i mysie odchody, plamy na zmatowiałym parkiecie w miejscach, w których coś przeciekło. Tristan i Izolda nadal tam byli, górowali nad pustą jadalnią, choć

harfa Izoldy odniosła obrażenia, a jedna czy dwie jaskółki zbudowały gniazdo nad środkowym oknem. Jednak w środku żadnych aktów wandalizmu: wiatr nazwiska Chase wciąż wiał w domu, choć słabo, a blaknąca aura władzy i pieniędzy nadal wisiała w powietrzu.

Obeszłam cały dom. Zapach pleśni był wszechobecny. Przyjrzałam się bibliotece, w której głowa Meduzy nadal dominowała nad kominkiem. Babka Adelia też wciąż tu była, choć zaczęła się zapadać: jej twarz miała teraz wyraz stłumionej, ale radosnej przebiegłości. Założę się, że jednak buszowałaś po domu, pomyślałam o niej. Założę się, że prowadziłaś ukryte życie. Założę się, że to ci pomagało brnąć przed siebie.

Przyglądałam się książkom, otwierałam szuflady. W jednej z nich leżało pudełko próbek guzików z czasów dziadka Benjamina: kółka z białej kości, które zamieniały się w złoto w jego rękach, i przez wiele lat były złotem, a teraz znowu zamieniły się w kość.

Na strychu znalazłam gniazdko, które musiała dla siebie przygotować Laura, po tym jak opuściła Bella Vista: kołdry z kufrów, koce z jej łóżka na dole – pierwszorzędny ślad, gdyby ktoś jej szukał w Awilionie. Leżało tam kilka wyschniętych skórek od pomarańczy, ogryzek jabłka. Jak zwykle nie pomyślała o tym, żeby po sobie posprzątać. W obitym boazerią kredensie kryła się torba drobiazgów, które tam schowała, tego lata z „Nimfą Wodną”: srebrny imbryk, porcelanowe filiżanki i spodki, łyżki z monogramami. Dziadek do orzechów w kształcie aligatora, jedna spinka do mankietów z macicy perłowej, zepsuta zapalniczka, komplet do przypraw bez pojemnika na ocet.

Wróćę później, powiedziałam sobie, i znajdę więcej.

Richard nie zjawił się osobiście, co było (moim zdaniem) dowodem jego winy. Zamiast tego przysłał Winifred.

– Czy postradałaś zmysły? – To była jej salwa na powitanie. (W boksie w Barku Betty, nie chciałam jej w swoim wynajętym domku, nie chciałam jej nigdzie w pobliżu Aimee).

– Nie – odparłam – Laura też nie. Przynajmniej nie tak, jak oboje symulowaliście. Wiem, co zrobił Richard.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedziała Winifred. Miała na sobie etolę z lśniących ogonów norek i uwalniała się od rękawiczek.

– Pewnie kiedy się ze mną ożenił, uznał, że trafia mu się okazja – dwie w cenie jednej. Kupił nas za bezcen, koniec pieśni.

– Nie bądź śmieszna – stwierdziła Winifred, chociaż wyglądała na wstrząśniętą. – Richard ma nie splamione ręce, niezależnie od tego, co mówiła Laura. Jest czysty jak brylant. Popełniłaś poważny błąd w ocenie. Mam ci przekazać, że jest ci gotów to wybaczyć – to twoje zachwianie. Jeśli wrócisz, zamierza ci wybaczyć i zapomnieć.

– Ale ja nie zamierzam – odparłam. – Może jest czysty jak brylant, ale nie brylant czystej wody. To coś całkiem innego.

– Nie podnoś głosu – syknęła. – Ludzie się gapią.

– I tak będą się gapiłi – powiedziałam – skoro wystrzelił się jak koń lady Astor. Wiesz, ta zieleń w ogóle do ciebie nie pasuje, zwłaszcza w twoim wieku. Właściwie to nigdy nie pasowała. Wyglądasz w niej obrzydliwie.

To był celny strzał. Winifred z trudem to przełknęła: nie przywykła do tego nowego, zmijowatego aspektu mojej osoby.

– Czego więc oczekujesz? – zapytała. – Nie chodzi o to, że Richard coś zrobił. Nie chce jednak żadnego skandalu.

– Powiedziałam mu, dokładnie – odparłam. – Przeliterowałam to. A teraz chcę czeku.

– Richard chce zobaczyć Aimee.

– Za nic w świecie nie pozwolę na coś podobnego – oznajmiłam. – Ma apetyt na małe dziewczynki. Wiesz o tym, zawsze wiedziałś. W wieku osiemnastu lat już przekraczałam dopuszczalną granicę. Mieszkanie z Laurą pod jednym dachem było dla niego zbyt kuszące, teraz to widzę. Nie mógł trzymać rąk z dala od niej. Ale ma trzymać łapy z daleka od Aimee.

– Nie bądź niesmaczna – zachnęła się Winifred. Teraz była bardzo zła, pod makijażem pojawiły się plamy. – Aimee to jego córka.

Miałam na końcu języka: „Nie, właśnie, że nie”, ale wiedziałam, że byłby to błąd taktyczny. Prawnie była jego córką, nie mogłam udowodnić, że tak nie jest, wtedy jeszcze nie odkryli tych genów, a gdyby Richard poznał prawdę, jeszcze bardziej chciałby mi wykraść Aimee. Trzymałby ją jako zakładniczkę, a ja straciłabym całą przewagę, którą udało mi się dotąd zyskać. To była nieuczciwa gra.

– Nie cofnąłby się przed niczym – powiedziałam – nawet przed Aimee. Po-tem by ją zapakował do jakiejś nielegalnej farmy aborcyjnej, tak jak to zrobił z Laurą.

– Widzę, że nie ma sensu kontynuować tej dyskusji – stwierdziła Winifred, zabierając swoje rękawiczki, etolę i torebkę z gadziej skóry.

Po wojnie wiele się zmieniło. Zmienił się nasz sposób widzenia świata. Po jakimś czasie ziarniste stłumione szarości i półtony zniknęły. Zamiast nich pojawił się blask południa – krzykliwe, podstawowe, pozbawione cienia barwy. Gorące róże, gwałtowne błękity, biało-czerwone piłki plażowe, fluorescencyjne zielenie plastików, słońce pływające jak reflektor.

Na rogatkach miasteczek i miast szalały buldożery, waliły się drzewa, w ziemi pojawiły się wielkie doły, zupełnie jakby zrzucono tam bomby. Ulice były pełne żwiru i błota. Ukazały się pola nie nagiej ziemi, na których posadzono wrzecionowate młode drzewka – powodzeniem cieszyły się wierzby płaczące. Było

zbyt wiele nieba.

Było mięso, wielkie kawały, plastry i płaty, lśniły w oknach rzeźników. Były pomarańcze i cytryny jasne jak wschód słońca, stopy cukru i góry żółtego masła. Wszyscy wciąż jedli. Zapychali się mięsem w technikolorze i każdą technikolorową żywnością, którą mogli zdobyć, jak gdyby miało nie być jutra.

Ale jutro nadchodziło, nie istniało nic poza jutrem. To wczoraj zniknęło.

Teraz miałam wystarczająco dużo pieniędzy od Richarda, a także z majątku Laury. Kupiłam swój mały domek. Aimee wciąż boczyła się na mnie za odebranie jej od dawnego i dostatniejszego życia. Wyglądało jednak na to, że się zadomowiła, chociaż raz na jakiś czas łapałam jej zimne spojrzenie: już wtedy zdecydowała, że nie satysfakcjonuję jej jako matka. Richard z kolei czerpał korzyści wynikające z oddalenia i stawał się o wiele bardziej atrakcyjny w jej oczach, teraz, gdy go nie było. Jednakże strumień prezentów od niego skurczył się do strużki, więc nie miała zbyt wielkiego wyboru. Obawiam się, że oczekiwałam od niej większego stoicyzmu.

Tymczasem Richard przygotowywał się do pełnienia władzy, która była – zdaniem prasy – w jego zasięgu. To prawda, stanowiłam przeszkodę, ale plotki o separacji wyciszono. Mówiono, że „przebywam na wsi”, i to nikomu właściwie nie przeszkadzało, dopóki byłam gotowa tam zostać.

Bez mojej wiedzy rozpowszechniano inne plotki: że jestem psychicznie nie zrównoważona; że Richard mnie utrzymuje, choć brak mi piątej kleпки; że Richard jest święty. Nie ma nic złego w szalonej żonie, jeśli właściwie się to rozegra: to dzięki temu, że małżonkowie tych u władzy wykazują więcej zrozumienia.

W Port Ticonderoga żyłam dosyć spokojnie. Wychodząc, brnęłam przez mroze pełnych szacunku szeptów, głosów cichnących, gdy znalazłam się dostatecznie blisko, by usłyszeć, a potem rozlegających się ponownie. Uznano, że cokolwiek przydarzyło się Richardowi, to ja jestem czarną owcą. Wylosowałam krótszą słomkę, ale skoro nie ma sprawiedliwości ani drobnych łask, nic nie można było dla mnie zrobić. Działo się to oczywiście jeszcze przed ukazaniem się książki.

Czas mijał. Pracowałam w ogrodzie, czytałam. Już się zajęłam – skromnie, od kilku sztuk zwierzęcej biżuterii od Richarda – handlem przedmiotami z drugiej ręki, który, jak się okazało, bardzo mi się przydał w nadchodzących dziesięcioleciach. Pozornie zapanowała normalność.

Ale nie wylane łzy mogą sprawić, że człowiek jełczeje. To samo robi pamięć. I trzymanie języka na zębami. Rozpoczęły się moje złe noce. Nie mogłam spać.

Oficjalnie Laura zniknęła. Jeszcze kilka lat i będzie tak, jak gdyby nigdy nie ist-

niała. Nie powinnam była składać ślubów milczenia, powtarzałam sobie. Czego chciałam? Niewiele. Tylko jakiegoś pomnika. Ale czym jest pomnik, kiedy się nad tym zastanowić, jeśli nie upamiętnieniem odniesionych ran? Odniesionych i znienawidzonych. Bez pamięci nie może być zemsty.

Żebyśmy nie zapomnieli. Pamiętaj mnie. Twojej opiece powierzamy. Krzyk spragnionych duchów.

Odkryłam, że nie ma nic trudniejszego od zrozumienia umarłych, i nic bardziej niebezpiecznego od ich zignorowania.

Sterta gruzów

Wysłałam książkę. Po pewnym czasie otrzymałam list. Odpowiedziałam na niego. Wydarzenia potoczyły się swoim trybem.

Pojawiły się egzemplarze autorskie, jeszcze przed publikacją. Na skrzydełku obwoluty zamieszczono wzruszającą notkę biograficzną:

Laura Chase napisała Ślepego zabójcę jeszcze przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat. To jej pierwsza powieść, niestety, także ostatnia, panna Chase zginęła tragicznie w wypadku samochodowym w 1945 roku. Z dumą prezentujemy dzieło tej młodej i utalentowanej pisarki w jego pierwszym zdumiewającym rozkwicie.

Wyżej umieszczono zdjęcie Laury, kiepską odbitkę: wyglądała na nim jak upstrzona przez muchy. Tak czy owak, to było coś.

Kiedy wyszła książka, na początku zapanowało milczenie. W końcu to była dość cienka książka, raczej nie nadawała się na bestseller; i choć została dobrze przyjęta w kręgach krytyków z Nowego Jorku i Londynu, tu nie wzbudziła sensacji, nie na początku. Potem dostała się w ręce moralistów, do akcji wkroczyli grzmiący z ambony i miejscowe plotkary, i zaczęła się wrzawa. Kiedy tylko ścierwojady to skojarzyły – Laura Chase była zmarłą szwagierką Richarda Griffena – rzuciły się na książkę. Richard miał już wtedy politycznych przeciwników. Zaczęły się insynuacje.

Opowieść o tym, że Laura popełniła samobójstwo, tak skutecznie wyciszona w tamtym czasie, znowu wydostała się na powierzchnię. Ludzie gadali, nie tylko w Port Ticonderoga, ale i w sferach, które się liczyły. Jeśli to zrobiła, to dla czego? Ktoś zatelefonował anonimowo – ciekawe, kto to był? – i wypłynęła Bella Vista. Zeznanie dawnego pracownika (dobrze opłaconego, jak mówiono, przez jedną z gazet) doprowadziło do dochodzenia w sprawie przeprowadzania tam nielegalnych praktyk, w rezultacie przekopano podwórze i zamknięto klinikę. Z zainteresowaniem przyglądałam się zdjęciu tego miejsca: był to dwór jakiegoś tartakowego barona, zanim stał się kliniką; podobno w jadalni znajdowały się piękne witraże, choć nie tak piękne jak w Awilonie.

Jakaś korespondencja między Richardem a dyrektorem kliniki okazała się wyjątkowo szkodliwa.

Co pewien czas widuję Richarda, albo w wyobraźni, albo we śnie. Jest szary, ale z opalizującym połyskiem, jak olej na kałuży. Rzuca mi podejrzliwe spojrzenie. Kolejny pełen wyrzutów duch.

Tuż zanim gazety ogłosiły jego wycofanie się z oficjalnej działalności politycznej, zadzwonił do mnie, po raz pierwszy od mojego wyjazdu. Był wściekły, a także rozgorączkowany. Powiedziano mu, że w związku ze skandalem przestaje się go uważać za kandydata na stanowisko przywódcy partii, a teraz liczący się ludzie nie odpowiadali na jego telefony. Traktowano go ozięble. Poniósł klęskę. Powiedział, że zrobiłam to specjalnie, żeby go zrujnować.

– Co zrobiłam? – spytałam. – Nie jesteś zrujnowany. Wciąż masz mnóstwo pieniędzy.

– Ta książka! – wrzasnął. – Zniszczyłaś mnie! Ile musiałaś im zapłacić, żeby to wydać? Nie wierzę, że Laura napisała to plugastwo – tego śmiecia!

– Nie chcesz w to wierzyć – odparłam – bo byłeś nią zamroczony. Nie możesz znieść, że przez cały czas, kiedy miałeś z nią ten plugawy romans, wchodziła do łóżka innego mężczyzny – mężczyzny, którego kochała, w przeciwieństwie do ciebie. Bo zakładałam, że o to chodzi w tej książce – prawda?

– To ten różowy, co? Ten pieprzony skurwysyn – na pikniku! – Richard musiał być bardzo przygnębiony: z zasady rzadko kłął.

– A skąd mam wiedzieć? – spytałam. – Nie śledziłam jej. Ale zgadzam się z tobą, to się pewnie zaczęło na pikniku. – Nie powiedziałam mu, że były dwa pikniki z Alexem: ten jeden z Laurą i drugi, rok później, bez niej, kiedy wpadłam na Alexa tamtego dnia na Queen Street. Ten z jajkiem na twardo.

– Zrobiła to złośliwie – powiedział Richard. – Mściła się na mnie.

– Nie dziwi mnie to – odparłam. – Musiała cię nienawidzić. Niby dlaczego nie? Właściwie ją zgwałciłeś.

– To nieprawda! Nie zrobiłem niczego bez jej przyzwolenia.

– Przyzwolenia? Tak to nazywasz? Ja bym to nazwała szantażem.

Odłożył słuchawkę. To rodzinne. Kiedy wcześniej zadzwoniła Winifred, żeby mi nauręgać, też tak zrobiła.

Potem Richard zaginął, a jeszcze później znaleziono go na „Nimfie Wodnej” – ale to już wiesz. Musiał zakraść się do miasta, zakraść się na teren Awilionu, zakraść się na łódź, która była w hangarze, właśnie tam, a nie przywiązana do pirsu, jak błędnie napisały gazety. To była przykrywka; trup w łodzi na wodzie jest normalny, ale w hangarze nie. Winifred nie chciałaby, żeby uważano, iż Richardowi odbiło.

Co się naprawdę zdarzyło? Nie jestem pewna. Gdy go odnaleziono, wszystkim zajęła się Winifred, wszystko też zatuszowała. Zawał, tak brzmiała jej wersja. Został jednak znaleziony z książką pod ręką. Tyle wiedziałam, bo Winifred zadzwoniła do mnie rozhisteryzowana i mi powiedziała.

– Jak mogłaś mu to zrobić? – krzyczała. – Zniszczyłaś jego polityczną karierę, a potem jego wspomnienie Laury. Kochał ją! Podziwiał ją! Nie mógł sobie poradzić po jej śmierci!

– Cieszę się, że miał jakieś wyrzuty sumienia – odparłam zimno. – Trudno powiedzieć, żebym je wcześniej dostrzegła.

Winifred obwiniła mnie, oczywiście. Potem rozpoczęła się otwarta wojna. Zrobiła najgorsze, co mogła wymyślić. Zabrała mi Aimee.

Pewnie uczono cię prawdy Winifred. W jej wersji byłam alkoholiczką, dziwką, puszczałką, złą matką. W miarę upływu lat, bez wątpienia stałam się, w jej ustach, niechlujną wiedźmą, nienormalną staruchą, handlarką starymi śmiecia-
mi. Wątpię jednak, żeby kiedykolwiek powiedziała ci, że to ja zamordowałam Richarda. Gdyby to zrobiła, musiałaby też powiedzieć, skąd jej to przyszło do głowy.

„Śmiecie” to obelga. To prawda, że kupowałam tanio, a sprzedawałam drogo – kto tak nie robi w antykwarycznym kanciarstwie? – miałam jednak dobre oko i nikogo do niczego nie zmuszałam. Nastął okres intensywnego picia – przyznaję się do tego – ale dopiero wtedy, gdy odeszła Aimee. Co do mężczyzn, ich też trochę było. Nigdy nie chodziło o miłość, stanowili raczej rodzaj okresowego opatrunku. Odcięłam się od wszystkiego wokół siebie, nie można mnie było osiągnąć, dotknąć; jednocześnie czułam się rozdrapana do krwi. Potrzebowałam pociechy innego ciała.

Unikałam mężczyzn z kręgów, w których się niegdyś obracałam, choć niektórzy się pojawiali jak muszki owocówki, gdy tylko zwietrzyli mój samotny i zapewne fatalny stan. Takich mężczyzn mogła podjudzać Winifred i niewątpi-
wie tak było. Trzymałam się nieznanym, poderwanym podczas wyjazdów do pobliskich miast i miasteczek w poszukiwaniu tego, co teraz nazywa się artykułami kolekcjonerskimi. Nigdy nie podawałam prawdziwego nazwiska. W końcu okazało się jednak, że Winifred była dla mnie zbyt wytrwała. Potrzebowała tylko jednego mężczyzny i wreszcie go dopadła. Zdjęcia drzwi pokoju w motelu, wejście, wyjście; fałszywe podpisy w księdze gości; zeznanie właściciela, który chętnie przyjął gotówkę. Może pani walczyć w sądzie, powiedział mój adwokat, ale nie radziłbym. Spróbujemy praw do wizyt, to wszystko, na co może pani liczyć. Dała im pani amunicję, a oni z niej skorzystali. Nawet on źle o mnie myślał, nie z powodu mojego nagannego prowadzenia się, lecz gapiostwa.

W testamencie Richard wyznaczył Winifred na opiekunkę prawną Aimee, a także jedyną powierniczkę niemałego funduszu Aimee. Tu też była górą.

Wracając do książki: Laura nie napisała ani jednego słowa. Ale to już z pewnością od pewnego czasu wiesz. Sama ją napisałam, podczas długich samotnych wieczorów, kiedy czekałam, aż powróci Alex, i potem, kiedy wiedziałam już, że nie wróci. Nie traktowałam tego, co robię, jako pisarstwa – raczej jako pisani-
nę. Pisałam to, co pamiętałam, i to, co sobie wyobrażałam, co także jest prawdą. Myślałam o sobie jak o automacie. Ręce bez ciała, piszące na ścianie.

Chciałam pomnika. Tak to się zaczęło. Dla Alexa, ale i dla samej siebie.

Od tego do podania Laury za autorkę był niewielki krok. Może uznasz, że kierowało mną tchórzostwo albo brak zimnej krwi – nigdy nie lubiłam reflektorów. Albo zwykła roztopność: moje własne nazwisko gwarantowałyby utratę Aimee, którą i tak utraciłam. Ale jeśli głębiej to przemyśleć, po prostu oddawałam sprawiedliwość, bo nie mogę powiedzieć, że Laura nie napisała ani słowa. Praktycznie nie, ale w innym sensie – tym, co Laura nazwałaby sensem duchowym – można powiedzieć, że była współautorką. Prawdziwą autorką nie była żadna z nas: pięść to nie tylko suma palców.

Pamiętam Laurę, kiedy miała dziesięć czy jedenaście lat i siedziała przy biurku dziadka w bibliotece w Awilionie. Trzymała przed sobą kartkę papieru i zajmowała się ustalaniem miejsc osób siedzących w niebie.

– Jezus siedzi po prawicy Boga – powiedziała. – To kto siedzi po lewej stronie?

– Może Bóg nie ma lewej ręki – odparłam, żeby się z nią podrażnić. – Lewa ręka podobno zawsze jest zła, więc może jej nie ma. A może stracił lewą rękę na wojnie.

– Jesteśmy stworzeni na podobieństwo Boga – odparła Laura – i mamy lewe ręce, więc Bóg też musi ją mieć. – Przyjrzała się swojemu rysunkowi, gryząc koniuszek ołówka. – Wiem! – wykrzyknęła. – Stół musi być okrągły! Wtedy każdy będzie siedział po prawicy każdego.

– I vice versa – dodałam.

Laura była moją lewą ręką, a ja jej. Razem napisałyśmy książkę. To leworęczna książka. Dlatego jednej z nas przez cały czas nie widać, niezależnie od tego, jak się spojrzy na tekst.

Kiedy zaczynałam pisać to sprawozdanie z życia Laury – i własnego – nie miałam pojęcia, dlaczego to piszę albo kto to przeczyta, kiedy już skończę. Teraz jest to dla mnie jasne. Pisałam dla ciebie, najdroższa Sabrino – bo właśnie ty – tylko ty – teraz tego potrzebujesz.

Skoro Laura nie jest już tą osobą, za którą ją uważałaś, to i ty nie jesteś tą osobą, za którą się uważałaś. To może być szok, ale i ulga. Na przykład wcale nie jesteś spokrewniona z Winifred ani z Richardem. Nie ma w tobie ani odrobiny krwi Griffenów, pod tym względem masz czyste ręce. Twoim prawdziwym dziadkiem był Alex Thomas, a kto był jego ojcem, cóż, tu nie ma żadnych ograniczeń. Bogacz, biedak, żebrak, święty, mnóstwo krajów, tuziny nieważnych map, setki zrównanych z ziemią wiosek – wybierz, co chcesz. Twoje dziedzictwo z jego strony to królestwo nieskończonych spekulacji. Jeśli chcesz, możesz się wymyślić na nowo.

Slepy zabójca. Epilog: Druga ręka

Ma jego jedną fotografię, czarno-białą odbitkę. Obchodzi się z nią ostrożnie, to niemal wszystko, co po nim zostało. Na fotografii są oboje, ona i ten mężczyzna, na pikniku. Na odwrocie napisano słowo „piknik” – nie imię jej czy jego, tylko „piknik”. Zna imiona, nie musi ich zapisywać.

Siedzą pod drzewem, to musiała być jabłoń. Ona ma na sobie białą bluzkę z rękawami podwiniętymi do łokci i szeroką spódnicę omotaną wokół kolan. To był gorący dzień. Trzymając rękę nad zdjęciem, wciąż może poczuć bijący od niego żar.

On ma jasny kapelusz, przekrzywiony na głowie i częściowo zasłaniający mu oblicze. Ona jest na w pół obrócona ku niemu i uśmiecha się tak, jak chyba nie uśmiechała się do nikogo od tamtego czasu. Wydaje się na tym zdjęciu bardzo młoda, zbyt młoda, chociaż wtedy nie uważała się za zbyt młodą. On też się uśmiecha, ale trzyma wyciągniętą rękę, jakby usiłował się osłonić przed aparatem. Jakby chciał ochronić się przed nią, z przyszłości, patrzącą na nich. Jak gdyby osłaniał ją. W jego wyciągniętej, osłaniającej ręce tkwi niedopałek papierosa.

Kiedy jest sama, wyjmuje brązową kopertę i wysuwa zdjęcie spośród gazetowych wycinków. Kładzie je na stole i bada każdy szczegół: jego palce, rozjaśnione przez flesz albo oślepiające światło słońca; fałdy ich ubrań; niedojrzałe jabłka na drzewie, szorstką trawę na pierwszym planie. Swoją uśmiechniętą twarz.

Jak mogłam być taką ignorantką, myśli. Tak głupią, tak niewidzącą, tak odadaną nieostrożności. Ale bez takiej ignorancji, takiej niedbałości, jak moglibyśmy żyć? Gdybyśmy wiedzieli, co się zdarzy, gdybyśmy wiedzieli wszystko, co będzie dalej – gdybyśmy z góry znali konsekwencje własnych czynów – bylibyśmy przekłęci. Bylibyśmy równie zagubieni jak Bóg. Bylibyśmy jak gład. Nie moglibyśmy jeść ani pić, ani się śmiać, ani wstawać z łóżka nad ranem. Nigdy byśmy nikogo nie kochali, nigdy już. Nie ośmielilibyśmy się.

Wszystko zatopione – także drzewo, niebo, wiatr, chmury. Jedyne, co została, to zdjęcie. A także opowieść o nim.

To zdjęcie to szczęście, opowieść nie. Szczęście to ogród otoczony szkłem: nie ma wejścia ani wyjścia. W rajku nie ma opowieści, bo nie ma podróży. To strata, żal, cierpienie i tęsknota popychają opowieść po jej pokrętnych ścieżkach.

The Port Ticonderoga Herald and Banner, 29 maja 1999

IRIS CHASE GRIFFEN, PAMIĘTNA DAMA

MYRA STURGESS

Pani Iris Chase Griffen, w wieku osiemdziesięciu trzech lat, odeszła nagle w ostatnią środę w sw oim domu w Port Ticonderoga. „Odeszła bardzo spokojnie, na tyłach ogrodu”, oświadczyła długoletnia przyjaciółka rodziny pani Myra Sturgess. „Nie było to zupełnie nieoczekiwane, gdyż chorowała na serce. Była wybitną osobowością i kamieniem milowym historii, w spaniale się trzymała jak na swój wiek. Wszyscy będziemy za nią tęsknili i z pewnością nikt długo o niej nie zapomni”.

Pani Griffen była siostrą znanej miejscowej pisarki Laury Chase. Była córką kapitana Norvala Chase'a, którego miasto także zapamięta na długo, i w nuczka Benjamina Chase'a, założyciela Zakładów Chase'a, właściciela fabryki guzików i innych zakładów. Była też żoną zmarłego Richarda E. Griffena, znanego przemysłowca i polityka, oraz szwagierką Winifred Griffen Prior, filantropki z Toronto, która zmarła w zeszłym roku, zostawiając hojny spadek naszemu liceum. Pani Chase pozostawiła po sobie w nuczka Sabrinę Griffen, która właśnie powróciła z zagranicy i zamierza odwiedzić nasze miasto, by dopilnować spraw babki. Z pewnością spotka się z ciepłym przyjęciem i wszelką pomocą, jaką możemy jej zaoferować.

Zgodnie z życzeniem pani Griffen ceremonia pogrzebowa będzie miała prywatny charakter, prochy zostaną złożone w rodzinnym grobowcu Chase'ów na cmentarzu Mount Hope. Msza żałobna odbędzie się w kaplicy domu pogrzebowego Jordana w najbliższy wtorek o piętnastej, w uznaniu wielkiego wkładu rodziny Chase przez te lata, następnym w domu Myry i Waltera Sturgessów zostaną podane przekąski. Wstęp w olny.

Próg

Dziś pada ciepły, wiosenny deszcz. Powietrze od niego opalizuje. Hałas progów rzecznych unosi się w górę urwiska i przetacza nad nim – przelewa się jak wiatr, ale nieruchomy, jak ślady fal na piachu.

Siedzę przy drewnianym stole na werandzie z tyłu, w cieniu okapu, patrząc na długi, wybujały ogród. Kwitnie dziki floks, tak myślę, że to floks – nie widzę wyraźnie. Coś niebieskiego, co lśni na końcu ogrodu, fosforyzuje jak śnieg w cieniu. Na grządkach pędy rozpychają się do góry, przypominają kredki: fioletowe, niebieskie, czerwone. Zapach mokrej ziemi i świeżego rozrostu przetacza się nade mną. Mokry, śliski, z kwaśnym posmakiem jak kora drzewa. Pachnie jak młodość, pachnie jak złamane serce.

Owinęłam się szalem: wieczór jest ciepły jak na tę porę roku, ale ja nie odbieram tego jako ciepła, tylko jako brak zimna. Stąd jasno widzę świat – tutaj to krajobraz błyskający spod szczytu fali, tuż zanim następna mnie zatopi: jak niebieskie jest niebo, jak zielone morze, jak ostateczna perspektywa.

Obok mojego łockia leży sarta papierów, którą składam tak pracowicie, miesiąc po miesiącu. Kiedy skończę – kiedy zapiszę ostatnią stronę – dźwignę się z tego krzesła i udam się do kuchni, pomyszkuję w poszukiwaniu gumki albo kawałka sznurka, albo starej wstążki. Zwiążę kartki, po czym podniosę wieko kufra podróżnego i położę ten stosik na innych rzeczach. Tam będzie leżał, aż wrócisz ze swoich podróży, jeśli kiedykolwiek wrócisz. Adwokat ma klucz, a także instrukcje.

Muszę przyznać, że mam marzenie o tobie.

Pewnego wieczoru rozlegnie się pukanie do drzwi i to będziesz ty. Ubrana na czarno, z jednym z tych małych plecaków, które się teraz nosi zamiast torebek. Będzie padało, jak dzisiejszego wieczoru, ale nie będziesz miała przy sobie parasolki, gardzisz parasolkami; młodzi lubią, gdy żywiły chłoscą im głowy, uważają, że to orzeźwia. Staniesz na ganku w mgiełce wilgotnego światła; twoje błyszczące, ciemne włosy będą wilgotne, czarny strój mokry, krople deszczu będą lśniły na twojej twarzy i ubraniu jak cekiny.

Zapukasz. Usłyszę cię i powlokę się przez korytarz, otworzę drzwi. Moje serce podskoczy i zatrzepocze: zerknę na ciebie, a potem cię rozpoznam: moje upragnione, moje ostatnie życzenie. Pomyślę sobie, że nigdy nie widziałam kogoś równie pięknego, ale tego nie powiem. Nie chciałabym, żebyś pomyślała, że oszalałam. Potem cię powitam, wyciągnę do ciebie ręce, pocałuję cię w poli-

czek, przelotnie, bo nie wypada inaczej. Uronię kilka łez, tylko kilka, gdyż oczy starych ludzi są suche.

Zaproszę cię do środka. Wejdiesz. Nie polecałabym tego młodym dziewczynom, przechodzenia przez próg domu takiego jak mój, z kimś takim jak ja w środku – ze starą kobietą, starszą kobietą, żyjącą samotnie w skamieniałym domku, z włosami jak płonące pajęczyny i zachwaszczonym ogrodem pełnym Bóg wie czego. W takich stworzeniach jest coś diabelskiego: być może nawet się mnie trochę wystraszysz. Ale będziesz także trochę lekkomyślna, jak wszystkie kobiety w naszej rodzinie, więc i tak wejdiesz. Babciu, powiesz, i dzięki temu jednemu słowu przestanę czuć się odrzucona.

Posadzę cię przy stole, obok swoich drewnianych łyżek, wieńców z gałązek i świeczki, której się nigdy nie zapala. Będziesz drżała, dam ci ręcznik, owinę cię kocem i zrobię ci kakao.

A potem opowiem ci historię. Opowiem ci tę historię: historię tego, skąd się tu wzięłaś, dlaczego siedzisz w mojej kuchni i słuchasz historii, którą ci opowiadam. Jeśli jakimś cudem miałyby się tak zdarzyć, ta sterta papierzysek nie byłaby już potrzebna.

Czego więc chcę od ciebie? Nie miłości – to byłoby zbyt wiele. Nie przebaczenia, nie ty możesz mi je ofiarować. Może więc tylko pragnę słuchacza; może kogoś, kto mnie zrozumie. Cokolwiek zrobisz, nie upiększaj mnie jednak: nie pragnę być ozdobną czaszką.

Oddaję się w twoje ręce. Jaki mam wybór? Kiedy skończysz czytać tę ostatnią stronę, tylko tutaj – jeśli w ogóle – jeszcze będę.

Podziękowania

Następujące osoby zasługują na wdzięczność: moja nieoceniona asystentka Sarah Cooper; moje badaczki A.S. Hall i Sarah Webster; profesor Tim Stanley; Sharon Maxwell, archiwistka, Cunard Line Ltd., St. James Library, Londyn; Dorothy Duncan, dyrektor zarządzający Ontario Historical Society; Hudson's Bay/Simpsons Archives, Winnipeg; Fiona Lucas, Spadina House, Heritage Toronto; Fred Kemer; Terrance Cox; Katherine Ashenberg; Jonathan F. Vance; Mary Sims; Joan Gale; Don Hutchison; Ron Bernstein; Lorna Toolis i jej personel z Toronto Public Library's Merrill Collection of Science Fiction, Speculation and Fantasy, oraz Janet Inksetter z Annex Books. Na podziękowanie zasługują także moi pierwsi czytelnicy: Eleanor Cook, Ramsay Cook, Xandra Bingley, Jess A. Gibson oraz Rosalie Abella. Podobnie moi agenci: Phoebe Larmore, Vivienne Schuster i Diana Mackay, oraz wydawcy: Ellen Seligman, Heather Sangster, Nan A. Talese i Liz Calder, jak również: Arthur Gelgoot, Michael Bradley, Bob Clark, Gene Goldberg i Rose Tomato. Także Graeme Gibson i moja rodzina, jak zawsze.

Niżej wymienionym składam serdeczne podziękowania za umożliwienie mi przedrukowania wcześniej opublikowanych materiałów:

Epigrafy:

Ryszard Kapuściński, *Szachinszach*: Copyright © by Ryszard Kapuściński, Czytelnik, Warszawa 1988. Przedrukowano za zgodą autora.

Inskrypcja na kartagińskiej urnie, przypisywana arystokratce Zashtar (ok. 210 – 185 r. p.n.e.); przytoczona przez dr. Emila F. Swardswarda w *Epitafiach z kartagińskich czerepów*, „Cryptic: The Journal of Ancient Inscriptions”, cz. VII, nr 9, 1963.

Sheila Watson: z *Deep Hollow Creek* © 1992, Sheila Watson. Przedrukowano za zgodą McClelland & Stewart Inc.

Potoczne wersje piosenek oparto na:

The Smoke Goes Up the Chimney Just the Same. Utwór tradycyjny.

Smokey Moon. Słowa: G. Damorda. Muzyka: Crad Shelley. Copyright © 1934 Sticks Inc./Skylark Music. Przedłużenie praw autorskich: 1968, przez Chaggas Music Corporation w imieniu autora i kompozytora. Wykorzystane za zgodą.

Stormy Weather. Słowa: Ted Koehler, muzyka Harold Arlen. Copyright © 1933 Mills Music Inc./S. A. Music Co./Ted Koehler Music/EMI Mills Music Inc./Redwood Music. Przedłużenie praw autorskich: 1961 przez Arko Music Corp. Na obszarze Stanów Zjednoczonych amerykańskimi prawami na przedłużony okres dysponuje Fred Ahlert Music Corporation w imieniu Ted Koehler Music. Amerykańskimi prawami w imieniu Harold Arlen Music dysponuje S. A. Music. Poza obszarem Stanów Zjednoczonych prawami dysponuje EMI Mills Music Inc. Wszelkie prawa należne Tedowi Koehlerowi w Kanadzie i na jej byłych terytoriach znajdują się pod kontrolą Bienstock Publishing Company w imieniu Redwood Music. Międzynarodowe prawa autorskie zastrzeżone. Wszelkie prawa zastrzeżone. Wykorzystano za zgodą.

Opis dziewiczej podróży „Queen Mary” zaczerpnięty z:

W poszukiwaniu przymiotnika, J. Herbert Hodgins, „Mayfair”, lipiec 1936. (Maclean Hunter, Montreal). Faktyczny właściciel praw autorskich nieznan. Przedrukowano za zgodą Rogers Media and Southam Inc.

{1} Dominion Drama Festival – 1932-1978, dwujęzyczny festiwal teatralny, w 1970 roku przekształcony w Theatre Canada. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

{2} Bieg trójnożny (*three-legged race*) – bieg, w którym każdy uczestnik ma jedną nogę przywiązaną do nogi swojego partnera.

{3} Taniec z wachlarzem – taniec, w którym tancerz, manipulując wachlarzem, częściowo odsłania lub sugeruje nagość.

{4} William Morris – dziewiętnastowieczny angielski poeta i projektant; jednym z jego najsłynniejszych projektów był wzór zwany złodziejem truskawek, przedstawiający ptaki dziobiące truskawki.

{5} Alfred Tennyson, *Odejskie Artura*, tłum. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1970.

{6} Debiutantka – młoda kobieta wprowadzona w towarzystwo.

{7} William Szekspir, *Burza*, tłum. Leon Ulrich, PIW, Warszawa 1974.

{8} Ośle uszy (*dunce cap*) – czapka w kształcie stożka, wkładana najgorszemu uczniowi w szkole.

{9} Czepek – część owodni, pokrywająca czasem główkę noworodka.

{10} Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań – Warszawa 1991, Psalm 121.

{11} Lions, Kinsmen, Rotary Club, Oddfellows, Orange Order, I.O.D.E. (Imperial Daughters of Empire) – rozmaite organizacje i fundacje charytatywne i integrujące społeczność lokalną i międzynarodową.

{12} Gra słów – *violence* (przemoc), *Voilet* (imię żeńskie, fiołek), *gore* (krew).

{13} Samuel Taylor Coleridge, *Kubla Chan*, tłum. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1987.

{14} John McCrae, *Na polach Flandrii*, tłum. Piotr Budkiewicz.

{15} Elizabeth Barrett Browning, *Sonety z portugalskiego*, tłum. Ludmiła Marjańska, PIW, Warszawa 1976.

{16} Emily Pauline Johnson – XIX-wieczna poetka kanadyjska, córka białej kobiety i indiańskiego wodza.

{17} Emily Pauline Johnson, *The Song My Paddle Sings*, tłum. Piotr Budkiewicz.

{18} Alfred Tennyson, *Mariana*, tłum. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa.

{19} Alfred Tennyson, bez tytułu, tłum. Zygmunt Kubiak, tamże.

{20} Tłum. Piotr Budkiewicz.

{21} Tłum. Piotr Budkiewicz.

{22} *Sauve qui peut* (fr.) – Ratuj się, kto może.

{23} *Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait* (franc.) – Gdyby młodość wiedziała, gdyby starość mogła.

{24} *C'est de quoi j'ai le plus de peur que la peur* (franc.) – Najbardziej boję się strachu.

{25} *Le coeur a ses raisons que la raison ne connaît point* (franc.) – Serce ma swoje powody, o których rozsądek nie wie.

{26} *L'histoire, cette vieille dame exaltée et menteuse* (franc.) – Historia to stara dama, egzaltowana i przemądrzała.

{27} *Il ne faut pas toucher aux idoles: la dorure en reste aux mains* (franc.) – Nie należy dotykać idoli, pozłota zostanie na rękach.

{28} *Dieu s'est fait homme; soit. Le diable s'est fait femme* (franc.) – Bóg stworzył mężczyznę, zgoda. Diabeł kobietę.

{29} Święto Pracy – w Kanadzie pierwszy poniedziałek września.

{30} *Et in Arcadia ego* – „I ja (żyłem) w Arkadii”, obraz Giovanniego Guercina i późniejszy, Possina, *Pasterze arkadyjscy*, który przedstawia grobowiec z tym napisem.

{31} *Faute de mieux* (fr.) – z braku laku.

{32} *Trussed* (ang.) – związany, skrępowany.

{33} Angielskie słowo *chaplet* oznacza zarówno wianek, jak i różaniec.

{34} Sacco i Vanzetti – radykalni agitatorzy, straceni jako mordercy po procesie, który miał szerokie reperkusje polityczne.

{35} Artemesia Gentileschi – siedemnastowieczna malarka, zgwałcona przez Agostina Tassiego.

{36} William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli*, tłum. Maciej Słomczyński, Zielona Sowa, Kraków 1999.

{37} John Milton, *Raj utracony*, tłum. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986.

{38} Samuel Taylor Coleridge, *Kubla Chan*, tłum. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1987.

{39} Tamże.

{40} Emma Goldman (1869-1940) – znana amerykańska radykalistka i feministka.

{41} Banshee – żeński duch, który ostrzega o nadchodzącej śmierci.

{42} Tłum. Piotr Budkiewicz.

{43} Birks – sieć ekskluzywnych sklepów.

{44} Bay Street – centrum finansowe Toronto, ulica, przy której znajduje się kanadyjska giełda papierów wartościowych.